

Nienasycenie





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Dziękujemy panu Jackowi J. Hoffmanowi za sfinansowanie opracowania niniejszej publikacji.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ

Nienasycenie

Nienasycenie

POWIEŚĆ

Autor prosi o przeczytanie przedmowy

CZĘŚĆ PIERWSZA. PRZEBUDZENIE

*Poświęcone pamięci
Tadeusza Micińskiego*

*„Ja, wybierając los mój,
wybrałem szaleństwo.”*

Tadeusz Miciński, W mroku gwiazd

PRZEDMOWA

Nie wchodząc w kwestię, czy powieść jest dziełem sztuki, czy nie — (dla mnie, nie) — poruszyć chcę problemat stosunku powieściopisarza do jego życia i otoczenia. Powieść jest dla mnie przede wszystkim opisaniem trwania pewnego wycinka rzeczywistości — wymyślonego, czy prawdziwego — to obojętne — rzeczywistości w tym znaczeniu, że główną rzeczą w niej jest treść, a nie forma. Nie wyklucza to oczywiście najdzikszej fantastyczności tematu i psychologii występujących osób — chodzi tylko o to, aby czytający był zmuszony wierzyć, że tak właśnie, a nie inaczej było lub być mogło. To wrażenie zależne jest też od sposobu przedstawienia rzeczy, czyli od formy poszczególnych części i zdań i od kompozycji ogólnej, ale elementy artystyczne nie stanowią w powieści całości działającej formalnie bezpośrednio swoją konstrukcją; służą raczej do spotęgowania treści życiowej, do zasugestionowania czytelnikowi poczucia rzeczywistości opisanych ludzi i wypadków. Jednak konstrukcja całości jest czymś według mnie w powieści drugorzędnym, co powstaje jako produkt uboczny opisu życia, i co nie powinno z góry wpływać deformująco na rzeczywistość według czysto formalnych wymagań. Lepiej oczywiście, żeby była, ale brak jej nie stanowi zasadniczej wady powieści, w przeciwieństwie do dzieł Sztuki Czystej, gdzie po prostu bez wartości formalnej całości nie może być mowy o artystycznym wrażeniu, gdzie jeśli jej nie ma, nie ma dzieła sztuki w ogóle, a jest co najwyżej w pewien sposób przetworzona rzeczywistość i chaos niezwiązanych ze sobą czysto formalnych elementów. Dlatego powieść może być wszystkim, w uniezależnieniu od praw kompozycji, począwszy od a-psychologicznej awantury, przedstawionej od zewnątrz, do czegoś, co może graniczyć z traktatem filozoficznym lub społecznym. Oczywiście jednak musi się coś w niej dziać: idee i ich walka muszą być pokazane na ludziach żywych, a nie porozwieszane na manekinach. Jeśli ma być tak, to lepiej napisać broszurę lub traktat. Przekonanie, że powieść musi być koniecznie przedstawieniem ciasnego wycinka życia, przy czym autor, z kłapami koło oczu, jak strachliwy koń, unika wszelkich rzeczywistych i *pozornych* nawet dygresji, wydaje mi się niesłuszne — z wyjątkiem grafomanicznych bzdur i niepotrzebnych nikomu płytkich naświetleń nieciekawych ludzi, wszystko jest usprawiedliwione — nawet największe odstępstwa od „tematu”. Podlizywanie się najniższemu gustowi przeciętnej publiczności i strach przed własnymi myślami lub niechęcią danej kliki, czynią z naszej literatury (z małymi wyjątkami) tę letnią wodę, od której chce się po prostu rzygać. Słusznie twierdzi Antoni Ambrożewicz, że u nas literatura była tylko funkcją walki o niepodległość — z chwilą jej osiągnięcia zdaje się kończyć beznadziejnie. Proszę nie posądzać mnie o megalomanię i chęć wmówienia publiczności, że moje powieści są ideałem, a wszystko inne głupstwem. Daleki jestem (i to bardzo) od tego. Ale twierdzą, że dzisiejsza krytyka, z powodu fałszywego poczucia społecznego obowiązku i chęci nauczania małych cnótek małych ludzi, nie chce widzieć groźnych zagadnień i ich możliwych rozwiązań i stanowczo wpływa hamująco na rozwój w wielkim stylu naszej literatury. Co jest niewygodne, jest przemilczane lub programowo źle zrozumiane i zinterpretowane. Fałsz i tchórzostwo cechuje całe nasze życie literackie, a ci, którzy nawet słusznie rzucają się na różne przykre objawy (np. Słonimski) są bezsilni z powodu braku podstaw pojęciowych i programowego antyintelektualizmu. Niedokształcenie umysłowe większości krytyków, brak u nich jakichkolwiek jednoznacznych systemów pojęć dla wartościowania, brak intelektualnych szkieletów, w połączeniu z produkcją miernoty i zalaniem rynku tłumaczeniami zagranicznej tandety, daje smutny obraz literackiego

upadku. Czegoż wymagać od publiczności, jeśli krytyka stoi poniżej jej przeciętnego poziomu. Nie będę walczył tu o idee ogólne z poszczególnymi krytykami (polemika ukaże się w oddzielnej książce pt. *Ostatnia pigułka dla „wrogów”*) — chcę się ograniczyć do jednego problemu: stosunku życia prywatnego autora do jego pracy. We wstępie do *Pożegnania Jesieni* napisałem zdanie, które cytuję tu dosłownie: „To, co pisze drugi mój bardzo przykry „wróg”, Karol Irzykowski, o stosunku krytyki do dzieł sztuki poprzez autora, jest bardzo słuszne. Babranie się w autorze *à propos* jego utworu jest niedyskretne, niestosowne, niedzgentelmeńskie. Niestety, każdy może być narażony na tego rodzaju świństwa. Jest to bardzo nieprzyjemne”. W odpowiedzi na to oświadczenie spotkałem się z następującymi reakcjami na moją powieść. Pan Emil Breiter zatytułował swoją krytykę „pseudo-powieść”, a następnie na końcu zaznaczył, objaśniając niedomyślnym cel tego tytułu, że moja książka jest „spowiedzią”. Przejornie nie dodał słowa „ideowa”, aby móc być dwuznacznie zrozumianym. A więc każdy przeciętny człowiek myśli sobie (i na to liczy p. B., aby mi dokuczyć i zaszkodzić), że po prostu opisuję fakty z mego życia, o którym on, p. B., ma jakieś tajemnicze informacje — a więc: że byłem zgwałcony przez jakiegoś hrabiego „pod kokainą”, że byłem na utrzymaniu u pewnej bogatej Żydówki na Cejlonie, że zakokainowałem niedźwiedzicę w Tatrach itp. Nie posądzą mnie o to, że zostałem rozstrzelany przez komunistów, bo nie ma w Polsce Sowietów i ja niestety żyję i na razie piszę dalej. Potem, na tle takich krytyk i plotek spotykają mnie tego rodzaju powiedzenia: jakaś dama po skończonym portrecie mówi: „tak się pana bałam — myślałam: jak ja wytrzymam godzinę z takim strasznym (!) człowiekiem, jak pan — a pan jest zupełnie normalny i nawet dobrze wychowany”. Matki boją się zamawiać portrety swoich córek w mojej firmie, nawet dorośli mężczyźni siadają z niewyraźnymi minami „na aparat”, tak, jakby się spodziewali, że co najmniej, zamiast rysować, powyrywam im zniecka zęby lub wykluję oczy ołówkiem. Drugi fakt: Karol Irzykowski (z którego *Walkę o treść* załatwię się obszernie w wyżej wspomnianej broszurze) pisze krytykę najwidoczniej programowo dwuznaczną (używa pojęcia: genialny grafoman — to tak jakby kwadratowe koło, a może gorzej), w której używa słowa „cynizm”, w dość nieokreślonym dla przeciętnego człowieka znaczeniu, a następnie dodaje (on właśnie, o którym napisałem wyżej przytoczone zdanie, na tle jego własnych enuncjacji), że zanadto opieram moją powieść na tle osobistych przeżyć. Skąd ci panowie ośmielają się domyślać takich rzeczy? Czy na podstawie ohydnych plotek, których jestem przedmiotem? Mogą się domyślać — Bóg z nimi — ale pisanie tego w krytykach literackich jest szczytem bezczelności. Mam wrażenie, że jestem w tym wypadku wyjątkiem — o nikim jeszcze nic podobnego nie czytałem. Nie mogę cofnąć wyrażenia użytego poprzednio, ponieważ panowie ci sami się pod nie, że tak powiem, „podstawiają”. Bo przecież realizm jakiegoś opisu nie implikuje bynajmniej kopiowania bezpośrednio danej rzeczywistości — może być dowodem np. talentu realistycznego autora. Ale jeśli chodzi o mnie, to nawet to, co mogłoby być komplementem, zostaje perfidnie odwrócone na zarzut, i to w dodatku czysto osobisty i gołosłowny, a szkodliwy dla mnie życiowo. Jakże to inaczej nazwać, niż ja to uczyniłem? Tym bardziej jest to dziwne, że ani jeden fakt w *Pożegnaniu Jesieni* nie odpowiada rzeczywistości. Chyba panowie ci liczą na to, że autor, w ten sposób oszkalowany przed publicznością, przestanie pisać lub co najmniej straci swobodę wypowiedzania się, ze szkodą dla swej pracy. Do podobnych, ale mniej przykrych objawów, należy robienie pasztetu z dowolnie wybranych cytat, przy czym wypowiedzenia „bohaterów” pomieszane są umiejętnie ze zdaniem autora, i przedstawianie sfalszowanego w ten sposób tekstu uznane za jego ideologię. Nie chodzi o to, aby być chwalonym, tylko uczciwie zwalczanym — ale nawet o to jest u nas bardzo trudno. „Cóża z głupim bees gadał”, jak mówił Jan Mardula. Ale lepszy jest nawet głupi, niż świadomie nieuczciwy krytyk. Chciałoby się wierzyć w dobrą wolę przynajmniej, ale i to czasem jest wprost niemożliwe. Nie ma autora, który by nie używał introspekcji i obserwacji innych ludzi dla celów powieściowych. Przecież zdolność wyobrażania sobie stanów urojonych osób lub transpozycji danej rzeczywistości, przy czym niezmiernie mały fakt może wystarczyć jako ośrodek dla krystalizacji całej koncepcji, musi być zasadniczą cechą powieściopisarza. Trudno, żeby ktoś żyjący w pewnej atmosferze nie karmił się nią. Chodzi o to, w jaki sposób zużytkowuje ten pokarm. Jest pewna granica wyrażności typów (jakieś szczególne znamiona, jak w pasportach), poza którą daje się w przybliżeniu powiedzieć, że dany autor

przedstawia rzeczywiście danego realnego człowieka. Ale na to trzeba przede wszystkim tego chcieć — dla celów jakichś tajemniczych: osobistej zemsty, czy reklamy, albo dla polityki. Zaznaczam, że jest mi to obce w zupełności i że każdą interpretację tego rodzaju, tak w stosunku do mnie, jak i do aktualnej rzeczywistości społecznej, będę uważał za programowe świństwo w stosunku do mnie, w celu szkodzenia mi osobiście. Szkoda, że polemika między Kadenem-Bandrowskim, a Irzykowskim na ten właśnie temat, utknęła w osobistych wymyślaniach, nie rozjaśniając mroków okrywających twórczość pisarską. Jeśli tak dyskutują: największy nasz pisarz obecnie i ten, który uważany jest za największą powagę krytyczną, to dowodzi, że źle się dzieje w naszych literackich sferach.

S. I. W. 4/XII 1929.

PRZEBUDZENIE

Genezyp Kapen nie znosił niewoli w żadnej formie — od najwcześniejszego dzieciństwa okazywał wstręt do niej nieprzewyciężony. (Mimo to, jakimś niepojętym cudem wytrzymał ośmioletnią tresurę ojca-despoty. Ale to było czymś w rodzaju nakręcania sprężyny — wiedział, że kiedyś rozkręcić się musi i to go trzymało). Gdy miał zaledwie cztery lata (już wtedy!), błagał matkę i guwernantki na letnich spacerach, aby pozwolono mu choćby pogłaskać jakiegoś kundla, rzucającego się groźnie na łańcuchu lub małego, melancholijnego pieseczka, podwywającego cicho na progu budy — pogłaskać tylko i dać mu coś do zjedzenia, jeśli już nie mogło być mowy o spuszczeniu go z uwięzi na wolność.

Z początku pozwalano mu brać z domu jedzenie dla tych jego nieszczęśliwych przyjaciół. Ale wkrótce mania ta przeszła rozmiary wykonalne nawet w jego warunkach. Zabroniono mu tej przyjemności, jedynej istotnej. Działo się to przeważnie u nich na wsi, w podbeskidzko-tatrzańskim Ludzimierzu. Ale kiedyś, za bytności w regionalnej stolicy K., zaprowadził go ojciec do menażerii. Po bezowocnych prośbach o wypuszczenie z klatek jakichś małp „hamadria”¹, pierwszych zwierząt, które tam zobaczył, rzucił się na dozorcę i bił go długo po brzuchu małymi piąstkami, raniąc się o klamrę paska jego spodni. Na zawsze zapamiętał Zypcio błękit nieba tego sierpniowego dnia, zimny i tak okrutnie obojętny na cierpienia biednych zwierząt. I to rozkoszne słońce, kiedy im (i jemu) było tak źle... A była w tym na dnie jakaś wstrętna przyjemność... Skończyło się spazmatycznym płaczem i ciężkim nerwowym atakiem. Trzy doby prawie nie spał wtedy Genezyp. Dręczyły go potworne koszmary. Widział siebie jako szarą małpę, ocierającą się o klatkę i nie mogącą dostać się do innej podobnej małpy. Ta druga miała coś dziwnego: czerwone to było z niebieskim i okropne nad wyraz. Nie pamiętał, czy widział to naprawdę. Złanie się w jedno dławiącego bólu w piersiach z przecuciem jakiejś zakazanej, wstrętnej rozkoszy... Tą drugą małpą był również on sam, a jednocześnie patrzył na siebie z boku. Jakim sposobem się to działo, nie pojął nigdy. A potem olbrzymie słonie, leniwe wielkie koty, węże i smutne kondory — wszystkie stały się nim samym i jednocześnie wcale nim nie były. [W rzeczywistości widział tylko przelotnie te stworzenia, kiedy wyprowadzano go innym wyjściem, rzucającego się, w suchych lkaniach]. W jakimś dziwnym świecie zabronionych mąk, bolesnego wstydu, ohydnej słodyczy i tajemniczego podniecenia przebywał te trzy dni, leżąc przy tym najwyraźniej w swoim własnym łóżeczku. Kiedy się ocknął po tym wszystkim, słaby był jak flaczek, ale za to nabrał słusznej pogardy do siebie samego i wszelkiej słabości w ogóle. Coś się w nim zacięło przeciw niemu samemu — był to zarodek świadomego tworzenia się siły samej w sobie. Marnotrawny stryj, zakała rodziny, rezydent ludzimierski mówił: „Ludzie dobrzy dla zwierząt bywają potworami w stosunku do bliźnich swoich. Zypka trzeba chować ostro — inaczej wyrośnie z niego monstrum”. Tak też chował go później ojciec, nie wierząc zresztą zupełnie w dobre wyniki tej metody — czynił to, z początku szczególnie, jedynie dla własnej satysfakcji. „Znałem dwie panienki z tzw. „dobrego domu”, wychowane w klasztorze — mawiał. — Jedna była k..., a druga zakonnica. A ojciec obu na pewno był ten sam”.

¹małpa „hamadria” — prawdopodobnie *Papio hamadryas*, tj. pawian płaszczowy. [przypis edytorski]

Kiedy Genezyp doszedł do lat siedmiu, objawy tego rodzaju ucichły pozornie zupełnie. Wszystko cofnęło się w głąb. Sponurzał w tym czasie i między innymi oddał się odmiennej od wszystkich zabawie. Chodził teraz na spacer sam lub ze swoim kuzynem Toldziem, który wprowadzał go w nowy świat autoerotycznych perwersji. Straszliwe były to chwile, gdy podniecająca muzyka grała w pobliskim parku, a ukryci w krzakach młodzieńcy rozjątrali się wzajemnie, mówiąc subtelne obrzydliwości i badając różne zapachy. Aż w końcu nieprzytomni, z rozpalonymi policzkami i oczyma skoszonymi od niewyrażalnego pożądania, przytuleni do siebie, wywoływali w swych zdrowych, biednych ciałkach piekielny dreszcz nieznanego, wiecznie tajemniczej, niedosiężnej rozkoszy. Próbowali zgłębiać ją coraz częściej — ale nie mogli. I znowu próbowali — jeszcze częściej. Wychodzili potem z krzaków bladzi, z czerwonymi uszami i oczami, przemykali się jak złodzieje, pełni dziwnego „malaise”, prawie bólu, gdzieś tam... Dziwnie nieprzyjemne robiły na nich wrażenie bawiące się wesoło dziewczynki. Był w tym smutek i strach, i żal czegoś niewiadomego, beznadziejny, okropny, a mimo to przyjemny. Jakaś wyższość plugawa nad wszystkim napelniała ich obrzydliwą dumą. Z pogardą i ukrytym wstydem patrzyli się na innych chłopców, a widok pięknych młodych ludzi, flirtujących z dorosłymi damami napelniał ich nienawiścią, zmieszaną z ponurą, upakarzającą zazdrością, w której jednak krył się urok jakiś niesamowity wywindowania się ponad normalne codzienne życie. Wszystkiemu winien był (potem oczywiście) Toldzio. Ale przedtem był właśnie tym najbliższym, przyjacielem najistotniejszym, który posiadał pierwszy dziwną tajemnicę złowrogiej rozkoszy i raczył nauczyć jej Zypka. Ale czemu *potem* tak bardzo nie lubiał go Zypek. Trwało to dwa lata z przerwami. Ale pod koniec drugiego roku przyjaźń ich zaczęła się psuć. Może właśnie dlatego. W tym czasie, w związku z tajemniczymi rozkoszami wystąpiły nowe jakieś objawy... Zypcio przeraził się. Może to jakaś straszna choroba? Może kara za grzech?

W tym czasie również matka, wbrew woli ojca, zaczęła go uczyć religii. O *tym* nie było tam jednak mowy, jako o jednym z grzechów. A mimo to zawsze czuł Zypcio, że, oddając się praktykom Toldzia, popełnia coś dziecinnie „niedźtelmeńskiego”, coś *złego*. Ale to zło było całkiem innego wymiaru niż nieuczenie się lekcji, gniew na rodziców czy dokuczanie małej siostrzyczce, która zresztą poza tym nie istniała dla niego zupełnie. Skąd miał to poczucie zła i czemu potem napadał go smutek i wyrzuty sumienia, nie mógł pojąć. Zdecydował się na krok stanowczy: z odwagą skazańca poszedł do ojca i opowiedział o wszystkim. Zbity straszliwie i przerażony gorzej niż biciem perspektywą zidiocenia, zawział się w sobie i zaprzestał ohydneho procederu. Cenił bowiem w sobie ten rozum, który w dyskusjach przyrodniczych nad tajemnicami natury stawiał go ponad rówieśnikami, a nawet ponad przewrotnym, starszym o rok Toldziem, który do tego jeszcze był hrabią, — on zaś sam tylko baronem i to „podejrzanym”, jak się od niego właśnie dowiedział.

Rozpoczął się okres zdrowego zbydlęcenia. Bitwy, gonitwy, sport we wszystkich odmianach wypędził z jego duszy wspomnienie ciekawych jednak mimo wszystko z „przyrodniczego punktu widzenia” (?) zjawisk. Ojciec nie podał bowiem wystarczającej ich teorii. Ale mania uwalniania uwięzionych psów wróciła ze zdwojoną siłą. Teraz było to połączone ze sportem — było też szlachetną próbą odwagi. Często wracał do domu pokąsany, z podartym ubraniem, wytarzany w błocie. Raz dwa tygodnie chodzić musiał z ręką na temblaku, co popsulo pewną serię szalenie istotnych bitew z przeciwną partią „młodoturków”. Wypadek ten osłabił w nim trochę zapał w tym kierunku. Coraz rzadziej odbywał swoje oswobodzicielskie wyprawy, ale przecie. A działo się to zawsze wtedy, kiedy by skądinąd miał ochotę właśnie na co innego... Czynności zastępcze.

Nadszedł tak zwany okres sublimacji. Ale brutalnie przecięła go szkoła. Zabójcza dla pewnych natur (bardzo zresztą nielicznych) przymusowa, prawie mechaniczna praca, zniechęcająca raczej do nauki, niż podniecająca zainteresowanie się jej tajemnicami, przerwała ten najlepszy czas w życiu chłopca, kiedy to przecucia nieznanego łączą się z budzącymi się sentymentami do panienek (raczej do „tej jednej, jedynej”), stwarzając opar nieuświadomionej metafizycznej dziwaczności (jeszcze nie dziwności) ponad zwykłym codziennym życiem. Zypcio, mimo notorycznych zdolności, uczył się ciężko. Przymus niszczył w nim wszelki spontaniczny zapał. Całą zimę uginał się wprost duchowo pod ciężarem pracy, a krótkie wakacje na wsi zapełnione były również obowiązkowym

teraz sportem i wiejskimi rozrywkami. Prócz wyznaczonych mu na ten cel rówieśników nie widywał nikogo i nigdzie w okolicy nie „bywał”. Kiedy ku jesieni zaczynał się już trochę odginać, przychodziło znowu to samo i tak dotrwał do matury.

Przysiągł ojcu, że przyjedzie wprost z egzaminu na wieś i przysięgi dochował. Uniknął w ten sposób bydlęcych pomaturycznych uroczystości i czysty i niewinny, ale z poczuciem piekielnych możliwości życiowych, zjechał przed dwór — tak zwany pałac rodzicielski, stojący w podgórskiej okolicy niedaleko Ludzimierza. Tu dopiero się zaczęło.

Informacja: Jak wiadomo, już przed szkołą uświadomił sobie, że jest baronem i że jego ojciec, właściciel olbrzymiego browaru, jest nie to, co matka, hrabianka z przymieszką krwi węgierskiej. Przeszedł krótki okres snobizmu, ale pozbawionego zupełnego zadowolenia: niby po matce wszystko było dobrze — jakieś bohaterzy, mongoły, dzikie rzezie za Władysława IV — ale przodkowie papy nie nasycili jego ambicji. Dlatego, wiedziony szczęśliwym instynktem, już od klasy czwartej (do trzeciej poszedł do szkoły) stał się demokratą i zlekceważył ten niedoskonały kompleks swego pochodzenia. To zjednało mu wiele uznania, pozwalając pewne poniżenie odwrócić na wartości pozytywne. Był rad z tego wynalazku.

Zbudził się po krótkim śnie popołudniowym. Zbudził się nie tylko z tego snu, ale i z tamtego, który trwał pięć lat. Od bydlęcych czasów walk dzieciennych oddzielała go pustynia. Jakże żałował, że tak nie mogło trwać wiecznie! Ta ważność wszystkiego, jedyność i konieczność, przy jednoczesnym poczuciu, że to nie jest na serio na tym planie rzeczywistości — i wynikająca stąd lekkość i beztroska, nawet w obliczu klęski przegranych bitew. Już nigdy...! Ale to, co być miało, zdawało się jeszcze ciekawszym, o — o wiele — o nieskończoność! Inny świat. I nie wiadomo czemu wspomnienie dzieciennych perwersji przesunęło się teraz z całkowitym ciężarem wyrzutu za te „zbrodnie”, jakby rzeczywiście one to „zaważały” na całym przyszłym życiu. Może i tak w istocie było. Po latach zachciało mu się tego samego, ale się wstrzymał. Wstrzymał go wstyd wobec nieznanego mu jeszcze kobiet. Nieznanych do głębi, bo przecie właśnie wczoraj...

Informacja: Na stacji trzymany był w kolczastej dyscyplinie, a na wakacjach — ha — to towarzystwo wiecznie nie to, jakiego by pragnął. Słyszał jednak coś niecoś od kolegów, którzy lyknęli więcej rzeczywistości od niego. Ale *to* nie było najważniejszym.

Więc jednak *wszystko jest*. Skonstatowanie tego nie było tak banalnym, jakby się to zdawać mogło. Podświadoma, zwierzęca ontologia, przeważnie animistyczna, niczym jest wobec pierwszego błysku ontologii pojęciowej, pierwszego ogólnego egzystencjonalnego sądu. Sam fakt istnienia nie przedstawiał dotąd dla niego nic dziwnego. Pierwszy raz teraz zrozumiał przepaścistą niezgłębialność tego problemu. Zamajaczyło mu w jakimś po dzieciennemu zaczarowanym i po dzieciennemu złotym, prześwietlonym w pyłe nieziemskiej tęsknoty, świecie najlepszych, niepowrotnych dni, najdawniejsze dzieciństwo: pałac rodziny matki we Wschodniej Galicji i obłok, jakby rozżarzony do białości, pod którym czaiła się burza i żaby kumkające w gliniankach koło cegielni i zgrzyt zardzewiałej studni. Przypomnił się też wierszyk pewnego kolegi, z którym nie pozwolono mu się bawić.

„O dziwne, ciche, letnie popołudnia
I pełne głębi soczystych owoce,
W cieniu chłodnym zapomniana studnia,
Potem obłędne wieczory i noce...”

To właśnie wyrażał dla niego ten marny wierszyk, *to*: ogrom życia i niepojętość każdej jego chwili i nudę straszną, i tęsknotę za czymś nieobjęciem wielkim. Ale to teraz dopiero pojął dokładnie. Wtedy, gdy po raz pierwszy czytał mu Ptaś tę bzdurkę, w wychodku szkolnym, nie wyrażała ona jeszcze nic. Przeszłość rozświetlała się w błyskawicy objawienia terażniejszości, jak inny, nieznan dotąd świat. Trwało to jakiś ułamek sekundy i zapadło znowu, wraz ze wspomnieniem, w tajemnicze gąszcz podświadomości. Wstał, zbliżył się do okna i oparł głowę o szybę.

Wielkie, żółte zimowe słońce zniżało się szybko, prawie trącając rozdwojony szczyt Wielkiego Pagóra. Oślepiające światło stapiało wszystko w rozedrganą masę rozpalonego złota i miedzi. — Fioletowe cienie wydłużały się niepomiarowo, a las w pobliżu słońca mienił się czarną purpurą, zmieniającą się co chwila w wybladłą, ośleplą zielen. Ziemia nie była miejscem codziennego dnia, tym, co o niej i o jej stosunku do ludzkiego świata wiadomo — była planetą, widzianą z teleskopowych jakby odległości. Zębatym, rzeźbionym zrębem gór, wznoszących się na lewo, daleko za połogimi stokami Wielkiego Pagóra, zdawała się przechylać ku nadciągającej z międzygwiazdnych przestrzeni, nie wiadomo czemu „żałobnej” nocy. Słońce, teraz już wyraźnie ruchome, stawało się czasem czarno-zielonym krążkiem o złotoczerwonej obwódce. Nagle dotknęło się lęklwym, ociągającym się jakby, ruchem, rozszczępionej w krwawe ostrza linii dalekich lasów. Czerwono-czarny aksamit zmienił się w granat, kiedy ostatni promień, rozszczępiony na tęczyowy snop przeświecił się po raz ostatni przez ciężkie zwały świerków. W nieskończoność rzucone spojrzenie, ciągnięte oślepiającym blaskiem, napotkało twardy opór mrocznego, nieskończenie bardziej rzeczywistego świata. Genezyp uczył coś w rodzaju głuchego bólu w piersiach. Minęła dziwna chwila pojmwania tajemnicy i realna pospolitość ukazała spod tej maski swoje szare i pełne nudy oblicze. Co zrobić z dzisiejszym wieczorem? Pytanie to przypomnielo mu poprzednie i zamyslił się głęboko, tak głęboko, że stracił zupełnie poczucie chwili obecnej. Nie wiedział, że to właśnie jest czasem najwyższym szczęściem.

Księżna stanęła mu (stanęła dęba) w wyobraźni jak żywa. Ale obraz ten nie był odbiciem wczorajszej rzeczywistości. Przypomniały się nieprzyzwoite sztychy widziane w bibliotece jakiegoś przyjaciela ojca, gdy skorzystał z nieuwagi tych panów i zajrzał do niedomkniętej szuflady. Zobaczył, jak na jakimś bezwstydnym wizerunku nagą jej postać, oblaną potokiem ciemno-rudych włosów. Kolisty szereg małych złowieszczo uśmiechniętych, które spacerowały koło niej z wyuzdanym wdziękiem (każda z nich trzymała małe eliptyczne lusterko) był najwyraźniej ucieleśnieniem pewnego rysunku koncentrycznych kółek, mających symbolizować sfery życiowe według ich ważności. Czyżby to było właśnie to najistotniejsze kółko środkowe? Zarysowały się dwa niewspółmierne punkty widzenia i płynący stąd męczący rozdział. Brutalnie można to było ująć jako: idealizm programowy ojca i chęć użycia zakazanych przyjemności, co wiązało się nieznanym sposobem z matką. Prawie fizycznie czuł to Genezyp w piersiach i w dolku. Przed chwilą tego nie było, a teraz cała przeszłość i pobyt w szkole i dzieciństwo, stały się dalekie, złączone w nierozdzielną całość — negatywnie jedynie, przez brak rozwiązania nowopowstałego, niepochwytanego problemu. Tajemnica rzeczywistego rozstrzygnięcia kwestii tych była dla niego zawsze — od czasu uświadomienia — czymś niepokojącym i złowrogim. Niezdrowa (czemu nie zdrowa do pioruna!?) ciekawość zalała go jakby jakąś ciepłą, obrzydliwie przyjemną mazią. Wzdrygnął się i nagle teraz dopiero przypomniał sobie tylko co prześniony sen. Usłyszał głos czyjś w otchłani bezosobowego *wzroku*, wpijającego się w niego z zabójczym pytaniem, na które odpowiedzi znaleźć nie mógł. Czuł się tak, jak gdyby nie obkuł się dostatecznie do egzaminu. A głos ten mówił szybko, bełkotliwie — było to zdanie z tego snu: „mieduwalszczycy skarmią na widok czarnego beata, buwają piecyty”. Objęły go żelazne ręce i uczył pod żebrami ból łaskotliwy. To było to nieprzyjemne uczucie, z którym się zbudził, a którego określić nie mógł. [I czy warto wszystko to przeżywać i wglębiać się w to i rozbebeszać, na to, aby potem... brrr — ale o tym później].

Prawie z radością spostrzegł *teraz dopiero na pamięciowym obrazie* włochatego pyska muzyka Tengiera (którego poznał wczoraj wieczorem) to samo zagadkowe rozdwojenie, które sam teraz wewnętrznie przeżywał. Skrępowana siła, widna jak na dłoni w oczach tamtego samca, wytwarzała niemożliwe ciśnienia. Słowa jego, słyszane wczoraj (i niezrozumiane), stały się nagle jasne w całości, jako niezanalizowana masa, raczej tylko ich ton ogólny. O sensie pojęciowym nie było nawet mowy. Dwoisty sens życia dudnił głucho pod skorupą konwencjonalnych „szkolnych” tajemnic. Tę to skorupę rozrywały bezsensowne wyrazy:

„Niech się stanie wszystko. Wszystko zdołam objąć, pokonać, zgryźć i strawić: wszelką nudę i najgorsze nieszczęście. Dlaczego *tak* myślę? Jest to zupełnie banalne i gdyby mi ktoś dawał takie rady, wyśmiałbym go. A teraz mówię to sam sobie jak najgłębszą prawdę, najistotniejszą nowość”. Wczoraj jeszcze słowa te miałyby inne, zwykłe znaczenie — dziś zdawały się symbolem nowych, jakby w zupełnie innym wymiarze roztwierających

się horyzontów. Tajemnica urodzenia i niewyobrażalności świata bez przyjęcia własnego „ja” były jedynymi świetlistymi punktami mrocznego szeregu chwil. Tak się wszystko pokielbasiło. I po co? Kiedy koniec miał być tak... — ale o tym później. Jeszcze wczoraj cała niedawna młodość rysowała się z wyrazistością nadmierną, jak żywa, stająca się bez ustanku terażniejszość. Podział jej nieskończenie drobny uniemożliwiał utworzenie epok, mimo (obecnie pozornie) epokowych zdarzeń. Teraz tajemnym wyrokiem zciemniona i oddalona, zapadała cała ta „wielka” (?) połąć życia w jakąś sferę niezmienności i ukończenia, nabierając przez to znikomego, nieuchwytnego uroku po raz pierwszy tragicznie odczuwanej bezpowrotności przeszłości. Na tym niespokojnym falowaniu zmian, zachodzących jakby w samym medium, w którym odbywało się dawne życie, zmian, które pozostawiały wszystko absolutnie tym samym, a jednak niewspółmiernym ze sobą wczorajszym, sen tylko co przypomniany występował jak płatanina ostra, ciemna, i wyrazista w sylwecie, a zagmatwana wewnętrznie, na obojętnym, wodnisto-przeźroczym, pustką świecącym ekranie terażniejszości. Błyskawiczne rozstąpienie perspektyw, jak kiedy wzrok zmęczony widzi nagle wszystko niezmiernie dalekim, małym i niedosiężnym, a jeden jakiś przedmiot zachowuje naturalną wielkość, przy czym fakt ten nie zmienia jakimś tajemniczym sposobem ogólnej, dającej się łatwo skonstatować, obiektywnej wzajemnej proporcji części w całym polu widzenia. [Zaburzenia w ocenianiu odległości, widzenie przedmiotów w ich rzeczywistej pozornej wielkości, bez współczynnika uświadamianego dystansu, zmieniającego na tle możliwych wrażeń dotykowych, wrażenie bezpośrednie stosunków przestrzennych w dwóch wymiarach. — Mniejsza o to].

Genezyp zaczął przypominać sobie sen w odwrotnym porządku w stosunku do jego naturalnego przebiegu. [Bo sen przecie nigdy nie jest przeżywany bezpośrednio aktualnie w chwili swego śnienia się — *istnieje tylko i jedynie jako wspomnienie*. Stąd dziwny charakter specyficzny najpospolitszej jego treści. Dlatego to wspomnienia, których dokładnie zlokalizować w przeszłości nie możemy, przyjmują to właśnie specjalne zabarwienie sennych marzeń]. Z głębi tajemniczej urojonego świata powstawał szereg zdarzeń pozornie wątplych i nikłych, niby do niczyjej pamięci nie należących, a tak jego, Genezypa, własnych i mocnych jakąś zaświatową mocą, że zdawały się, mimo swej jednoczesnej nikłości, rzucać cień groźny, pełen przeczucia i wyrzutów za niespełnione winy na terażniejszą chwilę pomaturycznej bez troski i złocistego blasku gasnącego wśród purpurowych lasów zimowego słońca. „Krew” — wyszeptał i jednocześnie z wizją czerwonej barwy doznał gwałtownego ściśnięcia serca. Ujrzał ostatnie ogniwo popełnionej zbrodni i dalej jeszcze, tajemniczy jej początek, gubiący się w czarnej nicości sennego niebytu. „Skąd krew — kiedy we śnie jej wcale nie było” — spytał sam siebie półgłosem. W tej chwili zgąsło słońce. Tylko las na stoku Wielkiego Pagóra świecił na blade-pomarańczowym niebie postrzępioną piłą złocisto-gorejących strzał. Świat popiełał w niebieskawo-fioletowej pomroce, a niebo wyjaśniało się krótkotrwałą, płomienistą zimową zorzą, w której jak zielona iskra migotała zachodząca Wenus. Sen występował coraz wyraźniej w swojej anegdotycznej treści, a treść jego istotna, nieuchwytna i niewyraźna, zatracala się w konkretności wspomnianych wydarzeń, dając ledwie znać o jakimś drugim, niedosięglym, znikającym na krańcach świadomości, życiu.

Sen: Szedł jakąś ulicą w nieznanym mieście, przypominającym stolicę i jeszcze jakieś w przelocie widziane włoskie miasteczko. W pewnej chwili spostrzegł, że nie jest sam i że, prócz obowiązkowego w snach kuzyna Toldzia, idzie z nim jakiś nieznanemu, wysoki i barchysty drab z ciemno-blond brodą. Chciał zobaczyć jego twarz, ale zawsze znikala mu ona w dziwaczny, a jednak we śnie zupełnie naturalny sposób, gdy tylko na nią spojrział. Widział jedynie brodę i ona to stanowiła właściwie zasadniczą treść nieznanego „typa”. Weszli do małej kawiarni na parterze. Nieznajomy stanął we drzwiach przeciwnych i przyzywać zaczął Genezypa nieznacznymi ruchami. Zypcio uczuł nieprzewyciężoną chęć pójścia za nim do dalszych pokoi. Toldzio uśmiechał się wszechwiedzącym ironicznym uśmieszkiem, jakby dobrze wiedział o tym, co nastąpić miało i o czym dobrze jakoby wiedział, a jednak nie wiedział nic naprawdę sam Genezyp. Wstał i wyszedł za nieznanym. Tam był pokój o suficie niskim, skłębionym w chwiejne kształty gęstego dymu. Nad nimi przestrzeń zdawała się niezmiernie duża. Nieznajomy zbliżył się do Zypcia i począł go ścisnąć z jakąś niemiłą serdecznością. „Jestem twoim bratem — imię moje

jest Jaguary” — wyszeptał mu cicho w samo ucho, co było połączone z piekielną łaskotką. Już miał się Zypcio (tak go nazywano w domu), zbudzić, ale wytrzymał. Uczuł za to wstręt nieprzewyciężony. Chwycił nieznanego za szyję i począł go giąć ku ziemi, dusząc go jednocześnie ze wszystkich sił. Coś (już nie ktoś), jakaś masa miękka i bezwładna, zwała się na podłogę, a na nią upadł Zypcio. Zbrodnia została dokonana. Czuł przy tym, że Toldzio widzi w nim dokładnie zupełny brak wyrzutów i jedyne wyraźne uczucie: chęć wymigania się z trudnej sytuacji. Zypcio, który mówił Toldziowi coś niezrozumiałego, podszedł znowu do trupa. Twarz była teraz widoczna, ale był to raczej jeden wielki, potwornie bezkształtny siniec, a na szyi, koło *przekłętej brody*, widać było wyraźnie czerwono-sine pręgi od zaciśniętych poprzecznie palców. „Jeśli mnie skazą na rok — wytrzymam — jeśli na pięć — koniec” — pomyślał Zypcio i wyszedł do trzeciego pokoju, chcąc się wydostać drugą stroną domu na ulicę. Ale pokój ten pełen był żandarmów i zbrodniarz z przerażeniem poznał w jednym z nich swoją matkę, przebraną w szary hełm i żandarmski szynel. „Podaj prośbę” — mówiła szybko. — „Sześć cię wysłucha”. I podała mu duży papier. W środku kursywą wydrukowane było zdanie, które we śnie pełne było jakiejś potwornej grozy, a jednocześnie jedynej nadziei. A teraz, wydobyte z trudem z zapadających w mrok niepamięci wspomnień, miało tylko charakter niezdarne baliwernu:

„Mieduwalszczycki skarmią na widok czarnego beata, buwają piecuchy”. Koniec snu.

Mrok stawał się gęstszym, a niebo przybierało głęboki, fioletowy ton, zdający się bezpośrednio utożsamiać z zapachem nieznanych z nazwiska perfum księżnej Ticonderoga, mistrzyni wczorajszego wieczoru. (Potem dowiedział się Zypcio, że była to słynna „*Femelle enragée*” Fontassiniego). Patrząc na zapalające się gwiazdy doznawał wrażenia przykłej pustki. Poprzedni stan: sen zbrodniczy i poczucie jakiegoś niewyczerpanego bogactwa w sobie i poza sobą — wszystko znikło bez śladu. Coś przeszło jak cień, zostawiając nudę, niepokój i jakiś niemily, nie dający się przemienić na nic wzniolejszego, pozbawiony uroku smutek. Pozornie nie zmieniło się nic, a jednak Zypcio wiedział, że zaszło coś niezmiernie ważnego, coś, co może zdecydować o całym jego dalszym życiu. Stan ten był nieścisliwy, opierał się wszelkim wysiłkom zrozumienia — był to blok bez skazy [I czy warto zajmować się tak sobą, żeby potem... A! Ale o tym nie teraz]. Nieznany rachmistrz pomnożył wszystko przez jakiś współczynnik nieokreślonej wielkości. Czemu wszystko jest takie dziwne? Stan metafizyczny bez formy. A tu tak: w Boga nie mógł uwierzyć nigdy (choć zdaje się, że matka właśnie o tym mówiła z nim dawno, dawno temu — nie o Bogu samym jakby, tylko o dziwności. „...Wierzę w Boga, ale innego, niż ten, który jest przedstawiony w dogmatach naszego Kościoła. Bóg jest wszystkim i nie rządzi światem, tylko samym sobą w sobie”). Wtedy to doznał Zypcio uczucia, że świat cały (jako Bóg), jest tylko błękitną wklęsłością chińskiej filiżanki, takiej, jakich szereg stał na dębowym kredensie w jadalni ich domu. Wrażenie to było czymś „*intraductible, irreductible, intransmissible et par excellence irrationnel*”. Trudno. Chrystus był dla niego tylko czarownikiem. Mówił o tym niance swojej w siódmym roku życia i tym doprowadzał staruszkę do rozpacz. Wiara matki przemawiała mu bardziej do przekonania i czuł, że nikogo tak bliskiego mu jak ona w najtajniejszych myślach jego nigdy w życiu mieć już nie będzie. A jednak był między nimi jakiś mur nieprzekraczalny, nawet w najlepszych chwilach. Ojciec, straszny w gniewie i na zimno nieugięty w spokoju, napawał go bezdennym strachem. Wiedział, że razem z matką walczy przeciw jakiejś złej potędze życia, po stronie której jednak zawsze jest słusność. Chciał teraz pójść do matki i poskarżyć się przed nią, że sny są straszne i że w życiu kryją się zasadzki okropne, w które on, bezbronny i niedoświadczony, mimo całej siły, czy prędzej czy później wpaść musi. Gwałtownym nawrotem ambicji pokonał tę słabość i z męską stanowczością obliczył szybko swoje dane: ma lat 18 skończonych — jest stary, bardzo stary — 20 lat to przecie starość zupełna. Tajemnicę poznać musi i pozna — w małych kawałkach, po kolei, powoli — trudno. Bać się nie będzie niczego, zwycięży wszystko, albo oczywiście zginie i to z honorem. Tylko po co, w imię czego to wszystko robić? Ogarnęło go nagle zniechęcenie. Zdanie, to bez sensu dla świata tego, nabierało znaczenia jakiegoś tajemniczego zaklęcia, którym wszystko rozwiązać by można. Szybko zapadał mrok i tylko resztki światła zorzy odbijały się w szklach obrazów, wiszących na ścianie. I nagle tajemnica snu tego i erotycznej przyszłości stała się tajemnicą wszystkiego — ogarnęła świat cały i jego samego. Nie była

to już niezrozumiałość każdej chwili życia z osobna — była to niedocieczona tajemnica całego wszechświata, Boga i wklęsłości niebieskiej filiżanki. Ale znowu nie jako problem wiary czy niewiary, postawiony na zimno. Wszystko to żyło i działa się jednocześnie, a przy tym marzło w nieruchomości absolutnej, zamierało w oczekiwaniu jakiegoś cudu nie do pomyślenia, objawienia ostatecznego, poza którym nie byłoby już nic — chyba sama najdoskonalsza, najcudowniejsza, nie dająca się w żaden sposób wyobrazić Nicość. W takiej to chwili przestał już raz wierzyć tą wymuszoną wiarą, którą wzbudzał w sobie sztucznie przed egzaminami — na żądanie matki — religia nie była przedmiotem obowiązującym. A zresztą usymbolizowana w niebieskiej filiżance wiara matki daleka była od przekonań miejscowego wikarego. Trudno było założyć własną sektę — już nawet tego odechciało się wszystkim. Objawienie zawiodło definitywnie. Odtąd wszystkie religijne praktyki stały się programowym kłamstwem, które zawdzięczał matce — nie mogła dać mu wiary nawet ona — ta jedynie naprawdę ukochana istota. Był to dysonans, który kiedyś w przyszłości również przeważał pewną małą, pozornie mało ważną szalkę. Mimo całej notorycznej cnoty matki, wiedział Zypcio, że kryją się w niej jakieś niezbadane otchłanie, związane z tą ciemną stroną życia, na którą teraz on sam z wolna nieznacznie się przesuwał. I za to pogardzał trochę matką, ukrywając to sam przed sobą. Wiedział, że bliższej istoty nad nią w życiu mieć nie będzie, wiedział również, że musi ją wkrótce utracić i do tego ta pogarda! Nic, psia-krew, nie działa się po prostu — wszystko było pokłębione, poplątane, skielbaszone, jak naumyślnie przyprawiona przez złego ducha piekielna życiowa sałatka. Teraz mu się tak wydawało — a cóż dopiero później! Chociaż może z pewnego punktu widzenia uprościły się potem pewne rzeczy przez to nieznaczne życiowe ześwinienie, któremu chyba jedynie Święci nie podlegają. Bo czy miał prawo nią pogardzać? Jednocześnie dwóch sprzecznych uczuć: dzikiego przywiązania i pogardy, podnosiła całość tego układu do wyżyn nieprawdopodobnego szaleństwa. A jednocześnie wszystko stało w miejscu i nie zmieniało się nic. Przerwać tę wewnętrzną tamę, oddzielającą go od niego samego, zburzyć wszystkie zastawki, rozwalić płotki sztucznie odgraniczające półka szkolnej nauki! Och — czemuż spał tyle czasu! A przy tym dziwnie doświadczona (jak jemu samemu się zdawało) myśl, że w ten sposób (to znaczy na tle takiej przeszłości, jak jego) użyje dwa, trzy, cztery razy silniej... Ale czego? Życie jako takie prawie jeszcze nie istniało dla niego. I wstyd przy tym taki za tę myśl — nigdy tego właśnie matce nie powie, nigdy, przenigdy. Zatrzeszczały stare parkiety w przyległym pokoju i dziecinny straszek zmieszał się w rozkoszny melanz z rodzącą się męską odwagą. Teraz dopiero uświadomił sobie Genezyp, że już przeszło 24 godziny upłynęły od przyjazdu.

Informacja. — Matura odbyła się w zimie. W obawie przed wojną rok szkolny zakończono w lutym. Potrzeba było na gwałt oficerów. W marcu wszyscy spodziewali się nadzwyczajnych wypadków.

Awangardy chińskich komunistów stały już na Uralu — o krok jeden od tonącej w kontrrewolucyjnych rzeziach Moskwy. Omamieni manifestami cara Kiryła chłopcy mścili się potwornie za mimo woli wyrządzone im konieczne zło (— wyrządzone z poczuciem spełnionego dobra —) nie wiedząc, że gotują sobie los stokroć gorszy jeszcze.

Stary Kapen coraz bardziej tracił pod sobą grunt dawnego życia. Nawet nie mógł już być tak srogim jak dawniej, mimo że srogość tę z powodzeniem udawał. Widział już widać potoki, rzeki, morza całe swego świetnego ludzmińskiego piwa, skanalizowane, w określonych kierunkach, znacjonalizowane, zsocjalizowane, — zakłady bez możliwości rozwoju różnych dodatkowych „tricków”, których sam tyle wprowadził, dostawczy po swym ojcu browar w stanie tak pierwotnym, że przypominał raczej coś samorzutnie z ziemi wyrosłego niż pracę rąk i mózgu człowieka. Nudne to było jak piła. Trzeba to było załatwić jakimś „wyczynem” (?), w którym by przerósł mógł samego siebie i uprzedzić dowolnością swego postępowania możliwy przymus sił wyższych.

Zypcio pomyślał o ojcu z niemiłym dreszczykiem w plecach. Czy skończy się wreszcie ta straszliwa władza nad nim, którą znosił już lat 12 świadomie? (Reszta mąk tonęła w mroczniejącym okresie wczesnego dzieciństwa). Czy potrafi przeciwstawić się w sposób ciągły tej łamiącej w nim każdy samodzielny odruch potędze? Wczorajsze doświadczenie

w tym kierunku pozostawiło go wewnątrznie rozdartym, niezdecydowanym. Tak więc zaraz na wstępie oświadczył Genezyp papie, że piwem zajmować się nie będzie, że na politechnikę nie pójdzie i że we wrześniu, o ile wojna nie wybuchnie, zapisze się i pójdzie na wydział literatur zachodnich, do czego już zaczął się w ostatnich miesiącach szkoły gotować. Literatura miała zastąpić w idealnym wymiarze męczącą różnorodność życia — przy pomocy niej można było połączyć wszystko, nie trując się i nie stając się świnia. Tak sobie myślał nieświadomy swoich losów naiwny przyszły adiutant Naczelnego Wodza. Odpowiedzią ojca, mimo całej niewiary w przyszłość, był lekki apoplektyczny atak. Stary nie miał jeszcze jasnej koncepcji co do przyszłości tego ciamkacza — było to w związku z ostatnimi wypadkami i przemianami wewnętrznymi — ale sam fakt synowskiego nieposłuszeństwa mało go nie udusił, jakby jakaś materialna wroga osobistość. Genezyp zniósł to ze stałością godną marabuta. Życie ojca przestało go nagle interesować. Był to obcy jakiś człowiek, zawalający mu drogę, sprzeciwiający się jego najistotniejszemu przeznaczeniu. Po tej scenie ubrał się pierwszy raz we frak (atak nastąpił o siódmej wieczorem — było ciemno już i zadymka szalała wokół ludzimierskiego dworu) i o dziewiątej pojechał saniami na bal do księżnej Ticonderoga. Teraz twarz jej mignęła mu wśród zwojów piwnej nudy, którą odtrącił na zawsze. „Tylko nie stać się figurą z powieści o nieokreślonym człowieku” — wyszeptał Genezyp twardo podczas drogi. Działo się to na małej polance, która kilka razy miała jeszcze odegrać rolę miejsca przemian istotnych. Szepcząc tak nie rozumiał dobrze znaczenia słów własnych — za mało miał doświadczenia. Nieomylny instynkt samoobrony (głos Dajmoniona) działał niezależnie od inteligencji, ale w jej rejonach. Twarz księżnej — nie, raczej maska zdjęta z twarzy tej w chwili maksymalnego napięcia płciowego szału — oto był ten tajemniczy cyferblat, na którym miała ukazać się godzina próby i rodzaj przeznaczenia w jakichś jemu tylko wiadomych znakach. Już coś widział tam przecie, coś mającego się. Jak odcyfrować te symbole, jak tu się nie pomylić, nie wiedząc dosłownie nic.

Informacja: Wojna antykomunistyczna stworzyła dziwnie paradoksalny stan wszystkich narodów, które wzięły w niej udział. Teraz wszyscy uczestnicy mieli chroniczną rewolucję bolszewicką u siebie, a w Moskwie właśnie „szalał” Biały Terror z byłym Wielkim Księciem, a obecnie „Carem” Kyrilem na czele. Polska za cenę straszliwych pozornych wysiłków paru ludzi (jednym z nich był obecny minister Spraw Wewnętrznych Dyament Kołdryk) (w istocie zupełnie coś innego wpłynęło na powodzenie ich słynnej misji) zachowała neutralność i nie przyjęła udziału w przeciw-bolszewickiej krucjacie. Wskutek tego nie miała jeszcze u siebie rewolucji. Jakim cudem wszystko trzymało się jak na włosku, nikt na razie powiedzieć nie umiał. Wszyscy czekali teoretycznego przynajmniej rozwiązania tego problemu od uczniów szkoły profesora Smolo-Paluchowskiego, twórcy „podwójnego systemu wartościowań społecznych”. Przekonał się on bowiem, że uczonej socjologii dzisiejszej, nie starający się o świadomy dualizm, jako wstęp do dalszego, świńskiego po prostu pluralizmu, mógł być tylko „une dupe des illusions” obiektywizmu i wyrażać jedynie steoretyzowaną magmę poglądów danego społecznego odłamu. Istotą praktyczną tego systemu, który właśnie uczniowie ci szeroko rozbabrali, była naukowa organizacja pracy — rzecz nudna sama w sobie jak opowiadania starca o dawnych dobrych czasach. Dzięki niej jednak trzymało się wszystko w jakiej takiej kupie, ponieważ ludzie, oglupiali mechanicznością swych czynów, przestawali powoli rozumieć, w imię czego je spełniali, utożsamiając się między sobą w „opupieniu” i bezideowości. Szła jakos praca, ale co to było *au fonds des fonds*, nikt nie wiedział. Idea państwowości *jako takiej* (i innych wynikających stąd złudzeń) dawno przestała być wystarczającym motorem najprostszych nawet poświęceń i rezygnacji z indywidualnej świnioowości. A jednak wszystko szło jakąś tajemniczą inercją, której źródła daremnie doszukać się chcieli ideolodzy *pozornie* rządzącej partii: Syndykatu Zbawienia Narodowego. Wszystko działo się *pozornie* — to było istotą epoki. Kobiety na tym szybko amerykanizującym się gruncie swoistego prymitywu inteligentniały przerażająco, w stosunku do ogłu-

pionych pracą mężczyzn. Rzadka u nas dawniej „*précieuse'a*” spadła w cenie wskutek ogromnej podaży — to prawda — pojedynczo tak. Ale masa ich nadawała umysłowy ton życiu całego kraju. Pozorni ludzie, pozorna praca, pozorny kraj — przewaga bab nie była pozorną. Był jeden człowiek: Kocmołuchowicz — ale o tym później. A do tego skomunizowani Chińczycy tuż za bezwładną, zdeorganizowaną, wyludnioną Rosją. „Doczekaliśmy się” — powtarzali drżąc ze strachu i wściekłości różni ludzie, lubiący choć trochę dobrobyt. Ale na dnie cieszyli się bardzo, choć nieszczerze. Oni zawsze mówili, że tak się stanie. „Bo żebyśmy nie mówili...” I co z tego?

Teraz po przebudzeniu się wczorajszy wieczór wyrósł Zypciowi ponad niego samego jak złowrogi nierówny, czarny miraż, piętrząc się z drugiej strony dawnego, sennego życia, wylewając się w zdeformowanych kształtach do tej jego połowy, czy w ogóle części, która zaczynała się właśnie na tle najdziwniejszych przemian dziejowych, porównywalnych jedynie z samym początkiem rewolucji rosyjskiej. Tamto było „*declanchement*” — teraz naprawdę ludzkość przewalała się na drugą stronę swej historii. Upadek Rzymu, Rewolucja Francuska zdawały się dziecinnymi igraszkami wobec tego, co miało nastąpić teraz. Teraz — ta właśnie chwilka, która ucieka i nie wróci — ta chwilka wyciśnięta asymptotycznie przez pokrywające się ogonami i głowami skończone w czasie zdarzenia metodą Whiteheada. „Teraźniejszość jest jak rana — chyba żeby zapelnąć ją rozkoszą, to może...” — tak mówiła z niewinnym uśmiechem księżna Ticonderoga, chrupiąc migdałowe ciasteczko, to samo w istocie swej, co on — poczucie tego samego smaku, idei tego smaku rozłożonego na dwie zwierzęce mordy — [miał wczoraj wrażenie, że wszyscy są poprzebieranymi bydlętami, co dalekie od prawdy nie było,] — skondensowało w nim poczucie terażniejszości, jednoczesności i tożsamości, od której wszystko zdawało się pękać. Nic nie mieściło się w sobie. Ale czemu dopiero teraz? Och — jakież to nudne — „temu”, że właśnie pewne gruczoły siknęły wydzieliną w wewnętrzny miąższ organizmu, zamiast puszczać to zwykłymi kanałami. „Czyżbym zawdzięczał to oczom tego starego pudła” — pomyślał o księżnej Irinie, wiedząc, że popełnia *straszna* niesprawiedliwość, że niedługo przyjdzie mu się kajać (tak, kajać — jakże nie cierpiał tego słowa!) przed swoją dla niej miłością, że będzie jej to mówił — *to właśnie jej!* — (wstrząsnął się z poczucia obrzydliwej, zwierzęcej, z lekka niepachnącej poufalości, do której przyjść kiedyś musi), to właśnie, z tym okrucieństwem młodości, które burzy ostatnie resztki wysychających soków w trupiejących pół-starcach i staruszkach. Oczywiście nie rozumiał całego swojego wstrętne uroku: on — „*Valentino-obraznoje suszczestwo*” — jak nazwała go wczoraj księżna, za co się tak strasznie na nią oburzył — on, z krótkim, tak prostym, że aż prawie zadartym, małym, mięsistym, rozdwojonym, a nic nie rozplaskanym przy tym nosie, o twardo zarysowanych, esofloresowato wywiniętych, ale przy tym nic nie murzyńskich, ciemno-krwawych wargach — nie był bardzo wysoki (jakie 185 cm), ale cudownie proporcjonalnie zbudowany, zawierał w sobie potencjalnie całe morze cierpień nieznanych mu obecnie bab. I nieświadomie cieszyły się już tym wszystkie komórki jego zdrowego jak byczy jezior ciała. Dusza unosiła się nad tym olimpijskim igrzyskiem komórek (innego słowa na to nie było) z lekka koślawa, anemiczna, troszkę nawet potworkowata, a nade wszystko nierozwinięta zupełnie — nic o niej nie można było powiedzieć — chyba może jakiś psychiatra i to dobry — może taki Bechmetiew? Ale coraz mniej było na szczęście różniczek społecznych tego typu i nawet scałkowanie ich wszystkich w danym miejscu i czasie nie wpłynęłoby już na wypadkową biegu wypadków. A więc znowu: jeszcze wczoraj spał w tamtym dawnym szkolnym życiu, jeszcze nawet na tym wieczorku, gdzie jak mu się zdawało, reprezentował bądź co bądź, zupełnie mimo woli, całą piwną potęgę baronów Kapenów de Vaház, obecnie Ludzimierskich — a dziś? Sam nie lubił piwa, a poczucie siebie samego jako pasożyta na życiach nieszczęsnych (tak po prostu) robotników, nawet tonących w takiej sztucznej polskiej na amerykański sposób „*prosperity*” i udoskonalonych w swej mechanizacji do absurdu, ciężkie było aż do bólu. Jedyną ekspiacją byłoby oddanie się jakiejś pracy nic z tym wszystkim wspólnego nie mającej. Już wybrał literaturę, jako zawierającą w sobie całość życia, a tu — trach! — ojca trafiał szlag. Teraz przekonał się, że wcale nie kochał tego osławionego wielkiego piwowara — („króla słodu” — jak go nazywano) — to jest w porównaniu oczywiście do bolesnej i aż

do obrzmienia nudnej miłości do matki. Nie — żyć męką (choćby nieświadomą) zapracowanych czort wie po co w ten sposób pseudo-ludzkich półbydła — nie będzie. [Ach jakże łatwo byłoby zrobić z nich świetliste duchy! Ale trzeba na to idei — no i pewnego obciążenia tych odpadków dawnej giełdy, które błąkały się jeszcze aż brudne i śmierdzące od interesów po zakamarkach nędzy polskiego ducha, tego przez wielkie *D* (mimo że o nim tyle gadano)]. Co najwyżej może dostawać jakiś procent (mały kompromis już) — matka też i siostra (maska kompromisu). Dobrze jest za wszelką cenę uniknąć sprzeczności ze sobą samym po „przebudzeniu się”. Ale dziś postanowienie to nabrało innej wagi — objęło śpiącą przeszłość, zbudziło w niej echa niebyłych wyrzutów, zachwiało pewne stałe punkty jak: dom, rodzina, matka, i osobno od domu piętnastoletnia siostra (której dotąd prawie nie zauważał), lniano-włosa Lilian. Między innymi cała szkolna nauka rozwiła się, jak gdyby nie była szkolną, porządną, jedyną prawdziwą nauką, tylko bzdurą, która mogła być taką lub inną, albo nie być nawet wcale. Już zaraz — trochę cierpliwości, a zacznie się życie: świństwa, wypadki, ciekawe przeżycia i pornografia. Ach dosyć — na czym-że u diabła polegała ta zmiana. Niepokój w dolnej części brzucha, budzący się w związku ze spojrzeniem wszechwiedzących, podobnych do turkusowych gałek w świńskiej oprawie, oczu księżnej — (Genezyp miał oczy orzechowe — wspaniały kontrast) — lekkie upokorzenie na ten temat — on miał być funkcją takich głupstw! Do dziwności niższego stopnia w porównaniu z minioną chwilą należały wspomnienia tego wieczora, teraz dopiero układające się w jakąś pozornie przynajmniej zrozumiałą łamigłówkę. Jak w jakimś przyspieszonym kinie mignęły mu obrazy i w postaci ciemnych, przelatujących jak pociski przez gąszcz znaczeniowej sfery, piguł, przesunęły się też rozmowy. O jakże inaczej pojmował ich sens w tej chwili.

WIECZÓR U KSIĘŻNEJ TICONDEROGA

Niebieskooki sęp na ogromnej kanapie i rączka dziwnie miękka, jakby nieprzyzwoita w swej miękkości („gdyby ona, tak jak Toldzio kiedyś w lesie próbował w te dni niezapomniane...” — mignęło coś niejasno. — „Ach, więc to tędy płynię”). Aż do bólu wstydliva i bezwstydną rączka, wszechwiedząca, jak i oczy. Czego bo się ona w życiu już nie dotykała — a co jeszcze było przed nią w tej sferze. Już mówił:

— Właśnie zdałem przyspieszoną maturę. Czekam na przyszłość, jak na pociąg na małej stacyjce. Może będzie to zagraniczny ekspres, a może zwykły osobowy gruchot, który skręci na jakąś lokalną linię małych zagmatwań. —

Oczy jej, jak oczy sowy, obracały się, a twarz była nieruchoma. Czuć było w niej cały „żał za beznadziejnie uciekającym życiem” — pod takim tytułem walca wykonał przed chwilą wyfraczony, brodaty, długowłosy, z lekka garbaty i jak garbus zbudowany, długopalczasty, kulawy (z powodu na wpół uschniętej nogi), Putrycydes Tengier, lat czterdziestu dwóch, genialny, oczywiście nieuznany oficjalnie kompozytor.

— Panie Putrysiu — niech pan gra dalej. W muzykę zawiniętą chcę oglądać duszę tego chłopca. Cudny jest tak, że aż wstrętny w tym swoim wewnętrznym zaniedbaniu — mówiła księżna tak nieprzyjemnie, że Genezyp o mało jej w twarz nie uderzył. — Ach, gdybym to zrobił — odwagi nie mam — zaskowyczał w nim dziecinny głosik. Fotele puchły, chłonąc innych gości, którzy zdawali się zanikać i rozplýwać we mgłę. A był tam ten wielki czciciel Onana, kuzyn Toldzio, już od dwóch lat marnujący się w szkole dla młodych dyplomatycznych głuptasiów. Był sam Ticonderoga, od środka zgrzybiały, ale zewnętrznie zawieszisty i zwalisty starzec i mnóstwo dam z sąsiedztwa z córkami i synkami, i jacyś wiecznie podejrzani i niepojęci w istocie swej bankierzy i byznesmani — jeden prawdziwy król giełdy w dawnym stylu, obecnie unikat tego typu, na wątrobowych wywczasach. Używać musiał krajowych źródeł, a tam w „prawdziwych” tarzali się bolszewicki dygnitarze całego świata! Żaden bowiem „większościowy” Polak nie miał prawa wjazdu do wszechświatowej „*cultural reality*” — mógł żyć złudzeniami, ale tylko u siebie. Była też pewna sierota, daleka kuzynka pani domu, Eliza Bałachońska, podobno nawet jakaś tam księżniczka. Było to pozornie bardzo niepozorne stworzenie — jakieś blond-loczki, jakieś zwrócone do środka oczka i rumieniec koloru jesiennej zorzy. Tylko usta, usta... Genezyp nie mógł jej nawet zauważyć istotnie swymi narządami poznania życia w ich obecnym stadium rozwoju. A jednak coś w nim drgnęło tam, w tym ośrodku

przeczuć, w którym kłębiła się potencjalnie przyszłość, ciemna, może okropna. „Oto jest żona dla mnie” — rzekł w nim ten głos proroczy, którego tak bał się, prawie nienawdził. A tam tymczasem, w gronie trochę przerażonych i ubawionych kobiet, młody (27 lat) Sturfan Abnol, powieściopisarz, krzyczał prawie na tle dzikiej muzyki podbitego z lekka Tengiera.

— ...ja mam się popisywać z moją znajomością życia przed tą publicznością, którą pogardzam, do której obrzydzenie czuję, jak do robaków w zgniłym serze? Przed tą ohydłą gawiedzią ogłupioną przez kino, dancing, sport, radio i kolejowe biblioteki? Ja mam dla ich zabawy pisać takie właśnie kolejowe romanse, żeby żyć? A niedoczekanie ich (czuło się wyraźnie, że ledwo się wstrzymywał, aby nie zakląć ohydnie — słowo „skurwysyny” wisiało w powietrzu), tego plemienia prostytutów i platytudów! — Zachłystywał się pianą wściekłości i oburzenia.

Informacja: Specjalnością księżnej byli niedoceniani artyści, których nawet częstokroć materialnie wspomagała, jednak nigdy o wiele powyżej tzw. punktu „nie-zdechnięcia-z-głodu”. Przestali by być bowiem w takim razie niedocenionymi. A znanych ludzi tej sfery i uznanych cierpieć wprost nie mogła, uważając ich nie wiadomo czemu za żywą obrazę najistotniejszych jej uczuć rodowych. Lubiała sztukę, ale nie mogła znieść jej „rozpanoszenia się”, jak mówiła. Dziwne było to zdanie na tle zupełnego prawie zaniku artystycznej twórczości w ogóle. Może u nas właśnie coś tam tlało jeszcze, na tle nienormalnych, sztucznych stosunków społecznych, ale w ogóle — pożałuj się Boże!

— Nie — nie będę ich błaznem — piał dalej zapieniony Sturfan. „Zachliobywat-sia” i pluł jadem. — Będę pisał powieści, kiedy już w sztuce, *prawdziwej sztuce* nic do zrobienia nie ma — ale powieści *me-ta-fi-zy-czne!* Rozumiecie? Dostyc już tego parszywego „znawstwa życia” — zostawiam to wyprutym z talentu podglądaczom miernoty i odtwarzającym ją z lubością. Bo czemu to właśnie robią? Bo nie mogą nikogo wyobrazić sobie ponad siebie samych. Nie mogliby stworzyć typów wyższych i zdobyć się wobec nich na ten, tak zwany przez krytycznych pasożytów, „pogodny, ten pseudo-greccki uśmiech pobłażania” z wysokości niedosiężnej twierdzenia, że wszyscy są świnię i ja też, i przebaczam to im i sobie też. Do cholery już raz z tą całą Grecją i tym odgrzewaniem pseudo-klasycznych rzygowin. A nie! — To to się u nich, tych krytykonów, tych tasiemców i trychin w ciele konającej sztuki, nazywa obiektywizmem i oni śmiały przy tym wspominać Flauberta! Nie — tu ten pseudo-obiektywny, to jest świńsko-uśmiechnięty, ogólną popolitością zbabrany autor wałęsa się sam osobiście między stworzonymi — ha — to się nazywa twórczością: to podpatrywanie przez dziurkę od klucza tych, których podpatrzeć się może — wyżsi ludzie, o ile są w ogóle, tak łatwo podpatrzeć się byle komu nie dadzą, więc jakże tu ich opisać? Tak — otóż autor wałęsa się jako jeden z całej kompanii, pije z nimi „na ty”, sam pijany niezdrową manią nikomu niepotrzebego poniżania się, zwierza się niegodnym nawet siebie swoim bohaterom — i to się nazywa obiektywizmem! I to się nazywa społecznie wartościową literaturą — ukazuje się wady różnym draniom, tworzy się sztuczne papierowe pozytywne typki, które nie są zdolne przekabacić negatywnego wyniku na płaski zresztą optymizm, opierający się na ślepotę. I taką hołotę chwala...! — Zakrzuszył się i pozostał chwilę w pozie pełnej rozpacz, po czym zaczął pić na nowo.

Po szalonym końcowym bębnieniu zerwał się od zmęczonego Steinway’a spocony, z pomiętym gorsem i rozwichrzonymi a jednak skołtuniałymi włosami, Tengier. Jego oczy płonęły kolorem „bleu électrique”. Nie panując nad sobą zbliżył się chwiejnym krokiem do księżnej. Genezyp siedział tuż obok — już zaczynała się w nim przemiana. Teraz wiedział, kto mu pokaże dalszą drogę życia. „Chociaż kto wie, czy nie wolałbym z tamtymi” — pomyślał niejasno na tle mglistego obrazu zabronionej mu przez ojca, niewyobrażalnej nawet w przybliżeniu oficjalnej rozpusty. Coś się rwało w nim jak kawał płótna — tylko pierwsze pociągnięcie było bolesne (czyniły to jakieś łapy zwierzęce w nim samym, zaczynając od tak zwanego „dołka”, a potem dalej, aż po niższą część brzucha, tam...), potem szło to już coraz prędzej z niebezpieczną łatwością. W tej chwili stracił dziewictwo, a nie jutro, jak to potem sobie wyobrażał.

— Irina Wsiewołodowna — mówił Tengier, nie zwracając na Genezypa żadnej uwagi. — Ja muszę wrócić do pani, nie jako pokorny substytut erotyczny z dawnych czasów, tylko jako zdobywca. Niech pani raz puści mnie tam, do tej zamkniętej komnaty — raz — a potem na zawsze cię zdobędę — zobaczysz. Nie pożałujesz tego. Irina Wsiewołodowna — jęknął boleśnie.

— Niech pan wraca do swojej chamki. — (Później dowiedział się Genezyp, że żoną Tengiera była młoda jeszcze i przystojna góralka, z którą ożenił się był on dla pieniędzy i chałupy. Zresztą podobała mu się nawet trochę z początku). — Wie pan przynajmniej, co to jest szczęście, i niech to panu wystarcza — szeptała dalej księżna, uśmiechając się przy tym uprzejmie. — A dla muzyki pana, to lepiej, że pan cierpi. Artysta, *prawdziwy* artysta, a nie przeintelektualizowany młynek, mielący automatycznie wszystkie możliwe wariacje i permutacje, nie powinien bać się cierpienia.

Genezyp poczuł w sobie jakiegoś okrutnego polipa, który czepiał się ścian jego duszy, lepkich i zaognionych i pełzył wyżej i wyżej (w kierunku mózgu może?), laskocąc przy tym wszystkie nieczule dawniej miejsca, rozkosznie i niemiłosiernie. Nie — on nie będzie cierpiał za nic. W tej chwili poczuł się starym rozpustnikiem, takim jak ojciec Toldzia, brat jego matki, hrabia Porayski — taki „galicyjski” jeszcze — okaz zachowany z niepamiętnych czasów. Kiedyś marzył, aby być takim zblazowanym draniem — teraz, mimo że żadnych danych ku temu nie miał, obraz takiej przyszłości przejął go wstrętnym lękiem. Czas pędził jak wściekły. — Jak de Quincey pod wpływem opium, przeżywał teraz Zypcio setki lat ściśnięte w sekundy, niby w sprasowane szalonym ciśnieniem pigułki skomprimowanego trwania. Wszystko było już nieodwołalnie postanowione. Wierzył, że może z niczego stworzyć siłę, którą opanuje tego babiego potwora, dyskretnie rozwalonego przed nim wspaniałym ruchem na kanapie. Wiedział, że ona jest starowata, mimo dziewczynkowatego chwilami wyglądu — trzydziestu ośmiu do czterdziestu lat — ta właśnie nieświeżość, ta wszechwiedza tego przepięknego babiszona podniecały go w tej chwili aż do nieprzytomności. Ani się opatrzył, a już był po tej zakazanej dotąd przez ojca stronie życia. A przy tym zimna myśl: musi być złym mężczyzną.

Tengier najwyraźniej wahał szerokim, obrzydliwym nosem, pochylając się nad obnażonym ramieniem księżnej. Był niesamowicie odrażający, a jednak czuło się w nim skrępowaną siłę najprawdziwszego geniusza. Wydał się Zypciowi w tej chwili psem na łańcuchu z dawnych lat. Ale tego psa nie chciałby spuścić — nie — właśnie niech się męczy — była w tym wstrętna, zbrodnicza, aż mdląca jakąś tajemniczą ohydą, niepachnąca rozkosz. (Sama obecność tej kobiety wydobywała ze wszystkich to, co było w nich najgorszego, najplugawszego. Roili się od potworności, jak ścierwa od robaków). A wszystko to pod maską artystycznego wieczorku z okazami błaznów, dla zabawy „najlepszego” towarzystwa. I nawet Zypcio, tylko co jeszcze niewinne dziecko prawie, już był takim kandydatem na rozkładającego się psychicznego trupa, dla uciechy niesytego babskiego ciała. Dawny chłopczyk, czysty i dobry, tłuł się w nim rozpaczliwie jak motyl za szybą, chcąc uciec od oczekujących go okropności. Rozkosz! Być bydlęciem bezpamiętnym człowieczej godności, wpajanej mu a) przez ojca na wakacjach, b) przez panią Czatyrską, podupadłą arystokratkę o książęcych pretensjach, u której mieszkał na stacji, c) przez profesorów i d) specjalnie wzniosłych, ponurych kolegów, których mu dobrał na żądanie papy sam dyrektor. Och — ta człowieczość nudna i blada, narzucona mu z góry — jakże jej nienawidził! Miał jakąś swoją godność własną, niczym nie gorszą w jego mniemaniu od tamtej. A musiał ją ukrywać, bo „tamci” by ją zdeptali, zatłamsili w zarodku. Ta jego godność była wcieleniem buntu: wszystkie psy spuścić z łańcucha, rozpedzić robotników ojca, podzieliwszy między nich całe piwo, wypuścić wszystkich więźniów i wariatów — wtedy mógłby iść przez świat z podniesioną głową. A tu nagle zaprzeczenie tego wszystkiego w postaci tej bezwstydnego baby i rozkosz w tym zaprzeczeniu właśnie. Ale czemu ona była symbolem odwrotności dawnych, własnych i narzuconych ideałów? Czyż mógłby od niej „dowiedzieć się o życiu”, pozostając tamtym? Okropne, ale rozkoszne — nie było na to rady.

Wzburzona od samego dna, nawarstwiona przedtem sztucznie pod ciśnieniem szlachetności (ta prosta, nie dająca się opisać zupełnie) i idealizm (wiara w jakieś bliżej nieokreślone „rzeczy wyższe”, które oznaczało środkowe kółeczko w schemacie „jaźni” własnego pomysłu), napotkały tamę wyczelowanej osobiście i od wieków kobiecej zwie-

rzęcości, najeżonej różnorodną płciową bronią, jak pancernik lub twierdza armatami. Jednak u podstawy wszystkich początków czegokolwiek bądź w jego życiu był ojciec, ten opasły piwowar z siwymi wąsiskami *à la polonaise*. Mógł przecie nie pozwolić mu pójść na ten „Kinderbal”, jak nazywał wieczorki u księżnej. Nie — on sam pchał go w ten gomon rozpusty i użycia, sam go do tego namówił, jak tylko poczuł się lepiej po „szlaku”. Może tym chciał go odciągnąć od wymarzonej literatury? Ale znowu czyż on mógł być autorytetem, gdy mówił o przodującym stanowisku swego narodu w pochodzie cywilizacyjnym (ale za cenę wypełnienia pewnych warunków: organizacji pracy, wyrzeczenia się socjalizmu, powrotu do religii, oczywiście katolickiej), jak mógł dziś uważać się za kogoś wybranego na tle tego, co działo się na świecie całym, on, niepomierne używający życia pseudo-wojewódzki starzec, wyrosły jak grzyb potworny na bagnie nędzy i krzywdy swoich robotników, których wysysał maksymalnie, według zasad tej właśnie naukowej organizacji, wmawiając im, że za 200 lat osiągną fordowski dobrobyt, który *tam* dawno się już skończył. (Okazało się, że ludzie nie są znowu tak wielkim bydłem i że bez idei żyć im trudno. I pękła cała ta osławiona Ameryka, jak olbrzymi, okropny wrzód. Może i gorzej im było potem na razie, ale wiedzieli przynajmniej, choćby na krótko, że nie są automatami w rękach takich samych automatów, tylko trochę mędrszych. A zresztą czy tak czy inaczej wszystko się skończy tym samym, to jest zupełną mechanizacją — chyba, że stanie się cud). [Nie mógł znieść Zypcio widoku tych robociarzy bez obrzydliwych dreszczów i mdłości w dolnych bebechach. (A jednak kto wie czy i w tym nie było czegoś erotycznego. Erotomania? Nie — tylko nie trzeba chować głowy pod poduszkę, gdy zbóje rzną sąsiada). Oto teraz snuli się na drodze, wiodącej od kompleksu fabryk do pałacu w błękitnej pomroce gasnącego zimowego wieczoru, przerywanej fioletowymi snopami światła lukowych lamp. Bezmierny smutek niepokodzonych nigdy sprzeczności: indywidualnego i gatunkowego istnienia, powiał na niego od tego widoczku (jakby z jakiejś pocztówki nie z tego świata) i osiadł na przypomnianych znowu słowach młodego literata, Sturfana Abnola].

— ...nie będę błaznem — powtarzał wtedy pijany Abnol z uporem. — Robię to tylko dla tajemnych celów mego własnego wewnętrznego rozwoju. Zatruty jestem od rzeczy niewypowiedzianych, które tylko pisząc powieść uświadomić sobie mogę. One to rozkładając się w moim mózgu wytwarzają ptomainy niejasności, lenistwa i bezwładu. Muszę zobaczyć, co jest poza tym, a to, że to czytać będzie banda dzisiejszych, niegodnych prawdziwej twórczości, pół-zmechanizowanych bydląt z pretensjami na pół-bogów i paru może mądrych ginących ludzi, których pewno osobiście nie poznam, co to mnie, *mnie* obchodzić może?! Ja nie mam zamiaru być tym wytwórcą wzmacniających zastrzyków dla zdychających narodowych uczuć, czy degenerujących się społecznych instynktów tych wymierających robaków na resztkach zgniłego ścierva wspaniałego bydlęcia z dawnych wieków. Ja nie chcę opisywać tych ludzi przyszłości, od których wieje pustka bydlęcego zdrowia. Co o nich w ogóle ktoś naprawdę inteligentny powiedzieć może — o tych, co jak szpada w pochwę czy klejnot w futerał wchodzi w swoje przeznaczenie. Idealnie dopasowana do narzędzia funkcja nie jest niczym psychologicznie ciekawym, a powieść epicka jest dziś fikcją bezpłodnych grafomanów. A najciekawsze jest *absolutne* (!) niedopasowanie człowieka do funkcji istnienia. I to występuje tylko w epokach dekadencji. Tam to widać dopiero metafizyczne prawa bytu w całej ich nagiej okropności. Mogą mi zarzucać, że robię ludzi bez woli, próżniaków, analityków niezdolnych do czynu. Mogą się innymi typami i nawet ich tropikalnymi awanturami czy sportem zająć ludzie mniej ode mnie inteligentni. Ja nie będę opisywał tego, co byle dureń zobaczyć i opisać potrafi. Ja muszę sięgnąć w niewiadome, w sam najistotniejszy podkład tego, czego powierzchwnie durnie widzą i opisują bez trudu. Ja chcę zbadać prawa historii świata nie tylko tu, ale wszędzie, gdzie są myślące stworzenia. Nie mam ambicji opisanie całości życia, bo ta całość nudna jest, jak nudnym jest wykład teorii Einsteina, tego ostatniego wielkiego twórcy w fizyce, dla mojej kucharki. —

Tengier przestał wachać ramię księżnej i sprężył się cały, akcentując potworność swojej pół-karlej budowy.

— A jednak będziesz błaznem, Sturfanie Abnolu — rzekł olbrzymiejąc ponad całym tym salonem w gigantycznej wizji swojej własnej przyszłości. (Nawet księżna Irina Wsiewołodowna poddała się temu i ujrzała go nagle innym: jakby w jakimś hyper-bajzlu

wszechświatowej metropolii na piramidzie gołych i (innych) cudownie ubranych dziewczynek, w chwale wynalazcy nowego narkotyku, po wyczerpaniu wszystkich kokain, peyotłów i apotransformin. Ona u jego nóg (z których jedna była sucha — (o niej to o tej nodze mówili wrogowie, że przynajmniej mniej będzie śmierdział ten potwór, jeśli mu ją obetną)) — (on też był goły) nóg włochatych, wykręconych, o wstrętnych stopach żaby. Na kolanach i brzuchach przed nim tarzali się w ostatnich drgawkach szалу wyznawcy-nałogowcy jego jadu).

Informacja: Wszystko to była gruba przesada. Już prawie nikt sztuki nie potrzebował. Rządcy maniacy utrzymywali ten snobizm w pewnych ograniczonych kółkach z niesłychanym wysiłkiem.

On, dobroczynny truciciel ginących widm, stał uśmiechnięty diabelsko, przepojony tryumfem i sławą, którą wypełniona była przestrzeń dookolna aż po brzegi. W nieskończoność szły fale eteru, czy też rozprzestrzeniały się prostopadle magnetyczne pola (wszystko jedno — i to mało kogo obchodziło z wyjątkiem paru ginących teoretycznych fizyków), niosąc w międzyplanetarną, wymarłą przestrzeń fale dźwięków, dobyte z jego mrocznej, brudnej duszy za późno sycącego się życiem starszawego pana — raczej chamowatego pół-panka. Tengier mówił dalej do zapadającego w zupełną prostracę pisarza:

— Nic cię od tego błazństwa nie uchroni, choćbyś całkiem inaczej o sobie myślał. Czy to jest prawdą o tobie, co sam sobie wyobrażasz, czy to, czym jesteś faktycznie w splotach kłębiącej się według transcendentálnych, metafizycznych praw, społeczności. Artyści byli zawsze błaznami wielkich świata tego i takimi pozostaną, dopóki choćby takie odpadki tej wielkości walać się będą po świecie, jak tu obecni we własnym pałacu księstwo Ticonderoga. (Księżna zamarła w najwyższym zadowoleniu swych ambicji. Lubiała odwagę towarzyską swoich gości „niższego” gatunku. Pyszniła się ich impertynencjami — kolekcjonowała je, zapisując w swoim „dzienniczku”, jak nazywała ten stek najbezwstydniejszych samiczych wywnętrzeń). — Możesz sobie wyobrażać, że piszesz dla swego pogłębienia, a społecznie jesteś tylko saltembankiem, rozweselającym znudzone nasyceniem wszystkich pragnień dusze tej byłej elity, a dziś hołoty, która u nas jeszcze utrzymuje się jakimi cudem na wierzchu, jak brudna pianka na rwącym nurcie wstającej nowej ludzkości. Ja tylko zdaję sobie z tego sprawę i innym być bym nie mógł, a ty...

— Ja nie chcę znać społeczeństwa. Muszę żyć w tym błocie, ale też izoluję się od niego — krzyknął znowu w nagłej pasji Abnol. — Chyba, żeby to było społeczeństwo idealne, a nie nasza zakłamana demokracja. Może tam na Zachodzie lub w Chinach... —

— Więc nie społecznie, jeśli już chcesz koniecznie, ale istotnie — poza własnymi złudzeniami w każdym razie — w odniesieniu do wieków przyszłych. Nie trzeba czekać Sądu Ostatecznego — za 200 lat każdy z nas będzie tym, kim jest — bez pięknych sukienek, bez różnych ozdóbek, bez których żyć by nie mógł, bez osobistych uroków —

— Szczególniej pan, panie Putrysiu — wtrąciła jadownicę księżna. Tengier nie spojrział nawet na nią.

— Wiadomo będzie, co zdziałał tym swoim osobistym urokiem. A zresztą to wcale nie jest złe nawet w sferze sztuki, nie mówiąc już o życiu działaczy, zdobywców i tym podobnych przemieniaczy realnych wartości. O — gdybym ja nie był garbusiem o wyschniętej na patyk nodze... —

— Wiemy wszyscy, jak pan stara się udowodnić sam przed sobą siłę swego ducha i dźwiękowych kombinacji. Ale to trochę nieczysta sprawka z tą siłą ducha właśnie. Gdyby nie emocjonalne działanie samych dźwięków... —

— Mówi pani — (Tengier nigdy nie tytułował utytułowanych) — o tych tak zwanych uwiedzionych przeze mnie bubkach. — (Homoseksualizm był od dawna już dozwolony i bardzo stracił przez to na sile). — O tych efebach, którzy zastępują mi całe moje zawiedzione życie? — rzekł Putrycydes brutalnie, jakby się wyrzygał na wspaniały ruszczucki dywan. — Tak — nie potrzebuję się ukrywać. — Mgła potęgi lubieżnej przesłoniła mu twarz — był prawie piękny. — To mój jedyny tryumf, kiedy ja, wstrętny kaleka, bez cienia prawdziwego pożądania, plugawię jakieś czyste, piękne...

— Dosyc.

— I kiedy taki pójdzie potem do swoich dziewczynek — ja jestem już ponad tym i wtedy mogę się zapaść w mój świat czystej konstrukcji dźwięków, gdzie jestem po-

godny jak sam Walter Pater, poza tą wstrętną seksualną ponurością, poza przypadkiem chwil takich, a nie innych — jestem w bezjakościowym państwie absolutnej konieczności w dowolności! Bo cóż jest straszniejszego, jak ta godzina od drugiej do trzeciej popołudniu, kiedy nic ukryć przed sobą nie można i naga okropność metafizyczna przebija jak kiel zwaliska codziennych złud, którymi staramy się zabić bezsens życia bez wiary... O, Boże! — Zakrył pysk rękami i zastygł. Przerażeni goście kiwali głowami myśląc: „co też to musi się dziać w tym włochatym łbie, tuż obok nas?” A jednak mało kto nie zazdrościł Tengierowi tego, choćby urojonego, nie dającego żadnych dochodów niepojętego świata, w którym on żył sobie „ot tak”, swobodnie, jak oni na tej męczącej nawet dobrobytem wyspie spóźnionego pseudo-faszystowsko-fordowskiego galimatiasu. Księżna gładziła Tengiera po głowie, zapatrzona w swoją starość. Nagle coś się jej przekreśliło. Znała takich chwil tysiące i bała się ich obłądnie.

Genezyp nie rozumiał w istocie nic, ale bebechy jego darły się dalej w nieskończoność. Pił pierwszy raz w życiu i dziwne rzeczy zaczynały mu się dziać w głowie i całym ciele. A wszystko jednak było jak na obrazku — „*intereslose Anschauung*”. Chwila oderwana od przeszłości i przyszłości, wyjęta spod sądu zaszczerpionych mu ideałów-nowotworów, wygięta lekko, podawała się zadem w nieskończoność — tam był jeszcze ktoś osobowy, jakiś młody bóg (a chwila ta, to była księżna) — „tęcza była mu przy pasie, księżyc obok nóg” — Miciński, *Izis*. Piekielna „fajda” nieodpowiedzialności — nagle zrozumiał ostatnie słowa Tengiera — „konieczność w dowolności” — cóż za głębia była w tym powiedzeniu. „To ja, to ja” — szeptał radośnie. Widział samego siebie jakby po drugiej stronie rzeczywistości za rzeką jakąś, niby Styksem z rysunku Doré’go. Był doskonały w swej skończonej piękności, a w rzece pływały utopione ziemskie żądze, jak krwawe flaki. [Ale to wszystko nie było jeszcze to, co teraz]. Stało się. Żałował swojej nieświadomości, kiedy było już za późno na wszystko. Zateśknął do szaleństwa za *naprawdę* nieodpowiedzialną epoką dziecinnej dyscypliny i swojej niepowrotnej jednolitości. A jednocześnie jakby ostatnia skorupa fałszu i obłudy spadła z ojca jego (może konał tam teraz na apopleksję?) i nagi pęd, nieprzyzwoity jak szparag czy młody bambus, wydobyl się z mokrego, parującego gnojowiska. To on sam był tym bogiem w oddali i tym pędem głupim — stał się dwoistym, „odtąd i na zawsze”. Wszystko to poczuł znowu od środka: dziwność była w nim samym — świat: salon, panienki, stara rozpustnica (jej uśmiech ostry szaleństwem żalu za niepowrotnym kobiecym słoństwem, za panowaniem nad tymi „głupio-mądrymi koczokodanami” [inaczej w myślach mężczyzn nie nazywała]) *to wszystko było w nim*. Zupełnie zwątpił na sekundę w realność tej całej fantasmagorii — był sam i było mu rozkosznie. Nie wiedział, że jakieś panienkowane oczy wpatrzone są w niego, że widzą wszystko i że chcą go ratować — były to oczy Elizy. Wobec bestialskich jego przemian wewnętrznych było to jak ukąszenie komara w zmiażdżoną łydkę. Gdyby tylko mógł odwrócić się teraz od oczu tej baby i spojrzeć w tamten kąt koło fortepianu — całe życie wyglądałoby inaczej. „Jednak to jest upokarzające — to przeznaczenie zawarte w jakiejś babie — bo oczywiście to są niższe stworzenia” — tak by pomyślał jeszcze pięć lat temu, kiedy to uciekł od pocałunków jakiejś przewrotnej pokojówki, o czym zupełnie zresztą zapomniał. Nie mógł pomyśleć tak teraz. [Ale czymże były te pijane wrażeńka wobec obecnej chwili przebudzenia. Teraz dopiero zdawał się wiedzieć wszystko, a ileż chwil takich, coraz wyższych (czy niższych? — to zależy od charakteru całości splotu, od jego wykładnika w sferze etyki) stopni wtajemniczenia w misterium świata, miał jeszcze przed sobą?]

A księżna zwróciła na niego oczy, wszechwiedzące w rozkoszy i w męce i oblizła go całego tym wzrokiem: był jej. „To ona wprowadzi mnie w to” — pomyślał ze strachem i nagle poczuł koło siebie matkę jak żywą, jakby tu przy nim stała, broniąc go przed tą zwyrodniałą, starowatą nadsamicą. Przecież ta ukochana mama jest czymś zupełnie podobnym do tego potwora — jeśli nie aktualnie, to potencjalnie. Mogłaby być taką rozpustnicą — i co wtedy? „Nic — kochałbym ją tak samo” — myślał dalej z trochę wymuszonym dżentelmeństwem. „A jednak szczęście, że tak nie jest”. Poczuł zazdrość matki i tajemnicę straszliwą macierzyństwa — to, że ona ma do niego jakieś prawo — ale nie było w tym nic z uczucia wdzięczności. Mimo wszystkich tych pozornych związków on spadł skądś przypadkiem (tym najstraszniejszym, bo koniecznym — oto tajemnica) na ten świat i nikt nie jest za to odpowiedzialny — nawet matka —

a tym bardziej ojciec. Źródło jego istnienia, ten ciąg zawiłych tragedii tyłu ciała i duchów niezgodnych ze sobą i między sobą (i to wszystko dla wytworzenia takiego wyrodka) stał się na chwilę zrozumiałym. „Tym właśnie miałem być, raz na wieczność całą — takim właśnie, albo wcale.” Miał intuicję bezsilności pojęcia przyczynowości wobec istnienia: poczucie statystyczności całej fizyki i „pochodności” pojęcia przyczynowości psychologicznej z dwóch źródeł: konieczności logicznej i fizjologii, w granicy sprowadzalnej do fizyki. Ale o tym nie *wiedział* — miał się dowiedzieć nieco później. A zaraz obok śmierć — najwyższa sankcja osobowego istnienia. Tylko za tę cenę... Dalej myślał o matce: „Gdyby była umarłą, obroniłaby mnie — żywa nic nie pomoże. Znadto jest ludzka, codzienna, niedoskonała i grzeszna w kościelnym znaczeniu. Przecież ona musiała coś takiego robić z ojcem... Brr...” Zrozumiawszy tę straszłą prawdę, niedzielną, jak mu się zdawało, uczył się dumnym. I już jako „starszy” poddał się tamtemu mrokowi i zmieszany powiedział jej: (oczami tylko) — „tak”. I strasznie się zawstydził, wstrętnie po „chłopięcemu”, niegodnie. A ona, odwracając się do tamtych, oblizła wargę ostrym, różowym kocim językiem w tryumfie. Kute na wszystkie kopyta, lubieżne babsko wiedziało już, że zdobycz jest jej. I wzdrygnęło się jej mądre ciało, już w myśli odbierając dziewictwo temu ślicznemu, valentinowatemu chłopczykowi. Nawet Sturfan Abnol, który dawno przestał być jej kochankiem i pokonał ją (raczej jej erotyczną wiedzę) zupełnie, doznał raptownego wstrząsu niższych warstw. Gdyby mógł mieć ją teraz, od razu, z tym uśmiechem, pożądaną tamtego, beznadziejnie zimną — och, to byłaby rozkosz! Ale szybko przeszła mu ta mała, nagła chęć. Za to Tengier był w płciowej rozpaczce zabrany jak w gnojówce. „I stworzyć taką siłę wpierw, by móc żyć całkiem bez tych ścierw” — bąknął wierszyk jakiegoś młodego hyper-realisty bez talentu, jednego z tych, co łączą słowa syndetikonem deformacyjnej perwersji w stosunku do sensu, a nie natchnieniem. Zamajała mu w pamięci pustelnia kniazia Bazylego, z tych czasów, kiedy to „świeciejszy” uznawał jeszcze narkotyki, nie doszedłszy do tego ostatniego, którym jest mistycyzm. Mistycyzm, a nie religia. „Religia jest najgłębszą prawdą. A te wszystkie jej pochodne to już nie wiara, tylko omamianie słabych dusz, niezdolnych do patrzenia oko w oko własnej ich metafizycznej pustce. To już nie to. I niektórzy wiedzą o tym i trują się świadomie przez sflaczenie ducha, brak woli do prawdy i strach przed bezsensem, który odkrywa wszelką ostateczną prawdę, jeśli go nie zakrywa szczelnie granicznymi pojęciami. Ale na luksus pojęć granicznych nie każdy sobie pozwolić może”. Tak mówił kiedyś do Bazylego Tengier. A jednak była to rozkosz, kiedy daleko, daleko poza seledynem rozciągał się bezkresny kraj „Czarnego Placka”... Tak nazywał się ów ląd, na którym zdawała się lądować bezprzestrzenna w granicy jaźń, po przepłynięciu groźnego, ale skończonego oceanu zupełnej nicości — to było cudem. Tam dojechali z trudem ostatniego razu dwa lata temu, zużywwszy we trzech — trzecim był logistyk Afanasol Benz vel Bęc — litr eteru. Ale bezpłodność tych światów na krańcach świadomości, te przyjemnościowe jedynie przejażdżki w krainę zaktualizowanej nicości i absolutnej, *prawie* metafizycznej samotności i niemożność zużycia ich dla swoistej, zamkniętej sfery samokonstruujących się dźwięków, zniechęciły Tengiera do tego zakazanego zresztą procederu. A żona przy tym prała zdrowo po włochatym pysku, gdy zionął z niego na drugi dzień wstrętnym zapachem jałowej trucizny. Tak to z dwóch niewspółmiernych powodów wyrzekł się Tengier ostatniego z narkotyków wyższej marki i został przy starym, dobrym alkoholu — ten działał na twórczość bezpośrednio, był nawet zapładniający, poza kolosalnym ułatwieniem technicznym, doprowadzaniem do zgęstnienia nieuchwytniej wizji muzycznej. Nie darmo mówił o Putrycydesie pewien moskiewski hyperkonstruktywista: „*etot Tengier piszet kak choczet*” — nie było takiej wizyjnej kombinacji dźwięków, której by ten zamknięty w małej pastylce metafizyczny wulkan nie rozłożył na zrozumiałe rytmicznie i głosowo symbolizm. Ale i to miało przejść niedługo w sferę niepowrotnych cudów — życiowe nasylenie złamało ten wspaniały talent, rosnący proporcjonalnie do dysproporcji między żądzą, a jej spełnieniem. Księżna miała rację, jak wszystkie „*précieuse’y*” jej epoki.

Genezyt urznął się nagle do utraty zmysłów. Coś mówił z księżną, coś jej obiecywał — działały się rzeczy niewymierne, nawet gdyby mogła istnieć „psychiczna miara Lebesgue’a”, możność zróżniczkowania ostatnich, najdrobniejszych wykrzywień psychiki ludzkiej. Świat zdawał się pękać od samonienasyconości ostatecznej. Darły się w strzępy

„kawały duszy”, które roznosił w nieznane strony płomienny wir alkoholu, zmieszanego z chłopczykowatym mózgiem. W pewnej chwili Zypcio wstał, wyszedł jak automat z pokoju, ubrał się sam i wybiegł z pałacu. Czas był najwyższy. Rzygał strasznie. Za chwilę mroźna zadymka krupowa owionęła go na Krupowej Równi. Ale jeszcze nie zbudził się tego wieczoru — jeszcze nie pojął ostatecznej grozy niepowrotnych chwil.

Ojciec umierał nad ranem. Mógł jeszcze pożyć dwa do trzech dni. Stała się rzecz okropna, tylko nie wiadomo dla kogo, dla jakichś ciotek może: zanim stary umarł, przestał istnieć dla Genezypa kompletnie.

Wiatr wylł i gwizdał, okręcając piwowarski pałac lotnymi warkoczami rozwydrzonej „baby-kurniawy”. W ciemno-zielonym gabinecie starego Kapena była tylko pielęgniarka, panna Ela. Genezyp pocałował pulchną łapę umierającego ojca bez najmniejszego wzruszenia.

— Ja wiem, że ty musisz zostać jej kochankiem, Zypciu — wysapał stary. — Ona cię nauczy życia. Widzę to po twoich oczach — możesz nie kłamać. Niech cię Bóg zachowa w swej opiece, bo nikt z żyjących nie wie, co ta gadzina naprawdę myśli. Piętnaście lat temu i ja byłem jedną z jej wielkich miłości, kiedy brylowałem na dworze naszego nieodżałowanego króla. [Miała Polska kilkoletnie królestwo, ale bardzo nieistotne. Jakies Bragançe, czy coś tam takiego. Wyrzucono to jak śmiecie].

— Panie baronie: spokój — szepnęła Ela sugestywnie.

— Milcz, waćpanna — uosobienie śmierci. Wcielona nicość jest ta Ela. Wiem, że umrę, ale wesoło idę na ten mostek, bo równie dobrze wiem, że z tej strony nic już nowego mnie nie spotka. Użyłem życia — nie każdy to powiedzieć może. I w ekspansji i w kumulacji — jednym słowem twórczość — ot co. Ten wyskrobek mało mi się udało, ale po śmierci jeszcze go przetrząchnę, na miły Bóg: pekeflejsz z niego zrobię.

Genezyp zmartwił. Pierwszy raz widział ojca nie jako tego groźnego, bliskiego, kochanego — zaciekle, przez zaciśnięte zęby kochanego starca — tylko jako zupełnie kogoś innego, nieznanego, prawie obojętnego przechodnia — to było najważniejsze. A jednak był dlań w tej chwili o wiele sympatyczniejszym. Teraz mógłby zostać przyjacielem ojca lub zniechęcić go na wieki, albo obojętnie odejść. Był on dla niego obcym panem, iksem, za które wszystko podstawić można. Patrzył na niego Zypcio z niezmiernej odległości, którą stwarzała nadchodząca śmierć, pierwsza śmierć w życiu.

— Więc papuś mi przebacza i mogę robić co chcę — spytał Zypcio prawie z tkliwością. „Wiedzenie” tego, że ojciec był kiedyś kochankiem księżnej, zbliżyło go do niego, ale jakoś nieładnie i wstydliwie.

— Tak — rzekł stary Kapen i z pewnym wysiłkiem zaśmiał się okrutnie, bestialsko i zielone jego oczki mignęły w faldach tłuszczu zimnym rozumem i piekielną, nosorożcowatą złośliwością. Potworny starzec z dawno zapomnianego snu: jakieś jałowce, w których w podwieczornym mroku syczał przejmujący wiaterek i zbierał w nich chrust starzec o niewidzialnej twarzy — tylko brodę można i dozwolonym było widzieć — reszta była nie z tego świata. Wiedział stary, co robi, puszczając syna wolno, ale i on się nawet przerachował. Cała ochota na literackie studia odpadła Genezypowi natychmiast. Stał psychicznie nagi, trzęsący się z zimna, niewyspania, przepicia i pod-erotycznej gorączki. Przyszłość, wielokierunkowa, wichrowata, zawałała mu widok na obecną chwilę, która zmalęła, jakby widziana przez odwrotny koniec lunety, znikła prawie pod ukrytym sensem grozy, zawartej w potencjalnie pożeranych już nadchodzących wypadkach.

— Dowidzenia z ojcem, muszę iść spać — rzekł twardo i niegrzecznie i wyszedł.

— A jednak moja krew — szepnął z zadowoleniem, nieomal że z tryumfem, papa do panny Eli i zapadł w przedśmiertną drzemkę. Niebieskawy świt zatulony w pędzące tumany śniegu wstawał za obłymi wzgórzami ludzimierskiego kraju.

Informacja: Polityczne tło tego wszystkiego było chwilowo zbyt dalekie. Ale coś sunęło z mrocznych gór niewiadomego, jak lodowiec. Małe, śpieszne, nie mające tyle czasu co on lawinki tworzyły się po bokach, ale nikt nie zwracał na nie uwagi. Mężów stanu wszystkich partii, które ztraciły swoją dawną odrębność w ogólnym, *sztucznym*, pseudo-faszystowskim bezideowym *au fond* dobrobycie, ogarnęła nieznana dotąd w kraju szerokość poglądów i bez troska, granicząca już z jakimś zidioceniem na wesoło.

Ruchomy mur chiński potężniał i rósł, rzucając złowrogi, żółtawy cień na całą resztę Azji i na Zachód. Dwa cienie — skąd pochodziło światło, nie wiedział nikt. Nawet Anglicy, rozbici na zbolszewizowane państewka, przekonali się nareszcie, że nie są jednym, jednolitym narodem. W ogóle poza Polską o narodach nikt nie mówił. Ostatnie wyniki antropologii były z tym zresztą w zgodzie.

Kapen myślał niejasno: „Atak sklerotyczny, wylanie się krwi na jakiś tam wzgórek mózgowy — cóż pomoże wyjaśnienie? Jestem innym zupełnie człowiekiem. I gdybym w tym stanie pożył jeszcze dalej, to może bym zsocjalizował fabrykę, to jest: zrobiłbym z niej kooperatywę, a Zypcia puścił na zwykłego robotnika. Sam bym został może jakimś podmajstrzym. A kto wie, czy jeszcze tego nie zrobię — to jest pierwszego — nie ostatniego. Przesiumię się i zrobię nowy testament. Nie umrę w tym śnie na pewno!” [Ale jeszcze na ten temat miały mu przyjść inne myśli: ten dziwny jego przyjaciel Kocmołuchowicz, generalny kwatermistrz armii, co się w jego żonie jako pannie (obojętnej teraz jak pniak) kochał — i to jak]. „Złagodniałem psia-krew zupełnie” — marzył dalej. — „Dobrze, że umieram — wstyd byłoby żyć, nie wstydząc się swego upadku. Ale jako umierający mogę sobie jakąś „zdrową sztukę wykinąć”. Zawinał się w całe swoje życie, odbarwione, wyblakłe i dalekie, jak w tę kołdrę we fioletowe kwiaty. Jednocześnie zawinał się w obie te istności i zasnął z odwagą, z wiarą, że jeszcze raz choćby zobaczy ten świat. I z rozkoszą myślał, że jest mu to zupełnie obojętne, czy się obudzi jeszcze jutro i pojutrze.

Genezyp poczuł w sobie złą siłę. Jednak musiał, przynajmniej dotąd, żyć tak, jak mu nakazywał już inny teraz, ale działający z głębin przeszłości automatycznie, jak maszynka jakaś popsuta, ojciec. Działał mimo tej „inności” — to było dziwnym nad wyraz, ale jeszcze nie w tym stopniu jak wszystko, absolutnie wszystkim było teraz, po tym dzisiejszym przebudzeniu się. Jasność bezimienna rozprzestrzeniała się tak szybko na coraz inne, dalsze krainy ducha, jak światło słońca pędzące za uciekającym cieniem gnanego wiatrem obłoku. I wtem przypomniał sobie, że w stanie maksymalnego opijania tuż przed wyjściem, umówił się z księżną na schadzki o drugiej w nocy. Przeraził się, że aż tak daleko zabrnął. „Teoretycznie” znał przecie wszystko — to płciowe „wszystko” niewinnego ucznia ósmej klasy, ale nigdy nie spodziewał się, że ta teoretyczna wiedza może z taką łatwością zająć się o rzeczywistość i to w takich wymiarach. Wszystko stanęło nagle jak wryte czy wkopane w ziemię — cała przeszłość była aktualnie tu przed nim jak na patelni, pozbawiona czasu, zastygła. I chwila obecna zakrzepła także w tym gąszczu bez trwania, jak nóż wbity w brzuch wroga. Niby mały strumyczek „szemrało” gdzieś między zwaliskami życia, ale to potęgowało tylko niesamowitą nieruchomość wszystkości. Zdawało się, że cały świat zatrzymał się w biegu, patrząc się w siebie wytrzeszczonymi z przerażenia oczami. „Nic o nic nie zapyta w swym własnym pustym grobie” — tak pisał ten „zabroniony” kolega. I nagle „coś” popuściło i poszło wszystko znowu w szalonym, przez kontrast z poprzednią nieruchomością, pędzie, jak rzeka gruchocąca lodowe zapory kry. Przepływanie zatrzymanego jakby poprzednio czasu stało się męką nie do zniesienia.

— Nie wytrzymam tego sam — rzeki Genezyp półgłosem. Przypomniał mu się znowu włochaty pysk Tengiera i jego oczy, gdy mówił wczoraj o muzyce. — Ten musi wiedzieć wszystko i on wyjaśni mi, czemu wszystko jest właściwie nie tym, a jednak jednocześnie tak bardzo jest *tym* właśnie — pomyślał i postanowił zaraz iść do Tengiera. Owładnął nim nieprzewyciężony niepokój i potrzeba ruchu. Zjadł szybko podwieczorek (taki dawny, dziecienny, gdy tu takie rzeczy...) i wyszedł z domu, nieświadomie prawie kierując się w stronę Wielkiego Pagóra, gdzie wśród lasów żył ze swą rodziną Tengier. Znał tego człowieka od wczoraj zaledwie i nie wiadomo czemu on właśnie zdawał mu się najbliższym ze wszystkich nowo poznanych osób, mimo iż nie czuł do niego wcale jakiejś szczególnej sympatii. Wierzył, że on jeden może zrozumieć jego stan obecny i coś mu może poradzi.

WIZYTA U TENGIERA

Szedł potykając się, zapatrzony w niebo, na którym odprawiało się codzienne (nie każdorazowe oczywiście) misterium gwiazdzistej nocy. Astronomia taka, jaką nauczył się ją pojmować w szkole, nie przedstawiała dla niego wielkiego uroku. Horyzont i azymut, ką-

ty i deklinacje, skomplikowane wyliczenia, precesje i mutacje nudziły go okropnie. Krótki zarys astrofizyki i kosmogonii, zagubiony w nawale innych przedmiotów, był jedyną sferą, wzbudzającą lekki niepokój, graniczący z bardzo pierwotnym wzburzeniem metafizycznym. Ale „niepokój astronomiczny”, tak bliski niekiedy wyższym stanom, wiodącym do filozoficznych rozmyślań, codzienny dzień usuwa w dzisiejszych czasach szybko, jako niepotrzebny nikomu zbytek. Idąc teraz, Genezyp miał wrażenie, że patrzy w nocne niebo po raz pierwszy w życiu. Dotąd było ono dlań, mimo wszelkich wiadomości, dwuwymiarową płaszczyzną, pokrytą mniej lub więcej świecącymi punktami. Mimo poznania teorii, uczuciowo nie wychodził nigdy poza tę prymitywną koncepcję. Teraz przestrzeń dostała nagle trzeciego wymiaru, ukazując różnice odległości i nieskończone perspektywy. Myśl rzucona z szaloną siłą okrążyła dalekie światy, starając się przeniknąć ich sens ostateczny. Wiadomości nabyte, leżące w pamięci jak bezwładna masa, zaczęły teraz wydobywać się na wierzch i grupować koło pytań postawionych w nowej formie, nie jako zagadnienia umysłu, ale jako krzyk przerażenia wszechtajemnicą, zawartą w nieskończoności czasu i przestrzeni i w tym pozornie prostym fakcie, że wszystko było właśnie takim, a nie innym.

Nad trzema wapiennymi wieżami Troistego Szczytu unosił się jak olbrzymi latawiec Orion, ciągnąc na swym ogonie rozszalałego Syriusza. Czerwona Betageza i srebrzysto-biała Rigel trzymały straż po obu bokach Łaski Jakuba, a przestrzeń pruć na ostrzu bledsza od nich Bellatrix. Między Plejadami i Aldebaranem dwie gwiazdy-planety świeciły spokojnym, nierozedrganym światłem: pomarańczowy Mars i ołowiano-sinawy Saturn. Ciemny zrab grani, ciągnącej się od Troistego Szczytu ku północnej baszcie Suchego Zadku, odcinał się wyraźnie niby grzbiet przedpotopowego jaszczura na tle świetlnego pyłu Mlecznej Drogi, zapadającej prostopadle za horyzont. Genezyp patrząc w gwiazdy doznawał zawrotu głowy. Góra i dół przestały istnieć — wisiał w straszliwej przepaści, amorficznej, bezjakościowej. Uświadomił sobie na chwilę aktualną nieskończoność przestrzeni: wszystko to istniało i trwało w tej właśnie sekundzie, którą przeżywał. Wieczność wydała mu się niczym wobec potworności istniejącej w nieskończoności czasu całej nieskończonej przestrzeni i istniejących w niej światów. Jak tu pojąć tę rzecz? Coś niewyobraźnego, co narzuca się z absolutną ontologiczną koniecznością. Ta sama tajemnica ukazała mu znowu swą twarz zamaskowaną, ale inaczej. Ogrom świata i on metafizycznie samotny — (trzeba by tworzyć z kimś jedność) — bez możliwości porozumienia się — (bo czymże są pojęcia wobec straszności bezpośrednio danego!?) — mimo wszystko w poczuciu samotności tej była jakaś bolesna rozkosz. I w tej samej chwili uczył się małym w nieskończonej płataninie wszechświata — nie małym w stosunku do obszarów nocnego nieba, tylko małym w swoich najgłębszych uczuciach: do matki i księżnej.

Genezyp szedł teraz z głową zwieszoną w dół i z rozpaczą słuchał skrzypienia śniegu. Bezpłodne chwile padały w przeszłość, pławiąc się w cierpieniu. Zmęczyły go już gwiazdy z ich niemą pogardą i porozumiewawczym mruganiem. Czuł niechęć do wszystkiego, nawet do rozmowy z Tengierem, ale włókł się dalej bezwładem poprzedniego postanowienia. Droga szła w górę przez las świerkowy. Drzewa pokryte okiścią zdawały się wyciągać potworne białe łapy zakończone czarnymi pazurami, odprawiając nad nim jakieś tajemnicze zaklęcia. Przez ciemne gąszcza światło gwiazd przedzierało się chwilami, ostre i niepokojące, jak ostrzegający przed niebezpieczeństwem sygnał. Kiedy na wzgórzu za lasem błysnęły jaskrawo-żółte światła w domu Tengiera, Genezyp przekonał się nagle, że chwila ta jest zwrotnym punktem jego życia, że od tego, jak przeżyje ten wieczór, zależy cały łańcuch dalszych wypadków, w pewnym uniezależnieniu nawet od zewnętrznych możliwych konstelacji. Poczul dziką siłę możliwości dowolnego kierowania rzeczywistością bez względu na nic — niech się góra na niego zawali — wygrzebie się — tylko nie popuścić tej uciekającej chwili. Kontrast pajęczynek poruszających stalowe bloki i wały — kapryśny układ chmurki wieczornej, będący wyrokiem dla istnienia lub śmierci całych narodów (deszcz w wilię bitwy pod Waterloo). Ale wszystko idzie od przypadku, od Wielkich Liczb, ku świadomemu kierownictwu i on będzie cząstką tego prądu, a nie zdeorganizowanym flakiem, kamykiem zaplątanym między zębate koła. „Złudzenia pseudo-indywidualizmu, bujającego jak mały złośliwy nowotworek na rosnącym bezwładnie cielsku społeczności, w momencie ostatecznego spęknięcia dziejów” — tak by powiedział logistyk Afanasol Benz.

Genezyp zmierzył się wzrokiem z pałającymi oknami chałupy, jakby z czymś wrogiem, a mimo to drogim i bliskim, co jednak przezwyćzionym być musi, i wszedł do ogromnej sieni, oświetlonej małą dziwną lampką. Palta i futra Tengiera, wiszące na wieszadłach, przejęły go jakąś zabobonną trwogą. Nie wiadomo czemu wydały mu się czymś niezmiernie potężnym i złowrogim, potężniejszym w swej ilości i bezruchu od samego jedyne go ich właściciela. Tajemnicza nieruchomość ubrań tych wyrażała jakby niezliczone możliwości dających się dokonać czynów, podczas gdy Tengier sam zdawał się być tylko chwilą przepływającej osobowości, nikłej, pozbawionej wszelkiej siły i ciągłości.

Posłyszał teraz dopiero dźwięki fortepianu dochodzące z odległego pokoju. Muzyka niewidzialnego człowieka spotęgowała jeszcze wrażenie jego tajemniczej potęgi. Genezyp wstrząsnął się dreszczem niepokoju i trwogi i uderzył w gong wiszący na drzwiach na lewo od wejścia. (O, jakże wszystko miało być zupełnie innym! — załkały z bezsilnej rozpaczki dobre duszki opiekuńcze, w które nikt nie wierzył). Dźwięki fortepianu rozwiały się w metalicznym przewlekłym grzmocie i po chwili we drzwiach ukazał się Genezypowi, znany mu jakby od niepamiętnych czasów, potworny, włochaty pysk genialnego bydlęcia.

— Proszę — rzekł Tengier groźnym, rozkazującym głosem. Zypcio wszedł i owionął go gorzki zapach leśnych ziół. Przeszli dalej. Ogromny pokój, pokryty czarnym puszystym dywanem, oświetlała lampa z różnokolorowym abażurem. W kącie na prawo stała olbrzymia rzeźba, przedstawiająca głowę jakiegoś wielkoluda, do której przyczepiony był mały pokraczny duszek.

— Może przeszkadzam? — spytał onieśmielony Genezyp.

— Właściwie tak — a może i nie. Może lepiej, że przerwałem pewną improwizację. Niedobrze jest bezprawnie prześcignąć samego siebie. Mówiąc otwarcie nie lubię młodych ludzi w pańskim wieku. Nie mogę za nich brać odpowiedzialności wobec pewnych rzeczy, które... — ale mniejsza z tym.

— Ach, tak: mówiliście państwo o tym tego wieczoru. Ale ja nie rozumiem...

— Milczec! Byłem pijany. A zresztą (— zmiękł nagle i pomniejszył się o nieskończoność w psychicznych wymiarach —) bądź moim przyjacielem. Ja odpowiedzialności żadnej nie biorę — powtórzył uroczyście. — Będę ci mówił „ty”. — Genezyp skręcał się z niesmaku. Ale czuł, że poza tą chwilą ukrywa się coś, za co warto zapłacić choćby nawet przemieszczającym wstrętem do samego siebie. — Przy tym nie zapraszałem cię zupełnie — przeciwnie, bronilem się przed tą wizytą — byłeś pijany — nie pamiętasz. — Umilkł, namyślając się jakby nad czymś niezmiernie przykrym, wpatrzony w pogmatwane desenie wschodniego dywanu na ścianie. Genezyp uczył się dotkniętym.

— W takim razie — zaczął głosem, drżącym od wewnętrznego zranienia.

— W takim razie siadaj. Dostaniesz kawy. — Genezyp usiadł na kanapie pchnięty jakąś niepojętą siłą. — Widocznie miałeś jakiś cel ważny przychodząc tu, jeśli cię nie odwiodła szalona ilość złego fluidu, nagromadzonego wokół mojej osoby. — Wszedł do sąsiedniego pokoju i słychać było, jak sam krząta się koło maszynki. Po chwili siedzieli już przy stoliku, na którym dymiły się herbaciane filiżanki niezbyt subtelnie pachnącej, ale za to bardzo mocnej i słodkiej kawy. — A więc — spytał Tengier na tle ciszy, przerywanej tylko dalekim, „teśknym” dźwiękiem dzwonka od sanek. Genezyp przysunął się do Tengiera i wziął go za rękę (tamten drgnął). Po co czynił to? Po co kłamał? Czy to on był właśnie tym, który *tak* postępował? Bez wątpienia nie — a jednak... O — straszna jest komplikacja niektórych osobników. Te warstwy obcych osobowości, te ukryte szufladki, te skrytki o zgubionych kluczach — nie zna ich nikt, nawet sam delikwent... Na tle poprzedniego szczerego stanu metafizycznej ciekawości i nadziei, że Tengier rozwiąże wszystkie wątpliwości jednym zdaniem, działo się teraz coś życiowo-obrzydliwego, obcego i z niczym niewspółmiernego. A przy tym takie to było wstrętne swojskie, jakby już dawno... *Wszystkiemu winien był Toldzio*, który mu wczoraj z detalami zreferował całą tę historię. Już wtedy ogarnęło Genezypa niezdrowe podniecenie. Ale Toldzio nie był winien teraz, tylko dużo dawniej. I on, ten naiwny chłopczyk postanowił nagle oszukać Tengiera i udąć jego ofiarę aż do „ostatniej chwili”, to znaczy do samego momentu gwałtu. Musi zdemaskować przed sobą dziwną potęgę tego człowieka, musi ją posiąść, wchłonąć w siebie, uczynić ją swoją własnością. On — ten ambitny chłopczyk to myślał — nie-do-uwierzenia prawie: on miał żyć czymś kradzionym, on, który chciał wszystko sam wynaleźć od początku, on, który wstydił się uczyć w szkole rzeczy zrobio-

nych przez innych. „O — gdybym mógł całą matematykę napisać od samego początku, wtedy byłbym matematykiem”. Wszystko to zbłysnęło się w jednym zdaniu. Mówił je lekkomyślnie, wesoło prawie, a dla Tengiera była to jedna z najważniejszych możliwości mrocznego tryumfu nad jego własną brzydota. Kto wie (no kto?), czy te chwile nie były istotniejsze dla jego muzycznej twórczości, niż wszelkie naprawdę przyjemnościowe i upokarzające niedociągnięciem „miłostki” normalne. (Zwymiotować można od słowa „miłostka”. — Wiele jest słów w polskim języku, które jedynie w cudzysłowie są „gebrauchsfähig”, np. „dziarski”, „junacki”, „swada”, „werwa”, „wnikliwy”, „poczynania”, itp. słowa „wstydlive”).

— Nie boję się pana zupełnie. Jestem zupełnie obojętny, ale jeśli pan chce, może pan się nie krępować. Jestem niewinny, tak zwany „prawiczek”, ale wiem wszystko i czuję w sobie fatalną siłę gubienia wszystkich, do których się zbliżę. — (Tengier zapłonął nagle ohydny ogniem — prawie prawdziwy był ten wybuch w stosunku do dawnych udanych). Głupie to było ponad wszelki wyraz, co Zypcio mówił. Ale zadowolony był z siebie, że on, ten nic nie wiedzący świeży maturzysta, może tak demonicznie błagować i oszukiwać tego wszechwiedzącego jakby się zdawało garbusa. Czy to nie było już działaniem galek z błękitnej emalii, w które wpatrywał się zbyt może długo wczoraj. Sam o tym jeszcze nie wiedział.

Tengier chcąc zbadać koeficjent „obrzydliwości” swego nowego przyjaciela — („wstrętności”, „ohydności”, — nie ma na to wyrazu, ani odpowiedniej transformacji końcówki) — po prostu chcąc sprawdzić, jak łatwo jest obrzydzić Genezypowi siebie i swoje machinacje, pocałował go nagle w usta swymi szerokimi, pachnącymi (raczej nie pachnącymi) surowym mięsem, czy zwierzęcym pyskiem, ustami. O, jakież to było obrzydliwe! Uciekać, nic nie udawać, nie znać jego, ach — móc nie znać nawet tamtej kobiety — och, móc zwymiotować wszystko i kochać jakąś małą, biedną, swojską panienkę. I nagle jedna zimna myśl i zobiektywizowane obrzydzenie, unieszkodliwione, jak żmija z wydartymi zębami, „stało” już daleko, niby ból złamanej nogi po morfinie. „Dla poznania tych tajemnic warto coś przecierpieć”, pomyślało w nim obce stworzenie bez serca, sumienia i honoru. Odtąd hodował w sobie stale tego potworka i pisał dziennik — (był to ten dziennik, który wydał Dr. Wuchert w r. 1997 pt. *Zapiski schizofrenika* i stał się przez to sławnym. Posądzano go o autorstwo.), będący właśnie opisem jego (tego potworka) przeżyć. Genezyp zmarł, poddając się biernie pierwszemu pocałunkowi w usta. Tengier mlaskał dalej, ale nie znajdując oporu przestał nagle — to nie podniecało jego ambicji.

— Niech pan... to jest: przebaczyć Zypciu. Ten wybuch ma inne jeszcze znaczenie. Miałem brata, którego bardzo kochałem. Umarł na to samo choróbsko, — [Czemu tak powiedział? Było w tym jakieś kłamstwo.] — które ja przezwyciężyłem. *Osteomyolitis scrofulosa*. Ale jestem kaleką. Ale zawsze marzy mi się koniec wspaniały, w którym użyję za wszystkie czasy. Ale miłości właściwie nie znałem i nie poznam chyba nigdy. Ale ty tego nie rozumiesz. Ale czy wiesz, co to znaczy. —

Wstręt dusił Genezypa tak, jakby zawałowało się na niego nigdy nie myte, śmierzące, spocone cielsko wielkości tego całego domu. Jeszcze wstrętniejsze zdawały mu się słowa Tengiera, niż ten ohydny pocałunek. A jednak poczuł dla niego współczucie, większe daleko niż dla umierającego ojca. Wziął go za ramię i uściśnął.

— Niech pan powie mi zaraz wszystko od początku. Przecież pan jest żonaty. Mówiła mi wtedy księżna, że żona pana jest piękna.

— To nie jest żadne małżeństwo. To jest jedna wielka zbrodnia z torturami. Ja nawet mam dzieci. Moja choroba nie jest dziedziczna w trzecim pokoleniu. Adolf Tengier będzie zdrowym człowiekiem i użyje życia za ojca, a nawet za stryja. Ninon będzie dobrą matką, bo moja żona jest też dobra. I to właśnie... — Nagle zaczął łkać gwałtownie, a Genezypowi oczy wyszły na łeb ze wstydu i litość — obrzydliwa jak rozdeptany karaluch, zatargala okrutnie, bezlitośnie właśnie, jego wnętrznościami.

— Niech pan nie płacze... Jeszcze wszystko będzie dobrze. Ja przyszedłem dziś do pana dlatego, żeby mi pan rozwiązał wszystkie zagadki. Pan musi to wiedzieć, bo pana muzyka jest wszechwiedząca. Ale ja muszę to wiedzieć w pojęciach, a to całkiem co innego. Ale pan i to potrafi, bo pan wtedy już mówił coś takiego, co przekracza to, że wszystko jest takie, a nie inne. Ja nie umiem tego wyrazić. — (Chlipanie Tengiera cichło powoli) — Wczorajszy wieczór, choroba ojca — no, to może najmniej — i dzisiejsze przebudzenie

się z popołudniowego snu przekreśliło mnie zupełnie. Nic nie rozumiem, bo wszystko, co dotąd wydawało mi się najzwyklejsze w świecie, stanęło dęba nad jakąś przepaścią i tak trwa, nie mogąc się w nią stoczyć. Tam nie ma nic prócz czystej tajemnicy samej w sobie. Ale ja nigdy nie myślałem tak, aby móc to ująć, więc... —

— Chwila objawienia, albo, jak się to teraz mówi, początki bzika — rzekł Tengier, wycierając oczy. — Miałem ci ja takie chwile, miałem — (ach to „ci” — Genezyp wił się) — Ale coraz mniej ich jest z biegiem czasu. Bo zanim zrozumiem, o co idzie to: fajt! — i już wszystko zamienia się w dźwięki — nie same, tylko ich budowę, przerastającą mnie i wielu innych zresztą. Tylko dlatego nie wariuję. Ja mam poczucie tego, kim jestem, ale jeśli mnie nikt nigdy nie zrozumie — ani nawet po śmierci — czy będzie to dowodem, że jestem muzycznym grafomanem, ulegającym złudzeniu, że kimś był i jest — bo do cholery ja za dużo *wiem*, aby mieć takie złudzenia — czy też dowodem na to, że muzyka się skończyła i ja jestem tym przeklętym wybranym przez los, jak Judasz wybrany był na zdracę, żeby właśnie we mnie to się dokonało do końca. — [Genezyp miał bezwzględne poczucie tego, że życie, które zakrzepłe w monotonii, dotąd jakby wcale nie trwało, wpadło na nowy tor, jakąś równię pochyłą i że teraz zacznie się to przyśpieszenie, którego oczekiwał i pożywał. Już migały się okoliczne znane stany ducha, zostając w przeszłości, jak widoki rodzinnych stron w oknach coraz szybciej pędzącego pociągu, unoszącego go w dalekie, niezbadane kraje]. Tengier mówił dalej: — I tak być musi w ogóle. Przyjmuję transcendentność tego prawa, jego absolutną konieczność — tego prawa — powtórzył, — że jeśli gdzie jest sztuka, w jakimkolwiek świecie, to musi przebiec tę linię rozwoju form, co u nas, musi być związana z religią i metafizyką, które są taką samą koniecznością istot myślących, jak i ona. Ale tylko w czasie właściwym. A potem musi zginąć, zjedzona przez to, co ją stworzyło, przez społeczną miazgę, która, krystalizując się w doskonałe formy, wyprzeć musi z siebie wszystko, co jej w tym procesie przeszkadza. Ale czemu ja właśnie jestem tym przeklętym? Jakkolwiek — tak — poczucie prawdziwej konieczności swojej indywidualności, tej a nie innej właśnie — nie każdy to ma — to wielki zbytek. — Ha — mam tę wyższość nad innymi, że się nie ugnę — choćbym nawet chciał, coś mi nie pozwoli — jakaś siła ponad mnie wyższa: ambicja, ale nie w stosunku do świata: do nieskończoności... — Oczy błysnęły mu siłą sięgającą zdawało się aż w sam pępek wszechświata i nagle ta słaba pozornie, włochata pokraka wydała się Genezypowi jakimś potężnym bożkiem (nie bogiem) od jakiejś specjalnej funkcji czy zjawiska — na całe istnienie mogło być 40–50 takich, odpowiadających jakimś ważnym istotnościom: muzyce, innym sztukom, wiatrom, w ogóle żywiołom, pogodzie, kłęskom... A jednocześnie pomyślał: „On jest koniecznością dla siebie, tylko dlatego, że jest artystą. On nigdy mnie nie zrozumie i tego mi nie wytłumaczy, dlaczego dla mnie dziwną do bezmiaru jest właśnie ta moja takość, a nie inność”. I nagle wstrząsnęła nim wątpliwość: „I o cóż to chodzi? O te jakieś brzdąki nikomu w gruncie rzeczy niepotrzebne? Nie — to jest lekka przesada! Ani to nie jest takie ważne, ani wspaniałe. Pozorne głębie w nieokreśloności. Nie — ja wolę myśl — ale jaką? Swojej nie mam nawet jeszcze w załączku. Co myśleć?! Boże!! Nie natrafić na złudną drogę, na której można się tylko okłamywać do końca życia. Objawienie — ale któż zaręczy, że to, które napotykam, czy które na mnie spada, właśnie jest prawdziwe?” Poczul, że tylko wytężenie się do krańców możliwości, ofiara siebie, askeza bezwzględna, wyrzeczenie się tego właśnie, co go dziś nieodwołalnie czekało i tak piekielnie nęciło złą rozkoszą (zdawało się to nie wiadomo jakim sposobem zaprzeczeniem spuszczenia psa z łańcucha), może mu otworzyć tamten świat. Ha, to było ponad siły. W tej chwili zrezygnował z poznania na całe życie. Są natury, które nie mogą żyć w rozpuszczeniu i jednocześnie dostępować szczęścia poznania najwyższych prawd — trzeba wybierać. O, błogosławieni ci szczęśliwcy, którzy niszcząc się, tworzą się najistotniej i w ten sposób zdobywają swoją doskonałość na ziemi. Co tam z ich duchami się dzieje, to lepiej o tym nie myśleć, ale tu są doskonali, nawet w złem. Naprawdę dzień ten był zwrotnym — Ale czy dzień? Czy warto zajmować się przypadkowym pyłkiem w otchłani niewiedomego, pyłkiem takim, a nie innym, wśród *alef* w granicy innych pyłków? [Alef = pierwsza ponadskończona liczba Cantora]. [Istnień poszczególnych (i to w granicy) może być w całym nieskończonym istnieniu tylko alef a broń Boże nie *continuum*. Czemu tak jest, udowodnić tu się nie da]. Istnienie pyłka tego nie da się wyrazić w ogólnym prawie, w którym za zmienne dałyby się podstawić dowolnie wysokie w hie-

rarchii istnień poszczególnych wartości. Jak to mówił Husserl? (Słowa jego powtarzał na lekcji matematyki gimnazjalny profesor: „Jeśli jest Bóg, to jego logika i matematyka nie może różnić się od naszej”). O takie rzeczy by chodziło, a nie o to, jak się tam czuje jakiś bałwan, czy nawet pseudo-inteligent, a nawet (o blasfemio!) geniusz! O *prawa* chodzi, a nie o ten tam lub inny wypadek. Tak się kłębiło w Genezypowym łebku. Błagalnie mówił do Tengiera: (od takich chwil, od jednego słowa w porę zależy czasem całe życie, a ludzie nic nie wiedzą i wdeptują jeden drugiego (czasem w imię ideałów) w bagno rzeczywistości wykoszlawianej, zdeformowanej przez fałszywie zarzucone na nią siatki pojęć. Rzeczywistość puszcza sok najistotniejszy pod wpływem pojęć. Ale od ich gatunku zależy, czy będzie to trucizna, czy też najpożywniejsza witamina).

— Panie Putrycy — (tak nazywano dla skrócenia Putrycydesa Tengiera) — Ja nie wiem, kim będę jutro. Wszystko mi się przekręciło i to nie o jakiś kął na tej samej płaszczyźnie, tylko w innej przestrzeni. To za wysokie jak na mnie koncepcje — (powiedział to z goryczą i ironią) — ja nie wierzę w taką ważność sztuki, w jaką wierzy pan. Koncepcje pana są wyższe od tego, do czego się odnoszą — wyższe same w sobie, jako myśl — bo pan przesadził wartość ich realnego podkładu. Ja lubię literaturę, bo dla mnie tam jest więcej życia, niż w moim własnym. Jest ono tam w takiej kondensacji, w jakiej nie znajduję go w rzeczywistości nigdy. Za cenę zgęszczenia płaci się nierealnością. — (Tengier śmiał się szeroko. „Ten wie, jaka jest różnica między złudą a realnym życiem — cha, cha! On cały jest jeszcze jednym wielkim złudzeniem. Mogę nie mieć wyrzutów”). — Ale mnie chodzi o *to* życie. Żeby ono było jedyne w swoim rodzaju, a konieczne jednocześnie w swojej inności, taki wzór, taki ideał doskonałości, nawet w tym, co jest lub może być złem — więcej nawet: w tym, co jest nieudane, żeby była doskonałość. To szczyt życia... — (wpatrzył się na sucho gorączkowo przed siebie) — A tu się wszystko zmienia tak okropnie, tak dziwnie — że ja już nie wiem, czy to ja jestem, czy ktoś inny. Ta sprzeczność zmiany i stałości...

— Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że tylko dlatego mamy wątpliwości co do ciągłości naszej jaźni, że jest ona właśnie ciągła. Pytanie takie byłoby niemożliwym bez tego. Jest ona, ta jedność osobowości dana w swej ciągłości bezpośrednio — a wątpliwości nasze mają źródło tylko w różnorodności zbyt wielkiej kompleksów częściowych. Nawet u tych, co cierpią na rozdwojenie osobowości, kawałki trwania muszą być ciągłe — nie ma trwał nieskończenie krótkich...

— Ja rozumiem intuicyjnie, co pan mówi. Ale to są już dalsze myśli. Ja nie mam ogólnej podstawy. Ja kochałem ojca i bałem się go. On umiera, a mnie to teraz nic nie obchodzi. — (Tengier przyjrzał mu się uważnie, ale było w tym spojrzeniu coś z patrzenia w lusterko) — Mnie jest tak źle, jak nigdy, a przy tym zupełnie bez powodu — jakbym poczuł, że wszystko, ale to wszystko na całym świecie jest nie takim, jak być powinno. Jest przede wszystkim zawinięte w jakąś powłokę — nawet astronomia. A ja chcę dotykać wszystkiego gołego, jak dotykam mojej własnej twarzy moją własną ręką... Ja chcę wszystko zmienić, aby było takim, jak być powinno. Ja chcę to wszystko mieć, dusić, cisnąć, wygniatać, męczyć...!!! — krzyknął histerycznie, prawie z płaczem Genezyp, nie poznając samego siebie w tym, co mówił. W miarę formułowania nieważna dotąd myśl stawała się jedyną rzeczywistością.

Informacja: Tengier milczał, uśmiechając się zjadliwie. To samo czuł on prawie stale. Tylko, że on zamieniał (*musiał* i umiał zamieniać) właśnie *to* (to metafizyczne nienasyconie) na dźwięki, raczej na ich konstrukcje, zjawiające mu się z początku w postaci nieokreślonych *przestrzennych* potencjałów w całości i rozkładające się potem jak złożone wachlarze na następstwa w czasie, już obarczone, jak gałązki gronami jagód, straszliwymi dysharmoniami, których nikt rozumieć, a nawet słuchać nie chciał. Nie wyrzekł się dotąd tematyczności w dawnym znaczeniu, ale chwiał się już nad otchłanią jakiejś, jeszcze dla niego potencjalnie zrozumiałej, ale niewykonalnej prawie w żadnej instrumentacji, magmie muzycznych zawiloci, graniczących z pełnym chaosem i czysto-muzycznym (*nie uczuciowym*) nonsensem. Uczucia zwykle jako takie i ich wyraz — to nie istniało dla niego zupełnie. Dawne to były czasy, gdy tego rodzaju określone stany, dające się nawet ogólnie słowami

wyrazić, stanowiły podstawę, na której wyrosły, jak proste, skromne kwiatki, pierwsze jego muzyczne pomysły. Tak — były one proste w stosunku do jego ostatnich utworów, ale nie w porównaniu ze Strawińskim, Szymanowskim i innymi wielkościami minionej epoki. Już w ich prostocie tkwił potencjalnie ten wir kłębiący się na granicy wyrażanego, z którym zmagał się teraz aktualnie, doprowadziwszy mistrzostwo rozkładania bezpośrednio zjawiających się dźwiękowych kompleksów w czasie do niedosiężnych rozmiarów. Za to był tak nienawidzony i bojkotowany. Zawzięła się nań cała współczesna krajowa muzyka. Nie dopuszczano go do koncertów, zniechęcano wmawianymi trudnościami wirtuozów do wykonywania jego utworów, uniemożliwiano mu w sposób oficjalny porozumienie się z bolszewicką zagranicą, gdzie jeszcze mógłby za życia znaleźć uznanie. Pozbawiony jedynej środka działania, to jest pieniędzy, był bezsilny, a nawet po krótkiej walce przestał zajmować się tym problemem. „Siedział”, jak mówiono tu w Ludzimierzu, w dużej chałupie, postawionej na gruncie żony, mając tyle tylko, aby nie potrzebować zarabiać na życie — to była jeszcze jedyna pociecha, bo wobec opinii, jaką miał jako muzyk (mimo olbrzymiej wiedzy, uznanej nawet przez wrogów), na lekcje liczyć nie mógł, a wskutek długości palców bardzo był miernym pianistą. Chyba grać w coraz rzadszych zresztą jazz-bandach. Ale z tym nie mógł się jeszcze pogodzić. Od tej muzyki uciekał jak od zarazy, a zresztą za stary był na takie walenie. I to go najbardziej wściekało, że miał specjalny poboczny talencik w kierunku takich właśnie kompozycji. Cała jedna teczka pełna była tego draństwa. Ale na zużycie go w celach zarobkowych nie miał odwagi. Zresztą jazz-band konał — ludzie oduczyli się już prawie od zabawy. Tańczyły tylko ostatnie niedobitki kretynów w dawnym stylu.

Straszliwym problemem Tengiera było tak „naukowo” zwane „życie płciowe”. Autochtońska dziewczynka, córka bogatego gazdy, którą zdobył przy pomocy sztucznie uprimitywioniej w tym celu muzyki (Tengier był też niezłym skrzypkiem, ale budowa jego i tu nie pozwoliła mu osiągnąć doskonałości.) i swego „ceperstwa” (ceper = człowiek z dolin, pan — był synem organisty z Brzozowa!) była jedyną jego w tej sferze podporą, tłem, na którym dopiero mógłby, gdyby miał inne warunki, rozwijać swoje uwodzicielskie niedopędy. Ale nędza tych przeżyć była wprost potworna. Zwabione i trochę podwścieczone muzyką kobiety oddawały mu się czasami raczej z perwersyjnego wstydu niż z pożądania. A następnie upokorzone jego wyglądem (suchą nogą, garbem i w dodatku zapachem grzyba, który wydzielał w podnieceniu) uciekały od niego ze wstrętem, zostawiając go na pastwę nienasyconych żądz. Takim też był jego „romans” z księżną. Mało nie dostał ostrego szału. Długi czas był nienormalny i dokonywał w tej epoce rzeczy straszliwych: jakieś kombinacje fotografii, ukradzionych pończoch i pantofelków — brrrr... ale się wyleczył. Ostatecznie wracał zawsze do żony, która, nauczona przez niego sztuk niezmiernie wyrafinowanych, była najlepszym lekarstwem na nieudane, zakazane przez kalectwo, wyprawy w sfery niedosiężnej, prawdziwie „pańskiej” miłości. „A bodaj to — jak pech, to już zupełny” — mawiał Tengier i zanurzał się ze zdwojoną furią w swój świat potworniejącej z dnia na dzień muzyki. Piętrzyły się stosy „dzieł pośmiertnych” (wydane miał tylko młodzieńcze preludia, poświęcone pamięci Szymanowskiego), żer dla przyszłych pianistów, w czasach kiedy już żadnych nowości miało nie być, kiedy muzyka, zjedzona od środka własnym nienasyceniem i komplikacją, miała według Tengiera „nogi wyciągnąć na fest” — takie chamskie wyrażenie — trudno, tak mówił on, brzozowianin, mąż bogatej dziwki Maryny z sąsiedniego Murzasichla. Tam to poznał ją, błądząc po zamarzłych jesienią bagniskach — a „sichle” znaczy bagniste — (przyjechał leczyć tu swe garby w ludzimińskiej „siarkance”). Spotkał ją późno wieczór (zawinięty w pelerynę — garbu nie było widać) — i uwiódł na miejscu, zagrawszy jej na skrzypcach jedno z młodzieńczych preludów.

Wracal z jakiegoś wesela, od rana już trochę pijany. Maryna była *piekielnie* muzykalna. Zapomniała (potem nawet) o garbie i suchej nóżce, a na zapach grzyba nie reagowała wcale — znała gorsze: krów, kóz, baranów, kozuchów, kapusty i ogólnej chłopskiej śmierdziączki. Ta *piekielna* muzyka Putrycego zastępowała jej miłość ładnych chłopców, a do tego te sztuczki „ceperskie”, których nijak zrozumieć nie mogła i pragnęła jeszcze i jeszcze. Gdzie by to który Jasiek albo Wojtek chciał z nią takie cuda wyrabiać, tak się upokorzyć, tak fetyszystycznie, niezdrowo. Aż ją rozpierała duma, na równi z kapustą i „moskalami”. A do tego jeszcze stała się „panią” — i tam, gdzie uznawano muzykę męża „bywała” jako te inne chłopskie żony krajowych artystów. W ogóle kraj pod pewnymi względami zastygł w stanie, w którym znajdował się przed antybolszewicką krucjatą. Zgalaretowały się polityczne świństwa; galareta, podlana teraz „bolszewickimi” pieniędzmi zagranicy, stanęła mocno i tak trwało wszystko niby zupełnie po faszystowsko-fordowsku, a w gruncie rzeczy po dawnemu, gdy wokół wschodniej granicy rozszalała się niebywała dotąd awantura. „Żółte niebezpieczeństwo” (kto wie, czy nie największe właśnie bezpieczeństwo na tej naszej nudnej galce) przeszło ze sfery pogardzanych mitów do krwawej, codziennej, do tej „nie-do-uwierzenia” rzeczywistości. Nic nie mogło zachwiać naszego kraju w jego heroicznej obronie idei narodowości w dawnym, przed-historycznym nieomal, to jest XIX-wiecznym stylu, przed zalewem piątej czy szóstej (najstarsi ludzie nie pamiętali) międzynarodówki. A syndykalizm, czy robotniczy, sorelowski, czy amerykańsko-faszystowsko-inteligencki, to wcale nie taka łatwa sztuka do przeprowadzenia. Ileż to czasu upłynęło od tych czasów! Polska jak zawsze była „odkupicielką”, „przedmurzem”, „ostoją” — na tym przecie od wieków polegała jej historyczna misja. Sama dla siebie była niczym — poświęcając się dla innych (zbyt głęboko wpojona była wszystkim ta ideologia), dopiero zaczynała istnieć naprawdę sama dla siebie. Mimo to pewnym ludziom wcale nieźle się działo — (trudno — bo czyż zupełny trup może się dla kogoś poświęcić i czy to będzie w ogóle pożyteczne?) — a klasy niższe, zanarkotyzowane „*swoje-obraznym faszizmom na pseudo-syndikalistycznym fonie*” (jak pisał pewien bolszewik w dawnym stylu) nie mogły się ani rusz zorganizować. Zupełne sproszkowanie wszelkiej ideologii, automatyzm specjalizacyjny i podejrzany dobrobycik za „bolszewickie” pieniądze z zachodu były tego przyczyną. Czekano wypadków, czekano rozstrzygnięcia z zewnątrz — po prostu czekano Chińczyków. Podświadomie czekali ich nawet przedstawiciele Syndykatu Narodowego Zbawienia — za jaką bądź cenę nie chcieli odpowiedzialności — choćby w dożywotnim więzieniu, ale nie odpowiadać za nic. Odpowiadać? — dobrze — ale *przed kim?* Nie było przed kim — straszne — a jednak... Nie do uwierzenia były to stosunki, a przecież kiedyś było to prawdą. Jeden tylko był człowiek predestynowany na to, by choć w przybliżeniu odpowiedzieć jakimś piekielnym czynem na kłębiące się wokół zapytania przerażonego samym sobą losu. Był to ów tak zwany „kwatergen”, Kocmołuchowicz, wielki organizator armii (miał zasadę: „stwarzać siłę, tej zawsze trzeba będzie, a cel równie zawsze się znajdzie — nie ten, to inny”), genialny strateg dawnej szkoły (dawnej to znaczy nie chińskiej) i najbardziej nieobliczalny demon z tych najodważniejszych, którzy jeszcze na zaćmionym horyzoncie indywidualizmu pozostali. (Oczywiście odwaga w stosunku do niebezpieczeństw wewnętrznych była tu główną wartością, a nie ta zwykła, zwierzęca, fizyczna. Choć i tej brakować zaczynało najtęższym). Reszta tak zwanych wybitnych jednostek (prócz paru podobnych mu, ale niższych marek „*überkerli*” należących do jego sztabu) była to banda wylęklonych widm, jakichś skastrowanych społecznych makrotów, a nie realnych ludzi płci męskiej. Na tle ogólnego zaniku wszelkich ludzkich wartości wspaniała i tak postać generalnego kwatermistrza urastała do gigantycznych rozmiarów. Psychiczne zadzieranie głowy w celu widzenia rzeczy najzwyklejszych było na porządku dziennym. Dziwny ten stan

rzeczy był tylko wynikiem tego, że Polska nie wzięła udziału w antybolszewickiej awanturze. Zatrzymane wbrew przeznaczeniom siły (i to przeciwne sobie) sfermentowały się, stwarzając toksyny, które zręcznie dozując i rozdzielając, potrafili kierownicy zagranicznej polityki bolszewickiego zachodu zatruć u nas wszelką świadomość historycznej chwili. Jeden „kwatergen” był nie do otrucia — nie miał się go żaden jad, siłą swoją immunizował najbliższe swe otoczenie w celach niezbadanych, tą niezbadanością absolutną, bo niepojętych dla niego samego. Co za rozkosz być takim! — być choć chwilę i zginąć w torturach nawet za tę cenę, ale być. Mniejsza z tym na razie.

Tengier przestał się śmiać i wpatrzył się w Genezypa jak w ofiarę. Myśl genialna rozświetliła mu łeb, jak świeca latarnię: opanować tego bubka, papa kipnie, browar jego, pieniądze, sława, zwycięstwo, pokonani wrogowie, Maryna jako królowa, wszystkie kobiety jego, wszyscy na brzuchu przed nim — NASYCIĆ SIĘ!! „Podświadomie wszyscy są dranie” — mawiał on, sądząc po sobie. Zbyt banalne były to prawdy, ale w życiowych kombinacjach, w teoretycznych rozmowach o życiu Tengier nie był mocny.

— O tym potem — rzekł. — Wielkość wszystkiego jest tylko w sztuce. Ona jest tajemnicą bytu oglądaną jak dzik na półmisku, jako coś dotykającego — rozumiesz — a nie jako system pojęć. To, o czym ty mówisz, ja stwarzam jako materialne nieomal zjawiska. Ale ich nie słyszę w orkiestrze — to jest fatalne i to nie tylko dla mnie. Ktoś powiedział, że muzyka jest sztuką niską, bo młotki biją w kiszki baranie i druty, albo włosem końskim jeździ się po tychże kiszkach, albo wydyma się zaślinione metalowe rury. Hałas — hałas jest czymś wielkim — ogłusza, oślepia, zabija wolę i stwarza prawdziwy dionizyjski szal w abstrakcyjnym wymiarze ponad życiem — a jednak *jest*, a nie jest tylko pojęciową obietnicą. Cisza jest martwością. Malarstwo, rzeźba — to stoi, to jest statyczne — a poezja i teatr, to zlepki różnych wartości obciążone życiem — to nigdy nie da ci *tego*... — podszedł do swego ukochanego Steinwaya, jedyne zbytku, na jaki sobie pozwolił, po strasznej walce z teściem, Johymem Murzasichlańskim, Wawrzkiem Nędzą Kopyrniakiem od Wawrzuli — i zagrał — (ojej jak zagrał!!!) — zdawało się, że grzmot podziemnego człowieczego bebechu wywalił się na niebo, ale nie to ziemskie, tylko wszechświatowe niebo nicości, naprawdę nieskończone i puste, i stamtąd, z metafizycznych burzowych obłoków zwałił się w samo dno pelzającej, rozplaszczonej, rozplomienionej, *bezpłodnej* tajemnicy. Wiązania świata trzeszczały; z oddali promieniało ukojenie śmierci, zmienionej w łagodny sen nieznanego bóstwa, łamanego kołem nadboskich tortur: bezpośredniego pojmowania aktualnej nieskończoności. Wypuczyło się oko szatańskiej świadomości wszechhistnieniowego zła na bezkresy pustynne ostatecznych, niby obojętnych pojęć i blask nieznośny do bólu, wierzący niezłomne pancerze przedwiecznej ciemni bytu, rozszalał się w bezbolesnym cierpieniu, w takim francuskim „*malaise*”, podniesionym do potęgi continuum. Genezyp zamarł jak zając pod miedzą. Nie słyszał jeszcze takiej muzyki, tak bezczelnie, *metafizycznie nieprzyzwoitej* — coś było w tym z tej muzyczki parkowej, kiedy to oni z Toldziem... Ale tamto było dziecinnym złudzeniem, podczas gdy tu działo się to naprawdę. Metafizyczny onanizm — innego na to słowa nie ma. Bo jest i maksymalna samotność (któż jest samotniejszy od onanisty?), i bezwstyd, i rozkosz, i ból, i dziwność zaziemska tego niezróżniczkowanego amalgamu bólu i rozkoszy, i niedościgłe piękno wbite jak kiel w ohydę bezmierną, ostateczną. Ech — przechodziło w ogóle wszystko. Stał się Zypcio robaczkiem na nieskończonych pustaciach samotności bez dna, zgnieciony w pigułkę o gęstości irydium, co sama siebie jak wąż łkała i łknąć nie mogła, wypatroszony bezkresnie na geograficznych (już nie astronomicznych) szerokościach nieskończonej kuli przestrzennego Istnienia. Bez wysiłku przeskoczył w sobie jakąś niebotyczną przelęcz na zawsze. Już nigdy nie wróci tam, do tego normalnego, przedmaturycznego pojmowania siebie i świata. Jeszcze pół godziny temu mógł być zupełnie kim innym. „*Zufall von Bücher und Menschen...*” — tych spotkanych nie w porę — coś takiego pisał Nietzsche. Teraz potoczył się Zypcio jak skała oderwana od szczytu w przepaść. Oczywiście nic o tym naprawdę nie wiedział. Na to musiałby być starcem o wyostrzonych szpikulcach samoanalizy i zgniłych połaciach psychiki, obwisłym i strupieszalym. (Zresztą u niektórych samoanaliza staje się po prostu tylko samolizą — samolizaniem się wdzięcznego kotka). „Jednak to coś jest” — szepnął

na zimno sam sobie, raczej komuś, kogo jeszcze w sobie nie znał, komuś straszemu. Szybko odwrócił się od tych „rzeczy”, wiedząc, że kiedyś trzeba będzie spojrzeć im prosto w pyski. Tengier grał coraz straszliwiej, coraz niedosiężniej — czuł, że znalazł w tym niekulturalnym muzycznie bubku odpowiedniego słuchacza. (Zawsze mówił „dla moich rzeczy trzeba albo dzikusa, albo hyperultrarafinowanego znawcy — środek do diabła”. Całe społeczeństwo było tym „środkiem” niestety). Nie improwizował — była to fortepianowa transkrypcja symfonicznego poematu pod tytułem *Rozwolnienie bogów*, skomponowanego rok temu. W teczce ze szkicami miał twory stokroć straszliwsze, prawie niewykonalne — nie tylko dla niego fortepianowo za trudne — niewykonalne w ogóle, nierozpłatalne, muzycznie nie do rozwinięcia: „niewykonabuły”, jak je sam nazywał, i to absolutne. A jednak jeden ze szkiców takich „pipczył” już, jak się sam wyrażał, i partytura puchła powoli w dziwacznych deseniach złowróźbnych znaków, kryjących w sobie potencjalnie metafizyczny ryk samotnej w przepaści świata, osobowej bestii. Nagle przerwał i zatrzasnął wieko swego jedyne go wiernego bydlęcia. Zbliżył się do wstrząśniętego do samego zwierzęco-metafizycznego dna, zmiążdżonego w jakiś bezkształtny ludzki zakalec Genezypa. Mówił tryumfalnie, bestialsko:

— Hałas — ten piekielny zorganizowany matematycznie hałas. Niech kto mówi co chce o wyższości twórców nieruchomych i cichych i o pełności sztuk złożonych, z ich marmeladą sprzecznych elementów, a jednak to jest najwyższa ze sztuk. Chciałbym, żeby się wszystkim babom świata mokro zrobiło, ale do tego one jeszcze nie dorosły. Ha — gdzieś w Kalifornii rosną dla mnie dziewczeczki, jeszcze może są w pieluszkach — jak moja Ninon kilka lat temu... — (opamiętał się). — „*Musik ist höhere Offenbarung als jede Religion und Philosophie*” — Cha, cha! I to powiedziało to wielkie XVIII-wieczne dziecko — Beethoven! A gdyby słyszał, co ja robię, toby się wyrzygał z obrzydzenia. Kończy się ścierwo, ale ja jestem ostatni z ostatnich, bo ten Pondillac i Gerrippenberg, a nawet Pujo de Torres y Ablaz to są skowronki polne przy mnie. Takich było tysiące. Wielkość jest tylko w perwersji — ale gdzie są idealne granice tego świata, bo realnie kończy się on *tu* — rzekł jakby sam do siebie i stuknął się potwornym żabim paluchem we włochaty łeb. Ale bacznie śledził przy tym swego nowego pupila. Już wiedział o nim wszystko. — Dziś będziesz jej kochankiem, Zypciu. — (Genezyp zatrząsł się cały z obrzydliwego płciowego strachu typowego niewiniątka). — Nie bój się: *ja* przez to przeszedłem. Lepiej, że stracisz niewinność na tej starej klempie, niż żebyś miał po bajzlach jakichś... —

— Ach nie! — (przecież ojciec jego myślał tak samo!) — Nie chcę, nie chcę! Ja chcę kochać się najpierw... — Rzucił się i siadł znowu bezwładnie.

— He? — spytał Tengier. — Nie udawaj delikatnisia przede mną. Nawet nie mów o miłości: to albo złuda ordynarna, albo takie życie, jak moje. Jesteś silny człowiek, jak i ja. Będziesz jeszcze silniejszym, o ile znajdziesz punkt zaczepienia dla twojej siły w tym naszym podłym świecie. A to dla typów takich jak ty jest coraz trudniejsze. Za mało w tobie jest maszynki — bo czy ci zwyciężą, czy tamci, czy nasz faszyzm, czy chiński komunizm, nie mówię o tym zachodnim kompromisie — wynik będzie jeden: szczęśliwa maszyna — banalne to jak to, że świat jest nieskończony. Ja czekam Chińczyków. Tu, w tym naszym bagnie złamie się ich potęga, chyba że stanie się cud. Bo Rosję oni połkną jak pigułkę. I dalej to nie pójdzie. Bo tam — (wskazał na lewy od Genezypa węgiel swojej chałupy) — na Zachodzie już się to wypali: komunizm to pierwsza warstwa gnoju dla początku tego, co przyjdzie i co pozostanie już względnie wiecznym. Wtedy muzyki nie będzie już na tym świecie. Może będzie na księżycu Jowisza, na planecie Antaresa czy Aldebarana, może nie będzie to muzyka — może tam są inne jakości wrażeniowe, oparte na innych drganiach — ale coś będzie i jest tam w obcym, nieskończonym bycie, rozbitym na skupienia Istnień Żywych — te głupie gałki, na których rodzą się takie ich kolonie, jakimi jesteśmy my: ty i ja, i ona, i wszyscy... — Zamarł w proroczym natchnieniu ostatni groźny bożek przyszłości, a teraz mąż bogatej chłopki, śmierdzący grzybem garbus, brodac i megaloman — megaloman relatywny, jak sam siebie nazywał. Genezyp ocknął się, ale tamten panował nad nim niepodzielnie. Mówił cytując Micińskiego: — „A prowadzi mnie jakaś mściwa ręka, a prowadzi mnie wiekuisty ból...!”

Genezypowi przemknął w wyobraźni obraz rzeczy wiekuistych: tępego bólu zamartej przestrzeni — gdzieś w bezmiernej oddali senny Bóg Ojciec z zamarłą w szronie z Helium brodą i na małej, ciepłej planetce krzyż, na którym rozpięty na darmo Syn Je-

go, z płomiennym, rozdartym sercem, jedynym prawdziwym ogniem w lodowej pustyni świata. I co się z tego zrobiło? Dziś jeszcze (tolerancja zaiste większa niż Torquemady) daje jakiś pan utytułowany we fraku, w asyście gwardii z halabardami! — nie, te halabardy strzegące Chrystusowego Namiestnika to już jest szczyt — tylko wszyscy się tak przyzwyczaili, że tego nie widzą — otóż daje mądryemu władcy dusz (przepononemu systemem Taylora!) jakąś czerwoną czapkę, wśród ceremonii, której by się nie powstydzil Filip II, albo nawet Kserkses czy Kambyzes! Bo mimo całego „bolszewizmu” nawet na Zachodzie działy się takie rzeczy (i u nas) i papież trwał dalej w dawnych formach pompy władców tego świata — on jeden jedyny, i nikt o to nawet nie dbał. A może gdyby nie to właśnie, gdyby nie ten ciągły kompromis Kościoła, to może naprawdę tamta ofiara na krzyżu byłaby na darmo i nie byłoby teraz „chińskiego ruchomego muru” walącego się na Europę. A może wystarczyłby Budda? E — chyba nie. Bo czyż bez naszej społecznej problematyki, na tym właśnie wyrosłej, ruszyłyby się zakrzeple masy ze Wschodu. „Skąd ja to wiem wszystko” — szepnął do siebie Genezyp. I nad tym jeszcze bieret wiejskiego spowiednika, nieśmiertelniki na ugorach i łamiące się świece i stara zła baba (już nie starzec) zbierająca chrust w mroźny, jesienny wieczór i nade wszystko rozmowy z matką. („Że też o niej nie pomyślałem już od kilku godzin!”) Tak — to były rzeczy wiekiuste. Dotąd. Odtąd miało być inaczej — co innego miało dostać wiekiusty wymiar. A tamten mówił dalej: („kiedyś się skończy ta męka!”)

— I to musisz mi przyrzec, Zypciu — ja ciebie lubię jednak, nie wiadomo dlaczego...

— Tylko niech mnie pan nie całuje już nigdy — szepnęła ofiara. Uścisk wstrętnej łapy.

— ...musisz mi przyrzec, że artystą nigdy nie będziesz się nawet starał zostać. Dobrze?

— Tak. Ja byłem strasznie przygnieciony potęgą pana muzyki. Ale to są symbole, wyrazy o konwencjonalnym znaczeniu — jak w logice szkolnej według Benza. Ja chcę życia. Ten hałas jest złudą. —

— Tak — dla tej złudy żyję *tak*. (W tym „tak” było wszystko: cała nędza i wewnętrzna chwała obłąkańca idei). — Ale nie wyrzekłbym się tego za wszystkie tryumfy wszystkich lotników, inżynierów, wynalazców, śpiewaków, władców i pokutników świata. Ale ty tego nie zrobisz nigdy. Wiem — jesteś zdolny i może się w tobie ocknąć jakiś diabeł na ten temat. Ale mówię ci otwarcie: na mnie kończy się wszystko. Ja już jestem nieszczęśliwy — bo duszę się sam w sobie, w moich formach własnych, których już opanować nie mogę. — („Prędzej czy później zwariować muszę, bo się nie w świecie, ale w sobie duszę” — znowu przypomniało się zdanie z wiersza „złego” kolegi) — Ty byłbyś zakłamanym od samego początku, a ponieważ jesteś, zdajesz się być silnym, tym niebezpieczniejsze byłoby to dla ciebie. Im silniejsza natura, tym gwałtowniejszy przebieg procesu wyczerpania. Ja tylko tym się trzymam, że właśnie fizycznie słaby jestem jak flak. Ale nerwy mam jak stalowe druty. A i one kiedyś też trzaskną. Rozumiesz?

— Rozumiem — rzekł Genezyp, choć nie rozumiał właściwie nic. Ale *czuł*, że to jest prawdą. Naprawdę nie groziły mu te właśnie niebezpieczeństwa. (Tengier transponował wszystko w artystyczne wymiary. Inna psychologia była mu obcą — podświadomie wszystkich uważał za artystów, albo za bezduszne automaty — stąd też płynęła jego amoralność). Jakies inne groźby (w postaci palca, czy czegoś groźniejszego jeszcze, nie wiadomo czyjego, grożącego aż gdzieś z zaświatów) mignęły gdzieś w ciemnych zwałach niejasnych przeczuć na dnie i zgasły zaraz, jak iskry za pędzącą w *nieznanym* kraju lokomotywą. — Nigdy nie miałem zamiaru. Chcę życia samego bez żadnych dodatków. — (Gdzież się podziała cała ta tak pożądana „literatura”). — Będę sobą na małym kawałku istnienia. — Nieszczercze mówił te skromności. Po prostu zestrachał się nagle jak koń przed samochodem i teraz łął przed sobą z tego strachu.

— Nie tak to łatwo jak myślisz. Chcę dać ci kierownictwo siły bezimiennej, którą mógłbyś się bić, jak szpadą. Kogo zabijesz to obojętne. Może nawet siebie. Dobrze zabić siebie — żyjąc choćby potem dalej — to może największa sztuka. Musisz to umieć. —

— Ale jak to wygląda w praktyce? — (Nigdy się o tym nie dowiedział Genezyp).

— Codzienny dzień — mówił zamyślony Tengier — Czyż ja to stworzyłem sam? Jestem we władaniu siły obcej, kosmicznej. —

— Czy w znaczeniu astronomicznym? — (Wszystko w głębi zionęło już nieznośną popolitością. Aż skóra bolała od pocucia nieprzewyciężonej nudy, zaciągającej nad

światem całym. I ten potworny kontrast między tworem a życiem artysty (choćby czort wie co się z nim działo w rzeczywistych wymiarach), który teraz dopiero pojął Genezyp, stawał się czymś tak nie do zniesienia, jak „wymierzanie niewymiernej liczby”. Już, już i jeszcze nie — a dosyć tego. Życie trzeba brać kawałami, choćby w każdej części kryła się nieskończoność).

— Głupi jesteś. Mówiąc „kosmiczny”, myślę o wielkich prawach całego bytu. — W oświeceniu tamtej nudy nawet tylko co przeszła chwila muzycznego zachwyty wydała się Genezypowi niegodną komedią, na tle nieprzyjemnie denerwującego hałasu. „Tak samo byłoby, gdybym słuchał huku jakiejś olbrzymiej maszyny. Tak — ale olbrzymiej. Wielkość zastąpiona jest tu proporcją. No i co z tego? To nie było jeszcze to, o co mu chodziło, gdy szedł tu pod bezpośrednim wrażeniem tamtego „objawienia”.

— Tak — nigdy nie chciałbym zostać artystą — rzekł twardo. — Niech się pan nie gniewa, ale cóż znaczy ten jakiś hałas, czy coś innego w tym rodzaju, nawet jeśli jest trochę uporządkowany, jak muzyka, czy w ogóle sztuka. Literatura, którą właśnie chcę się zająć, ma daleko większe znaczenie, bo tam jest treść jakaś, niezależna od samego porządku, tylko od siebie samej, od podłoża, z którego powstaje. Rozbabranie tych treści na zimno, które są tam na gorąco podane... (Aż zdziwił się, że tak mówi).

— Forma — nie rozumiesz? — Tengier zacisnął włochate pięści. Miał minę człowieka, któremu grunt usuwa się spod nóg.

— Forma, która musi się zdeformować sama, aby sobie wystarczyć. Gorzej — musi zdeformować rzeczywistość. — (Genezyp dziwił się coraz bardziej sobie. Igły objawień przesywały mu mózg. Ale już czuł nadchodzącą ciemność. Aparat pojęć był za mały, za mało sprawny. Tamten zatłamsił ten ogień brutalnie, ale trochę jakby nieszczerze).

— Forma — powtórzył — forma sama w sobie, wyrażająca bezpośrednio Tajemnicę Bytu! Dalej jest tylko ciemność. Pojęcia na to nie starczą. Filozofia już się skończyła. Babrze się potajemnie w przyczynkach. Oficjalnie nie ma już jej katedr na uniwersytetach. Tylko forma jeszcze coś wyraża. — (Ukazały mu się niedokończone utwory na granicy zrozumiałości, stworzone nie dla kogoś, dla niego samego. „Ten smarkacz ma rację”, jęknął prawie w myśli. „Ale ja muszę użyć życia.”)

— I cóż z tego? To jest kwestią umowy, że to właśnie jest czymś tak ważnym. Łudzili się ludzie — teraz przestali. Artyści są w ogóle niepotrzebni. Na tym polega to nieporozumienie z publicznością, to nieuznanie, z którego pan robi zupełnie niepotrzebnie bohaterstwo.

— Człowiek przyszłości — mruknął tamten ze wstrętem. — A jednak masz słusność, Zypciu. Jesteś straszny brutal — w tym jest twoje szczęście. Siłę masz, ale uważaj, żeby cię ona nie zatrąła, kiedy nie znajdziesz w porę sposobów jej zużycia. —

— A tego mi pan nie wytłomaczył, czemu dziś wszystko stało się takie inne i dziwne.

—

— Nie staraj się tego pojąć. Bierz to takim, jakim jest, jako skarb najcenniejszy i nie trwój tego, ani myśląc o tym, bo nic nie wymyślisz — tylko dziwność rozsypie ci się na strzępki umarłych pojęć — pokażę ci takiego człowieka, co już to uczynił — jest tu. A nade wszystko nie staraj się tego wyrazić w żaden sposób — nawet nie mów o tym z nikim, bo wpadniesz w sztukę, a widzisz na mnie, czym to pachnie: coraz dziwniejszym chce mi się mieć to wszystko i piętrzę niemożliwości jedne na drugich, aby temu podołać. A to bydlę jest nienasycone — nic mu nie wystarcza. A do potęgowania chwil takich możesz się przyzwyczaić, jak do wódki, albo czegoś gorszego jeszcze. I potem nie ma już rady: musisz iść coraz dalej, brnąć w to aż do oblędu.

— A co to jest oblęd?

— Chcesz klasycznej definicji? Niewspółmierność rzeczywistości ze stanem wewnętrznym, doprowadzona do pewnego stopnia, przekraczającego przyjęte w danym środowisku normy bezpieczeństwa.

— To pan jest też wariatem? Pana muzyka jest niebezpieczna i dlatego jest pan nieuznany.

— Do pewnego stopnia — tak. Co za brutal jest ten młokos. Nie zginiesz w życiu, ale strzeż się oblędu. Zachować całą wartość tej dziwności, którą dziś po raz pierwszy poczułeś, nie myśląc o niej i nie wypowiadając jej, niezmiernie trudnym jest zadaniem. Powinna świecić, jak lampa zza mlecznej szyby, ale nie waż się rozbić tej zasłony i spojrzeć w samo

światło. Wtedy będziesz musiał potęgować je, aż do oślepienia, co właśnie grozi mnie. Może gdybym mógł żyć tak, jakbym chciał, może wtedy nie byłbym artystą. Kalectwo jest zdaje się tego przyczyną. Takie są te twórcze typy dzisiejsze. Czynności zastępcze...

— Ale praktycznie...

— Czyś ty się wściekł z tą praktycznością? Ja ci nie powiem, jak się masz dać zgwałcić tej babie, ani co jutro zjeść na śniadanie. Ja ci mówię tylko: staraj się zachować w stanie pierwotnym to, coś dziś w sobie odnalazł, i naucz się panować nad własną siłą. To trudniejsze jest od pokonania słabości — wierz mi.

„Czy ja jestem naprawdę tak silny, jak się tej pokrace wydaje?” — pomyślał Genezyp. „Chociaż nikt chyba nie wie, na ile jest silnym, póki siebie nie wypróbuje”. — „Jesteśmy zawsze silniejsi, niż to sobie wyobrażamy” — przypomniało mu się zdanie ojca. — „Siła charakteru polega na przewyżczeniu chwilowej słabości” — przesunęło się zdanie z wzorków kaligraficznych z klasy trzeciej. Wszystko to nie pasowało do chwili obecnej. Co go obchodził w tej chwili problem siły? Tengier był zadowolony. Bolesna nuda jego faktycznej egzystencji na tle straszliwych zmagania się z niewiadomym w krainie czystych dźwięków dawała się okłamać jedynie przez to, co popularnie nazywano „włazaniem na innych ludzi”. Termin wymyśliła księżna. Musiał mówić komuś o jego niebezpieczeństwach, wylawiać z drugich podświadome motory ich działań, prorokować, radzić — jednym słowem wykrzywiać na ile można czyjeś przeznaczenie — poza muzyką żył w tym najistotniej, a mało znajdował obiektów odpowiednich dla swych doświadczeń. W Genezypa wpił się jak kleszcz. Poza finansowymi możliwościami, był on dla niego doskonałym okazem dla spotęgowania własnej ważności, przez projekcję prawie urojonych koncepcji na cudzą jaźń.

Weszła pani domu, niestety pozornie tylko uduchowiona nieduża blondynka. Miała wąskie oczy o jasno-orzechowych tęczęwkach, wystające policzkowe kości i idealnie prosty nos. Tylko w wąskawych ustach czaiła się przewrotna zmysłowość, a szerokie szczęki nadawały jej twarzy (ale po przyjrzeniu się) coś dzikiego, prawie zwierzęco-pierwotnego. Głos miała niski, metalicznie dźwięczny, gardłowy, łamiący się jakby od łez i utajonej namiętności. Tengier niechętnie przedstawił Genezypa.

— Pan baron pozwoli z nami na kolację — rzekła trochę uniżenie pani Tengierowa.

— Bez tytułów, Maryna — przerwał ostro Putrycy.

— Oczywiście Zypcio zostanie. Prawda, Zypek? — akcentował niesmacznie to mówienie „na ty”. Widocznie chciał zaimponować tym żonie.

Przez zimną sień przeszli do drugiej części domu, urządzonej po chłopsku. Dwoje dzieci Tengierów złoпаło już kwaśne mleko. Mdły nastrój psychiczno-zapachowy dusił Genezypa za gardło. Niewspółmierność tamtego pokoju z tym, rozmowy z rzeczywistością, była aż nazbyt nieprzyjemnie widoczna. A jednak i w tym objawiała się przykra potęga gospodarza domu. „Jakże wstrętna może być czasem siła” — myślał Genezyp, obserwując oboje Tengierów, jako jeden kompleks. Mimo że nie wiedział nic na ten temat, myśl o fizycznym zetknięciu tych dwojga obrzydliwa była aż do bólu. Przez otwarte drzwi drugiego pokoju widać było duże łóżko małżeńskie, widoczny symbol tej wstrętnej kombinacji ciał. Stosunek płciowy takiej pary musiał być jakimś nieznośnym cierpieniem, podobnym do spotęgowanego „*malaise*” w skórze podczas influency, do nudy w jakimś saloniku z względnie trzecio-rzędnyimi gośćmi podniesionej do niewymierzalnych potęg, do więziennej rozpacz, do bolesnej tęsknoty psa na łańcuchu, patrzącego na zabawy innych, wolnych psów. Oboje stanowili takiego psa — dwuosobowego. A jednak musiała w tym być jakaś przewrotna rozkosz. (Pani Tengierowa z lekka podobała się Genezypowi, ale wyraźniejsze uczucia w tym kierunku przysłał obraz tamtej wiedźmy). Spuścić ich z łańcucha — to było w tej chwili jego marzeniem. Tak było, jak on myślał, ale Tengier zautomatyzował swoje cierpienia w tak genialnie zawyły sposób, że mimo iż teoretycznie wiedział o innym życiu, szczęśliwym, bez tego podkładu bolesnej obrzmiałej jak pęcherz uremika nudy, to jednak praktycznie inne istnienie było niewyobrażalne jak cień graniastosłupa na kulę w czwartym wymiarze i taka banalna rzecz jak na przykład *no* — jazda własnym autem po francuskiej rywierze, langusty, szampan i drogie dziewczynki, przedstawiała się tak abstrakcyjnie, jak symboliczna logika Afanasola Benza. Całe życiowe nieporozumienie przechodziło najprzód przez osmotyczną błonę czystych dźwięków i tam to następowała sublimująca transformacja bezwstydney pospolitości w inny wymiar

usprawiedliwień. Ale jak działa się to właśnie, nie wiedział nikt, ani sam Tengier. Przejście było tak szybkie, jak od stanu pijaństwa do zakokainowania — „czik i gotowo” — nie wiadomo jak i kiedy. „Tajemnica geniuszu” mawiał czasem sam wynalazca tej metody po pijanemu.

Ciężkie milczenie gniotło wszystkich od środka. Nawet dzieci, do których usiłował się czulić Putrycydes, odczuły obcość atmosfery, ściętej jak białko od kwasu przez nieznanego gościa i potworną dawkę rozmowy poprzedniej. [W czasie wakacji nie wolno było Zypciowi chodzić nigdzie, prócz na sportowe wycieczki z „jogrem” Zygfydem i z tego powodu nie znał on najbliższego nawet sąsiedztwa. Nawet na domowych przyjęciach nie asystował nigdy. Takim był system izolacyjny starego Kapena. Chciał synowi dostarczyć ciekawych wrażeń wtedy, kiedy godnym się stanie ich przyjęcia. Dlatego to teraz, kiedy „dojrzał” nagle mocą nie jakiegoś tam papieru, tylko na podstawie poczucia spuszczenia z łańcucha, najmniejsza rzecz robiła na nim tak piekielne wrażenie. Nie wierzył prawie w swoją swobodę — bał się, że się obudzi z tego stanu, jak ze snu].

Kiedy już żegnał się po kolacji, nie nasyciwszy właściwie pragnienia rozwiązania dręczącej go zagadki przebudzenia, Tengier rzekł ni stąd ni zowąd: [nie mógł się tak od razu o wpół do dziesiątej rozstać ze swoją nową ofiarą. Projekcja jego zbutwiałej w nudzie osoby na ten ekran zbyt była pociągająca. A przy tym potrzebował jakiegoś konkretniejszego tryumfu nad pięknym, wstrętnym mu chłopcem — nie tylko nad duszą, ale i nad ciałem — aby poczuć znowu swoją męską potęgę. Czy tu czasem nie kryła się tajemnica nieokreślonego spólczynnika transformacyjnych wzorów na odkształcenie rzeczywistości? Bez jednego najmniejszego kóleczka cała maszyna rozsypałaby się na drobne kawałki. Napięcie wewnętrzne było wprost straszne. „*Wy żywiole na bolszoj szczot, gaspadin Tengier*”, jak powiedział kiedyś Bechmetiew. Ale nikt nie zdawał sobie sprawy z subtelności tej kombinacji. I co kogo to wreszcie obchodziło. Może w jakiejś biografii za lat sto, kiedy już żadnych danych naprawdę nie będzie. A ostatnia symfonia, mająca mu się w przestrzennej wyobraźni jako największy jego twór, nie znajdowała dostatecznego dopingu, aby się wywalić na świat z krwawego wnętrza twórcy. Zresztą nazywało się to tylko symfonią — była to prawdziwa Wieża Babel nieskoordynowanych ze sobą tematów, w której konstrukcyjność nie wierzył chwilami sam niedoszły jej autor. Może to było dzieło ostatnie? Ale co potem? Jakaś bolesna pustać rozpościerała się poza mglistymi konturami tego gigantycznego pomysłu. A przy tym niemożność słyszenia własnych symfonicznych utworów w orkiestrze doprowadzała Tengiera do dzikiej, graniczącej z szałem rozpacz. Przez tę abstynencję wykształcił w sobie wyobraźnię słuchową w tak piekielny sposób, że wewnętrznie słyszał niewyobrażalne dla innych połączenia dźwięków, ich barw i rytmów. Ale to było niczym dla niego — niczym, psia-krew!]

Rzekł tedy:

— Chodź ze mną. Odwiedzimy kniazia Bazylego w jego pustelni. To będzie pewnego rodzaju próba.

— Nie mam broni. — (Owa pustelnia stała daleko w lasach, rozciągających się na wschód od Ludźmierza, aż po same podnóża gór).

— Wystarczy moje parabellum. Dostałem je od teścia.

— A przy tym o drugiej w nocy mam być tam...

— Ach to o to chodzi? Właśnie dlatego powinieneś pójść. Zbytek energii na pierwszy raz może cię tylko skompromitować. — Genezyp zgodził się obojętnie. Dziwność zastygła teraz i stała w miejscu. Ogarnął go wewnętrzny bezwład — gotów był na wszystko — nawet nie bał się księżnej w tej chwili. Nad całym dniem i nad przyszłością zaciężyła nuda rzeczy z góry ułożonych, nieodwołalnych — taką wydała mu się też ostatnia przemiana. Spokojnie myślał, że może ojciec umiera tam za lasami, wśród potwornych ilości wyprodukowanego przez siebie piwa, i nie miał żadnych wyrzutów, że go opuścił. Cieszył się nawet potajemnie za małym (psychicznym) przepierzeńkiem, że teraz oto on, zagnębiony Zypcio, stanie się głową rodziny i weźmie wszystko na siebie. Problem korzystania z pracy tych ciemnych postaci z „tamtej” strony życia był jedynym dysonansem w tej harmonii. Ale to się jakoś załatwi.

— Tylko nigdy już niech pan mnie nie całuje, niech pan pamięta — powiedział cicho do Tengiera, gdy szli po skrzypiącym śniegu wielką płaszczyzną, ciągnącą się ze cztery kilometry, aż do czerniejącej na horyzoncie ludzimierskiej puszczy. Gwiazdy mrugały,

mieniając się tęczowymi blaskami. Orion płynął już równolegle na zachód nad widmowymi szczytami gór w oddali, a na wschodzie podnosił się właśnie zza horyzontu olbrzymi, czerwony Arkturus. Ametystowe niebo, rozświetlone na zachodzie od tylko co zapadłego księżycowego sierpa, baldachimiało, kopuliło się nad wymarłą ziemią z jakimś fałszywym w tym momencie majestatem. „Wszyscy jesteśmy więźniami, w sobie i na tych kulach” — niejasno pomyślał Genezyp. Pozorna dowolność po-maturycznej wizji przyszłości z przed-maturycznych czasów skurczyła się w nieuniknioną tożsamość wszystkiego ze samym sobą. Konały już nie były nigdy dnie i pełne oczekiwań i wypadków przyszłe wieczory w antycypacji przeznaczeniowej bezwyjściowości życia, charakteru i niezrozumiałej młodej śmierci — może jeszcze za życia. Czas stanął znowu, ale inaczej — o jakże inaczej! — nie jako kompresor do przyszłego skoku, tylko po prostu z nudy. Bezprzedmiotowy strach (nie ten przed duchami), nieznany dotąd Genezypowi, powiał spomiędzy równych pni sosen i mgły jałowcowego poszycia. Daremnie szukał w sobie popołudniowego pędu. Był martwy. Nie miał już ochoty nawet na rozmowę. „Czego mnie wlecze ten pokurcz, czego chce ode mnie!”

Tengier milczał ciężko przez całą godzinę. Nagle stanął i wyszarpnął parabellum z futerału u pasa.

— Wilki — rzekł krótko. Genezyp spojrział w gąszcz młodego zagajnika i zobaczył jedno żółtawe światełko. Zaraz obok mignęło drugie, a potem trzy pary naraz. „Profitem łupał” — pomyślał w ułamku sekundy. Tengier nie był odważnym, ale miał manię probowania swojej wytrzymałości. Mimo częstych spotkań z wilkami, które tu zresztą stadami nie chodziły — po cztery w kupie najwyżej — nie mógł się do nich „przyzwyczaić”. I teraz zdenerwował się niepotrzebnie: „wziął” i wyładował cały zapas naboju w kierunku lustrzanie lyskających światełek. Huk odbrzmiął głucho z głębi zaśnieżonego boru. Światełka znikły. Pomacał się „w” torbę — drugiego magazynu nie było. Po ruchu odgadł oczywiście prawdę Genezyp. Wydobył mały nożyk z kieszeni — była to jedyna broń, jaką miał przy sobie. Nie bał się, jak zwykle, w samej chwili niebezpieczeństwa — miał za sobą już parę chwil takich — strach przychodził u niego czasem w kilka dni później. Ale straszliwy żal ścisnął mu serce i bebechy poniżej, aż po tę wiązkę dziwnych flaczków, których całego znaczenia jeszcze nie rozumiał. „Nigdy, nigdy już” — myślał ławo z litością straszną w stosunku do samego siebie, na tle dawnej, „chłopięcej” odwagi. Zobaczył znowu emaliowe, wszechwiedzące gałki tej starej „wlani” (wyrażenie Tengiera, które nieublaganie, na wszystkie czasy, połączyło mu się z obrazem tej damy), która w tej chwili bezpiecznie czekała na niego w swym poziomkowym buduarze. Godzina druga w nocy stała się dlań nigdy nieosiągalną wiecznością, a księżnę samą nienawidził w tym krótkim wycinku czasu jak najgorszego wroga, jako symbol niespełnionego życia, które mu tu oto, na tej przeklętej leśnej drodze, uciec mogło na zawsze. Gdyby wiedział, w jak okropnych czasach wspomni sobie ten rozkoszny względnie wypadek: możliwości głupiego pożarcia go przez wilki, może by nie zechciał dalej żyć, wróciłby może do Tengiera i naładowawszy parabellum skończyłby ze sobą zaraz — albo tam u księcia Bazylego, albo może po drugiej w nocy... Kto wie? Teraz czuł się tak, jakby mu ktoś miał sprzątnąć sprzed nosa tylko co zaczętą, szalenie ciekawą powieść. I uświadomił sobie dokładnie, że nie wie nic, kim *właściwie* jest, a nie tylko, kim będzie. Rozwarła się przed nim jakaś dziura, dziura bez dna, a wąska i niewygodna. Świat zniknął pod stopami, jak zmyty. Wisiał wychylony nad tą przepaścią. Ale *skąd* wychylony? — Przepaść ta nie była przestrzenią... Ta niewiedza o sobie stała się jednocześnie szczytem świadomości, zupełnie odmiennej od stanu po przebudzeniu się. Wiedział na pewno, że nic, ale to absolutnie nic nie wie. Sam fakt istnienia był niepojętym. Leciał tak Zypcio w tę dziurę, leciał, aż się zatrzymał nagle jak wbity w śnieg znowu na tej samej, leśnej ludzimierskiej drodze. „Gdzie byłem — Boże! — gdzie ja byłem?!” — Zakręciło się wszystko w wichrze nierozplątanych myśli, które zgasły nagle jak zdmuchnięte. To wszystko zdziwiło go tak, że zapomniał na chwilę o wilkach, które mogły lada chwila wypłynąć z drugiej strony: z boków, od tyłu. Tengier stał, milcząc i trzymając parabellum za lufę. [U niego strach występował zawsze w postaci zamaskowanej: jako rozpacz, że nie napisze czegoś, co miał tam w głębi swego strasznego włochatego łba, lub że nie wykończy partytur tych szkiców z czerwonej, safianowej teczki, jedynej pamiątki po matce, organiecinie z Brzozowa. Do tej teczki

przywiązany był prawie jak do dzieci, z których znowu dumny był prawie jak ze swych najpotworniejszych utworów: taka pokraka „urodziła” takie śliczne, zdrowe, chamskie, byczkowate „ścierwiątka” (jak mawiał). Dziwnym było, że dzieci te i ich przypuszczalny los nie występowały nigdy jako maska dla zwierzęcego, normalnego strachu].

Las zaszumiał od wewnątrz i okiść spadła, wydając słaby, głuchy huk, łamiąc po drodze z trzaskiem drobne suche gałązki.

— Chodźmy — przemówił pierwszy Tengier. Mimo poprzednich strzałów głos jego zabrzmiał jak wystrzał armatni w uszach Genezypa: przerwał mu najdziwniejszą z dotychczasowych chwil życia, może jedyną w swoim rodzaju, tę co w przybliżeniu nawet nigdy nie wróci. Na próżno starał się złożyć ją z kawałków wspomnień: on, las, wilki, Tengier, żal życia i tego, że nie pozna miłości (ach, ty drogi!) — to wszystko było i teraz też. Ale tamta chwila, w tylko co przepłyniętej przeszłości, wyrwała się z ciągu zdarzeń, jakby punkt wydarty z linii prostej w trójwymiarową przestrzeń. „O tajemnico, wejdź jeszcze raz we mnie, zagość na jedną sekundę choćby w moim biednym mózdzku niedoświadczonego młodego byczka, abym mógł zapamiętać twoje oblicze i mógł przypomnieć cię w najgorszych chwilach, które nadejść muszą. Oświeć mnie, abym ominął straszliwości, które są we mnie, bo tych poza mną nie boję się” — tak miamlał coś Zypcio, idąc ze zwieszoną głową za małpowatym stworem w huculskiej, baraniej rogatej czapie. Nie były wysłuchane te błagania. Las szumiał głucho, nieruchomo — szumiała sama cisza.

Za chwilę byli już na Białozierskiej Polanie, otaczającej pustelnię kniazia Bazylego. Była jedenasta.

WIZYTA W PUSTELNI KNIAZIA BAZYLEGO

Z okien skleconego z bierwion domu było pomarańczowe łagodne światło naftowych lamp. Dym, pachnący żywicą, kładł się nisko wśród rzadkich sosen i buków. Weszli [Oprócz gospodarza, ubranego w brązowy habit-szlafrok, był tam jeszcze średniego wieku człowiek z rybimi oczami i płową bródką: Afanasol Benz vel Bęc, Żyd. Był to wielki logistyk i wielki były bogacz, z którym poznał się książ Bazyli jeszcze za czasów, gdy służył w leib-gwardii pawłowskiemu pułku. Właśnie wspominał sobie książ te rozkoszne czasy, gdy jako młodziutki pod-porucznik chodził specjalnym „pawłowskim” paradnym marszem, machając (o dziwo!) obnażoną szablą, podczas gdy żołnierze trzymali broń jak do ataku. Cała gwardia zazdrościła im tego, jako też grenadierów: czak z czasów Pawła I. Był to okres krótkotrwałej drugiej kontrrewolucji. Dużo potem Benz, straciwszy cały majątek, z rozpaczą oddał się logistyce i w krótkim czasie doszedł do zadziwiających wyników: oto z jednego jedyne aksjomatu, którego nikt prócz niego nie rozumiał, zbudował całkiem nową logikę i w jej terminach określał całą matematykę, sprowadzając wszystkie definicje do kombinacji paru znaczków podstawowych. Zachował jednak pojęcie klasy Russella i mawiał gorzko na ten temat, parafrazując zdanie Poincarégo: „*Ce ne sont que les gens declassés, qui ne parlent que de classes et de classes des classes*”. Teraz był tylko nauczycielem w słowackim gimnazjum na polskiej Orawie. Nie były to czasy odpowiednie dla uznania tej miary co Benz geniuszów. Nie wiadomo czemu idee jego w kołach zbliżonych do Syndykatu Zbawieniu Narodowego uznano za wytrącające z mechanicznej faszystowskiej równowagi, w dodatku sztucznej. A paszportu zagranicznego odmawiano mu stale.

Książ Bazyli Ostrogski, oczywiście były kochanek Iriny Wsiewołodowny Ticonderoga (niedawno nawrócony na polsko-francuski, zdegenerowany pseudo-katolicyzm), dożywał obecnie ostatniego swego „wcielenia” pierwszej serii jako leśnik w puszczech jej męża]. Przyjęto przybyłych trochę chłodnawo. Znać było, że panowie tamci, zagłębiwszy się we wspomnienia przeszłości, niechętnie wrócili do marnej rzeczywistości obecnej. [A jednak przywykli tak do Polski, że mimo iż tam u nich w Rosji trwał od roku blisko „Biały Terror”, nie mieli ochoty na powrót. A może wstrzymywała ich niepewność nowego systemu i strach przed „ruchomym murem chińskim”, który, według naszych krajowych polityków sprzed pół roku, rozbić się miał o tę przeszkodę. A przy tym Bazyli, człowiek obecnie lat pięćdziesięciu sześciu, nieoczekiwanie odkrył w sobie polskość. Cóż dziwnego? Ostrogscy byli przecież dawniej polskimi magnatami i katolicyzm był kiedyś ich wiarą. Prawosławnym właściwie nigdy nie był, bo w ogóle nie był wierzącym. Teraz

spadło na niego objawienie, wskutek książek jakichś szukających na gwałt ratunku Francuzów, które przysłała mu na „pustelnię” Irina Wsiewołodowna. Po tym fakcie dopiero stał się pustelnikiem „*en règle*” — dotąd był sobie tylko zwykłym leśnikiem].

Właśnie kilka godzin temu skończyli obaj panowie dyskusję, w której Afanasol przekonywał księcia o nieistotności jego przemiany. Wspominali też dawni monarchiści o nowej wierze mitycznego jak wizja de Quinceya, Malaja Murti Binga, która zaczynała się szerzyć w Rosji, a nawet po trosze i u nas, a podobnej *pozornie* do teozofii. Doszły ich tu nawet słuchy na tym odludziu. W tym zgadzali się zupełnie, że jest to bzdura, której powodzenie świadczyło o zupełnym upadku intelektu u ogółu Słowian. Na Zachodzie mowy o tym nawet być nie mogło. Panowała tam ogólna tolerancja, połączona z wiarą w odrodzenie ludzkości na tle kompletnego materialnego dobrobytu. Ale niestety, dobrobyt ma swoje nieprzekraczalne granice i potem co? Jakie miało być to „odrodzenie”, nikt nie wiedział i nie dowie się nigdy, aż po czasy zgaśnięcia słońca. Chyba że odrodzeniem będziemy nazywali: spokój, brak wszelkiej twórczości z wyjątkiem udoskonalen technicznych i bydlęcą szczęśliwość po odwaleniu pewnej ilości godzin mechanicznej pracy.

Po pieczeni z dzika i świetnej jałowcówce, rozmowa wróciła do poprzedniego. Afanasol, również twórca nowej matematyki — raczej całego ich systemu w analogii do geometrii — wskutek nieuznania go przez ogół polskich uczonych, zajmujących oficjalne posady, nie był zadowolony ze swego losu. Stanowili razem z Tengierem trójkę doskonałych malkontentów. Bo, mimo całego neokatolicyzmu, książę Bazyli nie miałby nic przeciw powróceniu do niego czterdziestu tysięcy dziesięcin jego ukraińskich dóbr, z kluczem ostrogskim na czele. Ale nawet w czasie tak zaawansowanej kontrrewolucji, na razie mowy nie mogło być o cofnięciu układów rolnych, szczególnie na Ukrainie. A może by nawet książę nie mógł już powrócić do dawnego życia: zakisł, a następnie zaskorupiał, zankylizował się w swej pustelni, a kobiety, na tle zupełnego niedowład płciowego, nie istniały dla niego zupełnie. Gdyby mógł przypuszczać Genezyp, w jakiej odmianie losów spotka obu tych panów, może znowu zapragnąłby śmierci, w strachu przed nieludzkim cierpieniem, jakie go czekało. Tengier mówił:

— ...ja tylko jednej rzeczy nie rozumiem: po co, aby być dobrym, jeśli już muszę nim być, po co muszę również zaraz przyjmować całą tę fantastyczną baliwernię, w którą nie mogłem uwierzyć nawet w dzieciństwie...

KNIAŻ: Bo nie potrafisz być naprawdę dobrym bez tego...

TENGIER: Co to znaczy to „naprawdę”. Bezduśny dodatek, mający wyrażać różnicę, istniejącą tylko „na niby”. Znałem ludzi idealnie dobrych, którzy byli zakutymi materialistami z drugiej pozytywistycznej epoki, która zaczęła się pod koniec dancingowo-sportowej. Dobroć nie jest zresztą moim ideałem. Świadomie nie myślę o niej nigdy jako o problemie. Zostawiam to już zdeklarowanym niedołączom.

KNIAŻ BAZYLI: Właśnie to myślenie o tym świadome jest źródłem prawdziwej dobroci, a nie proste niedołączenie. Dobroć nie może wypływać ze słabości, tylko z potęgi. A co do tych ludzi, to pamiętaj, że nawet dzisiejsi materialści są podświadomymi wychowankami całej chrześcijańskiej ery. A zresztą mogą być wyjątki. Nie o wyjątkach jednak mówimy, tylko o ogólnych zasadach. Nie wiadomo, jakimi byliby oni, gdyby do swoich danych dołączyli jeszcze wiarę. Uczynki dobre bez wiary są jakby nieposklejane, osobne, bezsensowne — nie mają tej wyższej sankcji, która je łączy w całość innego rzędu. Bezkształtna kupa czegoś zawsze jest czymś niższym od pewnej konstrukcji czegoś — systemu tych samych elementów. Czynienie dobrze jedynie dla własnej satysfakcji, a nie na chwałę Boga i całego istnienia i dla wiecznego zbawienia, w którym dopiero cały świat stanie się systemem doskonałości, jest wybrykiem, przeciwnym naturze nawet. I tak mogą postępować ludzie z gruntu źli. Tylko w związku z całością nabierają uczynki dobre wyższego sensu czegoś zorganizowanego, jako funkcja zbiorowej świadomości. — (Genezyp nudził się z siłą kilkudziesięciu mopsów parowych. Coraz dalej odrzucało go od jakichkolwiek pojęciowych ujęć w ogóle. Nuda rzeczy niedoskonałych! Ha — gdyby mógł poznać to z tej strony w idealnej interpretacji umysłów najwyższych! Nigdy się to nie stało).

TENGIER: Tak samo jak i uczynki złe, przy założeniu, że świat jest zły, że zły być powinien i że w dodatku rządzony jest przez złą potęgę. A ponieważ Leibniz, największy chyba mózg wierzący...

BENZ: O ile naprawdę był wierzącym, a nie robił pozorów dla fasonu: dla towarzyskich względów i dworskiej kariery.

TENGIER: Czekaj pan: Leibniz nie mógł udowodnić konieczności przyjęcia twierdzenia, że Bóg jest nieskończenie dobry w swej doskonałości. Możliwym jest równie dobrze do przyjęcia, że jest on nieskończenie złośliwy. Ilość zła na świecie, znikomość dobra i bezsilność Zbawienia Chrystusowego wobec zła ziemskiego — czynią możliwymi te przypuszczenia.

KNIAŻ BAZYLI — (niechętnie) —: Nie wolno robić ubliżających Bogu przypuszczeń, tylko wierzyć w to, co jest do wiary podane — oto co jest.

TENGIER: (krzyczy zirytowany.) Więc niech pan da nam tę wiarę, zmusi nas do niej! Dlaczego w ogóle jest niewiara, czemu w ogóle jest zło. Ja wiem, co pan powie: że Bóg jest w swych zamiarach nieodgadniony, że jest tajemnicą, przewyższającą umysł człowieka. A ja panu powiem: ja jestem w miarę dobry, na tyle, na ile właśnie ta podświadoma chrześcijańskość i choroba — to trzeba dodać, wypruła mi zwierzęce wnętrze — chociaż znowu wiem, że pewien procent amoralności stwarza we mnie ta-że sama choroba. Ja mam prawo czegoś użyć, do diabła, za moje pokręcone kości! A jestem też trochę zły — z goryczy raczej niż z samego zła, z cieszenia się czyjąś krzywdą — i innym nie byłbym dla żadnej wyższej, według pana, idei. Byłbym może lepszym, to jest: starałbym się nim zostać, gdybym wiedział, że przez to będę jeszcze lepiej komponował. Ale i tego nie wiem, czyby jakakolwiek zewnętrzna siła mogła zmienić moje wewnętrzne dyspozycje. — (Bazyli milczał: „Tak — wiara jest czymś, czego rozumem zaszczyć nie można. Ileż razy sam myślałem tak, jak on, a jednak teraz, rozumiejąc jego nędzną dialektykę, wiem, że jest inaczej. Czemuż nie mogę moich uczuć przepompować mu razem z krwią w żyły? Wtedy mógłby uwierzyć bez intelektualnego upadku, którego się tak obawia”).

BENZ: I to ci powiem, Bazyli, że dla żadnego lepszego samopoczucia nie mógłbym się wyrzec moich przekonań, chyba że stanie się coś strasznego z moim mózgiem i ja zgłupieję nagle, nieznacznie dla mnie samego. I ja byłem o włos od wiary kiedyś, kiedy logika moja zanieczyszczona była ontologią. Teraz wierzę tylko w znaczki i regułę dla operowania tymi znaczkami — wszystko inne jest kontyngencją, o której nie warto gadać.

KNIAŻ BAZYLI: Tak — ty znalazłeś punkt wyższości ponad wszystkim. (Zwracając się do tamtych:) — Jemu się zdaje, że on wymknął się istnieniu i jego moralnym prawom. Uciekł w znaczki bez treści i to daje mu tę absolutną pewność, mimo że krajowi logicy nie uznają go zupełnie, a za granicą jeden tylko jakiś wariat...

BENZ: Lightburgh — największy umysł świata. Och, panie Bazyli: jakże nisko upadliście umysłowo z tą całą waszą wiarą...

KNIAŻ BAZYLI: Największy umysł, bo znalazł ucho otwarte dla podszeptów tego szatana, który już w nic nie wierzy, nawet w istnienie swej własnej życiowej osobowości, a nie tylko w nieśmiertelność duszy.

BENZ: I czyż nie jestem szczęśliwszy od was, Bazyli, którzy jesteście zanadto inteligentni, aby nie widzieć na dnie waszej wiary iskierki świadomości, która mówi wam, że wierzy w was tylko niższe stworzenie, przerażone moralną ciemnością wszechświata i szukające zeń wyjścia choćby w coś, co rozum odrzuca, byle mieć pewność, że moralnie świat nie jest nonsensem. A nonsensem nie jest, mimo wasze zwątpienie, które mi więcej mówi o waszej ciemności, niż wasza wiara, a nie jest dlatego, że logika w ogóle jest możliwa — to jest dowód. Sens świata idealnego, którego marną funkcją jest tylko graniczna racjonalność — nie absolutna — rzeczywistości, wyższy jest ponad to, czy dany bubek jakiś może życie wytrzymać, czy nie.

KNIAŻ BAZYLI: Jak można porównać żywy owoc wiary, która mnie, wyschniętemu na pustyni, kiedy straciłem wszystko, pozwoliła odrodzić się tu w mojej pustelni i żyć w pełnym zaprzeczeniu tego, co było moim życiem dawnym, jak można porównać to z opuszczonym przez Boga, pustym gmachem twoich znaczków!

BENZ: Daleko większą byłaby zasługa, gdybyś uczynił to bez tego.

KNIAŻ BAZYLI: A ty, gdybyś uczynił to, nie wyrzekając się całego twego logicznego formalizmu. Trzeba tylko chcieć.

BENZ: Otóż to chcenie: tu kryje się fałsz. Wybacz, Bazylu; ale wierzy się, albo nie — ale kto chce wierzyć, ten już jest bardzo podejrzany.

TENGIER: Obaj panowie robicie na mnie wrażenie rozbitków, z których każdy wynalazł sobie fikcję, aby usprawiedliwić koniec zawiedzionego życia.

BENZ: Moja myśl nie jest fikcją — ja mogę udowodnić konieczność mego systemu. Z czasem przyjmą go wszyscy ludzie naprawdę inteligentni.

KNIAŻ BAZYLI: Wychodząc z pewnych założeń — bo bez założeń nie ma nic — samo się to nie zrobi. Ja też, wychodząc z moich założeń, mogę udowodnić konieczność mojej wiary. Jeśli bardzo ostatecznie wziąć to wszystko, to przysięgam, że nie ma różnicy między religią a matematyką: obie są tylko różnymi sposobami chwalenia Boga. Tylko że druga mieści się w pierwszej bez reszty.

BENZ: Otóż to jest ten twój kompromis: ta chęć pogodzenia wszystkiego za wszelką cenę. Letnia woda — zamazywanie różnic niesprowadzalnych. To jest kompromis całego katolicyzmu, bo katolicyzm ma do czynienia z najmorowszą bądź co bądź częścią ludzkości. Prawosławie nie potrzebuje tego jeszcze.

KNIAŻ BAZYLI: Widzisz, Benz: to jest dowód na moją korzyść — to nie przypadek — tylko katolicyzm wychował najlepszą część ludzkości. Protestancka część Niemców była przyczyną największego nieszczęścia ludzkości: Wielkiej Wojny, prawosławni byli najciemniejszym narodem za caratu, a potem stworzyli bolszewizm, tę ruinę cywilizacji, która będzie powodem cofnięcia się całej kultury, jak to już widać na Zachodzie.

BENZ: (zaśmiał się dziko.) A może o to właśnie chodzi? Ludzkość może się udławić komplikacją tej kultury. Religia temu rady nie da.

KNIAŻ BAZYLI: Czekaj: Anglicy byli wzorem imperializmu całego świata, u nich to nauczyły się inne narody gnębić tak zwane „rasy niższe”. Teraz się to na nas mści poprzez Chińczyków — i jeśli rzeczy wziąć głębiej, to może oni, Anglicy właśnie, przygotowali to, co zdeklanszowali tylko Niemcy. Oni stworzyli najbardziej łapczywe, bezmyślne, istotnie niekulturalne państwo pieniądza: dawną Amerykę, która swoim przykładem nas doprowadziła do stanu śpiących manatów brzegowych, przez tę przeklętą organizację pracy. Automaty nie potrzebują religii. A ostatecznie skończyli na jakimś pseudo-bolszewizmie, bo żaden dobrobyt i auta, i radia nie zastąpią człowiekowi idei. W braku religii, którą — jaką ona tam była, wszystko jedno — zabili, musieli zrobić rewolucję, mimo całego poprzedniego zatarcia walki klas.

BENZ: A czemuż wasz Bóg na to pozwala. Nie rozumiecie, że u nas to jest sztuczne — mówię o tym pseudo-fordyzmie — a tam było naturalne, bo ich społeczeństwo było młode. I jeśli będzie u nas rewolucja, to zrobią ją za nas Chińczycy, ale nie my. Bo my sami z siebie nie potrafimy zrobić nic —

TENGIER: Kto „my”? Żydzi?

BENZ: Panie Tengier: Żydzi jeszcze nie pokazali swojej marki: mówię o Polakach, jako Polak. Che, che.

TENGIER: Żydzi może opanują Chińczyków, cha, cha!

BENZ: (Do Bazylego.) Jak słucham tych potwornych baliwernów, to zdaje mi się, że nie żyję w XX wieku. Ja nie będę starał się niczego wam udowodnić, bo wy dowodów nie przyjmujecie. A przy tym to jest błaga, że ty, Bazylu, wierzysz we wszystko, co mówisz. Gdyby można było położyć jedną na drugą wiarę prawdziwego katolika i twoją, toby dopiero się okazało, czym jest ta twoja. Ani Bóg twój, ani Chrystus, ani Matka Boska nie jest dla ciebie tym, czym są dla prawdziwie wierzącego. Ty świadomie dopuszczasz kompromis — to nieprzystawanie tych figur jest dowodem. Nie zdajesz tobie sprawy, jak bardzo różnisz się od prawdziwego katolika, już nie samymi dogmatami, ale mechanizmem twojej psychiki w tych sprawach.

KNIAŻ BAZYLI: To, co ty bierzesz za kompromis, to tylko rozwój myśli w obrębie katolicyzmu. To jest nauka żywa, a nie zbiór martwych dogmatów.

BENZ: Otóż w tym grubo mylisz się. Wszelki ewolucjonizm, jeśli chodzi o prawdy absolutne, o racjonalizm w ogóle, jest nonsensem. To już jest obrona nie religii samej, tylko instytucji, którą ona wytworzyła. Instytucji chce się nałogowo żyć i robi kompromis z własną religią, zmienia ją, przystosowując się. Oczywiście na tej tolerancji zyskuje pewną ilość zwolenników w rodzaju ciebie. Ale to marny materiał dla Kościoła, który chce walczyć i ma jeszcze ambicję zawładnięcia światem. Tu nie chodzi o ilość, tylko

o jakość. Dopóki Kościół był naprawdę żywy, twórczy w życiu, wtedy palił i mordował heretyków...

KNIAŻ BAZYLI: To były błędy czysto ludzkie. Teraz właśnie przychodzi czas naprawy, kiedyśmy zobaczyli, że ani bolszewicki raj, ani faszystowski dobrobyt nie prowadzi do niczego. Rozwój wewnętrzny jest przed nami jeszcze — jak wszyscy będą dobrzy, wszyscy będą szczęśliwi...

BENZ: Skończył ci mózg na tej pustelni. O takich zdańkach nie ma co dyskutować. A rozwój „wewnętrzny”, jak go nazywacie, będzie trwał, aż do rozsadzenia ram dogmatów podstawowych i potem koniec. A cóż powiecie o Wschodzie, który przejąwszy od nas naszą cywilizację, nie kulturę, bo jej nie ma w ogóle, jak słusznie mówił Spengler — i płynącą z niej naszą problematykę społeczną, wali na nas i może za parę miesięcy będzie tu, w tym kraju ciemności, otoczonym okopami okropnej trójcy: ciasnoty, tępoty i tchórzostwa.

KNIAŻ BAZYLI: Jesteś samo-cynik, Benz. To okropna wada Polaków i niektórych Żydów nawet. To gorsze niż nasze samobiczowanie się, bo u was jest to płytkie. A co do buddyzmu, to jest to jedyna religia, której jedyną jeszcze wartością jest to, że przypomina coś w rodzaju niedociągniętego chrześcijaństwa.

BENZ: Czy właśnie nie na odwrót. Buddyzm się nie „rozwił” w waszym znaczeniu — mówię to słowo w cudzysłowie, z ironią — bo był od początku głęboką filozofią, opartą na koncepcjach metafizyki brahmańskiej, był religią dla mędrców. A wasze chrześcijaństwo zaczęło się od prostaczków i dlatego musi się teraz dociągać do wyższych umysłów. Ale w tym dociąganiu się traciło w idei samej to, co było jego istotą, tak jak straciło tamtą prostaczkowość, aby móc społecznie istnieć. To był szalenie mądry krok rzymskich cesarzy, a może było to też motywem nawracania się patrycjuszów, że uznali chrześcijaństwo oficjalnie — obezwładnili tym samym socjalne jego znaczenie i pozwolili zeska-motować je możliwym światu tego i uczynić z niego Kościół, żyjący początkowo w zgodzie z cezaryzmem — potęgą równoznaczną. Potem dopiero, przyjąwszy formę tego cezaryzmu, rozpoczął z następcami jego walkę o panowanie nad światem. A kiedy to się już definitywnie wypnęło, wtedy, z obawy przed konsekwencją doktryn społecznych, nie opartych na żadnej metafizyce, tylko na idei materialnego dobrobytu, zaczyna szukać drogi wyjścia i stąd wasz kompromis. Ożywić Kościół mógłby tylko powrót do form jego dawnych, przedpaństwowych. Ale na to odwagi nie ma nikt i mieć nie będzie, bo ludzie, którzy by na to odwagę mieć mogli, z założenia samego do Kościoła wejść nie mogą. To jest właściwie nie wasz kompromis, bracie Bazylu (tak nazywał Benz kniazia w chwilach najgorszego rozdrażnienia), tylko przywódców Kościoła, którzy tego kalibru wyznawców biorą na lep swoich wolnomyślników.

Kniaź Bazylu milczał. Jego piękna orla twarz, nasycona od wieków fizycznym wyrafinowaniem, jak materia nieprzemakalna kauczukiem, odbijała, niby tarcza, wszelkie zwątpienie. Sama twarz z tej strony. Jakie były jej wewnętrzne podstawy? Na dość marnym bagienku podskórnych sprzeczności trzymał się ten wspaniały profil dawnego władcy. Nie było w nim siły tkwiącej korzeniami w głębiach nieużytego organizmu. Ci ludzie nie mieli przodownictwa nie dlatego, że je im bezprawnie odebrano — tylko mieć go już nie mogli. Były to wyjedzone skorupki bez farszu. Bóg kniazia Bazylego nie był tym nawet, (nie był tak nasyconym w swej ontologicznej boskości), którego propagowali obecnie pół-religijni optymiści z Zachodu, już nie wiedzący, co robić, z ostatecznej nudy, spotworzili w antymetafizycznej pustce Francuzi. Właśnie bąknął coś Bazylu o tych francuskich „odrodzeniach”. Na to mu Benz:

— Dlaczego w Niemczech tego rodzaju ruch odmartwienia religii jest niewyobrażalny? Tam może powstać teozofia jako coś zupełnie innego: jako wyraz nienasycenia, wytworzonego przez negatywne skutki rozwoju i rozpowszechnienia filozofii, która ostatecznie nie zapełnia luki przez siebie wytworzonej. Ale nie można pomyśleć, aby Niemcy, po takiej tresurze myśli — nie mówię oczywiście o Heglu i Schellingu — to bzdura — mogli powrócić do dawnych kostiumów, wytrześć je i urządzić ten religijny kinderbal, na którym rolę Boga-Ojca odgrywa z zezwoleniem i świadomością wszystkich stary rozum w odpowiedniej masce. Ale tylko płytki, antymetafizyczny racjonalizm francuski XVIII wieku, który następnie wydał taką potworę, jak pozytywizm, który to dziś zno-

wu zmienił się w spopularyzowaną fizykę, jako jedyną filozofię, może być podłożem dla takiej wolty, jak to całe tak zwane odrodzenie religii.

KNIAŻ BAZYLI: Żał mi cię, Benz. Ty, mimo wszystkich twoich znaczków, jesteś zakutym materialistycznym łbem. W tobie nie ma wiary w ducha. Twoje wszystkie gadania o twórczości oznaczają jednoznacznie to: z jednej strony sformalizowana logika unosi się już nie w idealnym bycie, platońskim czy husserlowskim, tylko w zupełnym niebycie, pozwalając ci z góry patrzeć na wszelką myśl nie-negatywną, jako na nonsens; a z drugiej strony masz pogląd zupełnie bydlęcy, pierwszego lepszego życiowego spłyciarza i spryciarza, który dla wygody nie wierzy we własną jaźń i człowieczeństwo. Ty nie masz odwagi na światopogląd, z obawy, że może on się okazać w sprzeczności z twoim systemem logiki. Może właśnie system ten należałoby zmienić w zależności od czegoś pozytywnego.

BENZ: Znowu ten ewolucjonizm w zastosowaniu do niezmiennych zasad myślenia! Nie rozumiecie zupełnie, o co chodzi, ojcze Bazyli. Teoria typów uwzględnia wszelki nonsens, bo wszystko jest względne, oprócz samej teorii typów. Brak sprzeczności jest czymś najwyższym.

KNIAŻ BAZYLI: Czysto negatywne żądanie. Zbyteczna skromność. Ale skądęście wzięli tę teorię typów?

BENZ: Z niemożności wybrnięcia z paradoksów. To jest Russell, bo ja...

KNIAŻ BAZYLI: Ha, dosyć już! To jest powód jedyny!! Ja nie mogę tego słuchać. Przyjdzie czas, gdy w strasznej pustce ockniesz się ty i tobie podobni. Może przy pomocy waszych umysłowych koziołków znajdziecie system, który was zadowolni w obrębie samych znaczków, ale systemem tym nie będziecie mieli co opracowywać: będzie on gmacchem opuszczonym bez życia i mieszkańców i w tym zamrzeciu: w nicości bezpłodnej i udęczeniu.

Benz milczał. On sam myślał podobne rzeczy, gdy mu się coś tam nie udawało w jego znaczkach. W ogóle co będzie wtedy, kiedy system bez sprzeczności, wywleczony z jednego aksjomu, będzie siedział już sobie w doskonałości idealnego bytu? Pustka i nuda zakończona, zmechanizowana definitywnie myśli. Aparaty będą cudowne — niestety nie będzie czego przy ich pomocy tworzyć. [Tak jak w dzisiejszej prozie, która w obawie przed problemami zamarła w czysto-stylistycznych ćwiczeniach ludzi, nie mających nic do powiedzenia. Tak mówił Abnol]. Tak — to jest prawdą dalekiej przyszłości — ale tymczasem są znaczki i nic nie ma poza tym — to jest najwyższa marka. Benz poprobował zażartować:

— Zlogizuję kiedyś katolicką dogmatykę i zobaczycie, co z niej pozostanie, Ojcze Bazyli — nic: kupa znaczków. — Rozśmiał się cynicznie, ale echo odpowiedziało mu pustym dźwiękiem z jego własnej głębi, jak ekskawacje wulkaniczne, gdy rzucić kamień na ich sklepienia.

— Otóż to: tobie chodzi o zniszczenie wszystkiego, nie o twórczość. Jesteś widomym zaprzeczeniem życia myśli i wszelkiego ruchu idei.

— Lepsza zastygła prawda, niż fałszywy „ruch w interesie”, będący wyrazem błędu inicjalnego. Wielość poglądów nie dowodzi życia, tylko niedoskonałości. Prawo entropii pojęciowej...

— Błaga. Pogardliwie nazywasz to ewolucjonizmem, które to pojęcie w tej twojej sferze ma właśnie zastosowanie, bo twoje pojęcia rozwijają się też. Według ciebie samego logika stała w miejscu od czasów Arystotelesa i poszła naprzód od Russella.

— Ale stanąć musi i to na mnie. Nic nie rozumiecie logiki i nie rozumiecie się na żartach. Pewien pan, zniechęcony do logiki, twierdził, że trzeba założyć jeden tylko znaczek, na przykład punkt, a jako regułę postępowania przyjąć: „nic nie robić z tym znaczkiem” — wtedy byłaby to osiągnięta doskonałość — „żartował” Benz (i takie bywają żarty), chcąc jednak pogodzić się w końcu za wszelką cenę. Zakończenie rozmowy w niezgodzie pozostawiało u niego trwałą depresję. Ale nagle spochmurniał, osunął się, zapadł się w siebie. Bazyli rozwijał dalej, aż do rzygania z nudów włącznie, rzecz swoją o zmienności pojęć religijnych, która to zmienność nie miała im wcale ubliżać.

Jakąż intuicją wiedziony zaprowadził tu Tengier swego pupila?! Dla niego były to rzeczy znane — asystował już przy x takich beznadziejnych wichrowatych (w znaczeniu geometrycznym) rozmowach. (?) Ale dla Genezypa nic nie mogło być bardziej w porę, niż to, co słyszał. Albo też bardziej nie w porę — zależnie od punktu widzenia. Ale mo-

że raczej pierwsze: zniechęcić się w dniu przebudzenia się z dziecinnej nieświadomości najpierw do sztuki, a potem do religii, nauki i filozofii w tych czasach, może to było szczęściem właśnie. Wszystko zależało od dalszego ciągu. Proporcjonalnie do rozbieżności tamtych dwóch sfer, reprezentowanych przez tych panów, zagłębiał się coraz bardziej w swój jednoznaczny świat nie dającej się zanalizować, nieróżniczkowanej, bydlęcej tajemnicy. Tamto były bieguny — on był czymś zawieszonym w środku, możliwością jedynej prawdy. Neo-katolicyzm + symboliczna logika, dzielone przez dwa — jedna z tych połów to była ta nieuchwytna koncepcja, której szukał. „Tak aby byt z pojęciami stanowił jedność i żeby życie osobiste stanowiło, w całej swej niespodzianości, doskonałą ich funkcję” — myślał, powtarzając nieświadomie nieziszczalne marzenia Hegła. Gdzież podział się dawny system koncentrycznych kółek z „najsztelniejszymi wrażeniami” w środku — przekłety psychologiczny estetyzm, który go pchał w literaturę? Rozpłynął się w oparze tej rozmowy na coś zupełnie niepotrzebnego, zdechłego. Genetyzyp dojrzywał ze straszliwą szybkością. Coś się oberwało, waliło w dół z wzrastającym pędem. Na dnie, jak zaczajony pająk czy polip, czekała księżna i problem jej ostatniego nasycenia. Na to była potrzebna cała ta jego przemiana, aby „osłodzić” (tak) ostatnie chwile jakiejś zamierającej płciowej żarłoczki, czy żarłocznicy. Tu, w tym punkcie uświadomień, wstała w nim znowu zła siła. Nie — to on ją zużyje dla dalszych celów swojej wewnętrznej przemiany. Teraz dopiero zrozumiał. Ta chwila: [trzech starszych wiedzących panów i on jeden, nic nie rozumiejący, wstępujący w życie bubek, w ludzimińskiej puszczy, w mroźną lutową noc; na tle szumu wspaniałego samowaru kniazia Bazylego (prezentu księżnej), a dalej na tle szumu sosnowego boru] mimo swej nieruchomości (siedzieli teraz milcząc wszyscy czterej), zdawała się pędzić i to pędzić równie szybko na wszystkie strony.

Tengier z rozpaczą wypatrzył swe błękitne ślipia w czerwony płomień lampy, świecący przez mleczny klosz. Cała beznadziejność nie dającej się w nic wcielić wszystkości, rozdrobnionej wielości świata, była w tym spojrzeniu. Objąć i zadusić w śmiertelnym uścisku, jak jakieś babskie ścierwo. Doznać raz w życiu tego piekielnego metafizycznego orgazmu w zgwałceniu całości bytu, choćby za cenę wiecznej nicości potem. „Każdy najohydniejszy kokainista ma to właśnie” — pomyślał ze wstrętem. Nie — narkotyki są wykluczone — tak się nie upodli, żeby takimi „*truc'ami*” osiągać niezdobyte. Wiecznie to samo balansowanie między śmiercią, jako jedynym nasyceniem, a życiem, rozproszkowanym w przypadkowości (to było najokropniejsze) nawet tych niby „koniecznych” „dzieł sztuki” — o jakże nienawidził tego słowa w tej chwili! Widział zasłuchanego w swoje utwory jakiegoś nad wyraz przykrego melomana (bogatego Żyda na pewno — Tengier był antysemitą), pochłaniającego *jego* *rodzone dźwięki* (których on nigdy może w orkiestrze nie usłyszy) i doznającego jeszcze jednej (na tle tylu innych, których on, Tengier, był pozbawiony) przyjemności! Był zabawką w rękach okrutnej potęgi dlatego tylko, aby dopełnić do stopnia doskonałości serię rozkoszy jakiegoś tam — wszystko jedno — w każdym razie nie nędzarza takiego jak on, tylko jakiegoś „władcy” pod maską dobra ogółu czy interesów jakiejś klasy. (Bo nawet jeśli przez radio usłyszą go tłumy całego świata, to *pojmie* go tylko „ten” — obecny wróg — i jemu podobni, których będzie kilku, może kilkunastu — reszta słuchać i podziwiać będzie przez snobizm jedynie... Ale gdyby zjawił się taki drań teraz — a, to nie byłby wrogiem — machałoby się przed nim ogonkiem i poszczekiwało radośnie). O nędzo! Ale cóż: cała pracująca klasa nie ma czasu na takie estetyczne frykasy, nie ma czasu nauczyć się ich pojmovać — ona istnieje po to, aby dać wyrosnąć na sobie takiemu grzybowi, który by ją reprezentował. Bo o dawnych „*aristos*” mówić nawet nie warto — spsiali tak, że nie odróżnisz ich na szarej miazdze towarzyskiej miernoty. A byłiby lepsi może od tych — — — Nie czuł Putrycydes Tengier, jak odwracał wszystko na odwrot w swoim zniekształconym przez artystyczną twórczość i życiowe niepowodzenie mózgu. Długie, smutne solitery myślowe pelzły w dal, daleko poza tę budę i ludzimierskie lasy. Wielkość takich „falszów”, gdzieś w tajemniczym punkcie przez przypadek z różnych stron skondensowana, zmienić może w danej chwili kierunek historii. „Z jednej strony dowolność tego, co ma być z ludzkością: przyszłość zależna od sumy jakichś tam wcale niekoniecznych myślatek — z drugiej: fakt dokonany, olbrzymi, męczący swoją jednoznacznością — fakt uspołecznienia. I wszędzie tak być musi. Dewiacje mogą być na małą skalę — wypadkowa musi być taka sama na planetach Altaira i Canopusa, jak i tu — faszyzm czy bolszewizm — *ganz gleich, égal, usio rawno!*

— maszyna, albo bydło. Zasada wielkich liczb: chaos cząsteczek w masie gazu stwarza przez ilość prawa precyzyjne np. zależności temperatury i ciśnienia — takie a nie inne co prawda, ale nie jedynie myślowo-konieczne — nie to, co Niemcy nazywają „*denknotwendig*”. Z drugiej strony są też niedozwolone eksperymenty myślowe, to co znów Niemcy nazywają „*unerlaubte Gedankenexperimente*” różnych optymistów, wierzących w odwracalność społecznego rozwoju, jeśli idzie o twórczość w sferze myśli i w sztuce. To samo co zakładać czas wielowymiarowy dla wytłumaczenia spirytyzmu czy telepatii, albo wierzyć w inną logikę. „A może gdzie indziej $2 \times 2 = 5$ ” — mówią tacy panowie. Ale jeśli im powiedzieć: „lepiej założcie że *A* nie jest *A*”, oburzają się. „Gdzie indziej” nawet nie wolno wyjść poza identyczność pojęć, bo to nie jest żaden inny świat, tylko idiotyzm. Wtedy lepiej wycić, niż operować pojęciami — i to jest ostateczny wniosek z Bergsona”. Myśl rozwiewała się w nieobjętych, nieściśliwych szerokościach. Tengier ocknął się.

Kniaź Bazyle miał dziwne wrażenie, że przegadał dziś swoją sprawę. Fatalnym było to, że cała ta kwestia odrodzenia katolicyzmu i w ogóle wiary ważniejsza była dla niego wtedy, gdy o niej mówił, niż kiedy ją sam przeżywał. Tak — być po prostu dobrym człowiekiem, raczej człowieczkiem, to duże jest zadowolenie, o, duże. Jakże wszystko się przez to upraszcza, wygładza, zalizuje, natłuszcza, wypomadowuje, duchowo uobleśnia — po prostu zagwazduje. Brrrr... Ale nagle przychodzi takie okrutne „piknięcie”: pałac w Pustowni, zmarła żona (no to mniejsza, ale przecie „*tyż*”...), dla której na siedemnaście lat wyrzekł się innych kobiet, i zamordowany syn: piętnastoletni chłopak, który dowodził jakąś zatraconą przeciw-bolszewicką partią fioletowych kirasjerów „*Jewo Wieliczestwa*” i potem te historie z tą tu i z innymi, już dogasająca piękność i siła, już wszystko „nie to” i żal okropny za przeszłością targa jakiś najbardziej bolesny bebeszek, ukryty przed ludźmi głęboko w świetnie dotąd utrzymanym cieple. Ale wszystko to już „nie to”, „nie to”! I jedyne na to lekarstwo to ta przeklęta dobroć; ale nie ta jasna i pogodna, dająca wszystko wszystkim (no tak znowu może nie) z nadmiaru, bez rachunku, tylko taka wywleczona ze stężałego z bólu serca, starego zużytego worka, co się dość dla niegodnych rzeczy natłukł; taka dobroć nieszczęsna, przykra, nieszczerza i *nie-codzienna*, tylko okwiecona odświętnie, jak nędzna kapliczka na rozstaju przez jakiegoś pastucha-idiotę, który nawet w niedzielę żadnej przyjemności mieć nie może. Kąsa coś w środku bezlitośnie co dzień od samego rana, a gdzieś przewala się inne życie, do którego nigdy już, nigdy dostępu nie będzie. Przekonał się „na” swoim romansie z księżną Ticonderoga, że już nie pora na takie figle. Stracił dawną śmiałość — nie był z typu tych starców, trochę grubawych, prawie brzuchatych, rumianych i wesołych, co to mogą pokryć fizyczną starość lakierem lekkomyślności i beztroski, zamienionych na drugą, sfalszowaną młodość. Trzeba było się cofnąć. Potem pięć lat pustelni i gdyby nie ten fałsz, który taki oto wstrętny, suchy znaczkoman nawet odczuć może, to w ogóle nie wiadomo jak by to życie wyglądało. Tylu ludzi przewinęło się przez tę pustelnię! Iluż nawrócił, ilu omamił, ilu od śmierci wybawił! Bezsprzecznie „społeczną” wartość to miało i chyba dostateczną było pokutą za gwardyjskie przestępstwa, a jednak ssało coś „pod łyżeczką”, czy w dołku — nieokreślona bolesna nuda i tęsknota za innym, bardziej namacalnym zakończeniem życia, nie w tej plugawej i pożytecznej dobroci, w którą sam nie wierzył. Dobrze było nawracać — niedobrze było żyć jako ten nawrócony. Ekspansja zewnętrzna pokrywała pustkę wewnątrz. Każdy książdz ma na to odpowiedź: „Bóg zsyła zwątpienie, aby wiarę tym cenniejszą uczynić”. Ale to nie wystarczało księciu Bazylemu. Strasznie był nieszczęśliwy. Na tle tych jego myśli Tengier zaczął mówić i było to męką bez granic dla wszystkich — do czytelnika włącznie. (W ogóle każdy mówiąc krył się jedynie przed samym sobą, byle tylko nie widzieć życiowej otchłani, otwierającej się na każdym kroku).

— Wiara w sens życia jest jedynie udziałem ludzi płytkich. Ze świadomością irracjonalności istnienia żyć tak, jakby ono było racjonalnym — to jest jeszcze marka. To leży między samobójstwem a bezmyślnym bydlęcstwem. Wszystko, co było głębokim, powstało tylko z rozpaczki ostatecznej i zwątpienia. Ale miało tę wartość, że przez wynik, niepodobny nawet do źródła swego, uświadamiało innych o czymś zupełnie innym: o indywidualnej ich wartości, która znowu tworzyła podstawy uspołecznienia, uniemożliwiającego następne zwątpienie. Ale dziś czasy wątpicieli skończyły się. Trzeba bezmyślnie — nie w znaczeniu technicznym oczywiście — działać: produkować jak najwięcej za wszelką cenę. Wszystko, co czynimy, nawet my, są to tylko różne formy tego zama-

skowania przed sobą ostatecznego nonsensu istnienia. Ludzkość baranim pędem dąży do szczęścia niewiedzy, zaczynając gnębić tych skarłatych dziś uświadczenieli, którzy jej w tym przeszkadzają, nic w zamian nie dając. Byli potrzebni dawniej dla uświadczenia bytła i dania mu możliwości organizacji. Teraz są zbyt tacy — mogą ginąć, tym bardziej, że są dużo niższej marki niż ci dawni. Tak — to jest pewne, że sam fakt istnienia jest potworny: polega na krzywdzie innych, począwszy od milionów istnień, ginących w nas w każdej chwili — i rodzących się — to prawda, ale na taką samą mękę, abyśmy my mogli trwać ten marny wycinek czasu.

— Nic nie ma gorszego nad beczasowość. Mogę się zabić, ale na myśl, że mógłbym nie istnieć wcale, zimno mi się robi z przerażenia — rzekł Benz, a potem krzyknął nagle w historycznym uniesieniu: — Mówię wam, że jedyna pewność to moje kochane znaczki i wszystko, co z nich wypływa: matematyka, a dalej mechanika i wszystko, wszystko! A reszta to wcielenie niepewności. Znaczki są czyste, a życie jest brudne i plugawe z założenia. Tengier ma rację.

— Taki sam kręcik jak neokatolicyzm księcia Bazylego. Zatulanie się w rozkosznej kącie i wmawianie sobie przez łzy rozpacz i zawodu, że jednak coś jest dobrego we wszystkim, że istota świata jest dobra, tylko zakryta jest chwilowo przez zło, wskutek naszej niedoskonałości. Nieprawda! Pomijając już krzywdę komórek, pracujących we mnie i tego, co ginie przeze mnie w tak zwanej materii martwej, która jest tylko konieczną kupą istnień w każdym układzie teoretycznie możliwym, stanowiącą podłoże dla innych. Bo jakkolwiek istnienie jest nieskończone, tu w danej zamkniętej przestrzeni musi być mniejszych istnień więcej niż większych. Nieskończona w granicy podzielność istnienia, oto źródło fizyki, opierającej się na przybliżeniu, na granicznym porządku, w ostateczności swej nigdzie nieosiągalnym... — Zaplątał się i nie mógł skończyć wypowiedzenia jasnej intuicyjnie myśli.

— Złeż pan z tej metafizyki, bo nie wytrzymam — przerwał Benz. — Jak pan śmie wobec mnie produkować taką baliwernię? Ja zabraniam o tym myśleć i koniec. Między tym bredzeniem a teozofią nie ma żadnej różnicy. Ja panu to powiem jaśniej, przyjmując pańskie idiotyczne założenie, że w nieskończonej przestrzeni nie ma nic, prócz żywych stworzeń: oto, że dla każdego rzędu wielkości stworzeń znajdują się tak małe, że będą dla niego stanowić podłoże materii martwej, mogącej być ujętą w przybliżeniu w prawa o matematycznej formie. Ale co się stanie z aktualną nieskończonością w znaczeniu ontologicznym? Jak będą wyglądać istnienia żywe nieskończenie małe? I na jakim podłożu one będą istniały? A co pan powiesz o tym, że atomy są rzeczywiste, a nie tylko hypotetyczne? I elektrony i tak dalej — na równi z systemami gwiazdnymi? Czy założy pan ciągłość takich skupień we wszystkich rzędach wielkości i budowę materii żywej niezależną od nich, mającą swoją strukturę? Bzdury. —

Tengier uśmiechnął się z goryczą, która w formie łez, wypompowanych gdzieś aż z dolnych trzewiów — podeszła mu pod same oczy — oczy „podeszły” upokorzeniem, jak kwaśne mleko wodą. Dawny nienasycony intelektualny apetyt dławił straszliwie. Już za późno było na to wszystko w najwyższej formie. Z zazdrością niesłychaną patrzył na Benz, który puchł mu w oczach jak gąbka, przesycona absolutną wiedzą, negatywną, ale absolutną, psia-krew! A jednocześnie wiedział, że to też niczym jest wobec otchłani bezdennej wszechistnieniowego nonsensu i tajemnicy, która ten nonsens rodzi.

— A jednak mam rację — rzekł z uporem. — Może mój system pojęć nie jest dość doskonały, aby jednoznacznie i adekwatnie to wyrazić, ale tym niemniej jest jedynym prawdziwym — zdaje sprawę z tego, co naprawdę jest. Gdybym go wykończył, bolszewicy musieliby go przyjąć jako wyższą formę materializmu, od tego, który oficjalnie teraz wyznają — materializm biologiczny — jest tylko materia żywa, w różnym stopniu zindywidualizowana, obdarzona świadomością, w znaczeniu tym, że nawet mikroby mają czucia i pewną rudymentarą osobowość. U nas świadomość łączy się z intelektem — to jest luksus, nadbudowa. Łatwiej nam sobie wyobrazić stopniowanie wzwyż, niż w dół — a zależy ono od ściślejszego lub luźniejszego związku części organizmu między sobą — bo komórki też muszą być złożone. Tę ich złożoność wyrażamy w postaci chemicznych kombinacji w sposób przybliżony. — (Benz machnął ręką z pogardą). — Ale nawet jeśli tak nie jest, to obaj panowie nie możecie być dla mnie uosobieniem doskonałości. Nie widzę w was umysłowego rozpędu dawnych mędrców i proroków, nie czuję w was inte-

lektualnego ryzyka. Dostrzegam tylko ostrożność asekurujących się w swych skrytkach ślimaków, które boją się, aby ich nie rozkwaszono w Nielitościwej społecznej walce. Ja wiem dobrze, jak by to było przyjemnie uwierzyć tak, że nic nie ma ponad znaczki — jak wtedy inaczej przedstawiałaby się nędza życia, choćby pańskiego, panie Benz — z mojego punktu widzenia. Oczywiście lepiej, aby pana uznano. Ale jak pomyślę, na jakie niebezpieczeństwa narażony jest człowiek uznany, chcący się utrzymać na tym samym standardzie, to widzę, że jednak może lepiej jest, że obaj jesteśmy na marginesie. Może nie użyjemy wszystkich życiowych frajd, ale stworzymy za to rzeczy głębsze. Ja nie umiem być złośliwym, ale umiem mówić przykre prawdy. A pan znowu, panie Bazyl: gdyby wszyscy uwierzyli w pana neo-pseudo-katolicyzm, straciłby pan sam dla siebie cały urok: bo kogóż wtedy można by nawracać? — (Tamci obaj skurczyli się od cierpienia). — Ja wiem, że moja muzyka jest też ochroną siebie samego przed okropnością metafizyczną i tą nawet codzienną okropnością istnienia. Tylko to wiem jedno: ona wyrosła ze mnie tak, jak wyrasta skorupa razem ze ślimakiem — jestem razem z nią naturalnym wytworem czegoś, co mnie przerasta — wy raczej przypominacie mi gąsienice chruścika, które budują sobie futerały ze wszystkiego, co napotkają i to takie, których kolor przypomina ogólny ton podłoża.

— W czymże to my przypominamy podłoże — spytał zraniony w żywe mięso książę Bazyl.

— Nie wiecie o sobie samych nic. Ja przynajmniej wiem, kto jestem w mojej epoce. Może właśnie i jedno, i drugie — i pańska religijność, i pańska symboliczna logika, jest tylko wyrąbywaniem ścieżek dla jakiegoś tam Murti Binga, którym teraz pogardzacie, a którego wiarę za parę dni możecie przyjąć, jako jedyny narkotyk, który was wybawi od was samych. A to wszystko może być funkcją jakichś zmian społecznych w Azji. A poza tym w tych maskach najłatwiej wam przemknąć się przez życie, ratując ogonek indywidualnego psychicznego dobrobytu. — Mówił zupełnie nie na serio, nie wiedząc sam, jak bliskim był prawdy niedalekiej przyszłości.

Przed Genezypem otwierały się coraz dalsze wewnętrzne przestrzenie. Czuł, że się kończy, tu, w tej budzie, ostatni podryg jego nieodpowiedzialnej egzystencji. Wszystko wlokło się jak bezręki i beznogi kadłub życia, ale nie ono samo. Jakież ono być miało, to jego życie własne — już nie ta czyjaś systematyka bez flaków i jąder, i mózgu? Zerwał się. Czas uciekał. Tamci zastygli w pojmowaniu prawd, czy też fałszów, ostatecznych. Spojrzeli na niego wszyscy trzej — już uciekało im, każdemu inaczej, to, do czego rwał się ten. Każdy z nich czuł to i chciał temu oto pędrakowi albo: dać całą mądrość, której sam wcielić nie potrafił, albo też przeciwnie: widzieć, jak będzie cierpiał ten nieświadomy nieszczęśnik, tak, jak oni cierpieli kiedyś. Ostateczna prawda, że nic nie jest tym, czym być powinno... Czemu? Głucho szumiał bór od parcia rodzącego się w górskiej oddali wichru. Okropna tęsknota szarpnęła jelitami Tengiera. Nie mógł wymyślić nic. Wszystkie antidoty były wyczerpane — chyba pójść tam znowu do swojej chaty i stawiać znaczki na pięcioliniach, prawie takie same, jak ten wyschły schabek, Benz. Po kiego czorta? A jednak czuł, że tam, na dnie chaosu bezsensownych, potencjalnych dźwięków, kryje się dla niego jakaś niespodzianka. Już nie wewnętrzna. Z tymi skończył — już wiedział wszystko. Cóż zostało mu w życiu? Paru świństw dokonać. Czy warto? Nie wiadomo czemu właśnie na tle poznania Genezypa ta straszna prawda o niemożności przekroczenia granic swego „ja” stała się dla niego dopiero teraz tak jasna, jak nigdy. Stęzał w okropnym, bezprzedmiotowym bólu. Trzeba działać, rwać się do czegoś (kto powiedział?), ku czemuś pędzić — a tu nic — zastygło wszystko w bezimiennym, „opłakanej”, stęglej, *metafizycznej* codzienności. Wszyscy wstali — dźwignęli wstając swoje beznadziejne życia na karkach. Szumiał coraz silniej wzbierający wichur. Dlaczego wszyscy „jak jeden mąż” poczuli absolutnie to samo. (Ten pędrak się tam przeżył, ale co im było do tego). Stanowili teraz, mimo indywidualnych różnic w przeszłości i konstytucji cielesnych, prawie jednego człowieka.

ROZDŁAWDZIEWICZENIE

Zaraz po wyjściu Tengiera i Zypcia z chaty (Afanasol został na noc u księcia) stało się na dworze coś strasznego. „Tak dłużej być nie może” — powiedział sobie Tengier i zaczął mówić tak do swego pupila: [a było to nad wyraz wstrętne dla nich obu — cóż robić].

— ...Zypku — [fala odwilży, jako refleks wzdymającego się wiosennego huraganu, przewaliła się przez las. Z hukiem zwały się wszędzie zwały mokrej już okiści]. — Zypku, będę mówił z tobą otwarcie. Ty nie wiesz jeszcze, jak okropne jest życie. Nie w tym banalnym znaczeniu, na przykład dla urzędnika, który stracił posadę, czy syna organisty, który musiał się ożenić z chłopką, aby stworzyć swoje pośmiertne rzeczy. — Zaśmiał się i apetyt potworny na wszystko zalał go po brzegi, jak głodną świnię przed śmietnikiem, wielkim niby krater Kilimandżaro. Żądza czystości i wzniosłości, tej możliwej jedynie po dokonaniu jakiegoś [jakież miał pod ręką możliwości, jak nie te pseudohomoseksualne uwiedzenia?] wysokiej marki świństwa, ukłuła go boleśnie w podsercowe okolice. Skóra stała się bolesna z niedosytu, jak w gorączce. Widział siebie w lustrze podczas mycia się — suchą nóżkę, tę lewą, wdzięczną jak u młodej kózki, i prawą, normalnie chamską, i obojczyki wystające i zapadłe „solniczki” i „Chrystusową” (tak mówił pewien sentymentalny knociarz) klatkę piersiową z małpimi długimi rękami po bokach i inne części, wielkie jak u nosorożca, chorego na słońniowaciznę. *Takim* właśnie sięgnąć po to niewiniątko, zanim jeszcze uwiedzie je ta stara kurwa, Irina Wsiewołodowna — podwójna rozkosz: zemsta nad nią za to, że jeszcze jej pożądał, mimo że nawet jego, (w tym wieku — ona!) kaleki, nie była godną — nawet jego, a jeszcze pożądał — straszne to były słowa, a musiał je trawić, jak zgniłą kielbasę, zeżartą z głodu z odbijaniem, nieomal z podrzygiwaniem. A tu obok szedł ten piękny bubek — baron w dodatku — dziewiętnastoletni! („Boże! Jakże nędznym było moje życie wtedy!” Surowy bób; pokryjome granie kompozycji na fisharmonii; chodzenie boso, bo na buty nie było, i kochanie się bezpamiętne, aż do upadającego onanizmu włącznie, w małej, rudej Rózi Fajerzajg, która nim pogardziła dla subiekta z bławatego sklepu w Brzozowie). To wszystko połknął teraz po raz drugi, jak okropnie gorzkie lekarstwo. A nad tym dzisiejszy dobrobyt i żona i dzieci, spiętrzone w niewyraźną masę wstrętu, męki, bezpieczeństwa, w sosie prawdziwych, tych najbardziej wartościowych uczuć. — ...Zypku: życie jest straszne — nie w tych codziennych okropnostkach, z których usprawiedliwienia zrobili kiedyś Norwegowie soczek nowalii w swej literaturze: to wyolbrzymienie uroku codzienności do rozmiarów wszystkości, to wmawianie, że wszyscy są równi w podstawowych namiętnościach, to konstatawanie banalnych podobieństw między księciem krwi a zbydlęconym robociarzem — czemu nie między człowiekiem a mięczakiem od razu — to nie jest droga prawdy. Zaktualizowana równość chrześcijańska, raczej jej złudzenie i te wszelkie osobiste udoskonalania się *à la* Bazyli, to kłamstwo słabych. Równość będzie kiedyś — kiedy idealna organizacja społeczna rozdzieli bez reszty wszystkie funkcje według zdolności. Ale hierarchia nie zniknie nigdy. Ja jestem okrutny wobec siebie, a przy tym jestem ostatni — dlatego mam prawo na wszystko. — Coś dzikiego zabrzmiało w jego głosie. Objął Zypcia prawym ramieniem, patrząc mu z dołu w uciekające oczy. Z chwiejących się świerków i sosen sypał się na nich mokrawy śnieg. Las pachniał wilgotno-grzybowo-zmysłowo, tajemniczo, prawie wstrętne. Nie śmiał odsunąć Tengiera Genezyp. Przy tym, mimo obrzydzenia, ciekawy był, co też jeszcze z tego wyniknie. Myślał wytrzymać do ostatniej chwili, a potem kopnąć nagle z całej siły. Nie obliczył dobrze słabości swego serca, tej samej, co kazała mu te psy w dzieciństwie spuszczać. Ohyda. Tengier mówił dalej: — Ja nie chcę udawać jakiegoś parszywego rozestetyzowanego Greka, ale pomyśl: czy oni jednak nie mieli racji — (Zypcio nie rozumiał nic) — stwarzanie czegoś zamkniętego, jednorodnego, w co nic już obcego wmieszać się nie mogło. Czysta myśl, spięta ekstazą równie czystą, bo z jednakowych elementów złożoną — ta właśnie cudowna helleńska beztraska i brak wszelkiego upokorzenia, które pociąga za sobą stosunek z kobietą — ty tego jeszcze nie rozumiesz — (tu puścił Zypcia i zażył pigułkę strasliwego afrodyzjaku, którym kiedyś raczyła go księżna) (bo ochoty nie czuł bezpośrednio żadnej — chodziło jedynie o skutki) — czyż to nie jest szczytem tego, co można we dwóch — a nie we dwoje — osiągnąć w tych wymiarach. Ty tego nie pojmujesz i może Bóg księcia Bazylego uchroni cię od tego, żebyś kiedykolwiek pojął tę męczarnię, kiedy nie to, że się nudzisz

czysto negatywnie, ale nuda jako ból nieznośny, jako odrębny byt w tobie wchodzi do tej ostatniej twojej komórki i wyżera ci największy skarb, samą jedność twojej jaźni i zamienia ją na bezosobowy ochłap żywego mięsa wysychający w bezwodnej pustyni. Ach — nie wiem... I czujesz wtedy, że to wszystko nie ma żadnego sensu — gorzej, że to jest zbrodnia, że niby dlaczego ty tu właśnie, tego człowieka, to jemu, a nie co innego i nie tam — i dlatego, właśnie dlatego — tylko te słowa okropne przez swoją jedność, tę samą, a nie inną. I to cię boli, jakby cię piekli na żywo, że tylko sobą być musisz, a nie wszystkim, i wznosisz się wtedy ponad siebie aż w nieskończoność. I to przerażenie, że może poza tobą nie ma już nic — bo czyż mogłaby być taka dziwność, żeby jednocześnie w niewiadomej przestrzeni, jednocześnie dwa takie same stwory... nie wierzysz, że może istnieć drugi stwór, a jednak musisz przez to właśnie... Z kobietą nigdy... o Boże: ja ci tego nie wypowiem, Zypku najmilszy... (Nienawidził w tej chwili tego ładnego bubka do obłędu i to go podniecało). (Na to słowo ostatnie „najmilszy”) Genezyp skrzył się w jeden węzeł tępego bólu, jadowitego obrzydzenia i wstydu bez granic. To było naprawdę plugawe). — Ja nie potrafię — bulgotał tamten zapieniony w najgłębszej z ohyd — a już z nocnej oddali, jakby zza tych wypełnionych sytkim śniego-wichrem lasów, szła fala nieznanych dźwięków, piętujących się w diaboliczną, rogatą, najeżoną groźnymi wieżami konstrukcję. Na Putrycydesa Tengiera przychodziło natchnienie. Nie bał się ani wilków, ani samego Belzebuba. Duch jego leciał ponad światami w metafizycznej burzy. A język belkotał dalej niewiarogodne, zamaskowane świństwa: — bo uciekam od chwil takich i nie umiem — rozumiesz — nie umiem — a jednocześnie pragnę ich do szaleństwa, bo tylko na granicy potworności jest prawdziwa głębia. I to nie jest żadna perwersja — każdy to wie, tylko społecznie lepiej jest, gdy się tego nie widzi. Dawniej było inaczej: wszystkie okrucieństwa, ofiary z ludzi, orgie religijno-erotyczne — wtedy kilku ludzi przeżywało to wszystko pięknie i potężnie. Dziś oto co jest: jakiś nieuznany muzyk w zaśnieżonym lasku... — (Genezyp zwił się dalej, ale musiał słuchać tego, gdyż to, co mówił tamten, zionąc na niego nieczystym oddechem, wyjaśniało mu jego własną zawilość. W tym był właśnie szczyt obrzydliwości. Tengier plół ciągle:) — Boję się wtedy samego siebie: że- bym nie popełnił czegoś tak okropnego, że już potem życie byłoby nie do zniesienia! Ja ci powiem w tajemnicy, że chce mi się czasem wyróżnić w pień całą rodzinę. — („Ależ to obłęd” — pomyślał Zypcio ze strachem. — „On gotów mnie tu...”) Tamten mówił już spokojniej: — Ale nerwowcy nie wariują podobno nigdy. Wiem, że tego nie zrobię, ale zamiast tego muszę mieć jakiś ekwiwalent. Bechmetiew badał mnie — nie znalazł nic złego. I nagle w tę burzę, rozumiesz — zaczął znowu tamtym tonem — spokój wchodzi taki, że wszystko martwieje w podziwie nad bezsenssem wszelkiego ruchu i ja stoję między dwoma zwałami dziwności w sobie, zwykłymi, jak ściany w mojej chałupie, i nie rozumiem, że przed chwilą wyc mogłem ze strachu i zdziwienia. I gdybym wiedział, że to jest właśnie prawdą, a nie takim samym omamieniem jak eter, kokaina i haszysz, których się wyrzekłem, przysięgam ci: dla jednej chwili takiej ja bym zniósł tysiące, nie dziesiątki lat cierpień i modlił się do byle czego o sekundę takiego objawienia, aby choć umrzeć tam, a nie w tym okropnym świecie okrutnego przypadku. Ale *na pewno* nie wiem — „O, gdyby to było prawdą” — rzekł w Genezypie dość obcy mu „dorosły” człowiek, który zjawił się w nim po raz pierwszy tydzień temu, w czasie odczytywania maturycznych wyników, kiedy ten pierwotny, „nędzny dzieciak”, jak go znowu nazywał ten nowy, wiedział o tej prawdzie na pewno. Jakiej? No to, że bbb... — że jak mówi Wittgenstein: „*wovon man nicht sprechen kann, darüber muss man schweigen*”. To wszystko, o czym się tomy pisze bez skutku już od dwóch tysięcy lat i co nareszcie w uniwersytetach zabronionym zostało na zawsze. Nie wiedział jeszcze Genezyp, czym są narkotyki. (I nie dowiedział się nigdy). Tengier wiedział i bał się jak ognia fałszu, wiedząc też, jak cienkie przepierzeńko oddzielało te dwa bliźniaczo podobne (jak dwie martwe natury nieboszczyka Fudżity, jakby powiedziała księżna), różniące się niedostrzegalnymi na pierwszy rzut oka „detajlami”, światy. „*Identité des indiscernables*” — gdyby nie skutki, chyba zawsze złe, któż by je odróżnił od siebie w chwili trwania: moment metafizycznego natchnienia od upojenia jakimś świństwem.

— Więc pan nie wie na pewno — to straszne. Więc pan jest w takich samych ciemnościach jak ja — mówił brutalnie i zupełnie nieszczerze Genezyp, ściskając w kieszeni pożyczony od Kniazia Bazylego rewolwer. Jedyłą pewnością była ta martwa, zimna,

metalowa rzecz. — W tych rzeczach nie może być stopni: albo jasność, albo mrok — wszelkie półcienie równe są ciemności. Ja chcę być zupełnie oświecony, albo od razu w „łeb sobie zapalę” i koniec — krzyknął Genezyp historycznie i wyciągnął kabotyńskim ruchem rewolwer z kieszeni. A może naprawdę zastrzeliłby się w tej chwili, gdyby nie tamten.

— Dawaj to, szczenię podle! — ryknął Tengier w tumanie lecącego śniegu. Zgniół mu rękę i wyluskał z niej tak zwane „śmiercionośne narzędzie”. Genezyp zaśmiał się nie-naturalnie — nie na miejscu były takie żarciki. — Dlatego zaprowadziłem cię do nich — mówił dalej Tengier spokojnie. — Oto masz dwa szczyty świadomości — może nie najwyższe, ale dla przykładu wystarczą. Prawda okazuje się tylko wygodną trampoliną do skoku w wygodne łóżeczko z miękkimi piernacikami, którymi są dawno odarte ze znaczeń pojęcia. To, co było dawniej, w chwili rodzenia się, czymś wielkim, dziś zeszło na tresowane morskie świnki. Prawda, doskonała czy nie — wszystko jedno — i wiara istniały dawniej z konieczności — niechętnie brnął Tengier, widząc jasno, że na tle samej uczuciowej maskarady, bez wyższej dialektyki, nie zdoła uwieść tego jedyne w swoim rodzaju bubka — wyjątkowego oczywiście względnie tylko, na tle wstrętnej mu, zbydlęconej w sportowym zmechanizowaniu, młodzieży — dziś są wytwarzane sztucznie w odpowiednich stopniach i dawkach dla rozwiązań częściowych: życiowych, politycznych, społecznych — nie mają swoich własnych krajów, w których by obowiązywały — prze-filtrowały się, spowszechniały, spospolociały, rozeszły się między wszystkich i zmarniały. Nie odwróci się ten proces za nic na świecie. —

— A ci dwaj? Gdyby tak połączyć ich myśli w jedno... — zaczął Genezyp, uwalniając się przemocą z świętokradczego uścisku. Nie sam czuł się świętością dla siebie, ale pewne rzeczy bądź co bądź... no, te dziecinne kółeczka... Ach, czemu nie miał przed chwilą odwagi strzelić w ten swój „biedny lepek” — tak pomyślał o sobie. Już obcy człowiek litował się w nim nad zdechłym dzieciątkiem. Widział jak na dłoni wielkość wielowymiarową tej włochatej kupy wykoślawionego mięsa z kośćmi, brnącej obok niego w krótkim kożuszku przez odwilżający śnieg. Miał przecie do czynienia prawie z „człowiekiem reprezentatywnym”, z unikatem — a jednak nie czuł z tego powodu najłżejszego nawet snobistycznego zadowolenia. Jednocześnie z dławiącym poczuciem wielkości, już nie tylko muzyczno-artystycznej, tego pokręciła, tak strasznie pogardzał tymże samym Tengierem jako cielesną osobą; mężem tamtej chłopki, która mu się nawet z lekka podobała; tym bezwstydnikiem psychicznym, wyładowującym ekskrementalnie niesmaczne wywnętrzania i to przed nim, dzieckiem prawie.

— To tak, jakbyś na przykład chciał roztopione żelazo zmieszać z oliwą w jedną emulsję. To bieguny. Między nimi, a nie w nich, jest ten cały opuszczony kraj, ta wymarła kotlina, w której żyję ja. Jeden stwarza sobie Boga, naczytawszy się historii religii, w analogii do wszystkich innych bóstw. W tej tolerancji jest już cała nicość jego wiary. Jego Matka Boska to Astarte i Pallas Atene i Kybele i diabli wiedzą kto, a jego Bóg ledwo w mówieniu o nim, ale nie w odczuciu, oddziela się od całości świata brahminów, a jego święci — to prawie chińskie bożki, patrolujące wszelakim czynnościom i przedmiotom. Jakże dziś trudno odróżnić rzeczywistą wartość jakiejś koncepcji od udanej — skąd można wiedzieć, czy jest ona zręcznym zlepkiem wymierających gadań o czymś, co było kiedyś żywym, czy też strzałą światła, przebijającą po raz pierwszy ciemność wiecznej tajemnicy? — Genezyp odczuł fałsz jakiś w tych słowach.

— No dobrze, a ten drugi? — spytał, by na jak najdłużej odciągnąć zbliżające się z przyszłości zdarzenie.

— To samo. Drugi kraniec. Oto straszliwy aparat, może nawet i bez sprzeczności — chociaż niektórzy wątpią w to, twierdząc, że gdzieś coś tam musi być nie w porządku na dnie — i co dalej? Nasyca to tylko intelektualne żądze swego twórcy, apetyt chorego żołądka, który nic już strawić nie potrafi, a tym mniej przetworzyć na pokarm dla żywego organizmu. Bezduszna machina, z której wyżyn — tak: z wyżyn maszyny — czemu nie? — (podoobało się Genezypowi to przyznanie się do błędu i z powodu takiej drobnostki stracił osmdziesiąt procent oporu) widać tylko pustkę myśli i równowartościowość wszystkich koncepcji świata, jako bzdur — cóż z tego, że różnej klasy, ale bzdur. — („Gada tak o nich, jak oni wygadują na drugich, ale sam rdzenia nie ma” — pomyślał Genezyp.) — Nie — wykluczmy to zupełnie — mówił niesmacznie Tengier. — Nie

dam ci — (znowu przysunął włochaty, śmierdzący pysk do brzoskwiniowych, zimnych, pachnących puszkową młodością, policzków tamtego.) — zejść w bezpłodną metafizykę. Musisz to czuć, ale nie myśleć o tym. Cały ten kłęb nierozplątany — bo moja myśl jest z założenia niejasna — u mnie jest motorem mojej sztuki — wszystko jedno, czy ci durnie rozumieją ją, czy nie. Gdybym to zanalizował do końca, straciłoby to momentalnie wszelką wartość: tak, jakbym 100000 ton piroksyliny spalił na wolnym powietrzu. W ten sposób daje mi to prężność wewnętrzną wprost piekielną. Jestem jak pocisk, który siłą woli posuwa się powoli, a zmuszony jest pędzić prędko — zrozum, co to jest! To da się porównać z jedną rzeczą: z przedłużeniem sztucznym erotycznej rozkoszy. Ale ty tego nie rozumiesz. Ile czasu nie byłeś tak sam ze sobą?

— Przeszło półtora roku — twardo wysiekl Genezyp słowa, jakby walił różgą tamtego w twarz. A jednocześnie pokusa straszna, aby pod pokrywką czegoś nadzwyczajnego odciażyć po prostu przeladowane gruczoły. Bał się straszliwie kompromitacji jakiegś wobec księżnej i za jaką bądź cenę postanowił nie przyznawać się, że to pierwszy raz. Nie wiedział, że jest już zdemaskowany od dawna. A do tego jeszcze przyjemność, której tyle czasu sobie odmawiał. Wstręt topniał, przetwarzal się na wartości pozytywne. Wszystko nieodwołalnie pchało go w kierunku poddania się tej niemożliwej piramidzie sprzeczności, jaką była idąca obok nieszczęsna pokraka — nie tylko dla niego, ale obiektywnie. A przy tym ta analogia z psem... Jak raz coś podobnego domieszało mu się do dowolnej magmy uczuć, stawał się niewolnikiem danego człowieka. Oczywiście dotąd na bardzo małą skalę jedynie. Już parę razy zaobserwował podobne zjawisko — sytuacja stawała się groźna. Czas biegł szybko — zdawało się, że przelatywał obok, szepcząc w biegu, mimochodem, groźne ostrzeżenia. — No więc widzisz sam, że musisz dać mi spróbować. Ja nic nie chcę, tylko, żeby tobie było przyjemnie. Jeszcze kiedyś do mnie wrócisz — później — jak poznasz, że tamto jest także wstrętne. — Żal okropny tego człowieka paraliżował Genezypowi wszystkie centry obrony. Już nagi i bezbronny wystawiał się na łup, wiedząc, że w tym dniu właśnie jest to po prostu zbrodnią. Powietrze było teraz drażniące, gorące, przesycone jakby chuchaniem olbrzymich warg. Wszystko w nim i poza nim rozplawiało się w przyjemnawej obrzydliwości i nieznośnie rozkosznym rozdrażnieniu — przypominały się dawne onanistyczne czasy. Tengier upadł na kolana i Genezyp poddał się upakarzającemu tryumfowi diabelskiej rozkoszy. Nie był w tym sam — jakie to dziwne, Dziwne, DZIWNIE... — „auuu...!” — zawył nagle i w dreszczu obrzydliwym, który jednoczesnym bólem i wydrzącym przeprzyjemnieniem rozlał się po ciele, spadła z niego jakaś wewnętrzna maska — i przejrzał. Któryż to raz już budził się tego przeklętego dnia. Nic podobnego jeszcze nie czuł. Tylko oczywiście dalej nie w ten sposób — nic homoseksualnego nie odezwowało się nawet w najtajniejszych zakamarkach jego istoty. Ale warto żyć. To był eksperyment taki jak w laboratorium gimnazjalnym, wywiązywanie wodoru czy też jakiegś czerwonego zabarwienie od rodanku żelaza. Ale zawsze to, co było przed nim, zdawało się tylko coraz bardziej męczącym snem bez końca.

Z Tengierem też się coś tam stało, ale tak bardzo znowu nie był zadowolony z tryumfu. Tak na śniegu, bez widoku ciała tamtego, bez tego kontrastu z jego własnym kalectwem, nie było to, jak mawiał, dociśnięte do dna, ale zawsze pognął trochę tego młodzika, a nade wszystko tamtą megierę. Natchnienie rosło: dźwięki skupiały się i organizowały pośpiesznie, diabolizując się przy tym wyraźnie, szeregując się po ciemnej stronie świata duszy. Spoistość ich rosła — konsolidował się prawdziwy utwór w większym stylu. Tengier oddychał — słoństwo zostało usprawiedliwione — ostatnie odbłyśki dawnej etyki w formie wyzyskiwania zła dla celów artystycznych.

Genezyp też był wstrętne zadowolony. Miał przyjemność większą niż tamte dawne, a przy tym nie czuł żadnych wyrzutów. Świat sennie układał się dokoła w harmonijne zwoje, jak wstrętny wąż, idący spać. Najprzyjemniej byłoby zasnąć razem ze światem. Ale dzień ten, raczej doba, nieskończenie długa, wlokła się dalej bez litości. Tyle jeszcze było do dokonania! Ale przed księżną nie czuł już żadnego strachu: teraz jej pokaże, co to jest mężczyzna. (A jednak przeliczył się biedny Zypcio co do swoich sił). Inaczej teraz patrzył na problem obudzenia się. Rozmowa tamtych dwóch krańców myśli była dość odstrasza-jąca w stosunku do każdej metafizyki. Jeśli to miały być ostatnie rozpięcia, to rzeczywiście lepiej nie zaglądać tam wcale: niech dziwy tworzą się same w życiu. Ha — może takie,

jak ten cud tu na śniegu? (Jednak wyrzut sumienia na dnie był — to nie ma o czym gadać). Myśl mogła tylko zabić te mgławie potwory, zagładające ciekawie z przyszłości do krwawej dziury terażniejszej chwili, w której świat wypinał się w nieznaną. A wierzyć w cokolwiek bądź określonego, albo zająć się znaczkami, nie miał Genezyp najmniejszej ochoty. Tak wybył się największego niebezpieczeństwa współczesnego człowieka: metafizyki. (Szatan mechanicznej nudy śmiał się i kwiczał gdzieś w podwietrznej, wyprawiając dzikie kozły: on sam nie potrzebował się przecie mechanizować). A zawdzięczał wszystko to tej niepojętej, obrzydliwej, włochoatej, flakowatej półbestii, którą w życiu pogardzał, a jednocześnie podziwiał, jako tajemniczy instrument przetapiający wszelką, dławiącą aż do męki dziwność w łatwą do odcyfrowania konstrukcyjną mieszaninę tonów. Zypcio był bardzo muzykalny: z łatwością całkował straszliwy muzyczny galimatias Tengiera, lepiej może, niż to czynili obrzmiali wiedzą oficjalni fachowi krytycy.

Szli tak dalecy od siebie, jakby znajdowali się na różnych planetach. Pierwsza biła na odległej wieży ludzimierskiego kościoła, gdy wychodzili z mroków ludzimierskiej puszczy. Zazębiły się niezbadane przeznaczenia. Okropna żałość porwała się z Zypciowych bebeczów wzwyż. Zapragnął być czymś! O nędzo! Czymś dla kogoś przynajmniej, nie dla wszystkich, nawet nie dla większej części. Zazdrościł Tengierowi — którego pożegnał zimno przed chwilą — że może on, mimo że teraz pies go nie uznaje, kiedyś kimś dla wielu, wielu być może. Cóż to za rozkosz jest stworzyć coś doskonałego, odrębnego w sobie, istniejącego własnym życiem. Za tą cenę można się bez bólu wyrzec wszystkości. Ale znowu jeśli się weźmie pod uwagę to, że słońce zgaśnie i w ogóle z tego wszystkiego nic nie pozostanie, to może nie jest to tak bardzo ważnym, aby być czymś w „sercach milionów”. Co myślał w tej chwili tamten? Ach — wiedzieć to choć przez sekundę. Wtedy stałby się tak mądrym, że nikt by mu rady nie dał. I skąd ten problem pokonania innych ludzi? Nigdy się nie załatwi z tym chaosem. Jakiegoś małego aparatu porządkującego brak mu. Zwierzenia Tengiera, choćby najbardziej bebeczowe i dla niego przykre, nie umniejszały go nigdy, nie czyniły go bardziej poznawalnym. Może to sztuka dawała mu ten pancerz psychiczny mimo jego woli. „Nieświadomie żyjemy tak, jakbyśmy mieli trwać wieczność na ziemi, a w każdym razie jeśli nie my, to nasze twory. Ale wyobraźmy sobie, że astronomowie obliczają koniec świata — jakieś ciemne ciało włącza się w nasz system i krąży ze słońcem naszym naokoło wspólnego środka ciężkości, przy czym ziemia powoli, w dwa tygodnia np. oddala się aż na orbitę Neptuna. I to stać się ma za 300 lat — na podstawie perturbacji w ruchu planet zawczasu jest obliczone. No i co wtedy dzieje się z pokoleniem, które się o tym dowiaduje i jak ono zmienia wychowanie dzieci, jak się wychowuje pokolenie następne i następnie to, które doczeka się katastrofy? Czy rodzenie dzieci nie będzie zakazane i jak wtedy będzie z wiecznością? A, cudowny pomysł powieściowy dla Sturfana Abnola! Muszę mu to opowiedzieć. Ale broń Boże nie pisać programowo, tylko wżyć się w psychologię tych ludzi i zobaczyć dopiero, co będzie, co z tego samo „wyjdzie”. A może niektórzy, Conrad np., tak pisali — i ukrywali się z tym, żeby sobie u durnych tzw. krytyków literackich nie psuć marki”.

Była głucha noc, ale ruchoma. Psy wyły na tle szumu wiatru, coraz cieplejszego, lubieżniejszego. Nieprzyzwoitości czekały zaczajone, nęcąc do jakichś przeobrzydliwych babrań się i babrotek. Okropne (wszystko okropne!) ciągotki przesunęły się po wierzchu, a potem szarpnęły ciało Genezypa barona Kapena, lat dwiętnastu, może ostatniego z tego rodu. Ród Kapenów chciał trwać. Zastanowił się Zypcio nad przelomowością tej chwili. Nie mógł się tym nasycić. Ktoś — taki instynktowny pasażer w nim — zlekceważył wszystko natychmiast, jak Afanasol Benz przy pomocy znaczków. Ale przy pomocy czego robił to ten instynktowny pan, nie znoszący wysokich napięć praktycznie nieusprawiedliwionych? Może tak było naprawdę lepiej.

U stóp wapiennych skał, za którymi była fabryka wapna, stał w starym, zapuszczonym trochę ogrodzie, nowy pałac Ticonderogów. Teraz przypomniał sobie Genezyp, że zapomniał klucza od furki, który mu dała księżna. Wydrapał się z trudem na wysoki mur, o grzbiecie pokrytym odłamkami szkła. Już miał zeskoczyć, kiedy zranił się silnie w rękę na przegubie. Krew buchnęła ciepłą falą. „To pierwsza ofiara dla niej”, pomyślał prawie z miłością. Nieprzyzwoitości złączyły się na chwileczkę z sympatią — coś jakby prawdziwa miłość. Zawiązał rękę chustką, ale krwotoku utamować nie mógł. Szedł, farbując silnie, na przelaj przez park, wśród huczących w wietrze olbrzymich bezlistnych

oczywiście jesionów i lip. Renesansowa fasada (czyż jest coś ohydniejszego nad renesans? — dla Genezypa architektura zaczynała się od brahmańskich gopuramów) ukazała się na dnie biegnącej w dół alei strzyżonych po wersalsku świerków. Psów ani śladu. W prawym skrzydle na parterze buchało stłumione krwawe światło z dwóch okien. To była sypialnia — ten od dwóch wieków przeznaczony pokój (i od kilkudziesięciu lat przeznaczona baba), gdzie (i na której) stracić miał niewinność, „rozdławdziewicz się”, baron Kapen de Wahaz — „ostatni tego nazwiska”, jak pisze Klaudiusz Farrère. Genezyp poczuł się szlachcicem, urodzonym z hrabianki i to zrobiło mu pewną przyjemność. „To jednak już jest coś”, pomyślał i zawstydził się sam przed sobą. A mimo to tamto uczucie trwało. Ojciec (żywy czy umarły) nie istniał dalej zupełnie. Podle myślał Zypcio, że w razie tej śmierci może nagle obudzić się w nim jakieś uczucie, dawno stłumione, i wtedy zacznie cierpieć. Bał się tego, a znowu z drugiej strony nieprzyjemnie było trwać w tej obojętności — wyrzut sumienia z tego powodu mógł przejść w natężenie prawdziwego bólu.

Zastukał w okno. Ukazała się zza firanki *ciemno-czerwona* sylweta księżnej. Zrobiła kolisty ruch ręką z prawa na lewo, Zrozumiał, że ma wejść przez główny ganek pałacu. Widok tej wścieklej baby, czekającej na to właśnie i tylko na to, zrobił na nim zabójcze wrażenie: jakby miał ogon, który się podkurczał aż pod brzuch z dziwnej mieszaniny żądz, strachu, odwagi i obrzydzenia. Poczul się, jakby był subiektem w sklepiku — drobna sprzedaż nieprzyzwoitości. Wszedł między kolumny pałacowego ganku, jak zwierzę, prowadzone na rytualną rzeź do świątyni.

Informacja: Księżna siedziała w sypialni z mężem, najwybitniejszym ze zramolowanych polityków, jednym z twórców obecnej sytuacji równowagi wewnętrznej kraju (wśród morza chronicznej rewolucji była to wyspa z dawnego snu o dobrym demokratycznym życiu) i polityki zewnętrznej, polegającej na niemieszaniu się czynnym w rosyjską kontr-rewolucję. Polska dała tylko wolny przejazd wojskom, tzw. „tranzyt wojskowy”, i za tę cenę wymigała się od czynnego udziału. Obecnie lawina chińskiego komunizmu, waląca się z Ałtajskich i Uralskich gór w moskiewską równinę, zachwiała ten idealny systemat wzajemnie podtrzymujących się sprzeczności. Potworne kapitały, których źródła nikt nie znał, włożone w polepszenie bytu robotników, przestały dawać procent w postaci uległości wobec metod organizacji pracy. Mimo wszelkich wysiłków coś zaczynało się burzyć od samych podstaw. Absolutna izolacja nie dawała się utrzymać nawet przy pomocy niebywałych ostrożności paszportowych i systematycznego fałszowania wiadomości w całej prasie, będącej tylko jednym wielkim, nieomal płciowym organem „Syndykatu Narodowego Zbawienia”. Przyszedł czas, kiedy wyspa szczęśliwości zaczęła się dziwnie zwężać, jeśli nie fizycznie na razie, to moralnie. Mimo że kraju nie ubyło ani pięćdziesiąt, zdawał się być coraz to mniejszym skrawkiem, zalewanym wokół rozpaloną magmą. Członkom „Syndykatu” gorąły pięty, ale jeszcze się trzymali. W imię czego? Nie wiedział nikt — nie było gdzie uciec w razie czego. Nawet nikomu nie chciało się używać życia w dawnych wymiarach — przecież wiecznie to trwać nie mogło... Oficerowie przestali robić byznesy (Kocmołuchowicz rozstrzeliwał bez pardonu), byznesmani nie dawali łapówek w „odpowiednich sferach”, w ogóle nie robili tzw. „wielkich transakcji”; restauracje nocne bankrutowały, w dancingach tańczyły tylko ostatnie kurwy i rzadcy prawdziwi dranie — gatunek wygasający. Ostre sportowe oglupienie zamieniło się w sferach inteligencji na racjonalną godzinę dla zdrowia dziennie — rozdzieliła się ta niebezpieczna mania między wszystkich członków społeczeństwa równomiernie. Nawet groźne dla wszystkich możliwych wyższych dziedzin kino zanikało powoli, ale systematycznie. Jeszcze w jakichś budach na przedmieściach, ostatnie zagwazdrane kretyny, podziwiała zaćmione gwiazdy filmowe i 200%-owe piguły męskiej ohydy i pospolitości w stanie kompletnego rozkładu. Nawet radio chyliło się ku upadkowi, doprowadziwszy wprzód do zupełnego skretynienia 50% średnio-muzykalnej pół-inteligencji. Prasa ujednoliconą przez syndykat nie mogła się „prześcigać” w przesadnie natę-

zonym urabianiu opinii przez rosnące stale dzienniki, według doktryn danych partii — partie zanikły prawie — panowała powszechna zgoda. Jakaś bezbarwna, nudna masa zamierających widm przelewała się z kąta w kąt nie wiadomo po co. Ale samo dno, zupełnie spontanicznie, bez ingerencji sparaliżowanych centrów agitacji, zaczęło się z lekka wydymać i podnosić. Niektórzy, przywykli do prostych podstaw społeczeństwa, mieli chwilami wrażenie, że chodzą po trochę pochyłym, jakby bagnistym, czy też może, w bardzo szerokich amplitudach, falującym gruncie. Ale przeważnie uważano to za złudzenie. Mówiono, a nawet przebąkiwano zupełnie wyraźnie, o potencjale żółtej masy za Uralem, zmieniającym jak potencjał grawitacyjny strukturę dookolnej przestrzeni, psycho-społeczne środowisko, w sposób nieeuklidesowy — ale nikt poważny na serio tego nie brał. Izolacja, raczej jej chwilowa złuda, trwała głównie dlatego, że żadne ze zbolszewizowanych państw Zachodu nie miało ochoty dobolszewizować się do końca w ostrym chińskim sosie. Wbrew zasadom powszechności rewolucji, wszystkie rządy świata utrzymywały Polskę w sztucznym konserwatyźmie, przy pomocy olbrzymich sum pieniężnych, zwolnionych od komunistycznej propagandy (nie było po prostu kogo namawiać) — za to była Przedmurzem, na razie prawie szczęśliwym w swym bezwładzie. Rozpanoszył się pewien gatunek ludzi, znanych dawniej w mniejszym natężeniu i to przeważnie w sferze krytyki artystycznej i literackiej, a mianowicie tzw. obecnie „spłyciarzy” (Ł, łubin, Ładoga), w odróżnieniu od normalnych spryciarzy. Były to indywidualia, mogące spłycić dowolnie głębokie zagadnienie, odwrotnie niż np. Whitehead i Russell, którzy z każdego głupstwa, jak przystało filozofom (i to matematycznym) mogli zrobić problem dowolnie trudny. [„...we can define this kind of people as those, who, by means of introducing suitable notions, can give to any problem, as plain as it may be, any degree of difficulty, that may be required.” z mowy Sir Oscara Wyndhama z *M. S. G. O. = Mathematical Central and General Office*]. W ogóle zapanował wszędzie Duch (przez wielkie D), ten, którym tak, „*nadojeli*” wszystkim neo-pseudo-romantycy, abstynenci i w ogóle ludzie w życiu zawiedzeni. Teraz duch zatryumfował nagle i wcielił się bez reszty w życie, ale robiło to wrażenie, jakby jakieś niesamowicie potworne bydlę wdziało idealnie przystającą do jego pyska maskę wzniosłego anioła. Ci, co ten kierunek — czy jak to nazwać — propagowali, byli wprost nieszczęśliwi — nie mieli co propagować — wszyscy niedawni najzakamienialiści materialści zgadzali się z nimi bez dyskusji, ale były to przekonania martwe, pozbawione wszelkiej żarliwości. Książę Ticonderoga był prototypem „spłyciarza” i durniem ponad wszelką miarę skończonym — Michał Anioł i Leonardo nie mogliby dodać ani jednej kreski. Właśnie dlatego był jednym z filarów tego dziwnego zszarzenia, które nie miało jednak spokojnych cech „suchej mgły” tatrzańskiej, ani październikowych rannych oparów, tylko raczej wygląd złowrogi i duszący niepokojem, z lekka miedzianej, a miejscami ołowianej szarzyzny nieba przed straszliwą burzą — nie tą, która nadchodzi lub przechodzi „stronami”, tylko tworzy się w naszych oczach, burzy-maciory, karmiącej drobniejsze chmurki-wysłanniczki, jak samica małe. Dostyc — precz z literaturą. Ta powszechna zgoda, to jakieś bezwstydne „kochajmy się” i tzw. „ramię do ramienia”, w którym czuło się przyciszony zgrzyt drzemiącej nienawiści; to wzajemne chwalenie się do utraty przytomności, kryjące zawiść o niebywałym dotąd napięciu jadowitości; to lubieżne kłamstwo, w którym ludzie tarzali się ze łzami w oczach, jak psy w ekskrementach — to wszystko było wprost straszne. Ale mało kto zdawał sobie z tego sprawę — w każdym razie nie Genezyp i nie książę. Ludzie wiedzący kryli się gdzieś w ostępach czterech stołecznych miast, a może nawet w zwartych pozornie batalionach, szwadronach i bateriach generalnego kwatermistrza. Na wsi nie rozumiał oczywiście nikt nic — chłop to beznadziejnie martwa rzecz, materiał dla idei owego zaśnięcia dla mdłych demokratów, tych wygodnisiów społecznych, chcących na zakłamaniu się

„wielkimi” ogólnoludzkimi ideami, zbudować miły światek wyzysku i grabienia obalwianionych *duchowemi dostojenstwami* i pseudo-dobrodziejstwami pracowników. Zapchać mu tak brzuch, aby to robocze bydlę zapomniało, że jest i *może być* człowiekiem. Dobrobytem uśpić wyższe duchowo aspiracje i wewnątrz spętanych piorunów uwić gniazdko swego małego używańka, trochę wyższej marki niż tych zwierząt — ot co. Tak myśleli jedni, a inni, ukazując na ciągły spadek produkcji i wzrastającą pod płaszczykami wielkich idei (tych wielkich naprawdę) nędzę robotników w państwach bolszewickich, twierdzili, że innego wyjścia jak faszyzm nie ma i być nie może. I gdzie tu racja i czy w ogóle o racji może tu być mowa? Czy to pojęcie ma sens w stosunku do tej klasy problemów?

Wszystko śmierzdziało potwornie. Jak na złość całe złogi pseudo-ludzi twierdziły, że pachnie i to nawet bardzo ładnie. Pod niektórymi mundurami (głównie członków Syndykatu) zamiast mięśni trzęsły się robaczywe flaki — nikt tego nie widział. Ale mocą dziwnego bezwładu trzymały się te wszystkie sprzeczności, jak zawiesina z tartych wszów w letniej wodzie z lekka ocukrzonej. Tym trzymadłem był duch przez wielkie *D* i komunistyczne pieniądze. Coś naprawdę straszego było w tym nie dającym się zdemaskować wysoko-etycznym nastroju wszystkich warstw, z wyjątkiem paru durniów z najwyższej arystokracji. Dobrzy ludzie mówili: „Aha — widzicie — nie wierzyliście, że wszystko będzie jeszcze dobrze”, — a mówili tak do wzruszonych pesymistów, którzy ze łzami wstrętnego rozczulenia w oczkach, przywykłych do sardonicznego zmrużenia, pytali sami siebie: „Ażaliśmy błędzili w programowym samoutrapieniu, w ukatrupieniu wszelkiej nadziei dla dobra tych przyszłych cierpiętników (bo przecież kiedyś musieli przejrzeć), którzy na razie nie chcieli widzieć otaczającego ich zła i nadchodzącej niemocy twórczej wszystkich sfer” — tak, jakby to była naprawdę wielka frajda ludzić się pół-świadomie marnymi niby-ideątkami: (odrodzenie różnych wiar, odwracalność deindywidualizacji, przewyciężenie mechanizacji przez picie mleka i czytanie Biblii, twórczość artystyczna proletariatu, pigułki zastępujące pożywienie itp.).

Jakoś nieśmiało, ze sparszywiałym nagle sercem, szedł Zypcio przez oświetlone pokoje. Łypały nań oczy portretów kniazów Zawratyńskich, z których jeden niegdyś, jeżdżąc w poselstwie do papieża, uwiózł jako żonę włoską księżniczkę Ticonderoga. Z czasem włoskie nazwisko wyparło ruskie zupełnie. Młodszy syn miał tytuł markiza di Scampi — jedyny w kraju. Właśnie przyjechał z samej granicy nocnym kurierem węgierskim z ważnymi wiadomościami. Komuniści chińscy oblegali już od wczoraj białogwardyjską Moskwę — tak twierdził lotnik, który przyleciał rano do Budy. Ale wiadomości tej nie rozpuszczano, aby nie powiększać kołysania się dna. Zresztą nikt naprawdę nie wierzył w dno. Sytuacja zdawała się bezdenną w czysto duchowym znaczeniu. Ludzie przestali widzieć realne skutki swoich czynów — chodziło tylko o towarzyszące stany psychiczne. Ale tak długo żyć nie można — ostatecznie musi skończyć się to bankructwem. „Duchowej głębi Bezdennosc” — ten dźwięk, jak „gul” potwornego dzwonu, kołysał wszystkich na wieczny sen, zaczynając od autentycznych analfabetycznych niemowląt, aż do mowłat alfabetów, o chlujnych, siwych brodach i przemądrzałych, wypatrzonych dawno oczach. Pozornie wszystko to było sprzeczne ze sobą samym — nie miało żadnej „*self-consistance*” — a jednak, cóż na to poradzić: fakty, fakty. Najdziwniejsze zaś było to, że nowa wiara (o której wspomnieli w rozmówkach swych tamci panowie w pustelni) tzw. „murtibingizm”, zaczynała szerzyć się, nie jak dotąd teozofia i inne pół-religijne wyznania, od szczytów społeczeństwa, tylko od tego właśnie falującego dna.

Dwudziestoletniego markiza nie obchodziły nic losy kraju. Wiedział, że z taką urodą jak jego, choćby wszystko diabli wzięli, on zawsze dobrze się zabawi. Ogonki kobiet włożyły się za nim wszędzie, cierpiał bowiem na tak zwany w rosyjskiej gwardii „*suchostoj*”. Cynizm całej tej rodzinie przekraczał praktycznie o nieskończoność pojęcia niedoświadczonego Genezypa o życiu. Scampi, o rok od niego starszy, był czystym typem życiowca bez żadnych złudzeń i to od dwunastego roku swego istnienia. Mówiono nawet, że ma-

masza i jego... ale to było chyba już na pewno nieprawdą. „Prześliczny brunecik, ubrany w airdale’owego koloru garnitur od potomków Skwary, pół-leżał rozwalony na fotelu, chrupiąc tartinki, a nad nim stał, potężny jak dzik rasowy w ostępie otępienia, Książę papa”.

— Pan Kapen de Wahaz — przedstawiła księżna, ściskając jednocześnie w pełen obietnic sposób rękę przyszłego kochanka. Ledwo przywitali się z Zypciem tamci panowie zajęci politycznym dyskursem. A — „cóż dla nich był” ten nowy kochanek tej ich domowej matrony: matki i żony. — Niech pan siada i je. Wygląda pan na bardzo zmęczonego. Co się z panem działo od wczoraj? — mówiła z matczyną czułością ta lśniąca przekwitająca pięknnością bestia. — Czy nie napastowały pana złe duchy tych stron: Putrycy i jego przyjaciele? — Genezyp zdumiony tym oczywistym jasnowidzeniem, przerażony sytuacją, wpatrywał się nieprzytomnie w swoją kacicę i zdawało mu się, że w tej przelotnej chwile pożera w krwawych kawałach, świeżo wyrąbanych z tętniącego tajemnicą wnętrza, nieuchwytnie, dalekie życie — to przez wielkie Ż. Ale widać było wyraźnie, że księżna powiedziała te słowa na wiatr, dla wypełnienia kłopotliwej pustki. Okropny gomon uczuć kłębił się w jej nieznacznie więdnącym ciele. (Najgorsze były chwile, gdy zapominała o tym wszystkim — i potem ostry ból gwałtownego przypomnienia — jakby kto ścierką brudną dał po mordzie...) Głowa, mądra jak sowa, wystawała ponad to okropieństwo, a myśli, zimne motylki-automaty, latały nad nim pozornie swobodne i bez troskie, ale każda z nich ociekała krwią, łatwo krzepnącą, nie pachnącą, jakby zmieszaną z ropą — krwią, którą krwawiła się z bólu nadchodząca starość. Gdyby tak już raz przejść tę granicę i zostać matroną naprawdę! Ale, jak mówili optymiści, prędzej mur chiński stanie pod Ludzimierzem, niż się przewali to dziwne, piękne nieszczęsne cielsko na drugą stronę życia i da się zadeptać duchowi, który przecie był i jest potężnym dotąd, tylko nie miał na siebie czasu, musząc być sługą *précieuse’*owatej zorganizowanej lubieży, jaką była ta kupa rozwydrzonych organów. Od pewnego czasu czytała księżna życiorysy wszystkich występnych władczyń i najpiekielniejszych kurtyzan i tam czerpała trochę ukojenia, jak Napoleon I w Plutarchu. Ale straszna rzecz szła nieubłaganie i trzeba było oszukiwać już nie tylko ich, ale i siebie. Coś się popsulo nawet z samą przyjemnością: już nie można było tak często dojeżdżać tam, do krainy okrutnego tryumfu nad spracowanym w upadający sposób samczym ciałem, do tej zakrzepłej sfery doskonałego dosytu, kiedy to wytryśnięte z rozrodzonych głębin soki pokrywały świat cały aż po brzegi jedynym możliwym sensem: osiągniętego maksimum tajemniczej w istocie swej, bydlęcej rozkoszy. O, dobre to były czasy, gdy po prostu nie zlazily z niej te dranie, ciągle inne, w jądrach swych istot niedosiężne, rzygające duchem w otchłanie wszechświatowego nonsensu, potężne i dumne, a tak zmarmeladowane, ukatrupione w tej sferze, z której tamto wszystko płynęło. I właśnie tym, ją, z dziką rozpaczą, w upadku, a jednak z potęgą... Wzdrygnęła się. Oto ma teraz taki kąsek i w dodatku do wściekłości doprowadzający tą przeklętą młodością, która jej samej wymykała się na zawsze. Tak — jeśli teraz zdarzył się obiekt odpowiedni a przy tym małe piguleczki Dr. Lancioni — ha, wtedy działo się coś wprost piekielne-go... Tak była straszliwa rozkosz, spotęgowana do niewytrzymania samobójczą ponurością ogólno-życiowego tła: może to już ostatni raz i trzeba będzie zostać starą wyranżerowaną „*bas-bleu*” do końca dni swoich. Ta myśl stwarzała, nieprzeczuwane nawet w rozkwicie młodości, głębie dziko-niesamowicie-rozkosznego zatracenia — raczej była to tortura — a nie! — w tych terminach opisać tego nie można! — niechże się raz zacznie dziać to (to, to, to samo niepojęte) naprawdę, a wtedy, w rozpalonym wnętrzu, zdającym się być ogniskiem wszystkich potęg świata, znajdą się może słowa, zdolne na wieki zatrzymać ulatującą chwilę wcielonego cudu. I to w taki sposób...!

Beznadziejność. Genezyp, okrutny w swej bezświadomości, piękny młodzik, w zmieszaniu najwyższym napychał swoją śliczną buzię tartinkami, żuł je nadmiernie długo i potem papka bez smaku nie przechodziła mu przez zaschnięte i ściśnięte gardło. Księżna, która zdawała się być obecna wewnątrz jego ciała, w najskrytszych fibrach, a nawet w środku poszczególnych komórek, powiedziała: (nie: — duch jej unosił się w przestrzeniach między-komórkowych, jak materia żywa wyższego rzędu między gwiazdami, dla której struktury, nasze systemy gwiazdne są tylko punktami zaczepienia, podobnie do elektronów, w stosunku do naszej własnej żywej substancji) — a więc to metafizyczne bydlę powiedziało, a głos był czysty jak srebrny dzwonek i padał z wysoka, gdzieś z krysz-

tałowych zimności międzyplanetarnych wyżyn (czy nizin): — Niech pan popije — inaczey nie przejdzie. — I zaśmiała się dziecinnie, zdrowo, ładnie, jak grzeczna dziewczynka. Ach — cóż to był za grzeszny potwór! Głupi Zypcio nie mógł tego nawet w przybliżeniu ocenić. Czemu to w ogóle jest tak głupio urządzone, że nikt nikogo w porę ocenić nie może = suma liczb lat płciowej pary musi być mniej więcej równa 60: on 50 — ona 10, ona 40, on 20 itp. (Teoria tego samego Rusina, który wymyślił taylorzację erotycznych stosunków). Żeby taki właśnie przekwitający kwiat, jak ta dziwna klempa, mógł być do głębi zwartościowany przez jakiegoś prawdziwego znawcę tej właśnie sfery! (Czyż jest coś wstrętniejszego jak seksualne znawstwo?) Ale nie — taki pan jest już wtedy do niczego, albo też ma manię askezy, czy coś podobnego, albo lata za głupimi podlotkami, ucząc ich jakichś idiotycznych sztuczek z młodości. Ach — teraz nawet i to się zmieniło. Jakiś nieład zapanował w całej tej hierarchii i ogólne odwartościowanie wszystkiego. A na to wkraczał tryumfujący duch, chyba ostatni raz już przed ostatecznym zapadnięciem się w nicość. Oczywiście w Polsce, w tym „przedmurzu”, broniącym wszystkich i siebie przed najistotniejszymi przeznaczeniami, miała się rozstrzygnąć ta walka. Narody, jak i pewni ludzie, mają swoje przeznaczenia (ale nie w znaczeniu konieczności) i misje. O ile dość długo da się komuś pożyć, to ostatecznie (o ile nie staną mu na przeszkodzie tego rzędu potęgi i wypadki jak: uwięzienie, obłęd, utrata pewnych członków, itp.), dokona swego — może w pewnej deformacji, w karykaturze, ale dokona. Zahamowany w swej ekspansji przez tę „przeklętą Polskę” Wschód, w dziwnej jak na siebie ultra-zachodniej transpozycji społecznej, w nieprzetrawionej, na surowo zzutej formie, nareszcie zaczął rwać się na Zachód. Otworzył mu drogę komunizm. Buddyści w ogóle konsekwentniejsi byli zawsze od chrześcijan, a od taoizmu do socjalizmu też niedaleka droga. Pozornie arystokratyczny konfucjanizm także łatwo dał się transformować w wymiary europejskiego idealizmu społecznego. A przede wszystkim, w związku z tłem głęboko metafizycznym ich świadomego istnienia, tym żółtym diabłom nie chodziło tak o żołądki i chamskie używanie życia: u nich cała ta przemiana połączona była z dążeniem do wewnętrznej doskonałości. Duchowe hasła nie były „płaszczkami” — ci ludzie naprawdę mieli wizję innego świata ducha — może nieosiągalną, może dla nas niezrozumiałą, ale mieli. Ale cóż: zarażeni problematyką Zachodu, nieznacznie, sami o tym nie wiedząc, coraz bardziej tracili pierwotny charakter nadczłowieczego rozpędu — lada chwila brzuch mógł wyrosnąć ponad ducha. Na razie był to rzadki wypadek, że masa była dosłownie przepojona tym duchem, którego po same gardła mieli jej przywódcy: nie chodziło o zaspokojenie potrzeb materialnych, tylko o nowe możliwości wewnętrznego rozwoju, który w Europie stał się od lat dwudziestu zupełną fikcją — przestano nareszcie wierzyć w baśnie o nieskończonym postępie — człowiek biały zobaczył zagradzającą ścianę w sobie, a nie w naturze. Czy wiara chińska była omamieniem, czy opierała się na innych danych psychicznych? Pesymiści, najhardziej zażarci, twierdzili, że jest to tylko pewne ograniczone co do miejsca i czasu opóźnienie ogólnej niwelacji wszelkich wartości indywidualnych — po czym nastąpić miał tym gęstszy mrok społecznej nudy i metafizycznej codzienności. A od spodu, od kości, od tej warstwy pierwotnej, od strony tej „największej biedoty” zaczęło się coś „psować i psować” — (jakież słowo jest tu możliwe? — „psuć” nie daje tego odcienia, o który chodzi, a tamto jest wprost wstrętne). [Ciekawa rzecz, czy inne języki posiadają (dla ich „jednorodców”) słowa, mające tego rzędu „wstrętność”, co niektóre wyrazy polskie?] Był to dowód oczywisty, że na *dostatecznie niskim poziomie zewnętrznej dziedzicznej kultury* nie da się przy pomocy zapchania żołądka i uszu (radio) i zastosowania pewnych środków lokomocji (auto), zabić ideotwórczego podłoża natury ludzkiej. Dowód oczywisty był też w samym istnieniu państw zachodnio-bolszewickich. Ale to dla niektórych „głębiarzy” był eksperyment „na krótki dystans”. Mimo głębokiego zanarkotyzowania „Duchem”, męczyła wszystkich powolność społecznych przemian. To bydlę wyższego rzędu (społeczeństwo) miało czas — jako całość oczywiście. Co je obchodzić mogło, że giną w torturach jakieś wyrzucone odśrodkową siłą odpadki, a nawet same elementy mięszu centralnego, istotnego? Co kokainistę obchodzi, jak się czują poszczególne komórki jego mózgu?

Markiz Scampi „sipal” likier przez zęby, słuchając białdań ojca:

— ...bo żeby to była naprawdę siła, ale naprawdę, tak zupełnie naprawdę, to jest de-zor-ga-ni-za-cja. Polska zawsze nierządem stała i stoi. A ponieważ tam naokoło wzra-

stanie automagnetyzmu masy odbywa się w postępie geometrycznym w stosunku do natężania się w sobie naszego syndykatu, więc musimy ulec — nie absolutnie — rozumiesz, Macieju? — tylko w czasie. Bo reakcja nastąpić musi. Wierzę w odwracalność społeczną na kolosalnych dystansach. Bóg jest i jest władcą — oto jest prawda. I zobaczy jeszcze ziemia faraonów, tylko w lepszym stylu niż dawni, nie zachwaszczonych totemistycznymi przesądami, jasnych jak prawdziwi synowie Słońca ostatecznej wiedzy. — („O jakże bredzi ten stary osioł” — pomyślał ze znużeniem Scampi). — Nie obliczyliśmy jednej rzeczy: uzgodnienia w czasie z odpowiednimi zmianami w innych krajach. Ba — gdybyśmy bolszewizm, nie komunizm nasz, tylko rosyjski bolszewizm, gdybyśmy, powtarzam, mieli poza sobą, ha — wtedy, na tle tej immunizacji, moglibyśmy przetrzymać 10 lat spóźnionej fazy i zatrzymać na naszych karkach stu Dżingis-CHANÓW któreś tam Międzynarodówki. Zawsze mówiłem, jeszcze przed wielu laty, kiedy byłem niedoświadczonym, politycznie nieletnim pułkownikiem artylerii: wpuście ich swobodnie do środka kraju — to się oplaci na pewno: długo się nie utrzymają, a uodpornią nas na jakie 200 lat...

— O nie, papusiu — przerwał Scampi. — Nie widzi ojciec jednej rzeczy: zasadniczego braku wielkiego stylu naszych kompatriotów i tak zwanych ludzi przodujących. Myślę zarówno o ryzykownych koncepcjach politycznych, jak i o odwadze i zdolności do poświęceń. Niewola, romantyzm i polityczne tradycje doprowadziły wszystkie dodatnie jednostki do stanu potencjalnego. Przedstawiciele kinetyzmu to tyłkująca banda bez wielkich ambicji — co najwyżej z ambicyjkami — albo też tak zwani ludzie dobrzy, w rodzaju naszego wujcia Bazyla na przykład. Ich czas minął — przestali być twórczymi — byli nimi w wieku XVIII. Dzisiejszy dobroczyńca ludzkości może być pierwszoklasnym demonem — byleby był mądry — znał się na ekonomii — a o to coraz trudniej. U nas od czasów Targowicy nie zmieniło się nic. Są wyjątkowi ludzie — nie przeczę — ale że tyle zdziałać mogli, to nie zasługa narodu, tylko dziwnie szczęśliwych przypadków. Gdybyśmy Moskali wpuścili wtedy w formie bolszewizmu, to dziś byłibyśmy prowincją monarchistycznej Rosji, tej, która się kruszy już od uderzeń chińskiej lawiny. Teraz mamy jeszcze swobodę działania — możemy „wykinut’ takuju sztuku, czto nie raschliebat’ jej usiej Jewropie”. Kocmołuchowicz jest obecnie najbardziej tajemniczym człowiekiem na obu półkulach, wzięwszy również pod uwagę skomunizowaną Afrykę i już przewalające się w tę stronę państwa Ameryki Północnej. My w M. S. Z. prowadzimy politykę trochę samodzielniej niż wy, wewnętrznie — i mamy własny wywiad tajny.

— Maciek, bój się Boga — czyżby on chciał jeszcze teraz robić jakieś eksperymenty?

— Czemu by nie? Papa stracił teraz zupełnie całą fantazję. Osobistej fantazji w bród, a w polityce szarość, banał i tchórzostwo. To była nasza wada w ciągu całej historii — obok ulegania sugestii fałszywych tradycji. Jeden człowiek wysokiej marki u nas, po Batorym i Piłsudskim, to Kocmołuchowicz — a do tego jest jeszcze tajemniczy. Umiejętność bycia w dzisiejszych czasach tajemniczym uważam za sztukę najwyższą, za podstawę do nieobliczalnych możliwości. Naturalnie o ile tajemniczym będzie jakieś przedwcześnie zdegenerowane artyściątko, nie będzie w tym nic dziwnego. Ale stojąc w centrum żyrandolu, w ognisku wszystkich sił, będąc faktycznie tajnym rzeczywistym słońcem całej tej ciemnej sprawy, jaką jest historia ostatnich lat naszego kraju i to na pozornie skromnym stanowisku generalnego kwatermistrza armii, być przeświecłanym przez najęźsze reflektory krajowe i zagraniczne i być mimo to w tym stopniu tajemniczym — to *jest* klasa. Coraz większy rozdźwięk z tym stanowią jego manieri: jest wprost słodki. —

— U was tam, w M. S. Z., wszystko traktowane jest jako sport: wy odwartościowujecie całą powagę istnienia. My chcemy jeszcze żyć pełnią życia, jak dawniej.

— Wszystko trzeba dziś traktować jedynie sportowo i nie na serio. Ciesz się, papa, że masz takiego syna. Z twoimi zasadami byłbym dziś nieszczęśliwym, zawiedzionym niedołągą. Na samą ideę państwa należy patrzeć dziś ze sportowego punktu widzenia. Kwestii jego zachowania można bronić jak bramki w piłce nożnej, ale ostatecznie jeśli syndykaliści antyfaszystowscy zrobią gola, to nic tak znów strasznego się nie stanie. A resztą ta partia państwowców w każdej postaci, z wyjątkiem chwilowo, chwilowo zaznaczam, komunistów, z góry jest przegrana. Wiem, że mało jest dziś u nas ludzi — pod ludźmi rozumiem naszych — którzy chcą w ten sposób na wszystko patrzeć. Ja proponuję rozwiązanie Syndykatu Zbawienia i programowe, przedwcześnie pojednanie się z jakim-

kolwiek możliwym przewrotem. Wobec ostatnich wiadomości z Rosji, widać, że przyszła na nas kolej. Wstrzymywanie się od wyjścia naprzeciw wypadkom, ale wyjścia istotnego, a nie jakiegoś immunizującego szczepienia, możemy opłacić rzezią, jakiej świat nie widział. — Kocmołuchowiczowi jest oczywiście zupełnie obojętne, ile ludzi zginie — jemu chodzi o wielkość samą w sobie — choćby pośmiertną. To jest postać zaiste cezaryczna. Ale my? —

— Nie żadna postać cezaryczna, tylko nędzny kondotier. W razie czego okaże się zwykłym lokajem najradykalniejszej grupy.

— Nie radziłbym ojcu mówić tak przedwcześnie — trzeba będzie odszczekać, bo przeżyć to życie trzeba. Gdyby Kocmołuchowicz chciał robić drogę dla Chińczyków, robiłby to dawno. Podejrzewam, że pozytywnego planu nie ma wcale. Ja nie myślę ginąć za żadną ideę — życie samo w sobie jest celem.

— Wy, to młode pokolenie, macie rzeczywiście fantazję, bo jesteście śmiecie. O, gdybym ja mógł się tak wewnętrznie zmieniać! Ale wtedy musiałbym nauczyć się pluć sobie we własny pępek.

— Ideowość papy, cały ten Syndykat Narodowego Zbawienia — cha, cha — narodowego w dzisiejszych czasach! — to tylko pozory. Chodzi tylko o używanie życia przez pewną klasę ludzi, która dawno straciła do tego prawo. Ja się nie okłamuję. Papa nauczy się dopiero z oberżniętymi uszami, własnymi genitaliami w zębach, naftą w brzuchu i tak dalej.... — Zaczęli mówić szeptem. Genezyp słuchał tej rozmowy z rosnącym przerażeniem. Dwa odrębne strachy: przed księżną i głębią polityki, windowały jego poczucie jaźni na zawrotne, nieznane mu dotąd wyżyny. Czuł się niczym wobec tego cynicznego młodzika, o rok czy dwa zaledwie od niego starszego. Owładnęła nim nagła nienawiść do ojca, że uczynił z jedyne go syna swego takiej miary niedołęgę. Jak „ONA” mogła go mieć za coś, mając *takiego* potomka! Nie wiedział, że właśnie jest odwrotnie, że cała jego wartość polega na bezdennej głupocie i naiwności, przy dość dużych zresztą fizycznych danych.

Księżna patrzyła na niego uważnie. Intuicją płciową odgadła scenę w lesie — oczywiście nie co do miejsca (las) i sposobu (Tengier), ale w ogóle. Coś „takiego” zaszło w tym ślicznym chłopcu, którego właśnie chciała mieć na surowo, na świeżo, jako rozpękającego nieprzyzwoicie pączek, jako głupiego, nic nie rozumiejącego zestrachanego szczeniaka, jako biednego duszka wreszcie, którego najpierw można będzie popieścić, a gdyby, w związku z uświadomieniem pokazał rogi i pazury, trochę „stortiurować” — (jak mówiła). Tylko czy będzie miała siłę na te tortury? Nie było w niej nic z bezpośredniego sadyzmu, a do tego trochę zanadto podobał się jej ten mały — to może jest naprawdę ten przerażający „ostatni raz”. „Na starość wymagania nasze rosną, a możliwości maleją” — tak mówił do niej kiedyś jej mąż, chcąc delikatnie wytłumaczyć nienasyconej megierze po raz pierwszy, że mu jej fizycznie dosyć. Od tej to rozmowy datował się początek serii oficjalnych kochanków.

— ...najgorszą rzeczą jest rozpanoszenie się psychologizmu i przepelnienie jego na wszystkie sfery, do których wcale nie pasuje: socjologia psychologizyczna jest bzdurą — mówił stary książę. — Gdyby konsekwentnie wszyscy przeprowadzili taką zmianę w swoich poglądach, ludzkość przestałaby po prostu istnieć: nie byłoby nic świętego i nic konkretnego.

— Nawet Syndykat Narodowego Zbawienia stałby się fikcyjną projekcją zbiorowego stanu psychicznego pewnej grupy społecznych zaprzańców — zaśmiał się jadownicie Scampi. — Ale jeśli ktoś jeden ma odwagę być konsekwentnym psychologistą, tak, jak Kocmołuchowicz — a być konsekwentnym psychologistą to znaczy być *solipsystą*, mój papo — to wtedy, na stanowisku generalnego kwatermistrza nawet, można dokonać rzeczy cudnych w swej potworności.

— Tak pleciesz, Macieju, że wytrzymać już nie można.

— Ach, ojciec jest beznadziejny mamut! Nie rozumie ojciec, że nareszcie przyszła pora na krótki okres fantastyczności w polityce i to właśnie u nas. Oczywiście są to ostatnie podrygi przed pełnym uspokojeniem się — i to na żółto, po chińsku. Ci dranie pozwalają sobie na fantazję tylko w oderwaniu od życia, a w nim samym są maszynkami bez skazy i trwogi. My, ohydne, kłamliwe kanalie, przeciwnie: upospoliciliśmy się wewnętrznie tak, że przez kontrast w stosunku do naszych zszarzałych bebechów, to, co jest

najświętszego: polityka, musiało się stać czymś pozornie tak już zdeformowanym, jak przedmioty na obrazach kubistów, hyperrealistów i bylecoistów polskich, ja posiedzę tu 3 dni i jeśli w tym czasie nie zrobię z papy męża stanu nowego typu, to przepowiadam, że zginie papa w męczarniach — kto wie nawet, czy sam nie będę zmuszony tego dokonać w imię moich zasad. Ale już pół do trzeciej — trzeba iść spać.

Wstał i pocałował matkę z jakąś kocią czułością, która bardzo nie podobała się Genezypowi. Teraz dopiero poczuł naprawdę, że księżna jest stara baba — przecież to z niej tyle lat temu wylał ten piękny młodzieniec, mało co starszy od niego. Ale już w następnej sekundzie to właśnie podnieciło w nim ciekawość i uprzyjemniło strach poprzedni: znalazł punkt wyższości nad swoją przeznaczoną kochanką. Scampi mówił dalej, przeciągając się z lekka — (czyż są gorzej wychowani ludzie od polskich arysto- i pseudo-arystokratów?): — Ale zapomniałem zupełnie o tym młodym człowieku. Co on robi o tak późnej porze w naszym gronie rodzinnym? Ale chyba nie potrzebowałem się krępować... Czy to jest nowy kochanek mamy? — Genezyp podniósł się, niemy z nagłej wściekłości: „mnie śmiało traktować tu jak dziecko!” Jakieś kolce wbiły mu się w skronie, z gorącego nosa zdawał się buchać fioletowy płomień — i do tego straszny żal beznadziejny, że to teraz właśnie w tej chwili... Z boku ujrzał wszystko, jakby spojrzął na istnienie spoza jego koniecznych form: czasu i przestrzeni, raczej dwóch stron dwoistości jednej, jedynej formy. Całe życie niedościgłe, cudze aż do wycia z zazdrości, a piękne nie do zniesienia, zawiroowało na dalekim obwodzie niezbadanych wyroków. Honor, jak „brylantowy ptaszek pocieszyciel” ze snów dziecinnych, wyklął się w tej chwili z jajka, z tego ludzkiego, męskiego, po prostu. Zrobił krok, gotów do bicia zupełnie na serio. Księżna chwyciła go za rękę i wsadziła go na powrót w fotel. Przeszedł przez niego dziwny prąd: poczuł się tak, jak gdyby zrośnięty był z nią w jedno ciało. A było w tym coś rozkosznie nieprzyzwoitego... zupełnie stracił siłę. Już nie mógł widzieć jakby z boku, jak to tam wszystko jest w tym życiu naprawdę. Markiz di Scampi patrzył na niego z pobłażliwym, wszechwiedzącym uśmiechem: on wiedział o takich chwilach objawień, ale nie miał na nie czasu: za mało procentowały w jego wymiarach kociej, nieomal dziecinnej intrygi i dyplomatycznych, *bezcelowych* subtelności, a przy tym zanadto zniechęcały do życia. Umiarkowane bydlęctwo było lepsze. Stary był już myślami o setki mil stąd, w stolicy. Widział Kocmołuchowicza — solipsystę (eliptycznego syczącego jak wąż solitera w kłakach kanapowych, pełnych sadzy) w jego czarno-zielonym gabinecie, który znał tak dobrze.... Straszny to był obrazek — jak chodzenie we śnie z zapalką po podziemiach napełnionych piroksyliną. Co za nieobliczalność, co za nieobliczalność! „Jak będzie trzeba, i ja zostanę solipsystą”, pomyślał i to przyniosło mu znaczną ulgę.

— Pan nie zna jeszcze naszej rodzinki — mówił do Zypcia *marchese*. — Pod pokrywką, a nawet płaszczykiem cynizmu, jesteśmy najdoskonalszą rodziną na świecie. Kochamy się i cenimy i nie ma w nas tego drobnomieszczańskiego brudu, przypudrowanego zewnętrznymi przesądami. Jesteśmy naprawdę czysti, mimo pozorów ohydnych dla ludzi naiwnych. Zdrada jest u nas jawna i nie ma kłamstwa między nami — jesteśmy sobą, bo na to nas stać, aby się nie wymigiwać i podle nie udawać. Pan nie jest jeden, który tak myśli.

— A jednak — wtrąciła lekko i swobodnie księżna — ludzie muszą nas szanować dla innych powodów: — (zdawał się jej dzika, sadystyczną frajdę sprawiać ten wymuszony szacunek u nienawidzących ją ludzi) — pieniędzy, stanowiska męża w Syndykacie i tego uroku, który ma Maciej. On *jest* niebezpieczny człowiek, naprawdę niebezpieczny jak oswojony ryś. Adam, mój drugi, nie dorówna mu, choć jest ambasadorem w Chinach — nie wiadomo, co się z nim właściwie dzieje — taki głuptaś z M. S. Z. — ma być podobno w drodze powrotnej. Maciek jest jak te chińskie pudełeczka, które się otwiera bez końca i ciągle znajduje się nowe — a ostatnie z nich jest puste. On jest niebezpieczny przez tę pustkę — psychiczny sportsman. Ale niech pan się nie boi Macieja. On bardzo mnie kocha, a przez to samo nie zrobi panu niczego złego. Jeśli pan chce, to pana możemy wkręcić w M. S. Z.

— Ja nie potrzebuję żadnego wkręcania! Nic mnie nie obchodzą wasze głupie Emeszety! Ja idę na literaturę — jedyna interesująca rzecz w dzisiejszych czasach — o ile nie wezmą mnie do wojska naturalnie. — Znowu wstał, znowu księżna posadziła go siłą, tym razem już z pewnym zniecierpliwieniem. „Ależ jaka ona jest silna. Jestem ni-

czym. Czemu to włochate bydlę odebrało mi siłę i pewność siebie. Muszę mieć podbite oczy, jak gdybym się zonanizował”. Mało się nie rozbeczał jak ciamkacz ze złości bezsilnej i samobójczej nieomal rozpaczy.

— Bardzo sympatyczny chłopczyk — rzekł bez cienia sztuczności Scampi. — Niech pan nie wydaje przedwczesnych sądów. Możemy jeszcze być kiedyś w wielkiej przyjaźni. — Podał rękę Genezypowi i spojrział mu głęboko w oczy. Miał oprawę księżnej, a kolor czarno-bury starego. Genezyp zadrżał. Zdawało mu się, że tam, w głębiach tych kłamliwych gałek, które nie wiadomo czemu uchodzą za „zwierciadło duszy”, ujrzał swoje najtajniejsze przeznaczenie: nie wypadki same, tylko ich najgłębszą esencję, nieodwracalną istotę. Zatrząśł się w dzikim strachu. Nie wiadomo co by dał w tej chwili, aby odwlec chociaż trochę mający nadejść moment stracenia niewinności, jeśli już o całkowitym uniknięciu tego nie można było marzyć. W takich to chwilach młodzi ludzie zostają czasem księżmi lub wstępują do klasztorów na mękę całego życia. Teraz dopiero „na ratunek” (jak Bóg) przypomniał mu się chory ojciec, może umierający w tej chwili, a może już umarły. Aż mu się nareszcie przykro zrobiło, że dopiero teraz... Cóż robić? Jest się, choćby w niekontrolowanych myślach swych, takim, jakim się jest naprawdę i nie trzeba żałować tej odrobiny swobody, jaką się ma w tym potwornym więzieniu, jakim jest świat i sam człowiek dla siebie. Na dworze dał orawski wicher, przeciągle podwywając w kominku i wokół węglów pałacu. Zdawało się, że wszystko pręży się i wydyma w straszliwym napięciu, że meble puchną i szyby lada chwila wylecą pod ciśnieniem tłoczącej je, niewiadomej siły. Czekanie, zmieszane ze strachem, rozprężało się we wnętrzościach Genezypa, jak kulka waty ugniecionej z tłuszczem we wnętrzościach szczura — (jest taki dziki zwyczaj zabijania tych nieszczęsnych stworzeń, dla których nikt nie może mieć współczucia). Już nie mógł znieść tego stanu, a jednocześnie zrobienie najlżejszego ruchu wydawało się absolutną niemożliwością — a cóż dopiero tego „*mouvement ridicule*”, — (o którym słyszał) — i to w takich warunkach! Nic nie było chyba potworniejszego dla niego w tej chwili nad stosunek płciowy. I on będzie *musiał* to zrobić — to w to i tak dalej. To coś nie-dowierzenia! Z nią!! *Ab — non, pas si bête que ça!* Sama egzystencja organów płciowych kobiecych stawała się czymś niepewnym, jeśli nie wręcz wykluczonym. Tężał powoli coraz bardziej w bekształtną masę bez woli, myśląc z rozpaczą, że jeśli ona nie powie pierwsza jakiego bądź słowa, albo nie dotknie go, o teraz, zaraz, to on, Genezyp Kapen pęknie tu, na tej błękitnej kozetce, rozpylając się chyba aż w nieskończoność. Wszystko to była gruba przesada, ale przecie... Jednocześnie pożądał do bezmiaru (teoretycznie raczej) tego, co stać się miało i musiało, a jednocześnie rzęsy mu drżały z niesamowitego przerażenia: jakże to wyglądać może naprawdę to wszystko i co on z tym (z *tym* — o potęgi ciemne, o Izis, o Asztaoth!) zrobić może i powinien — to najgorsze. Czymże wobec tego były wszystkie egzaminy i matura nawet. Było to trudne jak rysunek z geometrii wykreślnej: jakiś cień rotacyjnego elipsoidu rzucony na graniastosłup, przecinający się z ukośnym ostrosłupem. Zajączał, zamyczał raczej jak krowa, z męki niewysłowionej i to go ocaliło od pęknięcia. Udało mu się spojrzeć na księżnę ukradkiem. Siedziała, sępił swym profilem ku niemu zwrócona, tajemnicza, jak jakiś ptak święty nieznannej religii. Zagłębiała w myślach, zdawała się tak daleką od rzeczywistości, że Genezyp zadrżał znowu i wyłupił oczy z podziwu. Miał pewność, że przeszedł nieznanie w zupełnie odmienny świat w sposób ciągły, a jednocześnie świat ten odległy był od tego dawnego (który trwał tuż obok) o niewymierzalne otchłanie „psychiczności”. Jakie były równania transformacyjne tego przejścia, nie miał Zypcio nigdy się już dowiedzieć. W ogóle cały dzień ten (doba), a w szczególności wieczór, pozostał dla niego tajemnicą na zawsze. Szkoda, że takich rzeczy nie można później całkować. Momenty są jasne, ale całość najgłębszych przemian, podziemny nurt duchowych przekształceń, pozostaje niepojęty, jak sen dziwaczny nie-do-przypomnienia. Od tego punktu wszystko się „skaraluszyło” — tego był pewnym: widział kiedyś dwa karaluchy tak dziwnie zczepione... Razem z pożądaniem, ordynarny strach wybuchnął z centrum wnętrzości (z tego cielesnego środka osobowości) i zalał całą istotę jego aż po najdalsze krańce wspomnień. Tak silne było poczucie dwoistości, że chwilami naprawdę czekał tego wyjścia ducha z ciała, o którym opowiadali plebsowi wyznawcy Murti Binga. Na zawsze ucieknie duch ten od strasznych spraw płciowych i żyć będzie gdzieś w świecie absolutnej harmonii, czystych pojęć i prawdziwej, nielekkomyślnej beztroski — a tu zostanie to wstrętne ścierwo, na pożarcie demonom i monstrom

z piekła rodem. Nie było takiego kraju wyzwolenia. Tego trzeba dokonać tu, wlokąc za sobą ciągle żądny szaleństw, nienasycony worek organów, piekielny futerał z surowego mięsa, w którym tkwią rzadkie, tęczo błyszczące drogie kamienie. Nie, strach nie był ordynarny — to była ostatnia obrona męskiej (tej nie wstrętnej) godności przed największym z upokorzeń: oddaniu się we władzę nieczystych snów samicy. Tylko miłość może to usprawiedliwić i to nie bardzo. Coś się tam tliło, ale to nie było *to*. Jak żyć, jak żyć? Czyż ciągle będzie szedł tak jak po linie nad otchłanią, by runąć w nią nieuchronnie po strasznych, bezskutecznych z założenia, wysiłkach. Jakimże zakutym katolikiem był Zypcio w tej chwili, katolikiem negatywnym tak zwanym. Ręce miał spocone, uszy go paliły, a wyschnięte usta nie mogły przepuścić ani jednego ze słów, nad którymi biedził się skołczyły język. Tamta strona stężała też w naprężonym marzeniu, zapomniała kompletnie o jego obecności. Genezyp z bolesnym aż wysiłkiem wstał z kanapy. Był małym, biednym dzieckiem — nie było w nim ani krzty mężczyzny, a nawet gdyby, to wstrętnym by to było, bo wygląd jego był wprost fatalny. Księżna drgnęła jak zbudzona i daleki jeszcze wzrok skierowała na tę nieszczęsną karykaturę sympatycznego skądinąd zakłopotania w stanowczej chwili płciowego przełomu. Przed sekundą, w zabójczym skrócie, przemyślała całe swoje życie. Poczula, że tu jest jej kres — koniec — ten chłopczyk i dalej — albo zupełnie wyrzeczenie się i życie dalsze z tym ciągłym, okropnym niby-bólem w skórze, z tym nudnym zdrętwieniem nienasyceń w łędźwiach i głuchym cierpieniem gdzieś daleko w brzuchu — to wszystko — albo jeszcze kilka lat kompromisu — ale wtedy trzeba będzie płacić — jeśli nie wprost, to z okrażeniem, bocznymi drogami i pogardzać sobą, a nade wszystko tymi „draniami”. Nic nie pomoże już „*précieuse*’owatość” i to niby intelektualne życie. Dobrze to było jako środek omamienia tych bydląt, żeby nie widzieli już znowu tak wyraźnie wypiętych, sterczących z żądy organów. Ale samo w sobie? — „*taż to panie nuda niemożliwa*”, jak mówił ten przeklęty Rusin Parblichenko, co wszystko chciał staylorzować i koniec. O jakże wstrętny był w tej chwili dla niej mężczyzna! Nie to biedne dziecko, które siedziało tuż koło niej zmartwiałe ze strachu (wiedziało o tym), tylko *ten*, jeden w wielości jak pojęcie, ci ohydni, te ohydne włochate samce, wiecznie dalekie, nieuchwytnie, kłamliwe — „o, stokroć kłamlivsze od nas”, pomyślała. „Bo my wiadomo, że robimy wszystko dla *tego*, a oni udają, że dla nich nie jest jedyną prawdziwą rozkoszą nasycić się nami”. Spojrzała na niego, raczej na to „*coś*”, z czego miała zrobić za chwilę (przy pomocy swojej piekielnej erotycznej techniki) mężczyznę, takiego samego, jak ci, na myśl o których wzdrzygała się teraz ze wstrętu i upokorzenia. Genezyp siadł znowu obezwładniony sprzecznością, przerastającą jego wymiary aż w niesprawdzalną sferę, gdzie urojenie łączy się z rzeczywistym bytem. „*Ha, niech się dzieje wola nasza*”, pomyślała księżna. Podniosła się lekko i zwinnie. Siostrzano-dziewczynkowatym ruchem wzięła Genezypa za rękę. Wstał i nie opierając się powlókł się za nią. Miał prawie pewność, że przesiedział godzinę w poczekalni u dentysty, i teraz idzie rwać ząb, a bynajmniej nie „*udaje się*” na pierwszą noc rozkoszy do jednego z pierwszych demonów kraju. Ale tamto było fraszką wobec tego, co czekało go teraz. „*Oto są skutki tego przeczekiwania, tego przetrzymywania*”, myślał z wściekłością. „*Ojciec, wszędzie ojciec. Inaczej bym tu działał w tej chwili, gdyby nie ta przeklęta cnota*”. Uczuł wprost nienawiść do ojca i to dodało mu siły. Nie wiedział, że cały urok sytuacji polegał jedynie na tym przeczekaniu się na wylot, na które narzekał. Gdybyż to można *być* dwiema przeciwnościami naraz, a nie tylko o nich myśleć! Cóż to byłaby za przyjemność! Niby staramy się o to czasami, ale wychodzą z tego rzeczy połowiczne, niedociągnięte. Chyba obłąd... Ale to zbyt niebezpieczne. A przy tym nie ma się wtedy pełnej świadomości...

Znalazł się w pachnącej macierzanką i jeszcze czymś nieokreślonym sypialni księżnej. Cały pokój robił wrażenie jednego olbrzymiego organu płciowego. Było coś nieokreślenie nieprzyzwoitego w samym rozkładzie mebli, nie mówiąc już o kolorach (rakowych, różowych, sinych, buro-fioletowych) i drobniejszych akcesoriach: sztychach, bibelotach i albumach, pełnych najdzikszej pornografii, od ordynarnych fotografii, do subtelnych rysunków i drzeworytów chińskich i japońskich — nienormalny objaw nawet u takiego „*bas bleu*” jak Irina Wsiewołodowna — przecież to zbieranie świństw jest wyłącznym przywilejem mężczyzn. Ciepły półmrok rozpylał się razem z nieprzyzwoitym zapachem, przenikał do kości, rozmiękczał, rozluźniał, a jednocześnie sprężał, rozbustwiał i rozbyczał. Genezyp poczuł znowu jakieś tam męskie skomlenia i nakazy wewnątrz ciała. Gruczoły

zaczynały się ruszać, niezależnie od stanów ducha. Co on je w ogóle obchodził — teraz użyjemy my, a resztę niech biorą sobie wszyscy diabli.

Księżna rozbiierała się szybko przed lustrem. Gniotące milczenie trwało. Szelest sukien zdawał się być strasznym hałasem, zdolnym cały dom porwać na nogi. Pierwszy raz widział Zypcio coś podobnie wspaniałego. Czymże były wobec tego najcudowniejsze widoki górskie. W mroku znikły drobne (drobniutkie) usterki tej przepięknej bydlęcej mordy (uśmiechającej się do niego z lustrą wywlekającym flaki uśmiechem), którą owiewał dookoła potężny duch, jak huragan szczyt jakiś niedosiężny. Pławiła się w nim, nabierając niezwykłej potęgi i jakiegoś nadziemsko-satanicznego uroku, rwącego chłopczykową duszę Zypcia rozdzierającym bólem nigdy niedokonanego życia. Cóż znaczyły, wobec tego czarodziejstwa, zauważone poprzednio jakieś tam drobne zmarszczki i leciutkie dziurkowanie przepysznego nosa. Marzenia, posągi i raj Mahometa i szczęście bycia owadem (o czym tak kiedyś marzył Zypcio) czymże były w porównaniu z tym cielesnym przepychem, dławiącym za gardło aktualną nieskończonością w olbrzymości czegoś, co czasem przecie w życiu zwęża się w jakąś szpareczkę, „pecynkę” nędzną, wobec szczytowych mamideł świata pojęć. Tylko w tym świecie jest to nieadekwatnym zlepkiem przypadkowych kawałków, odpadków całej praktyczności ludzkiego stada — tu „stoi oto, panie, jak byk przed panem” taka niezwykła piramida pozornego nonsensu, której syntetyczność nie jest zasadą, pływającą gdzieś w „idealnym byciu”, tylko czymś rzeczywistym (o jakże słowo to, przez bezecne nadużycie, straciło wszelką swoją wartość), jednolitym, bez skazy, bez dziurki, czymś gładkim jak szkło, nie dającym się niczym przebić i zanalizować — chyba po prostu sztyletem, albo pogardzaną przez 6000 lat artystyczną bzdurą. (Pogardzaną dlatego, bo inne były na to kiedyś środki: okrutne, erotyzmem przepojone religie, wielka sztuka, wielkie wyrzeczenia, straszliwe wieszce narkotyki i poczucie straszliwszej ponad wszystko tajemnicy — nam został tylko nonsens, jako środek ostatni — potem koniec — tak mówił Sturfan Abnol). Było to czymś tak prostym, jak każda jakość (kolor, dźwięk, zapach itp.) dla wszystkich, lub pojęcie dla — („he, he”) — Husserla. „I ta ludzkość, która tyle wieków [oczywiście z punktu widzenia racjonalizmu (który jak wiemy bynajmniej nie zawsze dla wszystkich [y compris najtęższe łby] ma rację)] brnęła w najpiekielniejszy nonsens religijny i pławiła się w nim po prostu z wyuzdaniem, teraz oburza się na ostatnie podrygi sztuki, nie mogącej stworzyć swego zamierającego świata form, bez lekkiego wykrzywienia „świętej rzeczywistości”, to znaczy wizji świata i uczuć w mózgu najbanalniejszego „*standard-common-man'a*” dzisiejszych czasów” — tak mówił pół godziny temu czort wie *à propos* czego, tak *en passant* ten wstrętny Maciej Scampi. To ciało, to ciało — teraz otwarła się przed zdumionymi oczami śmiałka (raczej nieśmiałka) straszliwa tajemnica drugiej osobowości, teraz, kiedy ujrzał ją spowitą w niedosiężne pięknością i materialnym oporem (chyba zmiażdżyć lub podrzeć w strzępy, w ogóle unicestwić) pożądane ciało. To wszystko to była ona, ta piekielnica. Był jak arcykapłan przed posągiem Izdy. Wszystkie wschodnie potworne mity i plugawe seksualne misteria, ucieleśnione w ten zaklęty w swej doskonałości byt, przesuwają się przez skażoną wyobraźnię młodego byłego onanisty, jako opar lubieżny, wydzielany przez to nieopisane coś, co etalowało się przed nim z takim smutnym bezwstydem. Bo księżna była smutna i ze smutnym wdziękiem obnażała swoje zabójcze okrągłości — *des rondeurs assommantes*, jak mówił jej kiedyś któryś tam z francuskich jej wielbicieli. A ogłupiałe spojrzenie chłopca (patrzyła w lustro poza siebie także), piekło jej skórę jak rozpalone płyty diatermicznego aparatu. „Dla tego szczęścia warto nawet pocierpieć trochę”, myślała biedna.

Niežnośnie olbrzymiał świat Genezypowi. I w tym ona, jak w gorączkowym koszmarze, stawała się malutka, niby pesteczka w kolosalnym owocu — oddalała się, nikła gdzieś w otchłani piętrzących się nad nim przeznaczeń. Znowu strach. „Czyż jestem tchórzem”, pomyślał rozpięty na swoim podręcznym krzyżyku Zypcio. Krzyż ten miał się rozrosnąć potem w krzyżyisko i nie opuścić go już nigdy — miał wrosnąć mu w ciało, a nawet w dolne kończyny ducha. Nie, nie był tchórzem biedny Zypek Kapen, odrobinę za późno tracący niewinność maturzysty. Strach jego był teraz natury w istocie metafizycznej — nie kompromitował rodzącego się w chłopczyku mężczyzny. Pierwszy raz poczuł Genezyp, że ma ciało naprawdę. Czymże były wobec tego sporty i gimnastyka! Muskuły tego „systemu” (jak mówią Anglicy) drgnęły i podszedł do stojącego przed nim złowrogiego

bóstwa na dwa kroki — bóstwa, z którego opadły właśnie na deseniasty dywan majtki, bardzo zresztą ładne. Ale co on się na tym rozumiał czy wyznawał. Ciało i rudy ogień tam... Nie wytrzymał tego widoku. Spuścił oczy i uważnie wpatrywał się w wielobarwny deseń dywanu, tak, jakby zapamiętanie tych perskich zygzaków było w tej chwili właśnie czymś najważniejszym. Boczna akomodacją tylko widział niższą część całości piekielnego obrazu. Tamta odwróciła się, wyskoczyła lekko z leżących na ziemi majtek i nie patrząc na niego, zdjęła wdzięcznym ruchem małej dziewczynki błyszczące pończochy. Ten błysk miał w sobie coś z okrucieństwa polerowanej stali jakiejś potężnej maszyny. Wymiary zmieniały się co sekundę — oscyloowało wszystko ciągle między brobdignagizmem i liliputyzmem, jak w peyotlowych wizjach. (Irina Wsiewołodowna nosiła zawsze podwiązki okrągłe nad kolanami). I Genezyp ujrzał jej nogi tak piękne, że żaden grecki posąg — ale co tu gadać: nogi jakby oddzielne bóstwa żyjące swoim niezależnym życiem, bose, gołe, nieprzyzwoite... Przecież noga jako taka nie jest czymś właściwie tak znów już bardzo pięknym — ale jest czymś piekielnie, najhardziej chyba nieprzyzwoitym. A tu — o do diabła! — to chyba jest cud. I że to takie jest właśnie, a nie inne, w tym przekroju uciekającego beznadziejnie czasu, walącego się w przepaść przeszłości życia — to trwa, to *jeszcze* jest — tortura pękającego od nasycenia samym sobą momentu. Genezyp spojrział w jej twarz i skamieniał. To był „anioł rozpusty” — tak: innego na to słowa nie ma: ANIOŁ ROZPUSTY, AAA, aaaa... Ta piękność, wyuzdana do granic szału, wtopiona w niedosiężność zaświatowej świętości, była czymś nie-do-znie-sienia. I to w połączeniu z tymi nogami i tym rudym, wirowatym kłakiem, kryjącym obrzydliwą tajemnicę początku. Czyż mógł stamtąd wychynąć się na świat ten przykry i piękny dryblas, którego poznał przed chwilą? Zypcio zapadł się w bezdnie tak dzikiego przerażenia, połączonego z tak cholerycznie *nieprzyjemnym* cierpieniem płciowo-ogólno-życiowym, że trząsał po prostu od środka, jak purchawka, jak pluskwa napita krwią. Nigdy nie odważył się do niej podejść, nigdy nic już między nimi nie będzie i nigdy nie odetchnie od tego nieznośnego stanu wewnętrznego obolenia aż po krańce dni swoich. Zamiast genitalii czuł jakąś bezsilną, grząską i bolesną w swym znieczuleniu ranę. Był kastratem, dzieciakiem i durniem.

— Boisz się? — spytała księżna z czarującym uśmiechem łukowato wygiętych warg, potrząsając rozkosznie grzywą miedzianych włosów. Teraz nie myślała już o tym, że było w nim dzisiaj coś podejrzanego — zapomniała o swoich przeczuciach. Straszliwa miłość wstąpiła w jej niezwykłe uda i w niespokojnym dreszczu innych przeczuć spiętrzyła wnętrzości na wywrót w jakąś chłonącą wklęsłość bez dna. Słodycz gęsta, aż do bólu rozkoszna podeszła jej pod krwawe, obolałe, tęskniące za czymś najwyższym serce: mogła wchłonąć w tej chwili cały świat, a nie tylko tego dzieciaka, dzieciucha, dzieciątko, tego chłopczyka, chłopysia, chłoptasia, tego ślicznego aniołka, już zbyczonego od męskości, który miał coś tam dla niej w spodenkach — coś miękkiego, nieśmiałego, biednego, co za chwilę wstanie groźne jak palec przeznaczenia na burzliwym, letnim niebie, przepojone nim samym (jego duszą nawet) i zmiażdży ją (to i on sam razem — o niepojęta dziwności tej rozkoszy), zabije, zniszczy i będzie się pastwić krwawym jak jej serce niedosytem, aż rozszarpie ją i samego siebie w haniebnym, upakarzającym i tryumfalnym (dla niego — sprawcy tej piekielnej frajdy) spaźmie orgazmu. *Cóż mężczyźni wiedzą o rozkoszy!* Oni, którzy robią co chcą, pośrednio zaledwie uświadamiając sobie, że to ta, jakaś ona, potęguje biernie rozkosz tę do szału, tym, że jest taką, a nie inną — poza drobnymi jakimiś uczuciami. Ale nie wiedzą nędzni, czym jest czuć w sobie we wnętrzościach własnych zgębnionego, upodłonego, a jednak wielkiego i potężnego prawdziwego jej *sprawcę*. To on to ze mną robi, jest tam — ta bezsilność poddania się obcej mocy, to jest dopiero szczyt. I do tego jeszcze poczucie upadku tamtego bydlęcia. „Ach nie, ja tego nie zniosę, ja zwariuję” — szepnęła, rwąc się w strzępy od żądz, ogarniającej całe ciało, na które ten bałwan nie śmiał spojrzeć jak zdobywca. Tak to sobie wyobrażała biedna Irina Wsiewołodowna. A jak się stało naprawdę? Lepiej by o tym nie mówić wcale. I można by nie mówić, gdyby nie pewne rzeczy, które dowodzą jednak, że tak będzie lepiej.

Teraz dopiero naprawdę poczuł Genezyp sens swego popołudniowego przebudzenia się z dziecinnych snów. (Po raz który?) Nieskończone są kondygnacje duszy ludzkiej — trzeba tylko umieć brnąć nieustraszenie w głąb — albo się zdobędzie swój własny szczyt, albo się zginie — w każdym razie nie będzie to psie życie miernot, wiedzących zaledwie

to, że są i to nie bardzo. Ha — spróbujmy. Cała rozmowa kniazia Bazylego z Benzem rozświetliła się nagle po raz ostatni, jak sklębione na wschodzie obłoki, gdy słońce przedrze się pod sam zachód i rzuci na nie, już zza horyzontu, swoje zamierające, malinowo-krwawe promienie. Gdzie był w tej chwili, nie wiedział. Przekroczył granice swego dotychczasowego „ja” i wyrzekł się intelektu na zawsze. Była to pierwsza zbrodnia, popełniona względem samego siebie. Starcie dwóch światów, uosobionych w tamtych panach, dało wynik równy zeru, „Życie samo w sobie” (najzludniejsze pojęcie najpospolitszej miazgi ludzkiej) otworzyło mu drogę upadku. Wyrzekając się pozornej nudy, właściwej sferze pojęć dla początkujących, wyrzekł się tym samym życia, dla którego sferę tę poświęcił. (Nie dla wszystkich prawo to jest ważne, ale iluż jest dziś ludzi, którzy *bezprawnie* postępują w ten sposób). Groźne bóstwo bez majtek i pończoch, z „czut’ czut’” obwisłymi, ale jeszcze (podniesiony groźnie palec — sam w powietrzu) pięknymi piersiami (Genezyp doznał wizji nieznanych owoców z innej planety), stało milczące, kochające, pokorne. W tym właśnie była cała groza. Ale o tym nie wiedziało biedne niewiniątko. Nie wiedział też Zypcio, jak straszliwy urok miał dla niej w tej swojej bezradności i zakłopotaniu, jak głęboką miłość, rozpruwającą wnętrze zastygłymi w krystaliczne kolce łzami, budził w niej prawie poza pożądaniem, gdzieś aż w byłej matce, tym, że był właśnie dzieciakowatym erotycznym jełopem, bezcennym wprost okazem w tych strasznych czasach. A tu jak na złość wstręt... Jak może takie obrzydzenie do siebie po jednej stronie być ekwiwalentem tak wzniosłych uczuć do przedmiotu tego obrzydzenia po drugiej? Tajemnica. Niezbadane są wyroki, kryjące się w kombinacjach gruczołowych wydzielin. Ten cocktail zawsze może zrobić niespodziankę swoim smakiem. Ale ostatecznie wszystko to musi się skończyć raz do diabła i zacząć co innego — inaczej chwila minie, ta jedyna chwila, której trzeba użyć, *użyć* — ach...

— Chodź — wyszeptano tajemnicze bóstwo, przez zdławione żądzą gardło. (Gdzie, o Boże, gdzie?!) Nie odpowiedział nic: stężały język należał jakby do innego człowieka. Podeszła i poczuł zapach jej ramion: subtelny i nikły, a jadowitszy stokroć od wszystkich alkaloidów świata — mandżun, dawamesk, peyotl i „lukutate” czymże były wobec tej trucizny. To go podcięło ostatecznie. Mało nie zwymiotował. Wszystko działo się na opak, jakby ktoś złośliwy nastawił całą maszynę na wywrót. — Nie bój się — mówiła dalej głębokim, trochę drżącym głosem, Irina Wsiewołodowna, nie śmiejąc go dotknąć. — To nic złego, to nie boli. To bardzo będzie słodko tak razem zrobić to coś takiego nieprzyzwoitego, takiego miłego, czego nigdy nikt nie widzi i wstydzi się. Czyż jest coś piękniejszego jak dwa palące się do siebie ciała... (Znowu nie to psia-krew!), które się przenikają w rozkoszy, którą dają sobie wzajemnie... (Ten ponury schyłkowatością demon nie wiedział, jak oswoić, ugłaskać i uwieść to biedne zastrachane bydlątko. Duch uciekł, pękając ze śmiechu nad biednym, zszarganym, drżącym od „otchłannych” pragnień, starzejącym się ciałem, które teraz w półmroku, w oczach niewinnego wstrętnego chłopca, zakwitowało w nigdy niewidzianym blasku, może po raz ostatni. Cierpienie potęgowało urok chwili w niemożliwy sposób. Wszystko podlane było szarym sosem męki, w którym pływały drobne rodzynki starczego prawie wstydu, udającego ten dziewiczy, prawdziwy. Ale zwyciężyła wielkość gestu samego w sobie, a potem dopiero przyszło spóźnione odpowiednie uczucie: tajemniczy amalgamat macierzyńskiej tkliwości i bestialskiej, morderczej żądzy, to jest właśnie szczęście kobiety, o ile znajdzie się obiekt, na którym ten melanz „skrupić” można. Tak myślał Sturfan Abnol — ale naprawdę nie wie tego nikt). Wzięła go za rękę. — Nie wstydz się, rozbierz się. Tak ci będzie dobrze. Nie opieraj się, poddaj się mnie. Taki śliczny jesteś — nie wiesz, jaki jesteś — nie możesz wiedzieć. Ja ci dam tę siłę. Poznasz samego siebie przeze mnie — napniesz się jak cięciwa łuku do tego rzutu w dal, którym jest życie — skąd ja wracam, aby ciebie tam wprowadzić. I może ostatni raz kocham... kocham... — szepnęła prawie ze łzami. (Widział jej twarz płomienną tuż przy swojej i świat stawał przed nim dęba powoli, ale systematycznie. Tam, w genitaliach, trwała złowroga cisza). A ona? Biedne, zatulone w jedwabne szale puchy, zakute w cyniczną, metalową maskę, zahukane przez mądrego (jak na babę) ducha i przez kryjące swe (drobne zresztą) wady ciało, serce jej, ten kłębek niedorosłych i przerosłych, niewspółmiernych i pokiłbaszonych niemożliwie (była przecie matką kiedyś) uczuć, to serce rozwierzało się całe w dzikim bezwstydie przed tym młodym okrutnikiem, w swej nieświadomości zadawanych tortur, aż wstrętnym prawie chłopcem. Chłopięctwo to dość

przykra rzecz właściwie i nieciekawa, o ile nie rozświetla jej dość wysokiej marki intelekt. Jeszcze nie rozbłysło to światło w Genezypie, ale coś się w nim tam bądź co bądź kołatało. Dziś koniec z tym. Już nigdy nie odnajdzie siebie z tamtej strony. Już się przewala po nim zło, okrutne życie, jak bestia jakaś z atlasu potworów — może Katoblepas, a może coś gorszego jeszcze — (a mógłby to być posłuszny baran przecie) już jak długie, duszące elasmosaury platyury, żądze opłotły go i wlec będą dalej w tę ciemność przyszłości, gdzie dla niektórych nie ma ukojenia, chyba w narkotykach i śmierci, albo w obłędzie. Zaczęło się *to*. — Znowu jej słowa:

— ...rozbierz się. Takie śliczne masz ciało. (Rozbierała go powoli). A jakie silne. Jakie mięskuly — to zwariować można. Tu jest spinka — tu ją kładę. Ty mój biedny, kochany impotencie. Ja wiem — to dlatego, że się przeczekał. A co to za plamka? (Głos jej zadrgał). A — zonanizował się mój chłopczyk. A to nieładnie. Trzeba było zachować dla mnie. A teraz flak. Ale to o mnie myślałeś, prawda? Ja cię oduczę od tego. Nie wstydz się. Cudny jesteś. Nie bój się mnie. Nie myśl, że ja jestem mądra bardzo — ja jestem taka sama mała dziewczynka jak ty — to jest: nie dziewczynka: ty jesteś duży chłopiec, taki silny mężczyzna. Będziemy się bawić w małżeństwo jak siedmioletni Papuasi w chatce w dżungli. — To mówiąc wyglądała rzeczywiście na małą dziewczynkę, taką, jakimi pogardzał dawniej. — Ja nie jestem taka straszna — to tylko mówią tak o mnie. Ale ty ich nie słuchaj, nie wierz im. Sam mnie poznasz i pokochasz. To niemożliwe, żebyś mnie nie pokochał, kiedy ja ciebie tak... — i pierwszy pocałunek wszechwiedzącej samicy zawałił się na jego niewinne usta i oczy obłędnie-lubieżne wgrzyły się w jego oczy, jak kwas siarczany w żelazo. Nareszcie poznał, co to za straszna rzecz są usta — takie usta i do takich należące oczu. Spłomienił się na zimno cały i zaraz ją pokochał — ale na krótko i gwałtownie. Zaraz przestał. Mimo wszystko wstrętne mu były te rozkwaszenia jego twarzy mokrym mięczakiem i te „lizy” szalone nieprzytomnego języka. Rozdwoił się zupełnie aż do dna prawie. Ale co ją to obchodziło. Zawlokła go wśród pocałunków na kanapę i mimo oporu rozebrała do naga. Buty mu zdjęła, całując gładkie, przepyszne łydki. A tam nic. Więc innego użyła sposobu: wzięła głowę jego w ręce i zmusiła go by ukłęknął, a sama rozwalila się piekielnie, jak zmora ohydna. I wtedy tę głowę i tę twarz tak pożądaną zaczęła pchać tam bez litości. A on, mężczyzna na skraju upadku, broniący siebie przed przekleństwem całego życia (szczęście czy nieszczęście to prawie wszystko jedno, z wyjątkiem niezmiernie krótkich chwilek złudzenia), mimo że już potencjalnie upadły i staczający się po pochyłości, walczył instynktem samej osobowości przeciw wielości istnień i stadu, które ona z konieczności metafizycznej tworzy. Rozrywało go wprost na wszystkie strony. Dusił się, wymiotował do wewnątrz i prychał i parskął, ujrawszy przed sobą to, czego obawiał się najwięcej. Nie miał najmniejszej chęci zrobienia jej przyjemności, nie mówiąc już o tym, jak nie doceniał tego, co danym mu było oglądać. Jakiś potwór zacieniony rudym włosem (księżna pogardzała wszelką nienaturalnością), dziwny, wstrętny, różowawy, pachnący piekłem (chyba) i świeżością morza i najlepszym tytoniem od Rothmana i utraconym na wieki życiem — to właśnie; i ten brzuch niby zwykły, a tak świętokradczo-poddańczo delikatnie wypiętrzony jak kopała jakiejś zakazanej wschodniej świątyni; i piersi jak białe dagoby, których szczyty oświetla wschodzące słońce; i te biodra, znane skądś, może z podświadomych marzeń, obce i bliskie, i takie, że nic im poradzić nie może w ich piękności i nic z nimi zrobić, psia-krew, nie można, i trwają tak na mękę i wstyd dla wszystkich. I do tego ta twarz, ta morda piekielna!... I miłość. (Wiadomo czego trzeba by, aby zgłębić to wszystko razem, w jednym pchnięciu bohaterskim i uczynić czymś poza sobą: przeszłością, czymś i dalekim, i obojętnym choćby na chwilę. Ale tam trwała dalej cisza złowrózbona, jakby na morzu na godzinę przed cyklonem). I znowu sprzeczne z „poprzednio opisanym stanem” zwały nieznanych uczuć i wstyd palący za własne niedołęstwo (to fizyczne) i głupotę. Pustynia bezpłodnych, okrutnych przeżyć, druzgocących stworzone z trudem ośm lat życia. Tak to się urabiała nieodwołalna przyszłość w tej chwili dziwnej męki i sromu... (Co? Ohydne słowo, ale cóż jest wyższego nad wstyd, prócz tej okropności). I do tego ona, taka dobra w swoim wyuzdaniu, jak mleczna czekolada, jak bezwstydną krowa jakaś, a nie człowieczyca, samica jelenia, krokodyla, czy kapibary... Taka duża się zrobiła i ciężka, i niewygodna — w ogóle zbyt ciężka — a tu nic, jak na złość, ani jednego drgnięcia. I, zamiast uczynić to, czego żądała ona, tulił się do jej piersi troszeczkę, odrobineczkę obwisławych, ale

tak cudownych, jako „czysta forma”, że zaćmić by mogły niejedne okrągłości niejednych szesnastolatek. Aż nareszcie zniecierpliwiała się definitywnie ta cała skombinowana machina, ta tak zwana księżna Ticonderoga. I, machnąwszy grzywą w tył, podała mu znowu usta, jako coś tak bezprzykładnie nieprzyzwoitego i wstrętnego aż ze ślimaczej wprost lubieżności, że wzdrygnął się cały w nieludzkiej męce obrzydzenia w stosunku do rzeczy, której najbardziej pożądał, obrzydzenia złączonego mimo wszystko z uczuciem rozkoszy i głębokiej dumy: jednak on też całuje naprawdę. Ale właściwie nie wziął tych wspaniałych ust ten idiota. I wtedy ona wzięła go sama i zaczęła się znowu męka wymuszonych pocałunków, od których nie było już ucieczki — chyba żeby zrobić jakąś przykrość temu strasznemu, nalażącemu nań zwierzęciu. Ale tego nie chciał Zypcio za nic, mimo strachu i obrzydzenia. Patrząc by na nią mógł, taką nagą, z zachwytem dziesięć godzin nawet bez przerwy. Już kochał i to naprawdę prawie, ale dziwnie jakoś, nie tak jak matkę, ale podobnie (to straszne), to stworzenie w gruncie rzeczy dobre, które pod nim takie niewiarogodne wyprawiało szpryngle, zachwycając się przy tym bezwstydnie wszystkim tym, na co on w sobie taką małą zwracał uwagę. I nic. Flak i flak. A chciało mu się czegoś tak strasznie, że mało nie pękł — ale czego — nie wiedział. To znaczy wiedział pojęciowo — zabrakło mu tylko w środku jakichś połączeń.

Aż wreszcie znudzona, zniechęcona, zawiedziona, wściekła księżna (wiedziała, że za pół godziny przebaczy mu wszystko i da mu — może kiedyś — drugą lekcję inną metodą) krzyknęła na niego ostro, odepchnąwszy go ze wstrętem, właśnie gdy czulił się do niej lekko, z zupełnie prawdziwym przywiązaniem:

— Ubierz się w tej chwili. Późno. Jestem zmęczona. — Wiedziała, co robi: jakby go kto batem po niewinnym „liczku” smagnął.

— Chcę się umyć — dosłownie wycharczał, zraniony do głębi. Czuł, że jest bezmierne śmieszny, a wewnątrz upokorzony po prostu i zhańbiony.

— Po czym, ciekawa jestem. A zresztą idź do łazienki. Już ja cię myć nie będę. — Wypchnęła go delikatnie, pogardliwie za drzwi na korytarz, bosego, gołego, ociekającego opuszczeniem i niedołęstwem. Gdyby był tytanem woli nawet, nic by nie mógł przeciw temu poradzić. „Ciekawy jestem, jak by w takiej sytuacji zachował się Napoleon, Lenin albo Piłsudski” — pomyślał, starając się uśmiechnąć. O — gdyby mógł wiedzieć, że tak się skończy ta noc, wolałby Tengierowi oddać się zupełnie w zawilczonej ludzimierskiej puszczy. Ale powoli wzbierała w nim jakaś złość niesamowita.

Już robił się świt. Wicher dął dalej, już ciepły widać, bo drzewa stały czarne i wilgotne i z dachów lała się woda, porywana podmuchami, jakby zakasywana w nieprzyzwoity sposób. Ten zwykły ranek, który zaczynał się teraz ni w pięć ni w dziewięć, był, po tym, co zaszło, okropny w swej codzienności, jakiejś hypernormalności właściwie. Wyprychawszy się, poczuł Zypcio na nowo pewną godność męską. Tylko ten dzień bezlitośnie wstający — o, jakże ciężko będzie go udźwignąć. Co robić w ogóle? Czy wszystko się już skończyło i on zostanie tak do śmierci jako otwarta, krwawiąca się rana? Jak dożyć wieczoru? Jak przeżyć życie? Być już tam, po tamtej stronie, gdzie w oddali czaiły się zblazowane, rasowe mordy starszych panów, którzy wiedzą wszystko. Albo nie: roztworzyć jakieś ukryte dotąd wrota od tego brudnego podwórza teraźniejszości i żeby przez nie buchnęło prawdziwe słońce wiedzy o życiu i wyjść stąd tam, tam — gdzie jednak było to *tam*? Jakieś dalekie wspomnienia bezprzedmiotowego rwania się ku czemuś wielkiemu w czasach dzieciństwa, przypomniał sobie zaiste w porę. Zaśmiał się gorzko, uświadomiwszy sobie swoje półcienie. Ale to dało mu nowy „szturch”. Nie czekać już tych chwil jak dawniej, tylko je tworzyć świadomie. Czym? Od czego wola? Jak? Zacisnął pięści z siłą, zdolną pozornie cały świat przetransformować na nowo w jego własny twór, w posłuszne mu bydło, jak suka jego, Nirwana. Rzeczywistość ani drgnęła. Tu muskuły same są na nic — trzeba jeszcze jakiejś małej, malutkiej sprężynki. Nie miał jej. Nie pomyślał nawet o swoim intelekcie, którego się wyrzekł przecie na zawsze. Jak zmienić choćby ten pałac, w którym był podłym intruzem, i tę obcą babę (nie kochał jej w tej chwili wcale) w swoją dziedzinę i swoją kobietę (nie w jakąś miłość na zawsze, nie w małżeństwo, o tym nie pomyślał dotąd, jak i o dzieciach możliwych), tylko w te przedmioty swego wewnętrznego użytku, należące do obrzędu dawnych symbolicznych kólek dziecinnej metafizyki, nad którymi dotąd panował. Jak nieznośny ciężar legł na nim świat — tylko to ostatnie kółeczko jeszcze ledwie zipało. (Genezyp Kapen — *je ne „zipe” qu’à peine* — ledwozip —

jak go nazywano w szkole). Tym kółkiem był on sam, raczej jego bezwymiarowa jaźń, ale już jakby poza ciałem. Nawet ciało jego, mimo prężności mięśni, nie należało teraz do niego. Rozłożył się na poszczególne, obce sobie, pozbawione chemicznych pokrewieństw elementy. Był tu, goły, trochę zziębnięty, we wrogim sobie miejscu, w labiryncie pokoiów tej również gołej baby, która czekała na dowód jego siły, podczas gdy matczyne jej w stosunku do niego uczucia wyciekały z niej powoli, jak woda przez dziurawy garnek, (jak mleko przez rakowatą pierś). Dobre to było i zabawne, nawet przy końcu życia na parę godzin. (Raz miała podobny wypadek, ale nie z niewinnym chłopcem, tylko z jakimś świętawym, długoletnim abstynentem płciowym). Ale jeśli tak będzie ciągle (może on jest nienormalny, o Boże?!), to to jest niemożliwe po prostu i koniec. Jeśli ten mały, przy *takich* swoich warunkach, nie zadowolni jej płciowo, tak czy inaczej, to to jest do kwadratu po prostu tragedia, trzeba będzie zastosować znowu, po raz nie wiadomo który (tylko z innych powodów) demoniczne metody, całą tę kłamliwą grę, której miała już potąd... A tu chciałoby się odpocząć trochę, pokochać tak po prostu, wyciągnąć się i przeciągnąć ostatni raz rozkosznie i spokojnie na niewinnym sercu i tęgim ciałku *sur ce paquet de muscles* tego ślicznego „chłopysia”. A przy tym, żeby ten „chłopys” bez żadnych już dopingów sztucznych wściekał się zupełnie dobrowolnie, a przy tym jeszcze, żeby wszystko to było łagodne i ciche, a jednak interesujące. Tak myślała księżna (próżne marzenia!), drzemiąc z lekka, z rozdartymi wnętrznościami, spowita w seledynowy w złote kwiaty (co za zbytek!) szlafrok, *vel*: zatulnik, leniwnik, rozmemlnik, wylegadło, zawijak. Pewna była, że to stworzonko dziwne nie ucieknie jej wprost z łazienki. Chociaż po takim wszystkim można się spodziewać: gotów chwycić jakie futro z „hallu” i drapnąć w kaloszach jej męża. Straciła pewność co do tego, jak romans ten dalej się rozwinie. A przy tym to najbardziej niepokojące zwątpienie w jego normalność w ogóle. Już nie mogła pozwolić sobie na to puszczenie się swobodnie, którego tak w ostatnich czasach pragnęła. Czujne zwierzę (takie miłe zwierzątko, jak świstak, strażnik stadka) zbudziło się w niej znowu i przeżyło się nasłuchując. Co też robi tam ten „golasik” (brrrr...) taki „cudny, gładziutki, młodziutki, a przy tym dość muskulisty i zwalisty, a taki obcawy, mimowolnie kąśliwy i niezadowolony (z takich przepychów! — co za skandal!) i jeszcze w dodatku obrażony!” Nagle drgnęła. Pierwszy raz w życiu zastanowiła się nad tym, co się z NIM dzieje, z tym mężczyzną samym w sobie dla niego (choć tego „dzieciaka” nie mogła właściwie tak nazwać), tym właśnie, będącym jej (choć w tym wypadku niedoszłym) samcem. Niebezpieczna nowość. Tak jeszcze nie myślała — chyba kiedyś przed ślubem, jako mała dziewczynka, o jakichś tam przedhistorycznych bubkach, z których killkunastu potem jako kochanków prawdziwych miała. Czy prawdziwych? Tyle czasu, życie całe, żyła bez miłości — teraz ujrzała jasno tę prawdę. I teraz trzeba będzie tę miłość (bo już wiedziała w tej chwili, że to była miłość, prawdziwa pierwsza i ostatnia) zatruć, zapługawić dawnymi, mniej lub więcej demonicznymi „*truc*ami”, całą tą straszną właściwie, a tak nieodżałowaną przeszłością, której wyrwać z siebie przecie tak na poczekaniu nie mogła. Straszliwy żal chwycił ją za serce i tam poniżej.

A tamten idiotawy chłopczyk nie przeczuwał wcale wyroków, które ciemne, tajne siły jej ciała na niego wydawały i przeżył tęgie swoje mięśnie, chcąc obudzić w sobie potężnego ducha. Na próżno. Rzeczywistość była nieugięta: to znaczy, pałac, mury łazienki, nadchodzący dzień i lasy dookoła, miotane orawskim, lutowym, odwilżowym wichrem. Potworna, przedwiosenna tęsknota niosła się w powietrzu, wciskając się aż tu, do zakamarków tego obladowanego przeszłością domu. Zdawało się, że wszystko mogło być inaczej, „a nie tak okropnie właśnie i bezsensownie”, że są gdzieś dobre światy, w których każda rzecz ma swoje rodzone miejsce i wchodzi w odpowiednie przeznaczenie, jak w futerał, i że wszystko może być jeszcze „tak dobrze, tak dobrze”. Ale na to trzeba czego? Wścieklej pracy nad sobą, wyrzeczenia się całej masy rzeczy na zawsze (to pierwszy warunek), poświęcenia bez granic, dobroci, ale prawdziwej, z serca wprost płynącej, bez żadnych pragmatycznych czy teozoficznych bzdur (a więc dobroci dziś bez zidiocenia prawie już nieosiągalnej, bez tego wstrętnego, przypominającego zaprzalność i „zaparacie stolca”, zaparcia się siebie), zabicia własnej osobowości wreszcie, wyrwania jej ze świata, aż do samych korzeni. Zostanie tylko bulwa w ziemi, pożywna dla innych bydła i ludzi, a liście i kwiaty na to tylko jedynie, aby tę bulwę utrzymać i rozmnożyć — nic więcej. A niech to...! Oczywiście *tak* nie myślał Genezyp, bo do tego jeszcze (mimo prostoty

tych myśli) zdolnym nie był. Taką była jakościowo nieartykułowana miazga, z której, pod pewnymi warunkami, mogłyby „wykwitnąć” takie słowa. I nagle błyskawica myśli wprost genialnej: przecież ona, ta baba, jest jedyną *miękką* rzeczą (i żywą w dodatku) tu przed nim, na dosięg jego rąk oddaloną (daleko w tle, jakby nawet nie za tym horyzontem losów, przesunął się obraz domu z umierającym ojcem i dziwnie obcą mu w tej chwili matką — wszystko należące prawie już do przeszłości) i zaraz poczuł, że tak samo miękką jest duchowo, a jego duch twardym młotem z innej materii, mogącym tamtą jej materię rozbić w puch i proch i stworzyć z niej nareszcie coś, choćby pierwszą podstawę dla późniejszych gmachów życia. Nie uświadomił sobie nędzy tej koncepcji. Zasyzczało w nim nieświadome okrucieństwo młodości i tak jak stał (a cóż miał innego zrobić?) goły i bosy „ruszył” do sypialni na nową wyprawę. Księżna nie zgasiła światła i nie otworzyła okiennic. Wołała w tym stanie klęski nie pokazywać się służbie, a sama zmęczona była śmiertelnie. A zresztą nie miała wcale ochoty na ten nowy dzień, który miał być dniem nowego gatunku szczęścia. W sypialni panowała dalej nieprzerwanie ta sama noc poprzednia. Zypcio wszedł pewnym krokiem, nie zwracając uwagi na trwający dalej stan bezwładu. (Dziwna figura w seledynach zwinięta na kanapie spojrzała na niego przerażonym wzrokiem i zaraz zwinęła się w kłębek, kryjąc twarz w poduszki). Po względnym zimnie łazienki między szóstą a siódmą lutowego rana (więc całe cztery godziny trwały te nieudolne bebeszenia!) ta atmosfera lubieży zapachowo-barwnej, dotykanej prawie, podziałała na wstrętne gołębienie jak nastrój zdobytego miasta na rozjuszonych bitwą żołdaków. Przede wszystkim zatrząć jakimś czynem wściekłym i „nadmaturalnym” kompromisową obrzydliwość leśnej scenki z Tengierem i chłopczykowatych nieudolności u samego progu rajy. Nareszcie przestał sobie definitywnie uświadamiać względną starość tego babska — była ona samicą jedynie, prasamicą *à la* Przybyszewski, „cuchnęła chucią” (szalenie przykre słowa) na odległość słońca. Dzika żądza rozkoszy, pierwotna, bezświadoma, ta dwuosobowa, prawdziwa, przełamana się wreszcie od centrów mózgu ku gruczołom i runęła na wszystkie mięśnie, z fatalnym zwieraczem włącznie. Księżna nie odwróciła się, ale odczuła, że coś się za nią piętrzy. Czekwała w nieznośnym zdrętwieniu karku, które przechodziło dalej ku łędzwiom i udom, rozlewając się w nich łaskocącym warem aż tam, po wiecznie głodne ognisko bestialstwa, źródło niesamowitej, niepojętej, nie dającej się odtworzyć, wiecznie nowej, ponurej, zabójczej rozkoszy. Wiedziała, że *to* stanie się za chwilę. Jak? Czy mu pomóc, czy też zostawić go samego? Żądza podpłynęła pod gardło, jak krwawa, mięsista kula z ognistymi językami, obejmującymi usta, nos, oczy i mózg od środka. Czula teraz to, co czasami przechodziło przez nią nienawistnie-przyjemną falą, gdy wczytywała się w opisy tragicznych wypadków, tortur, i beznadziejnych samobójstw, takich co to ani tu, ani tam... i nad tym wypiętrzająca się w zawrotne wyżyny przyjemność... egoistyczna, wstrętne, świńska, wyprężona, wypięta, gładka, śliska, lepka i trochę śmierdząca, i tym przyjemniejsza, tym właśnie przyjemniejsza, aż do tego zachłyśnięcia się nieskończonością w bolesnym poddaniu się druzgocącym, obcym potęgom. A wszystkim tym byli oni, ci przekłeci... Och, pasy z nich drzeć...! Ale tego jednego, przy jednoczesności wszystkich tych uczuć, kochała jak rodzone dziecko, prawie jak te stwory, co z niej wypelzły na świat, rozdierając jej uda nieznośnym, a jednak rozkosznie-twórczym bólem. Bo księżna była dobrą matką: kochała swych synów i rodziła ich kiedyś z dzikim zadowoleniem. (Najstarszy, melancholik, zabił się niedawno, drugi był w dwudziestym pierwszym roku życia ambasadorem Syndykatu Zbawienia w Chinach [nie wiadomo co się z nim działo od roku], trzeci to Scampi — to już było). Teraz miała wizję wszystkich trzech ich jako jednego ducha z niej poczętego — duch ten wcielił się w Genezypa. Ten śliczny Zypcio to był ostatni jej mamin-synek, kochana „przylepeczka”, jedyne najtajniejsze malutkie świństewko, a przy tym niewinny, a przy tym jeszcze okrutny i już włochaty, obcy, wstrętne samiec. Czymże zabije w sobie tę miłość, gdy jej nie stanie w tamtym. Ale to spowicie przeczuwanej rozkoszy w już trwającą mękę dodawało tylko wszystkiemu piekielnego uroku, jak ostry sos angielski kawałowi rozbe-fu. „Dżywne myszli”, jak nazywał takie stany stary Żyd, dostarczający różnych rzeczy do pałacu, jedyny „niższy stwór”, z którym raczyła istotnie trochę rozmawiać, przerwało jej *to* wymarzone.

Złapał ją zły za ramię i brutalnie spojrzał naga, bezwstydna głębia w jej przepiękną od tamtych myśli twarz. Żądze czepiły się jeszcze przed ciałami. Ona spojrzała niżej

i zobaczyła wszystko takim jak w marzeniu i już nie wypuściła go ze spragnionych, oszalałych rąk, kierując bez żadnych perwersyjnych wstępów całą siłą wybuchu w najtajniejsze ośrodki rozkoszy swego przesyconego wiedzą ciała. Wszystko zazębiło się i wpiło jedno w drugie i Genezyp poczuł, że życie to jednak *jest coś*. Ona czuła to samo, ale na krawędzi śmierci, gorzej: śmierci za życia. A tamten byczek rozszalał się na dobre i sycił śmiertelne żądze: swoją i jej, stopione w jedno bezdenne morze szaleństwa. — (Jej, „schodzącego w grób starego pudła”, jak mówił sobie potem, walcząc ze swymi dla niej uczuciami). Teraz była dla niego wcieleniem istoty życia: bezczelnej, gołej, aż prawie odartej ze skóry. Niewyraźalne wyrażało się w tym zlewisku świńskich, aż do metafizyczności, rozkoszy. Potem przeszli na łóżko i ona zaczęła go uczyć. A on od tej nauki spiętrzał się w sobie i walił się potem w dół i już nie wiedział, czy żyje naprawdę w tym piekle zgadywanych najbardziej utajonych pragnień, które ona wywlekała z niego jak kiszki z bydlęcia, w tym diabelskim rozszerzaniu się horyzontu najwstydlivszych, nie-do-przyznania się, pomysłów, myśli-pająków czy polipów. Aż wreszcie runął ostatni raz w tę otchłań i teraz już na dobre. A ona, ta „demoniczna” Irina Wsiewołodowna, o której potworne plotki przetrastały wszystko, co dotąd naplotkowane w ogóle było (a nawet być mogło?), całowała, brudną oczywiście w pewnym sensie, rękę młodzika, który nawet nie wiedział, czy jest już wariatem, czy nie, pogrążony w nieme rozpamiętywanie przeżytej lubieży. Był prawie unicestwiony, ale zmęczenie to było rozkoszne jak nieznany narkotyk. Z dumą i tkliwością gładziła księżna jego miękkie, jedwabiste włosy i wdychała ich miodowy zapach, przymykając oczy jak zasypiający kot.

Była godzina ósma. Gdy leżeli jeszcze w łóżku, nie mając siły na rozstanie, pokojówka, śliczna ruda dziewczynka, wniosła śniadanie, składające się z baranich kotletów, jaj z szynką, wędzonych ryb, *poridge’u*, białej kawy i świetnego koniaku. (Księżna afiszowała się z piękną służbą kobiecą, śmiało afrontując niebezpieczeństwa porównań. Za to co do przyjmowania „pani” panowały u Ticonderogów ścisłe restrykcje). Zypcio schował się pod kołdrę. Kobiety śmiały się, szepcząc coś ponad nim. Ale mimo tego drobnego upokorzenia miał wrażenie, że zębami złapał życie za rogi. Czuł tryumf aż do kości prawie: głupi młodzikowaty tryumf: nareszcie był mężczyzną i wiedział, co ma robić dalej. O, jakże się mylił!

Potem przyszedł stary książę, w zielonym „pilsniowym” (?) zatulniku, a po chwili wpadł bez pukania, w kremowej ze złotym (co za cud!) piżamie, Scampi. Genezyp mało nie skonał ze wstydu, gdy książę rozpoczął zwykle w takich razach wypytywania. Oni wszyscy uważali się za tak wysoko postawionych, że naprawdę, ale to dosłownie, nie robili sobie z niczego nic. Zypcio słyszał spod kołdry stłumiony głos księżnej:

— ...z początku był dziwny, ale potem nadzwyczaj miły — wyjątkowo. To dzieciak prawie. Pokaż liczko, chłopczyku — mówiła słodko, odsłaniając kołdrę i podnosząc mu gwałtem twarz za brodę. — Wiesz, Diapanazy — zwróciła się do męża, z tak zwanym wylaniem — od lat, prawie od tego czasu, kiedy cię zdradziłam po raz pierwszy, nie czułam się tak metafizycznie szczęśliwa, jak dziś. Wiem, że nie lubisz tego; mówisz ty i twój, że nadużywam tego słowa — ale co robić? Jak wyrazić w innym skrócie rzeczy tak dziwne. Ty — nie tylko ty — wy wszyscy ludzie czynu, którzy zdecydowali się skreślić się jeszcze za życia z listy żyjących, nie pojmujecie tego, że wszystko może mieć jeszcze jeden wymiar, dla was nieznany. Jeden Chwistek wyraził to kiedyś, pisząc o „wielości rzeczywistości”, ale nie dociągnął myśli swych do końca i ogół uznał je za bzdurę. Nawet Afanasol Benz, który podobno — ale nie wiem, czy to prawda — pierwszy aksjomat wyprowadził po prostu z niczego, nie uznaje tej teorii. A ja wierzę, że tam musi być coś na dnie, a reszta to wina następców, którzy nie umieli rozbabrać...

— Z Moskwy coraz fatalniejsze wiadomości. Te żółte diabły mają jakiegoś generała, który wynalazł nowy sposób ofensywy. Nareszcie zbadano to. Telefonował mi adiutant Kocmołuchowicza, ten niby nasz, wiesz? Ale tego się nie nauczymy, jak koalicja nauczyła się od Napoleona jego strategii. To można podobno zrobić tylko z Chińczykami.

— Co mnie to obchodzi — ja mam jego. — (Trzymała głowę Zypcia pod pachą. Właśnie teraz dopiero wszedł Scampi).

— Niedługo może mama nie mieć nawet tego. Jutro już podobno ma być ogłoszona ogólna mobilizacja. Wojska generała Cuxhavana cofają się w popłochu na nasze linie. Moskwa formalnie wyrżnięta. Chińczycy organizują ich w zupełnie nowy sposób.

Chodzi o wyssanie białej rasy. Nie liczą się zupełnie z siłami, uważając nas za miazgę. A wszystko w imię najszczytniejszych idei: podniesienia nas do ich poziomu. A przy ich pojęciu o pracy i standardzie teje i w dodatku dysproporcji w stosunku do nas w tym względzie, rzecz to bardzo niemiła. O ile nie zginiemy, możemy być skazani na zapracowanie się na śmierć. Ciekawy jestem wtedy sprawdzenia tego, czy ideologia, dla której się ginie powoli, nie nagle, nie jest naprawdę obojętna. Przeciwnieństwem tego trzymali bolszewicy Rosję w ryzach tyle czasu. Ale to dobre dla robotarzy, przed którymi nie ma nic. Czym my możemy usprawiedliwić nasze istnienie w takim wypadku — oto kwestia.

— A nie mówiłam! Gdzież teraz ten wasz syndykalizm wyrosły z burżujskiego ugrupowania z pozorami załagodzenia walki klasowej? Gdzie wasza pseudo-organizacja pracy? Wszystko to bzdura. Trzeba było zrobić izolowaną, ale absolutnie izolowaną monarchię i zginąć z honorem bez kompromisów, jak mój car Kirył... — Scampi przerwał:

— Nie wiadomo, czy zginie. Widzę go w naszym sztabie przy boku Kocmołuchowicza...

— ...albo od razu poddać się prądowi. W ostatnim wypadku my byśmy, my, garstka ludzi prawdziwych wartych życia, wygrali na pewno, a *après nous pust' usio propadajet*. Tak, jesteśmy ordynarnie nabrani przez pseudo-bolszewicki, a *au fond* prawie faszystowski — ale naprawdę — zachód. U nas wszystko jest kłamstwem...

— Cicho! Takich rzeczy głośno się nie mówi. Otóż mama, z jej talentami, wygrałaby na pewno, choćby jako kochanka chińskiego szefa sztabu głównego, czy kogoś tam — ale nie my: mężczyźni. Oto błąd dzisiejszej arystokracji, a nawet pewnego odłamu zakutej burżuazji, to ten aprenudedeluzizm. Dlatego wszystko trzymało się przez cztery tysiące lat, że dawni wielcy panowie umieli patrzeć na daleki dystans i teoretycznie przynajmniej mieli wieczność przed sobą. Odkąd znikła ta wiara, zaczęło się całe zło i mob od razu podniósł głowę. *Głowę* — o to chodzi, a nie zadek, którym wierzgał dawniej w uprzęży. A jak raz podniósł — przypadło — z tym się zgadzam. — Mama ma rację: trzeba było iść naprzeciw, ale na to trzeba mieć... honor — he, he... To robi Kocmołuchowicz za nas, a my zostaniemy na lodzie.

„Oto tak się robi polityka — tacy ludzie ją fabrykują! A gdzież jest rzeczywistość?” — myślał dojrzały nagle pod kołdrą Zycio. (Dobry był to inkubator dla takich duszków to osławione i zniesławione łono Iriny Wsiewołodowny). I rzecz dziwna: *jednocześnie* — oczywiście w „*tle zmieszanym*” (uświadamiał to sobie naturalnie po kolei) czuł się przynębionym, zmarmeladowanym, małym — aż pociowo-niewygodnie było mu w samym sobie od tej własnej małości, mimo tylko co dokonanego gruntownego nasycenia się, za wszystkie czasy chłopięcych pokut bez winy — taką bolesną była ta małość w stosunku do niezmiernych otchłani nieosiągalnego: wiedzy, stanowisk, wpływów, władzy, tego sylenia apetytów w stosunku do siebie samego i innych. Jeszcze dziwniejsze, że nie pomyślał o ojcu, który też był kimś przecie i też pobabrywał się od czasu do czasu w politycznej kloace. To nie było *to*, te „wartości domowe” — tylko obce walory mogą tu być istotne. I jednocześnie wiedział, że ten o rok od niego starszy Maciek Scampi to zwykły żuizer i gówniarz, wstrętny soliterek w rozkładającym się ciałku dawnej Polski (co siebie samą teraz po śmierci przeżywała) (a iluż jest takich?!), „*un simple „gouveniage polonais*”, jak mówił szef wojskowej misji francuskiej, generał Lebac, który po wybuchnięciu bolszewizmu został na służbie u nas, w usługach „prawdziwej demokracji”, jak się ostentacyjnie wyrażał. „Ach, ty drogi naiwniszu, ty zamaskowany przed sobą samym służko jakiegoś naszego, opasłego burżujskiego brzucha, pod płaszczykiem pseudo-solidaryzmu i naukowej organizacji”, — [*oh, vous autres, polonais, n'est ce pas — mais tout de même la démocratie, la vraie démocratie, est une et indivisible et elle vaincra*] — tak myślał mimo woli już zupełnie szczerze Erazm Kocmołuchowicz, z którym Lebac „współpracował” (?) [kudy jemu było do genialnego Kocmołucha!] nad „ocaleniem ludzkości” przed „kulturalną katastrofą” chińskiego najazdu. Kocmołuchowicz rzygał już tymi pojęciami. Chciało mu się prawdy, ale takiej krwawej, dymiącej, drgającej — nie tej, którą karmił go publicznie Syndykat Zbawienia i do niedawna, prywatnie, jego żona, chuderława, ale piekielnie dla takiego czarnego, ścięgnistego kwatermistrzobyka ponętą blondyneczką, Dziedzińska z domu, podobno aż galicyjska hrabianka. Ach ta jej prawda! Były to otchłanie irrealizmu: „pantozofia”: synteza wszystkich nauk (odpowiednio zdeformowanych — czysto pojęciowe konstrukcje poszczególnych działów, stworzone dla wygody stawały się w tym

ujęciu najdziksą ontologią: tak *jest* i koniec) i systemów: od totemizmu do logiki Russella i Whiteheada (o Benzu nie wiedział pies w tych czasach). Aż nareszcie stał się cud na ziemi: zjawiał się Dżewani, wielki wysłannik Murti Binga... Miał jeszcze inne antydoty kwatermistrz — ale o tym później. Wiedział o tym wszystkim powierzchownie „*marchese*” Scampi, ale jego polerowanej główki nie czepiała się żadna dziwność wyższego rzędu — „*typical polish and polished excremental fellow*” — jak go nazywał angielski kolega Lebacca, Lord Eaglehawk. Międzynarodowa banda ta dawno już „mierzyła” Kocmołuchowicza. Ale czekał odpowiedniej chwili z cierpliwością prawdziwie silnego człowieka, sam nie wiedząc właściwie nic, co miało nastąpić. W tych czasach umieć czekać było największą sztuką. Tylko te myśli, te „dżywne” myśli... Nie mógł się im opędzić kwatermistrz i chwilkami czuł, jak ktoś w nim myśli za niego (nie pojęciami, ale obrazami raczej) i dochodzi do nieodparcie narzucających się wniosków. Czasem nawet zupełnie wyraźnie uświadamiał sobie obecność kogoś drugiego w pokoju, w którym on sam jeden jedynie był na pewno. Zaczynał mówić coś, aby przekonać tamtego i przekonywał się, że nie ma i nie było nikogo i że on sam nie wie właściwie, co mówił. Obrazy rozwiewały się i znikaly, nie pozostawiając żadnego substratu, swądu czy osadu, po którym można by poznać treść tych tajemniczych kompleksów podpojęciowej sfery świadomości. Bechmetiew radził jechać choćby na mały urlop do Żegiestowa do sanatorium potomków słynnego doktora Ludwika Kotulskiego, ale czasu nie było na to ani sekundy. Ha — gdyby wiedzieli o tym wrogowie i niedowiarki! Już — znowu łóżko księżnej Ticonderoga. Genezyp podmyślał dalej skrycie, schowany pod koldrą. (Buchalo zwierzęce gorąco i niesamowite, drażniące zapachy, ale teraz nie podniecało go to już zupełnie — czuł się tylko mężczyzną, takim prawdziwym bykiem, „panem” i dżentelmenem i nie czuł, jak jest w tym wstrętny i niesmaczny). Mimo to wstydział się bardzo, że ten Scampi, to intelektualne zero i cyniczny karierowicz, „ta zimna glista w rozkładającym się, jeszcze od saskich czasów rozpuszczonym polskim brzuchu”, jednak mu imponuje. Jak to się to robi, ta tajemnicza, niedosiężna polityka? Czy to nie jest czasem tylko wszystko jeden olbrzymi głupi *au fond* „bajc”, jakiś sprycik trzeciego rzędu, podła znajomość ludzi, zręczność w małych świństewkach na pograniczu zbrodni. Mimo całej „impozycji” zmalowało Zypciowi wszystko to, co tak niedawno za wielkie, prawie święte, uważał. A od tego zmalenia świat cały powlókł się ordynarnym pokostem chamskiej, proletariackiej nudy i cierpienia. Oczywiście racji Zypcio nie miał, ale kto tę rację miał, zadecydują dopiero doskonałe, ustalone w swym idealnym, osiągniętym drogą eliminacji, ustroju, pokolenia, za tysiąc, czy więcej, lat — zadecydują, o ile znajdzie się między nimi ktoś, kto o tak dalekiej przeszłości myśleć jeszcze będzie. Nie — naprawdę polityka nie należała u nas do najszlachetniejszych zajęć w tych czasach. Chyba tam, na Dalekim Wschodzie, gdzie tryskały nowe idee (niektórzy „spłyciarze” mówili, że wszystko to już było, nawet w tych samych Chinach — ale co do kroćset? czyż nic nie ma istotnie nowego na tej galce — położyć się i zdechnąć), może tam w tym kotle twórczości była czymś, co miało rację bytu, choćby jako zło konieczne, uboczny produkt gigantycznej transformacji zakutych żółtych łbów — polityka wewnętrzna — bo zewnętrzna była w pełni pozytywnego działania i to sposobami nieznanymi ludzom Zachodu: wyznawcy Murti Binga (i ich dziwny narkotyk: Dawamesk B2), robili swoje, powoli, ale na pewno. Ale o tym później. Bo ten cały, wicie, europejski „bolszewizm” (Lenin by umarł po raz drugi, żeby go zobaczył) to było tylko dopalanie i dodymianie się gruzów i pogorzeliśk. A o nowych ludziach, w dawnym znaczeniu, jakos nie było słycać nic. Tylko ze stosunkowo nowopowstałych społeczeństw: Australii i Nowej Zelandii, mogłoby przyjść odrodzenie. Ale spóźniło się i za nas zrobią to ci przekłeci mongolowie (zupełnie inaczej — o, grubo inaczej *dla nas*), którzy nigdy się nie śpieszą i zawsze mają czasu w bród. Nie śpieszyć się jest dziś największą mądrością. Cóż kiedy europejski proletariat *nie ma czasu*. Ale proszę spróbować (nie będąc Chińczykiem) żyć w smrodzie, brudzie, wszach, pluskwach i prusakach, w głodzie, zimnie i zupełnej beznadziejności na odległość co najmniej swego pokolenia i pocieszać się myślą, że kiedyś za trzy pokolenia może, pewna grupa świetnie odżywionych i czystych (i równie co prawda beznadziejnie wyspecjalizowanych i zapracowanych) naukowców i kapitalistów, dojdzie do zrozumienia, co i jak potrzeba, i zrobią domki z ogródkami, radiami i biblioteczkami — ale co *nam* z tego przyjdzie, nam, którzy jesteśmy i do końca życia będziemy nawozem tylko? Czy nie lepsza jest walka, niż taka psia egzystencja — walka ideowa, może

bezrozumna, ale nie gnicie w rozpacz bez cienia nadziei. Proszę to zrozumieć do cholery ciężkiej. Czy nie lepiej od razu żyć może tak samo nawet jak pierwej, ale według jakiejś idei i z poczuciem twórczości, choćby szalonej i dzikiej, ale *twórczości*, a nie dreptania w diabelskim kieracie dzisiejszej produkcji. Cóż z tego, że ta idea doprowadzi do tego samego: *pewnego ograniczonego dobrobytu, poza który ogół nie wyjdzie*, nudy i szarzyzny — („mucha nie siądzie” — jak mawiał zoolog Janusz Domaniewski.), ale stanie się to *od razu*, bez tego szatańskiego czekania. O — dobrze wam o tym mówić, panowie „elityści” — ale my chcemy tego teraz, co wy macie od dawna. „Konsumcyjna polityka wewnętrzna”? — spróbujcie tyle „konsumować”, co my. A zresztą nic nie pomogło i Ameryka i cały Świat Stary, pozornie „sfaszyzowany”, przeszedł na bolszewizm, mało od faszyzmu się różniący, ale przeszedł. A więc idee... To były te dziwne myśli Kocmołuchowicza kawalerzysty i paru jeszcze innych bubków wyższej kategorii. Ale o tym sami nie wiedzieli — mieli to dane w formie nieartykułowanego pojęciowo gąszczu. „Jak tu robić kryształy z gówna” — mawiał czasem do siebie generalny kwatermistrz i zamyślał się głęboko, bezprzedmiotowo. Kiedyś indywidualna polityka była czymś, a znajomość ludzi nie była świństwem. Dziś politykierstwo partyjne, z wyjątkiem czysto-ideowego maksymalistycznego szaleństwa w imię brzuchowej podstawy dla urojonego rozwoju ducha, jest tylko zamydleniem oczu sobie i innym pojęciem demokracji i niezależności narodów. Dobre to było, jak się tworzyło: wtenczas wierzyli wszyscy, że jest to ostatnia prawda — dziś zostało tylko kłamstwo. Dlatego to bezprzytomna walka na ostatnim pinaklu uspołeczniającego się tłumu, walka z panowaniem pieniądza, jest czymś realnym, a reszta to tylko lawirowanie wzajemne tegoż pieniądza i demokracji, triuki i triki, podstępny i posunięcia, gra w pokera z „bluff”em” na wielką skalę — rzecz nieciekawa sama w sobie, chyba z historycznego punktu widzenia. Ale jakim cudem utrzymywała się ta polska koloidalna wyspa, wśród krystalicznych procesów organizującej się wokół masy — nikt nie wiedział — pr. „Polska inercja”, „polska indolencja”, „polski brak wszystkich możliwych cnót”, — mówiono — ale wszystkie wyjaśnienia te były niedostateczne, mimo pewnej dozy słuszności w nich zawartej. Był to historyczny cud — ale czyż nie było już kilku takich cudów w historii? Na przykład: gwałtowność rozprzestrzenienia się chrześcijaństwa, trwałość bolszewizmu w Rosji, sam fakt istnienia do tak niedawna niepodległej i niezrewolucjonizowanej Francji, albo choćby tak długie trwanie wiary w mesjanistyczną misję Polski. Nie — nie wszystko da się wytłumaczyć historycznym materializmem — prawa fizyki są tylko wynikiem zsumowywania się wielkiej ilości wypadków dowolnych i tę pseudo-konieczność przybliżoną wywraca się na odwrót, stosując absolutnie jej prawa do wielkich kompleksów społecznych *par excellence* w sumie dowolnych w naszym rządzie wielkości. Dowolność jest bezpośrednio dana dla każdego ruszającego się stworu — jest faktem pierwotnym — opór stwarza poczucie ograniczeń i konieczności względnej, przy pewnych warunkach — konieczność absolutna jest *konieczną* fikcją przy eliminacji abstrakcyjnej w granicy Istnienia Poszczególnego, czy w ogóle stworów żywych. Dostyc. Związek w ogóle to nie absolutna, graniczna w rzeczywistości, przyczynowość fizyka. Gdzie wielka ilość jednakowych, jednokierunkowych dążeń przypadkowo się zsumuje (co przy bardzo wielkich ilościach i małości elementów, w wymiarach dla nas astronomicznych i chemicznych jest wykluczone), tam powstaje historyczny [a nawet indywidualny] cud, taki sam, jak cud dokonania jakiegoś, połączonego z piekielnym wysiłkiem woli, czynu pojedynczego człowieka. — Dyskusja rodzinna zamierała powoli:

— Pokaż się, syneczku — mówił do Genezypa, przez złociste atłasy, stary książę.

— Pomyśl, co za skala przeżywania: oto ostatnie, przedśmiertne kurcze dawnego świata i my tu wszyscy tak i w ogóle, wiesz? — to niewyraźne — ona ma rację — metafizyczne

— w głowie się mąci — to wielkie słowo — ona zawsze ma rację: pamiętaj — słuchaj jej więcej niż rodzonyj matki, a wybrniesz z tej matni szatańskiej, z życia. Wiem, kim ty będziesz, moje dziecko, i przyznam się: nie zazdroszczę. My jeszcze bądź co bądź użyliśmy ostatniego, wymykającego się kaska rzeczywistości w tej naszej izolacji. Wszystko, co nastąpi — to majak.

Genezyp, ocieplony moralnie łagodnym tonem starego, wysunął zawstydzoną główkę spod kołdry. Księżna gładziła go bezwstydną dłonią po włosach, mówiąc:

— Zrobimy z niego jeszcze kogoś. W domu nie miał nikogo, który mógłby go spreparować. To będzie ostatni czyn mego życia — w polityce jestem już do niczego. — Zypciowi zachciało się szalenie przeciwstawić siebie tej bandzie cieni, „tańczących swój makabryczny taniec na cielsku uśpionej Polski”. Jeszcze nie wiedział, kim będzie, choć noc ta dużo dała mu w tym kierunku samouświadomienia. Ale ładny pejzażyk i małe uczuciutka, i wstyd dziecinny, i prężąca się napoczęta męskość, a nade wszystko to poczucie, że on jest *stad-dotąd* i choćby pękł, nie przekroczy pewnych granic, nie były jeszcze dostateczną podstawą do bardziej określonych działań. Czuł dziwny zamęt (innego gatunku niż poprzednie) (ktoś przemeblowywał mu głowę bez udziału jego woli) i jakby wszystko było *nie to* (ale inaczej niż dawniej: była w tym utajona groza — jakby świat cały, odrzeczywistniając się, mógł się zamienić w potwora ze snu, którego potworności znieść nie można — tylko tam można się obudzić, a tu *cały* świat i — pozostaje chyba śmierć, albo jeszcze „chybiej” to coś, o czym Zypcio słyszał i czego nie rozumiał, a jednak *bał się tego, nie wiedząc, czym to jest*: obłąkanie. Widział kiedyś epileptyka na ulicy i pamiętał ten strach swój wiążący się z zoologicznym ogrodem i dziecinnym onanizmem, strach połączony z przyjemnością prawie płciową: jakby jądra łaskotane *od środka* unosiły w górę ciała, pozbawione zmysłu równowagi: — podobnego wrażenia doznawał na wysokich wieżach i balkonach, mimo że w górach nie bał się ani trochę). Od świata oddzielała go jakaś przezroczysta, a nieprzewycięzalna zaporą tej groźnej dziwności — wszystko wydawało mu się przez nią z lekka zdeformowane, ale gdzie i w czym była ta deformacja, nie można było się dopatrzeć. Czym przebić te zwaly gęstego jak smoła a nieuchwytnego oporu; jak zobaczyć to coś prawdziwego (musi gdzieś być coś takiego, inaczej świat jest świństwem i można by go Bogu odrzucić jak brudną ścierkę, której się nie chce dotykać — ale za to jest kara śmierci) poza tą trójką widm — nie: czwórka — on sam był przecie jednym z nich. Życie powiało na niego śmiertelnym strachem: nie on się bał, tylko cała przyszłość uciekała przed nim w popłochu. Zapragnął znowu czynu. A przede wszystkim dognać te wymykające się czarcie ogony, lejce, czy po prostu zwykłe sznurki, i złapać wszystko na nowo. I taki goły jak był, skoczył na środek pokoju i, porwawszy swoje zmiętoszone ubrania z fotelu, rzucił się ku łazience. Stary aż zamrugał powiekami ze zdumienia i bezradnie poruszył bezzębnymi szczękami. A *marchese* roześmiał się szeroko swoim bestialskim a subtelnym przy tym chichem.

— No — rzekł, wstając. — Ciężki orzech ma mama do zgryzienia. Ale mama zgryzie, zgryzie. — (Do ojca) — No — do roboty, stary. My — mówił znowu do księżnej, która nie drgnąwszy z melancholią patrzyła w nieskończoność — założyliśmy z papusiem „*Krużok samoopiedielienja*” — jak ci idioci w Rosji, co to nie wiedzieli, kim są. Takie czasy, że nawet my, takie wszechświadome gady, takie hyperinteligentne chrząszcze-trupniki, musimy się samookreślać. To taka intelektualna masturbacja. Jeśli ktoś bardzo mądry straci trochę rozumu, który mu jest od Boga dany, to mimo że tą resztą dziesięciu ludzi czynu mógłby obdarzyć, sam nie ruszy swojej maszyny: motor proporcjonalny musi być do całości mechanizmu. Także odwrotny wypadek jest niedobry: motor roztrzęsie wtedy swoją własną, za słabą karkasę. To zdaje się jest „*cas*” twojego nowego chłopczyka, mamo. Ale wolę już to, niż tego kuzyna Toldzia. Ta galicyjska wysoka szlachta to bardzo przykra warstwa — my kresowcy to rozumiemy najlepiej. Ale jak mama odmłodziła przez tę noc! To lepsze od masażu, co? — — Zaiste Irina Wsiewołodowna wyglądała wspaniale. Migotliwe iskry przelatwały teraz przez gałki z błękitnej emalii. Każden tłum poszedłby za nią w tej chwili, gdyby chciała — była kobietą „sztandarową” *par excellence*. A może czasem i marzyła o czymś podobnym, gdy już zabraknie wszystkiego...

— Pudziesz precz, ty, wszechwiedzące szczenię — krzyknęła piskliwie i puściła poduszkę synowi prosto w roześmianą gębę. Ubawiony markiz uchodził szybko z sypialni za przestraszonym papusiem. Niedobrze było wystawiać się zbyt długo na gniew tej nieszczęsnej megiery. „Wróci — nie wróci — teraz oczywiście: z łazienki — w ogóle wrócić musi” — myślała, zawijając się w koldrę. „Nie — teraz nie wróci — wieczór...” I zaczęła obmyślać serię demonicznych sztuczek (wariantów udoskonalonych doświadczeń dawnych), którymi, w razie silnego oporu, miała go opanować doszczętnie. Taka była jej metoda zawsze. Matczyne migdalenia diabli wzięli. Gdyby jakiś notoryczny impotent mógł widzieć ją w tej chwili i czytać jej myśli obrazowe bezpośrednio, uleczyłby się momentalnie z całej swojej niemocy — tak piekielne były to rzeczy. Co za szkoda, że

takie historie giną bez śladu, jak zginęły zresztą wszystkie pijane improwizacje Tengiera, Smorskiego, Szymanowskiego i tylu innych. Głuchy huk ciężkich drzwi wchodowych zamknął wątpliwości w pewność pierwszej klęski. Dziesięć lat temu jeszcze — nie śmiałyby — a teraz...? Starość. Zaczęła cicho, rozpaczliwie płakać — jak nigdy jeszcze.

POWRÓT CZYLI ŚMIERĆ I ŻYCIE

Zatulony w potężniejszą zamieć rwał Genezyp lasami na przełaj w kierunku domu. Bardzo był zadowolony z dokonanego „czynu”, czyli raczej „wyczynu”. Wyczyn ów urastał mu we wspomnieniu do gigantycznych rozmiarów, nabierał znaczenia wzniosłego symbolu potęgi, woli i twardości charakteru. Było już wpół do dziesiątej. Wyszedł nareszcie z lasów i począł brnąć wzgórzami po nawianym na szreń śniegu. Przez tumany nie widać było zabudowań dworskich, „i tak wpółzakrytych huczącymi od wichru parkowymi drzewami”. Minął ponure browary, z których wysokich pylonowatych kominów (cała potęga ojca była w tym symbolicznie zawarta) buchał czarny dym, łącząc się z zamiecią w fantastyczne, żałobne welony. „Żałobne” — szepnął sam Zypcio i złe przeczucie ścisnęło go w dołku jak złośliwy karzelek w nim samym żyjący. O tej nocy, księżnej i dalszym życiu nie myślał w tej chwili nic. Nareszcie dopadł domu.

— Jaśnie pan starszy odwalił kitę dziś o szóstej — szepnął mu w ucho lokaj, zdejmując z niego zaśnieżone futro. (Był to Joe, stary przyk, w którym ceniono oryginalność wypowiedzeń). (Tym razem jednak przesolił):

— Milczeć, Joe — krzyknął młody dziedzic i odtrącił „drżące, pomarszczone łapy wiernego sługi”. W pierwszych kilkunastu sekundach nie zrozumiał Zypcio właściwego znaczenia tylko co usłyszanych słów. I to mimo przeczucia i pełnej świadomości. Nic dziwnego: pierwsza w życiu zła wiadomość. A jednak jakby jakaś ciężka kula oberwała mu się w młodych, rozwydrzonych jeszcze bebecach. „Co to ja robiłem o szóstej! Aha — Aha — to ona wtedy pokazała mi tę kombinację z nogami! Co za świństwo! I on jednocześnie. *Jednocześnie*” — upajał się, nie mógł się nasycić tym słowem. Teraz „dowiedziana się” śmierć ojca spotęgowała retrospektywnie i tak zabójczą rozkosz dotknięcia tamtych nóg, tak straszliwie, nieubłaganie pięknych i nieprzyzwoitych, na cztery godziny w tył — i to na tle jednoczesności, i to nie aktualnej, tylko wspomnieniowej, raczej pojęciowej, abstrakcyjnej. O, gdyby mógł Zypcio przeczytać rozprawkę pewnego sycylijskiego księcia, członka neomaфии, pt. *Gli piccotti sadismi* — wiele rzeczy by mu się wyjaśniło. Chociaż właściwie żadna teoria mechano-psychologiczna nie jest w stanie pozbawić tych istności ich specyficznego wymiaru niezgłębialności. I to nie na tle ich związku z zachowaniem gatunku, tylko dlatego, że rzeczy te dotyczą kwestii fundamentalnej: rozdziału Istnienia na wielość indywiduów, z których każde czuje się jako to jedyne ja, raz na całą wieczność, takie, a nie inne, mimo całej dowolności teoretycznej bycia kimkolwiek bądź. Tylko ta kombinacja półdowolnych danych i przypadkowości ich rozwoju doprowadziła do tego, że to właśnie indywiduum musi o sobie i może tylko o sobie powiedzieć „ja” — (w wypadku wymoczka potencjalnie). I żeby tu tysiąc James’ów powiesiło się na własnych mózgach, to problem ten wiecznym będzie, a nieprzyjęcie bezpośrednio danej jedności osobowości doprowadzi zawsze do bardzo kunsztownej może, ale zbytnej i sztucznej konstrukcji pojęć, która nic istoty rzeczy nie wyjaśni. Dosyć.

Genezyp szedł automatycznie przez puste pokoje, aż wreszcie spotkał matkę. Była spokojna. Gdyby to tak piętnaście lat temu, może cieszyłaby się skrycie ze śmierci męża. Przecież zakorkował ją na amen, zamurował w swoich zasadach i brutalności, jak żywą w grobie. Teraz żałowała go mimo wszystkie tortury tego pożycia — pokonawszy bowiem odśrodkowy pęd za życiem, zrezygnowała już dawno ze wszystkiego i po raz drugi, już inaczej, przywiązała się do dużo starszego od niej jowialnego piwowara. A teraz — za wcześniej przyszłą ta śmierć, zostawiając ją nieuzbrojoną przeciw życiu i samotności i zwalając na jej pół-mistyczną, wątłą główkę ciężar straszliwej odpowiedzialności za tego byczka kochanego, który pękał cały (widać to było) od niepojętego dla niej obecnie nienasyenia życiem. A przy tym to przecie jedyna jej podpora — obowiązek opieki razem z przywiązaniem stwarzały w niej siłę, wywyższającą przedmiot jej uczuć aż ponad nią samą, stwarzając dalej, z niego właśnie, opiekuńczą potęgę. Objęła go i po raz pierwszy od chwili katastrofy rozplakała się na dobre, od samych wnętrzości, które zdawały się być

kulą stężących łez. Dotąd (od szóstej) poplakała tylko na sucho, krótkim, urywanym szloszkiem. Genezyp chciał płakać, ale nie mógł — był suchy jak wiór, zimny i obojętny. Nieprzyjemnie spierzchnięte miał dno duszy, chętnie by odpoczął, a tu taki paszтет i cały pakiet nowych problemów. Jeszcze nie rozumiał nieszczęścia — — a może nie było to dla niego nieszczęściem w ogóle? A jednocześnie z tym „oczekiwaniem bólu”, gdzieś w ostatnich, nienaruszonych jeszcze niczym pokładach jego jaźni, igrał maleńki, figlarny płomyczek szalonego zadowolenia. Coś się wyzwałalo od samych podstaw, coś się nareszcie *działo*. Życie zdawało się, od czasu tej wiadomości, kryć w sobie nowe, piekielnie ciekawe niespodzianki. A było już tak nudno (nie doceniał bestia tego, co się stało na tle chwilowego przesytu) mimo tych wszystkich erotycznych awantur i mimo dość stosunkowo nowego, ale bładawego problemu: „czy kochał księżnę, czy też tylko pożądał?”. Było to wzorowane na nieświadomionym w pełni „*mutterproblemie*”: czy kochał matkę dla niej samej, czy też był tylko do niej egoistycznie przyzwyczajony. Obudził się — nie wiadomo już po raz który. Ale teraz dopiero naprawdę wtargnęło życie w to leniwe bajoro jego duszy, jak stado koni do stawu. Spadła ostatnia maska — trzeba się będzie z tym rozprawić. A na powierzchni, poprzez zwał wymuszonego, niedosłego wewnątrz nieszczęścia, cieszył się naprawdę, że ojciec „odwalił kitę”. (Przypomniały się w młodzieńczej transformacji dawne dziecinne zazdrości w stosunku do kolegów w żalobie po rodzicach i specjalne, aż bolesne pod-płciowe podrywy do ich siostr czarno ubranych — jakaś śmiertelna perwersja, połączona z podświadomą chęcią usamowolnienia się, zmęzczyźnienia i wzięcia na siebie całej odpowiedzialności za życie). Dni przyszłe nabrały nieznanego uroku. Smak życia, ostry i odurzający, jak smak jakiegoś narkotycznego zielska, rozlewał się po żyłach, łaskocząc, drażniącą falą. Teraz dopiero poczuł istotne zadowolenie z tego, że jest mężczyzną, że ma romans z „prawdziwą kobietą” — gdzież były te fałszywe? — Matka, siostra, panna Ela i tym podobne... Był głową rodziny — on, ten gnębiony przez wszystkich Zypek. Teraz, tą drogą dopiero poczuł coś specjalnego dla matki: przeszedł na drugą stronę synostwa: z ciamkacza stał się opiekunem i władcą. Z pewną wyższością, aż śmieszną dla niego samego, objął ją, zawrócił i tak objęci wzajemnie (ona też się tak inaczej do niego przytuliła, co napełniło go dziwnie słodką dumą) poszli w kierunku sypialni, gdzie leżał trup właściwie ich wspólnego ojca. (Za takiego uważała ostatnio pani Kapenowa swego męża). Matka wydała się Zypciowi starszą siostrą i jako taką pokochała ją jeszcze bardziej i boleśniej. Co za szczęście! Wypełniony był sobą po brzegi i ta chwila była najszczęśliwszą z całego jego życia, o czym zresztą nigdy się nie przekonał. Rozpłynął się cały (na twardo zresztą) w niedoświadczonym dotąd nigdy duchowym komforcie; jak w fotelu rozparł się w świetle; poczuł się kimś.

Naprzeciw nich szła piętnastoletnia Lilian, śliczna blondyneczka z trochę zadartym nosem Kapenów i olbrzymimi, ciemno oprawionymi oczami matki — to jest w tej chwili oczy te były czerwono-oprawne, małe, aż zapuchłe od płaczu. Ona jedna kochała naprawdę starego papusia. Dla niej dobry był zawsze, jak święty Mikołaj. I ją też objął Zypcio wolną lewą ręką i tak poszli we troje ku trupowi. Kobiety chlipały — on promieniał niezdrową zewnętrzną siłą, wynikała nie z prawdziwej potęgi i jedności jaźni, tylko z przypadkowego zbiegu przeciwnych sobie szarpnięć słabości — była to wypadkowa sprzeczności, a udawała prawdziwą moc ducha, pod którym ciało na niby szło karnie, jak ujeżdżony koń. Wszystko to były głupstwa, niewarte nawet zanotowania. Ale w tej chwili nie wiedział o tym Genezyp i dwie kobiety. Dla nich trojga miał ten wycinek czasu wagę nieomal zaświatową. Weszli trochę nagle nie-wiedzieć-czemu przestraszeni, z jakąś fałszywą uroczyością w ruchach do pokoju, gdzie, na tymczasowym czymś w rodzaju domowego katafalku, leżały umyte już i wyfraczone zwłoki starego Kapena. Nigdy nie odczuł Genezyp tak silnie potęgi ojca swego, jak w tej chwili. Trup miał ręce związane chustkami — opadającą dolną szczękę przytrzymywała też jakaś biała szmata. Zdawał się być jakimś potwornym tytanem, którego skrępowano, bojąc się go nawet po śmierci. W zaciśniętych chustą zuchwach czaiła się moc, zdolna do roztarcia miękкими zębami na proszek granitowych, czy porfirowych nawet głazów. Nagle okropny, gwałtowny żal rozdarł wnętrzości Genezypa. Odczuwając jakby telepatycznie stan ten, matka i siostra z jękiem opuściły się na kolana, obok klęczącej panny Eli. Genezyp stał stężący z niezrozumiałego bólu nie-do-zniesienia. Teraz oto odszedł od niego jedyny przyjaciel, teraz, kiedy właśnie mógłby go poznać i ocenić. Czemu teraz dopiero rozumiał ojca jako przyjaciel-

la. Zrozumiał też wysoką markę dyskrecji i znawstwa życia z jego strony, że mu się z tą przyjaźnią nie narzucał. Lepsza była ta dalekość wzajemna, niż wykrzywiona fałszywymi perspektywami przyjaźń ojca z synem. Syn musiał być zrobić pierwszy krok — czemuż go nie zrobił? Z przyjacielem, w razie deformacji stosunku można w każdej chwili zerwać — — z ojcem — trudniej. — Dlatego to stary tak był ostrożny w wywnętrzaniach. — Dał coś takiego po sobie poznać w ten poranek wstrętny. Ale tego nie odczuł wtedy Genezyp, zmarnował ostatnią chwilę przed śmiercią. Za późno. Teraz się mścić będzie ta odrzucona przyjaźń i zmieni się we władzę nawet za grobem — wiedział o tym na pewno „dojrzewający (rosnący?) jak na drożdżach” wyrodek. Że też nic przyjemnego nie może dłużej trwać jak pięć do dziesięciu minut. Przypomniawszy sobie któryś tam atak z księżną — to było dłuższe — ale jakież ból straszliwy sprawiło mu teraz to wspomnienie! Miał wrażenie, że nigdy już nie dozna tej rozkoszy — jako pokutę za winy przeciw ojcu chciał uczynić ślub taki. Przeszkodziła mu defilada innych „stanów duszy”.

Poczuł się obrzydliwie samotnym: jakby w zimny i dżdżysty wieczór błądził po podejrzanej podmiejskiej okolicy, nie mając gdzie „skłonić głowy” wśród obcych, wstrętnych, brudnych i nienawidzących go ludzi. Cały świat był teraz takim i takimi zdawali się być wszyscy ludzie prócz rodziny, nie wyłączając księżnej, kniazia Bazylego i Tengiera. (Koledzy szkolni = bezkształtna miazga, w której nie zarysowywał się żaden ktoś — chyba ci „zabronieni”, których właściwie nie znał). Nagle upadł na kolana i zaniósł się trzewiowym, chlapiącym, dziecięcym płaczem — wstydził się, ale podwywał dalej — to była też forma pokuty. Ze zdziwieniem spojrzęła na niego matka (taki był dotąd opanowany!) — a nawet Lilian poczuła, że w tym bezproblemowym, znanym jej dobrze, brutalnym braciszku, dotąd przyszyłym piwowarze jak papcio (O, jakże kochała tego niezbyt zrozumiałego dla niej węża!), krył się ktoś zupełnie inny, niepojęty. I przez chwilę mignęło jej (przez analogię) w „nierozumnych” jeszcze, grząskich, bagnistych, kobiecych, świńskich kłębach podpojęciowej miazgi, (która zdawała się znajdować się między sercem a międzykroczem) poczucie, że może w niej także kryje się ktoś, dla niej samej nieznan. Ktoś inny musi coś z nią uczynić, aby wyzwolić w niej tamtą drugą istotniejszą ją — sama nie potrafi. Ale jak? O płciowych relacjach pojęcia jeszcze nie miała. Twarda jak z żelazo-betonu piramida dziwności spiętrzyła się gdzieś w inny wymiar i zapadła zaraz, jak zepsuta, papierowa zabawka, tu, na podłogę tego ponurego pokoju. Zaczęła Lilian kochać w tej chwili brata, ale inaczej, jakoś dziwnie, z daleka, jakby za nieprzekraczalną granicą olbrzymich, niedostępnych gór. Było to tak okropnie smutne, że rozplakała się na nowo, ale *innym* płaczem (nie tym „zaojcowym”) — jak motor przerzucony na inną szybkość. Ten drugi płacz był lepszy. A w pani Kapenowej, pod wpływem tego Zypkowego opiekuńczego objęcia, zaczęły zachodzić dziwne zmiany, z zastraszającą nie wiadomo kogo szybkością. Płakała już teraz — w trzy minuty po falcie — w cichym szczęściu wyzwolenia, z głęboką wdzięcznością myśląc o mężu, za to, że ją tak w porę jeszcze stosunkowo opuścił. Tak mu była wdzięczna, że prawie chciałaby już, żeby żył — ale niestety w tym była sprzeczność nie-do-przezwyciężenia. Otwierało się nowe życie — tym razem naprawdę nowe, a nie to, które tyle razy bez skutku wewnątrz starego zaczynała. Każde z nich zyskało coś na śmierci mądrego węża, nie mówiąc już o majątku. I wszyscy jeszcze więcej go pokochali, każde proporcjonalnie do swego poprzedniego spólczynnika.

Informacja: Aż tu zwałił się na nich straszliwy cios.... chociaż dla Zypka może było to i lepiej — może by tak jeszcze prędzej... ale o tym później. Kiedy po pogrzebie, odbył się aż nazbyt normalnie — („o rzeczach zupełnie zwykłych pisać nie trzeba — zostawić to można specjalnemu gatunkowi pisarzy, tak zwanym „pospolitystom” — z czegożby inaczej bowiem żyli biedacy? — bo to mówią niektórzy, że temat głupstwo a ujęcie wszystko — ale co do powieści, to nie bardzo zgadza się to z prawdą. I stąd to tylu teraz jest świetnych stylistów, którzy nic do powiedzenia nie mają, bo są głupi i niewykształceni” — tak mówił Sturfan Abnol), otóż kiedy po pogrzebie otworzono „zniecałkany” testament, okazało się, że stary Kapen zmienił swoją fabrykę w robotniczą kooperatywę, a kapitały wszystkie zapisał na propagandę zamierzającej P. P. S., a bynajmniej nie Syndykatowi Zbawienia, którego był członkiem. Rodzina podostawała jedynie skromne pensyjki, zabezpiecza-

jące od głodowej śmierci. Wszystkie próby obalenia tej woli zduszone zostały w zarodku nieomylną i niezłomną decyzją profesora Bechmetiewa: stary był i umarł normalnym — skleroza obejmowała tylko centra ruchowe. Nastąpiły dni fantastyczne. Matka Zypcia szalała z rozpaczy — nowe życie dostało potężnie pałą po łbie zza grobu. Liana, ta dobra, śliczna, preraphaelicka Liana, ulubienica ojca, znienawidziła tak ukochanego „papusia”, że nawet Genezyp, który stał się teraz dla niej jedynym kimś na świecie, nie mógł jej przekonać, że to brzydko jest, a *nawet nieładnie*, tak na zmarłego narzekać. Rozwijala się tak szybko, że wkrótce wszyscy zaczęli mówić z nią jak z osobą dorosłą, a nawet liczyć się z jej zdaniem. Genezyp spędzał dnie i noce dziwaczne ponad miarę najśmielszych dotychczasowych wycieczek w krainy zakazanej wiedzy o życiu. Rozdawał się coraz wyraźniej od spodu, mimo wzrastającego poczucia jednolitości zewnętrznej, czystościowej. Panował jeszcze z góry nad dywergencją swoich uczuć do matki, siostry, księżnej i Wielkiego Zmarłego, który olbrzymiał mu w myśli do wszechobecnej, zaświatowej potęgi — utożsamiał się z dawnym, „niedowierzonym” dziecinnym Bogiem — władał. Myśli, krążących wokół tego „zwrotnego wieczoru życia”, nie hamował Genezyp. Ale same one uspakajały się, obsiadając znane już i nudne pagóry rzeczywistości, jak stada kruków w wiosenny zachód słońca. Powoli, tamten istotny dotąd, pół-dziecinnie on zmieniał się w czystego obserwatora bez woli — był tak w sobie Genezyp, jak w teatrze — rozkoszny to był stan, gdyby nie świadomość nieuchronnego jego końca. A jednak konieczność decyzji narzucała się z coraz większą natarczywością. Był przecie głową rodziny, odpowiedzialną za jej życie — przed kim? przed zmarłym ojcem — gdzie się nie ruszyć, już jest tam to widmo ze swymi tajnymi rozkazami... Która z walczących w nim osób miała decydować — to było najważniejsze. Jeden, to był ten metafizyczny *tout court*, nienasycony życiem bydlak, który, dorwawszy się do pierwszego z brzegu źródła, chciałby żłopać, jak mu się zdawało, bez końca — (wszystko robiło wrażenie czegoś bezdenne) — drugi, to dawny grzeczny chłopczyk, który musiał tworzyć, kuć i budować to życie z męką i świadomością, ale nie wiedział dobrze, jak i z czego. Straszliwe noce z księżną, podczas których zgłębiał coraz bardziej nieskończoną gradację przyjemności i metafizyczną potworność spraw płciowych, i samotne spacerki, oddzielające go od rzeczywistości i zwracające (bez skutku zresztą) ku tamtemu zwrotnemu dniowi [ach, gdyby można cofnąć się — choć raz jedyny — w czasie... — połączyć tamtą hyperświadomość z tą wiedzą! Niestety — nic nie dostaje się za darmo — za tę wiedzę trzeba było płacić obniżeniem dawnego lotu dzieciństwa.] — to były dwa bieguny. Wszystko, co się z nim działo, ukrywał dokładnie przed ludźmi. Podziwiano jego dorosłość, jego sąd zimny i sprawiedliwy w sprawie testamentu ojca. (Papa wiedział, że Zypcio nie wytrzyma jako piwowar, a nie będzie miał dość decyzji, aby samodzielnie rzecz rozstrzygnąć — mogła wyjść stąd tylko kompromisowa zgnilość — wołał *to* przynajmniej zrobić za ukochanego syna). Fabrykę rozdrapywali w jego oczach jacyś panowie o bardzo niepewnych minach, przybyli ze stolicy. Nie miała co tu robić rodzina zmarłego; trzeba było dekampować z tego beznadziejnego kącika, w którym można było jeszcze egzystować w stanie potęgi wśród bogactw, ale nie w nędzy. Możliwości były żadne.

Tengier odsunął się od Genezypa zupełnie. Nie przyjął go parę razy, a raz spotkawszy przypadkowo oświadczył, że jest „w natchnieniu” i pożegnał go szybko, prawie niegrzecznie. Było to w wietrzny, chmurny, półwiosenny dzień. I znowu figura oddalającego się na tle rozwichrzonego pejzażu, przesyconego muzyką, wszechwiedzącego garbusa wywarła na Genezypie ponure wrażenie: jakby jakaś lepsza część (coś nierozdwojonego — mimo świąństw poprzednich) zdawała się uchodzić od niego na zawsze w postaci tego włocha-tego, potężnego potworka z innych światów. Jedyńą „ostoją” dla nieszczęsnego czynnego dualisty była księżna, do której niezależnie od szalonych postępów w dziedzinie czystej erotologii, zaczął się przywiązywać jak do jakiejś drugiej matki nie z tego świata. Ale

wraz z tym pojawiały się też, nagle i rzadkie co prawda, symptomy pewnego erotycznego, prawie że podświadomego jej lekceważenia. To oczywiście widziała jasno Irina Wsiewołodowna i cierpiała i wściekała się coraz bardziej w niepokonanych sprzecznościach: prawdziwa miłość walczyła po raz ostatni na gruzach tego cielska z dawnym demonem z młodych lat. W istotniejszym zbliżeniu Zypcia do księżnej pomogło też nagle zdemaskowanie się w najbliższej rodzinie wstrętnych mu właściwości duchowych, w związku z utratą majątku i stosunkiem do zmarłego ojca. Ona przynajmniej wolna była od materialnej meskinerii — miała w sobie coś z szerokiego bezkresu, coś jak oddech pustyni mongolskich, z których pochodzili jej przodkowie, potomkowie Dżyngischana.

Ale wszystko to odbywało się jakby nie na tym świecie, tylko gdzieś daleko, za tajemniczą przegrodą, która była jednak w nim samym, a nie w zewnętrznej rzeczywistości. Nie był sobą w tym wszystkim. Ze zdumieniem pytał się siebie: „jak to — więc to ja jestem i to jest moje jedyne życie? Tak właśnie upływa, a nie inaczej, wśród miliarda możliwości? I nigdy, nigdy już inaczej — o, Boże”. Zawałał się w jakąś przepastną norę, suterene, podziemie kaźni więziennej, gdzie królował suchy, wieczny, dławiący ból „takości” („a nie inności”). I nie było stąd wyjścia. „Życie jest jak rana — którą zapełnić można tylko rozkoszą” — coś takiego mówiła mu po raz nie wiadomo który ta wiedźma, spiętrzając w nim słowami straszliwymi jak muśnięcia i muśnięciami gorszymi od słów najgorszych to okropne cielesne uświadomienie potworności świata w bolesnej, niesytej nigdy siebie rozkoszy. Tak — tylko to jedno: uświadomić sobie swoje własne bydlęctwo i w tym skonać. Ładny ideał! Do tego tylko służył mu intelekt i tamte flaki. Ale dla niektórych ta właśnie prosta droga, którą starają się uciec od własnej zawilości, staje się niezwykle trudnym labiryntem w obcej im pustyni życia. Świat skurczył się do małego skrawka jakiegoś więzienia, które mogłoby być aktualną nieskończonością (przestrzeń jako forma ograniczenia! — czy nie za wiele pragnął swobody ten mały?), a wewnątrz rozrastało się coś bezimiennego, brzemienne i *niezmiennego* (martwa twarz „ołowianego trupa” ze snu) coś fatalnego jak wypuszczona z lufy kula i systematycznego w swych niezachwianych funkcjach, jak rotacyjna maszyna na przykład. Zypcio czuł, że teraz sformował się, skryształizował w pewnym systemie i wszystko, cokolwiek dalej być mogło, (najdalsze nawet rzeczy) będzie funkcją zdobytego w tym czasie, zresztą zupełnie mimo woli, stosunku do życia. Jaki był ten stosunek, pojęciowo określić by nie mógł. Ale czuł go w swoim własnym spojrzeniu na przelatujące obłoki, w smaku jakiegoś owocu, w sposobie przeżywania strasznych chwil rozdzierającej sprzeczności, gdy walczyły w nim dwa uczucia do księżnej, rozdwojonej na dziką rozpustnicę i pseudo-matkę.

W niej walka odbywała się także i to w zupełnej odpowiedniości do stanów duszy kochanka, raczej „kochaneczka” czy przyjemniaczka. Z początku poddawała się „matczy-nemu roztkliwieniu” (co za ohyda!) zupełnie. Uczyla go używać siebie i potęgować nikłą i nędzną swędzeniową przyjemność elementarną do granic metafizycznego bólu i zaświatowej ponurości objawień ostatecznych, poza którymi była już tylko śmierć, jedyna wybawicielka z rzeczy zbyt głębokich. Ale za prędko rwał Genezyp w przyszłość i, mimo że on sam nie zdawał sobie dokładnie z tego sprawy, ona za niego czuła, w pewnych jego ruchach, spojrzeniach i bezmyślnie okrutnych powiedzeńkach, czające się zblazowanie i przesyt. Scampi i stary książę ostrzegali ją często przed niebezpieczeństwami tej ostatniej miłości, namawiając dla jej (a nawet i jego) dobra, aby przeszła na system lekkiego choćby demonizmu. Jakże kochali obaj tego potwora, a przez to i „niedoszłego piwowarka”, jak nazywano Genezypa w pałacu Ticonderoga. Długie godziny trawiła księżna na rozmyślniach, aż wreszcie postanowiła zdobyć się na kompromis w imię celów wyższych: zachowania uczuć Zypcia w pierwotnym natężeniu i zrobienia z niego „człowieka” (?), według pojęć panujących w ich domu: to znaczy: bezideowej kanalii, społecznego pasożyta z maksymalną ilością przyssawek, a-metafizycznego użytkownika, jednym słowem świństwa. Twierdziła, że sama nieszczęśliwą była przez nadmiar utajonego mistycyzmu i tępiła objawy takie u synów bezlitośnie. Jako ta pseudo-mama nie dokonałaby niczego: mogła być chyba tylko opuszczoną i skazaną na zgnicie w rozpacz, w ropnych wydzielinach zranionej ambicji. Na tym bubku prześlicznym kończył się dawny świat — o tym wiedziała na pewno.

Genezyp nie wiedział, czym jest zdrada i zazdrość. Były to dla niego słowa prawie że pozbawione znaczenia. Ale kiedy chwilami zbyt przerażała go potęga tej baby w stosunku do jego wewnętrznych materiałów, przewaga jej sił czysto choćby nerwowych i doświadczenia, znajdował pociechę i podporę w uświadomieniu sobie takiej prawdy: „a jednak ona jest stara”. [To było podłe i *tego* nie przeczuwała nawet Irina Wsiewołodowna. W ogóle nie wszystkie środki obrony mężczyzn znają kobiety (nawet te najmądrze i najgorsze) i nikt uczciwy, należący do bloku męskiego, demaskować ich nie będzie]. Mógł sobie to Genezyp na dwa sposoby tłumaczyć, zależnie od tego, czy był w danej chwili w stanie potęgi, czy też słabości. Albo mówił sobie: „jednak ona jest jeszcze dość młoda, a w każdym razie trzyma się świetnie”, gdy, po gruntownym nasyceniu się, czuł pewne upokorzenie z powodu jej wieku — szczególnie rano, przy kawie, pitej we wspianiałym, byłym małżeńskim łożu Ticonderogów. Były to myśli oczywiście nieszlachetne i wolałby ich Zypcio nie mieć wcale. Ale trudno — działanie „układu mimowolnego, pierwotnego” — nikt temu rady nie da. (Tylko, na miłość boską, nie czynić tej teorii publiczną, bo wtedy nikt z nikim rady sobie nie da). A już robił oko, niedołążne i dość śmieszne [— to dziwne, że „tamto” nie zwiększyło w nim śmiałości w stosunku do kobiet w ogóle — był wyspecjalizowany] do ładnej pokojówki księżnej, Zuzi. To było właśnie symbolem tego dalszego życia, do którego obecne zdarzenia miały być stopniem tylko. Tak myślał już teraz — on miał czas, ale ona...? O, któż, kto tego nie zna, oceni okropność bezpłodnego uciekania „płciowego czasu”, gdy nic już nie ma poza tym?! Ona widziała wszystko to lepiej od niego z wyrazistością peyotlowej wizji i cierpiała chwilami, aż do jęków i „myceń” włącznie. Nie było rady: (jak ci żołnierze, co zrobili rewolucję rosyjską: albo zginąć na froncie, albo walczyć o wolność — *tryń trawa — wsio rawno*) trzeba było spróbować środka heroicznego: albo go zdobędzie na jakiś rok, może dwa — albo straci na zawsze. Trzeba było ryzykować. A tak by się chciało nie babrać się już w tym plugastwie trzecioklasowego demonizmu, i on byłby jej droższym przecie bez tego utyłania go w błotku płciowych cierpień. „Nie chcesz pchać tam jak trzeba, tak? — to jeszcze gorzej ci wyjdzie. Będziesz myślał o tym ciągle i splugawisz nie tylko ciało, ale i duszę — cały będziesz tam w myślach, tym swoim dumnym męskim mózdzkiem — ha, zobaczysz, jak to przyjemnie” — tak myślała biedna Irina Wsiewołodowna, prężąc wspianiałe uda w niezdrowym podnieceniu, graniczącym z gorączką. Coraz trudniej było o antydoty, tym bardziej o tej porze na wsi: Tengier mógł mu ją obrzydzić — Toldzio — tego można było zużytkować zawsze, na tle jego zбочenia do starszych dam. Och, jakie to przykre — więc już... Takie to były zewnętrzne rusztowania pospolitości tej całej obrzydliwej sprawy. Straszne jest wejście w zakulisową technikę teatru tak zwanej miłości. Bo te idealne małżeństwa, te pary z sarkofagów czy ołtarzy, te niezłomne charaktery kryją przeważnie także brudną kuchnię „od tyłu”, w której bezwstydy diabeł przyrządza swój czarodziejski lek na beznadziejną nędzę istnienia albo też wytwarza jeszcze bardziej deformujący życie narkotyk: fałszywą cnotę. Brrr... Na tych rusztowaniach rozpinają się nikłe pozornie subtelności uczuć, które w przyszłości zaważyć jednak miały na wszystkim, ciągnąc w otchłanie podświadomych zbrodni te zatrute od samych podstaw, rozłazące się mózgi. Jakże wstrętne jest dialektyka uczuć i jak ohydne implikuje techniczne środki działania. A bez tego co? Krótkie spięcie zupełnego nonsensu i śmierć. Dobrze to było w dyluwialnych jaskiniach, ale nie dziś. I to takimi rzeczami mogli się zajmować ludzie „wyższych warstw”, kiedy zza horyzontu przeznaczeń ludzkości wznosiły się potworne wizje usymbolizowanych przyszłych czasów. Tylko niektórzy to widzieli i też pili, jedli i obłapiali, i bawili się w przerwach. Nawet najwięksi działacze, może ci więcej jeszcze, bo przecież musieli „choć trochę” odpocząć po straszliwych napięciach pracy codziennej. A tłum pospolitaków tego nie lubi, jak na przykład twórca rewolucji ma dziewczynkę — (jak ma żonę, z którą się męczy — wszystko dobrze). Durnie nie rozumieją, że on musi też zabawić się, by potem tarzać się z natchnieniem po cielsku historii i ryc swoim mózgiem jak ryjem drogi przyszłości: „Oh — *qu'est ce qu'on ne fait pas pour une dupe polonaise*” — jak mówił stary Lebac. Albo, jak prywatnie spytał kiedyś z głupia frant, nieboszczyk Jan Lechoń: „A jakież jest inne życie, jak nie płciowe?”

Na tle niezdecydowania co do wyjazdu do miasta, nadchodził „powoli” ten dzień, w którym znowu skupić się miała cała przyszłość — lecz w „jakiejże losów odmianie”! Jak muszka tęczowa krążąca tuż koło lepkiej pajęczynki, beztrząsco żył Genezyp, nieświa-

domy bliskich niebezpieczeństw, dumny z pokonania *takiego* (!) potwora. Był jak upojony łatwym zwycięstwem młody wódz, który zapomniał rozstawić nocne straże. I coraz bardziej, oczywiście dla niego nieświadomie, zanikał w nim dawny, warty, dobry chłopczyk, razem ze znikającym śniegiem na słonecznych beskidzko-ludzimierskich wzgórzach. I oto któregoś dnia po południu — [w takie przykre popołudnie, co to nic nie ma i nic być nie może, chyba jeszcze ten ostatni nadchodzący wieczór, który trzeba zapisać, i potem koniec] — Genezyp, mimo poprzedniego wstrętu do życia z pracy obżałowanych przez niego robotników, teraz kiedy wszystko stracił, zaczął także odczuwać świadomie (gdzieś w głębi to się czaiło od dawna) pewien żal do ojca, że go tak przed samą śmiercią urządził. Ale stary Kapen kochał syna głęboko i wiedział, co robi: jasno zdał sobie sprawę z nietrwałości tego, co jest, i wołał oszczędzić Zypciowi utraty dóbr w rewolucji. W ten sposób usuwał mu z drogi całą kupę najwstrętniejszych niebezpieczeństw i chronił go przed społecznym rozgoryczeniem, paraliżującym wszelką działalność. Nie było już nigdzie (nigdzie na świecie — co za dziwna rzecz?) banków, w których można by lokować rezerwowe kapitały. Chyba w Rosji — — Ale Kapen na dnie duszy wierzył w niezwykłą potęgę chińskiego muru — może mylił się co do czasu, nawet mimo ostatnich wieści — ale zasadniczo intuicję miał słuszną. Mimo że nie znał dokładnie — jak i nikt zresztą — idei Kocmołuchowicza, czuł jak nikt, że tam, w tym czarnym łbie szalonego nieobliczeńca, kryje się pepek sytuacji obecnej, i to nie tylko dla nas, ale dla świata całego. Przed samą już śmiercią, [w tej chwili, kiedy właśnie ten bydlaczek tracił z takim trudem niewinność], napisał bezwładniejącą łapą do kwatermistrza list, polecający syna jego opiece.

„...znajdzie się przecie u Ciebie miejsce adiutanta. A chcę, żeby Zypek, o ile kocioł zawrze, był w samym jego centrum. Śmierć nie jest tak straszna — gorsza jest dalekość od rzeczy wielkich, tym bardziej, jeśli są już może ostatnie. On jest odważny i ja dałem mu trochę bobu w życiu, narażając się nawet na coś w rodzaju nienawiści z jego strony. A jest to jedyne „coś” — nie wierzę w osobowość za przykładem amerykańskich psychologów — a inne rzeczy, te nowe wiary, dobre są dla durniów, aby ich trzymać za mordę — coś — powtarzam, co poza piwem oczywiście kochałem. Bo niestety ten twój dawny ideał, moja żona, mimo różnicy wieku, nie zadowolniła mnie duchowo. Nie żałuj więc tego i nie miej do mnie pretensji. Zypek mógłby zupełnie dobrze być Twoim synem”. [Stary dobrze wiedział, że Kocmołuchowicz jest tym jedynym centrem możliwego kotła — jeśli nie on, to chyba nikt — i hańba bezosobowego złączenia się z Chińczykami].

„Jeśli nie będzie między nami kogoś, kto by nas reprezentował, nawet w takim świństwie, staniemy się kupą bydła, niegodną nawet komunistycznej organizacji. Ty jesteś jeden — mówię Ci to bez kompromisu, bo zdycham — nie dziś, to jutro. Umiałeś pozostać tajemnicą, nawet dla mnie. [Kocmołuchowicz dziko się uśmieł w tym miejscu. A czymże był dla niego ten stary Kapen — zgniłym workiem, który jak najprędzej trzeba *won* z pokładu w morze. Mimo to lubił go i czytając te gryzmoły zrobił sobie węzełek na mózgu co do Zypcia].

„Strasliwe napięcia samotności umiesz wytrzymać, Erazmku — cześć Ci za to i chwała, a po trzykroć biada Twemu narodowi, bo nigdy nie wiadomo, co w następnej minucie zrobisz: Ty, a za Tobą Twoja banda najmorowszych obecnie ludzi na ziemi — *You damned next-moment-man*. Żegnaj, Twój stary Zyp”.

Tak pisał Kapen do „Erazmka Kocmołucha”, byłego stajennego chłopca hrabiów Chraposkrzeckich, mających w herbie żabi skrzek i końską chrapę. — Czy nie były to symbole całego życia generał-kwatermistrza: wyległy z bezimiennego skrzeku „bafonów” ludzkości, przez konia (i jego chrapy naturalnie) stał się kimś i to nie byle jakiej sorty. A jednocześnie strasznym było niegdyś dla „starego Zypa” widzieć naród swój w takim

stanie, że mógł się opierać on cały jak jeden blok miernoty o jednego, jedynego człowieka. A gdyby tak zapalenie ślepej kiszki, lub szkarlatyna? I co wtedy? Już raz było przecie tak z Piłsudskim i ocalała nas właśnie ta równowaga miernot. Liczono na to i teraz. Ludzie nie umieli wyprowadzać wniosków ze zdarzeń i bawili się w analogie — podobnie jak ci patrioci rosyjscy, którzy utożsamiając rewolucję z 1917 roku z Wielką Francuską, mieli nadzieję na wojenny poryw u mas. Ten potworny brak ludzi i ta nieumiejętność zużycia tych, co „ledwo byli” na odpowiednich stanowiskach, to była wybitnie polska specjalność w tych czasach. Cała ta niby praca nad organizacją pracy była śmiesznością — wszystko trzymało się tylko na tym, „żeśmy byli niczym”, jak mówił potem (ale po czym, po czym?) pewien Pan. Zamiast: „Polska nierządem stoi”, mówiono teraz, że stoi „brakiem wielkich ludzi” — inni twierdzili, że w ogóle nie stoi, że nikt nie stoi, że nikomu nie stoi, nawet że nikogo (!) nie stoi — oczywiste rusycyzmy. Inni twierdzili, iż nie jest wykluczone, że Kocmołuchowicz, przeniesiony w odmienne warunki, także byłby niczym, czy nikim. Tu na tle szarej miazgi bufetowych, buforowych, „butaforskich”, restauracyjnych, gabinetowych, buduarowych, burdelowych, sleepingowych, samochodowych i aeroplanowych działaczy, urósł do rozmiarów gwiazdy pierwszej wielkości, olbrzymiego brylantu na mdłym śmietniku osobowości. A może faktycznie był wielkim nie tylko w odniesieniu do centrum spórzędnych swego społeczeństwa — wielkim w stosunku do tej całej cholery całego świata, który nam — nam Polakom! — chciał imponować! Co za bezczelność. I mimo że stary Kapen napomykał mu czasem nieśmiało o swoich ideach (zaprowadzenia *prawdziwego* faszyzmu), kwatermistrz milczał jak zdechła ryba i czekał — umiał czekać, psia-krew! — W tym była połowa jego siły. Umiejętność zaś ukrywania swego zdania w najbardziej pozornie otwartych rozmowach była w nim doprowadzona do niebywalej doskonałości. Wytworzoną przez Syndykat Narodowego Zbawienia pseudo-organizację zużyć chciał w odpowiedniej chwili dla siebie i swoich tajemniczych dla niego samego celów. Marzył już o jakimś piekielnym wyjściu przed żółtych zwycięzców z szarą, krystaliczną miazgą swojej zmechanizowanej armii, on, jedyny dziś wielki strateg (śmiał się z tych chińskich nowalii w kulak, oficjalnie uznając je za groźne, by nie osłabiać swego prestiżu), pan z chamów, od Egiptu począwszy (bo czyż była kiedy na świecie podobna awantura, jak ta, i czy był taki właśnie człowiek jak on — *mysterious man in a mysterious place*), nędzny kwatermistrz generalny. Ale, na dnie jego wesołej, jak pies spuszczonej z łańcucha, duszy, drzemało zawsze *Nieoczekiwane* — coś tak piekielnego, że myśleć o tym bał się nawet w chwilach męczących syntetycznych jasnowidzeń, kiedy zdawało się, że sra po prostu nieskończonością w sam pępek wszechświata. Dziurawił strasznymi, bladymi z przerażenia myślami przyszłość, jak olbrzymimi kulami brzegowa armata pancernik. Ale nigdy nie dotarł do dna swego losu. Faszyzm czy bolszewizm, i czy on sam nie jest właściwie blagier albo wariat — to były najgorsze z kwatermistrzowskich dylematów. Bezpośrednie dane Kwatergena przerastały niewymiernie zdolności jego do ich analizy. O tym nie wiedział nikt prócz niego — miał opinię dodatkową samego wcielenia samoświadomości. Gdyby mógł go widzieć cały kraj: tak nagle *zbiorowo* zobaczyć, może by się wzdrygnął cały dreszczem zgrozy i strząsnął go z siebie jak potwornego polipa na samo dno piekiel, gdzie męczą się pewno różni przywódcy ludzkości. Gdyby on sam mógł widzieć swoją własną opinię ogólną, scałkowaną w jakimś szatańskim nieskończonościowym rachunku — ha, może spadłby wtedy ze swego zgrzanego już nieco „rumaka” nieobliczalności w jakąś najzwyczajszą, rynsztokową kolejkę przeciętnego stupajki. Na szczęście ciemno było dookoła i ciemność ta sprzyjała rozwojowi nieświadomego, wewnętrznego potwora, który czał się, czał się, czał się, aż wreszcie...: hyc! — i skończona komedia i parada — bo po tym czynie wszystko już będzie za małe. Marzył o jakiejś nad-bitwie, o czymś więcej jeszcze, czego świat nie widział. Społecznymi detalami nie zajmował się nigdy — w przeciwieństwie do wojskowych, których głowę pełną miał jak puszka od sardynek tychże rybek — dbał o czysto osobisty urok „*wo czto by to ni stało*”. Legenda jego rosła, ale umiał utrzymać ją w ryzach i nieokreśloności. Przedwcześnie przesadzona w natężeniu i zbyt sprecyzjowana legenda to najgorsza kula u nogi dla męża stanu z przyszłością. Ma wtedy ciągle ten problem, co artysta z powodzeniem — jak tu nie stracić tej linii, na której się powodzenie zyskało. I zaczyna się wtedy powtarzać siebie w coraz bledszych odbitkach, zamiast szukać nowych dróg — traci się swobodę i natchnienie, i kończy się prędko — chyba że się jest

prawdziwym tytanem. A — wtedy całkiem co innego oczywiście. Wszyscy wiedzieli, że w razie czego „Kocmoluchowicz pokaże, co umie”, ale co umiał prócz organizacji armii i wykonania pomniejszych pomysłów strategicznych — nie wiedział nikt. Na list starego Kapena zareagował zarządzeniem wysłania de Genezypa wezwania do szkoły oficerskiego przysposobienia w regionalnej stolicy K. — więcej o tym oczywiście nie myślał ani chwili.

Wezwanie przyszło właśnie w ten dzień, który księżna nazaczyła sobie na dzień próby; przyszło, ale po wyjściu Genezypa z domu — [zostawiono im trzy pokoje w oficynie według woli starego]. Baronowa i jej pierwszy kochanek (a no tak, bo przecie w 5 dni po pogrzebie było już załatwione), jeden z dwóch komisarzy państwowego nadzoru nad fabryką, Józef Michalski, siedzieli właśnie w jej (baronowej) czyściutkim, wybielonym i ciepłym pokoiku, przytuleni do siebie jak „para gołąbków”, gdy „sędziwy listonosz pokryty szronem po kolana” złożył przed nimi z uszanowaniem ważny dokument, na którego kopercie stało odbite: „szef gabinetu Generalnego Kwatermistrza”. Największych dygnitarzy przechodził dreszcz na widok tej pieczętki, a cóż dopiero takiego Michalskiego — dostał po prostu drgawek i musiał na chwilę wyjść. Baronowa rozszlochała się swobodnie, szeroko — dotknęła ją łapa przeznaczenia: jej Zypcio oficerem, przy boku byłego jej wielbiciela (któremu jeszcze jako młodemu kometowi dragonów dała kosza, mając lat czternaście zaledwie), tego „*Kotzmloukhowitch le Grand*”, jak mówił uśmiechając się tajemniczo Lebac. [W dokumencie już było „przednaznaczone”, że po skończeniu szkoły oficerskiej miał Zypcio przejść dodatkowe przeszkolenie na adiutanta, aby być następnie przydzielonym do osobistej świty kwatermistrza jako „*aide-de-camp à la suite*”]. Za trzy dni miał zameldować się Zypcio w stolicy K. Złączone było z tym pewne uposażenie rodziny i pani Kapenowa, zapominając o grożących synowi niebezpieczeństwach (jeśli nie wojennych, to choćby w postaci na przykład uderzenia nogą w brzuch przez wodza — od tego miał umrzeć jeden z adiutantów, młody hrabia Koniecpolski, według wieści rozpuszczanych przez Syndykat) — ucieszyła się nadzwyczajnie. Z tym większą furią oddała się zaraz Józefowi Michalskiemu, który, jako długoletni wdowiec i w ogóle osobnik nie przywykły do prawdziwych wielkich dam, rozszalał się w Ludzimierzu prawie do obłądu. Jego siły męskie, spotęgowane nasycaniem, a długo teoretycznie gnębionym snobizmem, dochodziły do zastraszających rozmiarów. Ona przeżywała drugą młodość w miłości, zapominając powoli o materialnej klęsce i problemie dzieci. „Zaciszyć się” w jakimś małym kąciuku, zaszyć się choćby pod kołdrę, byle z nim, byle tylko choć trochę było „dobrze” — oto było chwilami jedyne jej marzenie. Teraz dopiero zrozumiała, jak straszny przeżyła okres mąk. Całe szczęście, że wtedy sobie tego nie uświadamiała — całe szczęście! Jakby z nieopalanego pokoju bez mebli, w którym przemieszkała lat 15 (od urodzenia Lilian) wpadła nagle w rozgrzany puch, rojący się jeszcze do tego od jeszcze gorętszych, stalowych uścisków. Bo Michalski, mimo lat czterdziestu trzech i z lekka wylupiających oczu, był jak byk — „*au moral et au physique*” — jak mówił o sobie i to w dodatku różowy blondynobyk z lekka megaloman-splanchiczny. Robili to tak potajemnie, że nikt (nawet Lilian), nie domyślał się ich stosunku! A był to stosunek w całym znaczeniu tego słowa, jakby z śmiertelnie nudnej żółtej francuskiej książki. Podobieństwo sytuacji obojga stwarzało, ponad rozpetanymi zmysłami, coś w rodzaju istotnego porozumienia. Michalski był fizycznie czysty — (miał nawet „tub”) — i poza drobnymi niedoskonałościami w jego manierach (zbyt jowialnie-zawieszistych), jedzeniu (źle składał „sztućce” po skończonym żarciu) i ubiorze (czarny garnitur i żółte buty), które pani Kapenowa z wrodzonym jej taktem szybko udoskonaliła, nie można mu było nic zarzucić, poza tym chyba że był... Michalskim. Ale i ten przykry dysonans zatarł się szybko w głodnej życia duszy baronowej. Przodkowie przewracali się gdzieś w grobach rodzinnych w Galicji Wschodniej, ale co ją to mogło obchodzić — miała ŻYCIE — „oni żyją ze sobą” — ileż w tym jest pociechy. Takie były czasy.

DEMONIZM

Był marzec. Lutowi goście rozjechali się na wszystkie strony, przerażeni nadciągającą burzą wypadków. Został tylko kuzyn Toldzio, ponury demon płciowych transformacji biednego Genezypa. I teraz los go przeznaczył, aby był tym odczynnikiem, „po którym

poznacie je”, czy coś podobnego. Korzystał ze zdrowotnego urlopu, cierpiąc na ciężką neurastenię, czy nawet psychastenię, na tle służby w M. S. Z., która wyczerpywała jego mózg, jak niewidzialna mątwą. Mieszkał w kurhauzie i był częstym gościem w pałacu Ticonderoga, na próżno namawiając księżnę do wznowienia dawnych chwil rozkoszy. Uświadomienie sobie tego faktu, że Zypcio kochał się w niej na serio, podnieciło go w zupełnie specjalny sposób — taka mała kanalijka był ten Toldzio — iluż jest takich niestety. W ogóle te osławione „warstwy podświadome”, te małe motorki różnych postęp-czków, które zsumowane dają tło całej działalności danego człowieka, są to przeważnie dość brudnawe świństwka. Na szczęście, mimo całego freudyizmu, mało kto zdaje sobie z tego sprawę — inaczej zarzygaliby się pewni ludzie ze wstrętu do siebie i innych. Tak myślał czasem Sturfan Abnol i o takich rzeczach nie pisał z zasady nigdy.

Genezyp zaproszony do księżnej na obiad szedł lasami na przełaj w olbrzymich podkutyh buciorach, niosąc pod pachą lakierki i smokingowe spodnie — miano je uprasować na miejscu. Rano jeszcze dostał list od Iriny Wsiewołodowny, który go na parę godzin wytrącił z równowagi. Teraz już trochę ochłódł. Nie wiedział biedactwo, co go czeka. List „brzmiał”:

„Zypulka najmilsza! Tak mi czegoś dziś strasznie smutno. Tak chciałabym cię mieć całego w sobie. Ale *całego* — rozumiesz...? Żebyś był taki malutki, malutki, a potem, żebyś się rozrósł we mnie i ja żebym pękła od tego. Śmieszne? Prawda? Ale nie śmieć się ze mnie. Ty nigdy nie zrozumiesz (ani nikt z was), jak straszne rzeczy może czuć kobieta, a szczególnie taka jak ja i wtedy kiedy — (tu było coś przekreślonego) — I nawet gdybym była zła, powinieneś mnie kochać, bo ja wiem więcej od Ciebie, czym jest życie. — (Tu wzruszył się Genezyp trochę i postanowił nie skrzywdzić jej nigdy — co będzie to będzie). — I nie dość na tym: chciałabym *wtedy*, żebyś się cały zrobił taki wielki i silny jak tamto, kiedy Ci się podobam, taki, jakim będziesz kiedyś, może już nie dla mnie, i żebyś mnie zadusił sobą i zniszczył. — (Dziwnego uczucia przelśnienia wewnętrznego doznał Zypcio, czytając te słowa: zobaczył znowu w sobie horyzont bezmierny, dławiący niesytością bez granic, obrzękły mnogością niespełnionych diabli-wiedzą-cosiów — jakichś bezimiennych czynów-przedmiotów, niepojętych istności psychofizycznych, których jedynym ekwiwalentem *wzrokowym* mogły być nieznanne i niezrozumiałe rzeczy-stwory, zjawiające się w peyotlowych wizjach. Jak po tym śnie popołudniowym, *zbrodniczym*, mignął metafizycznie odległy świat, na tle jeszcze odleglejszej bezprzestrzennej dali, i zaraz wszystko zapadło w tę tajemną głębię, w której pracowały bez wytchnienia straszliwe motory czy turbiny, nakręcające realną przyszłość w nieprzewidziane zwykłym rozumem łożyska). — „Bądź *dziś* dobry dla mnie” — pisała dalej programowo, tak a nie inaczej właśnie, ta nieszczęsna świnią, mając już cały plan działania obmyślony aż do najdrobniejszych szczegółów — „i przebac, jeśli będę zdenerwowana. Dręczy mnie dziś całe życie dawne — „grzechy męczą” — jak mówił Bazyli. Całuję Cię jak wiesz... Tak bym chciała, abyś był *mój* naprawdę. Twoja, zawsze Ci oddana I.

P. S. Będą Twoje ulubione pierożki z serem.

Ten dopisek wzruszył go najbardziej. Nastąpiło zwykle rozdwojenie na uczucia czyste i zmysłowe. Po czym „te ostatnie” zbladły na korzyść pierwszych. Nie wiedział biedaczek, co go czeka. Na tle chwilowego nasycenia udawał przed sobą „przeblazowanego” starca i myślał nawet chwilami o rudych włosach i nieprzyzwoicie błękitnych, gryzoniowatych w wyrazie, oczkach pokojówki Zuzi, nie przestając ani na chwilę kochać idealnie księżnej. Cudowne późno-marcowe późne popołudnie mijało nad podhalańską ziemią, ociągając się jakby, by potrwać jeszcze choć trochę, nasycić się sobą i tęsknotą wszystkich stworów ziemi za innym wiecznym, nieprzemijającym, niebyłym nigdy życiem. A cała bezcenna wartość była w tym przemijaniu właśnie. Odległe śnieżyste góry, widne między rudymi pniami sosen na polanach, zatopione w opalowej sreżodze, błyszczwały różowawo ponad kobaltowymi zwalami odległych świerkowych lasów. Niżej kraj cały poprzerzynany był deseniami śniegu, leżącego po wgłębieniach i miedzach i na brzegach lasów. Wiosna

buchała wszędzie. W nieopisanym żadnym słowem zapachu przygrzanej ziemi, w wyziewach przeszlorocznej odegrzanej zgnilizny bagien, w zionących grzybowatym chłodem powiewach z niedogrzanego podłoża borów, w rozgrzanych falach powietrza, idących od przesyconych ostrym eterycznym zapachem górnych warstw iglastych drzew, czuć było jej potężniejący z każdą chwilą oddech. Zdawało się, że jakaś prawie materialna siła chwyta za mięśnie, ścięgna, bebeczy i nerwy, męczącymi, drgającymi ruchami, rozluźniając zakrzeple w zimowym odrętwieniu cielesne wiązania. Cóż dopiero mówić o „rozluźnionym” już zimą Genezypie. Nagle, przechodząc przez jakąś słoneczną polankę, wpadł w czysto-wiosenną, specyficzną rozpacz, tak zwany dawniej „*Weltschmerz*”, spłycony przez nieznaną słowa „tęsknota” Francuzów na jakieś „*mai de je ne sais quoi*”. Była to niższa, bardziej zwierzęca i życiowo-pospolita forma istotnie metafizycznych przerażeń, tych chwil, w których stajemy wobec siebie samych i obcego świata, bez żadnych obłonek codziennych przyzwyczajęń, związanych z odpowiednio nazwanymi i wtłoczonymi w zwyczajność codziennych związków rzeczami i zjawiskami. Tamta chwila przebudzenia nie powtórzyła się już w intensywności poprzedniej — promieniało tylko jej wspomnienie, zmieniając z lekka zarysy normalnych przebiegów trwania, rozwiewając ostrość konturów znanych kompleksów. Pochodnymi jej były te prawie bydlęce „*weltszmerce*”, te podświadome płciowe śmieszne niby głębokie smutki, które to stany Rosjanie tak wyrażają, że powtórzyć tego absolutnie nie można: „*wsiech nie pra...*”. „O, gdybyż to można unosić się, choćby osobowo nawet, nad jakimś „*fond de femr inité² impersonnelle et permanente*” — ten rozdział na *te*, a nie *inną* babę czy dziewczynkę, ta druga osoba, która ma bądź co bądź również pretensję do człowieczości, ta konieczność rozbabrywania czyjejś jaźni, przez taplanie się i grzebanie w związanym z nią cielsku — to są fatalne wprost historie”. Tak myślał przedwcześnie dojrzewający Zypcio, nie wiedząc jeszcze, czym jest miłość, poznawszy jej, zdeformowany dysproporcją lat i nieodpowiedniością epoki, surogat, w najgorszym, prawie pośmiertnym wydaniu. [„Względnie starsza demoniczna pani dobra jest dla młodego człowieka, o ile kochał się przedtem w panienkach i ma pewne, choćby elementarne erotyczne doświadczenie — inaczej może się na tym beznadziejnie załamać” — tak twierdził Sturfan Abnol]. Ogarnęło go rozwlekłe, męczące, osłabiające pożądanie — nawet nie samej księżnej, tylko tego całego aparatu ogłupiającej rozkoszy, który umiała puścić w ruch niby niewinnie, nieznacznie jakoś, a jednak z całym jasnowidztwem najskrytszych, najobrzydliwszych męskich tak zwanych „stanów duszy”, tego właśnie, o „czym się nie mówi” (nie mówi się też o kobietach, chociaż tam o wiele prostsza jest historia). A szkoda — przecie za lat 200–300 nie będzie tego w ogóle wcale. To są te zjawiska najstraszniejsze, te „epifenomeny” i opis tego właśnie jest jeszcze okropniejszą rzeczą niż to samo, a nie jakieś tam opowiadania, choćby najdokładniejsze, o samym zektnięciu się genitalii. Obnażenie tego gorszym jest od obnażenia ciała w najbardziej wyużytych pozach. Tym nie śmiał się zająć nawet Sturfan Abnol, najodważniejszy z ostatnich powieściopisarzy, który miał głęboko gdzieś całą publiczność i polityczne frakcje, wynajmujące sobie odpowiednich genialnych stylistów, dla propagowania odpowiednich idei. Ta bestia księżna umiała o tym właśnie mówić w sposób wywlekający kiszki na wierzch, z dowolnie potężnego samca — a cóż dopiero mówić o takim Zypciu Kapenie. Poczucie tego, że była świadomą swego działania, aż do najdrobniejszych szczegółów, potęgowało urok tych rzeczy praktycznie w nieskończoność. Rozkosz zwiększała się w tej samej skali, co tortura. Ten sam ból, bez świadomości tego, że zadawany jest przez specjalnie nastawionego w tym kierunku kata, znającego dokładnie związki psychiki pacjenta ze swoją działalnością, byłby niczym. Najokrutniejsza maszyna jest szczytem łagodności wobec jednego drgnięcia świadomego okrucieństwa, jeśli chodzi o siłę doznawanego cierpienia. W tych mękach, jak na krańcach kolistej nieskończoności w popularnym przedstawieniu teorii Einsteina, łączyły się wszystkie świństwa płciowe z okrutnymi instynktami samozachowania się, w jedną obrzydliwą podstawę istnienia osobowości. Tam, nawet na pierwszej kondygnacji „ordynarnej wyciwki kantowskich pseudo-komplikacji”, nie dotarł jeszcze Genezyp, zniechęcony rozmówką w pustelni kniazia Bazylego. „Dla pewnych durniów, nafaszerowanych tanim materializmem, metafizyka jest czymś nudnym i suchym i *dowolnym!* O, jęłopy: to nie teozofia, którą się zdobywa jako coś *gotowego*, bez

²*femr inité* — tak w źródle, zapewne zamiast *feminité*. [przypis edytorski]

żadnego umysłowego wysiłku. Inni, ze strachu przed metafizyką i przyjęciem istnienia „ja”, bezpośrednio danego, starają się *jak najmniej powiedzieć*: jacyś „behaviouryści”, czy inni amerykańscy pseudo-skromnisie. Czy nie lepiej rzeczywiście, że te rzeczy oficjalnie zabronione zostały, jeśli taki Russell, po wszystkich obietnicach, napisał taką książkę jak *Analiza ducha?* — tak mawiał Sturfan Abnol. Na tle potęgujących się żądz, zniknęło poczucie pewności siebie wszechwiedzącego starszego pana i nieznośny niepokój wiosenno-ściemno-prawie-metafizyczny rozhuśtał do reszty mięśnie, ścięgna, gangliony i inne wiązadła tego „ja”, brnącego przez nasyczone oddechem budzącego się życia lasy — („*dieser praktitichen Einheit*” według Macha — jakby pojęcie „praktyczności” można było wprowadzić nie wiadomo skąd jednocześnie z pojęciem kupy — *i to związanych ze sobą elementów*!!) Tak oburzał się kiedyś ktoś, ale Zypcio nie był jeszcze w stanie tego pojąć. Chwilami, właśnie na tle takich stanów zaczynała męczyć go materialna nędza obecnego położenia. Czasem, na krótko, ogarniała go nawet dzika złość na ojca. Ale pocieszał się tą myślą, że „przecież i tak niedługo wszystko diabli wezmą” (jak mówili ogólni defetyści) i przyszłość przedstawiała mu się wtedy w kobieco-sfinksowatej postaci, nęcąca komplikacją nieznaną przygód. I myślał podświadomie, obrazowo, prawie że tak samo jak ojciec, gdy pisał ostatni, przedśmiertny list do Kocmołuchowicza. Ostatecznie, dopóki był synkiem przy ojcu, mógł używać bogactw tych bez wyrzutów (ale czy użyłby — oto było pytanie) — sam, nie potrafiłby bezwzględnie. W każdym problemie zarysowywała się coraz wyraźniej dwoistość natury niedoszonego piwowara. Ale na razie nie było w tym nic strasznego, tylko ciekawość niezmierna. Dodawało to jedynie uroku chwilom dalszego „przebudzania się”, ale niestety na coraz niższych piętrach mglistego zarysu przyszłego człowieka — to słowo, które tyle szczytnych transformacji przeszło, zdawało się nieuchronnie konwergować z pojęciem doskonale funkcjonującej maszyny. Wszystkie wewnętrzne perypetie młodzika miały znaczenie symptomatyczne dla tego właśnie kierunku. Ale dla niego było *to właśnie* jedynym życiem, bezcennym skarbem, który trwoniał *właśnie*, jak na młodzika przystało. Każdy krok był błędem. Ale czyż doskonałość znowu (nawet w sztuce), nie ma tylko tego maszynowego znaczenia? — dziś oczywiście — „odtąd i na zawsze”, to jest: póki świecić będzie ogień słońca w międzygwiazdnej pustce. Wyczerpały się pozytywne wartości indywidualnych „wybryków” we wszystkich sferach — w obłędzie spełnia się najistotniejsze życie; w perwersji, której granicą jest pierwotny chaos, dopełnia się z boku najistotniejsza twórczość w sztuce. Jedna filozofia zrezygnowała — nie wróci do dawnych wierzeń — takie jest jej wewnętrzne prawo. Nie widzą tego tylko durnie dawnego typu i — ludzie przyszłości, którzy nie mają wspólnej miary z dawnym życiem i nigdy go nie pojmą.

Jeszcze granice aktualnego istnienia nie zawarły się przed rozprężającym się w wolnym wybuchu nabojem Zypciowej młodości. Za każdym pagórkiem, za każdą kępą drzew, spoza której wysuwały się gnane wiosennym wichrem, już prawie letnie, obłoki, zdawała się ukrywać zupełnie nowa, nieznana kraina, w której miało się spełnić wreszcie nienazwane: spełnić i zastygnąć w nieruchomej doskonałości. Nie rozumiał ten bydlak, że całe życie jest w ogóle, nie-do-spełnienia, że przyjdzie (ale czy zdąży przyjść przed śmiercią?) czas, w którym za tymi pagórkami odczuwać się będzie tylko dalsze pagórki i równiny, a dalej tylko okrągłość dożywotniego więzienia na małej gałce, w bezmiernych pustyniach *przestrzennego* i metafizycznego nonsensu — kiedy te pagórki (a do diabła z tymi pagórkami! — ale czy jest coś bardziej uroczego jak pagórek?) przestaną się rysować na ekranie nieskończoności i staną się tylko symbolami ograniczenia i końca. Jeszcze nie połączyła się rozmaitość przeżyć i zjawisk w solidne, niezmiennie kompleksy, nazwane, określone, powtarzające się, ogólnie-ontologicznie nudne. „Więc aż tak jest źle. Psia-krew! Jak tu skonstruować siebie w takich warunkach?” — myślał Genezyp, nie rozumiejąc, że właśnie konstruowanie to powinno być uniezależnione od *wszelkich* warunków, powinno być „inwariantem” — ale gadajże tu z takim, co myśli, że cały świat powinien się do niego przystosować, aby jemu jednemu dobrze się działo. Gdyby mógł w tej chwili ocenić tę wartość „bydłęcego” pluralizmu, gdyby mógł być choć chwilę *świadomym* (nieświadomymi pragmatystami są „wszyscy” od wymoczka począwszy) pragmatystą, byłby najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Ale gdzie tam — „*mais où là-bas*”! Z takim charakterem albo ma się to wszystko za cenę głupoty (a cóż jest warte cokolwiek bądź bez możliwości uświadomienia), albo ma się świadomość wszystkiego, za cenę tego,

że bloki takie jak: Nieznane, Szczęście, Miłość, nawet (!) Orgazm Najwyższej Rozkoszy, rozpadają się w próchno i proch nudy, a nad nimi pasożyty-pojęcia, jak widma z ich rozpadu powstałe, zaczynają się unosić w kraj metafizyki i żerować na Wiecznej Tajemnicy, wtedy, kiedy już, skutek tego właśnie, przestała ona być żywotną i nie ma siły, aby wcielić się w najdrobniejsze kąski życia, z których składa się codzienny dzień. Jedynie myśl czysta od początku... Ale dla niej poświęcić trzeba krwistość i soczystość życia i różne drobne przyjemności, wiodące i tak zresztą do znieczulenia i zamarcia w jakiejś przywartej do gęby masce, takiego, a nie innego określonego człowieka, który czasem z tym zagnębnym istotnym nic wspólnego nie ma. „Tylko rozumowo, na większych okresach upłyniętych zdarzeń, widzimy, my, przeciętni ludzie, i to rzadko, sens samego faktu istnienia, poza udaniem się, lub nieudaniem się życia, poza spełnieniem lub niespełnieniem zadań zdobywania potęgi i władania — wszystko jedno nad czym. Do tego pojmowania konieczności swego przeznaczenia i przewyciężenia w życiu (nie w sztuce) przypadkowości pozornej przebiegu zdarzeń, zdolne są tylko największe duchy”. Gdzie tam było Zypciowi do takich.

Jakże dziwnie przedstawiła mu się w świetle tych myśli niezrozumiała nigdy do głębi egzystencja ojca. Ten miał to właśnie: to poczucie swojej konieczności — ale skąd? Nie na piwie opierał je przecie. Tajemnicę uniół do grobu. Już nigdy nie spyta go o to Zypcio, jak przyjaciela. Po prostu był megalosplanchikiem i kwita — nie potrzebował żadnych sankcji spoza siebie dla tężyzny swego mózgu i ciała. Po prostu *był* — o takich się nie pisze — można ich *opisać z boku* co najwyżej, tak, jak to robią niektórzy. Poczul go Zypcio po raz pierwszy w sobie nie jako możliwego niedosłego przyjaciela z dni ostatnich, tylko jako najbliższego krewnego z ducha i ciała, a tak obcego i dziwnego, jakim tylko dla kogoś niepospolitego może być całkiem zwykły człowiek. Ujrzał go wyraźnie jak żywego, a jednocześnie zapelzła z boku matka, z niemym błaganiem zakrywając dawną swą umęczoną niedosytem życia twarzą wąsaty, ojcowski pysk mądrego, udanego człowieka, tego chamo-pana z ubiegłych już czasów, typ ginący. I teraz dopiero przyszło na myśl Zypciowi, że matka zmieniła się w ostatnich czasach zupełnie. Widział to już dawno, nie widząc jednocześnie. Zanalizował tę zmianę szybko na pamięciowym obrazie i coś mu mignęło niejasno: Michalski... Ale zaraz niesformułowana myśl rozplynęła się w aktualnym problemie: jak zużytkować dwoistość w celu ujednolicenia: zadanie postawione mu w pewnej rozmówce przez Scampiego. Nic nie dało się na ten temat wymyślić. Rozedrgana słońcem sosnowa ludzimierska puszcza z płatami matowo-metalicznie błyszczących śniegów, na których drzewa rysowały ciepło-niebieskie cienie, zdawała się być jedyną prawdą. Na tym tle czegoś doskonałego, zamkniętego samego w sobie w piękności bez skazy, potworna, nie dająca się niczym rozplątać płatanina ludzkich sprzeczności była czymś tak wstrętnym, jak hurma papierów na górskim szczycie lub kupa ekskrementów na dywanie skromnego nawet saloniku. Tam, za tym lasem, w duchowo mrocznej, a materialnie świetlistej otchłani rzeczywistości, za górami, przeglądającymi mleczno-rudym blaskiem spoza miedzianych pni sosen, i dalej, dalej, aż za nieznanym południem i zrębem biednej ziemi, kryła się, skondensowana w beczasowej pigule, przyszłość. Tylko w tym locie w czaso-przestrzenną dal zdawał się być ukrytym sens wszystkiego — w samym locie, a nie w spotkanych zjawiskach. Och — żeby można myśleć tak zawsze! Myśleć — to mało — czuć. Ale na to trzeba być silnym, świadomie silnym, albo być zdrowym bydlęciem jak ojciec — chcieć się żyć naprawdę — a nie wmawiać to w siebie, przez gęstwę zwątpień, wahań, niepokoju — „Dajcie mi cel — a będę wielkim” — ha — tu jest właśnie kółeczko bez wyjścia. Spontaniczna wielkość stwarza sobie cel sama. „Najgorszą rzeczą jest nie świństwo, tylko słabość” — szepnął Genezyp w zachwycie nagłym nad światem. Wstrętne słowo: „tęsknota”, zdawało się jedynie wyrażać to, co czuł. Było to środkowe kółeczko w dawnym systemie pojęć: jaźń, otoczona mgłą metafizycznej tęsknoty. („Kobieta może tęsknić w sposób piękny — mężczyzna jest w tym głupi i godzien pogardy”). Jak spełnić to wszystko, gdy z punktu drogę zawałał taki potwór jak księżna Irina (już samo imię miało coś z uryny, irygacji i jakiegoś rżnięcia flaków czymś nieskończenie ostrym, połączonego z rykiem bólu — każde imię, w zależności od osób można tak, i to w różny sposób, interpretować) i takie niecne, plugawie aż do psychicznego szpiku, okrutne rozkosze? Muzyka Tengiera była tam, za górami, za wszystkim, poza czasem. Ale w tym nie było rzeczywistości, chociaż korzeń tej sztuki tkwił nawet w chudej

nóżce i grzybowym zapachu jej twórcy. Pierwszy raz odczuł Genezyp (zupełnie fałszywie, jak wielu durniów) „złudę sztuki” i jednocześnie (słusznie) absolutną, pozaczasową jej wartość, mimo znikomości samych dzieł, objętych przez „*principe de la contingence*”. Bezsilnymi palcami muzyka gładzi i pieści lubieżnie to coś pierwotnego, tę jednolitą miążgę wszechistnienia, w którą wdarcie się zębami i pazurami aż do krwi i szpiku niszczy jej istotę, zostawiając w niesytych nigdy szponach zgniłe, zeschłe, zmurszałe odpadki pojęć, a nie żywe życie. Coś podobnego było i z miłością Zypcia do księżnej. Cóż z tego, że tłamsił w swych młodzieńczych łapkach tego lubieżnego, wszechwiedzącego pół-trupa, cóż z tego, że nawet czasem kochał ją, w pewien sposób, jako tę pseudo-mamę z innych światów! Czyż wszystko, co weźmie w ręce, będzie właśnie takim, jak niedosiężność płciowej rozkoszy, znana jeszcze z onanistycznych czasów? Księżna stała mu się symbolem niezgębnialności życia i ostatecznie z rozpaczą głuchą w sercu szedł na tę dzisiejszą schadzki. Na tle tych stanów i myśli, przebrawszy się u lokaja Jegora (który, od czasu ogłoszenia testamentu starego Kapena, traktował go, mimo grubych napiwków, z pewnym pogardliwym współczuciem) wszedł do salonu Ticonderogów naprawdę z miną zblazowanego „pana”. Księżnę potraktował z wyższością i nie zwracał uwagi na ironiczne docinki Scampiego, który, powiadomiony o planach mamy, obserwował go z zainteresowaniem, jak owada wbitego żywcem na szpilkę. Oczywiście był tu też Tengier, ale tym razem z żoną i dziećmi, dalej książ Bazyli w fraku i Afanasol Benz w smokingu. Dla wszystkich słodka i uprzejma, Zypcia traktowała księżna gorzej niż „dziurę w eterze” — nie istniał dla niej, nie mógł spotkać i uchwycić dalekiego i obojętnego jej wzroku. Jak na złość była niewiarogodnie piękna. Sam Belzebub zdawało się ubrać ją na ten wieczór, pomagając Zuzi, we wszystkie swoje najwspanialsze klejnoty uroków, w zamian za obietnicę popełnienia czegoś naprawdę demonicznego. Dawno już się to nie zdarzyło. Po prostu doprowadzała do rozpacz i to nie tylko jego, ale wszystkich. Była jak te cudownie piękne dni zamierającej jesieni, w których świat zdaje się konać z dzikiej autoerotycznej miłości, wydając ostatnie fale energii gasnącego życia. Miała jeden z tych dni swoich, o których mówiła, że „nogi łączą się z twarzą i tamtym wszystkim w jedną niepojętą syntezę erotycznego uroku, w jeden taran, rozwalający mózgi przemądrzałych i silnych samców, na zaświntoną, rozkładającą się galaretkę bolesnej płciowości”. Beznadziejność nawet najbardziej udanego życia i niezwykłość kobiecego piękna stała się dla wszystkich namacalną w najbardziej nieprzyzwoity i upakarzający sposób. Po chwili przyszedł kuzyn Toldzio i nie wiadomo czemu stał się zaraz od progu główną figurą w salonie. Afanasol, pierwszy raz tu przez Bazylego wprowadzony, starał się, przy pomocy znaczków (bo cóż miał innego?), wywyższyć ponad przewyższającą go sytuację. „Znaczkę sobie, a arystokracja sobie, psia-kość”, mówił w nim jakiś ironiczny głos i fakt żydowskiego pochodzenia Benzów (był praprawnikiem jakiegoś pachciarza, czy czegoś podobnego) zdawał się być czymś nieściśliwym, nawet wobec aktualnej tajemniczości Kocmołuchowicza (nieodgadniony człowiek u władcy zawsze jest mimowolnym pocieszycielem wszelakich malkontentów) i przewalającego się przez Rosję żywego, żółtego muru. W ogóle Benz z upragnieniem oczekiwał nadejścia komunizmu, a z nim otrzymania katedry, której pozbawiło go niepotrzebne zamieszanie się w agitację na rzecz najniższych warstw, czujących się w obecnej Polsce wprost świetnie. Wciągnęły go do tej roboty osobniki bez sumienia, chcące wyzyskać jego znaczkomanie w celu „zlogizowania” marksizmu. Próba ta zrobiła kompletne *fiasco*. (*A propos*: co to jest „*fiasco*”?). Speszony był straszliwie, bo księżna, przerywając mu jadłowitą i piekielnie zresztą interesującą krytykę teorii Wittgensteina, zaczęła głośno mówić o polityce, starając się w ten sposób przygotować jakie takie tło dla zgnębienia swego młodocianego kochanka. Głos jej rozlegał się tryumfalnie, z niedosiężnej jakby wyżyny, budząc groźne echa płciowej irytacji w bebechach rozdrażnionych samców. Genezyp uczył się przygniecionym i duchowo gnuśnym, a poufałości Toldzia w stosunku do jego kochanki, której ośmielał się nawet przerywać rzecz jej z typowo emeszetową bezczelnością, zaczynały budzić w nim nieznaną dotąd, płciową złość. Miał wrażenie, że za chwilę dostanie ataku płciowej furii i zrobi jakiś potworny płciowy skandal. Ale jak zamagnetyzowany trwał w nieruchomym, pełnym wewnętrznych gadzinowych drgawek zgnębieniu, kondensując się w splotach wściekłości, jak balon napełniany gazem. Każde jej słowo kąsało go w zupełnie nieprzystojny i nieobyczajny sposób — narządy płciowe zdawały się *bezsilną* raną w zwiotczalym, rozluźnionym ciele. A głosu zabrać nie mógł,

bo nic do powiedzenia nie miał. Nie poznawał siebie — i ta dziwna lekkość... Ciało nie miało wagi i zdawało się, że w następnej sekundzie nieznana siła zrobi z nim, co zechce, wbrew jego woli i świadomości, które to istności, odcięte od motorycznych centrów, trwały gdzieś obok (może w sferze Czystego Ducha?) jakby na urągowisko temu, co się działo w cielesnych gąszczach. Przeraził się: „przecież mogę zrobić diabli wiedzą co i to nie będę ja, a będę za to odpowiadał. O — życie jest straszne, straszne” — ta myśl i ten strach przed własną nieobliczalnością uspokoiły go na czas krótki. Ale chwila rozmyślań w lesie zdawała się należeć do zupełnie innego człowieka. Nie wierzył, że księżna kiedykolwiek była jego płciową własnością. Otaczał ją mur zimny niezwykłego uroku. Poznał własną nicość i niewolę, w którą zabrnął. Był psem na łańcuchu, samotną małpą w klatce, więźniem, nad którym się znęcano.

— ...bo ja rozumiem, żeby Kocmołuchowicz — mówiła księżna swobodnie, krytykując, z tą właściwą sobie pełną potęgą lekkością, najbardziej tajemniczego człowieka w kraju, a może i na świecie — stworzywszy z armii bezwolną maszynę, starał się wyrzucić wpływ na kwestię połączenia się z naszymi białogwardyjcami. Albo, jeśli to jest już absolutnie niemożliwe, żeby dążył do racjonalnego ustosunkowania się handlowego na Zachodzie. Przemysł nasz dusi się z powodu braku eksportu, czy czegoś podobnego — ja się na tym nie znam, ale coś czuję w każdym razie. Od pewnego czasu komplikacja ekonomiczna przerosła siły indywidualnego mózgu w ten sposób, że w ogóle nawet najzdolniejszy byznesmen nic pojedynczo do gadania tu nie ma. Ale te nasze gospodarcze rady, którymi daje się powodować, czy jak tam, ten sfinks w masce, doprowadzają mnie do rozpacz. Nie ma u nas fachowców w niczym — (tu spojrzęła na Zypcia z taką pogardą, że ten przybladł z lekka) — nawet w miłości — dodała bezczelnie, po krótkiej pauzie. Odezwały się pojedyncze śmiechy. — Proszę się nie śmiać: mówię poważnie. To parcie do izolacji na wszystkich frontach jest obecnie szaleństwem. Chyba że wszystko to, co się dzieje jawnie, jest błagą, ochraniającą takie stosunki ekonomiczne, jakich nawet taki geniusz kompromisu, jak Smolopaluchowski nie jest w stanie zrozumieć. Tak twierdzi mój syn Maciej. Nikt dosłownie nie pojmuje, na czym polega dobrobyt naszego kraju. Mówię o tajnych kapitałach, które nieznacznie podpuszcza tajny również syndykat, będący na usługach komunistycznych państw zachodnich. Ale w taką fantazję nawet w naszych czasach uwierzyć trudno. A mogąc mieć władzę — tu podniosła głos do tonu zaiste profetycznego — i nie chcieć z tego otwarcie skorzystać jest zbrodnią! Ale cóż robić z takimi kryptoflakami, jakimi są nasi mężowie stanu — trzeba być też kryptotyranem albo dostać furii. Może to jest jego tragedią — dodała ciszej. — Nie znałam go nigdy — bał się mnie i uciekał. Bał się, że mogę mu dać siłę, której sam nie wytrzyma. Zrozumcie to — „zakrzyknęła” sybilińskim tonem. Wszyscy poczuli, że może to być prawdą i zakręciło się im w płciowych ośrodkach.

Informacja: Kocmołuchowicz pękłby ze śmiechu, gdyby to słyszał. A może, a nuż naprawdę bronił się przed zbyt wysokim przeznaczeniem? Nikt nic wiedzieć nie może, póki nie spróbuje. Pewne zetknięcia ludzi dają straszliwe, nieznane przedtem „hocheksplozywy”. Ona, księżna Ticonderoga, na tyle demokratyzniała, że chciała być egerią byłego stajennego chłopca, a ten bałwan nie chciał — „Muratowska” kariera — mógłby się nawet królem ogłosić, gdyby ją miał przy swoim boku — czy „pod sobą” jak konia, jak on tam się o swoich kobietach wyrażał. (A było ich dwie — ale o tym później). A tu nic. Nie mogąc zablysnąć w jego promieniach, spotęgowałszy je do oślepiającej siły, wołała zupełną polityczną abstynencję, niż zniżanie się do typów „niższej sorty”.

Mówiła dalej: — Przypomina mi to naszych eserów w rewolucji 1917 roku. Nikt u nas się niczego nie uczy i uczyć nie chce. I u was też. Istotny brak wiary w siebie naszych emigrantów i pokolenia, które wychowali, był przyczyną tego, że kiedy nareszcie ich ludzie z niższych warstw, nie oni sami, opanowali Rosję, nikt prawie z nich nie chciał ruszyć się tam na pomoc, aby objąć ważne posterunki. Brak odwagi u naszej inteligencji zabija wszystkie zaczątki odrodzenia — odwagi czynnej — mamy ją tylko w wyrzeczeniu się i obnoszeniu naszych ran przed innymi. — (Książ Bazyli poruszył się niespokojnie, chcąc coś odpowiedzieć). — Nie trudź się, BAZIL — wiem, co powiesz. Twój neo-pseu-

do-katolicyzm i ogólne-ludzkie ideały w formie mdłej, nietwórczej dobroci, są tylko zamaskowanym tchórzostwem. Tak zwany „szkurny wopros”. Wolisz być leśnikiem u mnie, niż zaryzykować swoją nadwiędniętą „oblóczkę”. „*Des hommes d'état, des hommes d'état — voulez vous que j'en fasse*” — mówił na ostatnim posiedzeniu rady wojennej generał Trepanow, trawestując powiedzenie Napoleona o rezerwach pod Borodinem...

— *Des balivernes, ma chérie* — przerwał książ Bazyli. — Czasy minęły — czasy tego rodzaju społecznej twórczości. Tylko zmiana dusz ludzkich od samego spodu stworzy nową atmosferę, w której powstaną nowe wartości...

— Frazesy. Nikt z was nie jest w stanie powiedzieć, jakie to będą wartości. Gołosłowne obietnice. Pierwsi chrześcijanie tak myśleli i co z tego wyszło: wyprawy krzyżowe, inkwizycja, Borgiowie i dzisiejszy twój katolicki modernizm. — Nieistotne końcowe stany waszych dekadencjonalnych osobowości bierzecie za objawy rodzącej się wspaniałej, cha, cha, przyszłości. O, teraz złapałam nareszcie istotę tego piekielnego szantażu, czy czegoś takiego, dzisiejszych optymistów. Koniec z początkiem łatwo pomieszać — nie takich łbów jak wasze trzeba, aby zobaczyć tę różnicę. Tylko my, kobiety, widzimy jasno to wszystko, bo nas nic to nie obchodzi. My będziemy trwać wiecznie te same, niezmiennie w swej istocie, gdy wy dawno w trutniów się pozamieniacie. Tylko nudno będzie wtedy na tym świecie — nie będzie kogo nabierać. Maszynka okłamać się nie da. Chyba że opanujemy świat władzy i wtedy chować będziemy sobie, to jest jakie dwadzieścia procent z nas, trochę pseudo-artystów i donżuanów dla zabawy. Czasy minęły, powiadasz, święty Bazyli, autokoprofagito? Gdyby wszyscy tak myśleli, nie byłoby ludzkiej kultury. Czasy tworzą jeszcze ludzi i tylko ludzie-jednostki. A jak te czasy przejdą, my się zabierzemy do ludzkości i wtedy...

— Nie, księżno — przerwał nadmiernie głośno Afanasol Benz, zdobywając się na odwagę. — To, co pani powiedziała przed chwilą, da się zastosować do pani własnej koncepcji. Baby zawsze panoszyły się w okresach dekadencji wielkich idei. Ale początki tworzyliśmy zawsze my. Wy na wielką skalę umiecie żyć tylko rozkładającym się ściernem i wtedy przewyciężacie wasze niewolnicze instynkty...

— *Tiens, tiens* — bąknęła Irina Wsiewołodowna, patrząc (jak dawniej wszystkie przeciw arystokratki) przez *face-à-main* na podnieconego logistyka.

— A tak — walił Benz, wściekły z zawiści, upokorzenia i płciowych nienasyczeń. (Po co się irytował biedaczek, „tracąc wysokość” w istotnych sferach?). — Dziś za słowo „indywiduum” musimy podstawić w ogólnym równaniu ludzkości pojęcie „masa” i pomnożyć w dodatku przez nieokreślony współczynnik. — (Mówiąc to, czuł jednocześnie całą swoją wyższość i całą niższość — sprzeczność ta była nieznośna). — Tylko od masy jako takiej możemy, na zasadzie wielkich liczb, oczekiwać nowych wartości. Tylko ona jedna była w stanie zwyciężyć „dziki”, niezorganizowany, trawiący ludzkość, jak przerosły jej miarę nowotwór, kapitał i zwyciężyła go faktycznie. Ona wytworzy nowy typ regulatorów gospodarczego życia, a nie jakieś pseudofaszystowskie zgromadzenia bezpłciowych, bezklasowych specjalistów. A zresztą czyż nie wszystko jedno jak — koniec jednak: śmierć za życia w zupełnej pustce ducha...

KSIEŻNA: Bzdura. Pana głównie to gniewa, że nie jest pan na szczytach tej pańskiej masy. Tam czułby się pan świetnie. Stąd ta cała malkontencja. Pan Lenin był nie gorszym władcą od swego poprzednika — jako możliwość oczywiście — tylko był zdolnym, jakkolwiek omamionym i omamiającym człowiekiem...

BENZ: Był wykładnikiem masy: operował pojęciami tworzącymi rzeczywistość, a nie fikcjami, które się nareszcie przeżyły — tylko nie tu, w tej zatęchłej norze, w tej pepinierze miernoty...

KSIEŻNA: Teraz przeżywa się ta jego fikcja na zachodzie. Tylko spóźnieni w ewolucji Chińczycy poddali się jej na naszą zgubę. Ja nie mam zresztą ochoty na „*pryncypialny rozgovor*” — mnie chodzi o obecną sytuację. Cały ten niby-wszechświatowy bolszewizm obecny jest balonikiem, który pękłby, gdyby znaleźli się odpowiedni ludzie. Ale może trwać przez inercję wieki całe...

BENZ: Widocznie ludzie tacy już się nie rodzą, *chère princesse*. Nie mają atmosfery koniecznej ani dla ich powstania, ani dla rozwoju...

KSIEŻNA: Proszę bez poufałości, mister Benz. Jeśli u nas jeden Kocmołuchowicz mógł z armii zrobić bezwolne narzędzie w rękach Syndykatu Zbawienia Narodowego, jeśli my

wreszcie udowodniliśmy, że możemy zupełnie dobrze zastąpić wszelkie wywrotowe idee przez odpowiednio zorganizowaną pracę i dobrobyt mas, — co się nie udało nawet Włochom — i to przy pomocy takich fujar, jak mój mąż, Cyferblatowicz i Jacek Boroeder — (Prawie wszyscy zbledli. Odwaga księżnej w wymienianiu najpiekniejszych nazwisk w kraju była znana — a jednak zawsze robiła wrażenie) — to dowodzi, co za hołota są dziś ci byli ludzie tamtych krajów. Ja rozumiem Australczyków, bo to była banda od samego początku — potomkowie zbrodniarzy. Ale to nie dowód. Trzeba tylko ludzi z odwagą — rozumu mają dosyć.

BENZ: Ale skąd ich wziąć?

KSIEŻNA: Należy wychowywać. Oto tu mamy okazy tych ludzi przyszłości. Oto ten biedny Zypcio, któremu u samego „wchodu” w życie odebrano wszelkie możliwości. Ja się nim zajęłam, ale to nie wystarczy. — (Genezyp zacerwienił się straszliwie i krótkotrwanie acz głęboko obraził się za ojca, ale milczał. Upokarzający bezwład rozprzestrzenił się w nim, obejmując już nawet centra honoru i męskiej ambicji. A ten parszywy Tol-dzio aż zawracał oczami w zachwycie nad systemem księżnej w gnębieniu „logistycznego Żydka”. W tej chwili poczuł Zypcio taką wściekłość, że to on, ten kuzynowaty elegancik, nauczył go onanizmu, pozbawiając „takich” ilości męskiej siły, że zarznąłby z rozkoszą tego bydłaczkowatego przyjemniaczka. Pienił się wprost — niestety tylko do wewnątrz. Widzialnie przedstawiał się jako jedna masa płynnego prawie niedołęstwa, o bezden- nie smutnych przepięknych, zmaconych bezwładem oczach. W obcym świecie pospolitej klęski trwał jak żywa obraza własnych swoich niedawnych marzeń. Gdzież była dziwność? A do cholery z wszelką dziwnością! Tryumf złych potęg trzeciej klasy na pospolito. Była jedna rada: plunąć i wyjść. Można było zresztą nawet nie pluć. Ale na to (to znaczy: na wyjście) nie miał siły. Nieznacznie zabrnął w pułapkę bez zbroi i miecza — rdzewiały gdzieś w dziecinnej rupieciarni, dziecinne zabawki. Na tle tego stanu i kwestii, poruszonych przez księżnę, o których nie miał pojęcia (nie wiedział, że ona sama niewiele więcej znała się na tym wszystkim od niego — [ale kto znał się? Kto!]) resztki rozmyślań leśnych znikły jak nikły duszek i piekielna [ale naprawdę] niecierpliwa, młodociana, nie znająca dotąd przeszkód, żądza chwyciła go jak flaka w swoje rozpalone kleszcze. Musi w tej chwili, bo inaczej nie wiadomo co się stanie. A tu nic. Rozmowa trwała dalej jak koszmar wymyślony przez diabła w chwili specjalnego natchnienia).

— Ale kto ich wychowa — z uporem isticie logistycznym wtrącił znowu Benz.

KSIEŻNA: My, kobiety! Jeszcze pora. Ja zmarnowałam moje życie na miłostki. Dosyć tego.

BENZ: Tak, rzeczywiście...

KSIEŻNA: Nie przerywać! Jeszcze czas. Zaniedbałam moich synów na korzyść tych durniów, których mi fatalny los zsyłał na kochanków. Tych też w porę nie wychowałam. Ale jeszcze pokażę. Dosyć tego, mówię! Założę olbrzymią instytucję, w której będziemy rządzić my, baby — i wychowamy nowe pokolenie — chociażbym miała nawet zostać kochanką Kocmołuchowicza, do którego manier wstręt mam jak do karaluchów. Nie znacie mnie jeszcze, skurczywoły! — (Nie wiedziała biedna, że i na nią szła gdzieś od malajskich dżungli złowroga fala nieodpartej nauki Murti Binga, wierzyła jeszcze w niezwykły dotąd urok swoich cielesnych utensylii). — Genezyp zmartwiał z przerażenia. Czyżby to miało być obietnicą rozstania? A może weźmie go ten potwór na wychowanie, przestając oddawać się mu? (mu!) To byłoby wprost straszne! A czuł nieszczęśnik taki brak woli, że naprawdę wydało mu się to możliwe. Weźmie go i co jej zrobi? Nastąpiło tak zwane „duchowe wyrwanie genitalii”. Otworzyła się rana, zrobiona z łaskocącej mgły — przez nią, razem z sokami przesączonymi przez zbaraniały mózg, spłynął duch do cielesnych więzień, do wewnętrznych komór torturowych. „Zblazowany pan” uleciał z niego, z początku rozgrzany do białości, a potem zmieniony w śmierdzący gaz niesamowitą temperaturą płciowej rozpacz, i został tylko biedny, umęczony blanbek w stanie koloidalnym. Stęzał w klubowym fotelu, zmieniony cały w jeden olbrzymi, spragniony a naiwny lyngam i czekał, czekał, czekał... Może się co odmieni, bo to, co się działo, nie mogło być prawdą. Głowa zdawała się być mała jak główka od szpilki, a o reszcie ciała nawet mówić nie warto — było tylko to jedno. [Jeden z kompartymentów piekła na pewno jest beznadziejną poczekalnią, w której czeka się wieczność całą, z ciągłą nadzieją i pewnością zawodu jednocześnie]. Na cóż tu zda się odwaga i wszystkie niedawne

myśli i daleki horyzont w życiu, wobec tego przekłętego babskiego ścierwa, które kłamie każdym słowem i zna każde drgnięcie ciała któregośkolwiek z przeciwnej sobie partii samców? Trwał w męce, opuszczony przez wszystko. To taka była ta jej „matczyna” miłość! To w ten sposób chciała go wychować na „kogoś”, męcząc i upokarzając, jak Król Duch swój piekielny naród! Ale on nie był zdolnym do przekręcenia tego na pozytywną stronę, do stworzenia nowej siły z cierpienia — nie miał na to odpowiedniej maszyny. Był zaskoczony plugawym nieszczęściem znienacka, „w rozpłoch”. Poddawał się rozkładającym myślom, znajdując w tym smaganiu i bezczeszczeniu siebie, w poczuciu własnej nicości i bezsilności, jakąś ohydłą przyjemność — tak, jak wtedy z Toldziem, w parku ludzimińskiego kurhauzu, w dzieciństwie. — Jeszcze my — krzychała dalej Irina Wsiewołodowna — my, baby, mamy zdrowy instynkt życia. Bo dla nas życie, to bez mężczyzn, których mogłybyśmy podziwiać, jest męką i wstydem. Czyż jest coś gorszego dla kobiety jak pogardzać ukochanym, a choćby pożądanym przez nią mężczyzną, nie czując jego wyższości nad sobą? — [Słowa te padły jak kamień w bagno. Coś chlupnęło w złaczonych, indywidualnych psychicznych bagienkach obecnych. Jednak była w tym prawda: mężczyźni spsili — one nie. Można by na to przytoczyć różne okoliczności łągodzące. Ale cóż to pomoże i czymże to będzie dla nich, dla bab. Powody są obojętne wobec nieodwracalnego faktu. Cisza. Książ Bazyli siedział zmartwiały, z wzrokiem zwróconym do wewnątrz. Jego cała sztucznie zbudowana wiara chwiała się nad bezdnią najgorszych wątpliwności. Ta „biedna zabłąkana dusza”, jak ją *starał się nazywać*, umiała mu zawsze wbić kiel w najboleśniejsze miejsce. Życie było jeszcze żywe i taką była wiara sama w siebie, mimo sztuczności — brakowało żywego połączenia — wszystko trzymało się na zardzewiałym haczyku, który codziennie trzeba było czyścić i naprawiać. Nie wiadomo czemu Benz czuł, że znaczki razem z sercem ma „w spodniach” — (*the heart in the breeches*) — księżna zaczynała mu się wściekle, na zimno, beznadziejnie, rozpaczliwie podobać. Ach — być choć chwilę kimś *takim!* Co za piekielnych rzeczy można by wtedy dokonać, choćby w logistyce — ot tak sobie, od niechcenia — jak Cantor na marginesie jakiejś książki. Być „blyszczącym” (*bliestszczym*) dyletantem, a nie tym specjalistą w źle uszytych garniturach i wykrzywionych butach. Toldzio wił się niespokojnie, najwyraźniej rozdrażniony płciowo do maksymalnych natężeń. Tengier, skręcony w bezsilnej pasji przeciw wszystkiemu, spoglądał z rozpaczą na żonę, której nienawidził w tej chwili do obłądu. Nienawidził i tamtej „głatwy” — jak ją nazywał — ale inaczej. Była dla niego czymś *już* niedościgłym, a jednocześnie czymś „grubo” poniżej jego erotycznego „standardu”. Znowu przypomniał mu się genialny wiersz Słonimskiego:

„czymże jest, o naturo, twych pocieszeń mowa,
Wobec żąd, które budzisz twym mrocznym obszarem”.

Sytuacja była bez wyjścia — mógł ją rozwiązać jedynie w jakiejś szatańskiej improwizacji, w której wywyższyłby się ponad bagno wstrętne w sobie i poza sobą. Czekał sposobności, by zacząć. Ale rozmowa trwała dalej, męcząca, jałowa i nudna].

BENZ: Proszę „pani księżnej” — kraj nasz moim zdaniem nie mógł nigdy sobie pozwolić na samodzielną politykę wewnętrzną. Z położenia swego i z natury swoich obywateli musiał być w niej funkcją układów zewnętrznych. Systematyczne zaprzeczanie samo w sobie doprowadziło kraj ten do upadku, do tego cofnięcia się w duchowej kulturze, której nie zastąpi żaden dobrobyt. Pełny żołądek sam przez się nie stworzy jeszcze możliwości, tych niesłychanych możliwości, o których lubią mówić płascy optymiści — w gruncie rzeczy leniwczy, którzy by chcieli, aby wszystko działo się ot tak sobie, samo przez się. Nie rozumieją oni, że promieniotwórcze rudy z duszy ludzkiej trzeba wyrywać zębami i pazurami. Idee jeszcze mają wartość.

KSIĘŻNA: Stop. Tylko co mówiłam prawie to samo. Powtarza pan moje słowa w swoim żargonie. A jednak jest w panu za wiele wyrafinowanego Żyda. Irytuje mnie, że nawet mówiąc to samo, identycznie to samo, jesteśmy na przeciwnych diametralnie punktach. Nieuświadomiony, a może i uświadomiony — czort wie — niezgłębione są tajnie duszy semickiej — nacjonalizm żydowski przebija przez wszystkie pańskie ogólnoludzkie ideowości. Ja jestem nacjonalistką ogólną — rozumie pan? — Widzę możliwość rozwoju indywidualności tylko jako funkcję przynależności do pewnego narodu, stanowiącego człon-

ka wielkiej rodziny; pan, na tle niwelacyjnej, antynacjonalistycznej ideologii, jest *au fond* nacjonalistą szczegółowym. — [Benz poczuł się definitywnie dużo mędrszym od tej baby, mimo całe jej księstwo i lekceważące maniery. Postanowił zacząć kpić z niej, nie zdradzając tego zbyt jawnie].

BENZ: Trudno, pani: w arteriach moich płynie krew żydowskich kapłanów i jestem z tego dumny. Dotąd, poza czasami biblijnymi, wydawaliśmy tylko jednostki — co możemy jako naród, jeszcze pokazemy i to właśnie w związku z najwyższym uspołecznieniem, a nie na tle pseudo-idei w rodzaju pani nacjonalizmu, który jest tylko zamaskowaną chęcią ocalenia się i najordynarniejszego użycia resztek istnienia przez klasy, które się przeżyły i przestały być twórczymi. My będziemy wszechświatową oliwą w trybach i transmisjach wielkiej maszyny, przerabiającej ludzkość na inną istotność, organizm wyższego typu, nad-organizm. Już nawet tym jesteśmy — byliśmy za ostatniej wszechświatowej rewolucji. To jest nasza misja — dlatego jesteśmy narodem wybranym. Ale działalność naszą ocenią goje za lat 1000 dopiero. A tymczasem: Cantor, Einstein, Minkowski, Bergson, Husserl, Trocki i Zinowiew — to wystarczy. I Marx, jako ten, który nas na tę prawdziwą drogę wybraności wprowadził.

KSIEŻNA: I pan, pan przede wszystkim. Cha, cha! Ach, daj pan pokój, panie Benz. Pan wymawiający jednym tchem nazwisko Bergsona — największego błagiera, jedyne dotąd w historii filozofii, i Husserla, prawdziwie genialnego obłąkańca, którego błędy stokroć więcej są warte od słuszności bezpłodnych pseudo-skromnisiów, bojących się introspekcji w psychologii, czy też przyznania się, że są w ogóle, jeśli chodzi o znaczki w logistyce. — [„A jednak to bydlę nie jest wcale tak głupie, jak myślałem”, z rozpaczą pomyślał Benz. „Z taką kobietą żyjąc stworzyć jedyny *inamovable* system, o który każdy łeb by sobie rozbić musiał!” Zmarnowane życie, na projekcji mieniającego się wszystkimi barwami, przepojonego intelektem romansu z księżną, przemknęło jak brudna ścierka, szarpana jesiennym, ponurym wichrem banalnego, nieciekawego zwątpienia]. — Mnie o co innego chodzi i czego innego żałuję, niż pan w tej chwili. — Zapatrzyła się wieszczym wzrokiem aż w samo ginące w mroku historii jądro przeznaczeń wszystkich narodów świata. — Oto jak widzę wasz polski katolicki gotyk — ach, żeby mógł być gotyk prawosławny — to byłby cud — to zimno mi się robi ze wstydu. Tu powinny stać w tym kraju bizantyjskie chramy, złociste, kopulaste, ciemne w swej zaprzałości i bogorabstwie — w nich byłaby wasza polska siła — związek ze Wschodem — a nie w tych wszystkich zachodnich faramuszkach, do których przez 10 wieków przyzwyczać się nie mogliście i które zawsze wyglądały jak trzeciorzędna piżama jako koronacyjny strój wodza jakichś dzikusów. Zobaczylibyście wtedy, czym by był wasz naród! Ani zapachu tej obrzydliwej waszej lekkomyślności w nim by nie zostało — tego fałszu, tego ugrzecznienia pozornego wobec samych siebie, maskującego samopogardę i wstyd. Najstraszniejszą pomyłką historii waszej jest to, żeście chrześcijaństwo z Zachodu przyjęli, a nie od nas. A ileśmy też na tym stracili, że, zamiast sprzymierzeńców i kierowników, mamy w was, Polakach, wrogów i to niegodnych — jak i teraz. Jak sobie pomyślę, co to za cudny byłby typ bizantyjskiego polaczyszki, to mi się płakać chce, że to już nigdy nie nastąpi. Ostatni raz mogliście jeszcze wpuścić naszych bolszewików w 1920 roku i w nas się rozpuścić i nas zorganizować, albo i być zorganizowanymi — bez bólu — nie tak jak przez Niemców — i tym odkupić historyczne winy przeszłości. A teraz jeszcze połączyć się z naszymi białogwardyjcami — choć już nie to — za późno. Was zawsze jakaś siła tajemna musiała od nas oddalić w ostatniej chwili.

KNIAŻ BAZYLI: Ta siła to jest instynkt samozachowawczy tego narodu, do którego mam zaszczyt należeć teraz. Niedawno mówił sam głównodowodzący Trepanow: „w *każdym* *ruskom samom* *blagorodnom* *czielawiekie* *jest* *w* *głubinie* *niemnożko* *griazi* *i* *swinstwa*”.

KSIEŻNA: Ach, ty, niedopolski neokatoliku: to nie tylko my, to wszyscy są tacy. Ale to świństwo było kiedyś czymś wielkim, a w naszej przejściowej epoce stało się małym i marnym. — To zanikająca, rozkładająca się osobowość, dla której nawet w literaturze miejsca już nie ma. Ale też w tym świństwie, co jest rudą właściwie, kryje się czasem trochę dawnego złota, które trzeba umieć wydobyć, wypalić i oczyścić. Oczywiście jest tego co najmniej o 80% mniej niż dawniej i inne muszą być metody dobywania: chemiczne raczej niż fizyczne — i tę psycho-chemię posiada jeszcze kilka kobiet na tym świecie. Najprzód rozłożyć na elementy, a potem zsyntetyzować na nowo.

SCAMPI: Szkoda, że mama wcześniej nie zdobyła tej wiedzy — bo to, wiecie, nie jest żadna nowość: przychodzi z wiekiem i znana była w czasach rzymskich....

BENZ: Teraz już na to za późno: nie tylko w Rosji, ale wszędzie. Chińczycy wypalą tę rudę, ale dla innych celów. Na rosyjski naród jest tak samo za późno, jak i na wszystkie narody świata, w tych formach, w których przejawiały się dotąd. Tylko że na Zachodzie przeżyto na ten temat choć resztkę istotnych wartości — tam nic.

KSIĘŻNA: Z wyjątkiem was, oliwo społecznej maszyny całej ludzkości! Ale mnie się zdaje, że na ludzkość w waszym stylu też jest za późno, bo siła jej elementów jest ograniczona. Ta wasza ludzkość trwać nie może, jak nie może być zrobiony pięćsetpiętrowy dom z małych cegiełek. A na społeczny żelazo-beton nie zanoszą się jakoś — ciała wytrzymają jeszcze jakiś czas — mózgi nie. Ciała można zbić w nad-gromadę, ale nad-mózgu nie stworzysz nawet ty, panie Benz, nawet, a właściwie właśnie przy rosnącej specjalizacji. Ledwo zaczęła ludzkość uświadamiać samą siebie jako całość, a już jest zdławiona komplikacją podstaw tego życia, na którym ta świadomość jedynie wyrosnąć mogła.

BENZ: Zupełnie się zgadzam. Ale czy pani myśli, że wasz pseudo-faszyzm zatrzyma tę postępową komplikację? Nie — wszystko musi, rozumie pani: *musi!* biec coraz szybciej i szybciej, bo wytwórczość wzrastać musi. Nie wszystkie rasy wytrzymały to przyspieszenie. Jedynie my, Żydzi, zgnębieni, ale wypoczęci i nakręceni jak sprężyna, jesteśmy przeznaczeni na to, aby być w przyszłości mózgiem i systemem nerwowym tego nad-organizmu, który się tworzy. W nas skondensuje się świadomość i kierownictwo — inni to bezwolne bebechy będą, pracujące w ciemnościach...

KSIĘŻNA: Na waszą chwałę, zamaskowany nacjonalisto. Cała nadzieja w tym, że wy też się wyczerpicie kiedyś, raczej my was zużytkujemy dla naszych celów. — (Powiedziała to nieszczerze, bezsilnie).

BENZ: Słońce kiedyś też zgaśnie... (Nie dokończył tej myśli).

KSIĘŻNA: Wy, logistycy, dziwny jesteście naród. Jak mówicie o czymkolwiek bądź innym, nie o znaczkach, jesteście tak samo nieściśli, względnie ściśli, jak każdy inny człowiek. A nawet pozwalacie sobie na więcej baliwernów, mając w rezerwie sferę logiczną absolutną, w której abstynencja wasza dochodzi do absurdu. A przyparci do muru udajecie skromnisiów, którzy nic nie wiedzą i tym się szczycą. Nie ryzykujecie nic w ten sposób, ale jesteście bezpłodni — ot co.

Benz zaśmiał się z szerokim tryumfem. Rozzłościł jednak trochę tę wielką bądź co bądź damę. Zadowolony był, że zapanował nad tym osiemnastowiecznym salonikiem w zaniku. Dobra psu i mucha. Genezy p starty był na proch, był niczym. Silił się ostatnim wysiłkiem zorganizować swoją rozłażącą się na wstępną maź jaźń, raczej jej ostatni „*souffçon*”. Wymykała mu się i pokornie pełzała pod nogi (wspaniale jeszcze) potencjalnie zdradzającej go kochanki. To wiedział już na pewno mimo całej głupoty. Nie mógł zrozumieć, że dotąd ona go na serio brać mogła. Taka „prawdziwa”, dorosła osoba, mówiąca z takim sensem o czym by tylko nie chciała z prawdziwymi mózgowcami. „I takie stare, przeżyte pudło, taki makak zagwazdrany”, powtarzał sobie w duchu nieszczerze i bez żadnego skutku. Księżna wstała i przepysznym (wprost) ruchem odwaliła w tył masę miedzianych włosów, jakby chciała powiedzieć: „no, dosyć bzdur — teraz zaczynam coś naprawdę”. Tym niezwykłym młodym chodem, który do rozpacz doprowadzał wszystkie jej ofiary, prawie malpjo-lekkim, a tygryσιο-potężnym, z lekka kołochliwym i wabiącym ku rzeczom zdrożnym i okrutnym, przeszła przez salon i stanęła jak posąg wszechpotężnej bogini płciowego piekła przed zamarmelowanym doszczętnie Tengierem. Trąciła go w ramię ruchem lekkim i lekceważącym. Putrycydes drgnął, jakby ukłuty w najczulsze miejsce. Podnosząc się, lypnął niebieskimi, splakany jakby gałami na żonę. Ta kula u jego nogi (tej zeschniętej) i podstawa jego jakiego takiego bytu przeżyła się z nabierającą żądzą zemsty. „Będzie pranie” — pomyślał ukradkiem przed samym sobą. [Na dworze konał marcowy dzień. Liliowe chmury wypełzły zza zachodnich szczytów pędziły teraz śmiało ponad nagimi parkowymi lipami i jaworami. Niepokój wiosny, nieskończenie smutniejszej w tym kraju od najponurszej dolinowej jesieni, wtłaczał się przez zdające się wyginać pod jego ciśnieniem szyby okien, przenikał całe towarzystwo w salonie, piętzące się jak jedna fala dziwnego robactwa ku niezbadanym wyrokom, których spełnienie kryło się w gęstniejącej chińskiej burzy]. Zablęsnął elektryczny żyrandol i twarze mężczyzn ukazały się zmietoszone, wynędzniałe, trupie. Księżna jedna

promieniała wstrętną potęgą płci, puszącej się w jesiennym przepychu, gasząc diabelskim blaskiem swojej urody chamską, młodą piękność pani Tengierowej. Czuli, że jest to moment szczytowy ostatnich jej lat: ryzyko dzisiejszej próby nasycało jej ambicję po same gardło. Rozsamicyła się od środka zupełnie — przypomniały się dawne, dobre, niepowrotne czasy. — No, mistrzu: do instrumentu — szepnęła chwiejącemu się Tengierowi w ucho. Męka tej stęzałej w nienawiści, zestrachanej młodej chłopki podsycala w niej chęć użycia aż do szału. Dzieci wybałuszały przerażone oczy, trzymając się za ręce.

Tengier mimo woli stanął po stronie pogardzanego teraz przez niego Genezypa. Nie zdołał go zgnębić, bo mu go wydarła „ta”, która zgnębiła też i jego — na tle nieodpowiednich warunków życia oczywiście. Ha — gdyby miał pieniądze, pokazałby wtedy... Cała ta wątpliwa wyższość księżnej, mówiącej tak lekko o najtrudniejszych problemach społecznych, wydała mu się wstrętną komedią. Tło tego wszystkiego miał w sobie już dawno w formie nieokreślonej — trzeba było tylko ująć to w słowa i wypowiedzieć. Improwizacje na potem — nie będzie grał wtedy, kiedy mu każą. Nalał zielonego likieru z indyjskich konopi do kielicha od wina i podniósł do swego straszliwego pyska, który zdawał się pękać od naporu ducha, między zlepionymi potem kłakami. —

— Nie teraz — potem. Teraz proszę grać — syknęła dawnym rozkazującym tonem. Ale dziś ton ten, mimo „dobrego dnia”, nie działał. Odrzucił ją brutalnie, rozlewając lepki płyn na frak swój i dywan.

— Mógbyś ta uważować, Putryc, i nie chlać tak jak jaki kuń — krzyknęła nagle nieswoim głosem przez cienką rurkę Maryna z Murzasichlańskich.

— Właśnie że teraz będę mówił. — Dopełnił kielicha, hyknął cały jednym haustem i zaczął nagle dużą, programową mowę. — Cała ta wasza polityka to jest farsa. Jeden Kocmołuchowicz coś jest wart, o ile pokaże, co umie — dorzucił stereotypowy frazes wszystkich mieszkańców tego kraju: od suterena do wydywanionych pałaców. — Jest farsą jeszcze od czasów rewolucji francuskiej, która na nieszczęście do nas nie dotarła. Były tam próby, ale co to. Wtedy był czas jeszcze stanąć na czele ludzkości i my bylibyśmy to potrafili, gdybyśmy zaczęli się rżnąć porządnie wtedy, gdyby był człowiek, który by miał odwagę to zacząć i to na wielką skalę. Refleksem tych niedorobionych rzeczy były mesjaniczne brednie — wtedy trzeba było być Mesjaszem wyższej marki niż Francja. Nie stało się, psia-mać ich zatracona, przez tych fagasów-szlachciców. Czy jest coś straszniejszego jak szlachta polska! I to tyle tego plugastwa — ach! Wolę już Żydów po stokroć i wolałbym żeby ta Polska żydowska nawet była, niż taka ślarchicka.

— Brawo Tengier — krzyknął Benz.

— Otóż jeszcze kongres wiedeński był pośmiertnym dziełem zniekształconej polityki wielkich panów. Od Rewolucji Francuskiej trwa aż po nasze czasy marne demokratyczne kłamstwo. Ono to było tą macicą, z której wylał się dziki, nowotworowy, niezorganizowany kapitał. O mało nie pożarła ludzkości ta mątwą. A dziś jedyną jego ostoją jest nasz kraj, za cenę tego, że nie poszliśmy przeciw tym tam, tak zwanym katom z Północy. To też, mówią, było zasługą Kocmołuchowicza, choć był kapitanem wtedy i sam bił się z bolszewikami. — Ale odpokutuje ją — nie bójcie się — ja to przeczuwam wyraźnie. Będzie on jeszcze pięty lizał tym żółtym małpom i brał od nich bambusy. Oby tylko nie było za późno. To, co się dziś robi w bufetach, na dancinгах, w restauracjach, kularach i innych pisuarach, to są tylko małostkowe szalbierstwa nałogowych szachisów i tyle ma to znaczenia dla przyszłości, co te biadkania Księżnej Pani nad niedoruszczoną Polską i niedopolaczoną Rosją. To są te tak zwane „posunięcia”, te „gangi”, te niby-partyjne knucia spryciarzy i spłyciarzy, obżerających się w ostatniej chwili życia, wiedzących, że ich końca godzina bliska. Bo pytam się, w imię czego to się robi? I na to szczerze nie odpowie nikt, bo nie wie. Idea państwowości jako takiej, nawet solidarystyczno-elityczno-zawodowej, nie jest wystarczającą — to środek do czegoś, czego nikt już wykonypować nie może. Impotencja. Trzymanie się ostatnim wysiłkiem spódniczki zamierającej przeszłości, bezideowe, egoistyczne, ohydne.

— Tak — jak nas wyróżną, to będziesz mieć nareszcie powodzenie, Tengierku — zaśmiała się Irina Wsiewołodowna z jadem.

— No, no — — czy nie za wiele poufałości. Gdyby moje symfonie grane były w jakichś parszywych salonach, wypełnionych nic nie rozumiejącą holotą wyjących psów, inaczej by pani ze mną gadała. Ty sama, wyjąca suka, ty, Fimoza Luesówna, ty bassa-

rydo jedna, ty jamochłonne stworzonko, ty ksieni smutnego pierdofonu — — zaklął wreszcie, nie wiedząc już, co powiedzieć.

— I tak trzeba, żeby było. Artysta bez powodzenia jest dziś anachronizmem nie do zniesienia — odpowiedziała księżna z niezmaconym spokojem, zadowolona niezmiernie z wymyślań.

— Ten typ istnieje dlatego, aby pani mogła być mecenasicą tak zwanej „zapoznanej” sztuki — wtrącił się też z pewnym, bynajmniej nie neo-katolickim jadzikiem książę Bazyli.

— Cóż to? Jakiś koncentryczny atak na mnie? — obejrzała się wkoło złowrogo i wzrok jej zatrzymał się na prawie płowej w tym świetle główce jej chłopczyka. Poczuli się trochę osaczoną i litość targnęła jej zmęczone serce. „Ach — żeby oni wiedzieli, ci okrutnicy, ile kosztowała ją każda chwila tryumfu! Pożałowałiby ją i przytulili, zamiast znęcać się tak nad bezbronną”. Przesunęła się jej (w wyobraźni oczywiście) szafa z kosmetykami, które gromadziła, nie śmiejąc ich dotąd używać. Jeszcze chwilka, jeszcze chwilka — a potem straszne dni pustej, jałowej przyszłości (bo to, co mówiła o wychowaniu przyszłych pokoleń, to była czysta błąka), kiedy oddawać się będzie byle komu, doszczętnie już wymalowana, wysztuczona przez jakiegoś Ewarysta, Ananilla czy Asfodela, z którym na dobitkę mówić będzie co rano o życiu, tym strasznym życiu zwiędłej nymfomanki, które ją czekało. To będzie prawdopodobnie jedyny jej przyjaciel, jedyny powiernik, który ją zrozumie. Ale zaraz wspomniła uprzedni demoniczny plan i zakulała się w męczącą maskę pychy i rozpustnej bez troski. [Już ponurzały znowu zwierzęce, mimo pozornych uduchowień, mordy i pyski samców]. W tym ostatnim drgnieniu gnębionej rozpaczyci poczuła (jakby drogocenny kamień zaświecił w szarej masie rozłupanej skały) wdzięczność łzawą dla historii (wyobraźcie sobie!), która na koniec życia zsyłała jej kosmiczną nieomal katastrofę, w postaci chińskiej nawały. Tak — lepiej będzie zginąć we wszechświatowej burzy, niż zamrzeć w łóżku, mając spuchnięte nogi lub ciało pokryte śmierdzącymi wrzodami. Piękno istnienia, doskonałość kompozycji w proporcji wszystkich elementów i wspaniałość nieuniknionego końca, wszystko to rozblysło przed nią olśniewającym wewnętrznym blaskiem, który jak nocna błyskawica rozświetlił daleki posępny pejzaż jesieni życia, pełen ruin i opuszczonych grobów. Wybłysła cała ponad świat, w nieokreślonej urodzie owianej teraz metafizycznym czarem. Samce były bezsilne. Już miała coś powiedzieć, ale przerwał jej Tengier. [Lepiej, że się tak stało, bo słowa mogły tylko umniejszyć cudowność chwili — trzeba było wielkiego czynu, a nie jakichś salonowych, dialektycznych zwycięstw. Będzie, psia-krew, będzie — jeszcze czas].

— Nie żaden atak. *Vous avez exagéré votre importance, princesse* — zawołał nagle piskliwym głosem Putrycydes, wymawiając potwornym akcentem francuskie słowa. — Proszę słuchać!!! — Alkohol z haszyszem uderzył mu spod spodu w głowę, jak torpeda w pancernik. Przestał być sobą, nie wiedział dosłownie, kim jest, wcielał się we wszystkich obecnych, a nawet w martwe przedmioty, a wszystko mnożyło mu się w nieskończoność. Nie dość na tym, że trwała jak byk aktualnie nieskończona ilość wszystkich rzeczy, ale mnożyły się też pojęcia — *ilość pojęć fortepianu była też nieskończona*. „Logiczna wizja w haszyszu — czy nie warto powiedzieć coś o tym temu zaschłemu logistykowi?” Machnął lekceważąco ręką. Rozbrzmiał cały od wewnątrz jakby jakiś niepojęty instrument, w który uderzył Bóg czy Szatan (nie wiedział) w chwili strasznego natchnienia, zrodzonego z męki samotności i tęsknoty, dla której Nieskończoność sama była granicą i więzieniem. Cóż może być wyższego? Szatańska koncepcja nowego, *muzycznie bezmiennego* jeszcze utworu, wypełniła go jak rozszalały lyngam samicę, przelśniła go od środka tak, że stał się w świecie całym doskonały jako kryształ idealny w szarej masie skały, co go porodziła. Zapłonął w sobie, na tle własnej swej nicości, jak potworny meteor w międzygwiazdnej pustce, co się otarł o zrąb rozwiany planetowej atmosfery. Tą jego atmosferą była transcendentna (nie transcendentalna) jedność bytu — a do tego co? — Jako materiał, a nawet katalizator: — kobitka, panie, konflikt domowy, wódeczka z haszyszem, panie, świniestewka z młodzikami — cały splot drobnych życiowych nastawień, *tego właśnie*, a nie innego monstrualnego kulawca, przez którego walił miliardowo-woltowy prąd metafizycznej dziwności, walił, piniąc się nienasyceciem, gdzieś aż z samych bebeczów-turbin prabytu, indywidualizując się dopiero przypadkiem w życiowym zagmatwaniu tego właśnie osobnika. „Centrojeb”, dziwne to słowo (ogłuszenia na bibułki francuskie „Job”?) zdawało się być ośrodkiem konsolidacji kłębiącej się magmy dźwięków,

kierowniczą busolą w chaosie narastających równowartościowych możliwości. Zapłonął najczystszy artystyczny, konstruktywny szaleń, nieszczęsna ofiara wyższych potęg, Putrycydes Tengier i wstrzymał natchnienie, jak rozszalałego konia nad przepaścią — niech się kondensuje, niech się samowytłumacza — on wielki w zaświatach pan będzie czekał, aż mu bogowie podadzą gotową truciznę — dla niego i całego jego nędznego życiowego personelu. Bo takie to były „*produits secondaires*” całej tej twórczej komedii. Wiedział już, co zagra za chwilę (ochłap tego, co się tworzyło w muzycznych tyglach jego istoty), czym zmiażdży tę całą bandę niedorośliwych mu do pępka psychicznych pokrak, zaprzalych w gnuśnej pseudo-normalności, spłyconych do poziomu intelektualnej kałuży czy gnojowego bajora, łatwością nabranej ze śmietników umysłu pseudo-wiedzy. Nie — Benz był innym — rozumiał coś, mimo zagwoźdżenia przez znaczki — ale tamci, te „szczyty” salonowej pseudo-inteligencji, której nigdy nie można wytłumaczyć jej własnej głupoty... brrrrr... „Wyjący pies”, leżący u jego nóg, prężył uszy i mięśnie do muzycznych wstrząsów. Pogarda zalała go po brzegi — nie wyrazi jej nigdy. Po co? Po śmierci dowiedzą się i tak — nie z jego muzyki, ale z gazet, tej naprawdę straszliwej „prasy” umysłów, ugniatającej codziennie miliony ich na wygodną dla danej fikcji partyjnej bezmyślną marmeladę. Rozrost objętości gazet i tanie wydawnictwa literackiej tandety — to wyżera mózgi — Sturfan Abnol miał rację.

On sam, nędzna kalika, był najzdrowszym z nich wszystkich, a może z całego narodu, bo był *prawdą*, mimo artystycznej perwersji — on i może Kocmołuchowicz (na serio to pomyślał — do tego doszło!) dwa bieguny jako jakości społecznego bytu, dwa naładowane do straszliwych potencjałów źródła niezużytej energii. Kiedyż miało przyjść wyzwolenie i skąd, jak nie teraz (już narwał dawno ten wrzód i zaczynał się resorbować, zatruwając najdalsze zakątki ciała), od ruchomego chińskiego muru, wiszącego tak nad „zgniłym” (mimo całej pseudo-rewolucji) Zachodem, jak on w tej chwili nad bezdenną otchłanią swoich natchnień, w której gotował się i bulgotał, bałuszył się i wyszczerzał, potworny jeszcze w swym niedorozwinięciu embriom przyszłego dzieła. Ach — gdyby wszystko stawanie się mogło być tak jednoznaczne, krystaliczne, niezłomne i konieczne, jak wyłanianie się z gąszczów tajemnicy artystycznego tworu — jakże pięknym byłby nawet społeczny byt! Ale znowu ta techniczna nędza sztuki, nawet najwyższej — to prestidigitatorskie błazeństwo, to metafizyczne żonglerstwo, ta „*ławkost'ruk*”, a nawet ducha! Wzór niegodny był niespełnionego ideału w innym układzie. Nie „kłamstwo sztuki” oburzało go — (to problemat durniów i estetycznych nieuków), sztuka jest prawdą, ale zakłęta w przypadku takiego, a nie innego utworu — a on sam? — Też jest przypadkiem... Wszystko jeszcze dobrze, póki było natchnienie. On miał prawo bez ironii wymawiać to słowo = nie był przeintelektualizowanym nałogowym muzycznym grafomanem, ani niewolnikiem sławy i powodzenia. Dobrze by było to pogardzane powodzenie — ale cóż — jak go nie ma, trzeba wynaleźć odpowiedni punkt zlekceważenia. Tylko w stosunku do ludzi technika ta jest niemoralna, ale wobec prawie oderwanych istności można sobie na nią pozwolić. Bardziej niż wykoślawione na wzór jego ciała życie, przerażała go chwilami myśl o twórczej pustce, która mogła nadejść zdradziecko, wśród ciągłej walki z zalewającą pospolicznością, psychofizycznym niedostatkiem i nudą. Nudy bał się najgorzej. Jeszcze nie osiągnął jej szczytów, ale znał już dobrze jej boczne, okropne, bezwyjściowe wąwozy, w których czatowała zawsze brzydka samobójcza śmierć: sucha, zaropiała, skręcona w kablak starucha, śmierć człowieka na śmierć znudzonego, zatrutego niespełnionym życiem i niedoroślą do niego samego twórczością. Bo, mimo iż był na szczytach, wewnętrzna ambicja kazała mu pchać się jeszcze wyżej, gdzie mógł się dostać zabiwszy wprzód ciało, jako czysty duch. To była ta trzecia epoka, o której marzył i tam też kryło się (w mękach pokuty bez winy) wypełnienie i przewyżczenie nieudanego życia. Trzeba było zrobić skok i albo zabić siebie, albo wlecieć w niedosięzną dotąd sferę życiowej i artystycznej abstrakcji. Odblask choćby powodzenia mógł uniemożliwić wszystko. I mimo nudy, tego bał się Tengier najwięcej. A tu tymczasem posmak innego życia, który dała mu krótka (dwadzieścia trzy dni trwająca) miłość do księżnej, drażnił do wściekłości duchowe podniebienia różnych życiowych sobowtórów, pasożytniczych na jego rozkładającym się żywym trupie nieuznanego artysty. Mówił dalej:

— ...i do czego sprowadza się ta wasza osławiona, tajemnicza, niedościgła polityka, o której mówi się jak o jakichś misteriach wtajemniczonych kapłanów lub naukowych

eksperymentach wszechwiedzących uczonych. Żadnej wielkiej, wszechludzkiej koncepcji — zlepek sprzecznych w dodatku niby-ideątek, wylęgłych jak robaki w kadaverze umierającej idei narodu i zdechłym od dawna pojęciu państwa samego w sobie. Państwo stało się nowotworem — przestało być służą społeczeństwa i zaczęło je zjadać ku ucieście tych, którzy żyją odpadkami i majakami dawnej władzy. Niby-zawodowa organizacja jest tylko maską, pod którą kryje się zdeformowana, skarykaturowana, dawna ideo-mumia z XVII wieku. Jedyna dziś naprawdę wielka idea: równości i świadomej aż do ostatniego pariasa wytwórczości fałszuje się na dookolnym świecie w niedobolszewizowanych państwach Europy — prócz naszego — Afryki i Ameryki, a tworzy się naprawdę w gęstwie czterystu milionów tych cudownych żółtych diabłów, które pokażą kiedyś, co umieją, ale nie tak nawet, jak Kocmołuchowicz, ta jedyna istotna dziś u nas funkcja wszechświatowych przeznaczeń. Jedynym jego wielkim czynem będzie może to, że on nic nie pokaże — wypnie się na świat i tym okaże swój geniusz. —

— Ależ zmiłujcie się, gazdo — przerwała księżna. — Bolszewizm był przeżytkiem w zarodku. Może idea była teoretycznie ładna, tak jak chrześcijaństwo — ale niewykonalna. Była wynikiem nieuświadomienia z poprzedniego okresu. Nie obliczywszy się — nie miała danych — zrobiła skok w przyszłość za ryzykowny. Tam na Zachodzie dostrzeżono to i sfaszycowano się pod pozorami pseudo-bolszewizmu jako wewnętrznej i antychińskiej maski. Bo okazało się, że takiej równości i wspólności, o jakiej marzył Lenin, być nie może, chyba za cenę cofnięcia wytwórczości i zubożenia — ogólnej nędzy. I to nie tylko w krajach rolniczych, ale nawet w najbardziej uprzemysłowionych. Można się już obejść nawet bez idei narodu...

— Mówi pani tak — przerwał roznamiętniony muzykus — jakby pani знаła co najmniej tysiąc lat historii wprzód. To, co pani twierdzi, jest niesprawdzalne na małych odcinkach — moje idee są widoczne w każdej różniczce historii, w samym pojęciu społecznej nieodwracalności, której nie neguje już dziś nikt — chyba durnie. A u nas jest to tylko babranie się megalomanów w tak zwanych „częściowych koncepcjach”, o częściowych, małostkowych rozwiązaniach: tam rozmówka czysto osobista z obliczeniem na najpodlejsze strony ducha danego osobnika, tam kolacyjka, po której, przy likierach i kokainie, wydusza się z jakichś cuchnących płazów ich wstrętne, śmierdzące również tajemnice, tam odpowiednia łapówka, dana alfonsowi społecznemu, bez czci i wiary. I to wszystko bez żadnej idei, tylko aby opóźnić trochę bieg wspaniałej maszyny na jej nieistotnym, najmniej ludzkim skrawku, jakim jest nasz nieszczęsny kraj...

— To samoopluwanie się było dotąd naszą specjalnością, czysto moskiewską. — (Księżna była trochę zmieszana — pierwszy raz Tengier wystąpił z takimi pomysłami w jej salonie — otwarty komunizm! Coś niesłychanego! Poza tym, że tego rodzaju silne przemowy, o kierunku przeciwnym jej przekonaniom i instynktom, robiły na niej zawsze pewne perwersyjno-płciowe wrażenie, zadowolona była, że to właśnie w jej salonie mówiono takie potworności. Był to jeden z najbardziej ukrytych jej snobizmów). — Zamiast coś robić — wymyślać — najtańsza rzecz na świecie.

— Do pewnej granicy tylko można tak — ale w pewnych razach można tylko rzygać. Nie robi pani ciastka z krowich ekskrementów i sacharyny...

— Mój panie: — autentycznie bąknął Benz — ja się z panem ideowo zgadzam, ale pańska metodologia jest mi obca — Ostatecznie tak jak pan politykę jako taką, można odwartościować dosłownie wszystko. Czymże jest logika? Stawianiem znaczków na papierze. A czymże jest pańska muzyka? — również stawianiem znaczków, tylko na pięcioliniach. I dopiero według tego jakieś kretyny dmące w rury mosiężne i piłujące baranie kiszki końskimi ogonami...

— Dosyć! — ryknął nagle Tengier, jak stubyk. — Schowaj się pan z pańską logiką, która jest nikomu niepotrzebnym, bezużytecznym balastem fatalasek zjedzonego przez samego siebie intelektu, zabawką dla ludzi, cierpiących na bezpłodny intelektualny apetyt, dla umysłowych impotentów, a nie prepotentów myśli, jak to sobie pan wyobrażasz. Ale od mojej twórczości — wara! „Od przepaści moich progów wara wam i wara Bogu”. — (zacytował Micińskiego). — Oto czym jest muzyka. Słuchajcie odpadki — i może byście już raz odpadli naprawdę — warczał groźnie, otwierając z hałasem cudowny, na obstalunek zrobiony, poczwórny okrągły klawikord samego Bebechsteina z Adrianopola. Księżna była mimo wszystko zachwycona. Mały skandalik pojęciowy i dzika, haszyszo-

wo-pijana improwizacja Tengiera, stanowiło to razem niezłe tło do przygotowującego się w niej aktu czystego demonizmu, „*pure demonism act*”, tej „*cochonnerie féminine pure*” — jak mówił książę Bazyli. Błogość doskonałości (to poczucie, że wszystko jest takim właśnie, jak powinno i lepszym być nie może, źródło teorii doskonałości świata Leibniza) ten coraz rzadszy u niej stan, rozlała się po zakamarkach jej ciała, które odmłodziło i sprężyło się całe do skoku, sycąc się dawnymi tryumfami i zbrodniami, układającymi się w chwilach takich w idealną artystyczną kompozycję. Dobre było to życie i nie zmarnowała go — tylko nie popsuć końca, odejść samej od koryta, póki nie odepchną.

Tengier uderzył w klawisze — zdawało się, że wyrwie je wszystkie. Wszyscy mieli złudzenie, że w miarę grania odrzucał różne drobne części instrumentu w kąat pokoju i złudzenie to trwało nawet przy pianissimach. Grał po prostu szatańsko, po bestialsku, nie-ludzko, okrutnie, sadystycznie. Wywlekał kiszki słuchaczom, jak Gilles de Rais swoim ofiarom, i jak on tarzał się w nich, sycąc się metafizycznym bólem ścierw ludzkich, które sztuką swą wyrwał z korzeniami z popolitości i ciskał w bezkresne obszary zaświatowego lęku i dziwności bez granic. To *była* sztuka, a nie gędziolenie zbławozowanych prestidigitatorów i intelektualnych wymyślaczy nowych zmysłowych dreszczów dla histerycznych samic. Ale tak była ta muzyka *pełna*, że z początku działała jeszcze przez uczucie — trzeba było zdobyć wprzód tę „życiową redukę”, gdzie była ufortyfikowana, aby wejść w tajemnicze podziemia, w których żyła naprawdę, niedostępna dla popolitych uczuciowych wyjćów. Tego dokonali wszyscy, prócz Benza. Niewspółmierność świata dźwięków, w który zagnany został jak zbłąkany baran wichrem Zypcio, z rzeczywistym wieczorkiem u tych Ticonderogów, przypadkowych jak wszystko inne, uczyniła z niego nie dającą się opisać duchową pokrakę. Ultramaryną zalewały się niezastłonięte okna, przez które konający marcowy wieczór zaglądał na zasluchanych męczenników istnienia. Uleciało wszystko w niedosiężną dal i głąb. Złączyły się obce i sprzeczne między sobą duchy obecnych w jeden kłąb dymu z ofiary dla ginącego bóstwa. [Gdzieś w stolicy K. rozwijał się jeszcze jakiś dziwny teatr pod dyrekcją Kwintofrona Wieczorowicza. Tu, u ich nóg konała sama muzyka przez największe z *M.*]. Zrośnięci w zamarzłą jednię z przelewającymi się przez progi bytu dźwiękami, ztratili poczucie osobowych istnień. Coś bydlaczkowatego, prawie bezplciowego, myślało blado w jednej z bocznych komnat duszy Iriny Wsiewołodowny. „O, gdyby on był innym! Gdyby był piękny, młody i czysty ten chłopczyk biedny, ten kat muzyczny nienasycony w okrucieństwie, ten pół-chamek brudnawy! I gdybym mogła, oddając mu się, czuć, że to ten sam wypełnia mnie sobą, przez którego staje się tamten cud”. [Bo księżna nie była „wyjąłym psem” i umiała, przez wstrząsane (prawie dotykalnie) ciało słuchać muzyki muzycznie — tylko nie teraz, na Boga, nie teraz...] Ale przypomniała sobie, jak na złość nieuczzone uściski Tengiera, pokraczne i słabe, i w dzikości nieumiejętne jak on sam cały... Obraziła się śmiertelnie na los za tę niesprawiedliwość. „O, gdyby on mnie tak, jak tego Bebechsteina... Gdyby on mógł posiadać mnie samą muzyką, a nie tym wstrętnym, wyplutym czort wie skąd ciałem”. Posiadał ją teraz naprawdę. Przeszła w niej szybko chwila metafizycznego zachwytu. Potworne brzęki i mlaski fortepianu miażdżyły ją i rozlizywały na jakieś lubieżne, pełne polipów i pijawek bagno, zdolne pochłonąć nawet Lucypera aż po same rogi. Diabeł, ten od spraw płciowych, ucztował w jej flakach, na zniekształconym trupie czystej sztuki, żłopiąc pełną gębą jej upadek, zachłystując się nieczystymi sokami „dusznego” rozpadu. Duchowe filtry dźwięków przestały działać. Zło, wcielone teraz w te właśnie, niewinne same w sobie brzdęki i dziangi, wdarło się w jej ciało i rwało je na sztuki, spalało w niesytych pożarach, zostawiając po sobie rozchlastane, obolałe wnętrzości. W tym wszystkim dojrzywał w szczegółach demoniczny plan, najpospolitsze, niezawodne, wiecznie nowe kobiece świństwo, wstrętne broń słabości starzejącej się baby, która nie mogąc zdobyć odpowiednio nateżonej miłości wprost, chciała oszukać los, kupując ją od najordynarniejszego z diabłów, za cenę zbrodni — na małą skalę, ale zawsze zbrodni. Bo jad tego rodzaju raz wszczepiony trwa do końca życia i musi zabić miłość — nie tylko tę jedną — czasem wszystkie następne, a nawet może zatruć śmiertelnie samą morderczynię.

Genezyp właściwie ani na chwilę nie doznał metafizycznego wstrząsu. Znadto pograżony był w życiu. Muzyka była mu w ten wieczór tylko torturą ciała — straszną, nie do zniesienia. Pierwszy raz zrozumiał, co może znaczyć w odpowiednim momencie istnienia taki dobór łagodnych samych w sobie dźwięków. Tengier urósł mu do rozmiarów sym-

bolu samego zła, okrutnego bożka, po prostu skończonego drania. Zypcio wił się, ubity na miazgę w mózdzierzu własnej podłosci straszliwym tłukiem walących się na niego metalicznie rozmlaskanych, nienasyconych do pęknięcia akordów, roztrwaniał się w mały ekskremeńcik w pustyniach zła, które stwarzały zygzakowate, kanciaste, kłujące, rozdzierające pasaże. Jeden temat powracał, gorszy niż bezczeszczenie hostii w mszy satanistycznej, i potęgował się do niepojętego bezmiaru, wylewając się za krawędzie wszechświata, aż w Nicość. Tam było ukojenie i spokój — ale muzyka polegała na tym, aby go nie osiągnąć — chyba po skończeniu utworu. A to nie był utwór, ale po prostu potwór: rogaty, zębaty, kolczasty, coś jakby dinozaur zmieszany z arizońskim kaktusem. Dosyć!! Ta muzyka stawała mu się symbolem jakiegoś wszechświatowego płciowego aktu, w którym niewiedoma istność gwałciła w najokrutniejszy, perwersyjny sposób samo istnienie w całości. Kiedy się to skończy? (Tengier szalał, zlany potem, śmierdzący grzybami na pięć kroków). Przypomniało się Zypciowi to, co księżna mówiła mu kiedyś o Putrycydesie — przypomniało się psia-krew na domiar złego. Mówiła to kilkakrotnie, rozpłomieniając w nim najgorszą, ponurą, krwawym okrucieństwem ociekającą żądzę. A więc mówiła z minką chytrej dziewczynki przed „tym”, albo w chwilach najwyższej ekstazy, kiedy zawieszeni nad złowrogą przepaścią niedosytu, konali oboje z rozkoszy sycenia rozwścieczonych żądz — mówiła tak: „pomyśl — gdyby on nas mógł widzieć w tej chwili...!” — Tylko tyle. Ale było to jakby smagnięcie rozpalonego bata. Rozkosz wylewała się poza brzegi, „debordowała” — jak mówiła księżna — stwarzając diabelskie rozpętanie, dochodzące do zupełnego unicestwienia. Teraz przypomniała mu się taka chwila i diabli go wzięli naraz ze wszystkich stron. Był jakby wewnątrz lepkiego, gryzącego, mokrego płomienia zmaterializowanej lubieży. Wstał i zatoczył się podcięty — ścięgna i mięśnie rwały się, wykręcając jakby z gutaperki zrobione kości. I to *on*, ten właśnie grał tam, on stwarzał w nim muzyką ten bydlęcy tragizm, on, ten sam, o którym i który kiedyś... A nie! Teraz właśnie mieć ją — to byłaby rzecz najwyższa, po której już można by nie istnieć! Ale nie — właśnie Toldzio szeptał coś do ucha Irinie Wsiewołodownie, chowając dystyngowaną mordkę emeszetowego głuptasia w burzliwą masę jej rudych loków. Męki te zdawały się trwać wieczność. Świat puchł boleśnie czasowo-przestrzennie, jak w opiumowych koszmarach de Quincey’a, a jednocześnie malał do jednej malutkiej, plugawej w gruncie rzeczy, rzeczy, do tego miejsca największego upokorzenia męczyzny, i to miejsca, należącego do tego właśnie a nie innego stworzenia. Księżna widziała wszystko i dziki tryumf (ten iście kobiecy, z doprowadzenia jakiegoś „osobnika” do tego, że jest tylko jednym wielkim phallusem, bez żadnej myśli i innego uczucia) wykrzywił jej esowato wykrojone wargi w uśmiech zdolny wprowadzić w szal wyschniętą kłodę. Nareszcie po upływie niezgłębionych czasów, wypełnionych czort wie czym („*eine lockere Masse zusammen hangloser Empfindungen ohne Gestaltqualität*”), wyszli wszyscy „outsider’zy” i zostało tylko ich troje: Ona, Zypcio i kuzyn. [Wściekły był na nią „*il fornicatore*” (D’Annunzio) za to zatrzymywanie znieawidzonego ciotecznego bubka na kolację]. Milczał ponuro, systematycznie, kąsany to tu, to tam przez nieznośne, upakarzające požądania, teraz już pozbawione nawet wszelkiego metafizycznego uroku. Zniknął uroczy chłopczyk pełen interesujących problemów, wessany, zresorbowany, wsiorbnięty, wchłonięty przez jedną tylko rzecz i straszego draba w sobie — bezsilnego. Za stołem siedział zwykły „*excremental fellow*”, chcący za wszelką cenę fornikować i nic więcej. Pił dużo, ale alkohol spływał po jego mózgu, jak po jakimś impermeable. Ale myślał sobie, że oto zaraz, już, już nasyci się tym plugawym cielskiem (żył w nim w tej chwili wyobraźnią tysiąc razy intensywniej, niż w sobie samym), a potem zapomni o tym wszystkim i przejdzie do swego „kochanego” świata, teraz tak obcego i niepojętego. Nie było w nim teraz nic z rzadkich chwil „dziecięcej” miłości dla niej. Nienawidził baby, jak nikogo dotąd. Niewypowiedziane słowa, ugrzęźnięte gdzieś aż w przelyku, czy w sercu nawet, dusiły, truiły, żgały go od środka — zaniemówił z wściekłości, zmieszanej w jedną jadowitą pigułę z bydlakowatą chęcią niewyraźnych w słowach czynów. Ale antycypacja możliwej (raczej niemożliwej) rozkoszy, na tle nieznanego mu dotąd stanu zazdrości płciowej, dodawała mu siły, aby wytrwać. „To będzie coś szalonego” — myślał coś podobnego nie pojęciowo, tylko nabiegłymi krwią i wszystkimi sokami obrazami. Teraz pozwoli sobie dopiero — ach — on jej pokaże kim jest. A sam dla siebie był niczym, zmieniony przez tę „księżnę Spermy” (jak ją nazywano)

w jedno wielkie, niezmierzone, nie-do-wychleptania, palące się, rozdrażnione do szaleństwa świństwo, jakby bezładne kłębowisko tysięcy sprężonych bezimiennych samotnych, cierpiących monstrów.

Ale wbrew oczekiwaniom, kacica bez sumienia nie pożegnała przeklętego (o biada, po trzykroć biada!) bubka. Przeszli wszyscy troje do sypialni, tej kamery tortur, minąwszy trzy bardziej umiarkowane w wyglądzie swym buduarki, które wydały się Genezypowi zacisznymi porcikami, do których by z rozkoszą „zawinał” — pogadał z nią sam na sam szczerze, jak z rodzoną matką, a choćby ciotką, i dokonał swego jak zwykle. Czuł nie-szczęśnik całą niskość swego stanu i sytuacji. Pogardzał sobą, a nie miał siły oddalić od siebie tej pogardy. Cierpiał w tej chwili za wszystkich mężczyzn świata upokarzanych (nawet w powodzeniu — to najgorsze!) przez te bestie, które są na miejscu w najdzikszej nawet kombinacji wypadków — *w nich nie ma kłamstwa*.

Informacja: Za sypialnią zaraz była mała, tak zwana „podręczna” łazienka księżnej, mająca drugie drzwi na korytarz. Jedno okno tej łazienki, zrobione z różnokolorowych, grubych, silnie łamiących światło szyb, wychodziło na sypialnię. Dziwne może się to wydawać, ale tak, jakby na złość, było.

(Światło lampy, palącej się w łazience, filtrowało się w tęczy barwach przez kryształiczne złomy szkła. Ileż wspomnień cudownych miał Zypcio związanych z tą tęczą gamą tajemniczycy łśni. Pierwszy raz zdarzyło mu się zaobserwować znany fakt, że ta sama rzecz tak różnie może się przedstawiać w zależności od zabarwienia całego kompleksu, w którym się znajduje. Zdumiony patrzył w szybki, nie poznając ich rozkosznych zwykle kolorów — były wprost potworne).

Księżna w obecności dwóch rywali zdjęła suknię i włożyła, z gracją małej panienki, purpurowo-fioletowy zatulnik. Genezypa zaleciał jakiś zapaszek, od którego mózg skręcił mu się w róg jednoroga. Powiedział sobie: „jeszcze 10 minut, po czym wyrnę tego bałwana w pysk”. Usiadł z daleka, aby nie doprowadzać siebie do ostateczności, i nie patrzył — ale niestety chwilę tylko. Już w dwie minuty potem pochłaniał piekielny obraz przepalonymi, zakrwawionymi oczami pełnymi zmieszanego wyrazu: oburzenia (świętego nieomal), złości i pożądań, przechodzących już miarę dziewiętnastoletniego chłopca. Rozwalona na leżadle dręczycielka pieściła zawzięcie nienawistnego Zypciowi bezcennego chińskiego buldoga Chi. Był to jedyny wysłannik ruchomego muru w tym domu.

Informacja: Cały kraj zalany był podobno przez wyznawców wiary Dzewaniego, „podnóżka” wielkiego Murti Binga, wielkiego herezjarchy syntezy dawnych wierzeń Wschodu, stworzonej, jak mówiono, przez lorda Berquith, na użytek upadającej Anglii. (Ludzie czepiali się czego mogli i czego już nie mogli nawet). Nauka jego wyparła oficjalną teozofię, jako zbyt słabą „podgotówkę” pod socjalizm w chińskiej edycji. Tu znano te brednie jedynie ze słyszenia. A jak można je było znać inaczej? Właśnie o to chodzi. Ale o tym później.

Pieszczoty z pieskiem stawały się coraz namiętniejsze. W pewnej chwili odwróciła się ku cierpiętnikowi — była zupełnie młoda — miała najwyżej dwadzieścia pięć lat — to nie-do-zniesienia. Toldzio wił się.

— Czemu pan się tak izoluje, Genezyp Genezypowicz? Czy pan się przejął izolacyjną polityką naszych zbawicieli? Niech się pan pobawi z Chi. — Widzi pan, jaki jest smutny. — Przytuliła płomienną twarz do czekoladowych kudłów przeklętej bestyjki. Wszystko było przeklęte. Cóż by dał Genezyp za jedno takie muśnięcie. Na pewno, ale to bez żadnej kwestii doznałby najwyższej rozkoszy i byłby choć na chwilę wolny. „Nie ma mnie wcale” — pomyślał z bezmierną udręką, ale już na granicy prawie jakiegoś dziecinnego zadowolenia.

— Wie księżna, że nie znoszę dotykania się do zwierząt, jeżeli nie mogę potem... —

— Więc cóż z tego? Umyje się pan. Co to za purgatoman z tego pańskiego kuchni — zwróciła się do Toldzia, który zachichotał zwycięsko. — A w gruncie rzeczy taka sama świnka, jak wy wszyscy. — Toldzio zanosił się od śmiechu, nie wiedząc czemu. Genezyp dowlókl się do leżadła jak zahypnotyzowany. Z miną skazańca począł bawić

się niezręcznie ze zniechęconym psim Chińczykiem. Przez opór bał się wydać jeszcze bardziej dziecinny i bawił się, zgrzytając zębami. Księżna też, ale z minką swawolnej dziewczynki. Ręce ich spotykały się... Już proces wewnętrznego nasycania się stał się nie-do-odwrócenia. Zypcio staczał się — wiedział co go czeka — wiedział, że nie wytrzyma, że pęknie. — Ona wiedziała to też i śmiała się. „Co się z nią stało? Boże Jedyny, co to jest to wszystko”. Kiedy oboje byli przez chwilę odwróceniem od Toldzia, Irina Wsiewołodowna zupełnie programowo musnęła jego policzek ustami: były gorące, wilgotne, rozlaźle. Język jej przesunął się po kąciku jego warg: odczuł to w grzbiecie i łędźwiach, jako piekąco-laskocący dreszcz. — No, niech pan się idzie umyć teraz. Chi chce już do łóżeczka. — (Każde słowo było obliczone i intonacja też). — Prawda, Chi? — ty mój jedyny przyjacielu. — Objęła psa, zatulając go w siebie zupełnie. Błysnęła *okuta* jakby w jasny jedwab noga, okrutna, daleka, nieświadoma swego uroku. Genezyp przeszedł parę kroków jak pijany. (Był trochę pijany zresztą, ale to było nie to). — Nie tam — może pan tu, w mojej. — Zawrócił jak automat i znalazł się w cielesnym sanktuarium, czy czymś podobnym — tu przygotowywano ten żywy posąg Izidy dla czci bałwochwalczych samców. On należał do tej kolekcji, jeśli nie w przestrzeni, to w czasie. To odebrało mu do reszty poczucie swojej jedyności i wyjątkowości: był częścią jakiejś bezimiennej miazgi, niczym. Świeżość zapachów orzeźwiła go jednak z lekka. „Może nigdy nie będę już miał w życiu na taki zbytek” — pomyślał smutnie ubocznym, małym mózdzkiem, który gdzieś tam funkcjonował sobie, jak niepotrzebny nowotworek na zbydlęconym, upadłym ciele. W szumie wody nie dosłyszał, a że stał tyłem więc nie widział, że drzwi się otworzyły i klucz został wyjęty przez rączkę białą (i w dodatku okrutną) i że ukradkowe spojrzenie emaliowych gałek przesunęło się po jego zgiętej i wypiętej silnej postaci i zatrzymało się na chwilę ze smutkiem, strachem, z rozpaczą nawet na byczkowatym jego karku. „Tak trzeba” — westchnęła Irina Wsiewołodowna. Drzwi zamknęły się cicho i klucz przekręcił się w dziurce bezgłośnie, od tamtej strony. Umył Zypcio ręce i twarz i zdawało mu się, że się opanował trochę. Wziął za klamkę — drzwi były zamknięte. „Kiz dziadzi?” — wzdrygnął się cały. Nieszczęście zajrzało mu prosto w twarz, mimo że właściwie nie wierzył, aby takie głupstwo mogło być początkiem jakiejś istotniejszej serii. Więc stąd miała przyjść ta pierwsza próba sił. Więc to *na to* ojciec — ach, ten ojciec! kierował nim z za grobu jak marionetką. Przyjacieli!!

— Hallo — rzekł drżącym głosem. — Proszę otworzyć. Toldziu, nie rób głupich „witzów”! — Zza dębowych drzwi posłyszał najwyraźniej śmiech. Śmiali się oboje. Nie przyszło mu na myśl wyjść na korytarz drugimi drzwiami. (Były zresztą także zamknięte). Włazł na krzesło i zajrzał do sypialni. (Ruchy jego były tak przewidziane, jak ruchy owadów w laboratorium Fabre’a). Już przedtem zauważył blask spotęgowany: palił się wielki świecznik u sufitu i cały pokój = świątynia czci dla tego cielska, tonęła w jaskrawym świetle. Widział wszystko przez kryształowe kolorowe szyby, dziwnie zdeformowane i barwne. Przerzucał się od fioleto do czerwieni, od czerwieni do szmaragdu i szafiru i widział, najwyraźniej widział rzecz niepojętą. Aż się *ujemnie* (znak –) *spiętrzył* cały (a nie zapadł — to wielka różnica) w krainę niewiarogodnego upodlenia i śmierdzącego nieszczęścia. I to przez nią, tę, którą z lekka pogardzał, uznając już ten „romans” za coś poniżej jego „standardu”, czyli jak mówią teraz: „wzorca”. Patrzył, widział, nie chciał widzieć i nie mógł się oderwać. Pojął nareszcie, nie mózgiem — raczej ciałem całym — czym jest ten tak zwany demonizm. Pokojówka Zuzia — przestała dla niego istnieć, zdmuchnięta jakby jakimś wichrem pełnym żaru, a z nią wszystkie inne kobiety i miłości czyste, o których skrycie marzył, w chwilach najgorszego upojenia. Istniała tylko ona jedna, ta piekielna Irina Wsiewołodowna, i to *jak istniała* — a niechże to kaczki... Wpita jak buldog swoją niezwyciężoną pięknnością i świństwem w każdą komórkę jego ciała, w każdy atom duszy... Precz!! Ohydny kuzyn Toldzio, onanistyczny profesor z lat dziecinnych, posiadał ją właśnie (nie posiadając się z radości) na małym leżadelku. Widział Genezyp cały komizm, całe upodlenie męskie jak na tacy — żywy fotoplastikon w jakimś po trzykroć zakazanym bajzlu. I to ona go na to skazywała! Ona, którą tak kochał (ten nienawistny, przygniatający go swym rozumem babsztyl). — O, gdzież jest sprawiedliwość na tym świecie! Ale co najgorsze było, to to, że oburzenie, upokorzenie, obraza, złość — wszystko przeszło czy zamieniło się w nieznaną dotąd żądzę, graniczącą z czymś absolutnie już płciowo

niewymiernym. Absolut świnstwa osiągnięty przy pomocy wewnętrznego transformatora, przerabiającego dowolne „inbalty” na jeden jedyny gatunek — *pciowy*, lub jak inni mówią, *pełciowy*. Gdzie on był naprawdę do najcięższych choler, ten znienawidzony (nie wiadomo już przez kogo) — jak i ona — Zypcio? Było coś plugawie cierpiącego, ugniecionego przez tamtą *osobową* babę na wstrętny plasterek. Ale gdzie była jego osobowość? Rozwiała się w przeciągającej nad Ludzimizmem dzikiej, czarownej, marcowej nocy. Ten cały pałac razem z nim i jego tragedią zdawał się być małą wyplutą przez nie wiadomo kogo pesteczką, na tle grozy natury i nadciągających wypadków — gdybyż oni mogli to widzieć. Ale dla nich ich własne problemy i cierpienia wypełniały cały wszechświat aż po brzegi. Umiejętność zlekceważenia osobistych ważności na tle notorycznych fikcji była im obca — byli zdrowym bydłem. A, a, a — a „tamten” (ktoś który absolutnie nie miał prawa bytu — indywiduum potępione bezwzględnie) nasycił się jak ostatnie bydło i ona (o zgrozo!) miała z nim tę właśnie niezgłębialną, niedocieczoną przyjemność, w tej samej chwili, w której jego pozbawiała jej tak okrutnie na rzecz tamtego — zamknięte kółko. Potworność wprost nie-do-uwierzenia. Ruchy Toldzia stały się szybkie, śmieszne i bezdennie głupie. Jak on się nie wstydził!? Całe jestestwo tego ekskrementalnego szczeniaka, tego Zypcia, który przerastał już tyle razy samego siebie, spęczniało w jedną astrukturalną, lepką i niepachnącą „płciową masę”, przyklepioną do okna, jak polip do szyby akwarium. Jako pierwotność nie ustępował teraz nic nawet amoebie. Księżna objęła Toldzia nogami (jakże piękne były w tej chwili — jak nigdy), a potem trwali dłuższy czas bez ruchu, stęziali, prawie martwi. (To, że on tam patrzył [wiedziała na pewno], podnieciło księżnę Irinę do niebywałego dotąd szału. Już raz robiła rzecz taką. Nie udało się o tyle, że tamten uciekł i strzelił się w brzuch w lesie — tu była pewna życia — nie bała się o niego). Wlepiony prawie w szyby trwał również bez ruchu Zypcio. Patrzył teraz na żółto — tak było najlepiej widać. Chciał widzieć jak najlepiej, bardzo chciał — jeżeli już *w ogóle*, to w takim razie w najlepszych warunkach. A tamci wstali i zaczęli się rozbierać oboje — szybko — gorączkowo. Genezyp pożerał oczami (i całym ciałem przez oczy) tę scenkę nie z tego, jak mu się zdawało, świata. Odkrył w sobie (i pośrednio w świecie) coś tak straszego, że duchowo oniemiał. Już nie był sobą. Pękały więzy jaźni, ulatniała się osobowość. (Taką chwilę świadomie wykorzystać! Za głupi był na to). Zakrzepłe krwiste zwały zawały mu mózg, dławilo go od środka coś niemieszczącego się w nim samym. Było to coś gorszego chyba (oczywiście chyba — *chybność*) od śmierci w torturach. Poczul w głowie jakiegoś żywego, niezmiernie ruchliwego polipa, który go żarł swymi mackami na żywo, lubieżnie mlaskając laskoczącymi szerokimi wargami. Na chwilę stracił przytomność. Ale obraz rzeczywisty niesamowitej, niezrozumiałej krzywdy trwał. Za co? Dopiero teraz pojął okrucieństwo istnienia i to, że prócz matki on nikogo nie obchodzi — że czy on cierpi do szaleństwa, czy nie, to całemu światu jest zupełnie „*ganz pommade*” — pierwszy raz uświadomił sobie tę prostą prawdę. Ujrzał jej nogi gołe i bezwstydne i efebówate kształty tamtego. Rzucili się, oboje całkiem nadzy, na łóżko. Okropność wszystkiego stała się zimna, przezroczysta — falą niepowstrzymaną przeszła przez niego „na durch” i poszła „we światy”, oznajmić na innych planetach o tym bezprawiu. A ci tarzali się jak oszalałe pająki... Nie wytrzymał tego Genezyp i nagłymi ruchami, przez ubranie, zrobił ze sobą porządek. Pękl. Nagle spadło zeń wszystko: jakaś maska olbrzymia, żywa, żyjąca odrębnym bytem, spadła tu, na błękitne kafle podłogi, śmiejąc się cicho i radośnie i straszliwy polip przestał ssać i schował się jak robaczek malutki między zwoje mózgu — te resztki, które pozostały po katastrofie. Ale „tamto” plugawe nie uspokoiło go wcale. Z dodatkową rozpaczą czuł, że teraz dopiero ten potworny babon wlaź mu definitywnie w krew i że walkę z nim musi stoczyć na śmierć i życie. Dawka demonizmu była jak na pierwszy raz zbyt wielka. Coś złamało mu się na zawsze tam w tych sferach przedwiecznej (czy wiekuistej) dziwności, związanych z tamtym popołudniowym przebudzeniem się. Jeszcze nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów nieszczęścia, ale ono rosło gdzieś w głębi niezależnie od jego świadomości. Niezgrabnie (wskutek wstrętu do siebie zapewne) zlął z krzesła i spojrzał w lustro. (Tam, w tym niedawnym najpiekniejszym z piekiel, była cisza). Ujrzał twarz swoją tak straszłą i wstrętą, że jej prawie nie poznał. Obce oczy, skoszone niepachnącym jakimś obłędem, patrzyły uporczywie i drwiąco, na wylot przez cały zwał nieodwracalnego upadku. To najgorsze na nim zrobiło wrażenie, że spojrzenie to było drwiące. Ktoś inny patrzył na niego z niego samego — ktoś nieznany,

obcy, wstrętny, nieobliczalny (to może najgorsze), złowrogi, draniowaty i słaby. (Ach, to, to było najgorsze!) „No — teraz ja cię zabiję” — pomyślał o tym drugim. I do lustra zrobił minę silnej woli w dawnym stylu. Mina nie udała się. Jakaś obca siła wywindowała go na krzesło i kazała mu spojrzeć jeszcze raz „tam” — tym razem na zielono. Teraz zmartwił się tym, co widział, i oburzył się na to szczerze. Serdecznie. Co oni wyprawiali, ci swawolnicy! Już nie „swa-”, ale po prostu swywolili na jego benefis jak opętani. Bezsilna wściekłość o mało nie doprowadziła go do nowej erupcji ciemnych żądź — nawet przez chwilę majaczyła mu niezdrowa myśl, że przecie on (wobec tego, co widzi) ma prawo, absolutne prawo, zrobić sobie jeszcze raz choćby tę drobną przyjemność, bo przecie nawet to nie będzie niezdrowe na tle tego (takiego!) widoczku. Słyszał kiedyś coś w tym rodzaju w szkole. Wzdrygnął się i zdruzgotany zlął powtórnie z krzesła. (Ach, prawda — drzwi były zamknięte!) A tamci leżeli jak martwi, wyczerpani szalem. Irina Wsiewołodowna, mimo programowości „*diemonicznej sztuczki*”, podnieciła się i wzbebeszyła świadomością Genezypowych mąk do szaleństwa. Nawet dawno „spogardzany na psa” Toldzio wydał się jej jakimś innym na tle tego naiwnego okrucieństwa — jakiś taki był irytująco-świńskawy i tak dobrze rozumiał, o co chodzi, i tak w każdym ruchu wiedział, co robi. Nie — to M. S. Z. to dobra szkoła — „*a maladièc*, Toldzio”. Ale i straszny żal za „uciekniętym” życiem zalał wszystko i zmętnił kwaśno-gorzkim posmakiem chwilę bez troski. Czy wróci do niej teraz ten jej najśliczniejszy chłopys, biedactwo najdroższe! — co on się tam wycierpieć musiał na tym krzeselku... bo, że stał na tym krzeselku i patrzył, o tym wiedziała na pewno. Nawet cień wątpliwości nie przemknął jej przez głowę.

Genezyp łupić zaczął jak wściekły w drzwi wychodzące na korytarz. Po chwili otworzył mu Jegor, patrząc mu w oczy z pogardą i ironią. Zaprowadził Genezypa do małego pokoiku obok garderoby księcia, gdzie nastąpiła znowu zmiana spodni.

— Czy jest Zuzia, Jegorze. Mam do niej ważny interes. — (Chciał zaraz na poczekaniu uwieść pokojówkę jako antydot przeciw tamtym przeżyciom. Już wszystko wchodziło w szary wymiar popolitości. Jegor zrozumiał go od razu).

— Nie, paniczu. Zuzia pojechała na bal wszech-stanów do browaru nieboszczyka ojca waszego — dopowiedział chmurnie. (Czemu? Ach — zbyt dużo by o tym gadać. A kogóż naprawdę interesuje psychologia „*lakieja*”. Nawet ich samych nie — wolą czytać o dumnych hrabinach i księżętach). (Obchodzono dziś uroczyste przejście fabryki w posiadanie robotników, przy czym wyrażano niepowstrzymanie entuzjazm dla starego Kapena).

Genezyp zdruzgotany wewnętrznie i złamany fizycznie przez pijacko-onanistyczny „Katzenjammer” („pochmielje”, „popijackie darcie w duszy”, „popijnik”, „popijawka”, „popijny sumienioból”, „piciowyrzut”, „głatwa”, „glen”), szedł znowu przez puszcę w kierunku domu. Teraz dopiero nie wiadomo czemu, jakby na złość właśnie, przekonał się, że od początku kochał księżnę więcej niż pożądał. Analiza uczucia miłości w ogóle obca temu pokoleniu zupełnie nie mogła pomóc i jemu w tej groźnej chwili. Czy warto naprawdę dysekować to uczucie, na którym tyle pokoleń nałamało sobie tyle zębów i napsuło tyle słów w sposób wysoce niesmaczny. To jedno, powiedzmy sobie otwarcie jest, „*unanalysable*” = „*ananalajzbl*”. Krzywda wyrządzona tej miłości bolała go w tej chwili najbardziej w sposób piekący, żrący, pikujący. W drugim stopniu dopiero cierpiały rozrżnięte, upokorzone, obdarte i rozdrażnione, nienawistne symbole upadku, no te flaki z piekła rodem, tak zwane genitalia. Ach — oberznąć to wszystko kozikiem choćby i wyzbyć się na zawsze możliwości tego upokorzenia. Przekłete wisiory! — żeby to nie schować tego przynajmniej w środku — byłoby ładniej i bezpieczniej. Pienił się wprost na twórcę tego idiotycznego pomysłu — ale życiowo rozwijał się, ho, ho — jak szybko! W tę jedną głupią noc poznał takie obszary życia, jakie inny poznaje czasem w kilka lub kilkanaście lat. Ale nade wszystko pojąć nie mógł, czemu (*ach*, czemu?) ona to uczyniła. Przecie był dla niej dobrym i kochającym, a jeśli przez głupotę młodości w czymś byka palnął, to jej rzeczą było mu to przebaczyć i naprowadzić go na dobrą drogę, zamiast karać go tak okropnie. Kłęb sprzecznych uczuć przewalał się jak kupa wstrętnych robaków na dnie jego istoty, zropiałym i... czerwonym. Cały świat otaczający wydawał mu się tak innym od tego zwykłego, do którego przywykł, że uwierzyć wprost nie chciał, że to są te same sosny, znane mu aż zanadto dobrze z dzieciństwa, te same jałowce i kępy borówek, a nade wszystko niebo: obce teraz i urągliwe w swej wiosenno-świtowej, nud-

no-tęsknej pochmurności. Wszystko płynęło spieszenie razem z obłokami hen daleko (o jakże nienawistne i wstydlive jest słowo: „hen”) zostawiając go jak rybę na piasku w odwartościowanym nagle świecie. Podszedł do jednej z sosen i pomacał chropawy, liniejący pień. Dotykowe wrażenie obce było w zwykłości swej, całej dziwności wzrokowego wycinka. Bełtały się obok siebie te dwa światy jakości, nie tworząc jednej wizji tożsamego ze sobą układu. Genezyp miał wrażenie, że coś jednak w główce jest niedobrze. Żaden element jego duszy nie był na miejscu: wszystko zdyslokowane, rozbełtane, rozkładało się, jak pakunki pogorzalców po sąsiednich placach na obcych miejscach rozszerzonej wymuszonym doświadczeniem jaźni. Ale nade wszystko przekonał się, że istnieją w nim, w czysto-życiowych wymiarach, takie otchłanie nieznanego, że praktycznie nie wiedział i nie mógł wiedzieć niczego pozytywnego o sobie — zupełna nieobliczalność. [Było jedno wyjście: wyrzeczenie się życia na zawsze. Ale do tej konieczności nie doszedł jeszcze]. A przy tym ten obcy świat, po którym szedł teraz jak tułacz i wędrowiec (ten widziany na obrazku w dzieciństwie: las, ktoś brnie po śniegach, a u góry w „laurce” siedzi zadowolone towarzystwo przy kolacji, zdaje się nawet przy wilii: dymiące półmiski i wisząca lampa, to, to chyba było już kiedyś). Teraz zatęsknił pierwszy raz do matki — pierwszy, od czasu przyjazdu. Przekonał się, jak wielkie płyty potencjalnych uczuć zostały już zajęte przez tamtą babę — kto wie, czy nie na zawsze. A może będzie tak nawet po jej „ustąpieniu”: wyobrażał sobie ją w postaci ołowianych żołnierzy na kartach anatomicznego atlasu — spustoszone na zawsze okolice, na których ziemi nic już nie wyrośnie.

Robił się świt coraz jaśniejszy. Więc tyle czasu trwały te tortury! Przecież coś postanowić trzeba. Wiadomo było, że żądzą wybuchnie najdalej po obiedzie z upiekielnionym, nieznanym natężeniem. Drażniący obraz spał, ale mógł się zbudzić lada-chwila. Aha — więc dobrze: nigdy do niej nie pójdzie. I zaraz myśl: przecież można tego nie traktować na serio: nie kochać, udawać, a chodzić tak jak do jakiegoś burdelu wyższej kategorii, nie wkładając tam nic, prócz tego... I również zaraz odczuł kłamstwo tej myśli, wciągającej go w bagno wyższego rzędu, z którego już wyjścia nie ma — chyba poza życie. Nie — z pewnymi upodleniami żyć nie można. Coś było w nim „ludzkiego” mimo całego zniszczenia, coś ostało się w tym szalonym rozbiciu na spokojnej wodzie. Nie wiedział biedaczek, ile biedną księżnę kosztowało wzniesienie rafy, na której się rozwalil — wściekał się na krzyczącą niesprawiedliwość, zapomniawszy o swoich bądź co bądź podłych myślach. Jakże „gorąco” żałował, że dokonał na sobie tamtej ratowniczej, przeciw-gnilnej, obrączkowej (wąż kłuszący się w ogon) operacji — po prostu, że się „zsamił”. Zyskał spokój sądu (chwilowy), ale za cenę niebezpiecznego poddania się na przyszłość. Dlatego nie był pewnym siebie. A jeśli to buchnie z tą samą siłą, co wtedy, kiedy patrzył na nich, tarzających się przed nim w bezwstydzie? I to ten nauczyciel złego, ten właśnie Toldzio w tej sytuacji i on, korzystający z dziecięcych nauk, kiedy tamten... — — Co za hańba! On przecież musiał wiedzieć o wszystkim zawczasu. Ten potwór podniecił go pewnie opowiadaniem. Aa! Aż jęknął „w środek” z nieznośnego bólu. Ból ten drylował go jak kartofla, unicestwiał, zostawiając cienką skórę duchową, jedynie aby nie „stracono” poczucia osobowości — reszta to była jedna bolesna i łaskocząca Nicość.

Nie wiadomo czemu przypomniawszy mu się po raz pierwszy ta Eliza, którą poznał na pierwszym wieczorze u księżnej i wtedy nawet nie zauważył: to jest: pomyślał o niej jako o możliwej żonie, ale cóż to były za bladawe i nieistotne wymiary. A jednak mimo to — rzecz dziwna — obraz jej utrwał się i nabierał barwy na tle obcego, pierwszy raz jakby widzianego boru, szumiącego głucho od powiewu słabnącego orawskiego wichru. Skrawek księżycy wschodził na tle zielonkawego nieba pośród z lekka burawo-różowiejących obłoków, szybko sunących na wschód. Jakieś przeznaczenie wypisywał ktoś wielki i nieznanym i w dal uchodzący razem z tym wietrznym rankiem (który podziwiał się nie wiadomo gdzie) na dziwniejącym w rozjaśnieniu świecie, niewidocznymi znakami. Ale znaczenia ich groźne, nieme, a wołające, były w nim samym i rozumiał ich sens wiekiuisty na dnie całej ohydy obecnej, trwającej niepodzielnie w najdalszych, uprzestrzenionych zakamarkach czasu, aż po wieczność samą. „Nie szukać ratunku świadomie — muszę uratować się sam”. Fakt wchłonął się w wielkość przeznaczeniowej chwili w krajobrazowym ludzimmerskim sosie. Jakby olbrzymie, śmiertelnie znużone bydlę legło i zaważyło się na odlegle horyzonty, które, w braku czegoś lepszego, reprezentował teraz daleki, smutny, obramiony ponurymi lasami widnokrąg ludzimmerskiego pejzażu. Urok mały i nędz-

ny (ale przecie) wytrysnął z wyschniętych, ochlapłych cyc bytu, daleko gdzieś za górami bezwładnie leżących. I zaraz potem okrutna rozpacz, że coś stało się nieodwołalnie, nieodwracalnie, coś beznadziejnie nie-do-odkupienia: nigdy już nie pozna prawdziwej miłości — nigdy, nigdy... Pierwszy raz pojął sens tego przepastnego słowa i pierwszy raz również śmierć nadleciała z nieokreślonego osobistego zaświata i przedstawiła mu się oficjalnie — nie jako opromieniona jakąś wątpliwą sławą bogini, tylko jako pedantyczna osoba, nieco męska, porządkująca wszystko, dogłębnie starannie, do okropności nudna, autorytatywna w nauczycielski czysto sposób, nieznośna — śmierć, jako trwanie w doskonałej Nicości. Umarło dookoła życie, zgaszone jak mała, nikomu niepotrzebna lampka — nie było w tym nic z wielkości. Zasunął się w zmęczonym łbie czarny szyber jak w piecu, czy w fotograficznej kasce — z tej strony były były, niedorosełe uczucia — z tamtej: na czarno kielkująca myśl na obrzydłym ugorze zwątpienia. Szlus — fajt i — narodził się nowy Zypcio. Ten fatalny wieczór-poranek bez nocy, niezależnie od tego, czy wróci do tej megiery, czy też będzie miał siłę ją przezwyciężyć (teraz rozumiał, że był to tylko „trick” i że drogę do powrotu ma wolną — to było najfatalniejsze), ten choleryczny, astronomicznie wyznaczony wycinek czasu, a nie te poprzednie, raz na zawsze oddzieliły go od możliwości prawdziwych uczuć. Zakłamało się wszystko tak, jakby się zapociły szybki wewnętrznych kompartymentów — wilgoć, a za nią brud, a potem smród psychiczny i łapy zababrane w świństwie — już nic czystego i pięknego wziąć w nie nie potrafi — na wszystkim będą ślady wstrętnych paluchów, dobre dla daktyloskopii duchowych zbrodni na ostateczny sąd — każdy ma w którymś miejscu życia taki sąd, tylko że o nim czasem nie wie. Chociaż, gdyby tak jakaś straszliwa, „strzelista” pokuta, a nade wszystko absolutna pewność w tej chwili, że *tam* nie wróci — („tam” to była nie ona, tylko raczej *to* —) — no, jeszcze sekunda wysiłku, noo! up! yyy... (jak drwale w lesie) — ale pewność ta nie nadchodziła, mimo że ją wyduszał wymykającą się wolą ze wszystkich porów ducha. Nikt nie pomógł i dookolny krajobraz też: niebo uciekało w dal z wichrem, obojętne, nie tyle wyższe, ile inne, obce takim sprawom (a może gdyby był słoneczny poranek, wszystko poszłoby inaczej?) — ziemia była nieprzystępna, wroga, kolczasta. Przebudził się nareszcie jak w rowie goły pijak, co wszystko stracił wczorajszego wieczoru w niepamięci odurzenia. Trzeba było zaczynać na nowo.

SPRAWY DOMOWE I PRZEZNACZENIE

Było widno już całkiem i nawet przez lekkie chmury świeciło blade, żółtawe, trupie słońce, kiedy Genezyp wchodził boczną furtką do lewoskrzydłowej przybudówki pałacu, gdzie mieli teraz swoje nędzne trzy pokoiki. Pomyślał o Lilian z jakąś tkliwością niepodobną do niego, a potem o matce. Może by tak zrobić taki słodkawy, dobrawy, łzawy kompromis i powiedzieć wszystko „mamie”, i być dobrym, bardzo dobrym (dla Lilian też), to może przecie odwróci się to wszystko i on pokona tego potwora, którego część jedna została tam, w zamku Ticonderoga, a druga, z tamtą w jedność złączona, wrośnięta była i wpiła w najistotniejsze podstawy zła jego zwierzęcej osobowości. Nigdy jeszcze nie czuł rozdwojenia w tej potędze, co teraz. Po prostu fizycznie: prawa połowa ciała i głowy (wbrew teorii fizjologicznej zresztą) należała do innego człowieka, który jednak był bezsprzecznie nim samym — tylko bowiem na podstawie bezpośrednio danej jedności osobowości możemy skonstatować rozdwojenie: nierównomierność przemieszczenia pewnych kompleksów w ramach tej jedności. Ta prawa strona to była jakaś stalowa łapa draba wymierzona przeciwko czarnej potędze życia — lewą stanowił trup dawnego chłopczyka, zmieniony w lubieżne kłębowisko robaków. Obojętny, bezwładny „oberkontroler” nie wiedział nic, co te części poczną — unosił się nad nimi, jak „duch nad otchłanią” — „*au commencement BYTHOS était*”. Do matki, tylko do matki (tam była jedność początku — ojciec stał jak groźny cień [widział go na chmurach] na pograniczu tych światów, rozrosłych do wielkości całego świata i *groził* życiem — takim, a nie innym, jakiego chciał on i koniec), do mamy, jak za dawnych czasów, jako do tego wszechsyndetikonu, który wszystkie spęknięcia (nawet te, odsłaniające przepaście nie-do-zasypania), skleić może. Nie oceniał Zypcio *uroku ważności* samego siebie, nędznego pyłka — byłby się cieszył tą chwilą jak dziecko — ale był właśnie dojrzewającym w sztucznych, skonstruowanych przez ojca inkubatorach, młokosem. W tym była ostatnia, dość obrzydliwa na tle zajęć

ostatnich, słabość. Matki powinny być wykluczone z ogólnokobiecego świństwa, szczególnie w tak „demonicznej” przyprawie. Trudno — tym razem nie dało się to ominąć.

Ale i tu spotkała Zypcia kłęska — „Bóg dał mu nowego szprycy” — jak mówił Tengier. Zjrzał do pokoju Lilian — (drzwi były jak zwykle otwarte). Spała skręcona, z rozchyłonymi prześlicznie wyciętymi ustami (pierwsze teraz, drugie stale oczywiście) i rozrzuconymi na poduszce złocistymi „włosyma” — tak pomyślał. Coś jakby erotycznego drgnęło w nim w stosunku do siostry — gdyby nie było tych innych bab, tylko ona jedna — (już tamta rozmnożyła mu się w wielość, w babisko [węzowisko], w babieniec, w „wsieobszniejsze babjo”) może by świat był czysty. I zaraz połączyła mu się Lilian z Elizą i (o dziwo!) sam z nimi obiema na dobitkę się utożsamiał i strasznie, ale to strasznie pozazdrościł im obu dziewiczej czystości i nadziei na wielką, prawdziwą miłość jakiegoś wstrętnego draba, może jeszcze gorszego od niego samego. O Elizie nie śmiał myśleć dalej, a może po prostu nic go ona nie obchodziła w tej chwili — była symbolem. „Psychologia kobiet w ogóle jest nieciekawa — co tu o tym gadać” — przypomniało się zdanie Sturfana Abnola i doznał niezmiernej ulgi. Banalny kamień spadł mu z owrzodzonego serca. (Chwała Bogu, bo czekała go rzecz straszna). Wściekle pożałował swojej niewinności. A obraz tamtej rozwalonej bestii, która może teraz z tym otrutym hyperjohimbina Toldziem, po nie wiem raz który... — o! to nie-do-zniesienia!! I to obraz na tle „twarzyczki” Lilian i tych myśli. Żgnęło go jak rozpalonym prętem od prostaty aż do mózgu. „Do mamy, do mamy” — kwilił w nim ohydny, chłopiący głosik. I ten brał Zypcio za najgłębszy głos samego dna sumienia swojej istoty.

Pchnął drzwi do pokoju matki (były otwarte) i zobaczył ją prawie całkiem naga, śpiącą w objęciach śpiącego również i na blond rudawy włochoatego Michalskiego. *A nom d'un chien!* — tego było już za wiele — to już jak chcecie jest pewna przesada pechowatości — tak po prostu nie można.

Zółtawe światło „sączyło się” przez nędzną białą firanekę, modelując delikatnie grupę w łóżku. Wyglądali jak posągi. Gdzieś sobie stały obojętnie na jakichś postumentach czy piedestałach i nagle nie wytrzymały i splotły się — coś tak nieprawdopodobnego było (dla Zypcia oczywiście) w tym połączeniu. Patrzył na to z zimną ciekawością niezrozumienia (czy nawet „niezrozumiałstwa”) jak człowiek, który dostawszy straszną wiadomość, uderzony jej ciosem, nie rozumie jeszcze dokładnie jej sensu. Mózg w postaci grajcarekowej spirali wkręcał się w wierzch czaszki — jeszcze chwila — a wytryśnie aż do sufitu i ochłapie idiotyczne oficynowe plafonowe ornamenty. Na to postawił nieboszczyk papa Kapen tę przybudówkę dla jakichś oficjalistów, aby syn wydziedziczony ujrzał w jej „ubikacji” własną matkę, śpiącą w „miłosnym” omdleniu z likwidatorem całego interesu. Widocznie, najwidoczniej, upili się do nieprzytomności i zasnęli, nie wiedząc, gdzie są i kim są oboje, po straszliwych uniesieniach długo hamowanych uczuć. Na stole koło łóżka, nakrytym kolorowym obrusem (pani Kapenowa nie uznawała dysharmonii i sprzedawała wszystko, co tylko miało pozory dawnego zbytku), stały owoce, kanapki, jakiś biedny majonez, pusta butla dzikowskiej wódki z wielką Leliwą i hrabiowską koroną na etykietce³ i dwie *niedopite* butelki wina. Przez dziwną delikatność nie było piwa — młody herb Kapenów (innego piwa przecie pić w Ludzimierzu wprost nie było można) byłby szczytem dysonansu w tej kombinacji, a nalepek na fiaskach dotąd nie zmieniono. Formalna orgia — i to teraz właśnie musiał widzieć to Genezyp, kiedy jak na złość, jak nigdy, potrzebował pomocy matki, jako antydotum na życiowe świństwo. Skurczył się (skurczybyczył się (?)) cały spalony wstydem od wewnątrz, niby tysiąc-woltowym prądem. Zbladł zamiast się zaczerwienić. Zobaczył „ciepłe”, brązowe, błyszczące majtki matki, na zielonej kanapce w kącie pokoju. I to teraz, teraz...! Nieubłagana nienawiść zalała całą jego istotę, wypierając wstyd i wszystkie inne wznioślejsze uczucia przez policzki w powietrze, pełne zmieszanych zapachów — między innymi cygar. To ten niepach czuł już w pokoju Lilian i nie wiedział... Za chwilę wstyd, już zobiektywizowany, łomotał w rannym wietrze za oknem — już rozprzestrzenił się w antycypowanych ludzkich gadaniach. Czyż jest coś ohydniejszego jak to, co ludzie gadają jedni o drugich — poza krytyką literacką oczywiście, tą o której z pianą u pyska mówił Sturfan Abnol, tą wywlekającą autora z utworu

³butla dzikowskiej wódki z wielką Leliwą i hrabiowską koroną na etykietce — dzikowska wódka pochodziła ze znanej przedwojennej gorzelnii mieszczącej się w Dzikowie (dziś część Tarnobrzega), jednej z rodowych siedzib Tarnowskich, używających herbu Leliwa. [przypis edytorski]

i imputującą mu wszystkie świństwa popełniane przez „bohaterów”. Łatwo Abnolowi było napluć na krytyki durniów, ale Genezypowi na gadania o matce nie — — A zresztą *to była prawda*. Gruchnął w przepaść — staczał się już od wczoraj. Gdzież były niedawne metafizyczne wzruszenia? — nawet „miłość” jego do księżnej wydała mu się czymś wzniosłym w porównaniu z chwilą obecną. Niedoceniane podstawy życia zeżarł jakiś potworny pasożyt — waliło się wszystko.

Michalski chrapał z lekka, a matka pykała, jak gdyby paliła fajkę. Iskierka współczucia zabłysła na czarnych zwałach nienawiści, jak ogień, sygnalizujący pomoc dla wiszących na skałach niedostępnego szczytu w ciemną, mroźną, wietrzną noc — i zgasła zaraz. Bo proszę bardzo: gdyby nie tamten widok sprzed paru godzin i tak dalej. Ale te dwa obrazki nałożone (*hyperposés*) jeden na drugi, zestawione razem jak w jakimś atlasie, objaśniającym książeczkę o konieczności życiowych rozczarowań — to było już ponad siły. A wytrzymać trzeba było koniecznie. Wiązania wewnętrzne jak na złość trzymały ohydny bombę, która tym pękała, że pęknąć właśnie nie mogła. Bo w jakiż właśnie sposób pęknąć by mogła? System pęknięcia, użyty w łazience u księżnej Iriny, był tu nie do zastosowania. I to ona, ta piękna mama, która posiadała przynajmniej bezsprzecznie tę właściwość, że za nią nie trzeba było się w żadnym razie wstydzić! A taki pasztet! To nie miało stylu, to było wprost wstrętne, po chamsku wykonane, z tym Michalskim w dodatku, na „wciornaści”, na „trzystaście diabłów zjedli”! Karczemna fantazja. Może innym razem, może za lat parę (on nie mógł pojąć tego, że ona nie miała i nie ma czasu, podobnie jak Irina Wsiewołodowna) i nie w *taki* poranek (co za egoizm!), to właśnie za imponowałyby Genezypowi jako coś stylowego właśnie, coś w swoim rodzaju wielkiego, właśnie jako wypełnienie prawa pozwolenia sobie na wszystko. Ale dziś był to fakt ekskrementalny w najwyższym stopniu, trujący nieznanymi ptomainami na tej samej linii, co dawka trucizny nocnej, fakt plujący w twarz, babrzący ostatnie, ukryte na dnie jaźni (w środkowym kółeczku) nierozpuszczalne kryształki szlachetności, fakt łamiący opór wobec potworności życiowej na wszystkich frontach od razu. Teraz zrozumiał, czym była matka — prawie nie istniejąc dla niego świadomie, stanowiła podstawę, na której, nie wiedząc o tym, budował nieomal wszystko. Teraz wyrosła, zolbrzymiała, ale w dół, jako wyrzut, jako żal za tym, czym być już nie mogła w wyższych kondygnacjach ducha. Za późno. Ale wyjście jakieś zawsze się znaleźć musi, o ile się nie może pęknąć i zwariować, a żyć się przy tym chce. Wyjściem takim jest *współczucie* (brrrr...) a za nim: a) mdła dobroć, b) poświęcenie, c) „bohaterskie” wyrzeczenie się tego, czego zdobyć nie można i d) kłamstwo, kłamstwo bez końca, gruntownie zamaskowane, wysublimowane, wzniosłe, wciągające jak bezdenne bagno. W dobroci też rozkładają się ludzie na żywe trupy i to aktywnie i pasywnie — „rozpusta Dobra jest czasem gorszą od zbrodni” — tak powiedział kiedyś Tengier. Ale to nie groziło Zypciowi na dalszy dystans — nieświadomie użył współczucia jako chwilowego środka — jakby zażył aspiryny.

Ale skądże znowu ta nieszczęsna matka mogła się domyślać, że tak zmasakruje tego biednego, kochanego chłopczyka — (tak jakby zza węgla jakiejś podejrzonej budy, pełnej brudnych prycz i drabowatych, chrypliwych głosów, buchających z ciemności, wymierzono mu zdradziecki cios, gdy szedł zapatrzony w gwiazdy — nieprawda! — gdyby przynajmniej tak było. A tu: gdy szedł wpatrzony w gnijący mu w oczach „metafizyczny pępek”). Nie miał jeszcze techniki „uuroczania” każdej chwili — na to trzeba być mądrym starcem. Mógł widzieć księżnę jako czerwoną, demoniczną gwiazdę, zachodzącą nad nieprzebytym moczarem straszliwości (interesującej) choćby w sobie. Widział ją i czuł jako cuchnący (okropne słowo — śmierdzi na sucho) worek flaków, miotający mu się w twarz i zasłaniający życie, worek, w który — niby go odpychając — chciał się wpić zębami jak buldog. Gdyby spotkał matkę na rogu ulicy jako prostytutkę, może nie byłoby to takie straszne, jak ten bezczelny i pociągający swoją monstrualnością widok. Dwa lubieżne obrazy zły się w jeden i było to jak nieodbite uderzenie w twarz, obelga nie-do-zmazania na całe życie. Jakaś chomowata łapa kiwała z dna tego grzęzawiska na znak, że pomoże, jeśli się jej porządnie zapłaci. Czym? Był goły — nie miał „przy sobie” nic. A nawet tam dalej zdawało się, że nie ma „sumy psychicznej” zdolnej opłacić cenę wywindowania się z tego upadku. Czekala jedynie męka. Ale młodość nie znosi takich stanów, chyba że jest się artystowatym sflaczańcem, takim tytanem znaczków na pięcioliniach w rodzaju Tengiera, którego nie czepia się żaden brud życiowy, bo się ukoniecznia, transformując

na tak zwane „artystyczne konstrukcje” — uświęca się i usprawiedliwia w innej sferze, jakościowo od życia różnej, z nim jako takim niewspółmiernej. Nie miał Genezyp tej rezerwy, bo nie było w nim nic nawet z pseudoartysty: żył aby żyć, jak bydlę pierwsze lepsze, jeśli nie gorsze. Trzeba było szukać oparcia w rzeczywistych uczuciach.

I nagle ohydnie rozślonecznił się od środka i pożałował szczerze, plugawie, po prostu, łzawo i sympatycznie, pożałował i matki, i zmarłego ojca, i śpiącej Lilian, a nawet tego wstrętnego, chrapiącego Michalskiego (Józefa). Bo jak mawiał Tengier, trawestując Słowackiego: „są poranki cudne, gdy człowiek się budzi pełen miłości kwietnej do bydła, a nawet i do ludzi”. Ocknęły się w nim arystokratyczne przesady, ale na krótko. (Żeby matkę gwałcił w jego oczach ktoś z „ich sfery”, może by nie istniał wtedy problem wstydu w takim natężeniu. Niesłuchanie wstrętne była mu ta myśl). Żal tych istot, zażgnawszy się u ostatniego wiórka sentymentu, wysterkającego już nad samą nie-do-przejścia z powrotem przepaścią ostatecznych zwątpień w życie, obejmował swym brudnym płomieniem składy nagromadzonych w czasach szkolnych, dotąd martwych uczuć. One to były rezerwą w tej ostatniej chwili i to zawdzięczał znowu ojcu, jego piekielnej tresurze, pod której ciśnieniem tamte warstwy zachowały się aż dotąd niezużyte w stanie pierwotnym. Nie wiedział, że na swoim nocnym stoliku już ma wyrok na przyszłość, źródło nowych utrapień i potęgi i to też z woli tego przemądrzałego, wesołego starca-papusia. Swoim własnym cierpieniem, wstrętnym bólem własnego ciała, zmierzył głębię cierpienia matki przez te wszystkie lata. Jakież męki przejść musiała, jeśli odważyła się na coś podobnego, jak „papojka” z tym (niesłuchanie inteligentnym podobno) blond-drabem, w dwa tygodnie zaledwie po śmierci tamtego jej kata, tuż obok pokoju córki. (To pewnie po tym balu wszech-stanów w fabryce, na którym była Zuzia). A może nie było w tym nic strasznego? Już przebaczał i jej, i jemu (ratując się przy tym gwałtownie z własnego błotka), a nawet — przez perwersję stanowczo a nie wprost — może już wdzięcznym był Michalskiemu, że ukoił męki tak dawnego niedosytu bądź co bądź tego tak strasznie kochanego „dla niego” (a nie przez niego — oto różnica), prawie świętego ciała. A to, że tak to rozumiał i że jednak wznosił się ponad siebie w tej ciężkiej chwili, czyż możliwości tego nie zawdzięczał tylko i wyłącznie księżnej Irinie i — ojcu. Dziwny splot. Znowu pokochał na chwilę tamtą babę.

Ale trzeba było ratować matkę przed czymś gorszym. Zbliżył się i wyciągnawszy rękę ponad zwalistymi, rudawo-włochatymi mięśniami tamtego, dotknął jej nagiego ramienia. Czarne, węgierskie oczy odchyliły sine powieki i wzrok-krzyk przebił gęstą atmosferę tej nowego typu kamery tortur. Już nie było czasu na analizę zapachów. (Czort wie, co w tych rzeczach jest idiotycznym przesądem, nieistotnie, przypadkowo nabytym, a co prawdziwą, istotną moralnością gatunku bez żadnych jakichś tam metafizycznych sankcyj. Dziś etyka tego nie potrzebuje — społeczeństwo samo zastępuje wszelkie zaświaty. Można być zakutym materialistą i dobrym jak kaczodziób człowiekiem). Tamten spał dalej, ale przestał chrapać. Genezyp mówił prosto w te najdroższe oczy, które oglądał jakby przez mikroskop z teleskopowych odległości.

— Nie mów nic. Ja idę zaraz do siebie. Koniecznie musiałem cię widzieć. Nawet chciałem mówić o sobie, ale teraz nie warto. Ale nie myśl, że to pogarda. Nic takiego. Wszystko rozumiem. Nie gniewam się o nic. Sprzątnij go jednak czym prędzej. Tak może jest lepiej. — Wstyd, zwierzęcy strach, zadowolenie z przeżytej rozkoszy mimo wszystko — (to odczuł jako swoje dziedzictwo z niej poczęte — ten cynizm na dnie) i bezgraniczna wdzięczność dla niego, że on tak właśnie... Głowa rodziny — kochana główka rodziny. W wylewie dobrych uczuć zanurzyli się we wspólne bagno, a mimo to wzniesli się o jakie parę centymetrów ponad siebie. Tak było dobrze. Michalski, piękny nawet w tej chwili zamierzchły pepeesowiec, mistrz w organizacji robotniczych spółdzielni, leżał dalej spokojnie, śpiąc jak dziecko, jak miłe zwierzę domowe. Dziwnie bezbronny był w tym stanie — mógł wzbudzić prawie że litość. A w objęciach „dzierzył” prawdziwą baronową, hrabiankę z domu. Nie mógł obudzić się w tej chwili — to byłoby już zbyt potworne. Nikt nie wierzył w możliwość tego faktu: ani Zypcio, ani baronowa. Bądź co bądź miał takt pewien (mimo notorycznego chamstwa) nawet we śnie.

— Nie gniewaj się. Ty nie wiesz. Tam masz rozkaz wojskowy na stoliku nocnym — szeptala matka przywalona potężną, bezwładną, nieświadomą łapą kochanka. — Idź już. — W tych dwóch słowach wypowiedziała wszystko. Byłoby to trudne dla aktorki, ale

rzeczywistość umie nadawać głosowi niepojęcie zawile intonacje — nawet w wypadku dwóch nędznych sylab. Genezyp pogładził ją po głowie i odszedł z dziwnym uśmiechem. Ani się domyślał nawet, jak piękny był w tej chwili — przez *świadomą* dobroć jego orzechowych oczu przebiegał się *ciemisty odblask* skłębionego bólu, usta sztucznie zacięte rozwałwał wewnętrzny upadek w kształt pękającego od słodczy owocu, pełnego tajemnego jadu. Miał twarz usłużnego kelnera (ale z zaświatów), zmieszanego ze strąconym z jakiejś (czyż nie wszystko jedno) świętej góry półbogiem — natchnionego wariata i występnego chłopczyka. Niepodobny był do siebie zupełnie. Tajemne szaleństwo, gotujące się w pieczarach ducha do wylotu, rzucało na jego rysy złowrogi cień. Nie wiedział, co się z nim dzieje — ale był z siebie zadowolony. Mówił nieswoim głosem, nie rozumiejąc jej słów:

— Zdawało mi się przez chwilę, że jestem starcem, że mam 90 lat. Nie ma mnie tutaj — jestem wszędzie. To tylko przypadek, że tu... Jestem szczęśliwy. — Na twarzy matki odbiło się zniecierpliwienie. — Ubierajcie się prędkiej. Lilian może się obudzić. — To mówił już jakiś automat — nie on.

Minął śpiącą siostrę, której poza nie zmieniła się ani na włoskę. Zdziwiło go to niezmiernie — zdawało się, że od chwili wejścia tu upłynęły wieki, a ona spała zupełnie tak samo, jak dawniej. Przeszedł do siebie i znalazł na białolakierowanym, tak zwanym w tych stronach „nakaśliku”, obok zsiadłego mleka i ciasteczek (jakże był szczęśliwy teraz, że przebaczył matce i to — och, co za szczęście! — dawało mu nową siłę w stosunku do tamtego zła, czyhającego na niego w brudnych płciowych zakamarkach [miłości przecie nie znał — czego się oburzać, a?]) i zobaczył, zobaczył obok dawnych zwykłych ciasteczek rozpieczętowany dokument urzędowy. Dziwna chwila przeszła — szaleństwo cofnęło się aż poza płciowe przegrody, w głąb samego ośrodka jedności i czyhało na *swoją* chwilę dalej. Czytał, a w głębi przyszłego życia majaczyła mu, rozpierająca tę przyszłość, władcza postać ojca — widział go takim, jak ostatnim razem: skrępowanego chustami tytana we fraku z orderami — tak kazał się pochować.

W dokumencie stało:

„Niniejszym w przeprowadzeniu przewodu rozporządzeń M. S. Wojsk. L. 148526/IV A i L 148527/IV A rozkazujemy, aby Genezyp Kapen de Vaház wstąpił dobrowolnie na przyspieszony kurs oficerski Szkoły Wyszakolenia Wojennego, zaczynający się 12 kwietnia b. r.

[Podpisano (maszynowym pismem)]

Kocmołuchowicz, *gen. kw. m. p.*

Z oryginałem zgodnie.

Generalny Adiutant kwatermistrzostwa

kapitan... (podpis nieczytelny)”.

Jakby w łeb dostał Genezyp tym nazwiskiem. To go złapał. Więc ON wiedział o jego egzystencji?! Jak Bóg w bajce góralskiej, który wiedział o robaczku zamkniętym w kamyku na morskim żdziarze. Przypomniała mu się ilustracja bajki: śmierć, szukająca kamyka na tle piętrzących się bałwanów. Oto ojciec zza grobu podał mu, w tej strasznej chwili zawalenia się wszystkiego, swoją pulchną, a potężną łapę. Genezyp uściskał ją zębami, całym ciałem wpił się w nią w myśli. Teraz łapa ta zaciężyła definitywnie nad całym życiem. Jak potężny lewar wyciągała go za uszy z bagna. Ale w tym nowym uczuciu dla ojca (wiedział przecie, że to nie kto inny musiał wpłynąć na Kocmołuchowicza) nie znalazło się potępienie dla matki (która musiała w tej chwili właśnie budzić tę swoją pół-pijaną „maszynę dla samozadowolenia”). Zrozumiał, że jednak dla matki musiał to być też kompromis, analogiczny do jego upadku w stosunkach z księżną Iriną — a jednak mniejszy: musiała to być zaprzeczeniem pewnych tylko istotnych dążeń w życiu (konflikt z uczuciami religijnymi i rodowymi chociażby), ale nie zabiciem miłości. Ale życie matki kończyło się, gdy jego... Teraz miał podstawę do walki z potwornością, wcieloną w tamten kałdub, kałdun, bebecz — już nie ciało. Zapomniał o tym, że to coś, czego się bał i pożądał, ma

też duszę, biedną duszyczkę, umęczoną nadchodzącą starością. Z okrucieństwem tylko co przypadkiem zdobytej siły zabijał tamtą bądź co bądź wielką damę w sobie, kopiając ją, opluwając, bezczeszcząc. Nie czuł, że niszczy tym i siebie, i ten ogonek siły, za który ledwo co się uczeplił. Postanowił, że teraz nosa nie wytknie poza rodzinny kompleks: matka — nawet w połączeniu z Michalskim, jeśli już tak trzeba — (o — właśnie zamknęły się cicho drzwi za nieumytym, nieogolonym, „na chybcika” ubranym, skacenjamerowanym kochankiem — zionął wodą, ale był piękny i do tego taki byk); siostra — teraz zrozumiał całą wartość tego, że miał bądź co bądź siostrę — ona będzie jego pośredniczką dla zdobycia prawdziwej miłości. (Kiedyś Toldzio wyjawiał mu na ten temat jakieś zazdrości, ale była w tym duża doza perwersji — teraz widział to Genezyp jak na dłoni). Matka, siostra i koniec. I niech nikt nie waży się wkręcać w to swoją nędzną (koniecznie nędzną) osobę, — tak, z wyjątkiem Michalskiego. To będzie jego, Genezypa, pokuta, że właśnie pozwolili matce na ten luksus, a może na większy jeszcze. Niech puszcza się stara, niech użyje życia — nie miała przecie tego, co tamta. A się wzdrygnął na to wspomnienie: potwór dał o sobie znać, że czuwa, że czeka tylko na odpowiednią chwilę, aby wpić się w jego niedoświadczone gruczoły i mózgowce centra. Ale na razie ludził się Genezyp, że wygra tę dopiero rozpoczętą bitwę. Nie wiedział, co go czekało, nie na tym, ale na dalszych frontach.

Zaraz zaczął się pakować. Jako głowa rodziny postanowił, że wyjadą południowym kurierem. Kiedy walczył z jakąś walizą, nie mogąc dopiąć klamer, weszła matka, ubrana w różowy (!) dawny zatulnik. Zbliżyła się do niego nieśmiało. Teraz dopiero zauważył jak odmłodziła i wyładniała.

— Przebacz, Zypku — nie wiesz, jakie okropne było moje życie. — Wyprostował się przed nią piękny i szlachetny.

— Przebaczam wszystko. A właściwie niegodny jestem tego, by komuś coś w ogóle przebaczać, a tym bardziej tobie.

— Ale pozwolisz, że pan Michalski pojedzie z nami. Właśnie dziś i tak miał jechać. On się nami zaopiekuje. Ja jestem taka bezradna — wiesz.... — To odbierało mu trochę uroku, jako głowie rodziny.

— Ja zupełnie wystarczająco jako opieka. — (Pani Kapenowa uśmiechnęła się przez łzy: „czyż to nie jest szczęście w nieszczęściu to wszystko”). Ale nic nie mam przeciwko panu M., ani nikomu, który mamie do szczęścia jest i będzie potrzebny. Dziś zrozumiałem zbyt wiele... —

— A ta historia? — przerwała matka.

— Skończone — burknął. Ale jakieś przykre echo z głębi jego istoty przyniosło mu zupełnie inną odpowiedź. Odbiło mu się tamtym babsztyłem jak cebulą. Ściskali się z matką długo.

Po południu mijali już okoliczne (koniecznie okoliczne) wzgórza, pędząc tak zwanym węgierskim ekspresem w kierunku tak zwanej regionalnej stolicy K. Jechał z nimi (dziwnym zbiegiem okoliczności — Liliana wcale nie była taka głupia), Sturfan Abnol, który właśnie dostał był posadę „naczelnika literackiego” (jak się wyrażał) w dziwnym nader (co to jest to słowo?) teatryku Kwintofrona Wieczorowicza. Gwiazdą tego „zawiedienija” była nieznana dotąd nigdzie Persy Zwierzontkowska, pół-Polka, pół-Rosjanka, praprawnuczka słynnego Zwierzontkowskiego jeszcze spod Somo-Sierry. Miała przy tym jeszcze jedną funkcję, ale tajną. I o tym później oczywiście.

Informacja: Sturfan z niebywałą siłą zabrał się do pozornie niewinnej jak pączek Liliany. Mimo całej ogólnej katastroficznego położenia wszyscy byli w cudownych humorach. Nawet Genezyp, nieświadomy klęsk przyszłości, pienił się jak kielich młodego, wyrosłego na lawie, wina. Rozkaz wojskowy w kieszeni to czasem dobra jest rzecz. Nie wiadomo, czy to piękne popołudnie w wagonie drugiej klasy ekspresu, pędzącego krętą linią pośród Beskidzkich Wzgórz, nie było jedną z najlepszych chwil jego życia. Zaprzyjaźnił się nawet z Michalskim, który od wczoraj jakoś dziwnie nieśmiało zaczął się do niego odnosić.

Nienasycenie

POWIEŚĆ

CZĘŚĆ DRUGA. OBŁĘD

*Poświęcone pamięci
Tadeusza Micińskiego*

SZKÓŁKA

Straszliwe czasy nastały dla Genezypa Kapena. Pocieszał się tylko tym, że takie same czasy nastały prawie dla wszystkich. Tak, tylko niektórzy, w tym ostatnim zdawało się podrygu, umieli jeszcze użyć uciekającego ogonka życia — na niego zawzięło się wszystko — i od zewnątrz, i od wewnątrz. I nie zdawał sobie z tego sprawy ten bałwan, że tkwi w samym „złotym” jądrze szczęścia (złotym w znaczeniu zorzy jesiennej nieba, żółtkłego listka osiki w słońcu, połysku doskonałego w swej formie żuka), (bo jak śpiewał czasem myjąc się marchese Stampi:

„jeśli cię nic nie swędzi i nie zanadto boli,
nie miej pretensji żadnej do najsroźszej doli”.)

w środku pestki „źrałej”, pękającej doskonałością barw jagody na tle krystalicznego błękitu przestrzeni, jagody, którą inni może tylko z lekka oblizywali, a którą on żarł od środka jak tłusty robak, raczej gąsienica, z której miał powstać mieniący się wszystkimi kolorami motyl. Ale czy powstanie? Oto pytanie. „Ja, wybierając los mój, wybrałem szaleństwo” — mógł powiedzieć z Micińskim. A do tego jeszcze wszystko przysiężone w jedną, precyzyjną w swej celowości maszynę, pchało go ku temu szaleństwu systematycznie, nieprzeparcie. Jak takie „*psychopatisch angehauchtes Individuum*” „*tombera dans un pareil engrenage*” to „*wsio propalo*”. Ale tłumaczcie to wszystko takiemu durniowi. Młodość — któż zdoła wyrazić urok tej istności, która tylko we wspomnieniu jest tak piękna, jak mogłaby być w aktualności swej, gdyby nie związana z nią, na prawie husserlowski „*Wesenszusammenhang*”, głupota.

Informacja: Kraj zamienił się w jedną olbrzymią poczekalnię, o tak szalonym napięciu potencjałów czekania, jakiego w historii dotąd nie notowano. Może zaledwie żydzy czekali tak Mesjasza, jak u nas wszyscy nie wiadomo czego. Prócz zmechanizowanej do idiotyzmu pracy każdego obywatela w jego krążku działania, głównym zajęciem było tak zwane „oczekiwanie samo w sobie” — „*die Erwartung an und für sich*”. Nawet Syndykat Zbawienia Narodowego — (raz na zawsze S. Z. N.) („Stowarzyszenie Zająców Najtchórzliwszych” — jak mówiły cienie dawnych komunistów) funkcjonował automatycznie w niepojęty sposób, zdając wszystko ze strachu przed odpowiedzialnością, na przyszłe, niewiadome czyny Kocmołuchowicza. Ten zaś, tajemniczy jak nigdy, (nikt nie wiedział, po czyjej jest stronie, i nikt nie śmiał tego badać) — walił całą swą niesamowitą energię w organizację armii, przygotowując ją do nieprzezwycięzalnych dla nikogo czynów. Kogo zechce, czy raczej *kogo raczy* wyróżnić, nie wiedział nikt, ani on sam — był zarówno tajemniczym dla siebie, jak i dla innych — a może więcej — w tym była jego siła. Nie wiedzieć czego się chce było w tych czasach wszechwiedzy i wybujałej introspekcji trudniejszą rzeczą niż wiedzieć.

Moskwa była zdobyta. Między Polską a chińską nawałą znajdował się pas „buforowych”, czy „butaforskich” Wielkich Księżstw: litewskiego, białoruskiego i ukraińskiego, w których panował chaos nieopisany i zupełnie nieciekawym. Wiadomo, jak taki chaos wygląda — (ciekawym jest tylko dla tych, co w nim są — z boku nie przedstawia żadnych punktów zainteresowania — prócz tego, „co się z niego wyłoni”, a o tym znowu nigdy nic zawczasu powiedzieć nie można). — A więc: a) tak zwane przeciąganie wzajemnie różniących się band przez różne punkty, b) problem, jakie należy mieć

danego dnia przekonania w danym punkcie i c) kwestia żarcia — oto wszystko. Reszta: stosunki płciowe, metafizyka i klimat pozostają niezmiennione. Opowiadania o tym na gębę i piórem nudne są aż do rzygania włącznie. Wszyscy Wielcy Książęta (nawet Nikifor Białosielski, Kijowski), znajdowali się już w Polsce i lizali od rana do nocy stopy S.-Z.-E.-nu, robiącemu pod siebie w przerażeniu najwyższym. Zdarzały się odstępstwa w nieokreślonej sferze programowej „*Erwartungspolitik*”. Próbowano nawet założyć stronnictwo „Oczekiwaczy Czystych”. Ale Kocmołuchowicz szybko zlikwidował tę sprawę: nie lubił rzeczy nieokreślonych — robiły mu konkurencję. Z zalanej przez Chińczyków Rumunii nie dochodziły żadne wieści. Mniejsza z tym. Dalej nie posuwały się te żółte małpy, jak mówiono prawie ze złością. Nie wiadano, że ten stan rzeczy miał trwać o wiele dłużej niż przypuszczano. Właściwie w całym kraju jedynie dobrze czuł się Kocmołuchowicz — (to było bezsprzecznie jego *peribelium*) — i może jego najbliższe otoczenie — chociaż troszeczkę gorzej. Znając jego nieustraszoną odwagę nikt nie mógł go posądzić o osobiste tchórzostwo, ale mimo to, w niektórych kołach „pobrzękiwaczy szabelką”, szeptano głucho w dzikim strachu, że powinien by tak jednak natrzeć pierwszy, zanim Chińczycy zdołają zorganizować na swój sposób Rosję. Tymczasem działy się dziwne rzeczy w tej jedynej na kuli ziemskiej krainie niespodzianek. Na skutek „wszechludzkiego” zakazu używania na wojnie gazów i aeroplanów — (pierwsze w postaci tak zwanych „gazów psychicznych” używane były w walkach wewnętrznych, drugie jedynie jako środek komunikacyjny), który wydała wszechwładna Liga Obrony Racjonalnej Wojny (z siedzibą w Caracas w Wenezueli, i którego trzymali się z absolutną ścisłością nawet Chińczycy (ci, dzięki Konfucjuszowi, jedyni dżentelmeni na naszej planecie) przemysł chemiczny i lotniczy znajdował się w zupełnym zastoju, ćwiczone u nas właściwie tylko piechotę, i kawaleria, — macierzysta broń generał-kwatermistrza, — nawet ona była z lekka zaniedbana. Armię automatyzowano z wzrastającym ciśnieniem na wszystkich piętrach. Paradne marsze zajęły prawie połowę czasu, który dawniej poświęcano ćwiczeniom taktycznym. Przypominały się carskie czasy w rosyjskiej gwardii. Liczba oficerów wzrosła niepomniernie — już na pięciu żołnierzy wypadał jeden oficer, a tu ilość oficerskich szkół powiększono ciągle. Pacyfiści obliczali, że energia zużyta na samo salutowanie szła w miliony ergów na jeden dzień, tym bardziej, że jako zbyt lekceważący, zniesiono system dwupalcowy — salutowało się całą łapą, jak przystało. Defajdyści, jak z polska po francusku nazwano „*defaite'ystów*” przepelzali bokami jak gady, szepcząc jedynie sobie wzajemnie potworne wiadomości. Sejm nie funkcjonował, budżet nie był dokładnie znany nikomu. Zaczęto coś nawet przebąkiwać o „tajnej pożyczce chińskiej”. Ale redaktora gazety, który coś podobnego w przybliżeniu tylko napisał, rozstrzelano po bardzo krótkim procederze (dla przykładu) — (czy jest coś okropniejszego z punktu widzenia tego rozstrzelanego?) — i przebąkiwacze przestali przebąkiwać — jak makiem zasiał. Sytuacja była tak dziwna, że najstarsi ludzie łapali się za głowy — ale zaraz przestawali — bo właściwie po co? Ogólna miłość i zgoda przeszły nagle, w połowie kwietnia, w ogólną wzajemną nieufność z dawnych czasów. Potężny katalizator na Wschodzie dysocjował i jonizował nietrwałe, wybuchowe związki wewnętrzne swoim kolosalnym polem napięcia, które podobno dawało się odczuwać już w Niemczech. Czuło się, że są tu wplątane siły obce, ale gdzie był ich punkt zaczepienia, nie mógł dociec nikt, bo pewni ludzie umieli milczeć gorzej od ryb, a ci, co by chcieli czegoś się dowiedzieć, nie mogli — nie mieli egzekutywy tortur. Jak w ogóle tego rodzaju stany, stosunki, poglądy i instytucje mogły istnieć, wobec opasującego nasz biedny kraj pierścienia sowieckich republik, z wylotem na do niedawna białogwardyjską Rosję, nikt pojąć nie był w stanie. A z tymi, którzy okazywali skłonności do odgadnięcia tej zagadki postępowano tak, że najśmielsi tracili na ten widok dycht i kontenans. Bo to wiedzieli wszyscy: od 1 kwiet-

nia tortury były na porządku dziennym. Ale mówić o tym znaczyło tyle, co już być dawno storturowanym. Nauczyły się więc milczeć największe nawet zafajdane zwykle plotami gaduły i najbardziej śmierdzące, niemyte pyski — milczała nawet prasa.

Genezyp mało odczuł utratę swoich niedoszłych prawie bogactw, bo nie nauczył się ich jeszcze używać. Matka pocieszała się swobodą i szatańską wprost miłością, którą wzbudziła w czterdziestokilkolletnim, niezużytym przez kobiety Michalskim. Wydobywanie z tego bykodziałacza, dzikołaka i wdowca całych wagonów dziecięcych wprost uczuć i promieniowanie rozwartą w pełni kobiecością, na co już nadziei pod koniec nie miała, otworzyło jej dopiero oczy na świat, który z suchego wiórka zmienił się dla niej w jakąś tryskającą fontannę nieznanych barw, dotyków, zapachów, pojęć, spermy i rozpierającej radości — zagrała krew przodków: grafów de Kisfaludy-Szaràs, chociaż po kądzieli. Przy czym sama rozwijała się jakby w jakiejś diabelskiej wylęgarni. Wywleczono zapyłone wymyślności, których przed wiekami uczył ją jeszcze nieboszczyk-mąż — z za grobu rozwijał i kształcił teraz szczęśliwego kochanka. Doprowadzony do ostateczności Michalski postanowił się z nią żenić, ale ona nie mogła jeszcze powziąć w tym względzie ostatecznej decyzji. Finansowo pomagali trochę krewni, ale z niechęcią, bo dawniej też byli przeciwni małżeństwu dobrze urodzonej sieroty z „tym piwowarem”. „Jak spadać w tym kierunku, to już na samo dno” — mówiła sobie pani Kapenowa i coraz bardziej zżywała się z myślą połączenia swego losu na zawsze z buchającym energią buhajem, „królem pepeesowych kooperatyw”, jak nazywano jej ukochanego Józia. Jedynie Lilian buntowała się przeciw twardemu losowi. Utrata jaśniepańskości i związanego z nią ciągłego płaszczenia się „warstw niższych”, co napawało ją, jak to teraz dopiero pojęła, ciągłą, chroniczną przyjemnością, była ciężka. Ale i ona w niedługim czasie znalazła swoją własną rówienkę pochyłą dogodnego upadku, tylko bardziej interesującego niż proste, jednorazowe „durknięcie w dół” matki — zaczęła mianowicie grywać dziecinne role w teatryku Kwintofrona (tak zwanym „Kwintofronium”), gdzie umieścił ją, po przewyciężeniu pewnego oporu baronowej, zakochany w córce jej do zupełnego „ostierwienienia”, bujny i burzący się, i nie mieszczący się ciągle w sobie, Sturfan Abnol. Postanowił wychować małą Kapenównę na swoją żonę „nowego typu” — jak mawiał tajemniczo. Mieszkali w czterech pokoikach, w opuszczonym pałacu Gąsiorowskich na ulicy Retoryka — każdy wie, gdzie to jest.

W trzy dni po przybyciu do regionalnej stolicy K. = R. S. K., Zypcio wzięty został w kluby strasliwej dyscypliny oficerskiej szkoły typu C — najpiekielniejszej — za zmarszczkę na prześcieradle kara była do dwóch dni aresztu, zależnie od okoliczności ubocznych. Nazywano ich prowincjonalną gwardią kwatermistrza, popularnie — pegiekwakami. ON SAM stawał się w tych środowiskach postacią prawie że mityczną, mimo (to prawdziwy cud) aż nazbyt realnej swej egzystencji, objawiającej się w częstych wizytacjach, po których panika zdawała się pozostawać w budynkach w postaci jakiegoś prawie materialnego fluidu. Duch jego dosłownie obecny był na wszystkich lekcjach i ćwiczeniach — wolne od niego były zdaje się tylko ubikacje laksatywne, w których oddawanie honorów zostało wzbronione. Raz jednak zdarzyła się zabawna — z punktu wojskowego historia — oto kwatermistrz wpadł do jednej z takich salek, gdzie kołem stały uprzejmie zapraszające do wypróbnień instrumenty — wpadł, by przekonać się o tym, czy odpowiedni rozkaz jest szanowany. Było pełno. Nie wytrzymali przerażeni niedoświadczeni cywile — stanęli na baczność jak jeden mąż, nie bacząc na stadia czynności swych, w jakich się znajdowali. Wszyscy dostali po pięć dni kozy. „Lubię, jak wiara w portki przede mną sra — nie będą tego robić na froncie” — mawiał wódz, pusząc swe czarne, kozackie wąsiska. Ale na tle dawnego ojcowskiego terroru dyscyplina mało ciążyła młodemu „junkrowi” (jak nazywano też z rosyjska wychowanków szkół wojskowych) — przyzwyczaił się szybko do bezsensownych procedurów (zaczął nawet pojmovać ich sens głęboki), a nawet stał się dla niego cały ten aparat miażdżenia i kształtowania na nowo, obcej armii, normalnej indywidualności doskonałym antydotum na ostatnie przeżycia — był właśnie warsztatem „beziemiennej siły” Tengiera. Z niesmakiem, nieomal z pogardą myślał teraz Genezyp o tej włochatej pokrace. Sztukę całą miał gdzieś i poniekąd słusznie — co komu z tego w takich czasach. A o ledwo zrodzonej metafizyce mowy nawet nie było — czas był wypchany aż do pęknięcia — życie szło z maszynową jednostajnością.

Pierwsze dwa tygodnie nie opuszczał embrion oficera ponurego gmachu szkoły, wznoszącego swą ceglasto-rudą masę na zboczach białych, wapiennych podmiejskich wzgórz — nie mógł się nauczyć prawidłowego oddawania honorów. Wieczorami, w *krótkie* pół-godziny wytchnienia przed obiadem, marzył o dalekim mieście i rodzinie, wpatrzony w buro-czerwoną lunę na horyzoncie, rozświetlaną czasem zielonymi odbłaskami tramwajowych iskier. „Dobrze ci tak — teraz masz” — powtarzał sobie. Rosła w nim siła, ale nie jako posłuszne celowe narzędzie, tylko jakby jakiś anarchistyczny eksplozyw, który nie chciał całkowicie zmagazynować się w wyznaczonych mu komorach — przelewało się to gdzieś w tajne, nieznanne prymitywnemu introspekcjonście zaułki ducha i tam krzepło w coś złego, nastroszonego przeciw niemu samemu i życiu. Coraz częściej odczuwał pokłady nienazwanej obcości w sobie, ale na dłubanie w rzeczach tych nie miał czasu. Tak się to gromadziło, gromadziło — aż na koniec: „trach” i... ale o tym później. Było jedno: najgorszy objaw: tworzona siła obracała się przeciw jej twórcy. Obok, na marginesie duszy, zapisywała jakaś obca ręka tajemnicze znaki, które odczytać miał dopiero dużo później. Były to funkcje tłących się w podziemiach jaźni wspomnień tamtego przebudzenia się dziwności i tamtych przeklętych pierwszych dni życia na swobodzie. (Czy nie ostatnich?) Zdawało się, że otworzyła się i zaślśniła w zaświatowej jakiejś błyskawicy jaskinia pełna skarbów, dziwów i potworności, a potem zatrasnęły się wrzeczadze (konieczne wrzeczadze) i nie wiadomo było teraz, czy to nie był sen tylko. Jakże okropnie przedstawiało się teraz to pierwsze wejście w otchłań niewiadomego, co tak nęciła tajemniczym urokiem, różnobarwnością przyszłych zdarzeń, możliwością nasycenia nieświadomych apetytów — od najniższych do najwyższych. Apetyt umysłowy, zdławiony w zarodku w ten wieczór u Tengiera i w pustelni Bazylego, nie dawał znaku życia. Już niczego nie spodziewał się Genezyp po „literaturze”, która zawierała dla niego dawniej wszystkie możliwości i niespełnione uroki życia, to nasycenie ostateczne, którego w życiu być nie mogło. Zróżniczkowało się wszystko, rozprysło na tysiące nieskoordynowanych zagadnień: od tajemniczości Istnienia jako całości — do mrocznych głębin uczuć, które ząbowały się o stającą się rzeczywistość w sposób zastraszający i złowrogi. Dwoistość — były chłopczyk i obcy mu stający się oficer — dwie te istności bełtały się obok siebie, nie mieszając się nigdy w jedną osobowość. Więc *takim* miało być to wszystko? W tym słowie zawierało się piekielne rozczarowanie. Ale czuł się też winnym sam. Od tego dnia i nocy tej zależała cała przyszłość. I co z tego uczynił? Sięgnął brudną, chłopięcą łapką w otchłań tajemnicy i wyciągnął kupę krwawych flaków. A może naprawdę był to skarbiec i on sam, przez to nieumiejętne sięgnięcie, zmarnował wszystko i nigdy już nie wróci taka chwila, aby móc ten błąd naprawić.

W tym czasie Genezyp zaczął stawiać pierwsze kroki w nieistotnej dotychczas sferze przyjaźni. Toldzio był zdyskwalifikowany zupełnie. Inne pseudo-przyjaźnie z czasów szkolnych zapadły się w nieokreśloną, nieróżniczkowaną masę przeszłości jednocześnie ze zmianą warunków życia. W ogóle cały ten czas, zdający się kiedyś tak pełnym znaczenia i barwnych przeżyć, bladł coraz bardziej i zasnuwał się szarą zasłoną na tle nowych wypadków, które jak ostrza wbijały się w świadomość, wierząc niby artezyjskie studnie w niezbadanych dotąd, pustynnych krainach ducha, dobywając z tajemniczych głębin jak wędki coraz to nowe myśli-potwory głębinowe, coraz to ostrzejsze uświadomienie istoty rzeczywistości. Ale wszystko to było nie to i nie to... „Więc to taki jest ten świat” — w zdaniu tym mieściły się całe pokłady niewyraźalnych znaczeń, których ogólną formułą mogłoby być jakiekolwiek twierdzenie, wyrażające przypadkowość w konieczności, dowolność każdego czynu na tle poczucia, że musi się być takim a nie innym w całości, w tym właśnie miejscu czasu i przestrzeni, ograniczonym niby absolutnymi prawami fizyki, a jednocześnie nieskończenie wolnym w teoretycznych choćby możliwościach, — wyrażające ogólnie kontyngencję na tle przyczynowości, obejmującą całe Istnienie wraz z niemożnością pomyślenia nie tylko Absolutnej Nicości, tego absolutnego nonsensu, ale nawet głupstwa tego rzędu, co na przykład przypuszczenie: „a co by było, gdyby mnie nie było wcale”, któremu, a nawet przypuszczeniu Nicości, logicznie nic zarzucić nie można. Prawo i bezprawie, i płynąca stąd względność, męczyły w wolnych od zajęć chwilach mózg tej oficerskiej protoplazmy. Oczywiście dla Kocmołuchowicza na przykład myśli takie byłyby nonsensem nie-do-zniesienia. Może w godzinę śmierci zaledwie zdobyłby się tego gatunku człowiek na potraktowanie serio tak wysokiego rzędu baliwerni. A iluż było już

wtedy młodych ludzi, którzy nie zdążyli (mimo pewnej inteligencji) zauważyć w sobie podobnych stanów podmyślowych, wydzielić ich jako coś odrębnego z codziennego tła zwierzęcej pospolitości. Każda upływająca chwila zdawała się już być pełną ostatecznego zrozumienia, czym jest to upragnione i wiecznie uciekające życie, a każda następna zadawała kłam tej ostateczności, przebijając nowe warstwy wewnętrzne i ukazując nowe sfery na zewnątrz, a wszystko na opak i nie tak jak trzeba. Nie oceniał Genezyp szczęścia tego okresu: męczył się ciąglą zmiennością i zwężaniem się pozornie nieogarnionych możliwości — już widział niewyraźnie klin, w który miał się zaklinować na zawsze: będzie (ogólnie) takim, a nie innym — jakim? — nie wiedział. Więc *takim* jest to życie, ciągle nieuchwytnie, wymykające się wykrętnie, kiedy już zdawało się, że się ma w rękę jego sam najskrytszy pepek czy ośrodek, z którego wszystko dałoby się automatycznie wywlec, wykręcić i wyżyć. Chodziło, mówiąc popularnie, o zasadę, z której logicznie każdy słuszny sposób reakcji na dane zjawisko można by wyprowadzić. Mimo tych wysiłków zdobycia jednolitego poglądu w sferze idealnej, zawodziły wszystkie drobne postanowienia realne, a ciągle niespodzianki zewnętrzne (oficerowie kursowi, koledzy, świat wojskowych pojęć i zwalana codziennie na głowę pakami całymi odpowiedzialność) i również niespodziewane, nie dające się absolutnie przewidzieć i opanować, reakcje wewnętrzne, napelniały Genezypa niesmakiem i wstrętem do samego siebie. Tracił nadzieję, że chaos ten kiedykolwiek da się w jakiś jednoznaczny sposób uporządkować i opanować. Ludzie, ci inni niepojęci ludzie — to był najjadowitszy problem, tak byli inni, że nie można sobie było wyobrazić możliwości porozumienia, mimo używania tych samych znaków o tych samych znaczeniach. Zypcio po raz pierwszy zaczął ze zdumieniem rozpoznawać różnorodność typów ludzkich. Dawny ojciec i „dawna” również księżna wydawali mu się teraz jedynie tworamii jego własnej wyobraźni — przekonał się, że ich wcale nie znał — tak — i nie pozna — bo z księżną postanowił nie widzieć się nigdy w życiu, a ojciec jak wiadomo umarł — otóż to właśnie: było to wiadomym, ale śmierć ta nie była śmiercią innych ludzi i możliwą jego własną — to była inna śmierć — niepełna. Stary żył w nim i niepoznawalny już w rzeczywistości rozrastał się jako nowa przepoczwarzona, ekstrapolacyjnie poza polem doświadczenia wytworzona i oczywiście sfalszowana osobowość — urastał do rozmiarów wszechwładnego tytana. Jeśli wierzył Zypcio w życie przyszłe i duchy, to jedynie w stosunku do ojca. Możliwa jego śmierć własna stanowiąca zupełnie różną od śmierci innych ludzi „istność”, była też źródniczkowana: jedna: śmierć ogólnie-daleka, symbol końca życia, której bał się czasem właśnie śmiertelnie, i ta druga, wesola, niebezpieczna, „sławna”, „śmierć walecznych”, po której zdawało się rozpoczynać nowe życie. Mimo pogardy dla sztuki i osobistego wstrętu, coraz bardziej tęsknił do wszechwiedzącego Tengiera — tylko żeby nie ta jego pokraczność i pocałunki — brrr...

Ciągła samotność wśród ludzi i poza zajęciami nawet, w największym gwarze, wytwarzała obłądne samozjadanie się w „myślach”. Nie były to związki określonych pojęć — raczej bezforemne obrazy, szkice i „obłomki” jakichś przyszłych koncepcji, znajdujących się w stanie załączkowym. Załączki te pelżyły koncentrycznie ku jakiemuś, na razie urojonemu centralnemu punktowi, co dawało pozory potencjalnej struktury całości, a niewykończoność systemu męczyła wprost okropnie — ale to strasznie. Tak by się chciało, aby tanim kosztem wszystko było takie doskonałe, uporządkowane, bez zarzutu — a tu nic: chaos, bezład, zamieszanie, klótnia poszczególnych części między sobą, awantura. Na nic nie było czasu. O, gdyby tak móc żyć pięćset lat, lub ze trzydzieści razy „pod rząd”. Wtedy dałoby się coś nie coś zrobić, czegoś dokonać. (Na tle sflaczanego tempa życia, „bieżałości”, klejkości „*milieu ambiant*” — wszystko zdawało się odbywać w becze ze smołą — wielu u nas [i Kocmołuchowicz też] doznawało podobnych wrażeń). A tak — nie warto. „*Il faut prendre la vie gaiement ou se brûler la cervelle*” — tak mawiał, cytując Maupassanta, jeden z nieprzyjemniejszych kawaleryjskich typów szkolnych, tak zwany „nieprzyjemniaczek”, naczelnik maneżu, porucznik Wołodyjowicz. Miało to dodawać ducha wychowankom. Genezyp czuł, że żyć będzie krótko — na czym opierał to przypuszczenie, sam nie wiedział, w każdym razie nie na groźniejszych wypadkach. Rok dwudziesty pierwszy wydawał mu się samą wiecznością — ale o tym później.

Szkolni przyjaciele byli bardzo nieciekawi. Jeden różowy „intuicyjny” chłopczyna, o rok od Zypcia młodszy, był dość delikatny, ale za to głupawy. Drugi — pierwotnawo-mądrawy, trzydziestoletni chłop, były urzędnik bankowy, miał faktycznie wyższe

intelektualne aspiracje, ale za to tak był nieprzyjemny w swych formach towarzyskich, że tamte zalety ginęły w nich jak małe brylanciki w olbrzymim śmietniku. Poza tym ćma pół-automatycznych, zaledwie zdających sobie sprawę z własnego istnienia, duchowych chudzieli. A wszystko to było złe, zazdrosne, pełne wzajemnej pogardy i napuszone, operujące w rozmowie ciąglymi przykrymi aluzjami i złośliwościami, na które nie wiadomo było jak reagować. Bo Zypcio złośliwym nie był i cierpiał na „*esprit d'escalier*” w formie ostrej. Nie reagował drugi raz, trzeci, czwarty, aż nagle robił awanturę o byle chamską poufalość i zrywał stosunki, co mu wyrabiało opinię „nadwrażliwego” psychopaty, jakim faktycznie był. „Zbyteczna wrażliwość” — myślał z goryczą. — „Dobrze, ale jest to wyrazem pewnej subtelności. Czemu na mnie nikt się nie skarży? Czyż ideałem naszym ma być chamstwo i niedelikatność?” Ale cóż pomóc mogły takie myśli? Trzeba było się izolować, bo „przypuść tu raz chama do konfidencji — zaraz ci na mordę wlizie”. A robić przykrości i peszyć ludzi Zypcio nie umiał wcale — był w ogóle dobry, po prostu *dobry* — co tu ciekawego można o tym powiedzieć.

O, wstrętny był ten przeciętny inteligent polski tych czasów! Lepszy już był nawet wysokiej marki dranie, lub po prostu tłum (ale z daleka), w którego zwojach i skrętach czaiła się złowroga, bezlitosna przyszłość przeżytych warstw ludzkości. Całe społeczeństwo zepsute fałszywą, amerykańską „*prosperity*”, zdobytą za pieniądze ościennych i nieościenych pół-bolszewickich państw, tych hodowców „przedmurza”, — całe społeczeństwo (powiadam) było jak zepsuty jednak tuż przed stratą rodziców i pieniędzy, który dziwi się potem, że cały świat nie zajmuje się tym, aby on miał dziś obiad i nie może pojąć, że nikogo to nic nie obchodzi. Tak też było później.

Kocmołuchowicz, wyczerpawszy w swej manii produkowania oficerów całą prawie zbywającą poza urzędami inteligencję, sięgnął już porządnie w pół-inteligencję, a nawet domacywał się wprost do sfer najniższych, do tak cwanych „duchowych batiarów”, wybierając stamtąd co najęźszych psychicznie drabów, podobnie jak Fryderyk II swoich grenadierów. Genezyp, nie przyzwyczajony do sposobu bycia tego rodzaju indywiduów, nie mógł pogodzić się z istnieniem swych trzystu przeszło kolegów, którzy mieli prawo poufalić się z nim bez wszelkich ograniczeń. A na dnie czuł do siebie za to najsroższą pogardę. Przecież był niczym i co gorsze nigdy kimś nie będzie. Nie dadzą: a) czasy, b) ludzie i c) brak czasu. Tęsknił do innych historycznych epok, nie zdając sobie sprawy, że tam byłby jeszcze gorszą może (choć kto wie?) ciurą, niż w tym okresie największej rewolucji świata — jedyne go przewrotu istotnego: absolutnego ujednoczenia ludzkości w formach nieprzewidywanych w żadnej doktrynie przeszłości: nikt nie mógł przedtem wykonypować tego, że potwór cywilizacji dojdzie do takich rozmiarów i że metody walki z nim nie mogą być wypracowane zawczasu. Niby robił to faszyzm, ale za dużo pokutowało w nim jeszcze dawnych nacjonalistycznych i indywidualistycznych pozostałości. Ograniczył się więc Zypcio do paru naiwnych masek wobec bezpośrednich swych dowódców, na szczęście ludzi niezbyt przenikliwych, a poza tym otorbił się o ile możliwości zupełnie. Dyscyplina utlaçała go powoli i systematycznie, ale tylko na powierzchni. Chwilami nawet był zadowolony, że tak od razu stał się tym niby-czymś w kręcącej się z coraz większą bezmyślnością machinie społecznej. W głębi rozszarpanych przez księżnę i niezagojonych bebeczów puchła podświadoma żądza erotycznych przeżyć. Ale Genezyp postanowił „żyć w czystości”, aż póki nie nadejdzie prawdziwa miłość — pozornie banalne to powiedzenie było najszlachetniejszą rzeczą, jaką ten nieszczęśliwy chłopak dotąd wymyślił. (Była to jednak „linia postępowania” niezależna, nie mająca nic wspólnego z całokształtem życia i jako taka bezwartościowa). Nie godził się na użycie żadnych antidotów, co było tym łatwiejsze, że, po dwóch tygodniach obowiązkowej niewoli, zamknięto go znowu na tydzień aresztu, z powodu nagłego braku umiejętności w slaniu łóżka i palenia w olbrzymim piecu szwadronowego lokalu. [Stary gmach po-hieronimicki, czy też po-pneumatycki, a dawniejszy pałac Herburtów, wciągał z rozkoszą wyziewy bardziej świeckie, ba — nawet wojskowe]. Nieściśliwie ciała byłych metafizycznych chwil, tamtych „przebudzeniowych”, ogólnie-nienasyceniowych, obłe, wyslizgujące się jak pestki, a jednak mięsisto-żywo-twarde, wymykały się wszelkiej analizie. A jednak czuł Genezyp w rzadkich i nikłych a krótkotrwałych jak daleka błyskawica letniego wieczoru jasnowiedzeniach, że tam to właśnie kryło się przeznaczenie, tajemnica całości jego niepoznawalnego charakteru. Zawsze można powiedzieć, że właściwie co nas obchodzi

taki to a taki głupniarz czy nawet główniarczyk — ale rzecz nie jest tak prosta, jak by się wydawała. Czekał wyroków od obcej potęgi w sobie, od tego swego „więźnia”, jak nazywać zaczął rządzącego wszystkim podświadomie nie sobowtóra nawet, a nieznanego osobiście, tylko z widzenia jakby, bardziej dorosłego niż on sam, pasażera w sobie. Ale jeszcze nie bał się go zupełnie — to miało nadejść trochę później. Na razie przelotny pasażer, czy więzień ów wewnętrzny, żył w sferze oderwanej, ale bliżej pojęciowo nieokreślonej. Jego myśli i przecucia ledwo zaznaczone nie zahaczały się o ruchowe ośrodki Genezypowego ciała — nie miały jeszcze odpowiednich transmisji. To ciało, pod wpływem wojskowych ćwiczeń, rozwijało się po prostu bez przesady w coś nadzwyczajnego. (Zostawmy na boku wszelkie kawaleryjskie subtelności — kawaleria dla kawalerzystów). Nie był to troglodytyczny akt, jakich wiele spotyka się w sferze sportowych maniaków: kwadratowy w barach i suchy w biodrach i brzuchu. Raczej stanowiła ta kupa organów hermafrodytyczną syntezę pewnej kobiecości z męskością, ale wszystko razem doprowadzone do maksymalnej nieomal harmonii i niepozbawione pewnej bydlęcej potęgi. Smutnie i ze wstrętem nawet spoglądał czasem na swoje wspaniałe członki (onisuakimalipans) — czemu nikt nie używa tych bądź co bądź męskich wspaniałości, czemu ta cała kupa pierwszorzędnego mięsa więdnie bezużytecznie w tej kazarmie? Może wyjdą z tego młyńskie części — każda z osobna — a nawet jako materialna całość — ale rządzone przez zabiją (tylko skończone flaki giną w takich warunkach) w dalekiej od indywidualnego przeznaczenia bezdusznej dyscyplinie, duszę, niezdolne już do dźwigania żadnej wyższej marki jedności osobowości. Daleka, wspaniała, nieznaną nikomu, chyba jemu samemu w chwili powstawania, myśl takiego oto Kocmołuchowicza, ciążyła nad każdym osobistym *wewnętrznym* losem (pojęcie losu trzeba zróżniczkować), ugniatając osobowe istnienia według swoich nieoczekiwanych skrętów i załamów. Takie dziwne! — nieprawdaż? — tam, gdzieś w stolicy siedzi sobie przy zielonej lampie taki hocheksplow ludzki i nic nie wiedząc o tym (jako takim), każe żyć w zupełnie nieoczekiwany sposób jakiemuś, uwielbiającemu go z góry, na kredyt, młodzieńcowi, na którego zwraca się „oko opatrności” (choćby w powieściowych tematach), ukazując go znowu całemu społeczeństwu jako symbol. A tak, poza paroma przyjaciółmi i rodziną, pies o tym nie wie. Jak już społeczeństwo definitywnie obejmie nad sobą władzę (czy w jakim sownarkomie, czy programowo elitycznej radzie gospodarczej — to wszystko jedno), takie stosunki niewspółmiernych dusz będą niemożliwe — będzie nudno.

Po ukończonej karze zostawały jeszcze do święta trzy dni bez możliwości opuszczenia szkoły. Zaczynało być trochę ciężko: ból w skórze, jakby lekka gorączka, genitalia rozrżnięte i bebecchy, przewalające się w swych czeluściach, ślepe potwory wysuszone wewnętrznym upałem. Życie błysnęło nagle, odległe, niedostępne i „urocze”, jak uroczą może być tylko nieznaną kobietą.

Informacja: Kurs trwał 6 miesięcy, z czego przez 3, w czasie przebywania na oddziale młodszym, wolno było wydalac się z gmachu szkolnego jedynie raz na tydzień w niedzielę i to bez nocowania poza gmachem.

SPOTKANIE I JEGO SKUTKI

Samotna myśl gotowała się w odległym od życia imbryku. Drobne duszki, niepozorne wysłanniki Wielkiego Złego, bez którego nie byłoby Istnienia w ogóle, nieznacznie preparowały piekielny dekokt, którym postanowiono, w podświadomych zaświatach i gdzieś jeszcze w dalekiej linii przodków, zatruc ten idealnie stworzony do innych warunków „organizm” młodego Kapena. Trudno.

Któregoś wieczoru, kończącego *metafizycznie powszedni* dzień, kiedy to w pospolitości właśnie widzi się najwyższą dziwność, gruntownie wyjałowiony, umysłowo wysterylizowany wojskowością Zypcio wezwany został do sali przyjęć. Już gdy dyżurny podchodził do niego, już wtedy wiedział, co to znaczy. Pękła tajemna tama, oddzielająca serce od niższych części brzucha. Sam ją, nieomal w tajemnicy przed sobą, budował, starając się zlekceważyć problemat tego związku. I bał się ciągle o jej całość. A tu pękła nagle, bo ten dureń Kwapek „zaczął” do niego podchodzić w sposób urzędowy. Okropne, nie wiadomo czemu, przecucie rzuciło sercem. Pokazała się amfilada dalekich przeznaczeń: wymuszone wypicie trucizny — do dna, do ostatniej kropelki i czarna, burzowa chmura milcz-

kiem zwalająca się na okrwawiony mózg, sterczący niby bezludna wyspa na Południowym Oceanie, w bolesnej pustce życia. Ognisty język wyższej świadomości liznął lubieżnie obnażoną, obolałą od nieartykułowanych myśli mózgową korę. To, to, to — właśnie to: wytropiono jego myśli w kryjówce, zanim zdołały się opancerzyć. Powolna egzekucja rozpoczynała się właśnie 13 maja o trzy na siódmą. Pachniał mokry bez przez otwarte okna korytarza. Tłoczył się duszący płciowym smutkiem zapach, z ciężką wilgocią pół-deszczowego, ponuro-wiosennego wieczoru. Rozpacz straszliwa załapała go po szyję, bez ratunku. Już nigdy, nigdy, — dożywotnie więzienie w sobie samym. Te mury szkolne, te mury już były raz, kiedyś w innym życiu i gniotły go tak już od niepamięci, przez pamięć (wydrzeć to!) aż do bezpamięci, do nieskończone powolnego roztopienia się w Nicości. Ale czekało po drodze małe piekielko. „Czemuż mnie wszyscy zmuszacie, abym musiał zwariować” — szepnęła ze łzami, idąc po znanych, twardych, „rycerskich”, „ostrogowych”, męskich schodach, które teraz zdawały się być zrobione z ciepłej gutaperki. Wiedział już, co to znaczy: los, w postaci niemieckiego kata z bajki, wybierał z dziecinnego pudła z prezentami jakieś figurki i stawiał mu na drodze życia. One nie żyły — to były świetnie zrobione automaty, udające do złudzenia tak zwanych „bliźnich”. (Batiarowaty starszy osobnik w dżokejce i chustce czerwonej na szyi, odsłaniającej niepachnącą, żylastą grdykę, z dużymi pręgami blizn po gruczolach). W to trzeba było pocałować i nadstawić drugi policzek — w pierwszy on już wyrzynał kiedyś. Nigdy, przenigdy! Nie kochał w tej chwili nikogo — nie wiedząc o tym, był praktycznym solipsystą. — Naprawdę dyżurny i cały świat były to tylko związki elementów Macha. Wszedł do poczekalni dla gości. Świadomie myślał, że to matka go tam czeka, z Lilian, z Michalskim — już raz tak było — *wiedział*, niższą częścią brzucha, że tam musi być jego najbezwstydniejsze przeznaczenie. Mówcie sobie, co chcecie, ale „erotyzm to *jest* piekielna rzecz — to nie można tego lekceważyć” — jak powiedział kiedyś pewien kompozytor. (Tylko nie można oddać tej jego intonacji głosu, tego przerażenia rozkoszą i tego wyrazu oczu, zażawionych ohydny, śmierdzącym urokiem). Ostatni raz wymknął się z diabelskiej równi pochyłej, wydobyty ręką ojca, wyrwał się z mrocznego „gapo”, które ciągnęło go od spodu za wszystkie mięśnie, ścięgna i nerwy. Ostatni raz ojciec podał mu rękę zza grobu. Od tej chwili wiedział Zypcio, że musi być sam, i wiedział też, że nie udźwignie (choćby miał nieludzkie nawet siły) swego losu na tamtej wyższej płaszczyźnie, wyrosłej ze środkowego kółeczka dziecinnego schematu metafizycznych przeżyć.

Na płciowym spodzie duszy zaległa już złowroga cisza śmiertelnego niepokoju i strachu. I tylko w myślowym kompartymencie zobaczył nieswoimi, zupełnie nawet cudzymi oczami JA. Jakże piekielnie była ponętna. „Młoda dziewczynka — a to bestia! Ona nigdy nie przestanie... Boże — (ten martwy Bóg!) — Wybaw mnie od tego potwora!” — szepnęła podchodząc do księżnej, która, ubrana w szaro-niebieskawo-fioletową „sukienkę”, (tzw. „*bleu Kotzmoloukhowitch*” — modny dziś błękit, koloru wprowadzonych przez Generalnego Kwatermistrza mundurów) i czarno-granatowy kapelusz, stała oparta o jeden z filarów sali. Nie było nikogo. Cisza straszliwa, głośna sobą w sobie, rozprzestrzeniła się w całym gmachu na tę chwilę. Wybiła siódma — daleko, na jakiejś miejskiej wieży, w świecie życia, szczęścia i wolności. Rozpacz tamta z metafizycznych wymiarów spelzła chyłkiem (chyłek) na ziemię i zmieniła się w głuchy płciowy ból — tak to diabeł kusi pozorami niewymiernych wysokości, aby następnie wytarzać w błocie. Butla z lekarstwem stała tuż obok — tylko sięgnąć łapą samca, w rękawiczce „chłopięcej” delikatności i nieśmiałości. [A w tej samej chwili, tam, w stolicy całego kraju, „Wielki Kocmołuch”, jak go nazywano, upapwany po łokcie augiaszowym zaiste dookolnym świństwem, które starał się zmyć ze swego kraju choćby kosztem powiedzmy diabli wiedzą czego, odczytywał raport pewnego Chińczyka, który stał przed nim zgięty we dwoje, jak człowiek skazany na ścięcie. Kocmołuchowicz rzekł: „Czy można wiedzieć, co on myśli?” Odpowiedział Chińczyk, mandaryn drugiej klasy, człowiek bez wieku: „Jego Jedyność jest absolutnie nieodgadniony. Wiemy tylko, że to jest myśl najwyższa, wszechludzka. Załatwi to, czego nie załatwiecie wy, choćbyście zwołali radę największych mędrców całego waszego świata. Wasza wiedza przerosła wielkość waszych dusz. Jesteście w mocy maszyny, która się wam wymknęła z rąk i rośnie, jak żywy stwór, żyjący swoim, samoistnym życiem i zjeść was musi. Próbowali odgadnąć myśl Jego kapłani wymierających kultów — za pomocą tru-

cizn i potęgi narzuconej woli. Dojrzał ich z oddali i zginęli wszyscy — ścięto im głowy, a winy podsunięto inne”. — Kwatermistrz drgnął i nagle skoczył do nahaja, wiszącego na ścianie. Chińczyk zwał jakimś cudem, poprzez dwa pokoje, pełne adiutantów. A ten zastygł z nahajem w ręku na środku pokoju i zamyślił się głęboko po sam pępek. Jażn jego zetknęła się z całością bytu w skurczu niewymownym, a potem z nędznym robaczkiem, z ludzkością całą. Zapłakał do środka i pocisnął guzik dzwonka, na krzywych nogach podszedłszy do zielonego stołu z paperasami. Wszedł adiutant...] Tę scenę widział Genezyp, patrząc w twarz swego wcielonego losu — może to była prawdziwa telepatia, bo rzeczywiście działo się to właśnie o 7¹³ w gabinecie wszechwładnego „Kwatermajstra”.

Informacja: Ale co to jest równoczesność i rzeczywistość? Ani fizyka, ani filozofia nie odpowiedzą nigdy (według niektórych) po wsze (wszawe?) czasy na te pytania, jak i na wiele innych. A co do telepatii, ta jest możliwa, jakkolwiek wytłumaczenie jej (czyli objaśnienie mechanistyczne) może tylko polegać na tym, że *nie będziemy przekraczać poglądu fizycznego* i będziemy szukać nieznanymi dotąd sposobów przenoszenia się energii wytwarzającej się w mózgach przy pewnych procesach i mogącej oddziaływać na inne mózgi, wywołując w nich pewne procesy. Ale tu znowu zaczyna się psychologia — możemy skonstatować pewne związki między niewspółmiernymi sferami — więcej nic. To samo stosuje się nie tylko do odgadywania myśli, ale do widzenia czy słyszenia na odległości nienormalne i z przeszkodami, o ile taka rzecz w ogóle zająć może. Ale gadania o „materializacji myśli” (!) są tak bezsensowne, jak np. teoria kalafioryzacji lokomotyw, a nawet więcej. To samo też stosuje się do wszystkich tak zwanych „zjawisk nadnaturalnych”. Wszystkie rozwiązania dowolne, kursujące dziś między publicznością, polegają na nieznanym psychologizmu (kierunku filozoficznego — nie psychologii jako nauki) i stosunku jego do poglądu fizycznego, który jest statystycznym i przybliżonym i daje się w terminach pierwszego wyrazić.

— Tak bardzo tęskniłam za tobą — (przez wielkie *T*) — nie gniewasz się, że przysłałam. — Szept spłynął najbardziej płciową drogą przez górną połowę ciała aż tam. — Musiałabym i tak przyjechać, ale naprawdę to tylko do ciebie. Ty jesteś już dorosłym — musisz wiedzieć dlaczego, ach dlaczego musiałam tak postąpić. Nie umiesz ocenić mnie teraz. Zrozumiesz wtedy, co ci dałam, kiedy mnie już może nie będzie, kiedy przeze mnie właśnie nie skrzywdzisz tej drugiej, czy trzeciej, którą będziesz kochał naprawdę — będzie ci się tak wydawać. Jednak kochałeś i kochasz tylko mnie — może na zawsze — nie wiem o tym. Nie gniewasz się? — Jak pokorna suka wygięła się i spojrzenie błękitne, „niebiańskie”, rozlane, wylupione z jądra, rozbebeszone, niechlujne, oddane aż do samego rdzenia istoty (tu gdzieś koło nerek i głębiej i z tej strony nawet) zatopiła jak ostry szpon w jego twardych oczach. Pocisk trafił, pękł, pozabijał (tylko myśli) i zniszczył jak papierową zabawkę kunsztownie, dziecinnie wykombinowaną redutę czy przyczółek mostowy. Przez wyrwę tłoczyły się długo więzione żądze, dzikie, spocone, śmierzące, rozjuszone — na niektórych brzęczały jeszcze łańcuchy, szły jak żelazne robactwo, na zdobycie duszy. Nad nimi rozpiął się błękitny parasolik, udający prawdziwe niebo — czysta, wielka miłość. Kochał ją teraz bez miary, tę biedną, starowatą dziewczynkę — jak nikogo dotąd. Nagle wszechświat rozświetlił się od spodu luną wschodzącego szczęścia — oddalone, tęskniące za sobą w męce przestrzenie (połacie, tereny?) ducha złączyły się we wściekłym, palącym uścisku. Jeszcze czegoś tak piekielnie, wysublimowane zmysłowe nie przeżył Zypcio nigdy — nawet (!) wtedy, gdy wlepiony gałami w szybę łazienkowego okna, dokonał tamtego niemrawego i gnuśnego czynu nad sobą — raczej nie: nad tym świeżo w sobie odkrytym, trochę w tej chwili plugawym gościem. Krwawa, lepka mgła oplotła i przeniknęła zwiotczałe w niezmiernym pożądaniu ciało. A przecież jeszcze nic nie drgnęło i nie podniósł się ani na włos wielki przeciwnik ducha, samotny, głupi, wszechwładny w cielesnych walkach ON. Gdzie była właściwie ta oczekiwana żądza, czyli właściwie chuć? Unicestwiwszy ciało, objęła śmiertelnym uściskiem świat cały aż w nieskończoność. Kochał tę babę zupełnie na czysto, jak za najlepszych czasów, jak nigdy jeszcze nie kochał matki, ani siostry, ani nawet ojca. Takie to czyste było to uczucie... Aż

śmieszne po prostu. „*Il fornicatore*” przemówił wreszcie, przez zalepione lubieżną papką gardło:

— Gniewać się, to mało. Ja nienawidzę pani i nigdy już... Zamknęła mu twarz, wszechwiedzącą nagą ręką — (szybko, na jedną czwartą minuty przedtem, zdjęła rękawiczkę, wiedząc, że wykona taki właśnie ruch). Odepchnął tę rękę brutalnie, ale wspomnienie ciepła i zapachu zostało: nieśmiertelne gencjany Fontassiniego trwały, mimo że świat przewrócił się do góry nogami: — Nie chcę — rozumie pani? Za co? Dlaczego? Coś tak potwornego! I ja tak panią kochałem!! — Kłamał bezczelnie nie wiadomo po co — to znaczy kłamał świadomie, — w istocie było to prawdą, w tej chwili prawdą się stało — a zresztą czort wie — nikt tego nie pojmie jak jest, a tym bardziej jak było, nawet ci, którzy i tak dalej... — Mam wstręt do pani, jak do ropuchy — brzydzę się sobą, jak o pani myślę... — Chwyliła go za rękę mocno, aż do bólu — baba była silna.

— Nie — dopiero teraz kochać mnie będziesz. Ale już jest za późno na to, co było przedtem. — Patrzyła mu prosto w mordę rozkochanymi, płomiennymi „oczyma”. Obłąd był w tym spojrzeniu — dla dodania sobie odwagi i uroku księżna kropnęła „empedekoko” — jak mówiła. Czyniła to rzadko, w najważniejszych momentach życia. — Możemy się widywać — mówiła dalej głosem nieprzyzwoitszym od rozwalonych bioder, od bosych nóg, od ust całujących diabli wiedzą już co — ale nigdy twoją już nie byłabym, nawet jeślibyś o to błagał. — To ostatnie słowo było szczytem sztuki: ujrzał Zypcio siebie na kolanach przed nią — ona z gołymi do kolan zarzuconymi jedna na drugą nogami, dotykająca mu nosa prawie prześlicznymi, spedikiuowanymi palcami, o różowych paznokciach. Szpon *buro-czerwonego* nieszczęścia zatopił mu się we wnętrzości, a żądza ponura jak śmierć w torturach w wiosenne popołudnie, moregowata, czarno-złota, diabelska tęsknota za wymykającym się na wieki szczęściem, przywaliała trumiennym, całuniastym wiekiem *złoto-czerwoną*, tylko co rozkwitła w pożarze ciała przyszłość. Rozpacz oblepiła lubieżną aż do bólu mgłą narządy płciowe — teraz nie symbole potęgi, a wstrętne flaki ze zbitymi pogardą mordami, pogardą, okazaną im przez *tamto*. Co za bezczelność! Nie rozumiał nic — był przecież bądź co bądź mężczyzną. I, właśnie dlatego, że nie rozumiał, postąpił tak, jak trzeba. Ha — musi ze wstrętem zdobyć po raz wtóry to dymiące duchowymi zbrodniami bagnisko — a mógł już pokochać na nowo — tak mu się zdawało — jej — nie. Zamachnął się i uderzył w biały kark pięścią naiwną i niewprawną. Poprawił z drugiej strony, chwytając jednocześnie instynktownie lewą ręką za wspaniały kapelusz od Hersego (Firma „Herse” przeżyła wszystkie dotychczasowe kataklizmy). A ona zachłysnęła się z rozkoszy... (on rwał już jej włosy i walił, walił — co za cud! — więc ją kocha? —) Ale zaledwie się rozpedził i uczuł już falę żądy, zstępującą z krzyżów w lędźwie i pośladki, wyrwała mu się, a na załomie schodów (drzwi nie zamknął w zdumieniu) w drodze łaski „dały się słyszeć” kroki. Podniósł szybko porzucony kapelusz i wpakował jej brutalnie na głowę. Taka cudowna chwila i — zmarnowana, psia-krew! Przez kogo? Nie przez tego, co tam szedł po schodach — daleko głębiej: przez ojca, który Zypcia tu wsadził i w dodatku był kochankiem tego cielska, tego jego „ideała”, kiedy ono, to cielsko (wcale nie za tłuste zresztą) promieniało jeszcze młodością (no tak ze 28 lat) — a on dostał już ochlap jakiś i tego ochlapu nie może pokonać i zgłębić i musi go jeszcze *zdobywać*!! Ach — co za wstyd i rozpacz! Zatęsknił aż do furii za jakąś czystą, panienkowatą miłością. I wspomniawszy Elizę, tę trochę zahukaną, dobrą istotę (raczej stworzonko jakies) z pierwszego wieczoru u księżnej. Rozdarta dusza stanęła dęba, a jednocześnie gorzko zapłakała nad „przydzielonym” jej, bezwolnym ciałem. Darł się w pasy w męce godnej doprawdy lepszej sprawy. Ale co on właściwie mógł o tym wiedzieć? Na czym mógł oprzeć skalę swoich porównań? Żeby choć tak wierzyć, jak ten szczęśliwy Bazyli, mleć swoje ukochane znaczki, jak Benz, a choćby takiego potwora, jak muzyka Tengiera! Nie — życie samo w sobie. „Nie dać się zwyciężyć, nawet samemu sobie” — przypomniawszy mu się zdanie Putrycydesa. Ten, mimo całej pospolitości życia, walczył, zmagając się z czymś — jeśli nie po prostu wielkim, to olbrzymim. A on? Ta oto małpa przeklęta, za której ciała dotknięcie jedno sprzedałby teraz cały kramik napompowanych mu przez ojca „idealizmów” [siły, honoru, uczciwości i tym podobnych mamideł (raczej papideł)] — ta belzebubica była jedynym symbolem rzeczy, jeśli nie najwyższych, to najsilniejszych. Poczł preraźliwą wydrążoną pustkę tego, na czym stał i o co się opierał. Musi zbudować nową płytę podstawową z jakiegoś psychicznego żelazo-betonu, bo inaczej byle

Idealista, Syn

co i kto wytrąci go z równowagi. A materiału tego pod ręką nie było — trzeba byłoby eksploatować kopalnie w dalekich, utraconych już krajach metafizycznej dziwności, na nowo je zdobywać. Kiedy? Nie było czasu. Życie parło, jak gaz w brzuchu, zmuszając do rzeczy nieprzystojnych. A parę jeszcze takich wytrąceń i znajdzie się na dnie istnienia: plugawa, miękka masa, bez ambicji, bez szkieletu, bez jąder — bezpłciowa, bezhonorowa — brrr... Wstręt i strach ocaliły go. Skonsolidował się — ale po to tylko, aby dookólną drogą dopełnić nieuniknionego przeznaczenia. Bo gdybyż naprawdę kochał ją! Ale właśnie naprawdę nienawidził (cztery warstwy — któraż z nich była prawdziwa w tym przekładaniu? — o szczęśliwi wagotonicy, co nie macie tych problemów) i w kłamstwie tym była małość. Jeszcze jedna wolta i stał się dobrym. Ale taką dość parszywą dobrocią, płynącą ze słabości i strachu przed cierpieniem. Po schodach szedł dyżurny oficer, jego „wróg”, młody, brutalny obrzydłaczek, chamskawy poruczniczek z poprzedniego kursu, Wołodyjowicz.

— Przyjęcie skończone — wygłosił sztucznie dystygowanie. — Junkier Kapen do szwadronu na miejsce. Pani pozwoli odprowadzić się do bramy. Miałem przyjemność być przedstawionym kiedyś w teatrze — galówka na cześć wodza...

— To dość mało — rzekła wyniosłe, bezsensownie księżna. Ale zawinął się dookoła niej z tą samczą zapobiegliwością, którą tak lubią baby i uwłókl ją za sobą. Rzuciła Zypciowi, zza ramion tamtego, spojrzenie łzawe i palące, piekące i śwędzące, w którym było wszystko i nic — poczuł się jak na bezludnej wyspie, opuszczony przez wszystkich — ona tylko istniała (księżna, nie wyspa) — dopięła swego: pięła, pięła, aż dopięła bestia. Ach, stokroć łatwiej byłoby mu walczyć z nią, gdyby na niego nałaziła, narzucała się mu, napychała — ale tak? Poczuł, że hak głęboko tkwi mu w zgęstniałej krwi. Cały, razem ze środkowym kółkiem, przechylił się na stronę złych potęg, królujących w tej podświadomej części jego istoty, której bał się zawsze, prawie zabobonnie. Wychylił się nad przepaścią odrobinę zanadto — czy zdoła wciągnąć się na nowo. Rozszarpany zupełnie szedł marmurowymi schodami w górę. Schodził tu przed kwadranssem jako ktoś zupełnie inny. Nie poznał siebie w czarnym lustrze niewiadomego, w którym przeglądały się przesuwające się sobowtóry. Gwar miasta, który buchnął przez otwarte okno korytarza wraz z czarnym upałem majowej nocy i zapachem mokrych bżów, odczuł jako wstydlivy ból pokonanych genitalii, obrzmiałych i niezdolnie rozdrażnionych. Musiał o tej niewygodnej godzinie rozpocząć definitywny bój. Zakrył się wołą, jak wiekiem trumny. Umierał i odradzał się co sekundę na nową mękę i wstyd. A tamte flaki ciągle żyły swoim osobistym, prywatnym, niezależnym życiem i puchły, i puchły w dziwnie jakiś nieprzyjemny sposób i to nawet wtedy, gdy z nieprzejednaną zawziętością najbardziej właśnie niszczył obrazy dawnej i możliwej rozpusty. Pod szarym kocem, w smrodliwej atmosferze szwadronu (któż u nas mył się, z małymi wyjątkami, nawet w te czasy, porządnie?), spocony, samotny, ze śwędzącą skórą i innymi okropnymi objawami, junkier Kapen zdobywał, najezony zionącymi trującym gazem kiszkami, barbakan ducha.

A księżna zaraz za węglem gmachu (przyszła piechota) zawyla głośno okropnym samicyzm szlochem (zaszlochała wyjem), w przepaloną gęstość czarnej majowej nocy, takiej, w której lęgnie się wszelka lubież i złe płciowe świństwo. (Pocieszał ją obrzydławy poruczniczek, jak mógl). Tylko ten jeden został jej chłopys na świecie i tego nie mogła zdobyć — Kapen oczywiście, a nie ten pocieszyciel. Była nieciekawa, prostolinijna i prosto-uczuciowa. — Co tu o niej pisać — demonizmy wszystkie diabli wzięli. Trzeba było jednak czekać 3 dni do niedzieli. A on tymczasem stężeje, zmężnieje, rozdrażni się aż do kości (czuła ten swój jad przewalający się w przyśpieszonym pulsie po jego gęstniejącej krwi) i będzie taki cudny, taki cudny, że „chyba ja się wścieknę, gdy on — ach, nie — to niemożliwe” — „i jaki śliczny był w tym mundurze! Tylko nie taki czysty zdaje się...”, „Ale on może być nawet brudny, może nawet śmierdzieć — (umyślnie półgłosem powtórzyła to straszne słowo) — i ja te jego smrodki kocham” — zakończyła bezwstydnie, wyzywająco. Kobiety są czasami niemożliwe. Czuła całe niebezpieczeństwo takiego poddania się, ale nie mogła wytrzymać — jeszcze raz, jeszcze raz, a potem niech już stanie się ta rozpacz zupełna: oszroniona zagwazdraną przeszłością jesień szarej, beznadziejnej starości.

Informacja: A tam w Ludzimierzu Putrycydes Tengier nie wytrzymał też w swoim rodzaju i zrobił kompromis — (dotąd unikał starannie wszelkich pół-środków np. grania po bajzlach, lekcji śpiewu w szkółkach, poprawiania utworów tzw. „reiner Finger — muzykantów” itp.): przyjął wyrobioną mu przez Sturfana Abnola posadę muzycznego kierownika: pianisty i kompozytora w dziwnym teatrzyku Kwintofrona Wieczorowicza. Miał „okraszać” muzyką jak kluski słoniną straszliwe „wprzódniewiadziaki”, „cobędzietobędki”, „znieacki” i „niepewnostki” (broń Boże nie niespodzianki — to słowo, zużyte jak ścierka, zabronione było u Kwintofrona), od których już dziwne wrzenie powstawało z wolna nawet wśród zdziesiątkowanej „wojenną” służbą inte- i pół-inteligencji. Ta ostatnia, na Zachodzie i Wschodzie wymarła prawie warstwa, u nas znajdowała się w tych latach w pełni rozkwitu. Towarzystwa roily się wprost od indywidualów, rozstrzygających najzawilsze problemy przy pomocy iście pacanowskich czy kocmyrzowskich systemów pojęć — prawdziwi mędrzy milczeli smutnie, nie chcąc wdawać się z taką hołotą. O przekonaniu kogoś takiego o czymś mowy być nie mogło. Trzygroszowe objaśnienia zastępowały zupełnie wypieraną poza obręb społeczeństwa intelektualną pracę. Na kompromis Tengiera wpłynęła też tak zwana żądza życia, czyli po prostu chęć zmienienia za jaką bądź cenę kobiecego „menu”. Motyw nienasycecia zanadto już często zaczynał się powtarzać w jego ostatnich hypermuzykaliach. Zrzucił któregoś dnia maskę półwiejskiej pokraki i wyświeżony na potwornego degenerata i zmąpiałego geniusza, pomknął wraz z całą rodziną węgierskim ekspresem do stolicy K. Pani Tengierowa miała w tym też swoje planiki, które kryła szczelnie pod maską troski o wychowanie dzieci w bardziej odpowiednich warunkach. Wszystko składało się jak najlepiej, ale na małą skalę. Program maksymalistyczny musiał być zarzucony.

REPETYCJA

Nareszcie nadszedł dzień pierwszego wyjścia ze szkoły. Zdawało się, że dyscyplina, terror i to, co Genezyp nazywał „karnością” (ale nie w znaczeniu dyscyplinowym, tylko sądowym — „wdrożenie dochodzenia karnego” — brrr...) rosną z godziny na godzinę. O lada głupstwo mógł całkiem niewinny człowiek wpaść w tarapaty, które w razie lekkiego choćby nieopanowania delikwenta mogły znowu skończyć się w sądzie wojskowym, a dalej diabli wiedzą gdzie. Tortury — oto było pojęcie, od którego ledwo zaznaczonego obrazowego cienia bledli do ścianowo-prześcieradłowo-chustowych odcieni najwięksi dotąd śmiałkowie. Odpowiedzialność, na modłę chińską zhierarchizowana, zwałała się na bezpośrednich zwierchników i dalej, dalej aż do drzwi czarno-zielonego gabinetu Wielkiego Mistrza Niepewnej Przyszłości — tu był jej kres. Nad nim był już tylko wyblakły ze starości Bóg, (a może też błdy z przerażenia, jak mówili inni), albo Murti Bing — o tym nie śmiano nawet szeptać.

Wściekły wskutek nieznośnego oczekiwania i jak na niego niezwyklej beczynności, (18 godzin pracy na dobę — nawet i on się przeczekał), nie wiedząc, co zrobić ze sobą i z armią, rozprzestrzenił swoją zduszoną wypadkami — raczej brakiem ich — indywidualność w sferze wojennego szkolnictwa. Tam to kuł potęgę, która zaczynała wyginać się i wypuścić poza granice poprzednio pozakładanych ramek negatywnego czysto stanowiska: izolacji i ochrony „statut excremental?”, jak nazywano aktualny stan rzeczy tj. rządu Syndykatu i zakłmany pseudo-faszizm. Natężony do ostatnich granic gmach wewnętrznej, duchowej konstrukcji kraju drżał od napięcia sił i trzeszczał złowrogo, ale trwał. Gdzie jednak było dokładnie to napięcie — nikt pojąć nie mógł, bo jednoczesny bezwład ludzi wzbudzał podziw nawet u zagranicznych gości — oczywiście tych stałych, dawnego typu. „Das ist nur in Polen möglich” — mawiał stary feldmarszałek graf Buxenhayn (ostatni z młodszych kolegów Hindenburga), który też znalazł oczywiście swoje miejsce w tradycyjnie gościnnym „Przedmurzu”.

I takie nędzne kółeczko, taka amoeba jak Genezyp, nie mogła przeżyć swobodnie najgłębszych, najtajniejszych stanów i uczuć, tych właśnie rzeczy, dla których ostatecznie

warto żyć, z pewnego punktu widzenia — niewspółmiernego oczywiście z poczuciem rzeczywistości większości ludzkich bydląt [to mało, to właściwie komplement] w „sukienkach” (ach ty droga!), sweterkach i smokingach. Musiał być, w najsubtelniejszych nawet drgnieniach swej istoty, tam gdzie tkwi jądro sensu niczym nieuwarunkowanego istnienia, marną funkcją wielkiej (pożal się Boże! komu?) (może nawet aktualnie nieistniejącej??) koncepcji jakiegoś tam Kocmołuchowicza, który, za cenę władzy i działania, stracić musiał z konieczności ten wymiar istotności, będący udziałem jedynie czystych kontemplatorów i to w dodatku dostatecznie „zsofistykowanych”. Ale tamta „koncepcja” (o której nikt zresztą nie wiedział i sam jej przyszył twórca też) była bądź co bądź także wynikiem jakichś międzykomórkowych nierównowag w tym pięknym, włochatym, *czarnym mimo białości* i sprężystym jak byczy surowiec i jego własna wola, cielsku generalnego kwatermistrza. To cielsko chciało się wyżyć do końca, razem ze zbitym z nim w jedną nierozzerwalną kupę drapieźnym, nienasyconym (powiedzmy otwarcie), brudnym w swej potędze duchem. I tak oto po prostu, niewolniczo, gnuśnie, ze zsumowanych przypadkowo osobistych bezsensów, tworzyła się tak zwana historia. Bo „historia naprzód, czy na wspak, to chyba największa z blag” — jak mówi poeta. Za paręset lat nie będzie już mózgu zdolnego scałkować narastającą komplikację. Tysiąc rzutów nie da pojęcia o jednej chwilce tej najdziwniejszej z epok. Najdziwniejszej, ale dla kogoś z innej planety — nie dla nas już niestety. Ponad tym unosi się tylko zasada Wielkich Liczb, ostatnia instancja wszechświatowej konieczności tak w fizyce, jak i (trochę inaczej) w dziejach żywych stworzeń — biuro statystyczne jako kryterium Prawdy — do tegośmy dopełzli. I nikt nie widział (i nie zobaczy) całej potwornej „zdumiewającości” tworzenia się czasów i samego w nich trwania, bo o ile życie prywatne było wtedy dość już oddziwnione, to dzieje przedstawiały po prostu ucieleśnioną samą pospolitość. I nie w tym była rzecz, żeby rzeczywistość naprawdę była pospolita — fakty same w sobie dziwne, ciekawe np. dla Ludwika XIV lub Cezara, rosły jak astralne grzyby po jakimś metafizycznym deszczu, ale nikt tego nie widział. A cóż jest warte cokolwiek, co istnieć może, jeśli tego nikt nie widzi? Nic. Chyba że ciekawym jest Istnienie Poszczególne samo w sobie, czyli jakieś jedno jedyne dla siebie „ja”. Ale w *nich* nieciekawie odbijałby się świat nawet dla jakiegoś idealnego nad-observatora, o ile by takowy istniał. Zabawna była całość, zablągowana, nieodgadniona. Przepaści otwierały się nie tam, gdzie ich oczekiwano: doskonałość społeczna niosła w sobie jad, będący integralną jej częścią: nad-komplikację, przerastającą siły indywiduum. Nikły głos uproszczycieli konał w gąszczu bezosobowej zawilgości — jałową pustynię stwarzały: mnogość i bogactwo (pozorne) — tak jakby ktoś na trzechcentymetrowej miniaturze zechciał wyrysować wszystkie pory skóry, wągry i pryszczki — muszą wtedy z konieczności zatracić się rysy twarzy i podobieństwo. Ludzkość traciła swe oblicze, przez uwzględnienie najdrobniejszych jego elementów. Beztwarzowa, zamazana jedność wschodnia na krańcach historii, jak ponury, czerwony, jesienny księżyc, oświetlający pobożowisko po bezcelowej walce. Straszliwe, metafizyczne prawo ograniczenia pokazało spoza nieogarnionych pozornie horyzontów swoje nieprzebyte bariery i rogatki. Spiętrzona fala tak zwanego „rozwoju” i „postępu” kłębiła się bezsilnie u stóp przeszkody nie-do-zdobycia, którą jest — w całym nieskończonym Istnieniu, a nie tylko u nas w Polsce i na ziemi w ogóle —: niemożność przekroczenia pewnego stopnia komplikacji bez utknięcia w bezwyjściowym chaosie: niewspółmierność społecznego elementu z całością, którą wielość ich tworzy. Chyba cofnąć się. — Ale jak?

Już ubierając się wiedział Zypcio, że wstąpi tylko do domu, a potem ordynarnie „poleci” natychmiast do „Palazzo Ticonderoga” na ulicy Granicznej. Naturalnie nie w celach erotycznych (to było oczywiście wykluczone — gdzieżby! *taka hańba!*), tylko w celu esencjonalnych wyjaśnień dotyczących stosunków duchowych, wyjaśnień, które nastąpiłyby bezsprzecznie, gdyby nie przerwał ich wtedy brutalnie dyżurny oficer. To połączenie wojskowości z erotyką, ta militarna bezwzględność i mundurowo-sprzączkowo-paskowa dokładność i twardość, zastosowana do rzeczy psychicznie tak subtelnych, a fizycznie tak śliskich i miękkich, miała dla Genezypa specjalny urok. Ostrość i brzęk ostróg zdawały się wrznąć (z młodym okrucieństwem pierwsza, z rozpacz wzbudzającą beztroską drugą) w pragnące bebechy wszystkich bab świata. Co tam ta jedna głupia księżna! Miał je wszystkie pod sobą jak jakieś ujeżdżone na śmierć klacze, suki pokornie pelzające, smutnie łaszące się kotki. Czuł wyraźnie „nieczłowieczość” kobiet. (Matki stanowiły niby wy-

jątek. Ale ta sprawa była niewyraźna — chyba wziąć pod uwagę czas od chwili urodzenia dziecka). Życie roztaczało się zachęcającym skretem, kusząc oszalałą, piniącą się młodość — mnogością przyszłych barw nieznanych i skrytością diabelskich niespodzianek urągało czającym się w śpiących jeszcze zwojach mózgu zimnym rachmistrzom: obłędowi i śmierci. Spuścił się Zypcio ze smyczy w bezkresną pozornie dal nieodgadnionego wieczoru. A do tego nie mógł bądź co bądź w ten sposób zakończyć stosunku z osobą, która dała mu odczuć bądź co bądź po raz pierwszy jedyną bądź co bądź w swoim rodzaju grozę rzeczy płciowych i była bądź co bądź „kims”, a nie pierwszą lepszą dziewczynką, o których to stworzeniach w ogóle pojęcia nie miał. Tak okłamywał siebie, prawie nie wierząc w tej chwili w rzeczywistą egzystencję przedmiotu tych rozmyślań. Ale mimo to tak był przepracowany, zmacerowany dyscypliną i gruczołowo wyjałowiony, że ujrawszy pierwszą kobietę na ulicy zdumiał się niepomiarnie: „co też to jest za stworzenie!?” — pomyślało w nim błyskawicznie umęczone bydlę. I już w następnym ułamku sekundy uświadomił sobie fakt istnienia kobiet w ogóle — „dobrze jest — jeszcze nie wszystko stracone”. — Jednak świat bez „tego” byłby pustynią nie-do-przebrnięcia. I zaraz potem cała nędza tej „koncepcji” i odwartościowanie wszystkich „oderwanych” (od czego?) męskich spraw. Mignęły mu się, w muskularnej raczej, niż wzrokowej, wyobraźni: matka i księżna, splecione w jakimś świętokradczym kołowrotku, czy karuzeli zwierzęcych nieprzyzwoitości. Po raz pierwszy dopiero w tym połączeniu odczuł naprawdę pogardę dla matki jako dla kobiety. Jednakże wolałby, żeby całej tej brudnej historii z Michalskim nie było wcale — och — „wolałby gorąco”, aby matka wcale kobietą nie była, tylko czystym duchem, zaklętym w jakąś maszynę do rodzenia dzieci. Niepokalane poczęcie to jednak cudowna rzecz! W ogóle to słusznie tak nazwane „kalanie” to jest przecie piekielny wprost wymysł. Żeby w tym umieścić motor trwania gatunku i najwznioślejszej twórczości, trzeba być złośliwcem bez sumienia. Ale trudno: ostatnie usprawiedliwienie znajdowało wszystko w tym, że kończył się oto dawny świat właśnie w tym zaprząłym we własnym sosie kraiku, a nie wiadomo było, jakie formy mogło przybrać istnienie po tym skrycie oczekiwanym końcu. Nadzieja wszystkich zawiedzionych, niedorobionych, niedopieczonych, niedogotowanych, psychicznych „siemimiesiadczyków” — a tych był legion. Nawet konserwatyści (w miarę religijni i w miarę demokratyczni) czekali końca, żeby móc choć powiedzieć: „a co? nie mówiliśmy...?”

W domu nie zastał Zypcio nikogo. Był zły. Tak się napompował na to pokazanie się Lilianie i matce w nowym galowym mundurze ostatnich polskich junkrów. A do tego kartka, że te damy są na podwieczorku u księżnej i tam go oczekują. A wstyd! A z drugiej strony może tak było lepiej, że on nie idzie tam z własnej woli, tylko jakby z musu, żeby nie wydać się ze wszystkim przed matką. Takie zagwazdrane, dziecinne, wprost pieluchami śmierdzące problemy, splecione w jedną „girlandę” z ornamentami najdziwniejszej chwili życia: początkiem bycia „kims”, usymbolizowanym w granatowym z żółtymi rabatami mundurku. Przerażony był po prostu przepychem „palazzo Ticonderoga”. Forteca jakaś (znał ją jeszcze z niedawnego dzieciństwa) zmieniona od wewnątrz w „edredonowy, mandrylowo nieprzyzwoity dytyramb” na cześć rozpulchnionych ciał i dusz zropiałych w rozkładzie — inaczej nie da się to wyrazić. Zestawienie twardych bastionów z lubieżną miękkością wnętrza, działało już na schodach rozwalniająco-płciowo. Ich dawny „pałac” w stolicy, który zwiedzał tylko kiedyś za dawnych czasów, wydał mu się nędzną budą w porównaniu z tym gniazdem rozkosznie konającej nieprawości i wiekowych znęcań się nad ludzkim bydłem. To doprowadziło go do wściekłości. Widocznie młoda, drobkiwiczowska krew Kapenów wzburzyła się i sfermentowała, *z bolszewiczata* nagle na tle nędzy, w zetknięciu z symbolem dawnych, odwiecznych, ginących teraz pra-potęg. Cóż z tego, że matka była z domu — a niech ją — bezwstydnym worek, pełen chamskich wydzielin tego „pana Józefa” — niech go „do trumny przez lejek wliwają!” Nie czuł nic ohydy tych snobistyczno-blasfemicznych myśli-gówien — za chwilę dopiero miał się wahać w przeciwną stronę.

Tym nieznośniejsze były mu w tej chwili obowiązkowe zachwyty nad jego pięknością i mundurem: duma promieniejąca bezwstydnie w oczach matki i zdziwiony wzroczek Lilian („to jednak taki morowy jest ten Zypcio!”) i dobrotliwy, smutny i trochę ironiczny uśmiezek tamtych warg wszystko umiejących. W domu całkiem inaczej wypadłyby te oględziny. Tu był nędznym dzieciakiem. Resztki kontenansu diabli wzięli. Czuł się nie

wiadomo czemu brudnym, choć wyszorowany był (szczotką (Sennebalta (Bielsko)) jak rondel w luksusowej kuchni. Ujrzał jak na patelni całą śmieszność walki z *czymś* tak potężnym, zmiennym, władającym górami całymi niezbadanych środków unicestwiania, jak księżna. Jedno lubieżne młasięcie wszechmocnego ozora i widział siebie zmienionego w oszalałe zwierzątko, miotające się we wstrętnym, upokarzającym, bezwolnym, wahałowym ruchu — jedno pogardliwe skrzywienie tych jadowitych mandybulów i mógł pograć się w beznadziejny, żaloszny smutek płakawego wyjca, jakiegoś śmietnikowego „trubadura” (czyż jest coś obrzydliwszego jak trubadur?) czy onanistycznej mały na łańcuszku! Teraz dopiero, na tle „umundurowania” (które tylko co było takim szczęściem) i nędzy swego stanowiska, księżna wydała mu się nareszcie prawdziwie wielką jakąś — a! czort wie kim — wielkim zjawiskiem po prostu, jak wojna, burza, wybuch wulkanu, trąba morska czy trzęsienie ziemi — była nawet bezpłciowa w tej wielkości. (Zahamowana erupcja seksualna uderzyła na mózg — w książce umieszczał teraz Genezyp negatywny ekwiwalent swego „*Minderwertigkeitsgefühl*”). I on w nią....! A, to nie-do-uwierzenia! Tego nie było i więcej być nie może. Nie mógł zupełnie pojąć, na czym polegało to wyolbrzymienie, udostojnienie, to „ukoronowanie tego babska w innym rządzie wielkości”. Bo nie urodzenie, nie uroda jako taka (w zupełnej niezależności od stosunku, jaki ich łączył i rozdzielał), nie wpływy, które miała w zagrożonym w swoich podstawach Syndykacie Narodowego Zbawienia. Więc co u diabła?

Coś było w tej nadbabe straszliwego poza wszystkim dającym się określić: stała się dla niedoszłego metafizyka wcieleniem, jedynym na razie, tajemniczości bytu, zamarłej w sferze bezpośredniego przeżywania zupełnie. W niej, a nie w nim, osobowość występowała jako tajemnica z mrocznego gąszczu życiowego zagmatwania — piętrzyła się jak niezdołana twierdza w nieskończonych obszarach bezsensu. Po co? Po to aby być, psia krew! — i na tym koniec. A reszta to umysłowe fintifluszki tchórzów i niedołęgów, zasłaniających społecznymi fikcjami, wyniesionymi do godności zaświatowych potęg, ponurą, niesprowadzalną do niczego potworność Istnienia. Bo może być i potworność wesoła — ale ta niestety jest udziałem tylko czystych cyklotymików.

Zypcio, po dwóch tygodniach gniotu dyscypliny, płał się teraz w tej atmosferze „rozdarcia ran”, z uczuciem niewysłowionej męki. (Tło, tło było nieodpowiednie — wszystko można znieść na „*podchodiaszcom fonie*”). Oglądał tajemnicze istności niepoznawalnych bytów, jak zwierzęta dziwne w menażerii lub monstrualne ryby w akwarium — przez kraty i trzycalowe szyby. Nigdy nie wejdzie do tych klatek, nie posiedzie istoty przeżywania tych bestii, nie będzie pływał nigdy w swoistym medium tych potworów jak w swym własnym. To przebicie się przez życiową realność, nudną jak beznadziejne czekanie na łup jesiennego pająka w odmuszonym, opuszczonym pokoju, możliwe było tylko przez dokonanie aktu płciowego z tą wiedźmą. Ale tego zabroni mu ambicja, której nie pokona nigdy, nigdy. Straszna jest rzeczą nie móc być panem swej ambicji i widzieć jak na dłoni, jak siła ta niszczy życie całe (jedno-jedyne, w chwilach rzadkich jasnowidzeń), dla bezpłodnych fikcji, nawet w świecie pojęć mających wątpliwą podstawę egzystencji. I cóż z tego? Nawet, nawet powiadam, gdyby mógł to wszystko przezwyciężyć, to cóż by było? Jak tego użyć, co z tym zrobić, jak uczynić *czymś* trwałym? — (bo o to głównie chodzi). A pytacie: „co właściwie?” — „no tę esencję życia, wartość znikomą uroku, która właściwie nie trwa, to coś, czego jest coraz mniej na świecie (dziś tylko wariaci coś o tym wiedzą naprawdę), a co nie mieści się ani w samym użyciu, ani dokonaniu, ani poświęceniu, tylko wszystkim tym istnościom nadaje dopiero wyższą markę: odblask niedocieczonej tajemniczości wszystkiego”. (To wszystko powiedziane było kiedyś po pijanemu przez Benza). Przecieka to wszystko przez zaciśnięte szpony, znika przed zachwyconą mordą bydlęcia w tużurku, czy mundurku, i pozostawia je znowu, wplątany w codzienny, bezsensowny kołomąt. Wiedzą o tym coś najęźsi nawet schizotypicy. Nie wynaleziono jeszcze na tę rzecz fiksatywu i wątpliwym jest, czy to kiedykolwiek nastąpi. Można tego nie mieć wcale i nie męczyć się. Ale *czymże* różni się wtedy ludzkie bydlę od zwierzęcego?

Wyrastały góry problemów, dla których jakiego-takiego załatwienia trzeba by żyć tysiące lat. Nikt nie spełnia tych trylionów czy kwindcyllionów możliwości w nim zawartych — jest jedno to paskudnie jednowymiarowe życie, *wzdłuż* którego właściwie człowiek toczy się jak po relsach — (z metafizycznego punktu widzenia oczywiście, poza

wszelkimi niezadowolzeniami — o byłby kontent chyba jako stumózgowa i milion-mackowa potwora) a *jednocześnie* idzie jak po linie nad przepaścią: maksymalna niewola i za to (właśnie za to) maksymalne niebezpieczeństwo — i to nie tylko na wojnie pod huraganowym ogniem, ale w zacisznym saloniku czy sypialni, wśród zbytku, ciszy, wygody i pozorów szczęścia, którego nigdy zresztą być nie może — przynajmniej dla schizoidów. Z tymi, czy podobnymi myślami w tobołku, czy plecaku duchowym wszedł był Zypcio do salonu, gdzie czekała na niego „rodzinka”, nienawistna mu w tej chwili aż do żądy mordowania włącznie. Właśnie przez swój kontrast z tą włanią, chelbią i drętwą, czy też po prostu wybrydowaną bledzią z metafizycznych burdelów samej Astoret. Rozparta w grzęzawisku lubieżnej aury siedziała na wiotkim foteliku wznosząc się w wymiarach ducha jak niedostępna turnia, zamykająca wyjście z wąwozów wiecznego upodlenia i „sromu” (tak — okropne!!), sama rysując się na zaświatowym niebie odwiecznych tajemnic (osobowości, płci, śmierci, no i nieskończoności), skąpiana w blasku zachodzącej swej, ale *tout de même* niepospolitej, zaiste nie-kobiecej *ęteligencji* (— jak mówiła). Odmłodzona (w czarodziejskim zakładzie „Andrea”), nieznośnie piękna i w piękności plugawa, łaskocząco ponętna i jak nigdy dotąd po prostu „droga” — niezniszczalny dla najdzikszej rozkoszy nawet symbol ogólnego „żalu za życiem” i Zypciowego wstydliwego dziecięctwa (mimo odznak tak żartobliwie zwanego „partupiej junkra” [Kocmołuchowicz miał wprost zboczenie do Rosji]) i niezmytej hańby bez granic. Wiedział już, że wpadł na relsy — cała pomaturyczna swoboda rozwiała się.

Matka ścisnęła go czule, ale w tej chwili nienawidził ją (jak „nie” połączone — to czwarty przypadek): i za to, że była tu *jego* matką (śmiała być!) (i nie szanowała nic-a-nic jego dorosłości) i za Michalskiego — to nie-do-przewyciężenia — będą wieczne fluktuacje. Gdyby choć sama była czysta i przyjęła go naturalnie jakby nigdy nic, mógłby się o nią oprzeć on — głowa rodziny. I to nawet było zobrzydliwione i ośmieszone. Widział to w uśmiechu dalekiej jak mgławica Andromedy potwornej damy swego głupiego serca. Wszystko nastawione było jakąś diabelską ręką, aby go zgubić i zgotować mu naj-srozsze upokorzenie. Ledwo przywitał się z nadskakującą mu jak wróbelek siostrą: ją też mu wydarto: tamten szczęśliwiec: Sturfan Abnol, który cały świat miał gdzieś, w jakimś metafizycznym hyperderierze. Oprócz tego mundurku, w którym się dusił, nic nie było jego własnością — psia-krew, żebrak! Czyż wszystko to byłoby możliwe, gdyby ten stary, przewrotny mędrzec nie zrobił tamtej przedśmiernej wolty. Mógł to zrobić on sam, Zypek, jako głowa rodziny właśnie — w tym byłaby wielkość. A tak została mu wytrzebiona ostatnia wewnętrzna trampolina dla jakiego bądź czynu. Był marionetką, (raczej „irinonetką”), a przy tym ruszał się w powietrzu jakby w gęstej smole.

Po paru objaśnieniach, które „oddał” paniom głosem zdławionym wściekłością, rozmowa weszła na inne, plugawe tory. Ach, więc to wszystko było już ukartowane! Matka pchała go po prostu w objęcia tej klempawej szoldry, która coraz bardziej złowrogo zaczynała mu się podobać. Czuł że nie wytrzyma i ta beznadziejna walka podniecała jego żądze aż do złośliwego szału. Znienawidził wszystkich i wszystko coraz jadowiciej, a bez cienia pogardy. Nie istniały inne kobiety — ho, ho — tylko to, a inaczej pęknie tu na te dywany, na te obrazy, bibeloty i fatalaszki, obsika ten cały kram skondensowanym, zaprawionym trującą nienawiścią, sosikiem swojej najgłębszej istoty. Najgorzej irytował go zaś zdeformowany biust księżnej, wykonany w nefrycie przez Kocia Zamoyskiego, wnuka słynnego na cały świat nieboszczyka Augusta. Wydobył z niej ten bydlak właśnie całą tę niezwykłość, która go wściekała. Ostatnim wysiłkiem trzymał się na włosku od najregularniejszego ataku furii. „Na włosku” — sam sobie powiedział. A był to oczywiście złoto-rudy włosku, zaplątany na podniebieniu podczas diabli-wiedzą-czego — ach, mówić nie warto — krwawy mrok bezecnej „chuci” zniszczenia zalewał ostatnie miękkie zwaliska mózgu — sterzczały już tylko szczyty centrów kontroli najwyższej. Chciałby się bić z nią jak z napadającym wstrętnym drabem — jakiś pojedynek na śmierć... Ona, zgadując jego myśli, rzekła wolno:

— Kiedy panie wyjdą — ja nie wypraszam — ale sama mamusia pana mówiła („ach więc one wyjdą, a on zostanie — tak zostanie — musi, musi —”) to pójdziemy na „*escrime*” do sali gimnastycznej. To panu dobrze zrobi... — Matka coś głądziła dalej. Syczącym głosem przerwał te jakieś nieokreślone dywagacje na jego temat, a mające bardzo nieprzyjemny posmak pchania go w jakieś karierowe świństwo.

— Więc mama chce, abym ja był po prostu tajnym adiutantem pani — ordynarnie oczyma wskazał księżnę. — Wie mama chyba o zasadniczej sprzeczności syndykatu i partii wojennej, która jest wierną naszemu wodzowi. Oni by chcieli dyplomatycznie opanować Chińczyków i uratować...

— Cicho, cicho... —

— Nie będę cicho. Ja was wszystkich zadenuncjuję...

— Nic nie rozumiesz, dziecko. Ja ciebie już wychowywać dalej nie potrafię. Nie chcę, abys niszczył stosunki z ludźmi tak sobie życzliwymi jak Irina Wsiewołodowna. Mówiła mi, że była u ciebie w szkole i że byłeś niegrzeczny. Dlaczego? Nie trzeba zniechęcać do siebie ludzi chętnych... (Wiedział, co to za chętki. Czy ta mama zgłupiała, czy spodłala tak z tym „panem Józefem”?)

— Czy mama nie wie — zaczął, ale musiał spojrzeć na tamtą i sparaliżowany okrutnym, żółto-zielonym błyskiem jej oczu urwał. — Czy mama jest tak naiwna — i urwał znowu.

— Ja chcę tylko, żebyś umiał ocenić dobroć Iriny Wsiewołodowny, która obiecała wprowadzić cię w świat polityczny. Jesteś przeznaczony na adiutanta Generała-Kwatermistrza — (tak mówili o nim tylko w pewnych sferach). — Nie możesz być takim zwykłym, głupiotkim oficerkiem — musisz poznać wpierw ludzi wybitnych i wiedzieć, jak się zachować w sytuacjach nader skomplikowanych — musisz też nabrać ogłady, której niestety takim przeciwnikiem był twój nieboszczyk-ojciec.

— Proszę nie mówić o ojcu. Zrobię, co zechcę. Jeśli nie nabiorę sam politycznego rozumu, zostanę oficerem frontowym, do czego mam największą skłonność. Potrafię zginąć bez parszywych form intelektualnych, wymaganych w jakichś parszywych politycznych salonikach, w których robi się bezsilną politykę kompromisu...

KSIEŻNA (szczęśliwa). — Panie Zypku — jeszcze herbaty. Z pana zdolnościami szkoda, aby pan robił to, co za pana byle dureń potrafi. A przy tym będzie pan miał punkt obserwacyjny świetny. Człowiek zajmujący się literaturą nie powinien odwracać się od życia i to wtedy, jeśli ono chce mu pokazać swą twarz z najciekawszej strony. —

— Zupełnie inne na to mam poglądy. — (Księżna uśmiechnęła się ironicznie: „ona ma poglądy!”) — Życie nic z literaturą wspólnego nie ma — chyba u autorów, którzy w ogóle do literatury nie należą — są bezmyślnymi fotografami jakichś zatęchłych kąci-ków rzeczywistości. Literatura właśnie — nie teatr i nie poezja, tylko proza — stwarza nową rzeczywistość według teorii Chwistka. Teoria ta bezsilna jest wobec sztuki czystej, ale na szczęście to coś, czego nawet nie rozumiem, zanika w naszych oczach. Rozumiem właśnie twórczość nie jako produkowanie tej idiotycznej, nikomu niepotrzebnej tak zwanej „czystej formy” i nie jako odwalanie rzeczywistości, tylko jako stwarzanie rzeczywistości nowej, do której uciec można od tej, której mamy dosyć po same gardła...

— No czy tak bardzo dosyć, panie Zypulka — śmiała się już otwarcie Irina Wsiewołodowna.

MATKA. — Zypciu! Jak ty mówisz ordynarnie! Ty musisz zacząć bywać... — Księżna spoważniała.

— Panie Zypku: Sturfan Abnol, ten schizofrenik, ten genialny marzyciel wcielonej pustki, zawrócił panu głowę swymi teoriami. To dobre w teatrze Kwintofrona Wiczerowicza — dodała widząc oburzenie na „jasnej twarzycze” Lilian — w teatrze w swoim rodzaju nadzwyczajnym. Tam jest miejsce dla niego, artyście — bo artystą jest, mimo że twierdzi, iż sztuki nienawidzi — tam, gdzie właśnie zupełna pustka w znaczeniu nieobecności wszelkiej treści realnej wciela się naprawdę w życie jako zbiorowa twórczość artystyczna. Indywidualizm się w sztuce skończyło. Bo w to wytwarzanie nowej treści urojonej, w przeciwieństwie do jakiegoś dawnego formizmu, nie wierzę. Byłam raz i *nic* — dosłownie *nic*. Ale musimy tam pójść razem. Lilian już w przyszłym tygodniu wystąpi po raz pierwszy w cudnej burdelesce swego Sturcia czy Fania. Ale literatura — mówiła dalej swym najbardziej uczonym stylem — nie tkwiąca silnie w podłożu społecznym danej chwili, bojąca się jadowitych problemów i dalekich horyzontów dla jakichś dydaktycznych urojeń; chęci podnoszenia mas, musi być fałszem, narkotykiem „*tretiawo razriada*” dla ludzi słabych, nie mogących wziąć za kark najprostszej rzeczywistości. Sam Abnol przerzuca się na teatr z całym swoim niby hyperrealizmem... (Nieletni fornikator był zgębiony na miękko. Rosyjski przewlekły akcent działał na niego jak *jobimbina*).

— Co za pomieszanie pojęć w tej biednej rudej głowie — zaczął Genezyp programowo — wyższościowo, ale nie wystarczyło mu materiału i odwagi i utknął. — Niech pani lepiej postawi jasno kwestię wobec mamy. Skąd ta cała życzliwość dla mnie? Chce pani mieć okaz dla obserwacji? Chce pani na mnie wykonać jeszcze jakiś piekielny eksperyment, bo się pani nudzi. O, gdyby mama wiedziała wszystko!

— Wie — nie skłamałam nic. Mama mnie rozumie jako kobieta. Nieprawdaż, baronessa?

— O, jak ja jednak panią znam! — Zakrył twarz rękami purpurowy ze złości i wstydu. Jakiż był piękny! Szkoda! Lilian pochłaniała nierozczłonkowaną, niezrozumiałą „istotę życia” podświadomymi ssawkami. Coś się w niej prężyło do skoku — jeszcze chwila, a będzie wiedzieć wszystko. To wiedzieć i potem wkręcić w to Abnola i wszystko inne dalej — położyć się na życiu, jak pantera na dogonionej antylopie, odpocząć, a potem chleptać żywą krew... Znowu nadstawiła różowe uszki pod niewinnymi blond-kosmykami.

— Nic-a-nic mnie pan nie zna i nie pozna nigdy. „Poznaj mię dobrze, bo wkrótce utracisz, jak sny przez dobre duchy malowane” — co to: Słonimski, czy Słowacki? *A usio rawno! Głupie poetniki*. Pan jest dziecko — biedne, okrutne dziecko. Kiedyś pan zrozumie wiele rzeczy, ale wtedy może być za późno, za późno... — Coś zajęczało w jej głosie, zajęczało powoli coraz bardziej jej biedne serce. Była teraz jak duża, przemądrzała i bardzo biedna dziewczynka. Genezypa zdławiła za gardło jakaś wstrętna litość. — Pan mnie sądzi fałszywie. Pan jest z tych, którzy prócz siebie nikogo od środka nie pojmą — nigdy — w tym pana szczęście i nieszczęście. Pan będzie dotykał życia przez ciepłe, grube rękawice — już nie przez gumę — pana nic nie zrani, ale nie dojdzie pan nigdy do całkowitego szczęścia w uczuciu. — („Sama jest taka” — pomyślał leniwo Zypcio). — Skąd pan wie, przez co ja przeszedłam, i co cierpię teraz. Człowiek z bólu może pokąsać rękę, która go głodzi. Pan zastępuje mi synów, których tracę — każdego inaczej. Maciej jest obcy, a Adam nie wyjdzie już stamtąd... — (Zażęła na sucho i opanowała się natychmiast). — I zamiast cenić mamę, że jest tak liberalną matką, pan nią za to właśnie pogardza.

— Matki nie powinny wglądać w brudne męskie sprawy synów, o ile nie przekraczają one granic kryminalnych... Sprawy, nie matki. Cha, cha! — śmiał się nieprzytomnie jak bohater Przybyszewskiego. — Baronowa, przygotowana snadź na wszystko, nie drgnęła nawet.

— Księżna jest bardzo zdenerwowana i opuszczona. Księżę i markiz Scampi musieli wyjechać do stolicy, a księżę Adam jest aresztowany. Pomyśl — jest sama — chodzi o to, ażeby miała młodego przyjaciela. Młodość to wielka rzecz. Ileż jej idzie na marne, gdy dla kogoś mały jej kawaleczek może być tą wielką dźwignią, dopełniającą jego układ sił... („Język »pana Józefa«” — z obrzydzeniem bąknął w myśli Zypcio. „Ja mam być podręcznym akumulatorem energii dla tego babska!”).

— Tak — moją uboczną misją na tym nędznym światku — (Mignął się jej w wyobraźni jakiś wspaniały dwór i ona jako kochanka młodego króla — wszechwładna w polityce i w miłości...) jest wprowadzenie pana w świat. Przeżyję w tym moją drugą młodość.

— Ale czemu naprawdę nie pojechała księżna do stolicy? — brutalnie spytał Genezyp, nagle zdoroślały, zły samiec. Zdawało się, że w oczach trzech kobiet pokrył się cały włosami. Zmałpiał.

Nastała chwila niby-kłopotliwego milczenia. Światy waliły się gdzieś, niepodobne do tego, w którym odbywała się ta rozmówka. I mimo że, połączywszy odpowiednie punkty, można by jeden z drugiego kolineacyjnie wyprowadzić, nikt z tych czworga ludzi, w życiu samym w sobie pogrążonych, nie wiedział nic o tamtych „zaświatowych” obszarach, w których żyli teraz, aktualnie, jak widma, obdarzone wyższym ponad-bydłym sensem — wszyscy czworo w tej samej dokładnie chwili, gdy pili herbatkę tu, w tym saloniku.

— Czemu tak, czemu — powtórzyła obłądnie księżna i zaraz spadła z tamtego wymiaru w ten salonik, jak postrzelony ptak. — Muszę tu pilnować przyjaciół męża, a przy tym mam pewien osobisty interes... Gdybym była tam, musiałabym się starać o uwolnienie Adama. A ponieważ znany jest mój osobisty urok, więc rozumie pan, oni wszyscy zawzięci są na mnie więcej niż na kogokolwiek bądź — żeby pokazać swój niby obiektywizm, dla przykładu, żeby pokazać, że ja na nich nie działam, właśnie na złość będą

Grzeczność

stokroć bezwzględniejsi niż z jakąś pierwszą-lepszą petentką... — Genezyp nie słuchał tych tłumaczeń.

— Ten osobisty interes, to jestem ja — raczej moja cielesna powłoka. „*Oboloczka*” — tek. — (Był sam dla siebie tak wstrętny, że nie mógł „wyjść z podziwu”, że go po prostu na pysk stąd nie wylewają). — Jestem dla pani smacznym kąskiem — niczym więcej. Bo nawet sympatii pani dla mnie nie ma. Traktuje mnie pani jak głupie zwierzątko — użyć, a potem wyrzucić. I tylko podziwiam matkę, że z panią razem przystępuje do spisku przeciw mnie, chcąc mi odebrać siłę i odpowiedzialność, jako jej opiekunowi.

Ta bzdura była już kompletnie ponad siły obu pań. Coś zaczęło się rwać. Bezsens stanu całego społeczeństwa, z fikcyjnym rozdziałem na Syndykat i to coś bezimiennego, o czym bali się mówić, a nawet myśleć, najśmielsi, i to beztwarzowe, tajemnicze, zadowolenie z chwili, to właśnie wcielało się w tę właśnie chwilę w tym salonie, jak w najdoskonalszy symbol. Niepotrzebność tych ludzi i takich ich stosunków. Ale niepotrzebność dla kogo? — dla nich, czy dla tych tam obalwaniowych i *zadowolonych* robotniczy? Chwilami zdali się niepotrzebni wszyscy, i ci, i tamci — niepotrzebny był świat — nie miał go kto przeżywać w sposób godny i warty. Zostawał pejzaż sam w sobie i trocha bydła — to mało. Tylko żywy mur chiński mógł jako tako to załatwić — ale to było coś w rodzaju lawiny: bezimienny żywioł. Lepiej by jeszcze zrobiła „*eine Weltkatastrophe*” — zderzenie planet czy wejście w nieznaną mgławicę.

KSIEŻNA. — Pan jest niemożliwie brutalny. Myśmy mówiły tu z godzinę przed pana przyjściem, wszystko ułożyliśmy, już było tak dobrze, tak dobrze, a tu...

GENEZYP: — Porozumiały się panie jako kobiety, mama ma *pana* Michalskiego — pani chce mieć mnie. Mamie jestem niepotrzebny, nawet zawadzam jej w tym całym „nowym życiu” (z ironią) — chce mnie zwalić z karku i jako syna, i jako opiekuna. Anadiomene z piany od piwa — piął się — tania gargotka z higienicznymi miłosnymi placuszkami, — ja nie chcę być jaką „*Selbstbefriedigungsmaschine*”, ja...

MATKA: — Zypciu! Tu jest twoja siostra. Zastanów się, co mówisz. To obłąd zupełny, — ja już nie wiem, kim ja jestem. Boże, Boże...!

GENEZYP: — Niech mama nie wzywa Boga, bo Bóg dla mamy dawno umarł: razem z papą: to było jego istotne wcielenie. — (Dobrze, ale skąd to bydło wiedziało np. o tym?) A ta „siostra” za parę tygodni więcej będzie wiedzieć o życiu, niż ja — a może już wie teraz. Nie mam nic przeciw Abnolowi, ale z daleka od Lilian.

— Podświadoma zazdrość brata — rzekła z naukową powagą księżna.

MATKA: — Sturfan jest potomkiem bojarów rumuńskich, a za rok niecały będą mogli się pobrać. Lilian kończy szesnaście lat we wrześniu.

GENEZYP: — A róbcie sobie co chcecie! Nie wiedziałem, że w ten pierwszy dzień wyjścia mojego ze szkoły takie będę miał przyjemności. Wszyscy za mnie coś chcą robić, a nikt nie wie dokładnie co. Ale w imię czego, tego też z was nikt nie wie — oto co jest gorsze.

KSIEŻNA: — Właśnie to jest ta bezideowość dzisiejszej młodzieży — z tym chcemy rozpocząć walkę, zaczynając od pana.

GENEZYP: Wskażcie mi tę ideę, a upadnę przed wami na brzuch. Idea hamulcowa — oto wasz najwyższy szczyt.

KSIEŻNA: — Są idee pozytywne — jest Syndykat Zbawienia. Tylko na hamulcach wóz nasz toczyć się może na takiej pochyłości jak dzisiejsze czasy. Hamulec jest dziś najpozytywniejszą rzeczą, bo stwarza możliwości innego wyjścia niż bolszewicki „*impasse*”. Idea narodu jest konieczna...

GENEZYP: — Idea narodu kiedyś, krótki czas, była ideą pozytywną: była to idea-juczne bydło, niosła na swoim grzbiecie inne. Była to pomocnicza linia w zawilim geometrycznym rysunku. Wielbłądy ustępują przed lokomotywami — po wykonaniu planu linie pomocnicze wyciera się. Wszelki kompromis narodu i społeczeństwa jako takiego jest niemożliwy. I mimo całej beznadziejności należy wam zginąć na tych nowych okopach Świętej Trójcy — tylko bez Boga — oto sztuka. A trójca wasza to chęć użycia za wszelką cenę, chęć już tylko pozorów władzy za cenę lizania brudnych dla was łap proletariatu i wola kłamstwa, jako jedynej twórczości — oto wasze idee.

LILIAN: Przyszły mędrzec z Ludzimierza, jak przyszły święty z Lumbres w pierwszej części powieści Bernanosa!

GENEZYP: — Jakbyś wiedziała! Zobaczysz jeszcze czym...

KSIEŻNA: — Nie zakłamuj się, Zypulka. Ja sama miałam też kiedyś takie pomysły. Ale teraz widzę, że tylko w kompromisie jest przyszłość, przynajmniej na dystans naszych tymczasowych istnień. Czemu Chińczycy zatrzymali się? Bo się boją Polski, boją się, że tu, w tym kraju kompromisu, siła ich rozbije się choćby chwilowo, że się rozłoży ich armia, gdy ujrzą kraj szczęśliwy, bez żadnych bolszewickich pseudo-idei.

GENEZYP: (Ponuro). — Raczej to bagno. Czyż kraj nasz jest szczęśliwy? Jeśli się wejrzy w głąb tego splotu... („Tu są takie aktualne, częściowe sprawy do załatwienia, a ten brnie w jakiś „pryncypjalny rozgwor!”)

KSIEŻNA: — Nie trzeba za nic patrzeć w głąb. Po co! Trzeba żyć — to największa sztuka. — (Błada, nędzna wydała mu się jej afektacja w tej chwili), — Ach — czuję, że idzie na mnie coś wielkiego z dalekich przestrzeni, co mi potwierdzi moje prawdy! Pan, panie Zypku, może oddać nam nieocenione usługi, o ile, jako tajny członek Syndykatu, wejdzie pan w najbliższe otoczenie Kwatermistrza, który otacza się ludźmi politycznie bezpłciowymi.

GENEZYP: — Po prostu chcecie ze mnie mieć szpiega w sztabie tak zwanego przez was Kwatermistrza. Tyle on jest Kwatermistrz, co ja. To jest wódz. A niedoczekanie wasze. Nie — dosyć — będę tym, czym być chcę. Będę miał cierpliwość, aby to zobaczyć bez niczyjej pomocy. Od tej chwili niech nikt nie śmie mną kierować, bo ja go pokieruję tak, że popamięta, albo nie popamięta wcale — to gorzej. Nie prowokujcie we mnie tajemnej siły, bo was wszystkich rozniosę. — Olbrzymiał fikcyjnie, wydymany urojoną potęgą — czuł to, ale opanować się nie mógł. Coś obcego stawało się najwyraźniej w mózgu — ktoś tam grzebał niewprawną ręką w tych zawitych aparatach — ktoś nieznan, jakiś straszny pan, który nie raczył się nawet przedstawić, za niego załatwiał wszystko — bezczelnie, pośpiesznie, bez namysłu, na pewno, bezapelacyjnie. Sam początek, ale wystarczy. „Czy to tamten, już trochę znany (choć powierzchownie) gość, wylazł z ukrycia? Boże — co się stanie za chwilę?! Nikt tego wiedzieć nie mógł, nawet sam Bóg, chociaż mówią, że to ON właśnie odbiera rozum swoim stworzeniom — jak wszystko inne zresztą — odbiera i daje. On albo programowo niszczy częściowo (czy „wylacza”) swoją wszechwiedzę (jest wszechmocny — tak) (dla swojej zabawy, czy „zasługi wiernych”), albo jest okrutnikiem ponad wszelkie nawet ludzkie zrozumienie. A czyż jest okrutniejsze bydlę niż człowiek?” — Tak mniej więcej myślał okruchami Zypcio, na tle tamtego mózgowo-materialnego działania się czegoś niewiadomego. Wydzierał się Zypcio sam z siebie w tajemniczy, okropny świat, w którym rządziły inne prawa, niż tu — ale gdzie to się działo? Był tu i tam jednocześnie. „Gdzie jestem?” — krzyczał ktoś bezgłośnie w jakichś jaskiniach bez formy, dna i sklepień, w „grotach, które rzeźbi sen i obłąkanie” [Miciński]. Ach — więc to jest ten obłąd, o którym się tyle mówi. To wcale nie jest takie straszne: lekka „nie-euklidesowość” psychiki. A jednocześnie ta „próbka bez wartości” była czymś tak okropnym, że na całe życie wystarczy by mogła. Nie to samo — tylko to, co być poza tym mogło: co powiedzą na to centra motoryczne, a dalej mięśnie, ścięgna, kości — czy nie obrócą wszystkiego dookoła w puch i proch — a potem konsekwencje — to jest straszne. A jednocześnie, z przerażającą zaiste jasnością, widział całą głupią, pospolitą sytuację obecną. Zatrzymał wzrok na Lilian, jak na libelli stałej w nachyleniu wśród tego chwiejnego kłębowiska pospolitości. Kochał ją, żyć bez niej nie mógł — ale działo się to za szybą, tą, która zawsze oddzielała go od świata. Sztylet zdradliwej ambicji wbił mu się we wnętrzości od spodu — znienackie pchnięcie zagrobowego ojca. To ona temu winna — matka — ona jest wariatka. To po niej ma ten cały pasztet we łbie. A jednak ani na chwilę nie chciałby być kimś innym. Dźwignie samego siebie ponad siebie razem z tym obłądem. Bo to był obłąd — wiedział o tym, ale jeszcze się nie bał. Ta myśl była jasna aż do oślepienia — czarność dookoła. Jednak trochę się przeraził i oprzytomniał. Wszystko to trwało jakies nieuchwytnie mgnienie czasu. Gdzie to się podziać mogło w oczywistej jednoczesności? Jakby czas się rozdzielił i biegł na wyścigi dwiema różnymi kolejami.

Genezyp stał oparty pięścią o stół. Był błydy i chwiał się z wyczerpania, ale mówił zimno, spokojnie. Czuł w sobie rozgałęzionego jak polipa ducha Kocmołuchowicza — przyjemnie jest mieć wodza i wierzyć mu. (Księżna wyła do wewnątrz z zachwyty. Tak się

jej podobał ten mały „buntowuszczyk”, że nie wiem. Ale teraz zgiąć go trochę, chociażby troszeczkę upokorzyć i żeby na nią, w postaci gwałtu i tych jego soczków (jak nacięta młoda brzoźka w słońcu) wyładowała się ta cała dziwna, zagmatwana wśród hamulców wściekłość: „Skanalizowanie męskiego abstrakcyjnego szalu i niewystarczalności wszystkiego” — jak to nazywał markiz Scampi). Matka przerażona nagle zacichła jakby obita od środka i przyplaszczyła się. Ale za to Lilian patrzyła na niego z uwielbieniem — to był ten jej ukochany, wymarzony Zypcio — takim go chciała mieć jako brata właśnie: prawie wariatem. Nienormalność była konieczną pieprzną zaprawą bratersko-siostrzanych infiltracji, o mały prożek już od płciowych psycho-centrów — (dla niego też). Taki inny był niż wszyscy — „niezyciowe widmo” — jak mówił Sturfan Abnol. Wszystkie trzy baby, każda na swój sposób, korzyły się przed urojoną potęgą chwili, nie widząc (jak zwykle) istotnych powiązań na daleki dystans. Znowu zaczęło się to samo:

GENEZYP: Będę takim, jakim być chcę, chociażbym tam miał i zwariować. Tak więc mama wie, że byłem kochankiem tej pani i że w moich oczach zdradziła mnie z Tol-dziem. Tak — patrzyłem na to z łazienki, zamknięty umyślnie na klucz. — Spodziewał się, że jeśli sam to jasno wypowie, tym samym wzniesie się ponad dziejącą się za jego plecami machinację. Obie damy zachowały zupełny spokój. Nowe kierunki w wychowaniu panienek: przepajanie całkowitą wiedzą zła z punktu, w samym nieomal zarodku uczuć. To miały być te silne kobiety przyszłości. Lilian wiedziała o wszystkim: pojęciowo — raz — i dwa): bezpośrednio, dolnym brzuchem, w którym przeżyły się głodne życia potwory. — I mama by chciała, abym ja potem...! Ja nie wiem, gdzie ty żyjesz obecnie — w jakimś niezrozumiałym dla mnie świecie. I to nie jest świństwo! — to syn jest bardziej konserwatywnym od matki! To wszystkiemu winien Michalski — pan Józef — cha, cha!

MATKA: Okrutny jest twój śmiech. Przypomnij sobie ten ranek... Jakże byłeś inny wtedy...

GENEZYP: I wstręt mam jeszcze dotąd do siebie za ten ranek. To było właśnie po *tym*... — (Tu wskazał na księżnę). — Chcę strząsnąć z siebie wszystko, być nagim jak embrion i zacząć wszystko na nowo. — (Baby w śmiech — ale szybko się opanowały. Strasznie oburzony Zypcio zmartwił zmieniony w jedną ranę. Zapadał się w grząski wstyd, śmieszność lepką i jałową beznadzieję. Huśtawka). I Lilian, Lilian wtajemniczona w takie rzeczy! — Chciał się ratować histeryczną obroną siostry — naprawdę nie obchodziło go to wcale.

MATKA: Ty nic nie rozumiesz kobiet. Widzisz w nich najgroźniejszą siłę, zagrażającą twojej niewykształconej indywidualności, a nie dostrzegasz tego, jak krucha jest ta ich potęga — ile muszą one nagromadzić w sobie pozornego zła, aby was w ogóle wytrzymać. Ty nie wiesz, co ona wycierpiała dla ciebie. — Wstała i objęła księżnę. — My obie tak cierpimy razem nad tobą. Zrozum sercem i ją, i także twoją biedną matkę, która nic prócz cierpień w życiu nie miała. Ty nie wiesz, co to jest zacząć kochać naprawdę po trzydziestce! — Zaczął tajać po wierzchu — spocił się jakby tłustą czy śluzowatą litością — ale się trzymał — raczej tamten „gość” trzymał go na granicy pełnej fiksacji. „W obłądnie też jest siła” — pomyślało mu się w pustej przestrzeni między sobowtórami.

GENEZYP: Nie chcę nic o tym wiedzieć! Wstrętne jest to uczuciowe ślimaczenie się wasze. O — jakże ohydną rzeczą jest uczucie ludzkie, właśnie ludzkie — to zawinięte w kłamlive futerały odpadków społecznych transformacji. O wiele szczęśliwsze są bydlęta — tam u nich jest to prawdą.

MATKA: Mało co różnisz się od bydlęcia, moje dziecko. Przebierasz miarę w brutalności, łudzając się, że jesteś silnym człowiekiem. A co do Lilian to są te nowe metody wychowania. Nie chciałyśmy cię zrazać przedwcześnie. Wczesne uświadomienie nie jest niczym złym — przesady, które kosztowały wiele pokoleń ich zdrowie psychiczne. Za kilka miesięcy Lilian będzie i tak żoną Sturfana. Prawda, córeczko, że lepiej teraz się czujesz, jak wiesz wszystko?

LILIAN: Ależ oczywiście, mamo! Nie ma o czym gadać. Zypcio jest dzieciak, ale jest wspaniały w swoim rodzaju. Z czasem oswoi się ze wszystkim. Przecież na Nowej Gwinei nie ma wcale kompleksów freudowskich. Tam dzieci od szóstego roku życia bawią się w małżeństwo. A potem wszystko jest „tabu” w obrębie jednej wioski. A siostra jest największe „tabu”: za dotknięcie śmierć — [dodała z nieprzyjemną kokieterią]. — Wszystko jeszcze będzie dobrze: wewnątrz pozornej mechaniczności życia my stworzymy nowe,

Szaleństwo

normalne pokolenie — nie nasze dzieci, tylko nas samych. My nieznacznie, od środka zmienimy wszystko. — [dodała znowu z naukową już całkiem powagą].

— Dla Chińczyków będą te nowe pokolenia — nawóz albo podmurowanie ich konstrukcji w tym kraju — przerwał jej wściekle upokorzony Zypcio, któremu wszystko przewracało się w głowie. — Frazesy, gołosłowne obietnice bez podstaw, otumaniania się nałogowych optymistów — ja wiem to po sobie. — A jednak sytuacja podobała mu się gdzieś na dnie, ale na przekór wszystkiemu, co uważał w sobie za wartość: sam początek perwersji — dzieło tamtego draba w nim. Tylko czym było to dno? (Co to mogło obchodzić takiego Kocmołuchowicza!? Furda! A jednak to są te właśnie różniczki, (te „cząsteczki mózgowo-psychiczne” jak mówił pewien zniewieściany hrabia-bergsonista), z których robi się miazga, w której pracuje taki mąż stanu, który — i tak dalej. Nie wiedział Zypcio, jak są do siebie podobni z tym oberhyperkwatremistrzem, którego tak wielbił i który dużo by się mógł nauczyć, patrząc przez lupę na tego swego mikrosobowótora. Za późno się spotkali, ze szkodą dla nich obu).

Coś wyłaziło znowu z głębi. Oświetliła Zypcia nagła błyskawica od środka — objawienie. Stało się w nim całym tak lekko, przestronno (i jasno nawet) jak w zakatarzonym nosie po dwóch decygramach kokainy. Ten tam nienazwany, którego się bał i przed którym się bronił, to drugi on prawdziwy, najprawdziwszy — wypuścił go z podziemi na światło — niech się rozprostuje, rozepcze i też niech użyje. [„Wariat może spełnić swoje życie jedynie w obłędzie” — tak by powiedział genialny Bechmetiew]. Wszystko poświęcić można, aby go poznać wreszcie i ujarzmić, lub być ujarzmionym. Ale jak to uczynić, za cenę jakich zbrodni czy wyrzeczeń. Takie długie to życie jeszcze! Od tamtego można by się nauczyć, jak je zapełnić i przetrzymać. Tylko tamten może to uczynić — on sam będzie zawsze „za szybą”, jak ryba w akwarium.

Informacja: Nie czuła tego wszystkiego Lilian. Wszystko miała w sobie — była doskonała, psychicznie okrągła, bez skazy — jak papa — cyklotymik. To (co za cuda kryły się w tym „tym”!) bawiło ją jedynie umysłowo, zupełnie na zimno. Świetnie dopasowała do swego wewnętrznego chłodu maskę dorosłej osoby. Ten chłód, było to właśnie to, za czym tak dziko szalał Sturfan Abnol. Ale dotąd (broń Boże) nic między nimi nie zaszło. Parę pocałunków, podczas których spytała go lodowato: „czemu mnie pan tak liże?” — nie było to wstętne, tylko dziwnie obojętne — nie pochodziło z tego świata, w którym żyła w myślach swych: nie połączyły się jeszcze wybuchowe materiały z lontem, prowadzącym do ukrytych w małej, „dobrze zekwilibrowanej serwelce” (jak mówiła księżna Irina) detonatorów. Ale coś wyłaniało się poza tym: owoc życia, bezkształtny jeszcze, nie przypominający na razie w niczym Fallusa, wypinał się kusząco. Zdawało się to tak idealne jak przeziorek seledynowy wśród mgieł w jesienny poranek, a były to całe węzowiska plugawych sił i apetytów, rozpierających się aż w nieskończoność. Kiedy już, już miały się zetknąć niewspółmierne światy (jak usta — ale te idealne, nie mięsiste wargi Sturfana z jej poziomkową marmeladką) i stworzyć nowe chemiczne połączenie: świadome kobiece bydłectwo i potęgę, Lilian doznawała czegoś graniczącego prawie z religijnym zachwytem: jej czysta jeszcze bądź co bądź duszyczka płała się w eterycznej, niespełnionej piękności urojonego, nieurzeczywistnialnego Istnienia.

Zamknęły się znowu „wrzędzące” więzień: jeszcze nie czas. Genezyp opadł bezwładnie od wewnątrz. Odbite miał mięśnie od kości i wszystkie bebechy w nieładzie. Mógł być tytankiem tam w szkole i walczyć zwycięsko ze swymi osobistymi wrogami: dowódcami sekcji i plutonu. Ale tu, oblepiony świńskością i urokiem spotęgowanego ponad jego miarę życia w formie tych bab (te rodzinne potęgowały tylko urok tamtej księżęcej bestii, zamiast osłabiać, jak by to powinny) poddawał się na całej linii. Chyba trzasnąć do diabła wszystkie trzy od razu (tylko od razu — inaczej nie wyjdzie ten pasjans) i nie zobaczyć ich nigdy więcej w życiu. Ach — gdyby to tak można taką sztukę wyczynić — są przecież tacy, co tak robią. Coraz mniej ich jest, ale są, psie-krwie. Ale na to nie miał odwagi. Sam utajony obłęd trzymał go za kark i kazał chleptać z tego koryta nędzy dalej. Brzydki kompromis wlał się z boku i płynął jak struga mętnego bocznego potoku

w czystej rzece. Zarzut bezideowości palił go wstydem nieznośnym. Jakąż bowiem miał ideę? Czym mógł usprawiedliwić fakt swego życia, nagi, odarty z codziennych, drobnych dowodów konieczności, sterczący chwiejnie z otaczających bagnisk bez żadnych podpórek dziecinnych koncepcji istotności koncentrycznych kółek — no czym?! A ta wściekła baba miała przy tym jakieś polityczne koncepcje, miała w ogóle łeb na karku, a w tym łbie mózg wcale nie ostatniej jakości, prawie że męski i w dialektyce wyćwiczony. Nie było wcale łatwą rzeczą tak ją z punktu zlekceważyć. Czy to nie oburzające?

Wlekło się wszystko niemożliwie. Już nikt go nie przekonywał. Wiedziały wszystkie trzy (jak więdmy z Makbeta), że się poddał. Babi tryumf zapanował w salonie, oblepił nieprzyzwoitym słuzem wszystkie meble, dywany i bibeloty. Matka i Lilian podniosły się z foteli z tym charakterystycznym pochyleniem naprzód, wyrażającym dystygowane pływanie ponad nędzną, przewyciężoną rzeczywistością — była w tym też wdzięczność dla księżnej. Pani Kapenowa ucałowała syna w „czołko”, nie pytając go nawet, czy wychodzi, czy zostaje. Przyszły adiutant Wodza zadrzał od tego pocałunku: nie miał ani matki, ani siostry, ani kochanki; był sam zupełnie w nieskończonym wszechświecie, jak wtedy, po tym fatalnym przebudzeniu. O ekskrementalnych przyjaciółach nawet nie pomyślał. Ha — niech się dzieje co chce. Wyjdzie i nie wróci, tylko nie teraz, nie zaraz, na Boga, nie w tej chwili. „*Der Mann ist selbst*” — jak mówił naczelnik szkoły, generał Próchwa.

Wyszedł z paniami do przedpokoju. Ale kiedy całował na pożegnanie *piekielnie miękawą* rączkę księżnej Iriny, ta zdążyła mu szepnąć razem z gorącym oddechem, wycelowanym prosto w prawe ucho: „Zostaniesz. Niezmiernie ważne rzeczy. Cała przyszłość. Kocham cię teraz zupełnie inaczej”. Rozpuścił się w tym szepcie, jak cukier w gorącej wodzie. I nagle, zmieniony sam dla siebie do niepoznania, rozjaśniony upadkiem, już nie sam i nie w rozpacz (ujutność trochę śmierdzi, ale to nic) zadowolony, rozczulony, prawie szczęśliwy przez łagodne (środek łagodnie rozwalniający) płciowe rozluźnienie, został. Ale zaraz po wyjściu tych pań księżna stała się zimna i daleka. Genezypa chwyciła znowu lodowata rozpacz — za mordę, brutalnie. Na to więc zdradził sam siebie, aby za upadek wewnętrzny nie dostać nawet jednego ochłapu, choćby gorszego, tego ciała, którym w istocie pogardzał. Natchnienie do jakiegoś decydującego czynu nie przychodziło. Łupić, bić, mordować, kopać — a tu stał w kąciku grzeczny chłopczyk z sercem *en compôte*.

— ...teraz nie będziemy mówić o nas. — [Siedział wypięty i po wojskowemu stężały. Ta „kupa elementów” przed nim była tak daleka (oto „inny wymiar” jak byk w tej samej przestrzeni), że nie mógł pojąć, nawet w przybliżeniu, jakim cudem mógłby sobie pozwolić na najłżejszy nawet, „najsiostrzeńszy” pocałunek. Męka rozkładu za życia, i to na zimno, trwała. „Ach — wyrwać się już raz na szeroką falę bez tych przeszkódek, zastawek, drobnych hamulczyków” — ciągle miał uczucie, jakby mu kto laskę między nogi wstawiał. Koniec szkoły — oto termin ostatni — wtedy on im pokaże... Ale żeby nie było tak, jak z maturą, kiedy to najważniejsze problemy osobowości wylazły wtedy, gdy wszystko zdawało się być załatwione, skończone.] — to najmniej ważne (niby „my”) — Ważniejsze jest to, kim ty będziesz dalej. Ty właśnie, Zypciu, z twoją naturą pełną tajemniczego, bezforemnego żaru, nie możesz żyć tak bez żadnej idei. To grozi pęknięciem, obłędem w najlepszym razie. W tobie odbija się, jak przelatujący obłok w lusterku, cała ludzkość. Ja wiele zrozumiałam, patrząc na te twoje szamotania się. — (Mówiła jak jakaś stara ciotka, będąc *tak* piękną! To piekielne...) — Idea organizacji pracy nie doprowadzi nikogo do wielkich czynów. To są koncepcje szarej przyszłości i dla tej przyszłości istotne — ale my musimy patrzeć na ich wcielanie się w dawne organizmy społeczne, których częściami na pół jeszcze jesteśmy i dlatego czujemy tylko ból i nudę — wrastamy sami w siebie w obcych nam formach. — („»Cóż« w piętkę goni ten babon” — pomyślał Zypek). — Są to idee pomocnicze, techniczne, które *obecnie* zużywać może każda partia dla swoich celów, począwszy od nas: Syndykatu Zbawienia, aż do zbolszewizowanych Książąt Mongolskich — ale kiedyś będą one urzeczywistnione w całej ludzkości — i na szczęście nas już wtedy nie będzie. Właściwie nie są to żadne pomysły, którymi można żyć, albo się im poświęcać — o ile się nie jest specjalistą w danym zakresie.

GENEZYP: Tak, ale idea ciągle i to pokojowo wzrastającego dobrobytu, połączona z ideą zamazania walki klas, w stylu dawno-amerykańskim, do którego rozkwitu doprowadziła kiedyś idea organizacji pracy, może już być, dla dostatecznie zmateralizowanych ludzi,

dostateczną podporą dla przetrwania choćby istnienia — nie mówiąc już o jego przetwarzaniu i stwarzaniu nowych zupełnie wartości, w co wierzą tylko oportuniści i zwykli durnie, i karierowicze. Przetwierać — to już jest wiele, gdy naokoło widzi się zalewającą nas pustynię ducha — pogodzić się z beznadziejnością i żyć w prawdzie, a nie omamiać się urojonymi nowaliami, które niby nadejść mają — nie brać ostatnich podrygów za zaczątki rzeczy nowych... — (przecież to ona sama kiedyś to mówiła!) — Jakże łatwo jest obiecywać jasną przyszłość, bełkocząc nieszczerze, ze skłamanymi łzami w oczach, banalne, oklepane pocieszenia ludzi niezdolnych do okrutnego myślenia: że przecież zawsze były wahania i oscylacje i ludzkość coś sobie dla uciechy zawsze wynalazła... — (Tracił zupełnie poczucie, w imię czego mówi — czy przekonywa ją, czy siebie samego z nią razem przeciwko sobie — powtarzał, jak papuga, rzeczy, których mu naopowiadał jeden z jego kolegów, były ekonomista-amator, Voydeck-Wojdakiewicz).

KSIEŻNA: Pleciesz, drogi, jak na torturach. Dobrobyt nie może wzrastać nieograniczenie, a uspołecznienie jako takie — *als solche*, powtarzam — może, i to niezależnie od dobrobytu, którego rozwój może się zatrzymać i żadna siła go nie wzmoże. Nie mówiąc już o Europie, widzimy to jasno na Ameryce: mimo wszystkich wysiłków organizacji pracy i maksymalnych wynagrodzeń, i oszalałającego dobrobytu tych tam robotników, i wzrastającego współludziała w przedsiębiorstwach, nic nie mogło uratować tego ładu od komunizmu. — Apetyty ludzkie są niezmiernie...

GENEZYF: Stępią się — niech pani będzie spokojna. To było tylko kwestią czasu: jeszcze chwila i załatwiłoby się wszystko bez przewrotu. Właśnie w nowych społeczeństwach...

KSIEŻNA: Nigdy się nie dowiemy, jak to być mogło, gdyby i tak dalej... Fakt dowodzi mojej słuszności. Widać stąd, że jeszcze — *jeszcze*, powtarzam — trzeba idei wyższej, której tam brakło, a jakaż idea wyższa jest od narodowej?

GENEZYF: O, to pani plecie! — (Postanowił być brutalnym). — Bez żadnego komunizmu, na tle ekonomicznej współzależności narodów, która wyszła na jaw po wojnie narodów, okazało się, że narodowość jest humbugiem, fikcją byłych rycerzy, tajnych dyplomatów, ciasno patrzących przemysłowców i operatorów czystego pieniądza. Wszystko tak się splątało na świecie, że mowy nie ma o oddzielnych narodach w znaczeniu samodzielności — (znowu zabrął i nie wiedział, czy to, co mówił, jest jego własnym przekonaniem, czy tylko bezmyślnym małpowaniem Wojdakiewicza. —)

KSIEŻNA: To, co nastąpiło po Wielkiej Wojnie, to był właśnie zamaskowany bolszewizm pod pozorami międzynarodowych, ponadnarodowych, ale pozostawiających im jakieś niby odrębne życie, instytucji. I dlatego klapnęły te wszystkie ligi i międzynarodowe biura pracy i jest tak, jak jest teraz. — (Księżna używała ordynarnych słów polskich, nie zdając sobie sprawy z ich właściwego smaku). — Może być tylko narodowość, albo mrowisko — trzeciego wyjścia nie ma. Musisz żyć ideą narodową, bo należysz do tej ginącej części ludzkości. To trudno: nie można kłamać: nie być tym, kim się urodziło. Lepiej wcześniej zginąć prawdziwym, niż żyć zakłamanym. Musisz mi się poddać, o ile nie chcesz dojść do swej własnej odwrotności, co z twoją naturą jest bardzo prawdopodobne. Musisz zostać tajnym członkiem Syndykatu, o ile w ogóle chcesz przeżyć samego siebie na swoich własnych szczytach, a nie na cudzym śmietniku. — Genezyf zakrył twarz rękami: teraz go wzięła! Skąd ona mogła znać słowa, wcielające się w jego bezpojęciowy gąszcz, raczej wywlekające stamtąd, nadziane na symbole jak na patyczki, kawały żywego mięsa jego najistotniejszego trwania. Czyniła to oczywiście przy pomocy swych organów płciowych bezpośrednio, tak „intuicyjnie” („he, he, panie Bergson!”), jak klasyczny do znudzenia sfeks swoją sprawę z przekłętą lizką. On to wiedział i palił się ze wstydu, mimo że pochłonął jeszcze w szkołach całą literaturę biologiczną od Loeba i Bohna począwszy, tych wielkich panów, co pojęcie instynktu rozbili w puch i proch, niszcząc pośrednio jedną z najpotworniejszych błag jakie były: bergsonizm). — Coś dziwnego przygotowuje się w atmosferze — są to ostatnie podrygi — zgadzam się, ale jest w tym posmak wielkości, której brak wszyscy tak boleśnie i obleśnie odczuwamy: „*Die Freude zu stinken*” — jak pisał ten nieszczęśnik Nietzsche. — (I zaraz dalej:) — Dotąd nie zdołaliśmy, mimo szalonych wysiłków, nikogo z nas wkręcić w najbliższe otoczenie kwatermistrza. Ty jeden, jako specjalnie przez niego wybrany, — mówią, że twój ojciec coś nie coś wiedział o jego dalszych planach — możesz nam dostarczyć niezmiernie cen-

nych wiadomości, choćby o jego sposobie życia, o tym, jak pije śniadanie i zdejmuje te swoje historyczne lakiery na noc. Przecież nikt z naszych nie wie nawet w przybliżeniu, jak przechodzi codzienny zwykły dzień tego monstrumu. A potem oczywiście mógłbyś wślizgnąć się w rzeczy daleko ważniejsze... —

Z najniższych nizin, z moczarów, z tyłów ohydnych bud i śmietników, ale własnych, odpowiedział Zypcio: (rzeczywistość jak na niego wspaniała, ale wstrętna i zgnicie w małym loszku na brudnej słomie — dwa obrazy tańczyły w jego umęczonym mózgu, nie mogąc się przemóc. Załatwiła to mowa, niezależna jakby od osobowości. To pewno tamten trzeci, wariat, mówił w imieniu szlachetnego chłopczyka, sam szlachetnym wcale nie będąc — miał tylko wolę, „den Willen zum Wahnsinn”).

— Przede wszystkim na wszystko to nie będzie już czasu — czy wy sobie wyobrażacie, że Chińczycy będą czekać, zanim wy załatwicie wasze wszystkie brudne rachunki w imię waszych bezpłodnych, utuczonych brzuchów? Śmieszne złudzenia!

— A fe! Co za bolszewik! Opamiętaj się. Nie bądź ordynarny jak agitator jakiś.

— Mówiłem już, że szpiegiem nie będę — warknął — i to w imię żadnej idei, nawet absolutnie najwyższej.

— Nawet szpiegostwo dla celów wyższych jest czymś wzniosłym. A tu przecież... Nawet dla mojej przyjaźni? —

— Pluję na taką przyjaźń! Czy pani miłość poprzednia do mnie i demoniczne sztuczki były również wynikiem jakiejś, czy tej samej politycznej kombinacji? O, jakże upadłem strasznie... — znowu ukrył twarz w dłoniach. Patrzyła na niego jednocześnie z czułością matki i drapieżnością kota o włos od pochwycenia zdobyczy. Wypuczyła się cała, sprężyła ku niemu, ale dotknąć go jeszcze nie śmiała. Mogło to być przedwczesne, a jeśli nie w tej chwili, to nigdy już. Genezyp czuł się jak mucha w lepie — o wyciągnięciu połamanych nóg mowy być nie mogło, a skrzydła brzęczały rozpaczliwie w powietrzu, dając złudzenie swobody. Malał aż do zaniku z niemożliwego wstydu do siebie i do całej sytuacji. — Posłyszał dzwonek od drzwi wchodowych, dochodzący gdzieś z dalekich zakamarów nieznanego pałacu.

— Ty nic nie chcesz zrozumieć. Najpierw chodzi o ciebie samego, o twoją jedyną drogę życia, na której możesz się istotnie przeżyć. A potem o twoją karierę także, w razie zwycięstwa Syndykatu. Pamiętaj, że to nie wszystko jedno, skąd się patrzy na życie: czy z łoża parterowej, czy z przesyconego wyziewami paradyzu. „Leute sind dieselben, aber der Geruch ist anders” — jak powiedział pewien wiedeński fiaker Piotrowi Altenbergowi. Nikomu jeszcze nie pomogło programowe zdeklasowanie się, a powrót na swoje miejsce trudniejszy jest niż się to zdaje. — (Przerwać jakim bądź sposobem to walenie się ciężkich jak jakieś potworne kufry (właśnie) słów).

— Czyż pani myśli naprawdę, że my możemy zatrzymać Chińczyków i ostać się w tej parszywej, umiarkowanej demokracji wśród tego morza bolszewizmu?

— I to mówi wielbiciel i przyszyły adiutant kwatermistrza! Sprzeciwiasz się, moje dziecko, zasadniczej myśli twego idolu.

— Nikt nie zna jego myśli — w tym jest jego wielkość...

— Dość wątpliwa co najmniej. Jest to siła, nie przeczę, ale wichrowata, siła dla siły to jest jego idea, siła w czystej formie. My, Syndykat, musimy go zużyć dla naszych celów.

— I taka galareta, która co chwilę mówi co innego, ma być wyrazem organizacji, która jego, JEGO chce zużyć! Cha, cha, cha!

— Nie śmiej się. Jestem zdenerwowana i gubię się w sprzecznościach. Ale któż się w nich dziś nie gubi? Widzisz: tam z Zachodu będziemy mieli tajną pomoc. To, że upadła Biała Rosja, niczego nie dowodzi. Tam nie było ludzi, takich właśnie, jak Kocmołuchowicz. Tam, na Zachodzie, młode bolszewizmy, jeszcze z lekka od spodu podnacionalizowane i używające tajnie faszystowskich metod, pod pozorami tego, że czas jeszcze nie przyszedł — co za sprzeczność! — drżą, powiadam ci, przed możliwością chińskiego gniotu, niwelującego wszelkie subtelniejsze różnice. Dlatego muszą nam pomagać, nie tylko w utrzymaniu *status quo*, czyli obecnego marazmu, ale muszą nas czynnie pchać w ideowo przeciwną im stronę, ze względów technicznych. W głowie się mąci, gdy się pomyśli do czego doszła komplikacja życia. Finanse z Zachodu — to jest ten cud polski, którego te żółte małpy, z ich uczciwością, zrozumieć nie mogą. Potworne tajemnice ci

mówię — za to — śmierć w torturach. A jeśli to się nie uda, to ostatnia zapora dla Chińczyków przerwana, żółty potop i koniec rasy białej. Niestety, tak się wszystko uspołecznilo, że kwestia ras nawet przestaje coś znaczyć na wielką skalę — kolory skóry nawet stają się obojętne. Właśnie przychodzi pan Cylindrion Piętalski, baron papieski i szambelan, były dowódca kulomiotów gwardii Jego Świątobliwości. — Genezyp poczuł się owadem w tym domu: karaluchem, prusakiem, pluskwą. Ha — gdyby można czasem całego siebie wyrzygać prosto w nicłość, nie przestając przy tym istnieć! Cóż to byłaby za frajda!

Wszedł ohydny (przecież mógłby być pięknym tego gatunku osobnik — więc po co? Po co i to jeszcze? Przypadek.), wymokły, obwisły, chudy na gębie, a brzuchaty na brzuchu blondyn, z rozczesanymi „po lordowsku” faworytami, w monoklu na czarnej tasiemce. Zaczął mówić zaraz (był widać uprzedzony). (Bezplciowość jego była aż nazbyt widoczna — ten przynajmniej na pewno nie był kochankiem księżnej.) — mówił — i obecnym zimno robiło się od trupowatości pojęć, których używał. Po prostu czuło się, że kwestia narodowości w ogóle, a polskiej w szczególności, na skutek przemacerowania w literaturze od romantyzmu aż po ostatnich neo-zbawicieli, jako też z powodu przegwałdzenia jej na wylot na wszystkich obchodach, uroczystościach, wiecach, posiedzeniach i rocznicach w bezdusznych frazesach i obietnicach bez żadnego skutku, jest czymś tak martwym, wyczerpanym i dalekim od rzeczywistości, że nikogo nigdy *naprawdę* poruszyć już nie będzie zdolna. Jadowite kłamstwo ścinało żywe biało w promieniu sięgającym po orbitę Neptuna. Zdawało się, że na innych planetach i ich księżycach zamiera wszystko od nieznośnej nudy i jałowości problemu, że jeśli na satelicie Urana czy Jowisza zaczyna tworzyć się coś w rodzaju narodu, to oddech Piętalskiego, zionący potworną pustką frazesu, musi zwarzyć i zamrozić ten żywy kielek na odległość bilionów kilometrów. Wszyscy wiedzą, jak taki sos wygląda i pachnie, tym bardziej na tle zgnitego kawała rzeczywistości, którą podlewa i usmacznia — można nie cytować dosłownie. Było w tym coś niesłychanie męczącego — to samo-załgiwanie się typowego „poważnego człowieka”, czy też programowa błaga jakiegoś równie poważnego demona. Dobrze, dobrze — ale w imię czego? Nie — tak bezsensownej politycznie sytuacji nie było nigdzie, nawet w Hyrkanii, gdzie obok rządu bolszewickiego trwał błazeński król, pozostawiony niby na pośmiewisko dla innych — w gruncie rzeczy bardzo wtrącał się do rządów i sam bawił się znakomicie. A ten gadał — i słowa takie jak: miłość do kraju, ojczyzna, poświęcenie dla dobra narodu itp. (choć już mało było w ogóle takich słów — pozapominano wiele — kursowały tylko najmniej wyświechtane, w których jeszcze resztki znaczenia tknęły się jak ćmy o lampę lukową o tajemnicze ciemne ognisko ostatecznego sensu istnienia) padały z oślinionych, sinawych warg siwiejącego blondasa, „filaru” Syndykatu. On istniał tylko w tych słowach — poza tym był widmem, plamką na siatkówce Boga.

Genezyp dusił się ze wstydu za ten naród — (i za siebie jako element tego właśnie narodu). Co za pech! A jednocześnie brał odpowiedzialność za to, że wszyscy byli tacy — taki mały, różniczkowy Mesjaszek! Też się wybrał w porę! A tu myśl podła: czy warto w ogóle być czymś w takiej klapdrze? Po co? Przypomniało mu się zdanie Tengiera: „urodzić się garbatym Polakiem — to wielki pech, ale urodzić się do tego jeszcze artystą w Polsce, to już pech najwyższy”. Dobra nasza („bonne la nôtre” — jak mawiał Lebac), że artystami nie jesteśmy. Nie — nie miał racji ten bluźnierca. Z takich oto powiedzonek składa się ta parszywa atmosfera „Die Kerlen haben keine Ahnung was arbeiten heiss und dazu haben sie kein Zeitgefühl” — tak mawiał Buxenhayn. Otóż: każdy swoje, nie oglądając się na innych, a może kiedyś... Ale znowu chińska nawała i ogólne spóźnienie się z tymi kwestiami. Poczuli bestie, że czas ucieka, jak zawisła im nad łbami (nic nie lepszymi od dawnych „golonych pałek”) żółta fala, niosąca niewymierne już z tymi dawnymi przeznaczenia. Za późno! Zatulić łeb w brudną pierzynę i robić swoje: odtąd — dotąd, nie myśląc o niczym — przeczytać głupią powieść, pójść na dancinę, kogoś poobłapiać i zasnąć. Jeszcze nie przyszedł czas tak doskonałej organizacji — jeszcze trzeba było myśleć — Zjedzona przez „dziki kapitał” Europa nie mogła wyciągnąć ręki ku wstającemu Wschodowi — „trzeba było wszystko stracić, aby wszystko zyskać” — jak pisał kiedyś Tadeusz Szymberski. Coś takiego kołatało się jeszcze w niektórych pół- i ćwierć-duszach i wylażyło, gdy już bardzo na nie pluto, ale coż to takiego było: jakaś cieniutka ambicyjka,

że to niby jego naród, takiego oplutego, jakies czysto zmyslowe przywiazanie do pewnych dźwięków (na Zachodzie Esperanto gnębiło coraz bardziej rodzime mowy), jakies pół-bydlęce uczuciátko do krajowego „narzecza”, to był ten tak zwany i znieawidzony patriotyzm. A w gruncie rzeczy maska dla apetytów. A to straszne, psia-krew!

I on w imię tych trupów-pojęć, wyrosłych jak grzybki na trupie dawnego kompleksu uczuć, zwanego: — tak czy owak — wszystko jedno — on miałby popełnić najgorsze świństwo w stosunku do tego jedyne go człowieka z jajami, biednego Kocmołuchowicza, skazanego oczywiście w tych warunkach na zagładę? Nie. Podniósł się znów z dymiących oparzelisk jaźni tajemny gość z krainy obłędu, gdzie wszystko jest takim, jakim być powinno — dla niektórych oczywiście. W pewnej chwili Zypcio dał w twarz Piętalskiemu i wyrzucił go do przedpokoju. Słyszał jak tamten pluł i charkał — i było mu wstyd, a jednocześnie cieszył się, że patriotyczna idea została trochę pomszczona. Niech nie biorą takich ohyd na jej nosicieli. Dużo by dał, aby dowiedzieć się teraz, jaki jest jego własny procent (%) narodowości. Nic — widział tylko żółte wyłogi swego munduru i czuł, że on, ten pogardzany dzieciak, dokonał jednak czegoś morowego. Miał dobrą intuicję — o, tu to słowo jest na miejscu — ale równie dobrze mogło to być fałszem. (Jak słusznie mówi Edmund Husserl: czemu tzw. „intuicyjne” (ulubiony obecnie termin zarozumiałych bab nie chcących myśleć i zbabiących mężczyzn) odkrycia robią zawsze jednak specjaliści wyszkoleni w danym fachu — analogia pewnych form myślowych, zużytkowanie przyzwyczajęń badacza, przeskakiwanie szeregów myślowych, automatyzacja — ot co jest, moje panie. „Zwycięzycie kiedyś i to tym samym pogardzanym intelektem — to inna rzecz, ale racji nie macie” tak mawiał *à propos* tego problemu Sturfan Abnol). Nie wiedział jednak Zypcio, jakie będą tego „czynu” następstwa: mordobicie to przyspieszyło o całe 2 tygodnie wybuch pewnych wypadków. Bo Centrala Syndykatu Zbawienia przygotowywała na wszelki wypadek małe „powstańko wywiadowcze”, jak to się nazywało. Kraj był tajemnicą dla wszystkich patriotów prawie tak wielką, jak sam Kocmołuchowicz. Już nikt nic nie rozumiał i wszyscy dusili się wprost w tym cudzie ogólnego niezrozumiałstwa”. (termin Karola Irzykowskiego — niech będzie przeklęty za ten wynalazek, pozwalający każdemu durniowi odsądzić od wszelkiej wartości najwartościowszą rzecz). Trzeba było choćby paru kropel krwi, aby się dowiedzieć, co właściwie jest: „zanurzenie lakmusowego papírka w świżą krew” — jak mówił Piętalski. Że ktoś tam musiał przy tym zginąć, z tym nie liczono się zupełnie. Dopiero w razie inicjalnego powodzenia można by atak ten rozszerzyć i kto wie, czy nie utracić samego generał-kwatermistrza, który ku zgorzeniu Syndykatu wachał się na razie przynajmniej dość bezwstydnie z najbardziej radykalną częścią armii, znajdująca się pod wpływem pułkownika Niehyda-Ochluja. (Oczywiście „radykalność” ta była mocno zamaskowana i jako taka względna). Zresztą główni działacze Syndykatu Zbawienia nie angażowali się w ten „eksperyment” — podrzędnych można się było w wypadku klęski wyprzeć jako nieodpowiedzialnych.

Tamten pluł i charczał w przedpokoju. Genezyp błąd, drżący, zadyszany, zaciśniętymi pięściami wparty w poręcz fotelu, patrzył na bezwstydne nogi księżnej, które zdawały się być przepojone szatańską esencją niepojętej w swym natężeniu zmysłowości. Że też noga może mieć tyle wyrazu i to zamknięta w jedwab i twardy lśniący lakier. Gdyby tak taką nogę można było zgwałcić jako oddzielną istotę i wreszcie nasycić się jej (względnie ich) złowrogim czarem... Rozmyślania te przerwał huk. Zatrzasnęły się nareszcie drzwi wchodowe, nazbyt mocno dzwoniąc łańcuchami. Skazańcy spojrzeli się na siebie — zwarli się kłamliwymi zwykle gałkami ócz naprawdę, ich tajemnym fluidem (który jest tylko zwykłą konwencją podobnych między sobą istot), jak dwie bańki na mętnej kałuży rzeczywistości. Walka z Cylindriem rozpętała w Genezypie to coś ze dna, ten głód nieskończoności, który kusił go zawsze do nadzwyczajności — choćby potwornej — byle nie to, co jest i być ostatecznie może. Niestety, któż to potrafi — tylko obłęd lub zbrodnia przebić może tę ścianę popolitości — czasem twórczość — ale i to nie. Mniejsza z tym. Tak się tego bał — ale w tym tylko był urok życia. Nie był sobą — jedyna chwila odpoczynku ponad całym istnieniem. Psychiczny szaleń własnej produkcji, a stwarzający mimo to coś obcego, nie wiadomo gdzie istniejący (jak „byt idealny”) świat absolutnej zgody wszystkiego ze wszystkim. Tak: nie był sobą: (o rozkoszy!) tamten wewnętrzny drab patrzył przez jego oczy, jak przez szybki, jak zwierz, czający się w ciemnościach.

A potem wszystko zmieniło się w to... Zwalili się na siebie, jakby z nieskończonej, bezkierunkowej w istocie wysokości obojętnej przestrzeni. To darcie na strzępy ucieleśnionej w miękkich zwalach rozkoszy, to bezwstydnym odarcie ze skóry nagiego mięsa pałającego się dziką żądzą, to nieludzkie *nasywanie* wydartego z trzewi prawie metafizycznego bólu... Nasywanie bólu? Tak. Znowu przekonał się, że to jest jednak coś, i w ten sposób rozwiązując problem natychmiastowego, na poczekaniu, zwariowania, zapadł jeszcze głębiej w nieprzewyżnione objęcia swych potworów z Krainy Dna. Ryjąc jak wieprz całym sobą w najstraszniejszym świństwie istnienia, wisiał nad całym światem, świdrując wzrokiem wściekłego jastrzębia tonące w bezgranicznej przepaści zła *tamte oczy*. W ich *spotęgowanej* rozkoszą ukośności zdawała się lśnić Tajemnica Bytu. A wszystko to kłamało zawzięcie, z bestialską, idiotyczną furią. Doszedł Genezyp do szczytu: usamotnił się w tej chwili okropnej, zamiast się omamić złączeniem dwóch ciał. Psychicznie dalej w tym kierunku pójść nie można. Bardziej był samotnym teraz, niż wtedy z Toldziem w dzieciństwie i nawet niż wtedy w łazience.

Ponuro oddała mu się księżna, czując, że mimo wszystko nie potrafiła zgębnić tego smarkacza, tak, jak chciała. O, jakiż smak miał dla niej teraz, kiedy dostała go tak prawie z łaski bezecnego przypadku! To nie była dawna matematyka i w tym tkwił nowy, groźny urok. Niech sobie mówi, co kto chce, ale te ostatnie chwile mają też swoją wartość. „Z łaski, z łaski” — szeptała, podniecając się aż do szału tym uświadomieniem upadku, potęgując do niemożliwości tragizm, ponurość, beznadziejność pałającej się wszystkimi jesiennymi barwami młodości, rozkoszy. A młodzik rznął z potęgą również „na zło”. I tak syciły się ich dwie złości, tworząc nieomal jedno zło, bezpłciowe już, samo w sobie, jedyne. Wygnana z tych „zawrotnych” uścisków miłość (teraz jedna już, nie rozdzielona na dwie osoby) uśmiechała się smutno gdzieś na boku — wiedziała, że to, co robiło tych dwoje, zemścić się musi i czekała spokojnie.

Informacja: Ze zdwojoną siłą zabrał się do szykowania zamasku stanu pobity Cylindrion Piętalski. „Tak?” — mówił sobie — „Chcecie? To zobaczymy! Ha — teraz wyjaśni się wszystko”. Taki mały pozornie fakt skondensował tak energię „filaru” Syndykatu, że plan eksperymentu, zielony jeszcze w dzień ten, dojrzał i spęczniał w dni następne w żraly, złocisty owoc, gotów do zerwania przez byle kogo. Samo szło ku temu — „przebąkiwacze” podejrzewali, że akcją kierują agenci samego Kocmołuchowicza. „On też „potrzebuje” zobaczyć co jest na dnie” — przebąkiwali. Wypadki wydzierały się pojedynczym indywidualuom z rąk i „hasały” same — na razie w małym zakresie. Najtęższe względnie indywidualności zdawały się być tylko emanacjami pewnych ugrupowań — musiały tak, a nie inaczej postępować, traciły wolę osobistych czynów. Trzymał się jedynie w swej wewnętrznej twierdzy sam Kocmołuchowicz.

Technika tego wszystkiego nudna była jak rekolekcje nieszczerego księdza — ten tam coś szepnął, temu wręczył papirtek, z tym pogadał, tamtemu coś dał, tu pogroził, tam się podlizał, a tamten robił to samo z drugimi — co tu o tym pisać. Psychologie też były nieciekawe z wyjątkiem struktury wewnętrznej wodza, o której nikt nic nie wiedział: Melanż w różnych proporcjach ambicji, wielkich słów o małych znaczeniach, brudny spryt i czasem trochę ordynarnej siły. Poza tym wszyscy o wszystkich myśleli, że są świnię, czasem nawet włączając w to siebie samych.

Wszczęta przez Cylindriona sprawa honorowa doprowadziła z wiedzą Dowódcztwa Szkoły do honorowo zadawalniających, a jednak bezkrwawych rezultatów. Ze względów politycznych uznano za stosowne, aby Zypcio przeprosił Piętalskiego, a do aktów dołączono dokument lekarski, „endorsowany” na ślepo przez samego Bechmetiewa, a stwierdzający lekki sten nienormalny mordobijcy na tle przejść rodzinnych.

Genezyp opuścił pałac Ticonderoga, tak zwany „*fornication point*” z „pianą życia u pyska”. Dobra jest askeza, ale lepsza jeszcze jest dobra fornikacja. Kompromis na całej linii. W tajnych zakamarkach gromadził broń przeciw księżnej i miał zamiar użyć jej w odpowiedniej chwili. Na razie jednak pogrążył się z rozkoszą samowiedzy w zupełnym upadku.

Parskał i prychał, tarzając się po samym dniu rozpusty. Aby ujść szpiegom Syndykatu „*podozritelnaja paroczka*”, jak nazywała ich oboje księżna, urządziła schadzkę w małym plugawym domku, wynajętym i urządzonym wprost przepysznie w tym celu przez samą księżną instygatorkę tego świństwa, na dalekim od centrum miasta przedmieściu Jady. O zdradzie nie było mowy. Na długie tygodnie ten „*gieroj naszawo wremieni*” był unieszkodliwiony.

MYŚLI WODZA, A TEATRZYK KWINTOFRONA WIECZOROWICZA

W trzy dni po tym smutnym incydencie zamieszkał Zypcio przy rodzinie — miał już swobodne noce poza służbą — został „starszym junkrem”. Spędzał noce te na szaleńczej wprost miłości z księżną, która w przeczuciu niedalekiego końca troiła się po prostu czy dziesięć razy nawet w oczach i rękach rozwydrzonego programowym upadkiem szczeniaka. Poznał wreszcie Genezyp, czym jest przesyty. Dziwne to były chwile, gdy patrzył na te istności, które wczoraj jeszcze zdawały się być tajemnicami bez skazy, doprowadzającymi oczy do wysadzenia z orbit, a z rąk czyniącymi nienasycone polipy, jak na zwykłe przedmioty codziennego użytku. Ale krótkotrwałe były te stany. Zawsze coś nowego jeszcze umiała wymyślić ta stwora, wydobyć nowy „trick” z niewyczerpanego zapasu swych przebogaty doświadczeń i to bez zbyt ordynarnego demonizmu. A jednak tamta chwila w łaźnicy działała z oddali czasu, promieniejąc niewyczerpane niby radium — chroniła od miłości — ale za to była rezerwą dla zamierających czysto-plciowych rozdrażnień. W tym było zło i bezpieczeństwo dość podłego gatunku. Coś psuć się zaczęło pozornie bez żadnego powodu.

W tym to czasie poszedł Genezyp któregoś wieczoru do teatru Kwintofrona Wieczorowicza. Zaprowadził go prawie gwałtem Sturfan Abnol. Szła już jego druga sztuka pół-improvizacyjna, w której, dublując rolę jakiegoś zamierającego ze zmęczenia podlotka, miała po raz pierwszy wystąpić Lilian. Dotąd Genezyp nie chciał zgodzić się na zobaczenie siostry swej na scenie. Może była to podświadoma zazdrość, a może ukryty wstyd rodowy za aktorkę w rodzinie, pannę bądź co bądź Kapen de Vahaz. Za wolno płynęło życie i to odczuwał nie tylko Zypcio, ale cały naród, a najbardziej sam Kocmofuchowicz. On miał koncepcję, nie dającą się zawrzeć w słowach, nieuchwytną, jak pajęczynka, a mocną jak wiązania lin stalowych — czuł ją w swoich mięśniach, w błyskach woli, w tym wypiętrzaniu się ponad siebie samego, co było jego specjalnością: chciał, by ten naród jako całość był jedną osobowością, tak potężną jak on sam: machiną odrobioną najwyższą dokładnością do ostatniej śrubki i gwińcika, a jednocześnie swobodną jak pozornie swobodnym jest obłok beztroski na ciemnogłębnym szafirze przestrzeni. Takim był i chciał czuć ten cały blok surowca jako swoją własną rzeźbę: zakłętą w nieruchomość materii mięśniowe czucia, aż pękające w doskonałości idealnej jedni. Cóż z tego: wychodziły z tego rzeźbienia kulfony. Ale i z nich, jak z perwersyjnych elementów, zbijał jakąś pseudo-konstruktywną, improvizacyjną kupę. On, jeździec nad jeźdźcami, jechał na li-chej, leniwej, zapadłobokiej kobyle. Ale lubił nawet swoje błędy, kochał się w sobie *beźświadomie* — taki kawalerski hypernarcyz-byk. Na to uświadomienie brakło mu jeszcze jednej duchowej platformki wzwyż, którą, gdyby osiągnął, straciłby możliwość czynu, poczułby paraliżujący metafizyczny nonsens wszechrzeczy. Był pociskiem; naród cały czuł tak, jakby czuł za sobą pocisk (gdyby czuł) skłębioną w gilzie piroksylinę. I kondensował pod sobą eksplozywną miazgę, która go miała wypchnąć z gmachu kwatermistrzostwa na ulicy Bykoń, jak z armaty, w wyższe regiony przeznaczeń. Czytał tylko do łóżka i to tylko *Barcza*⁴ i *Wyspę Skarbów* Stevensona. Po czym spał twardo do piątej na prawym brzuchu-boku i budził się z świeżymi ustami, pachnący świeżo skoszonym sianem. One to lubiły bardzo.

Dzień „premiery” Lilian podwójnie był (później oczywiście) pamiętny dla Zypka, bo przed południem odbył przegląd szkoły Sam Wódz. Z nudów oczekiwania (jego nudą mogłoby się zabawić jeszcze z pięćdziesięciu głównodowodzących ze wszystkich armii świata) rozpoczął objazd prowincjonalnych „wojennych” szkół. Była to jedna wielka orgia fetysyzmu. Ale Kocmofuchowicz miał jedną zaletę rzadką: uwielbienie innych spływało

⁴*General Barcz* — powieść polityczna Juliusza Kadena-Bandrowskiego z 1923 r. [przypis edytorski]

z niego jak deszcz z oilskinu, a przy tym nie obowiązywało go do bycia nadal tym właśnie uwielbianym. Umiał nie dopuścić bałwochwalczej czci dookolnej, nawet najbliższego otoczenia, do tego rozkosznego wewnętrznego organu (tej „lehtaczki ambicijowej”, jak go nazywał), którego wtórne działanie stwarza potem wtórną osobowość (nie tą którą się być miało) jako sumę wszystkich drobnych popchnięć czcicieli, nowotwora, pożerającego często najtęjsze charaktery.

Wszelkie porozumienie z Chińczykami było wykluczone. Właśnie niedawno wrócił przecie starszy syn księżnej, ambasador z Hańkou, w zaplombowanym wagonie. Nikt dosłownie nic nie wiedział. Po wysłuchaniu raportu *kazano* młodemu księciu zamknąć w celkowym więzieniu kwatermistrzostwa i tyle o nim słyszano. Tajemnica stawała się coraz bardziej jątrząca w swej kurtyzaniej zalotności. Już, już miała się odsłonić i znowu oddalała się, tańcząc lekko i zwijając się w zwojach niewiarogodnych błag. Wszelkie starania księżnej zmierzające do uzyskania widzenia się z synem, nie odniosły żadnego skutku. Coraz bardziej była z tego powodu rozdrażniona, a całą rozpacz topiła w potężniejszej rozpuszczeniu z Zypkiem, który stawał się podobnym raczej do jakiegoś upiorka ze złowrogiego snu o utraconej młodości, niż przyszłego adiutanta Wodza. A piękny był jak młody diabeł. Dorosłość samcza wypełzała powoli na młodzieńczą gębusię, nadając jej wyraz ostry — okrutnej siły i bezwzględności, co połączone z władczą lubieżnością podbitych na *himmelblau* oczu działało na kobiety rozpierająco-mdlejącym chwytem od spodu. Na ulicy przepelzały przed nim nieznanym jak suki. Och, gdyby raczył... Ale na razie miał dosyć — wyższej marki nie znajdzie teraz — a „malinowe światło” pokrywało drobne usterki. Zbyczony lalusz, udrapieźniony, zjastrzębiały efeb, krew z mlekiem na sino od spęcznienia tęgich mięsnych łodyg — księżna oszalała kompletnie — pokryła ciągłą błyskawicą ekstazy straszliwą ranę swego ciała. A program Zypcia był taki: w dzień męczące ćwiczenia i nauka, a w nocy przygotowanie do lekcji i dzikie wyuzdanie. Nauczył się spać dwie do trzech godzin — trening był niezły. *Zaczął* trochę (troszeczkę) pić i chwile „pochmielja” dawały mu dziwne stany rozkosznego i męczącego odosobowienia z tym, co nazywał „wariacją na zimno” (na razie) — katatoniczne prawie zakrzepnięcie, w czasie którego intelekt pracował z precyzją niemal rachunkowej maszyny. Mroczny człowiek-duch-bydłę z dna dawał znać o sobie często, ale słabo — czał się do skoku jakby — czasem *myślał* — te to myśli zapisywał Genezyp w dzienniku. Razem później czytali go z tą... ale o tym później. Coraz częściej przypominała się i coraz większego uroku nabierała nawet pomaturyczna, niedawna przeszłość, nie mówiąc już o dalszym dzieciństwie. Dalekie to było jak góry, wylażące zza uciekającego widnokregu. Czuł się wtedy starcem. Obcością sobie samemu upajał się jak nieznanym narkotykiem. Zabawne są początki, ale potem...

„O jakże dziwnym jest świat, widziany przez oczy wariata,
W spojrzeniu ich, zdrowy człowieku, nie poznałbyś wcale świata”.

jak pisał ten „zły” kolega. Żałował Genezyp, że go stracił. Gdyby tak teraz mieć go tu pod ręką! Ileż rzeczy tajemnych wyjaśniłoby się bez reszty. Zachowywał całą świadomość niebezpieczeństwa, bez poczucia jego jakości. Skąd ono nadejść mogło? Czy od strony tego draba, którego gościł w podziemiach swoich psychicznych bebechów i w które on, ten obcy, zdawał się wrastać coraz dokładniej, przyjmując ich formę a nawet i wchłaniając zawartość. (Pseudomorfoza). Czy też z zewnątrz ze sfer splugawionej miłości, w których przebywał z księżną? Mimo głębokiego skrytego wstrętu do niej i do siebie poddawał się wrażeniu, że nikt nigdy tak jak ona podobać mu się nie będzie, a nade wszystko, że nikt takich sztuk wyprawiać i tak odgadywać jego najwstydlivszych życzeń nie potrafi. Nauczył się wreszcie walczyć z demonizmem, oczywiście nie na skalę największą. Takiego natężenia jak w Ludzimierzu nie osiągnęły te objawy już nigdy. Ale przecie, ale przecie. Nagle odmowy kończyły się dzikimi gwałtami (nawet jeśli ich podłożem były sfingowane ataki świętości). Wzbudzana kunsztownie zazdrość odgrywała rolę erotycznego motorku dodatkowego, gdy pomęczone gruczoły chciały spać, a dusze pragnęły jeszcze oszalamiającej, wytwarzającej złudzenie jakiegoś nowego gatunku poznania, ujednijającej ich oboje w jakieś hyperjestestwo rozkoszy.

Informacja: Nie wiadomo dlaczego w tym czasie wszystko przybrało zupełnie odmienny wygląd, a nawet charakter wewnętrzny. Jakiś prąd samouświadczenia przebiegł przez zankylizowane ciało biednego społeczeństwa. Poprzez potworne w swojej nudzie frazesy o organizacji pracy (która bokami wylażała już nawet najgorszym pedantom i niewolnikom czasu) i poprzez dawne śmietnisko patriotycznych fatalasek przegładnęło coś nieznanego. Ludzie uśmiechnęli się do siebie idiotycznie, nie wierząc sami, że w ogóle coś czują. Jak skała wynurzająca się wśród opadających wód odpływu, występowała jedyna prawda i wartość: społeczeństwo samo w sobie jako takie. Powiedzieć to jest głupstwem, ale naprawdę przeżyć to i ustosunkować się w tym wymiarze do codziennego dnia, ho, ho — to jedna z najistotniejszych przemian ludzkości. Ale jeszcze trajkotały różne gęby bezkoszta na usługach rozłazających się w zgniłym, ostrym sosie przeszłości mózgow i głuptasie z Em-es-zetu uczyły się po dawnemu jak cienkie patyczki i wiórki nawet kłaść między szprychy rozpędowych kół olbrzymich maszyn. I to było najciekawsze, że prąd ten przebiegł dosłownie wszystkie odcienie społeczne, nie wyłączając nawet wybitnych członków Syndykatu Zbawienia. Ale nie każdy może, nawet w chwilach objawień, tak łatwo rozstać się ze sobą w związku z praktyką życia. Widzimy często ludzi brnących do końców swych istnień w kierunkach, których wewnętrznie dawno się już wyrzekli. Bardzo wielcy starzy znawcy, czując w sobie również jakieś młodociane dreszczyki, stworzyli teorię, że to katalityczne działanie na dystans nagromadzonej w takich ilościach obcej masy żółtej pod wielkim ideowym ciśnieniem. Może było to i słuszne. [Jak wiadomo wojen skasować nie zdołano (W epoce tych tam różnych Lig i błag, i międzynarodowych flag, i realnych fig), ale unicestwiono lotnictwo wojenne i gazy — nie zdołano jedynie tych ostatnich w psychicznej odmianie zniszczyć w stosunkach prywatnych i publicznych, w polemice literackiej, naukowej i dotyczącej spraw społecznych i narodowych — trudno. Jakim cudem wszyscy się tego trzymali (nawet Chińczycy), nie wiadomo — podobno na tle zbyt silnego wojennego instynktu, odziedziczonego po przodkach. Bo przecie każda wojna byłaby w tych (poprzednich) warunkach niemożliwa, a widocznie chęć wojowania jako takiego silniejsza była od chęci zniszczenia wroga i sąsiada]. Okazało się później, że przyczyny tego stanu były bardziej skomplikowane, mimo że nikt (prócz może jednego Kocmołuchowicza) sprawy sobie z tego nie zdawał. Oto pozornie społecznie *explicite* obojętna wiara proroka Dżewaniego, którą zaopatrzeni w odpowiedni narkotyki emisariusze zaszczepiali, zaczynając początkowo od warstw najniższych, poczęła już zmieniać nieznacznie atmosferę uczuciową kierującej inteligencji. Najgorsze męty oddziaływały na trochę lepsze — potem robotnicy na majstrów, ci znów na dyrektorów, a ci na Radę Gospodarczą Centralną. Służące działały na „panie”, a niższa gawiedź urzędnicza na swoich zwierzchników. Do Kocmołuchowicza i jego najbliższego otoczenia nie doszła jeszcze ta fala (mimo rozmów zupełnie otwartych z samym Dżewaniem i jego agentami) — nie doszła bezpośrednio, uczuciowo, ale spodziewano się ważnych wypadków w związku z koniecznością zajęcia jakiegoś określonego stanowiska w tej sprawie przez ten centralny punkt przecięć sprzecznych (narodowej i czysto społecznej) sił, żądz i nadziei, jakim było generalne kwatermistrzostwo armii.

Ta chwila, w której Zypcio zobaczył Generał-Kwatermistrza, wchodzącego do sali jadalnej Szkoły, to była naprawdę chwila, a nie jakieś głupie orgazmy, wyduszane sztucznie na tamtym zjełczałym, arystokratyczno-mongolskim cielsku. Ugięły się pod nim kolana, ale oczy, z jastrzębią żarłocznością, wpiły się w oczy tamtego. Czarne śliwy, zatopione w medium szklisto-spermatycznym, obrotowe maszynki dodatkowe spotworniało w nieprzyzwoitych myślach o nieosiągalnym człowieczeństwie jakiegoś hypermotoru. To ruszało się, to żyło — ten wąs był z prawdziwej, żywej szczeciny, jak u foki w ogrodzie zoologicznym, jak u Michalskiego! Jeszcze sekunda upojenia rzeczywistością tej mordy

i ujrzał przeznaczenie swoje i całego kraju, wywalone na wierzch, jak flaki z martwego bydłęcia. Jakież to ono było! I przecie tak jasno to widział, a słowa by o tym pisać nie potrafił — nie tylko temu Cylindrionowi bez czci, ale samemu nawet sobie w najgłębszym wewnętrznym zamyśleniu. Coś po prostu wielkiego czaiło się w tym pół-bogu dawnego autoramentu (ale nic z szlacheckiej swołoczy ubiegłych wieków), coś co przechodziło jego samego, jako jakość i potęgę. Otóż to: wielkość jako zjawisko, nie „stan psychiczny”, (podstawy tego są: natężenie woli, ilość i jakość implikowanych w danej awanturze osób, siła nie zwracania uwagi na jednostki [bez wykluczenia ludzkich uczuć], ogólna bezmyślność w wykonywaniu raz powziętego zamiaru; poczucie własnej nierzeczywistości, jako przecięcia sił; poczucie wyższości czegoś ponad sobą: od Boga do społeczeństwa, poprzez naukę, sztukę, filozofię; poczucie samotności metafizycznej; marne, życiowe właściwości każdego pospolitego drania, uniezależnione w swych funkcjach od tamtych elementów — dość) polega na tym, że podstawa jej w danym człowieku jest za mała w stosunku do rozrastających się wzwyż i wszerek kondygnacji... Nic — nic na ten temat *ogólnego* powiedzieć się nie da — dajmy temu spokój.

Ale on, Zypcio, był jednak jakimś elementem dynamicznym w bliskości punktu zdeklanszowania — bez niego nic. Ale co? Intuicyjna bzdura — 5% sprawdza się przypadkiem (i potem gadają o tym te mistyfikiatka trzeciej klasy całymi latami) albo się zapomina o tych 95% i też jest dobrze. Znowu zapadł Genezypcio w ciemności: Ojciec, jako skrzydlaty bykołak w białym wirze gwiazd; Kocmołuchowicz — czarność całego wszechistnienia, oplatająca nawet Boga matki razem z Michalskim, oddech palącej nieskończonej nocy świata całego, i księżna, jak złota szpilka (falszywa), przebijająca „naskwoz” cały ten burdel życiowych, umetafizycznionych wielkości; a on sam jak ogonek merdający się z radości a należący do nieistniejącego kundelka.

Cała ceremonia: „baczność”, zerwanie się „junkrów” od stołów (programowa niespodzianka), „spocznij”, zasiadnięcie Wodza do podłej ryby z jarzynami (rzygać mu się tym chciało po dobrym śniadaniu w „Astorii”), jego „ćmiak” (umiał ćmiakać, kiedy chciał, dla zjednania sobie popularności — na pewnej już wysokości drobne błędy robią wcale niezłe wrażenie) — wszystko to przeżył Genezyp nie jako ten: jakieś katatonicze bydłę przeżyło to na martwo, na nie było. Ocknął się, gdy już junkrowie, i on sam, przechodzili „wolno”, nie w szyku, do szwadronowych lokali. Przechodził tuż mimo NIEGO ze ściśniętym sercem — wszystko mu opadało, było za luźne, podwiązki, gacie, spodnie, coś go swędziało, czuł się w rozkładzie, jakby nie był tym, który miał prawo kochać Wodza. Był szczytem wielorakiej roztrzęsionej niedoskonałości, a chciałby być kryształem, choćby w tryklinicznym systemie.

— Nastąp się, durniu — burknął Kocmołuchowicz na adiutanta, młodziutkiego księcia Zbigniewa Oleśnickiego, cudnej rasy i urody bubka, takiego prawdziwego arystokraty z *Almanachu de Gotha*, a nie puszącego się, durnego, szlachetkowego „ziemiańskiego” smroda, bez manier i bez wewnętrznej wytworności. Tych nie cierpiał Wódz i kopał ich przy łada sposobności gdzie popadło. Rozplaszczony jak bura suka „eddekan” umknął się w tył, nieomal między nogami Wodza. Jakże kochał tę chwilę Genezyp! Gdyby ta chwila mogła być osobą! Cóż to byłoby za szczęście! Gdyby czas jako taki mógł być rozciągliwym, gdyby można go było napiąć, jak jakąś skórę na spęczniałej rzeczywistości, a? I potem dopiero... No — nic. Orkiestra zagrała piekielnego kawaleryjskiego marsza, kompozycji jeszcze starego, dobrego, klasycznego Karolka Szymanowskiego [którego pomnik, dłuta czy pięt Augusta Zamoyskiego, opluła niedawno grupa muzycznych bezkręgowców pochodzących od Schönberga, i który, po przed-ostatniej fazie religijnej, wpadł (na tle popularności *znowu* wojny w okresie „krucjaty”) w szal wojenny i w tym szale skończył.] i dusza Genezypa, porwana wirami wojennej, czysto-kondotierskiej wzniosłości uleciała w niedosiężne kręgi wymarzonej śmierci na tak zwanym „polu bitwy”. Tak umierać niech tylko będzie wolno, przy takiej muzyce, w oczach takiego hyperkomandora, a reszta to *furda* — właśnie furda, to niesmaczne, przykre, „ślachcickie” słowo.

— Baron Kapen de Vahaz, Genezyp — szepnął Oleśnicki między puszyste włoski na mięsistym, *czut' czut'* semickim uchu Wodza. Pytania Zypcio nie słyszał, ale widział ucho... Być *nawet* kobietą, aby móc się mu, mu, muuuu...

— Stój! — To on „*sam*” na niego krzyknął! Zwrot w lewo, trzask obcasów i brzęk ostróg i samo ucieleśnione wojenne wypięcie wyrosło przed czarnymi śliwami-smorodi-

nami Kocmołuchowicza. Między nimi dwoma była jakaś ciągła nieskończenie szybka błyskawica, w obie strony jednocześnie. Cement fluidu krzepi na niezniszczalny zaświatowy mur. W tym była przyszłość. Jako też była. I to jaka! — Ty nie rozplywaj się w empirejach! — Nie-do-uwierzenia! To on do niego mówił. Słowa, jak wyhodowane w zaświatach, nieistniejące rajskie ptaki, siadały Zypciowi na głowę, zdobiąc ją w pióropusz chwały już nie z tej planety. Tam to, w jego głowie, stawały się one naprawdę tym, czym były. A przy tym obaj mieli tyłki, dziś srali, tylko co obaj rybę żarli — jakie to dziwne. Nawet Kocmołuchowicz miał lekki atak hemoroidalny *à la* Roztopczyn. Nie — to piekielnie dziwne.

Zawisły nad Genezypem długie, kozackie wąsy i śmiejący się wzrok dzika, orła, byka i Węgra, i ujeżdżacza czy nawet koniokrada jednocześnie — i ten kocmołuchowaty, nieujęty, nieuchwytny, najistotniejszy wzrokowy chwyt pajęczo-tygrysi. (Fotografie były nieznanne, bo straszliwie karane — jak mit to mit tęgi — musi zginać wszelki ślad. — Nigdy nie powinien wzrok ten dać się zafiksować, złapać, utrwalić, stężyć). Spadła w tym piwnym, raczej czarno-porterowym, smolistym, a żywym jak ukrop i sam ogień wzroku Wodza maska erotycznego świństwa z niedoszłego, granicznego jeszcze adiutanta. Jak wszystko się uwzniośliło w tym wybuchniętym z samych psychicznych jąder zachwycie. I księżna jak anioł gdzieś pływała w nieznanym medium, jak chybki wiertnik-wymoczek w szklance zgnilej wody — ho, ho! — jak wysokawo, obłokawo, kadzidlawo, świętawo. I matka stała się jedyna i konieczna, ta, a nie inna, razem ze swoją nową manią kooperatyw i Michalskim. Ten wzrok organizował swą specyficzną, skupiającą i porządkującą potęgą, dowolnie rozłożoną miążgę flaków. Zdawało się, że jeśli spojrzy na śmietnik jaki najgorszy, to wszystko się tam ruszy i ułoży w prześliczną promienistą gwiazdę symetrii i harmonii. Tako zbił w kupę rozkładającego się Zypcia i uczynił porządek we wątpiach jego i duchowych „rozpołożeniach”. Wszystko tak było cudne — cudne aż do bólu — przelewało się po brzegi świata (nie *poza* — to niemożliwe) pianą spienionego szczęściem duchowego pyska. Położył się pełny siebie na krawędziach wszystkości i trwał. I to on to sprawił, ten ciemny chuj morowy, w generalskim, zalepionym orderami mundurze. Muzyka rwała kiszki na niebiańskie flagi, sztandary i chorągwie ku czci tamtego, prawie Nienazwanego = „Kocmołuchowicz” to był znaczek dla ludzi — on sam nie mógł się nazywać, był jedyny. Jego Jedyność nie potrzebował nazwy — był — to dość. Czy tylko był? Boże! Oddał tę mękę... może go nie ma wcale...? Ale jest, jest — o! — śmieją się smoliste gały, błyszczą tęcza orderowych wstęg i nogi (jakie też on może mieć nogi?) wypychają wspaniałe, lakierowane ostrogowate buciska. [Cóż dopiero działo się z babami!! Strach pomyśleć. Po przejeździe Jego Jedynośći przez ulicę wszystkie musiały majtki zmieniać jak jedna. Aż chlupało im w międzykrocach z suchego uwielbienia. Lepiej chwyciło, niż najpiekielniejszy hałas ponurej dźwiękojebni samego Tengiera. Ano, ano]. Z wdzięczności za jedną taką chwilę można było umrzeć — byle prędko — byle zaraz.

— Ojciec — padło pierwsze bardziej osobiste słowo — rozlało się po arteriach słodką trucizną dającą siłę, męstwo, odwagę bez granic, prawdziwą żądzę śmierci. (Ach, ojciec! że też Zypcio o nim zapomniał! — przecież to on zgotował mu tę chwilę jedyną! — „tak, tak, ojciec — tak, ojciec, ojciec”, — powtarzał w myśli ze łzami początek zdania tamtego, mówionego do niego). — Ojciec polecił mi cię, Zypulka — a? Za 3 miesiące zgłosisz się młody wędrolaju w stolicy u mnie do raportu. Pamiętaj, że główna rzecz w życiu to się *nie przeczekać!* *A beau se raidir le cadavre* — (to było słynne jego, jedyne francuskie, ale koślawe, przysłowie). — Panowie: — zwrócił się do całej sali, stojąc na prawym skrzydle pierwszego szwadronu. (Zypcio był drugim w drugim — pierwszy jeszcze nie ruszył zza stołów). Był to jeden z tych jego szaleńczych historyczno-historycznych występów-wystąpień — jedna rzecz, której się bał, aby w niej nie przesolić. Historyczne ataki zupełnej bez wątpienia szczerości, nieobliczalnej, która, rozprasząc mrok w detalach, utajemniczała go jeszcze bardziej ogólnie w oczach tłumów, a nawet najmorowszych inteligentów. Tam sięgał w chwilach tych, gdzie kryła się jeszcze morowska tajemnica, niż jego własna osobowość: stan społeczny obecnego przekroju. A potem zaraz do Zypka cicho szeptem metalicznym: Zypcio mało nie umarł ze szczęścia, po prostu mało nie zesrał się w portki. Po prostu zachodził w ciążę we łbie jakimś nieznanym płodem: nieugiętą w pojęcia myślą Wodza, jego marzeniem o ogólnej potędze. — Nie masz pojęcia, lizogonku, jak to świetnie się złożyło, żeś wtedy wyrznął Piętalskiego w mordę. — (Boże, Boże! Skąd

on wiedział o tym, ten kawalerski bóg? On zdawał się czymś tak ogólnym, że nie powinien wiedzieć „zda się” o żadnym „zasię” takim marnym fakcie). — Akurat mi trzeba przyspieszeń dla małej próby sił. — (Głośno). — Panowie! Musimy zrobić próbę. Wiem, co mówię i do kogo. Agenci moi prowokują Syndykat już od dwóch tygodni. Nikt nic nie wie i ja też. Dostyc tych ciuciuduszek. Ja nie mogę jechać na Centaurze — ja muszę mieć pod sobą konia sztandardowego. Naród w sumie może być normalnym durniem — byle by chciał siły. Zamiast naszej „*Wille zur Ohnmacht*” stawiam hasło: „wygiąć się aż do pęknięcia”, bo „lepiej pęknąć, niżli gnić”, nawet jeśli to pęknięcie znaczyć będzie międzyplanetarnie tyle, co by ktoś tam sobie pierdnął. Panowie: taki los parszywy każdego żywego stworzenia, że sobie samemu wystarczyć nie może. Spodziewam się, że wobec mojej notorycznej tajemniczości — mam odwagę o tym mówić — tym różnię się od wszystkich innych działaczy ziemskich — (każdy był szczęśliwy, że on się tak z nim spoufala — aż ze skóry własnej się rwał czort wie gdzie z bezwstydną „niegi”) i bliskości wojsk Niebieskiego Państwa, zdenerwowanie strony, która uwzięła się, aby być stroną wrogą wobec mnie i armii, jest wielkie i prowokacja się uda. Będziemy wiedzieli wtedy jasno, jakie procentowe rozłożenia w kraju. Parę trupków jest koniecznych. Ale każdy facet, który padnie tu, spomiędzy was, czy tam, to cyfra w moim notatniku tajemnym, o ile go w ogóle mam. Cha, cha, cha — „zalał się” weselnym, chamskim, radosnym jak ryk rozkoszy bydłęcia, śmiechem. — Ja papierków nie lubię, chyba klozetowe — *post factum* — niech mnie historia podetrze i dowie się *qu'est ce que j'avais dans le cul, czy dans le ventre même*. Mój notatnik to mit, panowie — ilu chińskich szpicli za nim goni, a żaden go nawet nie wachał z daleka. Każdy z was to jeszcze jeden parametr we wspólnym równaniu, które układa się tu! — Uderzył się bezczelnie w łeb — słychać było to uderzenie na całą salę. Ryk rozkielznanego zachwyty i cicha, gwałtowna chęć śmierci dla i za tego koniokradowego zgeneralonego dojeżdźacza, z domieszką osiemdziesięciu procent Aleksandra Macedońskiego i dziesięciu procent księcia de Lauzun, wypełniła salę. Gdzieś w drugim końcu oberwały się i poleciały zmurszałe po-pneumatycznie stuki na głowy rozpalone junkrów — dwudziestu było rannych — wyli jeszcze bardziej z zapалу (a nawet z animuszu) opatrywani na miejscu, na sali. Kocmołuch otrząsnął żółtawo-biały pył z lśniącego dekoracjami munduru i rzekł:

— A pamiętajcie chłopcy, że ja was kocham, was jednych — bo całą rodzinę moją, żonę i córeczkę, to ja mam w zadzie mego „Siwka”. — To były te okropne powiedzonka, które zjednywały mu najszaleńszą miłość i to wśród najwytworniejszych bubków. Oleśnicki płakał rzewnymi łzami, a komendant szkoły, generał Próchwa nie wytrzymał: złapał litrową butelkę czystej dzikowskiej i wychłnął całą do dna na oczach całej szkoły, po czym wciągnął, również przy wszystkich, w krwawy nochal, gram najlepszej lśniącej kokainy Merck'a. „Bo żebym ja miał sobie czego odmawiać, dlatego aby o pięć lat dłużej żyć? Niedoczekanie anielskie. Najwięcej energii kosztują człowieka te wszystkie abstenencje” — mawiał dziewięćdziesięcioletni starzec. Już go Kocmołuchowicz trzymał w swych kawalersko-kleszczowatych objęciach. Piła cała szkoła — jutro i tak dzień wolny. W przeczuciu wielkich wypadków, których ten czarny, młody jeszcze, chmyzowaty wąsał był żywym wcieleniem, ogarnął wszystkich śmiertelny szal pojmwania najwyższego uroku życia już prawie w samym tchnieniu nagłej śmierci. (Są naprawdę chwile, kiedy i gram kokainy nie zaszkodzi. Ale trzeba o nich dobrze wiedzieć — nie wziąć innej chwili za tę właśnie. A przy tym zasada ta stosuje się tylko do silnych: „*meine Wahrheiten sind nicht für die Anderen*”). Cyferblat przeznaczeń kręcił się jak szalony — dwie tarcze: jedna czarna, druga złota, zwały się w jedną szarą kulę. Czymże byłoby życie bez śmierci?! Świństwem — w doskonałości zakrzepł cały świat. Rozkosz bytu w śmiertelnym pół-cieniu dudniała we krwi wraz z alkoholem, mocnym, prawdziwym prądem. Połączyć, ach, choć na jedną setną sekundy te sprzeczności i trwać choć jedno mgnienie już po wszystkim. Niestety — cała rozkosz jest w tym wypinaniu się — nie ma w uczuciu tym orgazmu — najwyższy punkt jest aktualną nicością. Biada temu, co przetrzyma za długo. Ocknie się w nudzie, jakiej dotąd nie znała planeta (oczywiście dla niego). I w niej pojmie dopiero, czym jest śmierć naprawdę: niczym straszniejszym: nieznośną nudą nieistnienia, wobec której niczym jest najstraszniejszy ból i rozpacz. Ale teraz „pożywał” Genezyp pełną gębą słodko-trująco, dwoisty owoc śmierci za życia, czy pośmiertnego istnienia.

Za oknami gasło przepiękne wiosenne słońce, pomarańczowo błyszcząc w oknach domów i na mokrych od niedawnego pachnącego deszczu pniach puszystych od młodych listków, wiosennie sprężonych do życia drzew. Już prawie po ciemku, kiedy niebo konało w najcudniejszym seledyno-granacie przepikowanym mosiężno-żółtymi ognikami pierwszych gwiazd, rozpoczęły się pijane popisy uczniów, w których brał udział on, pierwszy jeździec kraju, dawny „bóg” ze szkoły w Saumurs. Dotąd w takich okazjach on jeden z całej armii (przebrał się bestia po obiedzie) nosił czarny i czarno-szamerowany mundur i złote ostrogi „somiurskiego boga”. Genezyp, dostawszy w pijanym zamieszaniu nie swojego konia (czy w to nie była zamieszana „długa ręka” Piętalskiego?) rozbił sobie ciężko głowę przy samym ciemieniu. Leżał w świeżej trawce półprzytomny od piekielnego wyrżnięcia się i wódki. Obok stał ON — o parę kroków. Widział go — on Zypka — ale nie podszedł do niego i nie spytał, jak się czuje. Rozmawiał wesoło z kursowymi oficerami, z których jeden właśnie zwichnął lewą rękę, a prawą palił nonszalancko (czekając na doktora) „*Mr. Rothman's own special*” papierosa, którego dostał od wodza.

— ...wielkie rzeczy na małą skalę. Nie, nie — ja wiem: jeśli chodzi o napięcie psychiczne osobiste, to bezsprzecznie wielkie, może ostatnie w swoim rodzaju, ale jeśli wziąć pod uwagę skutki, to może wszystko jest zbyt małe jak na to właśnie zbiorowe wypiętrzanie się miazgi ludzkiej. Ziemia jest kulą, w przybliżeniu, psia-krew! Ograniczone ścierwo! Dziwnie świat się zamaskował sam przed sobą... — (I to on mówił! — najdoskonalsze wcielenie tajemnicy, a może i wcielenie najlepiej wykonanej maski! O szczęście, niewypowiedziane szczęście; móc słyszeć coś takiego, choćby z rozbitą głową i nawet będąc świadomie zignorowanym (dobrze, że świadomie — to wiedział) przez tego wymarzonego „nadpłciowca”, to nad-człowiecze, a jednak antymetafizyczne bydlę!) — ...tę maskę trzeba zerwać, choćby razem z twarzą, a może i głową. W tym wypadku i z nami koniec. Ale czymże jest życie, nie przeżyte na ostrzu wbijającym się w nieznanne, na szczycie szaleństwa czy mądrości? „*Wszystko rawno! Trzebiona nac*” — (Wyrażenie zastępcze — jak „*parbleu*” — a lubił Kwaternistrz „*ruskie rugatilstwa*” — trudno — trzeba się było odzwyczaić). Och — żeby to wszyscy zrozumieli! Żeby każdy chciał, nawet ostatni drań, przeżyć siebie w swojej proporcji, psia-kość, w tej dymensji wielkości. Ale... — (i tu powiedział słynne swoje zdanie o kryształach. Teraz słyszał to Zypcio, o czym wtedy w salonie księżnej bełtano tak bezwstydnie naiwnie. Czuł całą dysproporcję tych słów z rzeczywistością i w tym poczuciu urosł mu Kocmołuch do potwornych wprost rozmiarów — zalał świat cały, zasiadł w nim swym wspaniałym kawaleryjskim zadem i roztał go na proszek. Łeb bolał niesamowicie i ten ból czuł Zypcio jako ból tamtego, ból dysproporcji i koniecznej przyszej jego hańby — prawdziwy wściekły orzeł na czele tłumu koników polnych i „śniętych rybek”. A bodaj to...!) I głos ten lejąc się jakby roztopionym metalem w bebeczy junkra mówił dalej:

— I czy nie czas to jest, aby te ostatnie szaleństwa popełnić — te wielkie — bo te, za które „*atprawljajut w żółtyj dom*”, to ja mam w zadzie „Siwka” za przeproszeniem pana, panie rotmistrzu. Hę? Jak pan się nazywa? Hrabia Ostromięcki? *Bon* — nie zapomnę. — To „hrabia” powiedziane było z lekkim odcieniem pogardy — ale w miarę. On umiał jeszcze w ten sposób oddziaływać na zatracone poczucie wielkości naszych lepszych „*aristos*” — mało takich już było. I ten tytan nie lenił się takich rzeczy mówić byle kursowemu oficerzynie z jednej ze stu czy dwiestu szkół. „*Il a de la poigne ce bougre-là*” — jak mówił Lebac.

Genezyp siłą woli pokonawszy rozbicie łba o pień (uderzył o niższą część prawie zakrytą trawą) wylizał się z tego, wzmocnionym widzeniem Wodza, psychicznym ozorem i o ósmej, napchany potęgą Kocmołuchowicza, jak akumulator (Wódz walił już o tej porze do szkoły artylerii konnej w Kocmyrzowie ładować dalej — niestrudzona jedna psychodynamo na cały kraj) olśniony urokiem życia od wewnątrz, którym promieniały wszystkie komórki jego ciała, jadł kolację w domu razem z „panem” Michalskim. Dziwnie małym wydał mu się ten niestrudzony człeczyna od kooperatyw, na tle szkolnej wizytacji. Niechże takiego „ręcznika wspólnoty” zmusi co do przeżycia życia „na szczytach” *à la „le Grand Kotzmołouk*”. Jak rozpętać pod wyższy diapazon tę zacietrzewioną w sobie uspołecznioną codzienność? Co dla tamtego było ciągłym świętem („*immer Sonntag*” jak mówił Buxenhayn), u tego „wycirusa łzawej społeczności” stawało się wcieloną popospolitością — szara miazga nie mogła czuć tego święta — dla niej to była katastrofa. Inne

jakościowo gatunki sił. Trzeba to skopać, zmiażdżyć, rozplaszczyc jak ciasto wałkiem, aby na tym móc dopiero zatańczyć ostatni swój taniec szaleństwa, upicia się względną w dodatku wielkością. (Widział Zypcio błędy Kocmołuchowicza, całą jego niewspółczesność, nieprzystosowalność i za to jeszcze bardziej go kochał. O ile trudniejsze miał zadanie on, niż „taki” Napoleon choćby, nie mówiąc już o dawniejszych bohaterach — on musiał tłamsić, deformować swą wielkość w gęstniejącej z minuty na minutę organizacji — tamci ruszali się w próżni prawie — on, w smolnej mazi.

Za chwilę miał Zypcio ujrzeć Lilian na scenie po raz pierwszy — i to w *taki* dzień. Poczul, że coś komponuje mu życie i że nic nie jest tu „bez kozery” — (okropne wyrażenie). Tak czuć zawsze byłoby już szczęściem, bez względu na ujemne zdarzenia. Przyszedł Sturfan Abnol i powitał go jak najrodzimego z braci. Zaraz wypili na „ty”. Jeszcze nie wywietrzała mu uczta w szkole, a już zalewał mózg nowymi falami likworu. Trudno — ten dzień trzeba było spotęgować do ostatnich możliwych granic, choćby wszystko miało trzasnąć aż do wiązań mózgowych włącznie. Obręczą stalową na łeb była mu wizja Wodzka, zdeformowana już w kierunku nadzwyczajności do niewyraźnej potęgi. Czul go całego razem z butami i ostrogami gdzieś pod sercem, jako czarną, metalową pigułkę nie do strawienia. Ale mimo pozytywnej wartości na razie wszystko to razem spotęgowało tylko, zafiksowało, obramiło i utwierdziło gościa z dna. — Stał się już czymś stałym, ekranem, na którym rysowały się niesamowite cienie chwil obecnych, ekranem, który z wolna z płaskości wizji wchodził w trzeci wymiar, urealniał się nieomal mięśniowo. Otóż to — pewne mięśnie należały już trochę do tamtego — tracił Genezyp nad nimi coraz bardziej władzę. Było to piekielnie niebezpieczne.

Tak — takiego dnia nie wolno było z rąk wypuścić, nie wyssawszy z niego całej utajonej rozkoszy, niezdobytej dla normalnych ludzi. Są dnie-kwiaty i dnie-plwociny i wypociny. Ale czy te pierwsze nie wyrastają względnie rzadko na odpowiednio przewyżczonych tamtych? Trzeba czasem miesięcy całych czarnej, pozornie jałowej pracy, aby zniecka „uszcżnąć sobie taki śliczny »dzionek«, lub choćby »smaczne« pół-godzinki” — przypomnielo mu się niesmaczne zdanie Tengiera. Druga wątpliwość Sturfana: „czy kobiety nie są czasami wstrętnymi kapliczkami, w których pewni onanistyczni bałwochwalcy oddają cześć sobie samym, nawet pod pozorami zupełnie autentycznej miłości?” Księżna zmalala w tym wszystkim — ale ostatecznie dobrze, że była, *faute de mieux*. Wygodny był bądź co bądź ten „ujarzmiony demon”, którego można było dowolnie na dwie strony tłamać, robić z nim, przynajmniej wewnątrz, co się chciało. A przyjemność była wprost straszna. Czul Zypcio, że takiej kobiety, o takiej proporcji elementów psychicznych i fizycznych już nie spotka, i to go właśnie do niej podniecało — ta ostatniość, końcowość. Ale nie dziś — dziś wszystko było oddane ostatnim promieniom młodego życia w obliczu [tak — obliczu — oblicze to nie twarz — to puste miejsce pod jakimiś wualami (a nie woalami — czort wie co) znad grobu] w obliczu najpiękniejszej ze śmierci, uosobionej we wspaniałym wodzu, śmierci, w której świat wyolbrzymia się w dzikim uroku aż do najdrobniejszej swej „pecyneczki” i staje się naprawdę aktualną nieskończonością, dającą się pożyć w jednym kawale, gdy osobowość pęka pod własnym ciśnieniem i rozlatuje się aż po najdalsze krańce wszystkości. W śmierci takiej nie ma miejsca na jakiś parszywy żal za życiem — on zostaje przetransformowany na odwrotność swą: *radosne* potwierdzenie niebytu, nasycenie żądz życia tak wściekle, jakiego w życiu niczym osiągnąć się nie da. Pojęcia: odwaga i strach stają się bezsensami, wyblakłymi widmami istności z innego, niższego wymiaru. Nadać nową wartość wyrazom — gdyby mógł to uczynić, mówiłby tak właśnie na granicy bezsensu — bo do czego się sprowadzają tak zwane „intuicyjne sformułowania”? : rezygnacja z logiki na rzecz bezpośredniego, *artystycznego* = działającego formą i niezwykłymi zestawieniami słów, wypowiedzenia. Intuicja (ta, o której plotła baby i umysłowe leniuchy) zawsze jest upadkiem, w stosunku do sensu. Ale poza pewnymi, ograniczonymi co do ilości sprzecznościami sens w znaczeniu pozytywnym jest bezsilny — trzeba bredzić, aby wyrazić bezpośrednio metafizyczną dziwność bytu i jej pochodne. Poza nią i sprzecznymi uczuciami nie ma rzeczy, które mogłyby pretendować do „intuicyjnych” (w powyższym znaczeniu) ujęć. Durnie mówią wtedy o „niezrozumialstwie”. Tak mawiał ten wieczny Sturfan Abnol. A potem pienieł się na tę „bandę pasożytów zamierającej sztuki”, jak nazywał krytyków całego świata: „...to stado tchórzliwych impotentów, bojących się walki ze mną w obawie kompromitacji i mego wywyższenia, ope-

Błądzenie

rujące przekręconą myślą, fałszem lub udaną nawet czasem głupotą, aby mnie zwyciężyć w mózgowi skretyniałej publiczności...” itd. itd. Genezyta nudziły te zwierzenia. Dawniej może byłby się zapalił i chciał zostać „prawdziwym krytykiem” tak tamo jak stangretem czy maszynistą. Dziś miał w zadku swego „Eufanazego” całą literaturę, podobnie jak Kocmołuchowicz w zadku „Siwka” nieomal że świat cały, z wyjątkiem... Ale o tym później. (Naiwne zaciekawianie). Co to kogo może obchodzić w czasach, gdzie wszystko się wali i na żywo przewala *de fond en comble*. Może to i było czymś realnym kiedyś: ten cały niby związek literatury z życiem i wpływ jej na to życie właśnie. Ale teraz kultura, o ile jest w ogóle, fabrykuje się w innej kondygnacji wartości, świadomie czysto społeczno-ekonomicznych. Może nie jest już kulturą w dawnym, spenglerowskim znaczeniu, nie opiera się na mitach, choćby się tu stu Sorelów nawet zagadało na śmierć. Ta mania nie widzenia kardynalnych różnic w czasie to też jeden z atrybutów typowego „splyciarza”. „Wszystko jest to samo, dusza ludzka jest niezmienna, wszystko było i będzie, są tylko oscylacje” — ględzą psie-krwie, zamazując istotne przepaście, tropiąc problemy w celu zniszczenia ich gdzie mogą. A w sferze pojęć absolutnych i koniecznych są psychologami, empirystami i w ogóle „względniściami”. Och, wytruć to plemię! Ale mniejsza z tym. Trudno: słowo przestało być twórcze: wlecze się za życiem społecznym, jak tabor za zwycięskim wojskiem. Przeżuwa zaledwie materiał, ale nie stwarza nowego. Pewnie nie tylko dlatego, że ilość słów jest ograniczona, a nowych pojęć zasadniczych przybywać nie może, ale z powodu wygaśnięcia głębszych źródeł twórczości: zasychania i wędnięcia samej osobowości ludzkiej. Dawniej słowo było na froncie, a dziś? Co taki półartystyczny (bo już nawet nie pełny artysta słowa dawnych czasów — ci — wymarli) bałwan Sturfan Abnol wie o istocie takiego Kocmołuchowicza? Nie może już chwycić rozpiętości jego fali na swój sparszywiwały transformator. Życie wyprzedziło sztukę pod względem jej materiału, nie mogą nastarczyć już temu napięciu nawet sami główniarze z ich zdewergondowaną psychiką — chyba jeszcze w muzyce, bo tam jest tylko rzeczywistość uczuć, a nie świata, a sztuka, w chwili formalnego wyprzedzenia życia, o parę dziesiątków lat wstecz, wyczerpała wszystkie formy do dna. On jeden, Zypcio, może coś rozumiał, jako stojący na samej grani, czy na spęknięciu — jak kto chce — w punkcie przecięcia sprzecznych sił przeszłości i przyszłości, Zypcio i może paru takich samych rozdwojeńców. A zresztą całe życie społeczne poza świadomością rozdwojenia w takich mózgowiach jest, gdyby je tak dokładnie zanalizować, tak wstrętne i bezideowe, jak te literacko-artystyczne „stosuneczki”, zionące bezmyślnym mizeractwem walk cienko-osobistych, bezsilnych pseudo-ambicyjek. Tak przedstawiał to czasem Sturfan Abnol, twierdząc, że literatura to skondensowane życie — ale na pewno tak nie było — przynajmniej w tych strasznych czasach. Może jeden tylko Kocmołuchowicz maskował ostateczną nędzę wszystkiego, tę, w którą nie śmiele spojrzeć najlepsi z minionych epok. A czymże to było poza niezdolnością do pracy, niechlujstwem myśli, brakiem poczucia czasu (tego zegarkowego), jak nie pewnym historycznym zapóźnieniem, brakiem tresury wieków i *niezdolnością przystosowania*. „To, to ono jest”: co w indywidualach daje czasem nowe wartości, u narodów staje się głupotą i mizerią — narodowa odwaga na mały dystans — tchórzostwo na wielki. Ale w takim razie (jakim?), jaki czort dawał temu tytanowi kwatermistrzostwa („zakwateruje on po mistrzowsku cały ten swój naród w jakiejś chińskiej czerezwycząjce” — mówiły skeptyki), tę siłę, aby mógł on być takim ogólnym samoparawanem dla wszystkich, czy raczej taką wewnętrzną maską całego narodu? Jak w nim odbijała się ta ohyda, jak w nim to *wszystko wyglądało!*? Nie wiedział tego nikt i co najstraszniejsze, on sam — tylko za cenę tej nieświadomości był tym, czym był — wielkim żołądkiem, w którym trawił się i dotrawić się nie mógł cały naród — zgaga tej niestrawności, tu była jego prywatna świadomość. Wrogowie jego nawet czuli, że istnieją przez to tylko, że są jego wrogami — czysto negatywnie szwendali się po tej ziemi. Na tym polegała jego Nietykalność i na Tajemnicy. Tą tajemnicą i pieniędzmi Zachodu żyło wszystko. Cienka była to warstewka, oj cienka! Gięła się już czasem miejscami, ale nie pękała. I na nią to wpełzała powoli nowa wiara Dżewaniego, za którym piętrzył się jak wieża z żelaznej mgły tajemniczy do niewymierzalnej potęgi, *nikomu nieznanym* Murti Bing na dalekiej malajskiej wysepce. A tu pod nogami wstręt, wstręt, wstręt — niech przyjdzie zniszczenie, byle piękne — bo w tej idealnie zorganizowanej pracy zaczynały już śmierdzieć jakąś metalową zgnilizną nawet szczerzo-złote serca i stalowe umysły. Tak, tak — jeden Kocmołuchowicz —

Słowo, Sztuka

w nim była do tego jeszcze głupia młodość i wyzywająca niebezpieczeństwo siła, ale nie ta głupia dawna, albo ta krótkotrwała tak zwana dancinowo-sportowa, nie siła i młodość mądrych bydła z przedhistorycznych epok, takich bydła paleontologicznych, jakich dziś nie ma (bo dziś marne, biedne człowieczko splugawiło nawet dzikiego zwierza swoją marną o nim świadomością), tylko *perwersyjna*, powstała jakby z wywróconej podszewką na wierzch starości i słabości — na złość wszystkim. [„Zbrudził człowiek świat, narobił świństwa pod siebie i w tym siedzi — za kark go jak szczeniaka, w mordę i rzucić potem na nowo na tło wszechświatowej przestrzeni” — to była jedyna „astronomiczna”, jak ją nazywał, filozofia Kwatermistrza — na Drodze Mlecznej kończyły się dla niego te problemy — czytał tylko *Zwei neue Welten* Fournier d’Albe’a, jako najwyższy już intelektualny luksus, i pękał sobie z tego ze śmiechu. Zhipostazowana Przechylenie była jego jedynym fetyszem — nie bóstwem. — Czas miał w zadzie „Siwka”. Ten zad biednego (skończył bardzo tragicznie) „Siwka” była to zaiste przedziwna rupieciarnia. Tam to znajdował się też obraz drugiego Kocmołuchowicza na elektronie w materii niższej jako na planecie (i to w jego własnym brzuchu), podczas gdy wszystko razem z Drogą Mleczną było w brzuchu trzeciego Kocmołuchowicza w materii rzędu wyższego. Jeden Kocmołuchowicz na świecie całym — — już nie śmiano go nazywać polskim Gutierrezem de Estradą — on był jedynym autentycznym unikatem].

A Zypcio myślał, pijąc na umór ze Sturfanem: „...Cóż to za rozkosz piekielna mieć Wodza: móc komuś zawierzyć ponad wszystko i ponad siebie samego! Ach — nieszczęsne te epoki, grupy i ci ludzie, którzy tego nie mieli! Jak już nie można wierzyć sobie samemu, ani swemu narodowi, ani jakiejś idei społecznej, niechże zostanie choć wiara w takiego szaleńca, który w to wszystko wierzy”. Nie być sobą, być w kimś, w NIM — być atomem jego potęgi, włókienkiem jego przedłużonych mięśni — a na dnie tego podle uczucie: zrzucić odpowiedzialność za siebie — tak myśleli też wrogowie Kwatermistrza: musieli być takimi, mając takiego wroga, i w ten sposób pozbywali się ciężaru własnych czynów wobec historii.

[A w salonowym wagonie kocmyrzowskiego ekspresu, samotny w swym przedziale Kocmołuchowicz, myślał. („Jak ty myślisz o tym wszystkim” — pytała go często jego żona. On się tylko uśmiechał na to po bestialsku, muskając straszną swą łapą zbrodnia-rza jedwabistą czerń swych wąsów, a potem... Były to chwile największego jej dla niego uwielbienia. Rzecz dziwna: były coraz częstsze, ale coraz bardziej krótkotrwałe. Wtedy tylko jej pożądał — mógł sobie na to pozwolić, aby być wobec niej sobą, to jest masochistą...) A więc myślał w przybliżeniu tak = »obraz granicy państwa: słupki w Zdołbunowie, Żmerynce, Rohatynie, na Psiorach, w Kropiwnicy... Tak — tylko brakuje jeszcze kaszubskich słów w naszym języku. To fatalne«. (Etnograficzna, aktualna Polska zdała mu się czymś małym, jak piąstka dziecka, może jego córeczki, jedynej Ileanki. On trzymał to w swojej garści. Spojrzał na swoją piękną męską, włochatą, zbrodniczą [tak mówiły kabalarki] rękę i zadrżał. *Widział obcą łapę, która nie wie, co myśli*). »Obraz Chińczyków — znał te toczone z kości gęby i ukośność draniowatą oczu, znał z Rosji — sam, gdy rękami skosił sobie oczy przed lustrem, czuł się potwornym wprost draniem, czuł obcą psychikę w sobie, całkiem kogoś innego, kogoś, którego znał z *widzenia*, nie osobiście. A może był to on, który kiedyś się objawi”. Nie ma czasu na takie myśli — to nie wchodzi w sztabacką nieomal grę, którą prowadzi z nieznanym przeciwnikiem. Jakże mógł wiedzieć, co mu jest przeciwne, nie wiedząc, kim był i jest sam. Kim będzie? Ha — niech inni to rozplączą potem. Po *czem?* Zimny pot na dolnych powiekach. Życie jest jedno. On jest tym jedynym „polaczyszką” prawdziwym na całym globie. Niska marka Polski jako narodu, ale znowu jedyność tego zjawiska... I on, prawie tak, jak król Hyrkani, Edyp IV — tylko nieskończenie wyżej, choć bez korony, bo tamten *au fond des fonds* jest błaznem. Chociaż...? Straszliwa wątpliwość wyblęśla ze „szklanych szkopolów”, zaplątanych w podmorskie algi znanych słów. Nowych brakło mu — tak lepiej. Gdyby na pewne rzeczy znalazł słowa, to rzeczy te ożyłyby, rzuciły się nań i zjadły. On płynął dalej jak rekin w bezrybnym oceanie, skazany na śmierć głodową. Nonsens — wizje prysnęły — był znowu sobą. Skondensował się w punkt. I to, że nikt nie wie tej jego ostatniej myśli... Strach potworny, jak w *tych* chwilach z NIA... Nie z żoną. I w tym cały urok, że jeszcze można się czegoś bać i że to się ma w sobie, a nie poza sobą. Taki strach nie

Przywódca

upadła. Och — tego, tej myśli nie wygadać histerycznie, samemu zapomnieć. Ścisnięcie wszystkich mięśni w jedną kulę żelazną z mózgiem — już nie ma nic. Skok w inny wymiar. I ten „biedny” Kocmołuchowicz, mimo piekielnych bohaterstw krucjatowych w Bolszewii, do niedawna nieprzyjmowany przez bardziej arystokratycznych członków Syndykatu, ten, który porwał sobie tę kochaną zresztą hrabiankę — teraz rodzina jej chciała się z nim pogodzić — on nie chciał, uśmiechnął się gorzko, choć z prawdziwą pogardą — to rzadka rzecz w takich kombinacjach. Wolałby jednak, aby tak nie było. Wolałby jednak być jakimś choćby parszywym, nędznym hrabią. Zapatrzył się na chwilę w wyobraźni w przepiękną, natchnioną twarz młodego Oleśnickiego, rzymskiego księcia od XVI wieku i zadrżał z dziwnej nienawiści, połączonej z nieprzyjemnie piekącą zazdrością. Czyż nienasycenie jego w tym kierunku nie jest motorem połowy jego działań? Tak, oczywiście: parszywym hrabią być, parszywym w swym hrabiostwie, byłoby lepiej. Ale siebie, jako takiego, nie oddałby nawet za króla czy cesarza. Chyba może jakie 5 tysięcy lat wstecz? Wtedy nawet z przyjemnością. Cóż — dziś trzeba być tylko Kocmołuchowiczem. I nagle poczuł nonsens metafizyczny, wyrosły z przemian życiowych człowieka, choćby od podoficera do generała, polegający na gadaniu, że ten mógłby być tym, a ten znów tamtym. Tylko tym właśnie, a nie innym może być to dane Istnienie Poszczególne raz na całą wieczność — tylko to może o sobie powiedzieć „ja” — nie „ja” jako abstrakcja przelatująca z ciała na ciało jak motyl z kwiatka na kwiatek, tylko to jedno, stanowiące z tym ciałem absolutną jedność. Poczuł nieszczęsny Kocmołuch swoją własną „ponad-astronomiczną” konieczność. Jak mgnienie przeszła chwila metafizycznego zdumienia nad sobą i światem. Był znowu Kwatermistrzem, stąd dotąd — małym w swej wielkości, jak przed chwilą wielkim był w małości. Nie było czasu na takie bzdury. Zadrżała go pogarda dla siebie samego tak wielka, jak dla obcego człowieka, i to go ocuciło, ocaliło przed samym sobą. Gdyby raz się był na siebie porządnie rzucił, toby go nic już z własnych szponów nie wyrwało. Bechmetiew inaczej by to określił. Mógł Kwatermistrz zgnieść siebie w tej chwili jak stonogę, a wleciał ponad siebie, jak orzeł ponad śmierdzące bagnisko. Zdużona wątpliwość wylała się poza brzegi duszy, dusza nią ociekała po wierzchu. I zaraz: »cały kraj jak mapa i ta piekielna, męcząca, absolutna niewiadomość celu. Za małe to wszystko, za małe — cały świat zadusić by w uścisku, przetworzyć i przepotworzyć, i odrzucić omdlały z rozkoszy (że to on niby właśnie go ścisnął) jak Tę... Stop. Ha — żeby wiedzieli, jak to on jest tajemniczy sam dla siebie, toby się dopiero śmiali. Chociaż teraz, gdzieś popodświadomie może, gdyby się tak zacząć uczciwie grzebać, to można by się może domyślić. Już „szybował” nad swoją „bezdenną dziurą prywatną” („prewetną”, jak mówił jakiś chłop, bardzo inteligentny zresztą — czyż jest okropniejsze słowo?). Nie patrzeć tam w tę otchłań, („prawdziwą do pioruna, nie jakąś głupią poetycką jakiegoś Żydka czy mistyka w kawiarni” — własne słowa Jego Jedyności) — tam obłąd, a może przedtem jeszcze śmierć na przytomno z własnej ręki — z nienasycenia. Czegóż on jeszcze chciał, ten uosobiony maksymalny potencjał osobowości? Aktualnej Nieskończoności w życiu — a to się niestety nie zdarza. Praca, praca, praca — to jedynie ratuje. Nie dać się zatruć złogami nieużytych sił. A Bechmetiew znowu radził trochę odpocząć. „Tyle życia, co się człowiek zużyje i przemęczy do upadłego” — odpowiadał mu na to wesoło zabójczy dla wykonawców swej woli jak Napoleon Kwatermistrz. Słynny strażnik dusz na krawędziach przepaści potępienia za życia i opiekun już potępionych mawiał o nim: „*Erazm Wojciechowicz nie imięjet daże uremieni cztob s umà sojtì. No eto dołżno byt' koncziťsa kakimnibud' wzrywom*”. Jedno było pewne: ani naród, ani społeczeństwo nie obchodziły go jako takie: to jest zbiorowiska *czujących istot*, nie obchodziło go wcale. Nie miał rezonansu dla masowych stanów psychicznych. „Od środka” odczuwał parę osób: 1) córkę, 2) żonę, 3) „tę małpę” (jak mówiła generałowa o NIEJ), no i 4) suczkę „Bobcię”. Reszta to były cyfry. Ale widział tę „resztę” ludzi jak nikt, na zimno rozłożonych, jak na sekcji: od najbliższych wielbicieli, aż do ostatniego żołnierza, którego zawsze za najczulszy pępek uchwycić umiał. I prędeż by się rozleciał na drobne kawałki, niżby mógł sam się co do tego zanalizować, czy miał jakie narodowe uczucia, czy społeczne instynkty. Przeznaczenie zważyło go na szczyt tej piramidy i musiał wytrwać tam do końca. Ale temu przeznaczeniu godnie też pomagał. I teraz zawarzyć w tym wszystkim kaszy i potem jeszcze raz w tej kaszy sobą maksymalnie zaważyć i być zauważonym wreszcie przez cały świat — ale nie tak, jak teraz. Nie wystarczało mu, że jakieś tam zagwazdrane zagraniczne piśmidelka ledwo czasem co

o nim skrobną. (W ogóle milczano o nas wtedy publicznie, zużywając tajnie jako bufor — „butaforski bufor zbutwiałego, nabufionego a butnego i głupiego jak but bufoństwa” — jak mówił on sam. Coś tam było jeszcze o bufecie — że niby Rosja i Polska to bufet z zakąskami dla Mongołów, przed pożarciem całego świata. Lubił takie wyrazy w wolnych chwilach „Wielki Kocmołuch”). Tak — to jedyna jeszcze forma twórczości dzisiaj: potrafić według własnej woli i fantazji zakręcić porządnie kłębowiskiem ludzkim (choćby taką Polską), naruszyć zacieśniającą się jak obręcz na szyi organizację mas i układ ciśnień zewnętrznych. Ale był to raczej nowotwór intelektualny — bo we krwi nie miał kwatermistrz wladztwa — tego pierwotnego, rozlanego po całym ciele. Siedziało to w jakimś przerośniętym mózgowym gruczole — osobno gdzieś tkwiło, ale za to mocno. »Znowu plan — ta prawdziwa jego koncepcja: plan wielkiej bitwy z Chińczykami, polegający na takiej konfiguracji frontu, która by z początkiem boju zmusiła przeciwnika do takiej a nie innej „*pieregupirówki*” (ulubione wyrażenie Wodza), przy czym sztab chiński miał być nawet o pewnych rzeczach programowo prawdziwie i wiarogodnie poinformowany. W istocie kwatermistrz był urodzonym kondotierem — tu leżało jądro rzeczy, — a przy tym strategiem-artystą. To była istotna twórczość, którą on jako „mąż stanu” lekceważył. Działalność społeczna stanowiła tylko tło dla wielkich koncepcji bojowych — ale w świadomości swej uważał się za wielkiego proroka całej ludzkości, proroka bez idei. A może było coś takiego tam w tej „prywatnej otchłani” — ale o tym później. On sam nie wiedział, co tam siedzi, i wiedzieć w tej chwili nie chciał. Plan dojrzywał w szatańskiej wyobraźni Wielkiego Kocmołucha bez pomocy żadnych papierów — jedna goła, bez nijakich rysunekczków odręcznych mapa i pamięć, jak jedno kolosalne sztabowe biuro z milionem szufladek i siecią elektrycznych przewodów, łączących system sygnałowych lamp. Centralny guzik tego potwornego aparatu lokalizował sobie prywatnie kwatermistrz między brwiami, trochę na lewo, gdzie miał pewien nieregularny guz — „guz macedoński”, jak go nazywał wobec NIEJ. Osobno zdawał się on sterczeć (subiektywnie oczywiście) z dala od chamskich pokładów duszy (od barów i od lędźwi stalowych też), które nie były do pogardzenia też — w pewnych chwilach stanowiły doskonałą rezerwę. »Ha, ci strzelcy konni w Grudziądzu, to nie jest pewne. Wizytacja może popsuć, z powodu tego diabelskiego Wolframa — a sprzątnąć go niepodobna. A on przeziera — oczywiście zdaje mu się, ale to wystarczy. A to najgorsze, że on jest także „kawaleryjskim bogiem”. Nie ruszać — zresorbuj się samo, albo pęknie i ...,czik” — przyszczypnąć w odpowiednim momencie. Już tam Swędziagolski da sobie radę w razie wybuchu. Teraz nie można zawczasu „przyjąć miar” zbyt surowych, a potem... Ha — K, I i W — to trzy. Cyferblatowicz jest przekonany o tajnym zbliżeniu do Syndykatu — nie docenia jego siły. Niech będzie — tym go się później unieszkodliwi. Niech działa na własną rękę.« Poczul pogardę dla wrogów, zmuszających go do niegodnych sztuczek. »Puścić go wolno, a przeważy tam, gdzie trzeba«. Boroeder — ta enigmatyczna twarz wschodnia to jedyna nieomal przeszkoda — prawie tak tajemniczy, jak on sam, tylko nie tak ogólnie interesujący. Lśniaca czarna broda, w której się kryją wszystkie jego zagadki. Nią się bestia maskuje — gdyby go tak związać i ogolić? Genialny pomysł: straciłby połowę potęgi. I ta żółta ręka z pierścieniami o czerwonych, tanich półszlachetnych kamieniach (Spinele?) (też się wybrał!), gdy gładzi tę brodę, jak wiernego psa. I to imię: Jacek — konglomerat usystematyzowanych sprzeczności. „Ogolę drania!” — krzyknął głośno wódz. „Z tymi cywilami jest najgorzej. On ma kogoś blisko mnie. Ale który?” Wpatrzył się w czerwony aksamit poduszki tak intensywnie, że mu aż pociemniało w oczach. Wypląnęła razem ze szczypiącymi łzami kamienno-pocziwa twarz Uhrynowicza...

Informacja: W trzy dni i pół zmarł na piorunującą mózgową grypę.

Wódz był człowiekiem *nie-bez-pie-czym*. Umiał zapatrzyć się w cel choć nieokreślony i nie patrzeć na boki. Boczne — realne przepaście tylko się migały wzdłuż lśniącego jego toru — jak tarcza złota na wschodzie widniała straszliwa bitwa i pewne zwycięstwo — — — A potem? „Ha — Koldryk (Dyament) = poduszka: wyróżnę — wydmię się na nowo. Ha — nie warto gniesć. Lepiej powoli wypuszczać z niego dech, dając mu zbyt odpowiedzialne zadania. Najlepiej zniszczy go w ten sposób jego bezsenność.” „Ha — znowu Otchłani. Zamroczył się wkleśły jej horyzont i na tle skłębionych „pytyjskich” dymów Niewiadomego, zamajaczył budujący się dom na Żoliborzu i wizja spokojnej,

nasyconej po gardło czynami, starości. Wyrznął Wódz duchowym kułakiem przez łeb ten kuszący spokojną marnością obrazek i przeciął go jeszcze dla pewności na dwoje olbrzymim, rycerskim, bardziej już realnym koncerzem, którego prototyp nosili może jego przodkowie-pachołkowie za wielkimi panami dawnych wieków. Psychicznie zatarł ręce z zadowolenia, że jest finansowo czysty — to nie była etyka: to był tylko sport, ale lepszy jeszcze od konia. Ach, ten jego koń, ten koń: „Hindoo” — „Siwkiem” zwany, arab gdzieś aż znad Zatoki Perskiej. Razem z nim powinni się nazywać „Bucentaurem”, gdyby to całkiem czego innego nie oznaczało. Poczul go na chwilę pod sobą, potem żonę, potem jeszcze kogoś — ha, to najstraszniejsze (o tym później) — *le problème de détente*, *das Entspannungsproblem*. I znowu liczby i kolory pułków, i twarze oficerów, tych niewierzących mu, tych, których trzeba sprowokować teraz na tę pseudo-konserwatywną, prewentywną, prezerwatywną, prewetową pseudo-rewolucję, która będzie w istocie dla niego, bo przecież mówią w „dołach”, że się z „hrabiami” zwał i trzeba to odwrócić, póki Niehyd-Ochluj nie wyciągnie z tego swych flakowatych konsekwencji. Zakotłuje się to jego wstydlive nazwisko na wszystkich pyskach, a w każdym z nich w innym znaczeniu i wychynie z tego prawda, jemu tylko wiadoma teraz, a potem wszystkim. „Mimo braku świadomych uczuć w tym kierunku jestem emanacją tłumu, a oni, ci durnie, widzą we mnie niebezpiecznego indywidualistę” — (Ci durnie to byli: Cyferblatowicz, Kołdryk i Boroeder — M. S. W.; M. S. Z.; i Finanse — najtęższe łby w kraju, ludzie bez wątplenia inteligentniejsi od niego, a mimo to durnie — w tym też była mała tajemnica: piekielna wprost intuicja (ale ta zwykła, nie bergsonowska) kwatermistrza derutowała najmorrowszych spryciarzy. Jeden go niepokoił: Dzewani — z tym miał się rozprawić za powrotem z objazdu). Wszedł Oleśnicki z jakimś głupim meldunkiem i został zaproszony do pozostania w *coupé* wodza. — Zasnął natychmiast wyżyłowany doszczętnie. Kwatermistrz wpatrzył się w jego efebawatą twarz z rozchylonymi panieńskimi ustami i zaraz zaczął się wyobraźniowy kołowrót pysków na tle tej cudownej maski „śpiącego hermafrodyty” — pysków i odgadniętych „psych” — raczej psychoz. »A on sam?« — Nie myślmy o tym... Oblęd sterczał z każdej prawie wybitnej twarzy tego straszego zaczarowanego kraju, jak kość ze złamanego członka, świadcząca o jego bezsile. Maski wrosły w pyski zdawały się tworzyć, czy symbolizować tylko, nową, nieznaną, nieprzeczuwaną, niedającą się przewidzieć, zbiorową duszę — raczej jakieś kolosalne „bydlisko”. Mordy i mordy — i on, sam, bez jednej choćby mordy *bratniej*, na równym z nim poziomie (pod sobą miał ich całe stopy, piramidy, ale na równi ni gugu). Chyba te maseczki rodzinne (rwące wnętrzości w wolnych chwilach-sekundach, żalem, bezgraniczną czułością i piekielnym *smrodem* zaprzepaszczonego w nieskończonych możliwościach życia — (bo i takie rzeczy były — a jakże) i także pseudo — i te, i tamte miały wyższość uczuć nad nim, uczuć, których odplacić nie umiał, a był uczciwy jak Robespierre — (co za męka!) — żona, córeczka i nawet ONA, ona też mimo wszystkich tych strasznych rzeczy... I Bobcia... Ale o tym później. I na tym tle najbliższym on, straszny samotnik w imię niezbadanej idei, w tym samotnictwie i podświadomym, ale już na samej granicy, nabieraniu i kpiarstwie ze wszystkich, ale *absolutnie* ze wszystkich — przynajmniej w kraju — znajdujący najistotniejszą radość swego życia, bez troskę i dziki artystyczny urok każdej chwili, nawet klęskawej — mało takich chwil zresztą było: atak na kawalerię Bezobrazowa pod Kotopem, zamach tego durnia Parszywienki, maniaka, który chciał go „stayloryzować” i — trochę przydługi moment obecnego czekania — to najgorsze. Wzdrygnął się i wpatrzył znowu w Oleśnickiego, który spał jak anioł, ale z lekką chrapał. „Książę, a chrapie jednak” — pomyślał Wódz. Takie myśli były mu odpoczynkiem. „Ale czy ja nie jestem czasem zwykły anarchista, przygotowujący wybuch bałaganu na wielką skalę? Ten wstręt do organizacji, który muszę pokonać, organizując to bydło? Ech — co tam moja skala — Chiny — to jest coś. Tyle mego, że mogę się z tym zmierzyć. A pluskwa rozdużana kirasjerskim (koniecznym) butem też się z nim w pewien sposób „mierzy”, a przecież po zwycięskiej bitwie i tak ulec musimy. I co wtedy? Znowu przyszło to fatalne poczucie własnej małości, — najbardziej paraliżująca wszelki czyn wątpliwość. Przeraził się, bo mu się zdawało, że Oleśnicki posłyszał tę myśl, udając dalej chrapanie. Nie wiedział już teraz, czy czasem przypadkiem nie powiedział tego głośno. Spało przekłete „bubio” — czuł się wobec niego Kwatermistrz jak Judym wobec Karbowskiego w *Ludziach bezdomnych* Żeromskiego — na to nie było rady. Kiedyż zniknie z tej ziemi ta przekłeta, nieprze-

zwycięzalna niczym „transcendentálna” arystokracja. I to on, wobec którego tamten płaszczyl się jak sama „Bobcia”. Tu był kres upadkowych myśli. Zamknął się ich beznadziejny krąg. Nie — jeszcze jedno najstraszniejsze: ktoś odszczekał w nim jak bezdomny pies, odczekanił, wystukał jak na maszynie takie zdanie: „Czy jestem zmienną niezależną, czy też tylko dość stosunkowo prostą funkcją: a) potwornej koncepcji chińskiej = wessania białej rasy i b) komunistyczno-faszystowskich sprzeczności Zachodu”. Hu — źle. Szlus. Znowu mapy, pułki, tzw. „realna praca” i zupełna beztraska. Rzadko pozwalał sobie na takie rzeczy. Ha — jeszcze po Kocmyrzowie, o drugiej, najpóźniejszej godzinie nocy, będzie ONA — wygładzi się wszystko. Dreszcz potwornej rozkoszy jak szpada przeniknął go od mózdzku do kości ogonowej i zasnął Wódz po napoleońsku na dziesięć minut jak kamień — on, mimo całej swej barwności, szary, przydrożny, zapyłony kamień na kończących się szlakach zamierającej ludzkości].

Gdyby Genezyp mógł „widzieć” te myśli, byłoby to dla niego katastrofą, ruiną moralną. Musiał szukać oparcia w kimś. Sam był za słaby, aby udźwignąć swoją własną komplikację — „karkasa” nie wytrzymała nieregularnych szargań się zbyt mocnego i nieskorygowanego motoru. Gdyby nie Kocmołuchowicz, który nastrzyknął go swoim „jadem życia”, czymże byłby wobec potęg takich jak księżna, Syndykat, matka, a nawet Michalski. To już się okazało. Teraz dopiero pojął, co zawdzięczał Wodzowi. „Cóż mi dał ojciec? Dał mi przypadkiem życie — ty wracasz mi wiarę w istnienie wierzchołków duchowych” — przypomniało mu się powiedzenie Jana Cymischesa do Nikefora w *Bazyliście* Micińskiego. Była w tym przesada, bo dotąd ojciec właśnie pchał go swą wolą, nawet zza grobu. Teraz dopiero oddał go w ręce dalekiego za życia przyjaciela. Nie przeczuwał Zypcio, co go czeka — że to, co widzi obecnie, to ostatnie odbłyśki normalnego życia: matki zapatrzonej w Michalskiego, potrawki cielejącej z beszamelem, dorożki i dżdżystego wieczoru — (już kiedy wracał ze szkoły, nadciągnęły ciężkie chmurzyska od Zachodu). Już nigdy nie miał używać przedmiotów świata tego w ich zwykłych związkach i stosunkach i, co najgorsze, zachować miał świadomość różności obecnego otoczenia w stosunku do dawnego układu. Gdyby miał czas, zamęczyłby się tym na śmierć przedwcześnie.

Pierwsza wiosenna burza przewalała się nad miastem, gdy jechali we troje dryndą w kierunku Chaizowego Przedmieścia, gdzie rozpanaszał się Kwintofronowy „Przybytek Szatana”. Tak przynajmniej nazywali tę budę członkowie Syndykatu Zbawienia. [Jednocześnie, przy dźwiękach hymnu Karola Szymanowskiego „Boże, zbaw Ojczyznę”, Kocmołuchowicz wjeżdżał na Kocmyrzowski dworzec, beztraski jak pies spuszczonej z łańcucha]. Gdzieś z pół dalekich za miastem przywiewał wiatr wiosenny zapach „ziem ojczystych”, znienawidzonych i trawy świeżej, pijącej łaknącymi listeczkami gaz węglowy. Rozkoszna wewnętrzna niechlujność zalała Genezypa aż po najdalsze krańce ducha. Pławił się w bagnie fałszywej zgody ze sobą samym. Całował cudownie piękną rękę matki, obnażając ją bezwstydnie z rękawiczki i (nie wiadomo po co) pocałował w czoło zdumionego Michalskiego, który zgnieciony absolutnym szczęściem przeważnie milczał. (Bał się przy swojej „hrabinie” — tak ją, ku jej zgorszeniu, nazywał — palnąć coś niestosownego. W łóżku co innego — tam, mając wszystkie atuty w ręku, dużo pewniejszym był siebie).

Uwaga: „Cóż można powiedzieć ciekawego o człowieku szczęśliwym, odproblemionym, któremu wszystko w życiu się udaje? Wstrętnym jest i w życiu, i w literaturze dla wszystkich. Pastwić się nad „nieudacznikami”, którzy „*pust’ płaczut*” potem — oto wdzięczne zadanie dla literatnika. A jak już człowiek tęgi, to taki jak u Londona: pełzać powinien nagi bezkarnie przez 36 godzin, przy -35°C , rozdrapać sześćsetmetrową górę w trzy dni bez odpoczynku gołymi rękami, zatrzymać trójśrubowy oceaniczny pakietbot, podstawiwszy mu nogę pod dziób, a potem „*keep smiling*”. Łatwe zadanie: robienie takich niekomplikowanych bohaterów” — Tak mawiał Sturfan Abnol, zacałowujący w tej chwili na śmierć Lilianę, w następnej dorożce.

Ostatni raz... O, gdyby można o tym wiedzieć w takich razach... Bezecne szczęście rozpierało wnętrze Zypcia. Wstrętny pasożyt „złogów sił” Wodza poił się cudzą wartością najwyższą: poczuciem sensu Istnienia. Ogólna harmonia Bytu zdawała się nie

mieścić w sobie — świat pękał od doskonałości. W takich chwilach, lub równie natężonych momentach rozpaczy, stwarzają ludzie zwykli zaświaty, jako ujście dla nieznośnego ciśnienia ujemnej lub dodatniej doskonałości.

Powitały ich, u wejścia już, zwykle mechaniczne, fotomontażowe, wyrzygane z przekwaśnialej na wskroś pustki twórczej, purystyczno-infantylistyczno-sowiecko-staropikaso-
sowe, piurblagistyczne nieomal „*biezobrazja*” i lampiony w kształcie wyłazających wszystkimi bokami skajskraperów i zamaskowanych (czarnymi maskami) fantastycznie zdeformowanych części ciała. To ostatnie, to była nowość. Pierwszy raz widział Zypcio podobne świństwa i zmarł ze zgrozy. Znał to z reprodukcji w dawnych historiach sztuki, ale nie wiedział, że może to być aż tak wstrętne w swej beznadziejnej degeneracji. A jednak było w tym *coś* = rozpaczliwa błaga, doprowadzona do ekshibicjonistycznego bezwstydu. „Biedna Lilian, nieszczęsna prostytuteczka najukochańsza! Jakże okropnie żyć musimy — ja: pseudo-oficer (bo przecież we krwi tego nie mam?) — ona: taka pseudo-artystyczna duchowa kurewka.” Szczęście zgasło: sterczał nagi, wśród zimnego, błotniste-
go deszczu, za jakimiś rozwalonymi budami z zapachem pralni i kapusty, w których miał życia dokonać. Przypomniała mu się rosyjska piosenka, którą znał ze szkoły, z refrenem, kończącym się na słowach: „*oficerow i bladiej*”...

I tu naraz świat faktycznie pękł. Coś nie coś słyszał Genezyp o słynnej Persy Zwierzontkowskiej od Lilian i Sturfana. Ale to, co zobaczył, przeszło pojęcie o wszelkich wysnionych, najbardziej wybdzycznych, wyindycznych wymiarach — „*and she has got him in his negative phase*”.

Uwaga: Działanie danego zjawiska na przestrzenie lat całych określa się tym, czy złapało nas w dodatniej czy ujemnej fazie, zupełnie pozornie nieistotnych, drobnostkowych, wewnętrznych oscylacji.

Trafiła na „dolinkę” — przepadło. Na chwilę nawet Kocmołuchowicz zbladł na całej linii tylko co stworzonego wewnętrznego frontu. Ale siła tego przeżycia była funkcją układu wypadków dziennych, w których główną rolę odegrywał jednak świeżo wymarzony, wysmarzony Wódz.

Przed kurtyną, stanowiącą bohomasz wyjący o pomstę do idei Czystej Formy, wyszło skromne, szaro ubrane, *panienkowate* stworzenie, lat może aż dwudziestu pięciu, może sześciu i głosem, który rozpyływał się po wszystkich mięśniach i zaułkach ciała, jak jakaś ciepła, lubieżno-dreszczykowa, dziwna *oliwa nienasyconia*, czy diabelski smar zmysłowości, rozluźniając wiązadła cielesne jak żar parafinę i wypiętrzając całą samczość samców w niedosiężną aferę wariackich pragnień, tym głosem powiedziała parę słów o mającym się odbyć przedstawieniu, przy czym wspomniała, że rolę Dzibdzi dublować będzie Liliana baronówna Kapen de Vaház, występująca po raz pierwszy. Powstał na sali nagły ryk żalu i tupot nóg zawiedzionych widzów.

Informacja: W ogóle grała małe role, a przeważnie pełniła funkcje reżyserki dla kobiet, chcących zagłębiać się w tajemniczy świat metafizycznych niedosytów Kwintofrona Wieczorowicza. [Ten bezpłodny osobiście impotent (są imponenci płodni, przynajmniej w dziedzinie ducha) z zapamiętaniem bez granic, z męką wysychania z nienasyconych pragnień twórczości, stwarzał przez innych, organizując ich w jedną wielką symfonię zimnego szaleństwa, swój świat złudy, w którym jedynie mógł jako tako istnienie swe wytrzymać. W dzień drzemał i czytał, a wieczorem, po kolosalnych dawach kokainy wypelzał ze swego czarnego pokoju i „organizował” ten piekielny teatr bezimiennej okropności („ostatnią placówkę szatana w doskonałym świecie”), napychał wszystkich beznadziejnym oblędem nienasyconia. Za kulisami działały się rzeczy straszliwe. Tam to znalazło wreszcie również kres swój nienasyconie życiem Putrycydesa Tengiera — znalazło, ku zgubie jego twórczości. O tym krótko, później]. Obecnie zajęta była Persy specjalnie preparowaniem Liliany, ku spełnieniu tajemniczych celów Kwintofrona, z których jednym, przynajmniej widocznym, była tak zwana „ucieczka od rzeczywistości”. I Lilian, której „dusza otwierała się przed słowami Persy jak

biały kwiat nocny na przyjęcie brutalnej, furczącej ćmy, nieświadomej rajfurki słupków i pręcików”, zaczęła, już podczas pierwszych rozmów, stwarzać mimo woli pewien, mówiąc popularnie, tajemniczy fluid między swą inicjatorką a bratem. Całą podświadomą, beznadziejną i niedosiężną miłość swoją dla brata (raczej niepodobnego do aktualnego Genezypa, „braciszka” znanego Persy tylko z dawnych fotografii) „przetchnęła” w tę niezrozumiałą dla nikogo, ani dla niej samej figurę. Zycio o Persy nie wiedział nic. Zazdrośnie ukrywała Lilian przed bratem realny obiekt tej dzikiej transformacji uczuć, wiedząc jednak na dnie duszy, że coś rzeczywistego kiedyś nastąpić musi. Czy to dobre było dla tamtych dwojga, nikt nie umiałby teraz powiedzieć. „Przeżyć życie najpełniej (choćby najstraszniej — jeśli takie już jest przeznaczenie), nie oszczędzając się; zużyć wszystko do końca w sobie i zużyć też innych, o ile oni również w tym istotniej siebie przeżyć będą mogli” — tak mówił ten cyklotymiczny bałwan Sturfan Abnol. Łatwo takiemu bykowi mówić.

Ujrzał Genezyp nad kostiumikiem szarym i dwiema (dobrze, że nie trzema) piekielnymi zgrabnymi nóżkami (nie nogami) twarz dziecinną, niemal owczą, czy nawet baranią, a tak jednocześnie piękną i przejaśnioną łagodnością i słodyczą (ale nie mdłą) tak niesłychanie dostojnej marki, że trzewia zatrzęsły mu się od spodu, a serce połączyło siebie w nagłym kurczu. A oczy, wielkie jak koła młyńskie i chłonne jak jakieś gąby olbrzymie, zastygły nasycone po brzegi widokiem niezwykłym, w zachwycie, uniestwiającym byt osobowy, zżarłszy w jedno mgnienie tę owczą twarzyczkę, zabrały ją sobie, niezależnie od mózgu, na wieczną własność. Ale to było jeszcze wrażenie powierzchowne, jednostronne. Aż wreszcie przysły jak dwie złote (koniecznie złote) tarcze, chroniące mózg przed bezpośrednim szturmem materialnego obrazu w mięsiste jego, bolesne zwoje — one naprowadzały obraz ten potencjalnie nijaki w subtelnych drgnieniach przestrzeni, w mozaikę tajemniczych, niedocieczonych w swej istocie, barw. Wtedy spotkały się ich oczy i Zycio poczuł, że ona (co za zwycięstwo! — zadygotał cały z płciowego bólu, ze złego szczęścia i tryumfu tak smutnego, że aż przeweselonego na wylot, czy jak tam) — po prostu go widziała. Przypomniał mu się, nie wiadomo czemu, Jerzy z Podiebradu. Zapadł się pod siebie — raczej nie: po prostu zrobił całym sobą pod siebie — kwicząc ze sprzecznych uczuć. Rozrywały się kiszki i inne organa w spazmie powolnym beznadziejnego żalu za całym istnieniem, nigdy nie wcielonym, nie przeżyтым, którego nieskończoność wołała ze wszystkich stron naraz, biedne, „ogaluszone”, „opepione”, zdeorientowane, wystrychnięte na dudka istnienie indywidualne.

Zycio poczuł, że *musi ją mieć*, albo życie spotwornieje tu, w tej chwilce, do wymiarów zbrodniczych i to takiego natężenia, no że niby ja nie wiem, no że przypuścimy śmierć w torturach: matki, Iriny, Liliany i innych (nie pomyślał tylko o Kocmołuchowiczu — a szkoda) będzie niczym w porównaniu do rozpacznych pustko-otchłani, które trzeba będzie zapłacić, aby przeżyć tę stratę niepowetowaną — o „wetowaniu” mowy nawet być nie mogło wobec tego gatunku nieszczęścia, tego bydlakowatego, onanistycznego, *sinego* żalu, zmieszanego z wściekłością taką (na myśl o wydarciu jej jemu na przykład — a tu jeszcze jej nie miał), że choć gryźć ten oto pluszowy fotel. To nie była już kobieta — to całe życie rozdzieliło się potwornie w sekundę jedną spojrzenia w te oczy, aż do nieskończonych granic wszechświata, do sensu ostatecznego, dotąd nawet nieprzeczuwalnego — („gdzie są granice duszy” — szeptał Zycio w podziwie nad gitarperkowatością swojej własnej istoty). Rozciągało się to i rozciągało i za nic pęknąć nie mogło. I oto teraz miało klapnąć to wszystko znowu w błotko codzienności i pospolitego sensiku z minuty na minutę, z godziny na godzinę (o męko!), z dnia na dzień (nie przelazę!), może z roku na rok (o niewytrzymanie twoje!). „To musi być samo dobro” — (błysk tamtych oczu w bok i dalej słowa niepojęte, a zwykle i zaraz straszne zwątpienie: może to samo zło najgorsze, o jakim dotąd pojęcia nie miał (jak o wielu rzeczach zresztą w ich żywej rzeczywistości), to zło, o którym się tylko w gazetach czyta, ale się go naprawdę nie rozumie, to zło śmierdzące i bolące, na zimno okrutne i przeważnie śmiertelne, o którym nie wiedzą „szanowne ludzie”, tonący w ich wątpliwej wartości „*respectability*”). A tak była ta twarz ponad wszystkim, że nic z tych pojęć dobra i zła nawet powierzchownie się jej nie cze-

piało. I zaraz poczuł, że teraz dopiero całe dzieciństwo i matura, i cały dziecinny również romans z księżną, to wszystko zapadło się w bezdenną jeszcze, ale dziurę (nie otchłań już) przeszłości — oczywiście Kocmołuchowicz przygotował grunt do obciążenia się epoki, ale sam epoką nie był — nie dochodził tak głęboko, jak płciowe świństwa. Życie ruszyło się od swych szczytów, jak lawina. Nieomal czuł Genezyp świst przepływającego czasu wewnątrz samego siebie. Naokoło działo się wszystko jak w zwolnionym tempie w kinie — to znaczy na razie tylko spóźnieni widzowie, zajmujący miejsca i to odejście jej sprzed kurtyny, które było gorsze od wszelkich dotąd rozstań, zerwań i śmierci nawet.

Persy dawno przestała mówić — nie wiedział Genezyp co. Zobaczył tylko ostatnie podrygi ruchu ust, nie bardzo czerwonych, lecz jakże piekielnie nieprzyzwoicie i jednocześnie szatańsko niewinnie wykrojonych. Każde wymówione słowo było pocałunkiem w zbrodniczym stopniu bezwstydnym i lubieżnym, a jednocześnie świętym, jak dotknięcie jakichś najświętszych relikwii. Na czym to polegało, nie mógł nikt określić, nie tylko biedny Genezyp. Podobno dwaj malarze jacyś ohydni w swej istocie, „oddali” czy „uwiecznili” to na płótnach i papierach, ale mówiono o nich, że zaonanizowali się na śmierć obaj. Ale nienawdził osoby tej jedynie Sturfan Abnol. On też błąkał się już nad brzegiem tej przepaści (teraz po przyjeździe do miasta), ale znalazłszy od razu dość silny antidot w miłości swojej dla Liliany, odwrócił tamto nierozwinięte uczucie na niechęć i nieuznanie absolutne. Oboje mieli zresztą coś podobnie baraniego w twarzach — nawet zaczęto przebąkiwać, że są przyrodnim rodzeństwem. Może coś takiego i było, ale szybko stłumił Abnol tę wersję zręcznym i w porę wyczynionym mordobiciem, po czym „zasię” otworzył rozmyślnie niecelny ogień po sali (działo się to w „Euforialu”) i wystrzelał koło czterdziestu naboń. Puszczono go niebawem, bo udowodnił, że nawet po pijanemu strzelcem jest nieomylnym — odbyły się takie zabawne próby w więzieniu, ze współudziałem najlepszych szarfszycerów armii, korpusu oficerskiego artylerii, przedstawicieli kondekanalnego duchowieństwa i prasy. Trochę był Abnol zazdrosny o Lilian, z powodu jej koniecznego utarzania się w aktorskim sosie: melanżu psychofizycznego wypranych z uczciwości wszelkiej uczuciowych wycirusów obojga płci, wydzielin prześmierdłych gruczołów płciowych, szminki, pudru, wazeliny i codziennej restauracyjności, ale zbyt cenił jej zajęcie się sztuką (ale czy to była sztuka właśnie, to, co wyrabiała na swej „ostatniej barykadzie złego ducha” Kwintofron?), aby nie miał przewyciężyć przesądowych raczej fobii.

Zaczął się przedstawienie — raczej potworna msza szaro-zielona (koloru suchotniczej flegmy) do nieznanego bóstwa ni to złego, ni dobrego, ale za to nieskończenie wszawego, w swej pozornej, oszukańczej antytezie wszelkiej pospolitości. Widział ten koszmar i słuchał jego „treści”, godnej natychmiastowego zasypania torfem, Genezyp, zabity w samym centrum swej człowieczej godności, zaklinowany beznadziejnie w sam kil dna ostatecznej rozpacz. Realnie wypsnęło mu się wszystko, a jeszcze psnęły się dalej czy wypsniwały ostatnie rezerwy ludzkich pokładów, tych na czarną godzinę, „*couches d'émergence*” — system alarmowy nie działał. Piersi zdawało się miał w strzępach, a głowę w tumanie krwawej nudy, niższe zaś części w warze łaskocącego bólu. Coś po prostu nieznośnego — na stłumienie tego nie wystarczałoby dziesięciu pastylek allonalu. Swędziało wprost wszystko moralnie (a nawet fizycznie) do niemożliwości, a podrapanie tego kompleksu bolało do zwierzęcego ryku włącznie. Są takie wysypki zdaje się, a jeśli nie ma jeszcze, to przyjdą. Dusza uciekła wreszcie z rozszarpanego ciała — nie chciała cierpieć. Ale ciało trzymało ją swymi najwstrętniejszymi, bo płciowymi, miękkimi szponami i mackami i nie popuszczało w świat doskonałości: idealnego bytu pojęć i śmierci. Właściwie jedyną rzeczą do zrobienia była śmierć. Ale ciekawość tak paląca i piekąca (trzech-metrowa rozdziawiona gęba, wydająca szept, niosący na kilometry całe: „Co będzie? Co będzie?”), jak najbardziej nienasycona żądza, zasłoniła wszystko inne. Człł „wypełnianie się losów” w samych podziemiach Istnienia. „Czy to nie jest głupie, żeby z tego erotyzmu takie wielkie rzeczy robić?” — mówił w nim jakiś głos niby-to-starszego-pana. „Czemu to rozdwojenie procesu dzielenia się komórek ma być czymś tak strasznym i ważnym i to nie tylko w wymiarach samego problemu zachowania gatunku, tylko zupełnie jakby poza tym. Problem osobowości: oszukanie absolutnej samotności indywiduum we wszechświecie, tak samo jak zlanie się indywiduów w społeczeństwie”. Wytoczyły się myśli gołe, wypięte i nieprzyzwoite, w bezmiar niewiadomości męczącej,

suchej, a wstydlivej. Zrobiło im się zimno i pochowały się. Przypomnił sobie Zypcio, że księżna miała być w łoży nr 4 (koniecznie). Spytał z góry Sturfana Abnola, gdzie to niby jest ten ich czwarty numer, i spojrział we wskazanym kierunku, jakoś dziwnie dumnie (szukając jej właśnie, po tylko co odbytym zarmieladowaniu przez tamtą). Ujrzał kupę piór zbukieciałych (ta moda wróciła) między ceglastymi i malinowymi (nowość) frakami „panów” — tych prawdziwych, to znaczy, bezpiecznie głupich, napuszonych mniemaniem o sobie, niedobrze wytresowanych, wyfraczonych bydląt. Był tam też Cylindrion Piętalski, na czysto ogolony, w olbrzymich okularach o ciemnej oprawie. Ta twarz wżarła się w centr wzrokowy Genezypa jako symbol (nie wiadomo czemu w tej chwili?) najstraszniejszej straszności. Dreszcz zgrozy i wstrętu, połączonych z zachwytem „*osobawo obrazca*”, kiedy tamten ptasi profil odwrócił się zniewolony jego wzrokiem i wszechwiedzące turkusowe galki oblały go swoim nieprzyzwoitym fluidem. Zaszczepiony w nim „bratni” jad „bratał” się ohydnie z „braterskim” spojrzeniem. To „*rendez-vous*” trucizna, na nim, jak na trupie — o! — to nieprzyjemne. A jednak dobrze, że nauczył się miłości od tego pudła. Jest także takim bydlęcym „starszym panem”, który wszystko wie i umie. (Może nie pokazywać swojej umiejętności „tak od razu”, ale się nie zawstydzi w-razie-czego). Uczuł siłę zdobywczą i sprężył się — zaczął się w sobie na tamtą, skrytą teraz w tajemniczym środowisku „kulis i zmysłów” zjawę — księżna przestała dla niego istnieć zupełnie, — (no, to jest przesada — ale powiedzmy: prawie...) Nie wiedział: bydlątko głupie, ile jej zawdzięcza, nie oceniał: kanalik podła, jej uczuć wielkich, ostatnich (co on mógł o tym wiedzieć?) i właściwie zupełnie bezinteresownych — nie — rznął na pysk przed siebie do tego baraniego profilku zza kulis — tam było jego przeznaczenie. „Ach, więc ona jest naprawdę tam gdzieś za sceną? Ten cud nie jest złudą?” Teraz przekonał się, że nie wierzył dotąd w jej realną egzystencję. Uwierzył i doznał *gwiazdzistego*, podpłciowego olśnienia. Połowa tamtej poprzedniej męki (no: ten tak zwany „wewnętrzny drab”; jad płciowy, demoniczny; cynizm w stosunku do własnych uczuć i tym podobne faramuchy) spadła z niego zaraz. Usta miał jeszcze zakryte maską, ale gały „babużyły się” już „na nowe panny, na nowy świat” — jak mówił podobno jakiś pan Emil, przechodząc pod oknem opuszczonej kucharki w niedzielę. Zakochał się „od pierwszego wejrzenia”, „*coup de foudre*”, „*kudiefudriennoje rozpalażenje ducha*” — tak by powiedzieli „spłyciarze” i może by mieli nawet rację. Czasem faktycznie mają rację nawet „spłyciarze”-kanalie — trudno. Ale podobno znowu schizofrenicy w czasie narzeczeństwa dochodzą do najlepszych swych wariackich rezultatów. „Po prostu w ogóle nic nie wiadomo — *polniejszjy bardak i untiergang*” — jak mówił pewien generał, podobny do foki. Ale zaraz nowa męka dźwignęła się ze śmierdzących czeluści wewnętrznych (zewnątrznie wyszorowany był i czysty jak aniołek) gorącego, głupiego, młodego ciała. Diabły palily na gwałt w płciowych piecach, fabryki jądów szły. Sam Belzebub, chłop w średnim wieku jak dąb, zły jak sam szerszeń, brodaty po pępek na czarno, nagi przemuskulisty atleta, zimnym spojrzeniem czystego, krystalicznego, zielonawego, najokrutniejszego zła badał manometr ciśnienia najplugawszego z szalbiestw. Czynił to ze wstrętem — on, wielki twórca i buntownik — do takiej parszywej roboty zaprzegli go za karę — tfy, „*Kein Posten für mich bier*” — mówił z goryczą, myśląc o ziemi, uspołecznionej, zamarłej w szarej doskonałości. — „Faszyzm, czy bolszewizm — *usio rawno* — i tak mnie zjedzą”. *Zaczęło się przedstawienie* — nigdy, nigdy, nigdy... „Zabraknie ci słów i tylko wyc będziesz do wnętrza twego o litość”. Ale ci i możliwości wycia poskapią katy wyrafinowane, piękne, szczęśliwe, rozłaskotane od rozkoszy do nieprzytomności — niby kto? Jakieś zabójcze hermafrodyty, gołe i gładkie jak hyperalabastry czy onyksy, jakieś nad-płciowe, kolosalne, beztroskie pół-bogi, jakieś tak zwane „mity wszechludzkie”, powcielane na poczekaniu, *à la fourchette* (na ohydne pośmiewisko [czyje, do cholery!]) w płaskie bombonierki, wysmukłe sosjerki i etażerki, kręczone galopierki, wykręczone trzęsawki z pianką bezzębnych starców i niemowląt i na tym on. KRÓL, Wielki Gnidon Flaczko, aktor, trzymający w swym plugawym, zakłamanym pysku gorące, śmierdzące flaki całej sali, pełnej świetnie ubranych, a *au fond* przynajmniej moralnie mocno nie-pachnących glist ludzkich. Huzia! Huzia! I nie to i nie to!! Spróbujmy opowiedzieć: nie było w tym żadnej Sztuki, tej przez Wielkie S. (nie ma innego określenia, chyba trzeba by napisać tomy całe). Nie — Czysta Forma w teatrze nie istniała już dawno, zdeptana brudnymi nogami paserów

Szatan

zachodniego towaru i zwykłych po prostu idiotów, w rodzaju Mistrza Roderyka i jego pomocnika z przeciwnej partii: Dezyderego Fląderko. Obaj w grobie — Cześć! Cześć! Może i lepiej, że się tak stało, czcigodne guniafrasy! A więc ten teatr był zaprzeczeniem wszelkiego arcyzmu: rzeczywistość stara, tłusta rozpuścicielka królowała w nim rozparta obrzydliwie, nieumyta, rozkraczona, śmierdząca surowym mięsem i śledziami, rokforem i krajową psychiczną bryndzą, landrynkami i taniusim „perfumem”, tak zwanym „kokotenduftem”. *Zbombonizowanie potworności*. A jednak, a jednak...? Nie można było się od tego oderwać. „Pozornie niby nic, a jednak zwił jej cyc” — tak śpiewały jakieś zakazane mordy gdzieś, w nieznanym osobiście Zypciowi, ogrodach bogini Asztoreth. Maksymalne, *nieomal* metafizyczne wyuzdanie wywróconej jak rękawiczka rzeczywistości, ale bynajmniej nie w celach artystycznych — dla niej samej.

Na scenie było już kilka osób i zdawało się, że nic już okropniejszego być nie może, że przecież do diabła starego wszystko musi mieć pewne granice, a tu, na przekór niemożliwości, z wejściem każdej nowej figury potęgowało się to przewalanie się kłębowiska Niewiadomego znowu, gdzieś aż w nieskończoność i to za każdym razem w sposób jakościowo różny od poprzedniego. Błaga? Sprobujcie sami. Nie możecie? Bóg z wami. Żal nam was... A szkoda!

Genezyp patrzył przed siebie jak ktoś leżący na pochyłej płycie nad przepaścią i trzymał się czerwonego pluszu, jakby wymykającego się ostatniego chwytu w skale. Za chwilę mógł *tam* spaść, tam na scenę, raczej w odmienny, nawet kolineacyjnie niepodobny do tego, byt, gdzie temperatura życiowa przechodziła w najmniej istotnych przejawach po stokroć, po tysiącokroć, ciepłotę najdzikszych aktów wszelkiego rodzaju: płciowych, nadpłciowych (= megalosplanchicznych, cyklotymicznych) i czysto „intencjonalnych”, oraz dziwność najrzadszych narkotycznych omamień i najwyuzdańszej dobrowolnej śmierci w sadystycznych torturach, zadawanych przez Nią, jakiegoś wysnionego kobiecego hyperbelzebuba. A przy tym „namacał” (w analogii do banału) całej tej sprawy był dość nikły.

To była rzeczywistość, to, co się *tam* działo. A reszta (niby ten świat) stało się jakąś podłą imitacją nawet nie tamtego, tylko czegoś niegodnego istnienia w ogóle, czegoś nie-do-przetrzymania w swej złowrogi, niczym nienasyconej nudzie i pospolitości. Istnienie w ogóle, nieprześwietlone głęboką metafizyką, jest czymś zasadniczo pospolitym, choćby je nawet wypełniały nadzwyczajności w wymiarach Londona, czy nawet, nawet Conan Doyle’a. Jakże tu żyć dalej „bywszy” już raz w *tamtym* świecie? Nienasycony (ale nie metafizycznie, tylko *nonsensowo*) Kwintofron stwarzał przez swój piekielny teatr, to samo nienasyconie u innych. Ceny miejsc były potworne i tolerowano tę budę w sferach rządowych (o których nikt nie wiedział, jakie *au fond* są), bo jakiś referent M. S. W. [zdaje się, że Picton-Grzymałowicz] dowiódł w swym referacie właśnie, że dla ludzi o pewnym cenzusie finansowym ten właśnie teatr dobry jest z punktu widzenia militaryzacji kraju, bo pobudza w nich tzw. „kawalerską fantazję”: *tryń trawà morie po koliena*. Tę manię bowiem posiadał zarówno kwatermistrz, jak i Syndykat Zbawienia. To, że pewnym bydlętom dobrze jest bez metafizyki, nie dowodzi jej bezwartościowości. Wszystko zależy od skali wartościowań. Ale czyż mamy opierać się właśnie na standardzie bydlęcości? Najgorszy jest pół-nonsens życia osobistego i społecznego, najgorsza jest połowiczność w ogóle, ta zasadnicza cecha naszej epoki. Albo absolutyzm, albo organizacja mrówcza, faszyzm, czy bolszewizm — *wszystko równo*; albo szal religijny, albo przeświecony na wskroś intelekt; albo Wielka Sztuka, albo nic, ale nie tandetny pseudo-artystyczny „produkt”, ale nie ten szary sos we wszystkim, upstrzony jak „maggim” paskudną esencją demokratycznego kłamstwa. Brrrr... Teatr Kwintofrona był przynajmniej paskudztwem skończonym w sobie — czymś wśród tego ogólnego szaro-żółtego gwazdru wielkim. Nigdy nie odwiedzał go Kocmołuchowicz — miał w sobie inne kryteria wielkości, jego psychofizyczny „miuratyzm” nie potrzebował tej przyprawy, on był sam w sobie jak dawny Bóg. [Idea wielka z I czy z XVIII wieku może być mała w wieku XXI. Tego nigdy nie mogli zrozumieć księża i dlatego musieli wymrzeć]. Czarna kurtyna spadła. Wszystko zbladło, zszarzało, zwszało, jak pejzaż po zgaśnięciu słońca, jak wygasły nagle kominek w późno-jesienny, słotny wieczór. Nie można było uwierzyć, że przed chwilą widziało się to właśnie na własne oczy. Mózg skończonego fiksata, oglądany przez jakiś hyperultramikroskop, mózg Boga (gdyby go miał i gdyby zwiariował), oglądany przez zwykłą

Szaleństwo, Otchłań

tekturową rurę bez szkieł, mózg diabła w chwili pogodzenia się z Bogiem, widziany *gołym* okiem, mózg zakokainowanego szczura, gdyby ten nagle zrozumiał cały idealizm pojęciowy Husserla — *biezobrazje*. Dlatego to krytyka była bezsilna w opisie tych rzeczy. Są sny takie, co to wie się dokładnie, że coś się działo i jak się działo, a w żadne obrazy ani słowa znane wtłoczyć tego niepodobna — czuje się to gdzieś w brzuchu czy sercu, czy w jakichś gruczołach, czy co u cholery. Nikt nie mógł tego pojąć, jak to się dziać mogło, a jednak „*biezobrazilo*” się oto w pełnym świetle na oczach wszystkich i to wszystkich ze wszystkich partii i samych mogółów policji. Nie było się o co przyczepić, a jednak były to straszne historie. Mówiono, że to w celu ostatecznego wygładzenia, wypoliturowania dusz inteligencji przed przyjęciem nowej wiary, teatr ten subwencjonuje w imię Murti Binga sam Dżewani. Były to niby te same nonsensy, co u anty- i a-formistycznych futurystów czy dadaistów, albo psychowomito-żonglerów hiszpańskich i afrykańskich, tych autokoprofagów duchowych, lecz w jakiejże dziwnej odmianie. To, co tam było dzieciadą, fanfaronadą, błazenadą, tu zmieniło się w prawdziwą, duszącą za gardło, życiową tragedię. Było to też oczywiście zaszugą reżyserii i gry, doprowadzanych do zenitu subtelności w najdrobniejszych, najohydniejszych szczegółach. Ale co się pod wpływem tego działo w sferach zakulisowych, to lepiej o tym nie pisać. Jedno kłębowisko zwyrodnienia na samej granicy zbrodni. Dawniej banda taka siedziałaby w kryminale — w tych czasach stanowiła samoistną wyspę, czy łódź podwodną, opierającą się ciśnieniu mętnych wód całej *przemierzonej* do kości społeczności. Tam to znalazł swe ostateczne nasycenie niešťczęsny Putrycydes. O tym parę słów później. Cóż było robić — naturalistyczny teatr zdechł już dawno dzięki szalonym wprost w tym kierunku wysiłkom pierwszych mężów pióra. Oczywiście znać było wpływ niezapomnianych, a jednak tak prędko faktycznie zapomnianych, tzw. „eksperymentów” Teofila Trzcińskiego i Leona Schillera, lecz w jakiejże piekielnej transformacji. Ochłapy tej „twórczości” reżyserskiej zużytkowane tu zostały dla najzacieklejszego *naturalistycznego* zrealizowania samego nieprawdopodobieństwa — potęgowały tylko nieznośnie niewiarygodną rzeczywistość, zamiast przenosić widzów w inny wymiar — metafizyczny, mocą bezpośredniego pojmowania Czystej Formy. Nieprawy prawnuk Trzcińskiego i ktoś mocno podejrzany, który podawał się za prawego wnuka Witkacego, tego gówniarza z Zakopanego, grali tu pomniejsze role jakichś tzw. „obskurentów”, czy czegoś podobnego. Dla wyżej wymienionych powodów rzecz ta w istocie swej jest nie-do-opisania. Trzeba było widzieć to na scenie. Wyliczenie sytuacji i cytaty wypowiedzeń nic tu nie pomogą. „*Quelque chose de vraiment ineffable*” — mówił sam Lebac, a jego adiutant, książę de Troufières powtarzał za nim to samo. Kto nie widział, niech wyje z żalu. Nic innego poradzić mu nie można. Same sytuacje można by jeszcze wytrzymać, gdyby stanowiły one pretekst do czysto-artystycznych kombinacji. Nie dla celów sztuki (o nie!) spiętrzano tu wszystkie środki najmodniejszej psychoekwilibrystyki. W tej nad-realistycznej (ale nie w znaczeniu potwornej bandy błagierów paryskich, przeczutych przez naszych piur-blagistów w wydawnictwie „Papierek Lakmowski” już w roku 1921) interpretacji i grze (dekoracje robił wnuk Rafała, syn Krzysztofa, Rajmund Malczewski — wcielony diabeł hyperrealizmu w malarstwie) najdrobniejsze nawet drobiazgi urastały do rozmiarów haniebnych klęsk i ran jakichś po prostu okropnych, rozjątrzonych i ropiejących. Każdy odczuwał te „ichnie” szprynce i szpryngle w sobie, w *spłciowiałych* na wywrót pocziwych zwykle stosunkowo flakach (takich jak serce, żołądek, dwunastnica i tym podobne, nie mówiąc już o innych jelitaliach. Co się działo z prawdziwymi *tymi* w cenzuralnych słowach opisać się nie da — a żałujcie, bo to by było dopiero cudowne!) i to jako swoje najintymniejsze przeżycie, wywalone bezwstydnie przed wszystkimi na wierzch, na pośmiewisko podobnej mu wyfraczonej i zgolosionej hołoty obojga płci, złanej w jedną masę świńskiej, płynnej zgnilizny. Putrescyna i Kadaweryna (duchowe!) — te piękne „córy” wielkiego pana: Jadu Trupiego rozpadającej się za żywa (przed ostatnim wskrzeszeniem) ludzkości, królowały w tej sali niepodzielnie i bezczelnie. Kawaly tej nad-rzeczywistości odarte ze skóry wały się w prochu, kurzu i pyle dawnych pocziwych scenicznych desek — one jedne pozostały tylko z dawnej sceny. Stargana za trzewia publiczność opadła jak jeden flak po pierwszym akcie w fotele. Każdy zdawał się sobie jakimś fantastycznym klozetem, w który tamta banda bezczelnie srała i targała potem gorączkowo i bezlitośnie za rączkę z łańcuszkiem — ostatni wentyl bezpieczeństwa. „Całe społeczeństwo zapadło na ostrą śmierdziączkę” — tak pisały o tym

mamuty formizmu. Jakąś wspólną kloaką wyciekały te brudy hen (tak: hen) na miasto i niewinne ciche pola, aż pod strzechy przerażonych kmiotków. „Nie zabrną me twory popod żadne strzechy, bo wtedy na szczęście żadnych strzech nie będzie. W ogóle z tego żadnej nie będzie uciechy i tylko świństwo równomiernie rozpełźnie się wszędzie” — tak napisał w sztambuchu Liliany nieśmiertelny Sturfan, ale się mylił. I tylko dziwiono się, że rząd... ale niesłusznie. Okazało się, że teatr ten to chyba jedyna klapa odchodowa nieznośnych ciśnień psychicznych (tak zwany później „duchowy pierdometer, panie”) dla niedających się wciągnąć w organizację pracy indywidualów dawnego typu, co żyły jak pasożyty na resztkach narodowości i religii, koniecznych jeszcze wtedy jako kompromisowe idee-motorki dla puszczenia w ruch faszyzmu — oczywiście na tle ekonomicznego niedoksztalcenia społeczeństwa. Tam przeżywali oni siebie do dna i unieszkodliwiali się po takim wieczorku na długie tygodnie. Świństwa wypalały się w nich jak rudy w hutach i na życie nie pozostawało już nic. A zresztą, wobec tego, co widzieli nieszczęśnicy ci na scenie, wszelkie możliwe do wykonania świństwo bładło jak pluskwa, która dwa lata krwi ludzkiej nie widziała.

Genezyp był tu po kryjomu i „w cywilu” — groziło za to do dwóch lat twierdzy, ale to także potęgowało urok sytuacji. Teraz uświadomił sobie z wyrazistością cięcia noża w żywe mięso, że *ona jest*. Pozornie proste zdanie to zawierało w sobie nieomal tajemnicę całego bytu, znaczenie jego nie mieściło się w nim, wylewało się poza brzegi wszelkich możliwości — było coś w tym z bydlęcej metafizyki pierwotnego człowieka, prawie religijny zachwyt pierwszego totemisty. Nigdy nie doznał jeszcze Genezyp takiego przerażenia wobec nagiego faktu istnienia innej jaźni obok niego. Tamte stwory: matka, księżna, Lilian, ojciec nawet, zdały się teraz wyblakły, płaskimi widmami w stosunku do żywości tej niepojętej egzystencji. „Ona jest” — powtarzał szeptem zeschniętymi wargami, a w przełyku czuł jakby twardy kółek. Genitalia, ściśnięte w bolesny węzełek, zdawały się być zredukowanymi do matematycznego punktu o ciśnieniu miliardów atmosfer płciowych. Teraz poczuł drań, że żyje. W tym wirze przewartościowań ostał się jedynie sam Kocmołuchowicz, jak blok nietopliwej skały w okalającym ją potoku lawy — ale daleko, jakby czysta idea poza krańcami realnego bytu. Przychodziło pierwsze prawdziwe uczucie, zapługawione jeszcze wydzielinami wszystkich nowotworów wytworzonych w nim przez „książęcy jad” Iriny Wsiewołodowny. Cała przeszłość zatarła się, straciła swoją bezpośrednią tajemniczość, jadowitość, ostrą namacalność — jak u wszystkich w ogóle w życiu — inaczej egzystencja byłaby w ogóle niemożliwa. Ale szczęśliwi ci, co mogą jeszcze po pierwszym czy n-tym chłasknięciu życia odczuć na nowo pierwotny fakt bytu bez podłych spływających przyzwyczajaj codziennego dnia. Jakże potworną krzywdę bezpośrednim ujęciom wyrządziły tu pojęcia, też ostatecznie rodzaj pewien elementów pewnych z tychże ujęć, tylko inaczej zużyty — artystycznie raczej niż logicznie. [Bo pojęcia są elementami sztuki w poezji i teatrze — tego nikt z tych zakutych łbów nie chciał nigdy zrozumieć i to irytowało głównie nieszczęsnego Sturfana, ale teraz było to już prawie obojętnym].

W związku z tym, że znikł półrzeczywisty obraz tego dziewczynkowatego stworu (nie mógł bowiem Zypcio mimo wszystko uwierzyć w istnienie tej kobiety *jako takiej* — w ogóle nie wchodziła ona w żadne znane kategorie, była bezpłciowo-bezosobowa, właśnie jako ta pierwsza i jedyna jaźń poza nim ponad wszystko wyniesiona), znikł tam na tej scenie, zdającej się majakiem z innego świata, mimo całego realizmu, wśród tej niemożliwej bachanalii zdeformowanej rzeczywistości, jej tej osoby właśnie rzeczywistość *zakulisowa* (to słowo miało jeszcze dla Genezypa ten posmak ostry kłamstwa, zakazanego świństwa, tajemnicy, brudu i czysto ludzkiego (bez bydlęcej przymieszki) zła wysublimowanego, ale skobieconego na jadowito [mężczyźni nie liczą się za kulisami zupełnie]) nabrała siły tak straszliwej, że zaraz prawie po uświadomieniu sobie tego wszystkiego, obraz pamięciowy tylko co odbytych na scenie potworności wytarł się, zrudił, spluskwał, znikł prawie, a na jego tle *urojona rzeczywistość wyższego rzędu* zawałiła się nieznośnym ciężarem na całą dotychczasową „zawartość psychiczną” gówniarza, zgmiotła ją jak pociąg kurierski biednego żuczka (omomilka np.) siedzącego sobie niewinnie na szynie w piękny dzień sierpniowy. A stanowiły ją: 1) mokre, poziomkowo-czerwone usta, 2) gołe, lśniące nogi i 3) gładko zaczesane popielate włosy. To wystarczy — chodzi o to *jak*, jaką atmos-

ferę stwarzały dookoła siebie te banalne elementy seksualnego wciągu. To wszystko jej, tej, która przed chwilą patrzyła na niego, mówiła: z tych ust wychodziły słowa, które on polykał jak anakonda króliki, to wszystko było gdzieś naprawdę w tym gmachu, w tajemniczych jego, tylnych zakamarkach — nie do uwierzenia!! A do tego poczucie, że tam, między jakimiś (ach, nie jakimiś tylko tymi!) włosami, naprawdę tak jak u wszystkich... i ten zapach skrytych otchłani ciała... o zgrozo...! — nie, nie — dosyć — nie teraz — to nie-do-uwierzenia! Tak — to była nareszcie ta wielka miłość, oczekiwana, „wyśniona”, rzecz można wyonanizowana, w przybliżeniu jedyna i ostatnia. To były w każdym razie symptomy — jedno z nich — po których się ją poznaje. Ale wielka miłość tylko niespełniona, nieskonsumowana pozostaje najpiękniejszą. W każdym razie *ona* była tu — świadomość tego jest jak ostrze w brzuchu, jak czarna błyskawica we łbie jasnym od metafizycznego, podpuszczonego płciowym sosem, straszku. Raz na zawsze: metafizyczne jest coś, co ma związek z poczuciem dziwności Istnienia i bezpośrednim pojmowaniem jego niedocieczonej Tajemnicy. I żeby mi się tu nie czepiały jakieś dychempki — won, jeden z drugim, do własnych, zatęchłych nor.

Ryk nieludzki na scenie. Dwie kobiety półnagie walczą w otoczeniu obojętnych, wyfraczonych i umundurowanych mężczyzn. Trzecia, stara baba, całkiem goła, matka jednej z nich, wpada i zabija (dusi rękoma) córkę, aby ta została niezwyknięta. Ktoś starą po łbie, tego ten, reszta rzuca się na tamtą. Wchodzi jakiś kapłan i okazuje się, że to, co się przed chwilą działo, to programowe nabożeństwo na cześć Absolutnej Nędzy Istnienia i jego definitywnej niewyduchalności dla celu rozpędzenia Wielkiej Nudy. Co mówiono — ktoś wie? Pewno jakieś bezecne nonsensy — w tych czasach generalnego skielbaszenia się pojęć, tej mizerery, przeciętny krytyk, a nawet zwykły „obywatel” (jakże śmiesznie brzmiało to słowo-przeżytek z dawnych, rozkosznych czasów *uczciwego* demokratycznego kłamstwa, dziś, w żółtawym, złowrogim cieniu ruchomego muru) nie był już zupełnie w stanie odróżnić prawdziwej mądrości od najdzikszego z baliwernów. Jeszcze do czegoś tam dodłubywały się czasami pewne „*précieuse’y*”, ale mężczyźni! — pozał się Boże, jeśli masz komu. Ale za to jak to było zrobione, jak zrobione!! To się opisać nie da. Palce od brudnych nóg lizać. To trudno — to trzeba było widzieć. Dość, że wyli wszyscy, zmietoszeni w jedną metafizyczno-bydlęcą, krwawą miazgę — (o, gdyby to można tak napychać to zaraz w puszkę i rozsyłać na właściwe, a nawet niewłaściwe miejsca — ludzkość byłaby zaraz, natychmiast szczęśliwa). Kiedy nareszcie zapadła na to piekło kurtyna (nikt by nie wytrzymał ani sekundy więcej) cała sala, jak jedno ciało, wypinała się, wylupiała (aż załupiała się?) w tym wychyleniu się nagłym i beznadziejnym w inną psychiczną przestrzeń, w świat nieeuklidesowych uczuć i stanów na jawie (i złudzeń, już tego drugiego świata — o szczęście!), na jawie, bez żadnego narkotyku. Ogólnie można by powiedzieć tak: zanik zupełny świadomości swego indywidualnego bytu i towarzyszących mu realnych okoliczności: (domu, zajęć, upodobań, osób — te ostatnie transformowały się w wyobraźni w wymarzone cudne monstra, z którymi dopiero można by zacząć psia-krew naprawdę żyć. Ten żal, że tak nie jest, nie da się niczym wyrazić — cały żal, całego życia wspaniałego psa na łańcuchu, skondensowany w jednej sekundzie) — nic. Żyło się tylko tam na scenie. I to stwarzało tę piekielną atmosferę dla aktorów, w której oni spalali się w nieznośnie intensywnym, nad-życiowym kabotyństwie najwyższej, aż wzniosłej klasy, nie mającym jednak ze sztuką nic wspólnego, chyba dla normalnych i specjalnie „wnikliwych” krytyków, którzy nosorożca od lokomotywy rozróżnić mimo szalonych wysiłków nie mogą.

Genezyp, ciągnąc za sobą Sturfana, rzucił się za kulisę szukać garderoby Lilian. Grała dopiero w trzecim akcie rolę duszka na tak zwanych „zmysłowych zaduszkach” — co to było — lepiej nie mówić. Tylko jej niedorozwój płciowy, pomieszany z szaloną rzeczywistością jak na nią miłością do Abnola, utrzymywał ją w jakiejś takiej równowadze. Wpadł nieprzytomny w wąską, rażąco oświetloną „klitkę”. Lilian siedziała na wysokim taburcie, a dwie starsze damy-krawcowe ubierały ją w jakiś *sfeterek* pomarańczowy, ubrany znowu wualami czarnymi i białymi, spod których szarzały nietopozie skrzydła. Biedna wydała mu się siostrzyczka bardzo i pokochałby ją bocznym serduszkim w tej chwili wprost niezmiernie, gdyby nie brak czasu. Główne bycze serce zajęte było i wypełnione czymś niepojętym, sprzecznym i złowrogim, jak burza w dzieciństwie, skombinowana z rozdzierającym nieporozumieniem z matką.

— Lilian: błagam cię...

— Już wiem wszystko. To takie dziwne. Bo to ona właściwie wie wszystko. Mówiła, że cię widziała. Zaraz będzie tu. Miała przyjść między pierwszym a drugim aktem. Tylko jedną chwilę, bo przez cały drugi akt musimy przerobić jeszcze rolę. Boję się, boję się — mówiła, szcękając drobniutkimi „siostrzanymi” ząbkami. Jednolite jak blok serce Sturfana wydymało się do pęknięcia miłością i litością (najgorsza przyprawa), a przy tym rozum myślał błyskawicznie: „taka mała, kochana, a już rajfurzy. Boże, cóż to będzie z niej, gdy się rozkręci”. Zamroczyło go z podniecenia. Liliana robiła na niego wrażenie małego, nieznanego (może astralnego?) gryzonia w klatce.

— Jak się w tym czujesz — spytał czuły brat, a połączenie widoku siostry na tym tle z oczekiwaniem na tamtą, na tle tylko co słyszanych słów, przechodziło wszystkie znane mu dotąd ingrediencje sprzecznych uczuć, w których tak „gustował”, bojąc się ich i cierpiąc jednocześnie.

— Wiesz, że trochę lepiej, niż w prawdziwym życiu. — Sturfan zwinął się z bólu, ale to tylko podniosło urok życia o parę kresków dalej ku czerwonej linii na jego prywatnym manometrze od tych właśnie rzeczy. — Przy tym coś dziwnego zaczyna się we mnie budzić. Wychodzę jakby z siebie — raczej wiesz: wynurzam się. Już Sturfan nie wydaje mi się obcym żuczkiem na trawie widzianym z pociągu, tylko jest tym jedynym samcem, o którym mówiliśmy jako dzieci, kiedy to pamiętasz: ta rodzina lisów w starym atlasie zoologicznym Domaniewskiego... — Genezyp nagle zgasł. Piwowarskie dzieciństwo przemknęło mu w pamięci złoto-czerwoną luną niepowrotności: smak cierpki jakichś gruszek, wieczorne bójki i matka, ta *inna*, święta męczennica ze swoją cichą wiarą w nieznanego katolickim dostojnikom Boga. (Wzrok Chrystusa zwiedzającego mennicę, gdzie się biją monety Państwa Kościelnego, lub patrzącego na ostrze halabardy (!) gwardzisty, strzegącego tronu Jego Namiestnika — nie wiadomo czemu teraz przyszedł mu ten grubo spóźniony i banalny obraz — aha — przecie doniosły dziś dzienniki, że nareszcie papież opuścił boso zbiedniały Watykan i wyszedł na ulicę. Ale dziś nie zrobiło to na nikim już wrażenia. Tyle poświęcono temu miejsca, co wiadomości, że Ryfka Zweinos ugryzła boleśnie swego narzeczonego z powodu ukradzenia zardzewiałej agrafki. Spóźnił się biedaczek). Straszliwe, bezpowrotne zmarnowanie tych chwil — tak jakby miały one być wieczne — ta rozrzutność, z jaką się rozprzestrzeniało koło siebie blaski wewnętrzne, jeszcze bydlęce, jeszcze niedoczułwieczone, a pełne aż bolesnego w swej niepochwytności uroku. Gdzież się to wszystko podziało. I naraz nowy błysk, twardy i ostry, taki nieprzyjemnie męski i wstrętawy. Kocmołuchowicz i wielkie zadania (mające na celu, w razie spełnienia, umożliwienie życia takim samym jak on, Zypcio, a może gorszym obwiesiom) majające niewyraźnie za dławiającym horyzontem narastających wypadków. Stłumiony grzmot przebudzał w oddali — nie w nim, tylko w samej bezimiennej, obcej już teraz i dalekiej, w każdym razie nie-ludzimskiej naturze. Tu byli tylko ludzie, oblepieni, ociekający wstrętnością nazbyt ludzkich spraw. I poczuł obrzydzenie do wszystkiego, do siebie i nawet do tej Nieznanej, co miała wejść tu lada chwila. Ona była też „nieczysta”, jak wszystko ludzkie, na tle niedosiężnej piękności wiosennej burzy.

Dzwonek rozświetlił się po korytarzach. Drugi akt, jeden z „aktów” samozgwałdzenia i samoskierdzenia się samego gnijącego wierzchołka zapadającej się w śmierdzące bagno społecznej doskonałości ludzkości. Weszła ONA. To samo zapadnięcie się pod siebie (zrobienie pod siebie całym sobą) co przy ujrzeniu pierwszy raz. Dotknięcie ręki przekonało go o tym, że to właśnie *to*. Aż po krańce wieczności dotykać choćby jednego kwadratowego centymetra tej skóry, nawet gdyby twarz była jedną ropiejącą raną — i więcej niech nie będzie nic. Pocałowałby ją w gnijącego nowotwora, ale nowotwora jej, z jej ciała wybujanego w anarchicznej żądzy wyrwania się spod praw normalnie funkcjonującego organizmu. Organizm — orgazm, wytryśnięty na jego pogniębienie z czeluści niebytu — orgiastyczna organizacja organów i komórek — ta nie inna — po co, psia-kość, po co? Można było żyć bez tego nie wiedząc, a teraz przepadło już na wieki. Zapadł się jeszcze głębiej pod dotychczasowe swoje ruiny (bo wszystko poszło w „drebieżgi”), a tam, nad nimi, w ciemnościach burych *psychicznej wietrznej trąby* wyłaniał się i konsolidował nowy gmach, ale złożony z samych tortur, jak z dziecinnych klocków, rogaty, kanciasty, najeżony tetraedrami z nieznanymi męczarni aż do siódmego potu. Przypomniała mu się poranna „śpiewka” kursowego oficera, Wojdałowicza, gdy już w butach mył zimną wodą

(jak większość wojskowych niestety) czerwoną, górną połowę ciała. (Na nutę *Alhaverdy*): „życie ach się składa z małych przyjemności i do potworności natężonych mąk — ledwie ach coś komuś dogryzie do kości, już się ach zaczyna nowej męki krąg”. Krąg nowej męki zaczął się. Od razu z punktu nie było w tym żadnej nadziei. Coś rozpaczliwie nieugiętego rozprężyło się we wszystkim, mimo iż wiedział, że się podobał i to nawet bardzo. A może właśnie dlatego. Tego nie mógł wiedzieć. Cóż mógł wiedzieć o dzikich psycho-erotycznych perwersjach wyrzeczeń, którymi oplaca się po tysiącokroć marną swędzeniową przyjemnostką. „Zabić, zabić” — zasyczało w nim coś i popęzło, a potem pomknęło dalej, jak przestraszony wąż niesłychanie jadowity. A potem zaczęło się w duchowych gąszczach i *krzakach*. Mignął w zatłoczonej pamięci roześmiany, rozchelstany potęgą pysk Kocmołuchowicza. Co to takiego? Boże! — Boże! — jeszcze coś przydusić, a będzie, tu, tu, na patelni przed nosem — jasnowidzenie. Ciśnienie w mózgu straszne — jak nigdy przedtem (i potem). Jak to kiedy dzieci się bawią: „ciepło, ciepło, gorąco, bardzo gorąco, parzy, ciepło chłodno, chłodniej, zimno”. Rozwiał się i nigdy już. Jedyna chwila minęła bezpowrotnie. Intuicja szallonego (przez trzy *l*) uczucia już miała dotrzeć do metalowej (z irydu) pestki prawdy w tym owocu, który kąsał bezzębną paszczą mózgu, owocu *calego* życia, ale się cofnęła. Nie w tym, kochanku (jakim przez Boga?! — Kto tu mówił o tym. Zdawało się, że *wszystko* krzyczy, że wszyscy o tym wiedzą, pokazują palcami, pękają ze śmiechu. Taka gnida, gorsza od samego Gnidona Flaczko), było zło (o tym — same okropności do końca życia — ach, ale później) — *ono było w niej samej*. Nie jako wielość — piramida „demonizmów” nieszczęsnych, tylko jako absolutna jedność, ta metalowa pestka nie-do-zgryzienia, zło niepodzielne, jedyne, chemiczny pierwiastek: „*malum purum elementarium*”, nawet gdyby była pielęgniarzką i całe życie poświęciła lizaniu czyichś ran. Zło takie zatruwa najlepsze uczynki, odwraca je na wywrót, czyni z nich zbrodnie. Taka mogłaby być kochanka duchowa samego Belzebuba. Zupełnie inaczej niż w tamtej, księżnej — tamta była biedna, zbląkana owieczka wobec tej, choćby nawet całe jej życie usiane było trupami okrutnie zamęczonych. Takie to są, panie dobrodzieju tego, owe jakościowe różnice. Jakże pogardzał teraz sobą, że mógł tamto, co było, za zło uważać. Taż to, panie, były barankowe przeżycia młodego solitera godne jakiegoś klasztornego braciszka. Nie można tak zła obrażać. I chciał się przecie ratować, wybrnąć z tego, a tu nowe okropieństwo tysiącokroć wyższego rzędu wyszło naprzeciw niego z uśmiechniętą twarzą najwyższego szczęścia. A może nie było to wszystko takie już bardzo straszne? Może inne kryteria — — — ach, dosyć. W każdym razie był w tym wyrok bezwzględny na niego, wydany przez przypadkowe sprzężenie wrogich mu sił. Ale jakich sił? Jasnowidzenie nie wróciło. Był pokonany zawczasu przez coś od niego „akurat” o głowę wyższego. Ale co, u cholery?! Nie była to przecież jej inteligencja. Sama hipoteza taka jest śmieszna. Po perspekacji księżnej mało kto mu tym właśnie mógł zaimponować. Nie — coś absolutnego na całej linii: zasadniczy sprzeciw i to (z góry wiedział, choć uwierzyć nie chciał) nie-do-pokonania. Ale w czym to było, na Boga, bo przecież wiedział, że się podoba jako ten zadatek na mężczyznę, którym jeszcze właściwie nie był. Powinien był od razu teraz wyjść i nigdy jej więcej nie zobaczyć. Mówił to wyraźnie jak nigdy dajmonion. Iluż nieszczęść uniknęliby ludzie, gdyby słuchali takich tajemniczych głosów, które zawsze na pewno prawdę mówią. To jest podstawa katolickiej teorii łaski: każdy na tyle zna siebie, że mógłby zawsze uniknąć pewnych rzeczy, w których *w ogóle* wola jego coś do gadania by miała. Ale został na swoją, a może i jej zgubę. (Straciła przez to część swej bestialskiej siły, którą mogła być w pewnej krytycznej chwili inaczej zużytkować — ale o tym później). „A może właśnie wyjdzie z tego coś dobrego?” — kłamał jak mały chłopczyk, naiwnie, bezpretensjonalnie. Łzy miał w gardle od kłamstwa, takiego dobrego, pocziwego. „Tak wszystko będzie jeszcze dobrze”. Ponury cień padł na roześmianą przed chwilą dolinę życia. Beztwarzowe postacie nienarodzonych złowróźbnych myśli czały się ze wszystkich stron. Na pewno wiedział, że tego czegoś nie pokona i z całą podwójną świadomością został.

— Zypcio tak strasznie się panią zachwycił — rzekła, zdlawionym przez treść głosem, Lilian. Miał wrażenie, że nie mówił nic, a mówił. Potem mu cytowano jego słowa: „...jest w niej „*rozpacz szczęścia*” tak straszna, że chyba ten, który ją kocha, żyć nie może ani chwili...” (Ach, prawda: Lilian występowała pod pseudonimem Mańki Bydlanej). „...Spalić się w jednej sekundzie z całą przyszłością, od razu, teraz — pęknąć w prawie-

-nieskończoności tej chwili, wyrzekając się w zamian za to całego dalszego życia. Ale śmierć za nic. Tym by się uczyniła ją jeszcze straszniejszą..." (ją — tę Zwierzontkowską).

— Nie powiedziałem ani słowa. Głupie gadanie. Nie cierpię teatru. Świństwo jest to wszystko — Słowa te padały jak granaty w bagno — nie wybuchwały, tylko pluskały bezsilnie świńsko. Persy uśmiechnęła się daleko, na ukos, gdzieś, gdzieś do innych światów, które miała, ha — w międzyczosie. Był w tym tak zwany „upór-międzynóz”, w analogii do narciarskiej terminologii Mariusza Zaruskiego. Weszła matka z Michalskim. Mieli łożę oddzielnie. Zypcio ze Sturfanem siedzieli przecie na parterze. — Czy mogę pani złożyć wizytę. — (Słowa te brzmiały tak śmiesznie nieprzyzwoicie, jakby mówił np. „chciałbym pani oficjalnie wpakować to w tamto”). — Chciałbym pomówić o Lilian —

— A nade wszystko o sobie, prawda? I o mnie, zbyt wiele o mnie. — (wciągała go z uśmiechem na dno nędzy). — Może się pan nie trudzić. Inni zrobili to za pana. Nudzi mnie to. Ale niech pan uważa: ja jestem złe ziele: mnie się nie zapomina. — (Gdyby wiedział, na jakiej podstawie opiera się jej pewność siebie i jak nikłe są jej doświadczenia, pękłby Genezyp tu w tej klitce, roznosząc cały teatr w drobniutkie kawałki. Posiniał tylko ze złości płciowej, purpurowej, plantowanej, glansowanej, glanspenisowej, wspaniałej. A potem na ponuro bardzo, już jakby rozkosz w nim „szła” bez żadnego onanizmu, podał się fiołkowej mgłę tych dziewczęco-belzebubicznych oczu. Był „gotów”). — Chociaż jestem bardzo niewinna — może za bardzo. — (w tym było rozkraczenie się nie do zniesienia dopingujące. Mówiła to przy tamtych zupełnie otwarcie. A na Sturfana nie miała żadnego „gryfu”). M-me Kapenowa wytrzeszczała oczy ze zdumienia. „Cóż to za poufałość?” Zypcio aż pozieleniał ze złości, wstydu i niesmaku. Nie wiedział, że ona właśnie była dobra w tej chwili = chciała go zniechęcić do siebie naprawdę i obrazić. Obraził się oczywiście bardzo, ale aż flaki stanęły w nim dęba z chęci walki: nareszcie znalazł coś godnego siebie. I momentalnie pokonał obrazę. Zaśmiał się rozkosznie, nieomal tryumfująco. Persy zmarszczyła brwi i zawzięła się troszeczkę w sobie. A on pod spodem nie miał już nic = zimno, pusto, wygnańczo czuł się razem z kupą niepotrzebnych już flaków, które ściągnęły się w bolesny, wstydlivy, aż nazbyt zbyteczny woreczek. „Co u diabła — będzie wojna, zginę i koniec”. Z sali doleciała fala nieprzyzwoitej, wstrętnej (koprofagicznej?) muzyki (to Tengier płciowił się instrumentalnie spuszczonej z łańcucha, w spuszczonej psychoportkach) i zaraz trzask oklasków. A przez dziwną perwersję, na kpiny z upadającego Kościoła, tytuły tych muzycznych interlubryków, drukowane w programach, były religijne, łacińskie nawet. Lecz co tam tytuł dzieła muzycznego ma wspólnego z jego istotną *muzyczną* treścią? Albo jest wybebeszaniem prywatnych przeżyć twórcy, które nikogo nie obchodzą, albo ma cel uboczny. Potem zagrano tegoż autora tak zwaną „wślinkę”, (coś w rodzaju uwertury ze śpiewami sprośnych podlotków i alfonsowatych dryblasów) już z nowego okresu kompromisowego upadku. Straszne spustoszenie czyniło w tym samotniku ze świata czystych dźwięków powodzenie w małym stylu. A do tego nowe dziewczynki, też nie bardzo wysokiej klasy. Stał się modnym jako erotyczny łup wśród potworków-*assorties* specjalnego chóru i baletu teatrzyku, prowadzonym przez straszliwą, podmamusiłą rajfurę, Manię Kozdroniową. Doszczętnie znużone pospolitymi bubkami „dziwki”, jak je po prostu nazywał, wyrzywały sobie wzajemnie niedosycony ochłap obrzydłego, rozszalałego nagle kaliki — bądź co bądź przez niego płynęły te potworne kombinacje dźwięków, którymi wstrząsał i rozedrgiwał ich ciała w niewiarogodnych figurach tańców, kompozycji lalusiowatego płasmistrza, wytartego, zgwałdanego brudem całego świata, Anestezego Klamke. Pod wpływem łaskocącej, budzącej *bezmierne* pragnienie *nieokreślonych* rzeczy muzyki (ale nie metafizycznie — artystycznie — wprost bebechowo) rozprężyły się w Genezypie wnętrza i mięśnie skuły się w rozkoszny, pełen żalu i życiowej oddali kłęb. Nie wiadomo nawet, czy była to przeszłość, czy przyszłość: aktualna dalekość wszystkiego, rozdzierająca nieznośnym cierpieniem niedościgłości samej w sobie. Nie odnosiło się to do żadnego określonego przedmiotu. Teraz Persy była w tym jako malutka pecynka. I tak ciągle — przekleństwo schizotymików. (Czytajcie Kretschmera, psie-krwie: *Körperbau und Charakter* — niech wreszcie ktoś przetłumaczy tę konieczną dla wszystkich [z wyjątkiem dla muzyków] książkę). Naprzód czy w tył — przeszłość czy przyszłość? I nikt nie wiedział już, kto kogo żałował. Nieuchwytnie trwało gdzieś jak tęcza wśród chmur i Bóg uśmiechał się łaskawie do wierzących, rozpylonym

promieniem słońca przez dziurę w groźnych obłokach. Ktoś mówił za Genezypa: słyszał swój głos obcy w wydrążonej, tykwiwej pustce:

— Będę jutro po dwunastej. Będziemy mówić o Lilian. O mnie ani słowa — pod tym warunkiem. Jestem tylko nędznym kandydatem na adiutanta generalnego kwatermistrza. — (Skąd znowu ten się tu zjawiał? Na chwilę Kocmołuchowicz przestał być dla niego posągiem Wodza na placu, jakby już z przeszłości, a stał się żywym człowiekiem, mającym brzuch, kiszki, genitalia, pełnym drobnostkowych wstrętnych pożądań — zmateriałizował się pierwszy raz w czysto-mało-życiowych, nie kwatermistrzowskich wymiarach). *Krwawy cień przemknął przez twarz Persy* — nie rumieniec, tylko właśnie *krwawy cień*. Ani przez głowę, ani przez jądra nie przeszło Zypciowi, że to właśnie może być jego rywal. W ogóle była to jedyna rzecz naprawdę tajemnicza, prócz „idei” kwatermistrza („*Idée fixe*, w tym wypadku „*Fide X*”) rzecz, o której wiedziało tylko paru ludzi, pewnych jak sama zasada sprzeczności. O tamtej nie wiedział nikt w ogóle, ani sam jej posiadacz. To ona była właśnie, „ONA” Wodza, ta jedyna, która i tak dalej.

Informacja: Sam Kocmołuchowicz nie chciał, żeby ona mieszkała w stolicy. Normalnie widywali się w celach erotycznych raz na miesiąc, wtedy kiedy ona itd. tzn. kiedy miała urlop czterodniowy w teatrze. Takie to były te okropne, te beztroskie, te diabelskie na wywrót zabawy kwatermistrza: zjadanie, to jest koprofagia, bicie rajtpajczą w goły — to jest — flagelacja, nieprawdopodobnie rozkoszne poddanie się władzy kobiecej (i to tej właśnie niewinnej dziewczynki) spiętrzające urok jej do zawrotnych wielkości — autoprosternacja. Ryk wścieklej bestii w liliowych szponkach spłciowiałego, delikatnego jak malutka muszka okrucieństwa. Szaleństwo takie, jak picie ze szklanki gotującej się lawy małymi łyżkami, malutkimi hauscikami. W tym było jedyne nasycenie i jedyne odprężenie tej strasznej w rękę Boga sprężyny, jaką był przeklęty Kocmołuch. Tym utrzymywał w sobie tę dziką, *istinno* ruską *biezzabotnost'*, której nie mogli się nadziwić militarni przedstawiciele dawno nie istniejących już reżimów i narodów. Niestety filia teatru Kwintofrona niemożliwa byłaby w stolicy, gdzie jednak dawało się więcej odczuwać ciśnienie komunistycznej mgławicy w zarodku. (Ciekawe było zwalczanie tej mglistej „jacejki” [pajęczynki pełnej jajeczek] przez komunistów całego świata. Mimo to coś tam puchło i chwilami bolało nawet, ale słabo). Może to było i lepiej ze względów osobistych („zużywania sił nasiennych na lepsze cele” jak mówi w *Nietocie* Micińskiego de Mangro — „rzadko, ale dobrze” było zasadą kwatermistrza — „szara materia jest jedna”), ale tam w stolicy odciążenie ogólne indywidualnych wybryków było stanowczo mniejsze. — Więcej fantastyki życiowej wchodziło jako takiej w samą Przenajświętszą Politykę. I tak za dużo szeptano o tym teatrze w sferach pułkownika Niehyda, brodatego mściciela wiecznie łakomych warstw najniższych. A zresztą gdyby ONA ciągle była z NIM, też to, panie, życie zmieniloby się w nieustający koszmar i cierpiałaby żona — Ida i córeczka — Illeanka. A on kochał je wszystkie trzy i wszystkie trzy potrzebne mu były jako podpory dla jego straszliwej fabryki sił do walki, raczej zmagania się z niewiadomym losem własnym i uosobionym w nim przeznaczeniem całego kraju. „Ach, znam was wszystkie trzy, jak stare suki, i ciebie też, *ma belle Zuzuki*” — śpiewał pięknym barytonem kwatermistrz w chwilach radości. Ta czwarta, to była ta wyśniona, nieznana: księżniczka Thurn und Taxis, jak ją inaczej nazywał „*Gafährlich ist zu trennen die Theorie und Praxis, doch schwer ist auch zu finden Princessin von Thurn und auch zu Taxis*” — śpiewał w towarzystwie sztabu Buxenhayna, rżąc z uciechy nieposkromionej. Mimo wszystko jasnym zdawało się dla wszystkich, że on jeden musi wiedzieć coś nareszcie, bo jakże inaczej po prostu, panie tego, więc co to ja chciałem powiedzieć — i dalej nic, tylko wybałuszone oczy, takie jakie widuje się u ludzi, pijących gorącą herbatę na stacji, gdy pociąg już ma odjechać. I to, właśnie to było nieprawdą. Gdyby wszyscy nagle dowiedzieli się, że tak

jest, cały kraj zmienilby się w sekundę w jedną masę płynnej zgnilizny, jak pan Valdemar w nowelce Poe'go.

Drugi i trzeci akt jeszcze gorszego „*biezobrazja*” i zgnębiony do samego zbolalego dna rozpalonych duchowych trzewiów Genezyp powlókł się z rodziną na kolację do pierwszorzędnej odżywalni „Ripaille”. Odchodząc, Persy powiedziała, że *może* przyjdzie. W tym „może” był już zadatek wszystkich tortur. Czemu może, czemu nie na pewno — psia-kość zatracona. Ze też nic nie może być takim, jak powinno! Wszystko spospolicało tak, że na nic wprost nie można było patrzeć: kelnerzy, wódeczki, zakąski, radość Liliany, uśmiech pół-zbolały a pół-radosny matki i egzuberantna radość Michalskiego. Na dobitkę księżna przywlokła swoich adiutantów ze sfer najwyższych — patrzyli na Genezypa jak na dziurę w serze i walili na czczo *szampanskoje*. Potworny „żał za beznadziejnie uciekającym życiem”, jak w walczyku Tengiera, wywrócił Genezypa (moralnie) twarzą do ziemi w ohydny, bydlęcym szłochu. Zaczął pić i na chwilę żal stał się pięknym i wszystko zdało się takim, jakim być powinno — jak plamy w idealnej kompozycji malarskiej. Ale zaraz potem zdławiła tę harmonię brutalniejąca łapa alkoholu. Zalewany wodą drab ze dna wstał, budząc się ze snu, i krwawymi oczami rozglądął się po sali. Życie szalało, tonąc w ponurej beźmyślności. Jeszcze chwilka, jeszcze chwilka, a potem niech choć 15 lat ciężkich robót. Płazie oko plugawej finansowej kombinacji zdawało się mrugać chytrze *całą salą* w gwiazdzistą po burzy noc. Pochłaniała nowe ofiary w swych brudnych objęciach zbiorowa świnia interesu, nowa obok-społeczna nad-osobowość, nie bacząc na cierpienia indywidualne swych elementów. Jej było dobrze — pasła się w kotłowisku brudów, żrąc plugawie drogie potrawy, zmieszane z drogimi materiałami, kamieniami i rozkoszą. Miękkie, chwytające za niezróżniczkowany kłęb najwyższej nieświadomionej metafizyki i najbydłęcześniejszej żądzy użycia, tony skrzypiec włóczyły brudnymi, cierpiącymi flakami po wypolerowanej posadzce pełnej zawrotnych esów-floresów wyuzdanych lśniących tydek i pantofelków i wstrętnych męskich najelegantszych buciorów i portasów. Świnia żarła. Tak było wtedy w „przedmurzu”, ale już tylko w pewnych najlepszej marki lokalach. Na Zachodzie nie było już tego wcale. O ile tam narodowość i religia zużytkowane zostały kiedyś jako kompromisowe tymczasowe motorki dla rozpędzenia maszyny faszystowskiej, z całą świadomością heurystyczności tych zamierających istności, o tyle tu, w „przedmurzu” były one tylko maską przedśmiertnego zażerania się Wielkiej Świni — pod ich pokrywką mogła jeszcze użyć w ostatnich drgawkach sprośnej agonii, zdechnąć z niedogryzionym ochłapem sterczącym z ryja. Używanie życia to dobra rzecz, ale jeszcze zależy od tego, kto i jak. Jeszcze w tej epoce mogło to być nawet czymś twórczym — (u pewnych wyjątkowych osobników oczywiście) — ale były to ostatki. Brr, brrr — dosyć, dosyć! Zdawało się że nie ma siły, która by to życie z marazmu wyciągnąć mogła. Zdawało się, że o tych kilku kelnerów i wyznawców życia samego w sobie rozbije się nawet sam mur chiński.

Zapomniał Genezyp zupełnie o istnieniu Tengiera: że to on był przecie twórcą tej muzyki, którą „okraszano” tak „hojnie” (tak pisane w afiszach) przedstawienia u Kwintofrona [Sam Kwintofron, chudzielec o blond-wąsach i cudownych błękitnych oczach, pił teraz szampusia z panią de Kapen i Michalskim, tłumacząc im istotę realistycznego deformizmu w teatrze.] i która dodała tak piekielnego uroku znikomości i niepowrotności, i tego charakterystycznego „darcia się w nieskończoność”, chwili poznania się z Persy. Był to przeciwny biegun życiowego działania muzyki w stosunku do tego momentu w szkole (Boże — jak dawno to było!), kiedy szczepił się Zypcio po raz pierwszy z duchem Wodzka. Gdy na salę wpadł wreszcie spóźniony Putrycydes (teraz naprawdę już zgniły), cała przeszłość buchnęła jak nieprzeźroczystry kłęb dymu z dna genezypiej istoty i rozwiązała się w ohydzie wykasetowanego stropu dancینگlokalu. Za tym dymem, z przerażającą jasnością, jak pejzaż na wojnie: skądinąd łagodny, a w chwili takiej na okropno dziwnie odmieniony, ukazało się tło dawnych zdarzeń, a na nim ONA, prawie tak okropna, jak wojenna rzeczywistość, narzucona na zwykły podkład planetarny codziennych spraw ludzkich. Z natężaniem zdolnym mur przewiercić patrzył, czy między wchodzącymi za Tengierem monstrami z teatru nie ujrzy tej, w której istnienie teraz prawie nie wierzył. Nic z tego — zatrzymały ją obowiązki wobec całego kraju, może nawet ludzkości całej, obowiązki nieomal kosmiczne. Tengier oświadczył, że Persy nie przyjdzie — migrena.

Interes, Oko, Bogactwo,
Uczta, Carpe diem, Zwierzę

„Nie mogła to zrobić tego dla mnie mimo migreny” — myślał w kółko na wpół zbaraniały Zypcio. O, gdyby mógł wiedzieć, co działo się w tej chwili (ten urok jednoczesności), w jaki sposób „*der geniale Kotzmolukovitch*” podtrzymuje w sobie właśnie teraz beztróską i szalą życia, toby spalił się w jednym wściekłym, bolesnym, onanistycznym orgazmie raz na życie całe. Zaczął słuchać rozmów poprzez przeźrocyste ściany żalu i rozpacznej ostatecznej.

Informacja: Mówiono rzeczy straszne. Śmierdzące ploty, wydobyte z najciemniejszych, najzatechlejszych łbów i zgniłych flaków, mających zastąpić zawędlę tzw. „serca”, ucieleśniały się, pęczniały i oblesniały w nieprzebitą realność wśród wódeczek, zakąseczek, w atmosferze beznadziejnego, samobójczego obżarstwa, opilstwa i objebdztwa, na tle omamiających, rozkładających wszystko w bezmyślną kaszę dźwięków śmiertelno-kloacznej, już nie normalno-bajzlowej muzyczki. „Wielka pizda” i „mały podchujek” wyły otwarcie w hypersaksofonach, tremblach, przytyngach, gargantuowypierdach i cymbalocinglach, skombinowanych z potrójnym organo-fortepianem, tzw. ekscytatorem Williama. Nieznacznie, podstępnie ciemne potęgi, gnilne bakterie społeczne, rozgnilały życie pod pozorami tężyzny, dobrego płytkiego chestertonowskiego humorku i radości z życia. A więc: podobno Adam Ticonderoga, starszy brat Scampiego, zginął z więzienia w stolicy. Uwolniło go trzech brodatych panów w cylindrach ze sfalszowanym rozkazem. Papier jednak zdawał się pochodzić z biur kwatermistrzostwa armii. Tu, jak zwykle (tak bajtlowały niemyte pyski), śledztwo odpadło, jak wilk od szyi psa z kolczastą obrozą — z kwikiem bólu. Kogoś potem bito w jakimś wychodku, na tyłach pewnego domu, w którym pewni ludzie odbywali sadystyczne orgie, przy pomocy pewnej specjalnej, pewno z Berlina, sprowadzonej maszyny. Ktoś z kimś miał pojedynek tajny (mówiono między najodważniejszymi, że sam kwatermistrz), wskutek czego podpułkownik Habdank Abdykiewicz-Abdykowski otruił się phymbiną w towarzystwie kochanki swej Nymfy Bydlacek z kabaretu „Eufornikon”. Te wiadomości przywiozła dziś właśnie oszalała z bólu i niepokoju księżna. Jedyne ratunek było pić, kokainować się, a potem kochać tego szczeniaczka jedyne, co teraz obcy, pijany, dumny i ponury siedział wwalony w jakieś niepojęte myśli, gdy ona była tuż przy nim taka bliska, dobra, kochająca i nieszczęśliwa. Biedny Adzio, jej ukochany „*little chink*”, jak go nazywano w domu. Nawet do niej nie mógł zajechać przed raportem, a zaraz potem zrobili z nim koniec „ci drianie” — (bo to było prawie pewnym) — ale kto — nikt nie wiedział. „Ho, ho, ho — żyjemy w niebezpiecznych czasach: tajnej polityki, „*lettres de cachet*”, bezprawnych więzień, czapek „niewidek” i dywanów „samolotów” — mówiły podejrzone figury. — „Zbyt pochlebne wiadomości musiał przywieść Ticonderoga o Chińczykach. Jakim cudem na tle takiego nastroju Dzewani, ten po Kocmołuchowiczu najtajemniczejszy człowiek na świecie, chodził swobodnie — co prawda to jeździł oficjalnie w lektyce, otoczonej pięćdziesięciu najwierniejszymi (ale komu?) lansjerami, nie „możono” (...gono?) się dość nadziwić. Niektórzy skrajni optymiści cieszyli się i zapowiadali cuda: — „zobaczycie — przychodzi nowy renesans obyczajowy — *les moeurs, vous savez*, zmienią się radykalnie. Przed wszystkimi wielkimi przemianami ludzkość zawsze cofała się do skoku” — gadali durnie, psia-krew. A tu — mówili zatruci jadem paszkwilarze i plotkarze — nikt nie był pewny dnia ani godziny. Najlepszy przyjaciel mógł dać cyjankali w paszteciku już przy zupie, a tu jeszcze tyle dań do końca obiadu i tyle możliwości przeniesienia się na „kosmate łono Abrumka”. Proszone objadania się stały się moralną torturą jak u Borgiów, bo parę jakichś politycznych śmierci zanotowano faktycznie po jakichś oficjalnych wyżerkach. Pewnie były to najzwyczajniejsze objawy przeżarcia się, przepicia lub też najprawdopodobniej zatrucia narkotykami wyższej marki, których z Niemiec dostarczano wprost wagonami, ale w tej atmosferze absolutnej niewiadomości tłumaczono sobie wszystko w jak

najokropniejszy w świecie sposób, powiększając tym panikę do *blado-zielonych rozmiarów*. Panikę, ale przed czym? Przed NIEZNANYM u władzy — pierwszy raz w historii, poza *oficjalną* ostentacyjną tajemniczością dawnych władców, od bóstw wprost pochodzących. Tutaj tych panów można było oglądać nieomal co dzień w najwykleszych okolicznościach, przy „pracy”, przy krewetkach czy karczochach, a nawet przy zwykłej marchewce, ubranych w standardowe marynarki czy fraki, można było z nimi pogadać o tym i o owym, o „kobietkach”, jak pisać lubił Stefan Kiedrzyński, można się było z nimi upić, wypić „na ty”, pocałować w dupę, zwymyślać i nic — i nic, i NIC. Nie wiadomo tylko, kim są *au fond*. „Kim są *au fond*, sami nie wiedzą” — (akcent na *q*) — śpiewano blednąc. Cień tajemniczości kwatermistrza padał też na nich. Jego to tajemnicą świecili fosforycznie jak widma, niby to należąc do Syndykatu Narodowego Zbawienia. Sami w sobie byli zdaje się normalnymi „państwowymi pionkami”, doskonale skonstruowanymi maszynkami. Ale ten demon (dla tłumu) wypełniał ich nadmiarem swego farszu, nadziewał jak paszteciki i puszczał w makabryczny taniec przed oszalałą ze sprzecznych uczuć gawiedzią. „*Kto był rząd*”? — takie pytanie słychać było zewsząd — niegramatyczne, a logiczne jednak. Mówiono o tajnych konferencjach Kocmołuchowicza z Dżewanim, o czwartej nad ranem, w czarnym gabinecie; mówiono (ale to już pod kanapą, pod kokainą, na ucho), że Dżewani jest rzeczywistym tajnym ambasadorem Zjednoczonego Wschodu i że o ile młody Ticonderoga cuda opowiadał o doskonałości wewnętrznej organizacji Kraju Czinków, o tyle odradzał stanowczo naśladowanie systemu tego w kraju, jako dla rasy białej nieodpowiedniego i stanowczo również błagał o niedopuszczanie do poufalości nieoficjalnych wysłanników (czyli macek) Wschodu, w postaci rozpowszechniciele usypiającej rozum religii Murti Binga. Był za bohaterką polityką „przedmurza” (za tzw. „przedmurzymem”) i przepadł jak kula w bagnie. Ale przecież za tą polityką byli wszyscy, cały rząd — więc o co chodziło właściwie? Ale kto to byli ci panowie: ten Cyferblatowicz, ten Boroeder, ten Koldryk wreszcie? Mityczne postacie — a ktoś za tym stał jak mur — „ale w jakim celu, w jakim celu?” — szeptała z przerażeniem cała Rzeczosobliwa Polska. [Cel był sam w sobie — historyczne konsekwencje sprzeciwiania się zawsze najlepszej w danej chwili idei, skumulowane w człowieku duszącym się od nadmiaru siły, których zaprząć nie mógł do szarej, codziennej pracy — a reszta to przypadek, że właśnie wszędzie był komunizm, że Chińczycy następowali, że wreszcie ludzkość zechciała przestać żyć w demokratycznym kłamstwie, i tak dalej i dalej]. Zdawało się, że natężenie czyjejs widmowatości jest wprost proporcjonalne do wysokości zajmowanego przez niego stanowiska. Ale nawet przeciwnicy obecnego kursu rozumieli, że ten „przedmurzym”, oparty na fantomach w rządzie, był jedynym kierunkiem, za cenę panowania którego egzystowało się w ogóle w tym spóźnionym stadium społecznym na tej planecie. Rządził nominalnie Syndykat, ale niektórzy twierdzili, że słuszność miał psychiatra Bechmetiew, według słów którego „*proischodit procies psiewdomorfozy*” i że właściwie stanowiska zajęte były nie przez rzeczywistych członków Syndykatu, tylko przez postacie podstawione. W biały dzień na zwykłej wstrętnej stołecznej ulicy miało się wrażenie dziwnego snu: zachwiane poczucie czasu i sprzeczności na każdym kroku, było przyczyną, że najnormalniejsi ludzie wyzbywali się co prędzej swojej rzeczywistości, jak pozbywające się wszystkich stałych elementów życia osobniki przed jakąś wielką katastrofą. Tylko tu uchodziła przez wentyle strachu sama najistotniejsza treść duchowa, „wypśniwały się” jak migdały z lupinek same pępki osobowości, niektórych nawet do niedawna wspaniałych. Za to życie wewnętrzne bezwzględnie bardziej było urozmaicone nawet, niż w pierwszej połowie XX wieku. Ten proces zaczął się niedawno, ale potęgował się z szaloną szybkością. A kto był tego wszystkiego sprężyną, nie wiedział nikt. Bo kwatermistrz przecie, zajęty tylko armią, nie mógł mieć czasu na takie zabawki jak tworzenie nastroju

— od niego oczekiwano czegoś, ale nie wierzono, żeby on już coś zaczynał. Miało się wkrótce okazać zupełnie co innego. Tworzył się powoli nowy tajny rząd pod maską obecnego, a prasa Syndykatu (zresztą prawie jedyna w ogóle, jaka istniała) wmawiała wszystkim, że o zmianie gabinetu nie może być mowy, że wszystko jest w największym porządku. Nigdy nie było jeszcze takiej zgody między Sejmem a Rządem jak obecnie, ponieważ, na skutek kolosalnych sum zagranicznych, zużytych na wybory, sejm składał się prawie wyłącznie ze zwolenników Syndykatu, a zresztą stale znajdował się (na wszelki wypadek, dla wszelkiego bezpieczeństwa) na wakacjach, z czym się sam zupełnie zgadzał. Cała walka kwatermistrza z Syndykatem odbywała się tylko w jego mózgu i w paru mózgach najwybitniejszych zaślepieńców Narodowego Zbawienia. Dla ogółu była absolutną tajemnicą. Organizowano siły po obu stronach, nie objaśniając niżej postawionych osób co do głębszych celów i zamiarów. Dziwiono się później, jak to w ogóle było możliwe. Na tle ogólnego oglupienia było to zupełnie wykonalne, czego dowodziły fakty. Fakt to wielki pan. Bądź co bądź paru wybitnych zagranicznych uczonych (socjologów, nie mających nic wspólnego z polityką) zaznaczało nieśmiało w jakichś notach i przypisach do innych tematów, że tak dziwnej sytuacji, jak obecnie w Polsce, nie było od czasu ekspansji pierwszych chrześcijan. Cała np. dyplomatyczna „kanitiel” z ościennymi i dalszymi nawet państwami odbywała się w sposób tajny, bo oficjalnych przedstawicieli nikt u nas nie posiadał. Ostatni węzeł z komunizmem, i to żółtym, Ticonderoga, był rozwiązany. Ambasador chiński odjechał już pół roku temu, tajemniczy jak 40000 bóstw Kantońskiej świątyni.

W nastroju pod psem i z takimi wiadomościami przyszła na kolację księżna, spląwwszy gdzieś po drodze Piętańskiego. Obecność jej była torturą dla Genezypa. Wiedział, że cokolwiek by nie uczynił, nie ominie go dzisiaj ta „*notte di voluttà*” à la *d'Annunzio*, której wcale nie pragnął, przed którą, na tle ostatniego kudefudru, odczuwał nieomalże zgrozę. I właśnie dziś będzie musiał ścisnąć i miętosić to biedne, wstrętne dla niego, rozpustne cielsko, będzie musiał i koniec — to dziwne — a co dziwniejsze, że pożądał tego: nie jej samej, tylko faktu jej posiadania. To różnica, to gruba, piekielna różnica — działał jad przyzwyczajenia. I tak się też stało. Takie rzeczy wcale nie działają dobrze na początkującego bzika.

Tengier, dziwnie nieprzyjemnie podniecony, przywitał Zypcia z roztargnieniem. Pierwszy raz w ogóle miał posadę, pierwszy raz był „czymś” (o nędzo!) i kosztował małymi łyżkami lurę marnego powodzenia. Pierwszy raz również, poza dziecinnymi próbami w konserwatorium (które skończył jako przyszły organista w Brzozowie), próbami, zatłamszonymi przez zawistnych, pozbawionych inwencji i świeżości rywali, słyszał sam siebie w orkiestrze — nędznej, ale zawsze. Tylko, że nie była to prawdziwa premiera poważnej twórczości, raczej ochłapki wypocone z „tricków”, zdobytych w tamtej, istotnej sferze, produkowane dla zabawy „muzycznej hołoty”, której nienawidził. Była to właśnie ta do głębi wstrętna mu klasa „wyjącego psa”. Ale o ile dawniej pies wyl do sentymentalnego księżycy, o tyle teraz, aby go do wycia pobudzić, trzeba było mu w nos dmuchać, deptać go po ogonie, a nawet nadpruć trzewia. Mimo że było to bądź co bądź (nawet przy pewnej swobodzie podpuszczania muzycznych wytworów najdzikszy oryginalnym sosem) miejsce kompromisowe, upadkowe, Tengier puszył się tym bardzo wbrew sobie i cierpiał nad tym puszeniem się potajemnie. Dotąd strzegł się wszelkich uzgodnień z wymaganiami chwili i zmiennym gustem „wyjącego psa” nawet w tytułach swoich kompozycji. (Pojmowanie bowiem danej rzeczy przez to bydlę zależne jest w $\frac{9}{10}$ -tych od tego, co „stoi” w programie i co o danym artyście piszą jakieś nic nie rozumiejące powagi). Niósł wśród gęstniejących zwalów wyższego rzędu potworności życiowej (wynikającej z konfliktu artysty ze społeczeństwem) swoją własną artystyczną niezależność w tryumfie przed sobą. To dawało mu ciągle poczucie własnej wartości, którym urzynał się jak podłą wodą. Nie był to jednak narkotyk szlachetny — co innego, gdyby nie był kaleką, — wtedy byłoby to wszystko czystym, bezzużytecznym i idealnym — tak stało się tylko pokrywką, przykrywającą wewnętrzne wstrętności — owrzodziły zadek pokryty

brabanckimi (koniecznie) koronkami. Była to jedna z tych tajnych plugawostek, o których prócz niego nie wiedział nikt. Nawet posążeń swych co do takich rzeczy u innych nie zdradzają normalni ludzie, aby na tym tle ktoś inny ich samych o coś podobnego nie podejrzwał. Bo skądże by mógł znać tak ukryte i wstydlive mechanizmy, jak nie z własnej psychologii? To są najbardziej tajemnicze z życiowych tajemnic, będące czasem istotnymi sprężynami nawet wielkich czynów wielkich ludzi. Bądź co bądź chałupę i grunt miał. Ale co by było, gdyby nie było nic? Tego nie starał się nigdy zanalizować. Do jak głębokich upadków z wyżyny czystej sztuki byłby zdolnym wtedy? I teraz, na zaświnione obszary płatnego „muzykanctwa”, tamte myśli wypełzły jak głodne gady czy robaki. I na całą twórczość dotychczasową padł złowrogi retrospektywny cień. Spręzał się w nagłych buntach przeciw tym myślom, w obronie ostatniej możliwej formy istnienia — bo teraz nie mógłby już powrócić na ludzimierskie „pielesze” i wyrzec się tego „tarzania się” wśród dziewczęcych psycho-fizycznych pokurczów chóru Kwintofrona. Za to teraz właśnie stworzył to wszystko, na co nie miał dotąd siły i odwagi: ten kompromis stanie mu się odskocznią do tego ostatecznego skoku w głębowyż Czystej Formy, tym usprawiedliwi życiowe świństwo, w które zabrnąć musiał. Niebezpieczna teoria artystycznego usprawiedliwiania życiowych upadków czepiła się jego mózgu jak polip. Przypomniało mu się zdanie Schumanna: „*Ein Künstler, der wahnsinnig wird ist immer im Kampfe mit seiner eigener Natur...*” coś tam *niederge* — a, mniejsza o to. Ale nie — jemu nie groził obłęd. Pogardzał tymi flakami, którzy śmieli mówić o jakichś „*rançons du génie*”. A może nie był geniuszem? Nie analizował nigdy istoty tych głupich, sztubackich klasyfikacji, ale czuł swoją wartość nieomal obiektywną, kosmiczną ważność (czy co u licha), kiedy czytał nocami swoje partytury, wiedział o tym na zimno, nieosobowo, jak gdyby chodziło tu o drugiego człowieka, a nawet rywala. Zazdrościł sam sobie, że drugi raz nie można już tak samo; doznawał tego charakterystycznego nieomylnego piknięcia pod sercem, od którego nawet najbardziej niezazdrosne natury wolne nie są. „Hej!” (właśnie w tym miejscu musi być to nienawistne „hej”) — „gdyby to tak usłyszeć w wielkiej orkiestrze newyorskiego Music-Palace’u i widzieć wydrukowane czarno na białym (a nie w „pośmiertnych” własnych gryzmołach) w Cosmic-Edition Havemeyera! „Niech sobie te „ślachcice” wariują — ja nie. Mogę, ale nie koniecznie — jak będzie trzeba”. Jakkolwiek matka była szlachcianka, (tak „jednak drobna”, że praktycznie chamom równa), mówił to z prawdziwym humorem. Jedną zaletę miał Tengier rzadką niezmiernie: zupełnie wyzbyty był arystokratycznego snobizmu. Teraz, na tle marnych powodzeń, poczuł się mimo wszystko na wstępującej części życiowej sinusoidy.

— Jakże moja muzyczka? Co? — spytał księżnej, zabierając się bez ceremonii do gór całych ulubionego od niedawna majonezu z niezmiernie prawie drogich, niebieskich fląder. Irina Wsiewołodowna, wciągnąwszy w lekko spuchnięty nos kilka decygramów coco, na tle widoku ponurego swego medium, niezawodnego dotąd Zypulki, odzyskała znów dawną beztroskę — „*tryń trawa, morie pa kalienda*”. Zdecydowała się, że ginie i odtąd wszystko przestało ją obchodzić. A przy tym po rozmowie z pewnym adiutantem Dżewaniego, który obiecał jej dawkę dawamesku i szereg rozmów dalszych, poczuła w sobie coś nowego: mały świetlisty punkcik, który jednak blaskiem swym rozjaśniać zaczął trochę ponure zwały nadchodzącej starości. Ten punkcik świecił wtedy, kiedy było najgorzej, i (o dziwo!) stawało się wtedy trochę lepiej, w innym wymiarze, ale lepiej. Łzy podchodziły pod gardło i wszystko zdawało się nabierać jakiegoś bliżej niewytłomaczonego sensu. Wielka gnęba lżała.

— Cudowne! — odpowiedziała łypiąc niespokojnie turkusowymi gałkami, które coraz bardziej wypełniały czarne otchłanie rozszerzających się źrenic. — Muszę ci powiedzieć, Putrysiu, że pierwszy raz właściwie byłam zachwycona. Tylko zanadto wybija się pan na pierwszy plan. Musi pan więcej ilustrować to, co się dzieje. Pana muzyka rozprasza akcję na scenie.

— To tylko pierwszy raz. Nigdy jeszcze nie popełniałem takich świństw. Ale chciałem pokazać tym jelopom — bo widzieliście, że cała krytyka i szlachetni koledzy byli w komplecie. — Otóż chciałem im pokazać, co umiem, a na to musiałem się trochę wybić, bo w powietrzu tej mojej wiedzy pokazać nie mogłem. Oni nie lubięją — (tak mówiono w Brzozowie) — mnie słuchać, ale jak już nie mogą wytrzymać i muszą, bo ich ciekawość zła rozpiera, to potem dużo uczą się biedactwa. Za ½ roku zobaczycie wpływ mojej

pracy w tej norze na całej oficjalnej muzyce kraju. Już dziś było paru panów ze stolicy; Prepudrech młodszy i dyrektor Najwyższej Akademii Muzycznej, sam Artur Demonstein — no ten może najmniej jest niebezpieczny, ale nade wszystko Szpyrkiewicz i Bombas. Ha, muszę się przyznać, że się cieszę. I cała ta hołota, z wyjątkiem Arturka, pękała niby ze śmiechu, a wewnątrz była bardzo niespokojna i skrzętnie notowała pewne rzeczy, o których ja jeden wiem tylko. Pozornie to detale — ornamentacja, jak oni lubią to nazywać. A mówią tak, aby zlekceważyć tę właśnie dziwność całości formy, która jest zastygniętą materią samego jądra rzeczy i której oni wymyślić nie mogą. Ha, ha! Bomhasa złapałem w drugim antrakcie w pisuarze z nutowym notesem w ręku. Zmieszał się i bąkał coś o prostopadłych kwintach. Mam drania w pierdofonie... —

— Niech pan nie pije za dużo, mój Putrysiu. Pan chce połknąć życie z kopytami na surowo jednym łykiem. Udławi się pan, albo zerzyga, mówiąc pańskim stylem jak Alfred de Musset lub Fiodor Jewłapin. Trzeba trochę przebierać, będąc nawet tak wygłodniałym jak pan. Panu by trzeba najprzód jakąś psychiczną lewatywę ze słonecznikowego duchowego oleju zrobić, jak tym głodomorom spod Bieguna. Pan jest pełen życiowych koprolitów, ha, ha, ha! — śmiała się nienaturalnym kokainowym śmiechem. Hamulce przestały działać.

— To pani jest jednym z nich — niech Irenka będzie spokojna i nie kropi za dużo koko, a nade wszystko nie nadużywa samej siebie — bo potem będzie można wjechać karetą w sześć koni i frajdy żadnej. — (Genezyp poczuł się po prostu przyrzędem — chciał wstać — zatrzymała go straszliwa w swej miękkości łapka: „będzie obłapka, będzie” — mówił w nim jakiś głos niezbyt nawet tajemny. Nie pomogą wielkie miłości. A zresztą tamto i tak jest beznadziejne — poddał się). — Mam śliczną dziewczynkę upatrzoną. Prawie gotowa — na gotową kobitę pojechał do K. — jak to pani mówiła — i to wielbicielka. Oddała się moim dźwiękom — jak i tamte — podnieca to je właśnie, że takie dźwięki przepuszczone są przez taką pokrakę jak ja — daje im to nowy wymiar tajemniczości erotyzmu. Ha, gdybyście wiedzieli, co ja myślę wtedy. Co za amalgamy ja robię — *ekskrementale Inhalte mit Edelsteinen zu neuen Elementen verbunden* — wśrubowuję się całym sobą w same genitalia tajemnicy. Żona pozwoliła oficjalnie — ja jej też — robimy próbę małżeństwa w nowym stylu.

— Jest pan zawsze naiwny, jak małe dziecko, Putrysiu. Połowa kraju, jeśli nie $\frac{3}{4}$, żyje w ten sposób. Nareszcie dotarł do nas naprawdę wpływ francuskiej literatury sprzed lat stu. Ale głównie chodzi o to, czy pan też żonie swej daje zupełną swobodę? Bo tego byle kto nie potrafi. Mój Diapanazy jest prawdziwym wyjątkiem pod tym względem. — Przez twarz Tengiera przeszedł zakrwawiony półcień, ale szybko znikł wchłonięty, jak przez gąbkę, przez bezczelniejące gwałtownie „oblicze”.

— Oczywiście — zagadał szybko z fałszywą radością. — Ja jestem konsekwentny. Za miesiąc będzie to „pierwsza granda w R. S. K. — że to, mówię wam, hrabiowie nie hrabiowie —” — jak mówił brat doktora Judyma. Mijam się z kochankami w przedpokoju i nic sobie z tego nie robię. Swoboda to wielka rzecz — za nią można zapłacić nawet tym głupim fikcyjnym mężowskim honorem. Śmieszne jest tylko, jeśli się jest okłamanym — ja wiem i mam to w pierdofonie — zakończył swym ulubionym powiedzeniem.

— Ale nie będziesz miał wszystkiego tam, jak nie będziesz wiedział, kiedy ci żona pójdzie na utrzymanie tych frantów, a z nią i ty, genialna kukło — powiedziała księżna z nagłą powagą.

— Ja, ksiąginia, jestem prowincyjał — no cóż? — pierwszy raz jestem od dwudziestu lat w mieście naprawdę nie przejazdem — ale na tyle głowy mam, żeby wiedzieć, gdzie się zacznie ta granica.

— A gdzie to się zacznie — to ciekawe — od kwiatów, cukierków, pończoch czy bucików... — Tengier huknął pięścią w stół — ponosiła go już świadoma genialność, zmieszana z świetną dzikowską wódą i uratowanym od niedawna honorem samca.

— Milcz książęca kurwenalio — (adiutanci księżnej śmieli się „do rozpuku”. obrażać się na artystę? — nonsens.) — workowata samico elementala — taki elementaler zrobiłbym z twego mleka i popijał go słynnym piwem Kapenów. A pani — zaczął z nagłym olśnieniem jasnowidztwa w oczach — trafiła na swój numer. Ten Zypcio da pani prażonego bobu. Tym bardziej, że tu jest dla niego kąsek — ta mała reżyserka, co mu sio-

strzyzkę na potwora wy kieruje. Dla mnie to za wysoka marka, ale on da radę. Bo wicie, że tu muszą wszyscy spotwornieć — zagadywał, zobaczywszy u Genezypa odruch dość wiele stosunkowo mówiący. Ni mniej ni więcej schwycił Zypcio ciężką butelkę komunistycznego burgunda i zakręcił nią w powietrzu, oblewając sobie kark i perłową suknię księżnej. — A ty, Zypek, odstań — wiesz, że ci dobrze życzę. Czyż nie trafiłem? — księżna obezwładniła kochanka metodą dżdżitsu.

— Pan zapomina, że ja za trzy miesiące będę oficerem i o tym też, że pan jest kaleka. Wiele wybacza się kalekim geniuszom, ale lepiej stop. Nieprawdaż? — Zypcio wytrzeźwiał zupełnie wskutek gniewu i zdawało mu się, że unosi się ponad stołem zawalonym drogim żarciem i ponad światem całym. Trzymał w ręku sam centr przecinających się sprzecznych sił — miał złudzenie, że wolą swą mógłby planety puścić w odwrotnym kierunku i każdego żywego stwora przekształcić na obraz i podobieństwo swoje. Rzeczywistość wzdymała się ku niemu, płaszcząc się jednocześnie i pokornie wijąc — czuł jej oddech, gorący i cuchnący (trochę) chuch i słyszał mlask niepojętych jej organów. „Kiedy bo z tym nasycaniem się rzeczywistością to jak z kobietami: nie można utrzymać się ciągle na tym samym miejscu: trach i wszystko się kończy. Niedoścężność nawet najpiekielniejszych orgazmów: psychicznych i fizycznych. Nakręcana sprężyna przekręca się i trzeba zaczynać na nowo i tak bez końca, aż się całkiem odechce. Prawo to jest metafizyczne”.

Księżna z podziwem patrzyła na kochanka. Nigdy nie był jeszcze w tym stopniu dorosłym. (Piła coraz więcej, na przemian z kolosalnymi dawkami „coco” i piękność Zypcia rozrywała jej wnętrzności okropnym bólem niedoścężności wszystkiego). Pod wpływem tej kombinacji podobał się jej coraz straszliwiej, niepojęciał i jedyniał z każdą chwilą coraz potężniej. Rozlazła, rozplaskana, jak jedna wielka rana wywalala się przed nim, obwijając go spuchniętymi, obolałymi od wypięcia tele-mackami. Tengier z Zypciem wypili „na ty”. Atmosfera na sali stała się naprawdę orgiastyczna. Wiew rozpalonej nieskończoności ogarnął nawet zwykle bydlęta ludzkie. Wszyscy zdawali się tworzyć jedno dobrze znające się towarzystwo, przepojone podświadomym poczuciem dziwności bytu. Zaczęło się przelażenie pojedynczych orgiastów do obcych stolików — osmoza wściekłych bebeczków, poprzez błony towarzyskich przesądów i klasowych zastawek. (Faktycznie są podobno takie chwile na dancinżach nad ranem). Sturfan upojony tryumfem swojej sztuki (którą programowo na obstalunek dla tej świni Kwintofrona napisał) puścił się z Lilianą w tak zwane „tany”.

— Zatańczymy, Zypulka? Co? — Tak powiedziała księżna, głosem tak ssąco-tloczącym, jak pompa transoceanicznego parowca. Nie wytrzymała stara, gdy malajska muzyka (złożona z najwierniejszych wyznawców Murti Binga) urżnęła potwornego „wooden-stomacha”. Zypcio nie wytrzymał też. Tańczył, zgrzytając zębami i mimo wszystko pożądał jej, tej właśnie klempy, a właściwie wcielonego w nią wyższej marki płciowego jadu, obalwianiającego narkotyku, w który to monstrum erotyzmu zmieniało każdą najbardziej nawet niewinną pieszczotę. I gdyby wiedział, co się działo w tym samym gmachu, w pewnym specjalnym gabinecie od tyłu... I ONA z kwatermistrzem... (Zaiste był Kocmołuchowicz mistrzem w tej kwaterze, mistrzem najbardziej upadlającej perwersji, która dopiero dawała mu wymiar prawdziwej wielkości w tej drugiej, historycznej części życia. Specjalne „menu”, a potem jalapam... ona... jądra małp Dżoko w makaronie z jajowodów kapibary, posypane tartymi koproliłami marabutów, karmionych specjalnie turkietańskimi migdałami. Kto za to płacił? ONA SAMA — ze swej pensji u Kwintofrona. W tym był szczyt upokorzenia. A czymże są najpiekielniejsze nawet wymysły ciała bez tej diabelskiej przymieszki specyficznych stanów ducha, które tylko pewne osoby wzbudzić umieją. Najdziksze sztuczki byle kurwa potrafi, ale to nie to). Ach, gdyby to wiedział Zypcio, toby może naprawdę poszedł tam i roztraskał butelką burgunda beztroski łeb swego najwyższego idola, a potem zniszczył i ją, i siebie w jakimś hypergwalcie, jakiego nie znała dotąd ziemia. [„I czy nie szkoda, że takie rzeczy, przynajmniej w tak wczesnych stadiach rozwoju danych indywiduów, nie przytrafiają się częściej? Czyż ogólny „tonus” całego społecznego organizmu nie byłby więcej natężony? Może *wszędzie indziej*, ale nie u nas. A czemu? Bo jesteśmy rasą kompromisarzy we wszystkim. I może Chińczycy po nas przejdą tak jak niegdyś przewalały się przez inne narody hordy Kublaja (?) czy Dżyngischana, a my odegniemy się (ale nie odgięciem siły, tylko miernoty) i wrócimy znowu do naszej mdłej, pocziwej, kłamliwej demokracji” — tak mawiał nieśmiertelny

Sturfan Abnol, jedno z najbardziej trujących bydląt naszych czasów. Że żył dotąd wśród tak natężonej ogólnej nienawiści, było jednym z cudów tej niezapomnianej epoki, który jednak mało kto należycie doceniał. Potem za to po jego śmierci już w tzw. „okresie złotym” piśmiennictwa polskiego, dawno po tresurze chińskiej, pisano o tym całe tomy — całe tabuny gnilnych pasożytów i hien literackich żywiły się jego duchowym ścięciem aż do zupełnego przesytu]. O, gdyby to można jednocześnie w jakimś telekinie oglądać: tu nocne ćwiczenia oszalałych z uwielbienia konnych artylerzystów, zdeklanszowane tylko co przez Wodza; tam posiedzenie rady trzech (trójwidmia, które niejedną zjawę na porządnym seansie zdystansować by mogły); tu szwargotowe konszachty finansowych przedstawicieli Zachodu z Jackiem Boroedrem, a tam wielkie X tego różniczkowego równania z pochodnymi wszystkich rządów, nurzające się w najszałemym, najświętszym prusko-francuskim wyuzdaniu z jedną z najczystszych kobiet w kraju, która uważała się już chwilami za jakąś nową Joannę d’Arc, tak jej przewrócono w małym babskim mózdzku ciągłymi adoracjami i to w najściślejszym kółku najwierniejszych tak zwanych „druhów” kwatermistrza. A tak wmówiła jej pewna klika to poświęcenie dla dobra „ojczyzny”, że nie było innej rady, jak oddać ciało na pastwę temu straszliwemu skrzydlatemu bykowi, którego samo zbliżenie się napawało ją bezdennym przerażeniem. Ale móc się *tak* bać było też szczęściem swojego rodzaju. A tu wszystko działo się na odwrót, całkiem inaczej niż wszędzie, tam, po szkołach, ministeriach, zawodowych radach i tym podobnych nudnych instytucjach. To on się tytał przed nią — o, rozkoszy...! W okresie wahań kwatermistrz szalał i czasem ośmnastu adiutantów musiało go gwałtem trzymać w czarnym gabinecie i szły bez końca całe kubły wody z lodem, znoszone przez przerażonych ordynansów. (Wypuszczony wtedy dopiero by narobił bigosu!) „Chce pani, żeby największy mózg obecnego świata zgnął w słoju jakiegoś komunistycznego psychiatry?” — (mówił pułkownik Kuźma Huśtański). „Chce pani, żeby na pani sumieniu był nie tylko los tego geniusza, ale całego kraju, a może i świata?” — (mówił sam Robert Ochłuj-Niehyd w chwilach nawróceń — a może całkiem inne myśli miał — czort go wie...). „Jak jego zabraknie, moja Persiu — (mówiła znana z niezłomnej dyskrecji ciotka Frągorzewska) — to co się stanie z bezświadomym ciśnieniem ciemnych potęg. Ty jedna możesz rozplątać ten bolesny splot zbuczonych sił i dać mu jedność w wielości bezpośrednio — w twoich wiotkich objęciach tylko może spocząć bezpiecznie ta piekielna sprężyna — ty ją możesz naoliwić i zmniejszyć ból spieczonej żarem niedosytu duszy. Ty jedna możesz go po prostu wypatroszyć twymi ślicznymi paznokietkami”. To wszystko sprawiło, że dziewczeczka ta, czysta w istocie swej jak lilijka, robiła już od paru miesięcy rzeczy coraz niewymierniej potworne i to z coraz większą przyjemnością. I teraz właśnie stawała się ta „rzeczywistość” z najwyuzdańszego snu naprawdę, o parę pięter i korytarzy stąd, tu, w tym gmachu. Owiewała ICH dwoje ta sama (tylko trochę stłumiona) rozkładająca muzyka, co ten kłęb wcieleń Wielkiej Świni i biednego Zypulkę. Oni też byli jednym z nich — może największym. Tylko że proporcja „produktów drugorzędnych” (bitew, reform wojskowych, czynów społecznych, bohaterskich „wystąpień”, politycznych „tricków”, np.) (bo czymże innym są te rzeczy dla kobiet?) była inna. Wszystko usprawiedliwić można wymiarem, prócz głupoty i tchórzostwa.

Zypulka dusił się ze sprzeczności, przechodzących wszelką miarę: ta matka, z lekka na dystyngowano podpita, prowadząca subtelne rozmówki z dawnych czasów z Michalskim, i Lilian podniecona występem aż do bzika i wyraźnie świadomie doprowadzająca Sturfana Abnola do szału, to wszystko razem w atmosferze dancinowego płciowego bigosu, i strach przed spotkaniem któregoś ze szkolnych oficerów, na tle widoku tego cielska, w którym utopił jak w bagnie wszelką możliwość czystej pierwszej miłości — ha, Zypulkę diabli już powoli brali — „byli za mali, by duszę moją brać, a brali” — przypomniał sobie dziecinny wierszyk Liliany. „Wyrwać się stąd — z dała od tych babskich problemów, rozwiązać siebie” — ale gdzie? — poczuł się więźniem. „A może właśnie ta bestia da mi siłę do zdobycia tamtej?” — tak brzydko myślał ten wstrętny dzieciak, zakochawszy się dziś po raz pierwszy. Teraz wiedział już na pewno, że nic wyższego ponad to nie będzie, że właśnie stoi na najwyższym punkcie paraboli życia, na szczycie swego istnienia. A szczyt ten tonął w śmierdzącej mgłę przyziemnego brudu życiowych nizin, a daleko wwyż, w niewymierzalnej wysokości nad nim, piętrzyły się prawdziwe wierz-

chołki ducha: Kocmołuchowicz, Boroeder, Kołdryk i *prawdziwi* oficerowie chińskiego sztabu na ruinach carskiego po raz drugi Kremla. Gdzie jemu do nich! Nawet gdyby 300 lat żyć mógł na tej galce. A apetyt i ambicję miał na miarę prawdziwego tytana. Teraz się w nim to rozpalilo — tu, w tym bajzlu. Młaskanie żrącej świni boleśnie odbijało mu się brudnym echem w spalonych żądzą użycia wątpiach. Dla niego też były to tylko „*produits secondaires*”, te wszystkie wielkości. Użyć — po gardło, aż do przesytnego rzygu. Oto gdzie się znalazł — pierwsza miłość — — — Jak wytworzyć tę prywatną głębię, (którą stwarza sztuka, nauka i filozofia), czy jakąś izolowaną niedowyz, w której mógłby, zadowolony z siebie, przeżyć to jedyne swoje życie do końca? Nie było żadnej nadziei. Jakże piekielnie pożądał lekkiego choćby otarcia się o prawdziwą wielkość, raczej o zanikający jej ostatni koniuszek! O, gdyby tak już siedzieć, w jakimś biurze wojskowym stolicy (na końcu JEGO macki), lub jechać gdzieś autem z jakimś papierkiem, podpisanym jego ręką, jakże inaczej przedstawiałyby się takie chwilki jak ta teraz. Wszystko można by zżuć, strawić, być ponad tym, a nie brnąć w to z poczuciem nicości swojej i bezsily. Tak mu się zdawało. Wszystko się kielbasiło coraz bardziej i nie było tym, czym by być mogło na tym właśnie aktualnym, falującym i zdeformowanym tle społecznym. Różnica taktu i tempa czyniła niemożliwym przeżycie siebie w sposób istotny. Bo przecież Zypcio, mimo wad, był bądź co bądź wyjątkiem.

Ogólnie (jak twierdził Abnol) powojenne, dancingowo-sportowe pokolenie przeszło szybko (jako takie — to znaczy ustąpiło szybko miejsca następnemu nie co do wieku, oczywiście, tylko co do opanowania stanowisk czołowych. Odstępy pokoleń zwały się w tych czasach do śmieszności prawie — ludzie o parę lat młodszy od innych mówili o tamtych jako o „starcach”) — część zagłupila się beznadziejnie (rekordowy sport, radio jako tzw. „kręcicielstwo”, taniec i marniejące kino — gdzie był czas, żeby o czymkolwiek móc pomyśleć? Grubejaca z roku na rok gazetka codzienna i tandeta książkowa dokonały reszty), część przez nagłą reakcję wpadła w fałszywą żądę pracy i zapracowała się bezmyślnie i bezproduktywnie do zdechu — tylko cząstka pogłębiła się, ale były to duchowe pokraki, niezdolne do życia i twórczości. Następne pokolenie (różniące się od tamtego o lat 10) było głębsze, ale bezsilne. Nie mięśniowo — odrodzenie fizyczne było wyraźne — ale wola, panie tego, coś nie ta i duch, duch, panie dobrodzieju, mimo że tyle o nim mówiono — nie był pierwszej jakości jako rusztowanie — szczególnie oczywiście u nas. Nie było w atmosferze społecznej dość optymistycznych teorii do wdychania, prócz srogo zabronionego komunizmu. Czym miały żyć te rachityczne mózgi? Umiarkowanie jest śmiercią dla młodzieży, oczywiście w dawnym znaczeniu, a nie dla bezmyślnych, ordynarnych sportowych dryblasów. Hodowanie tej warstwy przy pomocy straszliwych błag krajowych i zagranicznych, na podstawie teorii reprezentacji kraju przez skok o tyczce czy rzucenie kulą, mściło się teraz fatalnie. Cóż będzie w trzydziestym roku z bubków, którzy już w osiemnastym nie mogą sobie pozwolić na radykalizm. Ten trzeci narybek, do którego należał Zypcio, wychowany przez Syndykat Zbawienia, nie różnił się wiele od średnich warstw młodzieńczych przedwojennych. Nareszcie! Była to podstawa, na której można byłoby coś zacząć, gdyby był czas. Ale gdzie tam. Tę właśnie warstwę militaryzował na gwałt Kwatermistrz Generalny — raczej *oficeryzował* — marzeniem jego była armia z samych oficerów, ze stopniami jakichś ultrahyperfeldcajgmajstrów na stanowiskach najwyższych. Ha — zobaczymy, co będzie.

Zypcio tańczył, czując w rękach okropną galaretę z echinokoków, a nie symbol życia. Widział tylko twarz tamtej przed sobą, ale musiał... Czemu musiał? Zastanowił się ponuro nad mechanizmem tej pułapki, w którą wpadł. Poza dziecinny onanizm był to jego pierwszy brzydki nałóg — nie tylko fizycznych rafinad przyjemnościowych, ale stanów zrzucenia z siebie odpowiedzialności, zatulenia się w wygodny kącik beztroski, ale tej słabościowej, nie awanturniczej. O — trzeba z tym skończyć. I to on, oficer prawie, waha się! A potem pojechali razem na przedmieście Jady i przeżył Zypulka straszliwe wprost rozkosze. (Księżna po kryjomu dosypała mu kokainy do wina). Gorzej: poznał rozkosz bezczeszczenia rzeczy najświętszych i co gorsze zasmakował w tym. Od tej chwili żył w nim nowy człowiek (oprócz podziemnego, ponurego gościa, który sycony wypadkami przycichł jakoś w ostatnich czasach, ale w głębi pracował dalej). Ten nowy stworzył sobie transformator dla odwracania wartości: obrzydliwe? — właśnie zrobić to na złość (tzw. „perwersja”); trudne? — właśnie dokonać; nic nie warte? — podnieść do godności istoty

życia. Transformator taki w rękach takiego Kocmołuchowicza był czymś wspaniałym, nawet w jego szaleństwie. Ale wsadzony w mózg „przyszłego wariata z Ludzimierza” mógł się stać czymś strasznym.

TORTURY I PIERWSZY WYSTĘP „GOŚCIA Z DNA”

Zupełnie niewyspany, w strasliwym nieświadomym co do istoty swej kokainowym katzenjammerze (działy się wprost otchłanne cuda i objawienia. Skąd?), po całodziennych ćwiczeniach za miastem, wśród nudnego jak matura pejzażu (był szary, ciepły, słodkawy, pachnący trawą dzień wiosenny) popędził Genezyp koło szóstej na ulicę Św. Retoryka do Persy. Miał piekielną treść, nie wiedział, co i jak ma jej powiedzieć, pocił się w ciasnym mundurze i miał niesmak w ustach.

Mieszkała ta drętwa sama z jakąś kucharo-duenią, panią Golankową (Izabellą). Takiego jeszcze trzeba było nazwiska, aby dopełnić okropności miejsca samczych mąk, jakim było „mieszkanie” (tak mówiła Golankowa, a przy tym „kwandransik”, „dyszcz”, „syr”, „nierychło”, „wnet”) słynnej panny Zwierzontkowskiej. Już w przedpokoju, nie wiadomo jakim zmysłem, poczuł niezdrawą (uch, jak niezdrawą, to strach!) atmosferę wyrzeczenia. Wszystko pachniało przewlekłą, nieuleczalną torturą, jak mówiła księżna. I to takie wrażenia na tle takich dosytów wczorajszych. U — niebezpieczne — ho, ho! Widział to, ale jakiś demon pchał go w to wszystko dalej, dzierżąc za kark bezlitosną łapą. On dobrze wiedział, kto to taki — oj, wiedział, biedactwo. Przyjęła go w łóżku wśród jakichś piór *à la* Wróbel (ten malarz, nie ptaszek), hyperbrabanckich przezroczystości i poduszek, których poduszkowatość przechodziła sen o lenistwach najwschodniejszego z książąt ziemi. (Wszystko to było bardzo tanie, tylko skonstruowane z niesłychanym sadystycznym smaczkiem. Chodziło o maksymalne rozluźnienie samczej siły. Jakoż się i tak faktycznie działo). Biedny Zypcio oślniony był wprost jej tzw. nieziemską pięknoscią. Zauważył pewne detale, które wczoraj mu się wypsnęły. Piękniejsza była „w naturze”, niż na scenie — to było strasne odkrycie. Żadnej wady, którą by się można *en cas de quoi* pocieszyć. Mur. Nos miała „tak prosty, że aż prawie orli”, jak mówił Rajmund Malczewski; usta nieduże, ale to wycięcie to była wprost rozpacz; i cudowny poziomkowy rumieniec na jakichś niebiańsko-migdałowych nadzamszach. I oczy fiołkowe z ciemną rzęsą, która ugięła się lekko w kąciakach, nadając spojrzeniu podługowatość falistą, ciągnącą się gdzieś aż w nieskończoność nienasyconej żadną rozkoszą żądz. Zdawało się, że cokolwiek by dowolnie piekielny samiec z nią „wyczynił”, na nic się to nie zda, w niczym nie pomoże, niczego nie zaspokoi, w ogóle będzie niczym. Była niezniszczalna. Jedynie śmierć: albo „jego”, albo jej. Poza tym ściana nie-do-przebycia. Ha! W tym to wymiarze beznadziejności znajdował Kocmołuchowicz najistotniejsze elementy swego szału. Poniżej tego to były te zwykłe, prześliczne nawet dziełatki, których napsuł już tyle — jak brutalny chłopiec zabawek. Tu mógł walić swym wszechpotężnym łbem całą parą, na całego jechać, a nigdy nie dojeżdżać — bestwić się i rozbuchiwać dowoli, rozbuchanym obuchem oburącz rżnąć z całej mocy i wyprychiwać, jak wulkan lawę, swoją złoto-czarną chuć, czyli po prostu mieć tę „*détente*” dla swojej metafizycznej potrzeby pożarcia samej wszystkości. Ona mu była tego symbolem. A cóż taki Zypcio? Śmieszne!

Zaledwie niemila duenia postawiła przybory do herbaty i wyszła (uśmiechając się przy tym tak, jakby chciała powiedzieć: „o, wiem dobrze, co tu będzie za chwilę”), Persy odkryła koldrę koloru róży herbacianej i zawinęła koszulę pod szyję. Genezyp zmartwiały z przerażenia (aż żądze wszystkie uciekły mu w sam czubek intelektu, tak się przeraził) ujrzał wcielenie doskonałości kobiecej ponęty i piękności, od popielatej blondynowości włosów (i tych, i tamtych) do paznokci palców od nóg. Stężał. Niedostępność, niezdo-bytość widoku graniczyła z absolutem. — Czymże była wobec tego ściana Mount-óverestu od strony lodowca Rongbuk. Głupią farsą. To, co jeszcze wczoraj zdawało mu się czymś niepojętym (że ona może mieć w ogóle to), stało się. Ale niepojętość realnego obrazu była o nieskończoność potworniejsza od tamtych marzeń w teatrze, kiedy to nie mógł biedactwo wyobrazić sobie pewnych rzeczy, jako należących do JEJ osoby... O, zgrozo! I w mrocznej kamerze tortur wewnątrz siebie posłyszał te słowa, mówione tym zabójczym głosikiem („o gdyby przy tym jej głosik...”) ze sceny, przez tą, która teraz leżała przed nim w bezwstydnym przepychu gołości (nie nagości), będąc jednocześnie takim

aniołkiem! Jakże piękną musiała być w chwili rozkoszy...?! To chyba był zły sen. Ale nie — słowa włożyły mu w uszy, jak mrówki w majtki, i kąsały boleśnie już i tak obolały cielesno-duchowy węzeł płciowych zawikłań.

— Niech pan wreszcie siądzie. A zresztą będę panu mówić „ty”. Tak będzie lepiej. — (Dla kogo, na Boga?! — Tylko w kłamstwie i nienasyce jest istota wszystkich uczuć. Nasycony samiec nie kłamie, a ja chcę kłamstwa zawsze. — (Tylko jeden Kocmohuchowicz wystarczał jej i w „prawdzie nasycenia” — no, taki byk i władca...) — Kocham cię, ale nigdy nie będziesz mnie miał — możesz tylko patrzeć — i to czasami jedynie. Ale będziesz kłamliwie myślał i mówił mi to i ja w tym będę żyć i tworzyć sama moje kłamstwo własne. To mi jest też potrzebne dla teatru. A potem znienawidzisz mnie od nadmiaru męki i będziesz mnie chciał zabić, ale nie będziesz miał siły i wtedy będę cię kochać najwięcej. To *będzie* rozkosz... — Wypreżyła się z lekka, rozchylając usta i nieznacznie rozchylając nogi, a oczy jej zaszyły mgłą. Zypcio wil się. Ach — wydrzeć z niej młodą i brutalną łapą wnętrzości i żreć je, cuchnące nią, pełną gębą... — I ty będziesz już tylko jedną myślą o mnie, jednym orgazmem męki, jednym pęknięciem z niewysłowionej żądz i wtedy może... Ale to bardzo nieprawdopodobne, bym ci pozwoliła dotknąć się do siebie, bo wolę śmierć, niż ohydny prawdę nasycenia i nudy. Sama też męczę się do szaleństwa... Kocham cię, kocham... — Skręciła się cała z bólu jakby żgnięta rozpalonym żelazem w sam centr cielesnej rozkoszy i zakryła się kołdrą po szyję. Mignęły mu tuż przed nosem różowe jej pięty i zaleciał go jakiś zapaszek nie z tego świata samicy. (Zawsze tak było po tamtych historiach). Persy doznała tego prawie psychicznego dreszczu, który tamten mistrz masochistycznego zbyczenia nazywał *sobie* „po żołniersku” (panie tego) „zmajtczeniem się w międzygwiazdną pustkę” i co było wstępem do bardziej realnych rozkoszy. Ach, ten jego ozór piekielny, umiejący napinać rozkosz do niewytrzymania, a przy tym ta świadomość, że to ON sam, tam... A, nie. Zypulka dobry był jako dekoracja: dziecinna kalkomania na metafizycznym urynale, w którym pływało w podejrzanym wydzielinach serce tamtego tytana. Bo to, że poza wszystkimi „detantami” kwatermistrz kochał ją — wiedziała. Cudownie ułożyło się życie — pełne było, że szpilki by nikt nie wścibił. Miała rację ciocia Frągorzewska: trzymać w ręku taką bombę przeznaczeń i bawić się jej lontem z tą świadomością, że wszystko może trachnąć lada chwila — „taż to, panie, jest pirsza klasa” i koniec.

Przez chwilę Persy lkała głucho histerycznym, suchym lkanieniem właśnie, a potem, patrząc na Genezypa, znajdującego się w stanie ostatecznego, tak cielesnego, jak moralnego płciowego rozkładu, z najgłębszą miłością siostrzaną, powiedziała troszczącym się, zabiegliwym, gospodarskim w najlepszym stylu tonem:

— Może herbatki, Zypciu. Świetne ptifurki zrobiła dziś Golankowa. Jedz, jedz — taki jesteś mizerny. — A potem dodała z drapieżną namiętnością: — Teraz jesteś mój, mój. — (Inne jeszcze słowo podobne cisnęło się jej na usta, ulubione słowo kwatermistrza — nie wytrzymała i szepnęła je po cichutku, spuszczając przy tym oczy, które w tym rzęsowym omdleniu, zdawały się mówić tylko jedno: „wiesz, co mam, takie śliczne, pachnące, przyjemne, ale nie dla ciebie, głuptaku, dla prawdziwych siłaczy świata tego”. Bo czyż jest coś bardziej nieprzyzwoitego jak spuszczone niby to ze wstydu, orzęsione powieki kobiece. Genezyp myślał, że się przesłyszał. To już byłoby niepodobieństwem). — Nigdy mnie nie zapomnisz. W grobie jeszcze wieko trumny się podniesie, gdy o mnie pomyślisz. — Nie wahała się powiedzieć tak ordynarnego banalnego dowcipu trzeciej klasy! I ten to dowcip zabrzmiał jak groźna, ponura, rozdzierająca bólem niedosytu prawda — w jej ustach niedosiężnych. I wpijała się *mademoiselle* Zwierzontkowska w jego pobladał, cudownie piękną w nadludzkiej męce twarz, chłoneła chłopczykowaty, nieżnośny płciowy ból w jego rozpalonych oczach, wdzierając się kawowo obwiedzionymi, niewinnymi, fiołkowymi oczkami w rozdarte torturą jego usta i drżące szczęki, miażdżące w bezsilnej pasji świetne zaiste *petits-fours*y. I miała rację. Bo czyż to właśnie nie było najpiękniejsze? Oczywiście nie z punktu widzenia sprawności korpusu oficerskiego armii kwatermistrza. O — o — o — ale co by było, gdyby Zypcio dowiedział się nagle o tym, co było wczoraj. Jakby się wtedy spotęgowała jego wewnętrzna furia! Ach, to by było „słodkie”! Ale na to nie można było sobie jeszcze pozwolić. To przyjdzie, to będzie na pewno — taka

chwilka jak drogocenny kamień cudownie oszlifowany i on się wtedy rozplynie cały w ten torturowy sosik — po prostu przy niej zrobi z sobą coś... Już byli tacy.

Właściwie to oczywiste było, że ona kłamała o tym całym nienasyceniu: była przecież przepelniona rozkoszą, którą dał jej tamten: pół-bóg, wąż, brutal, dziki władca, zaświ-niony wyżej głowy w jej ciele. I jak to on po tych swoich programowych upokorzeniach skopał, zbił, sprął, zmiażdżył...! Aa! [Nie darmo taki turbogenerator jak Kocmołuchowicz miał taką właśnie kobietę. Poznał się na niej wśród milionów pudów babskiego mięsa i uczynił z niej to, czym była teraz: władczynią krainy prawie metafizycznego kłamstwa (takiego co to zaprzecza *wszystkiemu*) i królestwa męczarni naprawdę pierwszej klasy. A mając za sobą (psychicznie) Kocmołuchowicza, Persy nie bała się nikogo. Każdego mogła sparaliżować i zjeść na zimno (nawet kochając naprawdę — w jej kategoriach oczywiście) — jak gąsienicznik swoje ulubione liszki. Tylko tu działa się to jednoosobowo].

Genezyp zmartwiał przywalony górą bezgranicznej męki. Zasnuły się świńską męczarnią wszystkie rozkoszne dolinki, do których można by w ostatniej chwili uciec. Wybełkotal przepalonym głosem nieswoje słowa, wykwitłe bezwolnie na tylko co rozwianym pamięciowym obrazie jej cudownie smukłych, długich, a jednak pełnych nóg — *przecież całe pokryte były sińcami*. (Teraz dopiero to sobie uświadomił). A sińce działały na Zypcia jak piorunian rtęci na piroksylinę.

— Czy nikt...? Dlaczego te; te plamy? — Nie miał odwagi powiedzieć po prostu: „sińce”. I zrobił kolisty ruch ręką ponad kołdrą.

— Spadłam wczoraj ze schodów po trzecim akcie — odpowiedziała Persy z min-ką bolesną i uśmiechem pełnym niewysłowionej słodyczy. A w uśmiechu tym przesunął się przed intuicyjnym pępkiem młodego męczennika fatalny, niezartykułowany obraz jakichś dzikich, niepojętych gwałtów. I mimo że *wiedział* coś nieprawdopodobnie potwornego, wiedział na pewno, mocą przedziwnej hipnozy, to coś, zamiast go do niej zniechęcić, całkowicie bez reszty przetransformowało się na jeszcze straszniejsze jej pożądanie. Spalał się jak papierek w gruszcze Bessemiera, wyjął głucho na bezwodnych pustyniach ducha. Nie było ucieczki z tych mąk, a także i z wyżyn oficersko-męsko-natchnionego poglądu, którego symbolem był kwatermistrz — było to właściwie czyste kondotierstwo, idee narodowe w tym wymiarze nie grały już najmniejszej roli — to jest w tym stopniu „zoficerzenia”. Sam Kocmołuchowicz nie wierzył już we wskrzeszenie spróchniałych narodowych uczuć. W szkołach mówiono na ten temat parę prostych dogmatów na początku kursu, a potem obnoszono tylko w tryumfie jak sakramenty abstrakcyjne pojęcia: honoru i obowiązku na równi z pojęciami: słowności, odwagi, punktualności, dokładności w rysunkach, jasności wysławiania się i czysto fizycznej sprawności. Kierunek automatyczny panował wszędzie wszechwładnie. (Podobno Murti Bing zgadzał się z tym w zupełności). W ideowym mroku poruszały się wylękle manekiny. Każdy, co miał głębszego, skrywał i chował starannie przed ogółem — te rzeczy (właściwie co?) niski miały kurs, szczególnie jeśli związane były z dawną metafizyką lub religią. Panowała jedna psychoza niepodzielnie: strach przed obłędem. Genezyp był naprawdę wyjątkiem.

Ale w tej złej chwili rzuciło go nagle o ziemię i on, asymptotyczny oficer, przyszedł „eddekan” Wodza i obecny pegiekwak, gryźć zaczął dywan, dławiąc się włóczką i prychając pianą w perskie wzorki. Czarny wał nieprzebitego, a miękkiego oporu, oddzielił go od szczęścia. Za tym dopiero było do zdobycia wszystko — bez tego — nic. Wiedział, że gwałt nic tu nie pomoże, że wejdzie duenia i nastąpi kompromitacja definitywna. Żaden z „*truć'ów*”, które wystudiował na księżnej, nie działał. Wszystkie antidota na demonizm klapnęły. To nie był zresztą żaden demonizm — dla niego, który wierzył mimo zeznań jej w jej prawdę. W istocie był to demonizm najwyższego gatunku, bo pozornie ona była dobra, tkliwa (a nawet ckliwa) i rozmazana w urojonym cierpieniu. Nie było z czym walczyć, wobec tego, że i ona była nieszczęśliwa. Ale to potęgowało tylko jej urok, jak w dzieciństwie żaloba urok jakichś tam panienek — potęgowało tajemne, ukryte zło do dzikości zasmrodzonej sytuacji. Tak — tylko słowo „smród” (*smrood* — po angielsku dla tych, co nie lubią ordynarnych wyrażań) jest w stanie oddać okropność tego, co się działo. Regularny atak furii — po raz pierwszy i to *pod pozorami normalnej nieprzytomności, bynajmniej nie wariackiej*. Ona wyskoczyła bosymi „stópkami” z łóżka (w długiej, prawie

przeźroczyściej koszuli) i zaczęła gładzić go po głowie, przemawiając doń najczulszymi wyrazami:

— Ty mój najśladzszy chłopaczku, złotko moje, koteczku najmiłszy, duszku przeczysty, pszczołko najpracowitsza — (A to co znowu?) — moje ty nieszczęście kochane, uspokój się, ulituj się nade mną — (to dla wywołania uczuć sprzecznych) — pożałuj mnie. — (Ona mogła go dotykać — on jej nie). Przycisnęła jego głowę do niższej części brzucha i Genezyp poczuł na swej twarzy gorąco, buchające *stamtąd* i delikatny, niesamowity zapach... A nie!!! A głos miała taki, że zdawała się dotykać nim najskrytszych płciowych ośrodków jego ciała. („A, ścierwo — najbardziej urocza kobieta, jaką wyobrazić sobie można, tylko „driń” — jak mówił kwatermistrz. Ale dla niego to właśnie było szczęściem). Ten głos wydrążył Zypciowi szpik kostny, wybaranił mu mózgi obolałe i wydał go całego w pustą pęcherz bez żadnej absolutnie treści. I to tak szybko się działo! Przecież nie było jeszcze trzech minut, jak tu wszedł. Nie wiadomo jakim cudem ocknął się. Ten stan omdlenia furii był już rozkoszą. Zobaczył jej nogi bose i gołe, gdy stała tuż przy nim (te palce długie prześliczne, do dziwnych pieszczoł stworzone. — Znał to dobrze general-quartermaster) i jakby go kto kłonicą w łeb trzasnął i dźgnął przy tym rozżarzoną sztangą w same jądra istoty. Znowu zaczął bić głową o ziemię, rykojąc głucho. Tak — to była miłość, ta prawdziwa, bestialska — nie żadne tam idealne fintifluszki.

Persy, szczęśliwa aż do zachłyśnięcia się sama sobą (tak dziwnie świat olbrzymiał, piękniał i nią jedną cały się wypełniał), gładziła dalej tę męskawą, taką obcą i przez to tak „uroczą” główkę, w której *takie* rzeczy się działy! „Sperma rzuciła się na mózg” — jak mawiał jej Kocmołuch. Nazywał to też „byczym skurczem”. Och — wedrzeć się tam i zobaczyć, jak się to męczy, mieć to w sobie, na granicy tej niemożliwości, gdzie dwie sprzeczne koncepcje mózgu — jedna, mózgu jako organu nieistniejącej jako takiej realnie myśli, organizacji żywych komórek, w granicy sprowadzalnych do chemizmu — otóż chodzi o przecięcie tej koncepcji z tą, którą każdy ma w swej głowie *od środka*, bezpośrednio prawie, gdzie lokalizuje nieświadomie pewne kompleksy i następstwa mniej uchwytnie jakości, stanowiących sam psychologiczny proces myślenia — o, to, to: to *widzieć razem* jako mózg nagi, krwawy, wytopiony z czaszki = koncepcja trzecia, ale dotycząca zawsze niestety mózgu cudzego. Straszne zachcianki miała ta Persy, obca wszelkiej filozofii, a nawet naukom ścisłym. Dla niej już metafizyka (pożałuj się, Boże!) Kocmołuchowicza była czymś zbyt ryzykownym. Ona wierzyła w Boga katolickiego, bezmyślnie jak automat, i nawet chodziła do spowiedzi i komunii — ten potwór! A czymże to jest wobec Aleksandra VI, który modlił się do Matki Boskiej o śmierć kardynałów, których dla celów pekuniarnych otruł, czymże wobec sprzeczności dzisiejszego katolicyzmu z prawdziwą nauką Chrystusa. Głupstwo, detal.

— Och, ty, moja główko słodka! Jakie to jedwabiste, cudne ma włoski, jakie oczka złe, jak u wściekłego zwierzaka w klatce, gdy obok za ścianą jest samiczka, do której dostać się nie może. Jakie usta spragnione i niezadowolone, jakie ciało spalone gorączką! — (Wsunęła mu rękę pod mundur). — Ach — ty cudzie mój — jakież to wszystko śliczne jest! — *I klaszcząc w dłonie z zachwytu zaczęła tańczyć na dywanie, fikając nogami wyżej głowy i odsłaniając przepaście rozkoszy i pierworodnego grzechu.* Genezyp klęczał i patrzył. Świat jak potwór peyotlowej wizji przepoczwarzał mu się w nadpotworne monstrum, kolczate, zębate, rogate, ohydne i złe nie-do-pojęcia. Cierpienie już prawie moralne, tak fizyczne, a bezbolesne i pieścizotliwie miękkie, rozkwasilo go na ohydny, śmierzący plaster. Zamknął oczy i zdawało mu się, że umarł. Uplynęły wieki. Persy nastawiła gramofon na rozpaczliwego „wooden-stomacha” i tańczyła dalej nieprzytomna. A głos w niej, obcy jej i całemu światu (uważała go za głos Szatana), mówił obok, mijając całe to zdarzenie: „cierp, ścierwo męskie, zakalcowaty embrionie, chłopczykowate gówienko, — zamęczę, psia-krew, zabiczyć cię własną żądzą, zasmagam na śmierć zaświnioną wyobraźnią. Tarzaj się we mnie myślą, rycząc z wściekłości, ale mnie nie dotkniesz nigdy. Właśnie w tym »nigdy« jest cała rozkosz. Wyj z bólu i błagaj, żebym cię choć jednym włoskiem musnęła po tych twoich rozdrażnionych do obłędu bebechach”. Itp. Itp. I w tym była też miłość najwyższa, ale wyklamana na odwrotną stronę jaźni. Cała była już jak wywrócony brudny worek i to było jeszcze mało, mało. Teraz ciągnęła oscylacją między dotykalaną już prawie prawdą (w postaci kwatermistrza i jego szalów) i wewnątrz-

nym kłamstwem w całości, które się przez doskonałość swą prawie prawdą stawało, miała służyć dla nowego rozjątrzenia w sobie woli do życia. Bo biedna Persy cierpiała na straszne bezprzyczynowe depresje i słabą była w gruncie rzeczy „istotką” i „dzieweczką”, jak lubiła nazywać siebie w chwilach rozczulenia nad sobą, nawet wtedy, gdy z samców kiszki na zimno wywlekała, budząc w nich *jednocześnie* litość skowyczącą i ryczącą bestialsko wściekłość. Psychiczny sadyzm i dobroć niezmierna dla wszystkich pokurczów, kalek i ubogich duchem sietniaków i karapetniaków „prostaczków” i „maluczki” (brrrr — co za świństwo!) były w niej złączone w jedną obrzydliwą kupę. Kobiety, albo uwielbiały ją bez granic (miała kilka świetnych lesbijskich propozycji, ale je odrzuciła z pogardą), albo nienawidziły, bez powodu nawet, tak, jakby kochanki swoich ukochanych, mimo że win istotnych w tym kierunku Persy na swoim sumieniu nie miała. Chyba wobec jednej jedynej generałowej Kocmołuchowiczowej (kwatermistrz więcej *prawdziwych* kochanek po ślubie nie miał. Persy była pierwsza (i ostatnią), z którą zdradził naprawdę ukochaną zresztą żonę. Bo cóż tam te dzierlatki — to się nie liczyło wcale...).

Nagle Zypcio zerwał się i wyleciał, zaledwie zdążywszy porwać czapkę. „Herbatka” i ptifurki pozostały niedokończone jako symbol tego wyrwania się z kleszczów demona. Czatująca pod drzwiami duenia zemdlą prawie na widok tego pędu tej twarzy. Straszna miała zaiste głębię młody „pegiekwak” — szerniała od męczarni i rozpuchła czymś w ogóle nieznanym. Ach, gdyby go ktoś w tej chwili narysował, albo przynajmniej zdjął! Szkoda.

A Persy, cichutko, z obrzydliwym lubieżnym uśmiechem, weszła z gracją do łóżka (miała zwyczaj zawsze, nawet na bidecie, zachowywać się tak, jak gdyby ktoś na nią patrzył) (spojrzawszy przedtem w lustro) i zatuliła się rozkosznie w poduszki, zwiłając się przy tym w kłębuszek. Teraz dopiero mogła pomarzyć trochę o sobie *naprawdę*: samoosobowo, samobytowo, samosamowo, mogła się samić i rozsamiać do woli, zagłębiać się w siebie samą, jak w doskonały futerał. Czula, że jest naprawdę — wypadki tylko co przeszłe zbladły, stały się abstrakcyjnym nieomal, ale koniecznym tłem dla rozkwitającej czystej jaźni, która wychylała się z mgieł codzienności, paląc się na czarnej Nicości jak szczyt olbrzymi w zachodzącym słońcu na tle nocnego prawie nieba, nad ciemnymi dolinami pospolitości. Była w tej chwili pępkiem świata, jak szach perski bywał nim podobno codziennie, stale — była szczęśliwa. A potem jaźń rozwiała się w jakimś rozkosznym oparze (nie było nic więcej prócz tego oparu, jak w eterycznej narkozie, tuż przed ostateczną utratą zmysłów) i nastąpiło „złanie się z wszechbytem”: zupełny zanik ciała (kiedy jeszcze iskierka ostatnia świadomości trwała gdzieś na samej krawędzi pustej Przestrzeni) i potem cudowny sen, z którego budząc się, wstawała świeża, zdrowa jak krowa i pogodna. To wystarczyło na tydzień — no, powiedzmy na dwa. I nie żałujmy jej tych chwil, bo właściwie z wyjątkiem takich przeżyć (i tych *innych*, z tamtym jedynym siłaczem ducha i ciała) biedniutka i szarawa była (sama dla siebie *jako taka*) ta cała osławiona Persy Zwierzontkowskaja.

A Zypcio gnał autem do szkoły. (Nie mógł ratować się tak jak wtedy w łazience księżnej — wiedział, czym to pachnie. Pachniało wszystko w dziwnie nieprzyzwoity sposób. Wszystko zdawało się powoli i systematycznie na to tylko sprzysięgać, aby go rozdrażnić do najwyższego stopnia. I tamten niezapomniany zapach... Nigdy, nigdy. Łupił łbem o czarną ścianę „na zabój”, zwiłając się w straszliwych „ciągotkach”). A w świecie zjawisk siekl drobny, wiosenny, ciepły deszczyk. I wszystko było takie pospolite i zwykłe — choć do rany przyłożyć: i latarnie, i rzadcy przechodnie, i zaczynające się ożywiać właśnie o tej porze lokale, a jego targała za trzewia dziwność tego właśnie wszystkiego, tak potworna i plugawa, że mało nie wył. Miał uczucie, że jego zbezczeszczone wnętrzości ciągną się za autem zagnojonymi, brudnymi ulicami. Ryk nienawiści podnosił się z dna istoty, stamtąd gdzie siedział tamten ciemny gość, On — ten tamten, był spokojny, chociaż fala nieszczęścia dochodziła już do jego celi. Trzy godziny maneżu wieczornego, przy czym kary koń jego ociekał białą-żółtawą pianą — i mógł trochę zasnąć. Ale to spał raczej storturowany trup, nie on sam.

Jak przeżyć dalsze dni aż do wypadków, w których można by nareszcie zginąć? A najajutrz o szóstej był już w księżnej i kochał ją, jak mamę-wampiryzę wprost potwornie. Wieczorem znowu to samo przedstawienie u Kwintofrona, a o dwunastej u Persy. Ale już był potulny. Zdołała go ujarzmić i wplątać w koło najgorszych tortur — chronicznych. Ostry stan przeszedł. Persy doprowadziła go do głębokiego przeświadczenia, że ona

jest aniołem, a on niegodnym jej muśnięcia nawet grzesznikiem. Mówiła tylko o swoich cierpieniach, pozornie zapominając o jego egzystencji, a w istocie bacząc na każdy jego ruszek, każde drgnięcie powiek, obciążonych ołowianym bólem niedosytu, na każdą przelotną deformację jego stortuowanego ciała i syciła się jak mątwą, jak żarłoczny kleszcz, jak wesz. Sublimowała się ta miłość w jej piekielnym tyglu w niedosiężne wyżyny oddania i poświęcenia — teoretycznie oczywiście, bo żadnych prób nie było i nie wiadomo, jak by wtedy wypadły, bo miłość ta przypominała, poza zewnętrznymi formami, raczej nienawiść dzięki do *martwego przedmiotu*, niż przejęcie się „od środka” cudzą duszą. Problem był: jak zużyć to wszystko we właściwym celu, i co główniejsze: czym był cel właściwy. Gdyby nie duch kwatermistrza w niedalekiej stolicy, nie wytrzymałby tego Zypcio nigdy. Kocioł wrzał dalej w prychających roztopioną smołą czeluściach cielesnych pegiekwaka prawie że z siłą pierwszego wybuchu. Tylko „wyciąganie kiszek” było teraz o wiele subtelniejsze, głębsze, istotniejsze. Kawalkami (jak jakiś śluz czy ropne ciała) wydzielala się w tym roztworze i dusza. Nią to żyła, odżywiła się jak fosfatyną biedna „Persiczka” (jak ją nazywał kwatermistrz), aby w czas oznaczony oddać się całkowicie, raz (czy dziesięć razy, ale „pod rząd”), ale dobrze, w purpurowo-ochrowej mszy swemu bożkowi.

Tak trwało to wszystko przez czas dłuższy. Piekielny przekładaniec sprzecznych uczuć stworzony rzeczywistym przeżywaniem miłości dla Persy z księżną windował duszę Zypcia na coraz to wyższe kondygnacje poznania siebie i niedościgłej istoty życia, a z każdej nowo zdobytej wyżyny niższe piętra, niedawno ostateczne, szczytowe, zdawały się dziecinnymi poglądzikami, niewartymi nawet dziewiętnastoletniego oficerka. Bardzo by mu trudno było powiedzieć, na czym polegała wyższość tych ciągle nowych „wejrzeń” nad poprzednimi, tych „*Einsichtów*” tak mało podobnych do nieśmiertelnych husserlowskich, tych „intuicji”, w niczym nie przypominających błag Henryka Bergsona. Było to raczej uczuciowe dowiercanie się do niezgłębialności samego faktu istnienia, niż jakieś pojęciowe ujmowanie aktualnej rzeczywistości, która pozostawała płynna, gotująca się, drgająca, nieuchwytna. Wtedy to doszedł Genezyp do tego twierdzenia, że jedyną jasną, precyzyjną rzeczą na świecie jest cierpienie — jedyną pozytywną — wszystko inne to były tylko „wkłężnięcia” — ból był czymś wypukłym. Dodać trzeba, że Zypcio nie czytał Schopenhauera. Nie ma nic banalniejszego jak pesymistyczny światopogląd — oczywiście chodzi tylko o to, jak głęboko metafizycznie sięga ten pesymizm. Wtedy to powstała u niego teoria „*pessimum*”, w przeciwstawieniu do pojęcia „*optimum*”. „Moje optimum jest właśnie moje „*pessimum*” — mawiał nieszczerze. Jakoś trzeba było przekręcać cierpienia na pozytywne wartości, bo same-przez-się zaczęły stawać się złowrogo-nudne. Czasem myślał Zypcio o samobójstwie, ale żył dalej z prostej ciekawości, co też dalej będzie, co też nieogarniony w swych pomysłach doczesnych tortur Bóg (bo wiadomo, że piekło jest tylko wieczną nudą) jeszcze dla niego wykoncypuje. („*Il a de la combine ce bougre-là*” — jak mawiał bezbożny Lebac). A przy tym nie można było się wyrzec nawet tak paskudnego życia, nie skosztowawszy przed śmiercią bodaj jednego łyku prawdziwego adiutantstwa Wodza. Wiedział nieszczęśnik, że teraz, gdyby nawet Persy ustąpiła jego żądzy, nic by się w istocie nie zmieniło. Była to miłość niedosiężna sama w sobie, a ona była uosobieniem niepoznawalności. Ale na myśl, żeby z tą właśnie panienczką, godną najwścieklejszych młodzieńczych idealizacji, móc sobie na to pozwolić, co z tamtym pudłem, młody pegiekwak zamieniał się moralnie w zdysocjowaną od żaru mgłą gazów. Na razie jednak trzymano go dobrze na wędzidłach i hamulcach, preparowano na niesłychanego smaku pasztecik. Wskutek przestawienia normalnego (względnie) porządku w czasie: panienkowatej miłości z romansem z doświadczoną damą, nastąpiło to przekręcenie i niedopasowanie uczuć do obiektów, które później tak fatalne rezultaty wydać miało. Księżna zesłała do roli jakiegoś powiedzmy no... kubła, połączonego dziwnym sposobem z tresowaną małpą. Używana była w rachunku niecnego młodzieniaszka jedynie jako siła odciągająca na odcinku życiowego frontu z ulicy Retoryka. Nie wiedziała o tym biedaczka — tylko Zypcio stawał się dla niej coraz bardziej psychicznie tajemniczy i niepojęty. Rzecz dziwna: tak była jednak pewna siebie, że nie podejrzewała go o nic: był bestialsko namiętny i coraz wymyślniejszy w swoich wymaganiach. Rozkoszą była dla niej już nie tyle własna przyjemność, co zadawalnianie szatańskich fantazji młodego „paszy”, pławiącego się w coraz bardziej zabójczych wyrafinowaniach.

A jak się odbywało *tamto istotne*, jak funkcjonował ten alembik, przepuszczający psychofizyczny pokarm z tego byczka do szarej, ćmawej, czy ćmowatej duszyczki Persy i co było tego esencją, to trudno jest powiedzieć. On zapięty w mundur jak w pancerz, ona rozmamana, rozbeblana, rozfajtana w najnieprzyzwoitszy sposób, z tym jej specjalnym wdziękiem, którego nikt zimitować nie mógł. Widział (na przykład) jej lewą pierś z poziomkowym („*fraise vomie*”) pępuszkiem (tzw. brzydko brodawką — fuj), kawałek prawego biodra z leciutkimi sinawymi (*bleu-gendarmerie*) żyłkami, i różowe (*laque de garance rose de Blocxs*) paluszki lewej podgiętej nogi (miała sandałki koloru cynamonu z mlekiem, na wzór tej damy z powieści Struga). Siedział nisko na pufie koloru *orange* Witkacy — (to była jej metoda to sadzanie nisko — czemu? — nie wiadomo, piekielna intuicja zepsucia tej dziewczynki) wypięty, a zgięty w kabłąk, zmieniony w jedną jakąś zbitą na sino masę płciowego cierpienia. Kochał ją przy tym idealnie jak szaleniec — dosłownie: były chwile, że dla niej mógłby zdradzić samego nawet Kocmołuchowicza, gdyby tego zechciała. Ale ona skromne miała wymagańka: trochę „pomęczkać”, „potorturkować” i „pomarżkać o sobkie samkim” jak mówiła, rozkosznie pieszcząc się sama ze sobą, niby kocica „murłykająca” w ciepłe pieca. I mówili:

— Zypulka najdroższy: to są jedyne chwile, te z tobą, w których nie cierpię, ty moja morfinko najśladza. Tak mi dobrze jest, jak wiem, że jesteś taki mój, jak tak się przężysz cały do skoku, o którym wiesz, że nigdy nie nastąpi. Jesteś napięty jak łuk, z którego nigdy strzała w przestrzeń wolną nie wyleci. Chcesz wiedzieć, co jest w tamtym pokoju? Chodź. — Wzięła go za rękę (ha! ten najwyższy gatunek skóry, na który nie ma rady, chyba rżnąć nożem, maczanym w witriolu), zawijając się drugą niezrównanie wabiącym ruchem w *dziwny* (czemu? bo jej) biały zatulnik. Wstał zdrętwiały od męki. Wyjęła klucz z jakiejś chińskiej szkatułki i otworzyła drzwi na lewo od łóżka. Sąsiedni pokój był prawie pusty. Genezyp oczami zgłodniałego sępa rozglądał się po tym miejscu, które tyle go kosztowało niezdrównej ciekawości. Czemu właśnie dziś? Stało tam oficerskie polowe łóżko, dwa krzesła, na nich książki (jakieś lotnicze konstrukcje Mokrzyckiego, mechanika Love’a, *Evolution créatrice* Bergsona i pierwszy tom skonfiskowanej przed siedemdziesięciu laty powieści zgrzybiałego Kaden-Bandrowskiego: *Cham czy automat* — a, jeszcze na łóżku leżała logika Sigwarta i *Corydon* Gide’a. — Dziwny melanż.) i okropny metalowy tzw. tutaj „nakaślik”, na którym leżała pęknięta ikona z Bożą Matierą Poczajowską. Umywalni nie było — trudno. Czuć było tylko dym papierosowy i coś nieuchwytnie, plugawie męskiego. Zypcio zdrzał. Ona mówiła, drażniąc go do potworności przeciąganiem głosu i pewnymi dobrze odmierzonymi pauzami w odpowiednio dobranych miejscach, wywołując skurcze brwi, powiek i ust i przepływanie buro-krwawego cienia przez umęczony pysk. Każdy objaw taki łykała jak głodny pies kawał mięsa. Znane i piekielnie nudne metody. Trzeba być tylko wstrętym, młodym durniem, żeby się dać na to nabierać. Czemu ten bałwan nie zaczął żyć normalnie, nie zerwał z tymi obiema babami, nie puścił się po prostu z jakimiś łatwymi, ładnymi, pospolitymi panienkami? No czemu? A — rzucąj groch o ścianę — nie ma co gadać. Więc mówiło to ścierwiątko tak:

— To nic, nie bój się. Tu czasami nocuje jeden... mój stary wuj — (dobrze i tak, że nie powiedziała: „jeden mój znajomy” (?)) — Kiedy pije i nie śmie wrócić do domu. To polowe łóżko po moim... bracie. Poszedł jako ochotnik do niemieckiej armii w czasie tej przekłętej krucjaty i zginął — wbili go na pal jak Azję Tuchajbeja. Nasza matka jest Niemka: baronówna von Trendelendelendelendelenburg. Takie dziwne nazwisko, ale bardzo stare. Po niej mam to spokojne usposobienie, które cię tak drażni. — (przez ż naumyślnie) — Ja nie przeczę, ja lubię cię drażnić, tak strasznie, tak bez litości, żebyś swoich nie poznawał, jak wracasz do domu. — (Łysnęła mu przed zamorusaną płciowym brudem twarzą swymi cudnymi fioletowymi gwiazdami i w jego oczach powlokła je mgłą szaleństwa, która pachniała tamtym...) — Wtedy jesteś mój, kiedy o niczym nie myślisz, tylko o tym biedny potworku, którego mam między nogami. — Drgnął, jakby się chciał rzucić, ale wstrzymała go jednym dotknięciem okrutnego palca w pierś. — Nie — dziś chcę, żebyś trochę odpoczął przed nową głębszą męczarnią. Nie będę więcej. Przysięgam — dodała ze strachem, widząc błysk prawdziwego bzika w jego krwawych ślepiach. Ochłonął, ale zapadł się znowu o kilka piętér niżej w smrodliwą przepaść bólu. Świat zakolęsał się dookoła i mało nie pękł, ale wytrzymał jeszcze trochę.

Czy wiedziała, co robi? Do jakiego stopnia męczy tego chłystka, tego duchowego oberwańca, który na niczym się już oprzeć nie mógł. Zapytana, sama nie umiałaby odpowiedzieć: nie zdawała sobie z tego sprawy. Mogła żyć naprawdę jedynie na wyciągniętej do ostateczności, o włos od pęknięcia, strunie czyjśgo pożądania. Robiła biedactwo wszystko, aby sobie jako tako umożliwić egzystencję — tylko tyle. Nie sądźmy jej zbyt surowo — wina jest zawsze po stronie mężczyzny.

„Ach, wiedzieć o niej wszystko, wszystko, wszystko...! Wedrzeć się do tej wspaniałej, małej, kształtnej blond-główki, rozerwać komórki tego dziwnego (ach, — jakże w istocie pospolitego!) mózdzku, rozdrapać wszystko, wylizać, wywachać, wchłonąć”. Ale Persy skąpa była w wyjaśnieniach. Nawet gdyby dać je chciała, nie miała na nie odpowiednio zróżniczkowanych pojęć. Mogła to *przedstawić jako takie* w tym wstrętnym lupanarze Kwintofrona, ale mówić o tym — ani rusz. Udawały się jej tylko te sadystyczne gędziolenia — to umieć robić *musiała* — aby żyć. — Ale to nie usta jej mówiły, tylko szeptały swym obmierzłym specjalnym „narzeczem” jej, tak zwane naukowo i obrzydliwie: „wargi sromne”. Genezyp czuł dotąd taką prawdę we wszystkim, mimo jej tych gadań o wszechkłamstwie, nadfalszu i hyperbladze. Czemu ona go nabiera teraz z tym całym pokojem i jego tajemnicą?! Tak wierzył jej dotychczas bezgranicznie! Każde słowo jej — samo słowo bez odpowiednika — było rzeczywistością stokroć głębszą od istnienia jakiegokolwiek realnego przedmiotu, a ona naumyślnie chce w nim wzbudzić podejrzenia! Po co? Na Boga, po co?! O, kretynie...!

Nagle, szybko, a nawet pośpiesznie wyprowadziła go stąd za rękę i zmusiła do wysłuchania jakiegoś nowego teatralnego „kawałka” Tengiera. Grała na fortepianie bardzo nierytmicznie, spazmatycznie, uczuciowo, w ogóle podle. Muzyki używała jedynie jako środka potęgującego dookólną płciową atmosferę. Czy ten hałas potrzebny jej był dla zamaskowania czyjśgo wejścia do tamtego pokoju? Jeszcze nigdy przy nim nie grała. Okropna niepewność szarpnęła nim — ale na krótko. Niech lepiej trwa ta męka nieokreślona, niż żeby miało zajść coś, co mogłoby ich rozdzielić.

Był gorący, duszny, mokry wieczór czerwcowy. Deszcz nie padał, ale ciepła woda wisiała kublami całymi w czarnej przestrzeni, parnej jak w łaźni. Ćmy i komary „hasały” w powietrzu całymi tabunami, rozbijając się o szkła elektrycznych lamp. Turkot i nieustający brzęk dopełniały miary nieprzyjemnego już i tak nastroju. Wszystko zdawało się opadać jak pończochy bez podwiązek, wszystko się lepilo i swędziało, wszystko wszystkiemu przeszkadzało. Na tym tle dzika burdeleska Tengiera w spazmatycznym wykonaniu panny Persy była już czymś nie-do-zniesienia. Szczęście, że się już skończyła. Jedynym wyjściem było skazać się na dobrowolną nudę: krystaliczny, bezbarwny gmach wznosić czort wie jak długo na gorącym, zatrutym bagnie. Otwarte na czarność nocy okno i zapach czerwca, ten sam, który w dzieciństwie był symbolem czegoś szczytowego w niewiadomej przyszłości. Więc tak miało się skończyć to życie? Więc to miała być ta ostatnia, największa „rzecz”? Nie — za tym cuchnącym moczarem poświęcenia siebie dla zadowolenia niezdrowych fantazji jakiejś klempki wyrósł nagle szkicowy obraz politycznej sytuacji wszechświatowej, tej naszej pigułki-ziemi. „Boże, jeśli tam gdzie indziej takiego samego nawarzyłeś mętu, to czy w ogóle istnieć warto” — rzekł w nim jeden sobowtór do drugiego. — „Ale czemu ja mam za to cierpieć, za Twoje nieudane plany?”. Dostyc — to było nieszczerze: nic go nie obchodził żaden „Pambóg” dzieciństwa — nigdy w Niego nie wierzył. A jednak w takich chwilach właśnie wołałby mieć kogoś życzliwego z zaświatów pod ręką... Zastępował mu go Kocmołuchowicz. Ale znowu nadchodziły chwilami takie chwile, że i to nie wystarczało. I wtedy przypominał sobie rozmowy w pustelni kniazia Bazylego i brał go strach: czy czasem z powodu spotkania tych trzech panów w nieodpowiedniej chwili nie rozminął się z jakimś najistotniejszym swoim przeznaczeniem, z prawdą dziką i samotną, którą należało upolować jak zwierzę w puszczy, zdobyć jak trudny łup, kobietę może... Oto jest tu gwiazda jego przeznaczeń, o krok od niego z całym tym piekielnym międzykroczem, a on osłepiony jakimś cudzołożnym (w znaczeniu, którego sam nie rozumiał) bałwochwalstwem, bezsilny i drżący przed tajemnicą (czyją? — tylko swojego bytu — w tym mieściły się wszystkie inne) nie śmiał wykonać jednego małego, głupiego ruchu (tyle razy powtarzanego tam: w *palazzo* Ticonderoga i na przedmieściu Jady) tego ruchu, który mógł mu dać w posiadanie nie

tylko ten łup, ale i samego siebie. Może o to właśnie chodzi? Może ta beznadziejność jest pozorna, może ona właśnie tego gwałtu potrzebuje. Otóż właśnie zrobi to na przekór wszystkiemu. I rzucił się na nią nagle: zwierzę metafizyczne, zaświatowe bydlę — juszyła go, juszyła, aż wreszcie rozjuszyła. Ta chwilka *trwała* — to było najdziwniejsze: chwilka-symbol przeznaczenia jego i tych wielu w nim: czarnego gościa i zabitego chłopczyka i plugawych (czemu?) spermatozoidów, z których każdy chciał być jego synem, zrodzonym z tego a nie innego babska. Bo gdyby był już kimś! — ale działo się to w tym wieku, w którym staje się właśnie tym, a nie innym, w wieku niebezpiecznym mężczyzny. *Ta* głupia czerwcową chwilka w tych pokojach tej strasznej kobiety (precz z tymi pseudo-problemami itd.) była właśnie przełączną jego życia, na której zdobyć mógł sam siebie, albo też utracić na zawsze. Być zwycięzcą lub niewolnikiem tchórzostwa wobec kłęski. Wielkość nie jest tylko w zwycięstwie samym, jest tak samo w wewnętrznie odwróconej na zwycięstwo kłęsce — tylko ta kłęska, którą na zwycięstwo odwrócić trzeba, musi być kłęską wielką. A więc „do dzieła” — za kark, za włosy ją, tę cierpiącą świętą, tę metafizyczną włań i drań — *datoj!* O tak, o tak!! O... I *coż* zobaczył. Bo zamiast dokonać do końca, patrzył wielkimi oczami (w samo dno swej istoty też) na tego niepojętego stworza przed nim. Znowu tajemnica cudzej jaźni zamagnała się ku niemu z nieskończonej dali i zamiast uderzenia maczugą dostał w pysk miękką kupą bawełny. Pod nim, gdzieś na piętnastej kondygnacji wniżej, wiała się wstrętne pokraka, a nie żaden łup. Nie było co zdobywać. Przebił się na wylot przez zupełną pustkę. *Ona nie miała dla niego ciała*. Pijane bólem i skrytą rozkoszą („nareszcie pękł, nie wytrzymał, *nie mógł wytrzymać*” — powtarzała w sobie szeptem i przyszedł ten dreszczyk specjalny, którego nie mógł jej dać Kocmołuchowicz — ten też nie wytrzymał, ale inaczej pękał — z nią razem, a ten sam, *sam!* — o cudzie!) oczy Persy wywróciły się dnem do góry w ekstazie najwyższej (była tak niesamowicie piękna w tej chwili, że aż zanadto, że aż nie można było więcej — żaden gwałt, ani nawet lustmord nie dałby rady teraz tej piękności) a w niego piorun od środka trzasł (regularny schizofreniczny szub = uskok) i spopielił się cały ten Zypcio w jednym wybuchu litości, graniczącej z unicestwieniem. I za chwilę leżał u jej bosych nóg i całował brzeg sandałka z lubieżną tkliwością, nie śmiejąc dotknąć ustami prześlicznych palców — całował jak kiedyś matkę w głowę, albo księżnę Irinę w „czółko”, w chwilach „upadłości” matkowato-synkowatych. Zwyciężyła raz jeszcze.

Znowu powlokły się dni pełne koszmaru, pochmurne, parne, parszywe czerwcowe dnie, stworzone do małych zdarzeń małych ludzi. A wielkości czerpać nie było skąd — (i donikąd się zwrócić, o dopokąd, dopokąd...). Przyjęty był stały rytuał: on leżał koło niej na dywanie, spalany żarem bezimiennej, już nie płciowej żądzy, a ona szeptała mu w ucho słowa, zdolne wałacha zmienić w parowego ogiera, wołu w nieskończoną ilość bezosobowych byków (samą ideę bykowatości), skogucić całe stada kapłonów, ujaić dowolnego eunucha, choćby Wielkiego Bazylego, ministra cesarzowej Teofanu. A on chował ten nabój lubieży dla tamtej flondry starej, pijąc u samego źródła, a nie z dalekich, zabrudzonych życiem rzek, nieznośną mękę zatrutej miłości. Bo kochał ją teraz zupełnie po prostu na serio i cierpiał z nią razem jej fałszywym, przewrotnym cierpieniem. Aż wreszcie trzasł, rozdarł się i leżał przed nią jak bydlę za życia patroszone w jakiejś potwornej fabryce konserw męczarni, jak owad zdeptany na letniej, pyłnej drodze [właśnie był taki ohydnie czerwcowo-prawie-lipcowy dzień, pełen obietnic i żarów, i marzenia o innym (byłe nie tym, byłe nie tym) życiu]. O, życie, kiedyż zaczniesz się wreszcie! Modlił się o śmierć do bezimiennych potęg w sobie, ale daleka była jeszcze do niej droga.

A dziś właśnie ona jechać miała do stolicy, wiadomo nam grzesznym, którzy wszystko wiemy, w jakich sprośnych celach. (Kocmołuchowicz, przeciążony nadludzką pracą, tuż przed wybuchem decydujących wypadków, gwałtownie domagał się detanty. Szyfrowane depesze już od dwóch dni szły od Huśtańskiego (Kuźmy) aż tu i odczytywane były przez kogoś w sąsiednim pokoju (tam gdzie nocował pijany wuj, cha, cha!), a potem Persy dziwne miała z kimś rozmówki, które napelniały słodkim żarem jej przepiękne uda i wywoływały rozkoszne dreszcze w okolicach kości ogonowej. Jej skrzydlaty byk czekał napięty jak stalowa lina, gotów na wszystko. W czarnej nocy widziała przed sobą jego smoliste gały, zawrócone żarem upadającej żądzy i usta drgające od niewysłowionej mękojebni, tuż, tuż przed samą chwilą nasycenia, straszną chwilą posiadania mężczyzny przez kobietę, jego unicestwienia za życia). Ona wyjeżdżała, a on, Zypcio, który najniesłuszniej

w świecie uważał siebie za główną figurę tej bezecnej tragedii, zostawał w tej przeklętej dziurze K., w dyscyplinie szkoły i dyscyplinie strasliwego nałogu czystej rozkoszy płciowej z tamtą. Ale znowu gdyby tej Iriny Wsiewołodowny nie było wcale, „taż to, panie, byłby po prostu skandal” — — gdyby nie ta kłapa bezpieczeństwa — ten powiedzmy otwarcie kubeł na spermę — to co by było? Może by dawno już dokonał tych swoich niespełnionych zbrodni i odpadł od Wielkich Cyc Istnienia syt życia po wieki wieków. A tak musiał trwać i trwał sam w męce, ohydny i przeklęty. I to on, ten młody Zypcio, „dziecko szczęścia”, dla szczęścia chowany i pielęgowany, jak rzadka roślina jakaś, to „Luxusthierchen”, jak go nazywała ciotka, księżna Blińska-Gloupescu. A ona, na wyjeździe (we wspaniałej walizce od Pictona zapakowana była złota miseczka i dyscyplina z ołowianymi gałeczkami), lekkimi pół-słówkami i muśnięciami, stwarzała w nim stany obce mu i straszliwe w ich zahamowanej zbrodnicości. Chciał mordować jak nigdy — tylko nie wiedział kogo. Dobroć i poświęcenie, odwrócone, wypatroszone na wywrót („*Transformationsgleichungen von Gut und Böse mit dem unendlichen Genitalkoeffizient des Fräulein v. Zwierzontkowskaja*”) przybierały powoli postać mglistej, niewiarogodnie bezsensownej zbrodni: „*quite a disinterested murder*”. Knuł się spisek w nim samym, przeciwko niemu samemu. Przewodniczył ten ciemny gość z piwnic duszy, poczęty z samego zła, bezosobowego, obojętnego, nieprawdopodobnie plugawego.

Aż wreszcie któreś (trzeciej czy czwartej — to obojętne) nocy po powrocie Persy ze stolicy (niemożliwie święta była i po prostu roztkliwiona), nagle wszystko się Zypciowi przewróciło we łbie, jakby mu ktoś ten nieszczęsny łeb potrząsnął z całej siły i zakręcił w wirze o szybkości co najmniej cząsteczek α . Pozamieniały się komórki w mózgu jedne za drugie i kasza powstała niesłychana. Trzymał, trzymał, trzymał siebie, aż nie wytrzymał i pękł wreszcie z okropnym, bezgłośnym wewnętrznym hałasem. Rozpadła się jaźń w kupę nietrzymających się ze sobą, luźnie bełtających się stanów czegoś niewiadomego. Były to „akty intencjonalne”, wiszące w próżni, bezosobowo, jak w koncepcji pewnych fenomenologów. Okropny ból zawiedzionego życia i niewypełnienia tego, co właśnie zdawało się wypełnionym być *musiało*, był jedynym medium, sklejącym zdysocjowane elementy ducha.

Po zwykłym dniu szkolnym [już do promocji i podobno do przyśpieszonego buntu (ale przeciw komu) Syndykatu Zbawienia zostawał tylko tydzień] Zypek, pozornie chłodny i psychicznie zapięty i wyświeżony — to najgorsze właśnie — a wewnętrznie przedstawiający potworne zwalisko i rumowisko pełne niewybuchniętych jeszcze bomb, min i kamufletów, w chronicznej o zwolnionym tempie erupcji nieludzkiej i już prawie nie bydlęcej żądzy życia, szedł na ulicę Św. Retoryka do Persy. Szedł jak żywy pocisk — powinna była być na nim wyrysowana trupia czaszka, czerwone zygzakowate strzałki i wypisane odpowiednie napisy. Bechmetiew, gdyby tylko na niego był spojrzął, mógłby był opisać przebieg zdarzeń z błędem nieomal astronomicznym. Ona, ta słodka i smutna dziewczeczka, wcale nie lubiła śmierci, tylko lubiła się o nią „ocierać”. A gadali całkiem co innego (najbardziej wtajemniczeni oczywiście), że właśnie ona czeka śmierci z rąk rozwścieżonego Kocmołuchowicza, nie mając odwagi na samobójstwo, że czyha na moment zupełnego nieopanowania kwatermistrza (były istotnie chwilki niebezpieczne), aby „rozwiąć się w nicłość”, „połączyć się z pępkiem bytu”, „przejechać się w krainę prawdziwego zaprzeczenia istocie istnienia” — cytowano takie głupie zdańka, szeptem za szafami, w kłozetach i komórkach, po opuszczonych po-reformackich spichrzach i świronkach. To ocieranie się o śmierć dodawało piekielnego uroku różnym chwilkom płciowych... niedociągnięć — tak. Łowienie chwilek tych było specjalnością Persy, a główną wędką teraz Zypcio, a dodatkową siatką naokoło, podglądający i podsłuchujący ich prawie stale z drugiego pokoju (specjalne tuby akustyczne i peryskopy) pułkownik Michał Wębobek, grubas, siłacz, brodac, w ogóle partacz i notoryczny homoseksualista, ale zaufany urzędnik do najbardziej zawyłych poruczeń natury prywatnej (gdy jakaś tam np. hrabina bardzo chciała, albo jakaś tam dziewczynka bardzo się bała itp.) generała-kwatermistrza. Zasada: wolno było wszystko — nawet najgorsze tortury gości były dozwolone. [Relacje Wyborka z tych posiedzeń specjalnie podniecały Wodza i dawały mu możliwość niesłychanego nagromadzenia sił wybuchowych niesłychanego napięcia. Czasem w razie kilkodniowej zwłoki od oznaczonego terminu: teatr lub spóźnienia natury fizjologicznej (jak teraz), siły

te dochodziły do szaleńczych rozmiarów: otoczenie nieraz obawiało się regularnego ataku szału. Ale ostatecznie Persy umiała zawsze szal ten skanalizować i skanaliować w sposób nieszkodliwy, a dla spraw społecznych twórczy]. — Wolno było wszystko, ale bez najmniejszych nawet dotyków. A to właśnie było jej specjalnością, to najbardziej nasycalo jej poczucie rzeczywistości. Mówił Zypcio sykiem genitalnym a życie dookoła, w postaci piętrzących się czarnych widm, pochylało się nad nim coraz bliżej, zakrywało go, otulało. Ginął jak mały robaczek pożerany przez niewiadomego, niewidzialnego potwora. Persy słuchała go, rozwalona bezczelnie w najbezwstydniejszy sposób (ubrana *zresztą* w czarny kostium, taki, wie pani, obcisły, trochę męskawy, z takimi pętelkami, wkładkami, mereżkami w gipiurkach i dżetach i jasnołososiową bluzkę krepdeszynową, podrabianą żorzetkami plisowanymi w walensjenki pikowane i obszyte bardzo starannie), ukazując bez żadnego „ścieśnienia” (jak mówiła) tylko co „zbeszczeszczone” przez kochanka tamte miejsca, zmęczone i obolałe. Mówił: (nie on tylko to, a raczej przez to mówił gość ze dna):

— Musisz dziś. — (śmiała się rozkosznie) — Albo, albo — a jeśli nie, to śmierć. — (Nie zdjął nawet palta i rękawiczek. Gorąco było nieznośne, pochmurno-lipcowe). — Ja mam dosyć, ja nie wiem, kim jestem — ja ciebie już nie chcę, nie wiem, kim ty jesteś — wszystko mi się przekreśliło na drugą stronę — nie wiem, czego chcę, ale coś musi się stać, bo inaczej pęknę — ja nie-wy-trzy-mam. — Twarz jego zrobiła się straszna: jakieś nieludzkie uduchowanie połączone z takiej marki zahamowanym bydlęcstwem i jeszcze coś — coś, z czego Persy nie mogła zdać sobie sprawy, coś, co widziała po raz pierwszy. Oblediał ją straszek, ale jeszcze stosunkowo dość miły, a jednocześnie piekielna ciekawość, co też będzie dalej, oblepiła jej ciało: czuła dreszcz tej ciekawości w udach, a nawet w łydkach. Chwila była dobra, ale czy troszeczkę nie przeciągnięta? Dalej, dalej... Ten mówił: wymiotował słowa z trudem, kawałami, niestrawione, okropne. Właściwie słowa były zwykłe, bo cóż, poza poezją, słowami niezwykłego wyrazić można — ale ton, ton i „dykcja”, i to gardłowe duszenie się: zdawało się że wszystkie bebechy podchodzą mu pod samo gardło jak kłęb robaków, że za chwilę wyrzynie całego siebie na perski dywanik („persicki kawioerek” jak mówiła Persy) i zostanie z niego (Zypcia) tylko cienka skórka, wywrócona jak pończocha. — Ty musisz, albo ja... Nie... Trzymajcie mnie Wszyscy Święci, bo za chwilę nie wiem, co zrobię. Nie wiem — to jest najgorsze. Ja cię nie potrafię nawet zgwałcić, bo cię kocham. — A co było najstraszniejsze, to zupełny bezwład płciowy: złowroga cisza przed wybuchem orkanu. Zdawało mu się, że nie ma i nigdy nie miał genitalii. To się odbywało w tych hypergenitalnych sferach płciowości: coś najgorszego, co może być, *coś nieoduracalnego*, jak trzeciorzędne zmiany kilowe. — Musisz, musisz, ale nie wiem, co musisz! — krzyknął prawie i przebił jej oczy na wyłot spojrzeniem morderczym, zbrodniczym — w spojrzeniu tym wystrzelił ostatni nabój świadomości — za tym czał się tylko jakiś nieznan, rozpętany, bezimienny żywioł, a tuż obok ohydna, pospolita, głupia jak but śmierć: imię tego po polsku „*lustmord*”, ale nie jakiegoś tam idioty pod krzaczkiem, dokonany na babie, wracającej, czy idącej na jarmark (medycyna sądowa Wachholca: pejzaż letni z białym krzyżykiem pod krzaczkiem właśnie, obok fotografia jakiegoś matola, a dalej zdjęcie potwornie zmasakrowanego trupa jej, tej biednej baby: jakieś serki zmieszane z mózgiem, wątroba owinięta w podartą spódnice, posiniaczone nogi, posypane suszonymi grzybkami — „wizja lokalna” — coś piekielnego! Wieczór zapada za lasami, a w gliniankach kumkają żaby). (Taki obraz przemknął przez wyobraźnię Persy i nagle przestraszyła się: tak naprawdę po ludzku, bez żadnej już perwersji) o nie — to był (w jego oczach) potencjalny *lustmord* tak wyrafinowany, że aż niepojęty. Najdziksza fantazja nie mogłaby odtworzyć sposobu i warunków, w jakich mógłby się odbyć — o tym mógł wiedzieć tylko gość ze dna. Ale on stracił połączenie z istotą Zypcia — stawał sam do walki z tajemną grozą istnienia, na własną odpowiedzialność.

— Siadaj, Zypulka — pomów ze mną — — ja ci wszystko wyjaśnię. Uspokoję — wytłumaczę. Na co ci to? Zapomnij o tym, nie myśl — — Siedziała już w zupełnie przyzwoitej pozie, tylko ząbki jej szczękały cienko, prędko, niespokojnie, jakby jakie obce, niezależne od niej gryzoniowate stworzonka. — No — Zypulka. Biedny chłopczyk, kochany. Nie patrz tak na mnie. — Straciła nagle siły i zakryła twarz rękami. Nie było już

w tym żadnej przyjemności. Przesoliła. Stał wypięły, stężały. Wszystko cofnęło się w głąb i tam, w podświadomych jaskiniach odbywała się cała awantura, której wynik miał się okazać za chwilę. Twarz miał spokojną, tylko bezmiernie zmęczoną i ogłupiałą. Czasem przelatywał dreszcz przez wszystkie mięśnie tej biednej mordy i drgała, jak mięśnie bydlęcia odartego prawie że żywcem ze skóry w jakiejś maszynowej jatce fabryki konserw. Przez czarną czeluść otwartego okna dolatywał mokry zapach świeżo skoszonych łąk. (W tej dziurze K. wszystko było blisko, co chwila utykało się nosem w przedmieściach, a właśnie ulica Retoryka była na samej „opuszce” miasta, jak mówiła Persy). Gdzieś daleko szczekał pies i na tle tego szczekania, tu blisko, bzykała raz po raz mucha — na jednej nodze w pajęczynie uwięziona — — ja wiem. (Tajemnica jednoczesności dalekich zdarzeń — jedynie teoria Whiteheada zdaje z tego sprawę, w przybliżeniu, granicznie). Zamarła cisza promieniała dyszącym oczekiwaniem. Genezyp był zupełnie bezwładny (w znaczeniu erotycznym), ale mięśnie ściągnięte miał w jeden węzeł nieznośnego bólu, rozsadzającego wszystko „na potęgę”, bezlitośnie. A tam, w tych miększych głębiach ciała nie ruszało się nic. Persy odkryła oczy i łzawo spojrzała na swój preparat. Uśmiech rozjaśnił jej piękną twarzyczkę — pewna już była przewagi. Ale czegoś było żal — taka dziwna chwila uciekła bezpowrotnie. Żałowała niebezpieczeństw tylko co niewyraźnych antycypowanych, a tak uroczych, bezkresnych obszarów niedokonanych zbrodni, całego uroku życia, który tak czuła biedactwo przed chwilą, tak czuła — a tu nic. Nuda. Smutek. I tylko tyle...?

Zypcio na próżno trudził się, starając się wywołać w wyobraźni obraz kwatermistrza — ten stale dotąd działający symbol siły woli i wszelakich przewyciężeń — na próżno! Pęczniało coś obcego, straszego, w psychicznych zwojach, niezależnych jakby od ciała. Jeszcze kontakty nie były pozakładane (pracował nad tym w podziemiach „tamten” — ciemny robociarz-elektropsychotechnik), ale strzałki zegara latały niespokojnie poza liniami niebezpieczeństw. Maszyna szła wolna jak szalona — trzeba ją było włączyć. Już się robi. Samotne, bezduszne mięśnie, zdysocjowane ruchowo, niezorganizowane, czekały tylko rozkazu jak żagle przed podniesieniem, jak żołnierze zamarli na „bacność”, spuchnięte z żądz czynu, przepojone krwią, zdrową, bydlęcą, gdy dusza była tak bardzo chora, czekały tylko rozkazu wyższych centrów, opanowanych przez posępnego pracownika głębin — *przutomnego wariata*. On sam w sobie był przecie przutomny (*jako taki*). Tylko w połączeniu z tym Bykozypkiem (kochankiem księżnej, przyszłym adiutantem, tu w zagwazdranym mieście K., na ulicy Retoryka) *dawał* dopiero wariata. Był wariatem kierując tamtym — sam był po prostu *innym* człowiekiem, logicznym w swoich pomyślach a nawet mądrym. Ale dwie jaźnie nie mogą żyć w jednym ciele — zdarza się to wyjątkowo i to na bardzo krótko, ale ogólnego równania na to nie ma. Dlatego nazywa się to (słusznie) obłądem. I ta biedna dzierlatka mówiła do tej zdeformowanej do-nie-poznania psychologicznej kupy czegoś (w normalnych wymiarach ludzkich nie dającej się jako to i to rozpoznać) złudzona tej kupy ogłupiałą miną. (Najwięksi myśliciele, wbrew przesądom tłumy, mają *w samej chwili wynajdywania czegoś* (w chwili przeskakiwania szeregów logicznych = racjonalnie zdefiniowana intuicja) właśnie najgłupsze miny — chyba że pozują jeszcze dodatkowo przed jakąś widownią). A mówiła tak, z przyzwyczajenia kokietując go (mówiąc delikatnie) dalej bez miłosierdzia:

— Ja wiem. Ty już nie możesz. A jednak musisz, *musisz*. W tym jest wszystko: cała niewysłowiona tajemnica i piękno naszej miłości. Niespełniony sen, piękny jak nic na ziemi. Czyż jest coś wznioślejszego...? — Głos jej załamał się i ugrzął w gąszczu łez. Coś było w tym tak piekielnie zmysłowego, nieskończenie ciągnącego się, wlokącego na dno, okrutnego i świadomie złego, że Zypcio zagotował się od nagłej, piorunującej żądz, jak garnek pełen ścierek. Był niczym, jednym tym i koniec. Nie miał nic do stracenia. Był pusty jak skorupka od raka, wypatroszony, wyjedzony, wyspany — *ausgepumpt und ausgezuzelt*. Żył tylko tym wyciągnięciem wszystkiego w nieskończoną dal pustki, żalu i złowrogiej nudy. Mięśnie sprężyły się i „poszedł zew” po bebeczach do wszystkich rezerw płciowej siły. Ogień rozlał się jak gęsta, oleista ciecz po żyłach — ale szybko, pod szalonym ciśnieniem. Stało się. Wyszedł z niego głos ekskrementalny, zatwardzeniowy, paskudny, głos nie jego: przemówił jeszcze dusząc się ten ze dna. Nie umiał mówić — to był przecie jego pierwszy prawdziwy występ.

— Nie — dosyć tych bezecnych gadań. Ja nie pozwolę. Tu uduszę cię jak wiewiórkę — (czemu to właśnie zwierzątko przyszło mu na myśl, mimo że nigdy jak żył wiewiórki nie dusił?). — Ona zaśmiała się. Był śmieszny — panowała nad nim niepodzielnie. Ale mimo śmieszności czuła całą grozę napięcia jego „*biezumnych żelanji*” — tak to nazywała. Była w nim, w samym centrum jego płciowego ośrodka, wewnątrz jego opuchłych gruczołów, kierowała tą całą szajką wewnętrznych jego bydlątek jak chciała, a przez to nim samym także, ale nie tak zupełnie. „O zupełności, kiedyż cię doścignę!” Nagle tajemna kraina rozkoszy najwyższej otwarła się w niej na nowo, stokroć piękniejsza niż kiedykolwiek bądź. Jeszcze nigdy *tak* nie było. Czymże wobec tego jest cała muzyka Tengiera: przedsmakiem metafizycznej rzeczywistości. A tu sama metafizyka wpleciona w koło najcudowniejszych tortur drugiego człowieka i to samca, i to tortur bez bólu: miękkich, łaskotliwych... Ach, jakże dokładnie wiedziała teraz wszystko, wszystko to i wszystko inne. Rozpromienił się i wyrósł w nieskończoność cały świat. Nareszcie przyszła ta ekstaza najdziwniejsza. Czymże była wobec tego nawet kokaina Kwintofrona. (Częstował ją przecie także jak wszystkich, ale jej nie wciągnął). Czymże wreszcie, w porównaniu z tym, były teorie międzynarodowego „wizytatora dziwnych teatrów”, Ganglioniego, który twierdził, opierając się na teoriach Chwistka, że tylko to jest, czego nie ma, i w co się wierzyło, gdy się go uważnie słuchało. Ale wiedziała, że odmówić musi, *mu-si*, bo inaczej ten za ścianą zobaczy to, czego nie powinien, a tamtego byka na tę wiadomość szlag gdzieś trafi w środku jakiejś niezmiernie ważnej konferencji, a ona w ogóle (tak: *w ogóle*) zginie jakąś fatalną — plugawą śmiercią — może będą tortury... te prawdziwe... brrr... A zresztą gdyby nawet teraz poddała się temu „cudnemu” chłopczykowi (czego nawet chwilami pragnęła, nawet po *tamtym z tamtym*...) to momentalnie straciłby on właśnie dla niej całą wartość. Widziała już przed sobą to przyszłe morze nudy beznadziejnej, w którą zawsze wtrącało ją zaspokojenie normalnych pragnień. (Bo próbowała w szalllonej tajemnicy — ale to się nie liczyło). A tu śmierć błyskała w orzechowych oczach valentinowatego niedooficerka, już krzywiła w ponurym szale te kochane, nigdy nie całowane śliczne, młodziutkie usta.

Uwaga: Księżna jako antydot przestała działać na Genezypa zupełnie.

— Poczekaj. Zaraz przyjdę — szepnęła z doskonale udanym poddaniem się i obietnicą czegoś takiego, że Zypulka zmienił się po prostu w jeden buro-krwawy, twardy, śmierzdzący płomień, o temperaturze płonącego helium. Zatrząsł się, spojrzął na nią psim, a jednocześnie miażdżącym wzrokiem i zaczął się przez tę sekundę prawie na śmierć. Z zaciśniętymi pięściami w białych rękawiczkach stał jak zwierzę gotowe do skoku, w prawie katatonicznym zastygnięciu, zankylozowany przez rozpierające go pragnienie.

Wyszła tym swoim najbardziej lubieżnym krokiem, chwiejąc półkulami derieru jak arabska tancerka, uśmiechnąwszy się przedtem programowo, długo, przeciągle, mokrymi, poziomkowymi ustami. I to o ten fłaczek mięsa szło to wszystko! Czyż to nie potworne po prostu!

Nieodwołalne piętrzyło się gdzieś tuż obok, wzdymało i pęczniało — może w przyległym pokoju tego nieboszczyka-brata, o ile taki w ogóle istniał — cha, cha! Jakaś odrętwiająca fala przeczcucia czegoś straszego, jakiejś niewiarogodnej klęski uderzyła go w plecy. Ona mu się nie odda — oszukała go! Wściekłość rzuciła się w nim jak pies na łańcuchu i zaraz opadła. To jeszcze była jego wściekłość *normalna*, ale za chwilę...? (Czas ciągnął się, jak gdyby był z gutaperki). Zypcio nagle odwrócił się, mimo że nie dobiegł go żaden najłżejszy nawet szmer z tej strony i stał dalej, wpatrzony w olbrzymią fotografię Persy w roli „Mątwy”, zrobioną przez Tadeusza Langiera (wnuka), wiszącą na prawo od wejścia do tamtego pokoju. Jednak kochał ją, tę dręczycielkę metafizyczną — na to nie było rady. I taka miłość, połączona z taką diabelską żądzą (czegóż więcej trzeba, u samego Belzebuba!?) idzie na marne! Poczucie tego „pecha” (znowu nie ma polskiego słowa — wgniot, klapzder, niechód, wyspnęk, wygwizd, nieud, chlust, gwajdlak, kierdas, rypcio, gwajdluk, potknianka, wyspnianka, spelzek(zka), wyślizg, niedochwyty, przedznak, lośnik, fatalik, spędk, zwiej(ka), chlupniak, zwichniak, chwist, zgnojek — dosyć — wszystko brzmi jak ze złodziejskiego słownika wyjęte — co u diabła? Czyż u nas nie można mieć dystygowanego pecha?) wgniotło go znowu w gęstą, lepłą, błotnistą, maziowatą rozpacz. Już nigdy z niej nie wybrnie...!

Wtem trzask otwieranych drzwi i w ich obramieniu stanął nagle drab: brodaty blondyn może pięćdziesięcioletni, z barami jak u niedźwiedzia, z gałami jasnymi, pocziwymi, ale z wciągiem dużym i kłopotliwym do wytrzymania — w cywilu, ale wojskiem niosło od niego na miłę. Był to ten właśnie zaufany generała, Węborek, Michał, pułkownik. Zdecydował się interweniować — wyjście Persy było mu sygnałem. Zrobił trzy kroki ku Zypkowi i powiedział wymuszonym na swobodno tonem, tak, jakby mu to wszystko przychodziło z wielką trudnością:

— A ty, chłopysiu, chodź tu do mnie. Ja cię uspokoję. I ostrzegam: wara od tej kobiety, jeśli ci życie miłe. — I zaraz innym tonem, w którym brzmiały jakby jakieś dziecinne błagania, zduszone łzy, wstyd i niecierpliwość. Już od dłuższego czasu piekielnie podobał się pułkownikowi ten mały i biedny straszne męki przeżywał przy swoich peryskopach, widząc, jak się marnuje ta śliczna, godna Sokratesa „dusza”, na takie podle, heteroseksualne bezskuteczne porywy. Teraz mógł działać z czystym sumieniem, zgodnie z instrukcjami kwatermistrza. — Jestem pułkownik Michał Węborek. Ja cię nauczę przyjemności daleko wyższej: związku dwóch czystych duchów męskich, po przejściu pewnych prób, które wskażą ci — ale mniejsza o to na razie — to głupstwo, jakkolwiek bez tego — ale dosyć... Będę twoim przyjacielem i zastąpię ci tymczasem ojca, zanim dostąpisz prawdziwego zbliżenia z naszym wodzem, w którym, jak w Bogu, jedno jesteśmy tu na ziemi. Czy wierzysz w Boga? — (Genezyp milczał. Skurczony wewnętrznie, w niewyraźnym stanie pozornej kompletnej nicości (w podziemiach działały się całe światy!) stał dalej, patrząc martwymi oczami w porozumiewawczo uśmiechnięte jasno-zielone, uprzejme, zażawione, focze, najwyraźniej zaplcone (skąd?) gały Węborka. Ani jednego drgnięcia. Stał nad straszliwą przepaścią, której nie widział — jak lunatyk, trzymał się cudem, na jednym palcu wsparty o chorągiewkę wiatrową olbrzymiej wieży). — Czy słyszałeś kiedy *Stabat Mater* Szymanowskiego i tą piekielną parodię *Stabat Vater*, którą dla nędznych samic napisał ten wściekły Tengier? To dwa niewspółmierne światy. Ja byłem lotnikiem, przysięgam ci, że robiłem akrobatykę, ale teraz nie mogę. Wyprzytykałem się na krucjacie — ale ja nie jestem tchórzem — zakończył prawie ze łzami. „Co ten plecie” — pomyślał w Zypciu dawny Zypek. „Przecież on mówi bez sensu do trupa”. I nagle skoczył w nim, jemu samemu i całemu światu do gardła ten drab, schowany w gąszczach wielorakiej duszy. I od razu ta rozkoszna pewność, że tak właśnie, a broń Boże nie inaczej postąpić powinien. Jak — jeszcze nie wiedział, ale poczuł się równym nieomal Tengierowi, nieomal samemu Kocmołuchowiczowi. Jakby zerwały się wszystkie związki między tą chwilą, która teraz „stała” (jak „*stojąca kagdato diwnajaja osiennajaja pogoda*”, jak „*stojali czudnyje dni*” — dni stały bez czasu — pogoda też — co za cud!) zupełnie izolowana, a tym, co było, i co najważniejsze: tym, co będzie. Otwierały się nieznanne groty, nieznanne „strony”, obłoczne krainy, podobne tym na wschodniej stronie nieba, pełnego burzowych kumulusów o zachodzie. Tam on był teraz, już nie marzył o tym, ale *był*. Było to swojego rodzaju szczęście: jak po dwóch pierwszych kieliszkach wódki na czczo lub po pierwszej dawce kokainy po kieliszkach czterdziestu. Cudownie poczuł się Genezyp, jak nigdy — raczej nie on, tylko to straszne stworzenie w nim, którego tak się panicznie dotąd bał i którym tak się brzydził. Ono (on) było nim, stanowili jedność — tego normalnego Zypka nie było wcale. I sens, sens cudowny (ten którego poczucie mają ci, co *kochają Boga (!)* — w to jedno nie wierzył nigdy Sturfan Abnol, chyba u kobiet) wszystkiego, nawet najdzikszego z najniemożliwszych przypadków. Och — gdyby taki stan mógł trwać wiecznie! — (podobno trwa u tych, co 20 lat umieją patrzeć we własne pępki mało jedząc i nie pijąc — ale to wątpliwe bardzo). Ale niestety działanie jakieś, jeszcze nieznanne, było nieuniknione. Zypcio był *tout de même* człowiekiem Zachodu. To będzie też rozkosz, tylko inna — może jeszcze mocniejsza, ale inna, psia-krew? Może nareszcie szczęście stanie się zupełne, czyste, bez chmurki, bez skazy! Ten drab nieznanny, brodaty i jakiś niezmiernie wypukły, jak w stereoskopie widziany, który stał tam na tle czarnej czeluści tajemniczego pokoju, to był, to był, to był *pies na łańcuchu* — *trzeba go spuścić* — innego wyjścia nie ma. Znowu żałośnie zaszczekał daleko na przedmieściu pies obcy, ale rzeczywisty, kochany — z prawdziwego świata zwykłej nocy ziemskiej przyszedł teraz ten szczek, jakby z zaświatów. Na tym tle, tuż koło Zypcia (czy koło tego draba w nim?) bzyknęła mucha. Jednoczesność dalekich zjawisk. Tak — niech się stanie. Ale co? Już wiedział — właściwie nic nie wiedział, więc jakim sposobem wiedział, co

się stanie? Jasnowidząca czarność doskonałości załała duszę. Nadchodził moment *twórczy* (uśmiełby się z tej twórczości Tengier, a nawet Wielki Kocmołuch, mimo że temu ostatniemu mogły być bliskie nawet takie stany — ten miał w sobie wszystko, razem z rogami i kopytami) — nieznanne, nieprawdopodobne miało się wychynąć z nicości i stać się ruchem elektronów, przemieszczeniem grawitacyjnych pól, czy też zazębaniem się na bardzo stosunkowo wielką skalę bardzo małych żyjątek — nikt, nawet sam diabeł nie wie, czym to jest i będzie po wieki wieków. W każdym razie to, że są żyjące: czujące i myślące stwory, jest pewne, a istnienie materii martwej, takiej, jaką ją chce mieć fizyka, na podstawie danych ordynarnej wizji świata tych właśnie stworów, jest wysoce problematyczne. Chyba że się przyjmie ordynarny dualizm, ordynarną „harmonię przedustawną” i całkiem ordynarnie przestanie się myśleć — ot co.

A drab tamten stał i czekał — brodaty, uprzejmy a straszny — zdawało się wieki całe, a mimo to wszystko to razem nie trwało może i trzech minut, a jednak „wypchanie czasu” było nie-do-zniesienia, a upływał przy tym po prostu jak strzała. Życie wahało się po obu stronach grani, jak na huśtawce. Raz widać było słoneczne doliny normalności i całe masy rozkosznych kącików wymarzonych dla zatulenia się, to znowu z drugiej strony ukazywały się mroczne „zachołuscia” i rozpadliny obłądu, dymiące odurzającymi ciężkimi gazami i błyskające roztopioną lawą — *Vale inferno* — królestwo wiecznych tortur i nieznośnych wyrzutów sumienia: przecież można było tego wszystkiego uniknąć! Nieokreślona, mała a silna jak czort pokraka wżerała się coraz głębiej w ciało, drążąc sobie drogę do nietkniętych jeszcze centrów motorycznych. Persy nie istniała dla Genezypa w tej chwili zupełnie. Nie było w ogóle nic, tylko ten czyn do spełnienia. Świat skurczył się do małego wycinka pola widzenia i w tym bełtała się, luźna jeszcze, kupka czuć mięśniowych. Wierzcie mi — nie było nic prócz tego: sam Mach byłby kontent, a może i Chwistek. Na stoliku leżał tapicerski młotek, długi, z żelazną, wpuszczoną w obłe drzewo rączką — ach, jak kusząca to rzecz w pewnych chwilach — intruz niepojęty w tym państwie bibelotów i fatalasek. Uśmiechał się nad nim czarny, chiński Budda. Zapomniany młotek — (coś pomagał jej nim przybijając wczoraj jeszcze — jakieś przesunięcie perskiej miniatury o 3 cm na lewo — bo Persy była wielką estetką, *bardzo* wielką) — zdawał się czekać. Było w nim napięcie żywego stworzenia zamkniętego w klatce. On też chciał się od czegoś uwolnić, coś zdziałać wreszcie naprawdę morowego, a nie gnić tu na przybijaniu jakichś nędznych gwoździaków, nie marnować się. Otóż to. Zypcio nie chciał się marnować też, a jeszcze mniej chciał czarny, beztwarzowy dotąd, podziemny drab. (Później on wylazł Zypciowi na twarz, włożył mu na mordę, wrósł mu w pysk i wszyscy dziwili się dziwnemu wyrazowi oczu młodego junkra — nie wiedzieli, że *to nie był już on* — to była właśnie ta „*postpsychotische Personalität*”, z dawną osobowością nic wspólnego nie mająca). Cały system mięśniów drgnął jak doskonała maszyna, puszczone w ruch przekręceniem jakiejś tam maniwelki i Genezyp twardą ręką złapał młotek za długą, powtarzam: oprawną w drzewo, ale z obejmującym je metalem, rękojeść. Waga tej rzeczy była cudowna, wymarzona... I ujrzał jeszcze raczej zdziwione niż przerażone oczy tamtego, bałuszące się już jakby nie w tym naszym świecie i rznął go z całej siły w nie wiadomo czemu nienawistny teraz, a bydlęcy blond-brodato-włosisty łeb. Miękki trzask, mokry, *żywy*, i olbrzymie ciało zważyło się z głuchym hukiem na dywan. Tego deseni nie zapomniał już nigdy. Młotek został w tym łbie, powyżej guza czołowego lewego. Zypcio wyszedł jak automat, bez cienia cienia jakiegokolwiek myśli i uczucia. Po prostu uprościł się tym sposobem do niemożliwości. Gdzie to były, gdzie się podziały te wszystkie komplikacje dawne i przedchwilowe? Nie. „Dobrze jest żyć” — powiedział w nim obcy głos i głos ten był jego własnym, rodzonym głosem. Ciało było lekkie, jak puszek — zdawało się unosić ponad tym bezsensowym światem oficerstwa, Kocmołuchowicza, Chińczyków, całej politycznej sytuacji i tych dziwnych stworzeń, tak brzydko kobietami zwanych. Nie było duenii, nie było Persy — nikogo. Nie zdziwiło go to wcale. Teraz dopiero uczuł swobodę i beztroskę niebywałą. „Boże! Kim ja jestem” — pomyślał idąc po schodach. (Drzwi zatrzasnęła za sobą. Klucz od bramy miał swój darowany mu przez Persy).

Była godzina druga, ta najpóźniejsza godzina nocy. Niewiadoma siła skierowała go najprzód w stronę szkoły, tak jakby tam był jakiś ratunek. Ale przecie ratunku nie po-

trzebował — było tak dobrze, tak cudownie się wszystko układało — więc po co — po co, u diabła starego...?! Mógł drobny letni deszczyk. To, co mogłoby być w taką noc do utraty zmysłów pospolite i przykre (cisza wymarłego miasta, mokre ulice, duszne powietrze i ten ciepło-wilgotny, małomiasteczkowy zapaszek, nawozowo-cebulkowato-słodkawy), zdawało się właśnie najcudowniejszym, koniecznym, doskonałym, tym właśnie, a nie innym. Ta „tość” a nie inność — ach cóż to za cud móc czuć konieczność absolutną w tym niesamowitym państwie przypadku i bezsensu, jakim jest *nagie istnienie*, poza fikcjami społecznych praw, pokrywającymi bezczelne wprost kontyngencje. Gdyby Zypcio zażył kiedy świadomie dużą dawkę kokainy (do czego w chwilach rozpaczki namawiała go księżna), to mógłby porównać stan ten z lekkim zatruciem tym pozornie szlachetnym, a wymagającym takich ofiar jadem.

Nagle błysk potworny zimnej świadomości; „jestem zbrodniarzem — zabiłem nie wiem kogo i nie wiem po co? Ach — przecież nie o nią. Ona, ona...” — obce słowo bełtało się wśród innych, równie luźnych, martwych, pozbawionych znaczenia. „Czyż nigdy tego nie zrozumieć? Tak — może zrozumieć, jak mnie wsadzą na 12 lat. Ale przecież Chińczycy... nikt się im nie oprze...” Tak mógł myśleć „bezstraszno” w tej okropnej chwili, której okropności nie był w stanie pojąć. To nie był on — to był tamten, tylko dziwnie jakoś i wstrętnie złagodniały, wcielony w zewnętrzne formy tego dawnego, dawno zmarłego chłopczyka. Ze zgrozą pojął straszność samego faktu istnienia, nawet najłagodniejszego — w tej koncepcji nawet Święci stawali się potworami bez nazwy. „Wszystko, co istnieje, zaprzecza tej zasadzie, według której istnieje — wszystko opiera się na metafizycznej, nie-do-wynagrodzenia krzywdzie. Nawet gdybym był najlepszym w świecie, jestem i będę tylko kłębowskiem walczących ze sobą drobnych istnień aż w nieskończoność. Taki sam okrutny jest świat wewnątrz indywiduum, jak i poza nim” — tak mówił kiedyś pijany Sturfan. Dziś pojął to Genezyp — nie pojęciowo, tylko żywą swą krwią — zdawało mu się, że przelewa się mu w arteriach-kloakach jakaś ohydna, trująca i cuchnąca ciecz. Nie było na świecie nic, prócz jednej wielkiej, paskudnej nieczystości, a jednak było dobrze. Machnął ręką z lekceważeniem. A więc i on też, skoro cały świat jest taki. Przemknęła w pamięci jakby *innej jaźni* widmowa, blada twarz Elizy i zgasła jak fosforescencja w głębi czarno-zielonawej wody. Zostało samo poczucie związku jednej zbrodni z jakimś czymś równie zbrodniczym, a nieokreślonym. *W jaki sposób był dany ten związek i to drugie coś, czort jeden wie.* Niech się męczą nad tym psychologowie. Wszystko jednak da się zdaje się sprowadzić do pojęć: pewnego *zabarwienia* jakości będącej jako takiej w trwaniu i „tła zmieszanego” (niezauważonego) Corneliusa. Wszystko jedno, ważnym było to, że Zypcio nasycił się w jakiś dziwny sposób tą zbrodnią i to tak, że Persy, ta rozzuchwalona powodzeniem u takiego Kocmołuchowicza mątewka, przestała dla niego istnieć. A przy tym nie miał żadnych, ale to najmniejszych nawet wyrzutów. Etyka? Furda, panie tego. Dla schizofreników pewnego typu to są puste słowa — jest tylko on jeden i nic poza tym. „Cudowne lekarstwo na nieszczęśliwą miłość: zabić kogoś zupełnie nie mającego związku z tą miłością — jakiegoś obcego pana — pierwszego lepszego przechodnia”. Przypomniał mu się wiersz jakiegoś zagwazdranego pseudo-futurysty z dawnych czasów, jeszcze za życia Boya:

„...I pierwszego z brzegu przechodnia
Bęc przez łeb pałą — drugiego? także bęc!
To nie jest żadna zbrodnia
A więc cóż to jest więc.
Nic — tak sobie bęc:
Usuwanie niepotrzebnych gratów
Bez pomocy katów...”

Co było dalej, nie wiedział. Tamten błysk nad-świadomości, unoszącej się ponad schizofrenicznymi sobowtórami, zgasł, ale automatycznie zjawiały się *obok* osobowości normalne myśli, takie jakie by miał każdy zwykły człowiek w podobnej chwili. Ale one już nie zazębiały się (ho, ho — nic z tego) o motoryczne centry. Te były we władaniu draba z dna — on zdobył sobie tę władzę tym uderzeniem — wykonał coś absolutnie nowego, nieuczynionego — zasłużył sobie na nagrodę. A jak się ma w rękę czyjeś motoryczne centry,

to jest się tym właśnie panem i koniec: umarł Zypcio — narodził się postpsychotyczny Zypon. Sam atak — ten tak zwany, „Schub” trwał sekundę. A więc te myśli boczne (ale co kogo to obchodzi?) = ależ Boże mój: przecie ten człowiek musiał mieć jakiś związek z życiem Persy, z tym tajnym życiem, o którym on, Genezyp, nie wiedział nic. Może nie związek erotyczny, ale coś do diabła było w tym niesamowitego, nawet dla tak skretyniałego osobnika, jak Zypcio w ten pamiętny wieczór. Nie darmo kłamała bestia, że to stał pusty pokój nieboszczyka brata — ten drab mieszkał tam najwidoczniej. Ale instynktem (który zresztą tak często myli [ale w tym wypadku mówił prawdę na pewno — to wiedział Genezyp]) czuł, że ten brodacz był dla niej płciowo obojętny. Coś bardziej istotnego, a pośredniego ukrywało się poza tym. Nie dowie się pewno nigdy. Uczuł się zawieszonym w zupełnej próżni społecznej. Społecznie był zbrodniarzem (dobre i to, jeśli już moralnie nie można) kimś, na którego dybią absolutnie wszyscy, z wyjątkiem może kilku tysięcy (w kraju oczywiście) typów jemu podobnych. Uczucie życiowego osamotnienia przeszło dalej w stan samotności metafizycznej: jednego, jedyne istnienia, mówiącego „ja” o sobie, w nieskończonym w czasie i przestrzeni wszechświecie. (Bo niech sobie co chcą mówią matematycy i dla wygody niech słusznie wykrzywiają świat, a nasza aktualna przestrzeń „taki” jest euklidesowa i linia prosta, mimo wszelkich *tricków*, różni się zasadniczo od wszystkich innych). Intuicyjnie, to znaczy: nie znając odpowiednich terminów i teorii, w swoich własnych rodzących się pojęciach-obrazach, pojął bezpośrednio, po bydlęcemu, aktualną nieskończoność Bytu i jej *niepojętość* dla ograniczonej poszczególniej egzystencji. I na tym koniec — ściana — i zupełna obojętność. Nagle — nie wiedząc o tym prawie — zawrócił w kierunku domu. Jedyna osoba na świecie to Lilian. Problem „alibi” zarysował się nagle z całą wyrazistością, zupełnie jak w tym niedawnym, a tak dawnym śnie. Może nikt go nie zobaczy, a Lilian powie, że był cały czas u niej — powie na pewno — kochana siostrzyczka! Jak dobrze jest czasem mieć rodzinę! Pierwszy raz zobaczył to teraz tak jasno — kanalia! Jedyna istota, której mógł teraz wierzyć, to ona, ta pogardzana Lilusia — matka nie, a księżna po stokroć tym bardziej. Wálmy więc, „*vallons*” *alors* — trzeba cudu, żeby go ktoś znajomy spotkał i rozpoznał w nikłym oświetleniu tego wiecznie martwego miasta. Jakkolwiek w pierwszych chwilach miał jednak na dnie wrażenie, że życie skończyło się bezpowrotnie — (jakaś bezimienna, praistnie-niowa, niezróżniczkowana kasza, w której tkwiła dawna, tylko spotęgowana w trójnasób i wydłużona w nieskończoność męczarnia, otwierała się w kierunku przyszłości) to teraz, również zupełnie nie wierząc w dalsze możliwości istnienia, nie widząc przed sobą nic prócz aktualnej beztroski (to mało, psia-krew!), koniecznie, tak na wszelki wypadek, zapragnął upewnić się co do swego „alibi”. To wszystko robił ten drab, broń Boże nie on. Ginący Zypcio zwał całą odpowiedzialność na tamtego. Czuł go już w sobie wyraźnie z kopytami i pazurami (ta beztroska to była jego, tego drugiego) jak mościł się i umaszczał i rozpierał się w nim wygodnie — już na zawsze — wytłaczając dawnego Zypulkę z jego formy niby miękką marmoladę czy ciasto przez wszystkie psychiczne otwory. A tu jak na złość ukazały się na rogu Studziennej i Filtrowej dwie postacie, zataczające się, lepiące się sflaczałymi nogami do mokrych płyt trotuaru, czepiające się podobnymi do macek rękami siebie wzajemnie, ścian, słupów i kiosków. Rozległa się wstrętna piosenka, śpiewana chrypliwym barytonem, z marsylskim, twardym akcentem:

„*Quel sale pays, que la Pologne,
Cette triste patrie des gouwegnages.
Pour faire voir un peu de vergogne
Ils n'ont pas même du courage*”.

Zbliżali się. Cywile. Jeden tłusty, mały i okrągły; drugi mały i chudy. Ten wtórował okrągłemu jakimś zachrapanym sykiem, zdającym się wychodzić z jadowitych gruczołów wewnątrz ciała. Zionęło od nich jak z tylko co zgaszonych, ciepłych jeszcze, spirytusowych maszynek. W Zypciu obudził się po prostu Polak. (*Vous autres, polonais...*) Ach! To takie proste — nic o tym ciekawego napisać się nie da. Może to ten automatyczny drab ze dna był więcej Polakiem, niż on sam. Zawrzała w nim, panie tego, krew i rznął w mordę grubego i w samym zamachnięciu się już zobaczył w mroku bezczelnie filuterną i wesołą twarz Lebaka, którego znał z jakiejś rewii szkolnej. (W tej samej chwili po raz pierwszy

pomyślał, że przecież sama Persy i duenia... „Nie — te nie zdradzą” — rzekł w nim jakiś głos i miał rację — Więcej *nigdy* o tym nie pomyślał. Ten nowy w nim miał jakieś inne klapki i sposoby). Drugi, to jego przyboczny adiutant, duc de Tronfières. Poprawił tamtego pięścią w sam dołek i wywalił go w kałużę, która mlasnęła z rozkoszą, przyjmując w sam środek chudy zadek Francuza. Na zewnątrz w palcie (w tym znaczeniu na zewnątrz, a nie duchowo) mało co różnił się junkier od zwykłego żołnierza kawalerii. Ciemności były prawie nieprzeniknione w tym zaułku — nie mogli go poznać. Poszedł dalej z tym samym automatyzmem, który nie opuszczał go od chwili zbrodni. Lebac poprobował go gonić — na próżno. Zakręcił się na zwiotczalej ręce naokoło słupa zgasłej latarni i padł na kolana krzycząc, z akcentem na ostatniej sylabie: „Policjå, policjå!”. (Czas był przesunięty (naukowa organizacja pracy) o dwie godziny — za godzinę dopiero mogło zacząć świtać). Zypcio nie czuł nic, nawet najłżejszego niepokoju. Jako Polak był zadowolony. „Ładne alibi” — mruknął. — „Właściwie niepotrzebnie to zrobiłem, a jednak było to konieczne dla dokończenia tego dnia. Co za lekkość! Co za lekkość! Że też ja tego wcześniej nie znałem!” I w tej samej chwili przeraziło go to właśnie, że nic prócz tej lekkości nie czuł. „Cóż robić? — nie można się przecież zmusić do czucia tego, czego się nie czuje”. Zawinał się w tę myśl, jak w ciepły płaszcz i poszedł dalej zagwazdranymi ulicami do domu.

Obudził Lilian. Była prze-ra-žo-na. Słuchała opowiadania drżąc i ściskając go za rękę, z przerwami oczywiście — prawie szczypała go z podniecenia. Mimo że Sturfan Abnol nie przestał ani na chwilę być jej jedynym ukochanym mężczyzną, w tej chwili dopiero poczuła, co to jest to wszystko. Ten jej brat, dotąd obcy — (ileż razy myślała, że go kocha — teraz przekonała się, że tamto było niczym) — zbliżył się ku niej nagle jakby z zaświatów z niepomiarłą szybkością meteoru i tym pędem, który był w gwałtowności samych opowiadanych wypadków, przebił jej nieczule dotąd ciało. Biedny Sturfan, mimo dzikich wprost zabiegów, zdołał jej rozwydrzyć tylko główkę. Poczuła coś takiego, że no niby jakby w tej chwili właśnie straciła to słynne dziewictwo, o którym legendy całe słyszała od mlaszczących się lesbijsko koleżanek i od samej baronowej. I to z nim, z tym czystym duchem w mundurze, takim bratowatym naprawdę, którego nie potrzebowała mieć w sobie, aby go *tak* kochać. Oczywiście nie wiedziała, co to znaczy naprawdę, ale tak jakoś to sobie wyobrażała i koniec. Była to chwila prawdziwego szczęścia: obietnicy prawdziwej, pełnej rozkoszy z tamtym ukochanym, rumuńsko-bojarskim, artystycznym bykiem. Służyć jemu będzie za tę chwilę do końca życia. Najgorszych dla siebie rzeczy dokona, byle tylko on mógł tak prosto iść w swym rozwoju jak mu nakazuje ukryta w nim siła. Ujrzała, wewnątrz siebie jakby odbite — cała była ze zwierciadeł w tej chwili — nieskończone jego możliwości i pochłonęła go całego, jak armata polykająca pocisk. Ale nie miała już siły wyrzucić go z siebie. On tylko sam, jeden-jedyny, mógł cisnąć sobą w mroczną, burzliwą przestrzeń życia. Widziała „tarczę tajemną jego przeznaczeń”, (co to było, nikt by się nie dowiedział): jasny, promienny dysk na „czarnym wzgórzu śmierci” z jakiegoś obrazka, tarczę, w którą on musiał trafić sobą, jak kulą. Ale ta chwila to już była właśnie sama śmierć. W tym trafieniu jest sens ostateczny. Przypomniała sobie zdanie ojca: „...stawić cele poza rogatkami życia...” Sturfan też o tym bredził. Ale czymże są te jego artystyczne „*piereżywanja*” wobec takiej oto historii. Niech spróbuje dokonać czegoś takiego. To przecie pęknać można. I ona jedna, która wiedzieć będzie wszystko: prawdę motywów, lub raczej ich braku, tej przedziwnej zbrodni, której nie zrozumiałby nikt — nikt prócz niej. Bo zrozumiała go tak do głębi, jakby była nim samym, tej okropnej, a jednak pięknej, może najpiękniejszej nocy. Musi sobie to przypomnieć (i przypomni na pewno) w noc poślubną i wtedy tajemnica ta połączy się jej z tamtym wszystkim i to będzie jej szczyt życia. Tylko nie zleźć już z tego szczytu niżej za nic na świecie! Prędej umrzeć w mękach, niż spełnić na płaską nudną dolinę pospolitości, na powierzchni której wszystko jest takim, jakim jest. I czemu Sturfan, mimo wszystkich tych swoich szprynców i nawet „Kronszprynców” (jak nazywano jego sztuki) nigdy jej *tego* nie ukazał. Dopiero trzeba było ofiary ukochanego braciszka, aby się stało *to*: ostateczne zrozumienie tajemnego uroku odwróconej rzeczywistości i sensu wszystkiego poza wszystkim. Pomodliła się cicho do dawnego Boga Matki, bo jej bóstwa rodzone, które miała jeszcze w sobie wytworzyć, spały dotąd lekkim snem, na samej granicy przebudzenia. I tak doskonale rozumiała, że on nie mógł inaczej postąpić, że się uszczęśliwiła, jakby dostała jakiś wspaniały prezent. Tak cudowne było to dla niej w swej doskonałej prostocie! A!

I nic nie żałowała tego niewinnego (pewno) brodacza. (Pułkownik — nazwiska Zypcio zapomniał). On nie mógł lepiej skończyć, jak tak właśnie. Wszystko to było dziwaczne, jak w jakiejś sztuce z teatru Kwintofrona, choćby w jednej ze sztuk Abnola: bezsensowne, a jednak konieczne. I to się działo naprawdę! Stał się rzeczywiście cud. Ale już pierwsza ekstaza minęła i wszystko zaczęło zjeżdżać powoli w czysto życiową rozmówkę, w czasie której oboje nabierali coraz gorszego wstrętu do siebie wzajemnie i do siebie samych. Coś się psuło, gniło i rozkładało się z niepojętą szybkością, jakkolwiek konsekwencje poprzednich stanów trzymały ich formalnie na pewnej niby-wysokości. Przypominało to trochę wygasanie kokainowej ekstazy, kiedy wszystko, *nie zmieniając się*, staje się w „dziesięcionasób” co najmniej straszne i jednocześnie pospolite, w odwrotnej proporcji do poprzedniego wyniesienia i dziwności.

LILIAN: Czemu nie mówiłeś mi nic o tym przedtem, że ją *tak* właśnie kochasz? Myślałam, że to twoja pierwsza idealna miłość, jako reakcja po romansie z Iriną Wsiewołodową. Ona jest zupełnie pozbawiona uczuć erotycznych — nikt, przynajmniej z teatru, nie był jej kochankiem, a o innych też nic nie mówią. Albo byłabym ci odradziła wszystko i wyperswadowała, albo bym może nawet na nią wpłynęła, aby ciebie przynajmniej nie ludziła daremnie. Zdaje się, że w ostatnich czasach mogłam mieć wpływ na nią. — (Kłamała radośnie i wstrętnie, wyolbrzymiając [choć troszkę przynajmniej] siebie przed sobą i przed nim).

ZYPCIO: Mówisz jak starsza pani, ale mylisz się. Na nią nikt wpływu mieć nie może, bo to jest wcielenie samej pustki — wampir. Jeśli moja miłość nie zrobiła z niej czegoś, to znaczy, że jej w ogóle wcale nie ma. Przychodzę teraz do przekonania — nie w porę oczywiście — że w niej jest coś potwornego, jakaś niedocieczona, ohydna tajemnica i to mnie właśnie do niej ciągnęło. Poznałem w sobie nieprzeczuwane nigdy pokłady zła, świństwa i słabości. Wmawiałem w siebie, że to była miłość prawdziwa, ta, której dotąd nie znałem. Czy poznam to jeszcze?! — („Ach, ty drogi!” — pomyślała z rozczuleniem Liliana. — „Zakatrupił niewinnego człowieka, a teraz biada nad tym, że nie pozna prawdziwej miłości. To jest jednak cudowne.”) — Byłem jak sparaliżowany. Ona miała w sobie jakiś jad obezwładniający i tym pozbawiła mnie woli. Teraz myślę, że to ona przeze mnie zabiła tego pułkownika. Mówię ci, że działałem jak automat. Wydaje mi się, że to był jakiś okropny koszmar, a nie rzeczywistość. A jednak jestem teraz innym — zupełnie *kimś* innym. Nie umiem ci tego wytłumaczyć. Może on się we mnie wcielił. Przekroczyłem w sobie jakąś granicę i nigdy już tam nie wrócę, gdzie byłem. — (Liliana „zawiła się” znowu z podziwu i zazdrości. O, gdybyż to można tak się ciągle transformować, ciągle być kimś innym, nie tracąc ciągłości swego „ja”! I tu siedział, tuż przy niej, ten jej codzienny brat, będąc jakby w innym świecie! „*Il a une autre vision du monde, ce bougre-là, a deux pas de moi — e mua kua?*” — dokończyła „po polsku”). — Ale wyzwoliłem się przez ten czyn okropny — od niej i od siebie. Jeśli mnie nie zamkną, to życie moje może być wspaniałe... — Urwał, wpatrzony w absolutną nicość: swoją i otaczającego świata. Diabły spuściły kurtynę — widowisko skończyło się. Ale nie wiadomo było, jak długo mógł trwać ten antrakt — może do końca życia? Wzdrygnął się. Ogarnęła go gorączka czynu. Robić, robić, cokolwiek bądź, choćby „pod siebie robić” byle jaki czyn. Ha — nie tak to łatwo. Ale i tu wypadki miały pomóc temu nieszczęsnemu „szczęściarzowi”. — (ohydne). Byle dotrwał do rana. — Najgorsze jest to, że nie wiem, kim był on. — Mówił już po prostu drab ze dna, zamalgamowany z resztkami, z pozorami raczej dawnego Zypka, w jedną nierozdzieloną, twardniejącą już miazgę. A tak był zamaskowany, że gdyby nie oczy, przez które czasem z Zypciowego ciała na świat wyglądał, nikt (nawet sam Bechmetiew) nie poznałby, że to już nie dawny Zypek, tylko całkiem ktoś inny, straszny i niepojęty — niepojęty dla nikogo, nawet dla siebie samego. Na tym właśnie polega obłąd. — Ale najgorsze jest to, że nie wiem, kim był on — dodał Zypcio po chwili. Nie było to *najgorszym*, ale tak mu się w tej chwili zdawało.

LILIAN: Dowiemy się z gazet — „odparła” natychmiast Lilian z tą przytomnością umysłu i żywością, cechującą panienki tego pokolenia. O, rybki zwinne, mądre myszki i jaszczureczki przemysłne, w jednych i tych samych osobach — czemuż was nie poznamy nigdy, my, starcy czterdziestoletni już w 1929 roku, skazani na oglądanie straszego narybku bezmyślnych „grzmotów” sportowych! Ale mniejsza z tym. — Ja dla ciebie zrobię wszystko. Od dziesiątej byłeś u mnie i nie wychodziłeś. Mama z panem Józefem o dzie-

wiątej już byli u siebie. Wierz mi bezwzględnie. To jest dla mnie szczęście. Ale czy ona nie zdradzi? Zależec to będzie od tego, kim był ten brodaty człowiek dla niej. Nikt z moich znajomych nigdy jej z nim nie widział. Może to ktoś przejezdny?

ZYPCIO: Nie — on mieszkał dawno w tym pokoju. Teraz wiem to. Rzecz dziwna: teraz mam takie wrażenie, jak gdyby on mnie doskonale znał już przedtem. Musiał mnie podglądać, kanalia, co wieczór, kiedy tam siedziałem, i naśmiewał się z mojej bezsilności. Ach — na pewno słyszał te wszystkie głupstwa, które mówiłem! Boże — co za wstyd! A przysiąc mógłbym, że kochankiem jej nie był.

LILIAN: Skąd możesz twierdzić to na pewno? Nie chcesz w to uwierzyć — a ja ci radzę nie staraj się sztucznie zmniejszyć twego cierpienia. Od razu połknij wszystko najgorsze. — (Zapomniała zupełnie, co mówiła przed chwilą. Czy nie zapomniała, ale gadała głupia byle gadać (śpiąc prawie), sama nie wiedziała co).

ZYPCIO: Jestem kompletnie poza tym problemem. To wiem na pewno. Ale to co się pod tym kryje i wewnątrz, we mnie, i w samej sytuacji, może być jeszcze gorsze. To nie był zwykły lokator, a ja nie jestem już tym, którym byłem. — („Znowu zaczyna” — pomyślała śpiąca już prawie Lilian).

LILIAN. No, teraz idź i bądź mężny. Ja muszę się wypaść przed jutrzejszą próbą.

Genezyp uczuł się zranionym do głębi, ale nie dał nic po sobie poznać. Wszystko zdawało mu się znowu takie nadzwyczajne, tak jakoś na milutko przepojone płomienną esencją dziwności życia — właśnie tej nie pojęciowej, tylko bezpośrednio danej. W jaki sposób? Chyba w samym przeciwstawieniu się indywidualnemu temu, co nie jest nim samym. Mroczny, bezsensowny świat, palący się metafizyczną grozą, jak górski krajobraz w zachodzącym słońcu, i zabłąkane istnienie samotne, przesycone tą samą tajemnicą, która wypełnia wszystko. Właściwie powinno by się złąć z tym wszystkim, powinno by nie być nic, a jednak odgraniczone w niewiadomy sposób „ja” trwa oddzielnie ku zgrozie własnej i innych podobnych mu nędzot. To był szczyt metafizyki Zypcia. Tak — to wszystko *jest* takie, a ona...? Głupia kurka! Byle tylko „alibi” i niech ją... Patrzył na szafkę z toaletowymi przyborami, jak na rzecz najdziwniejszą na świecie całym. Przynależność tych przedmiocików — (należących do tamtego, metafizycznie obcego świata) — do tego właśnie istnienia oddzielnego, no, tej siostry, wydała mu się czymś potwornym aż do śmieszności. Rzadko ten, który ma siostrę, jest w stanie odczuć dziwaczność tego faktu. To stało się teraz. Wyróżnienie tej osoby właśnie spośród milionów innych i to wyróżnienie nie podlegające jego woli zdawało mu się ciężarem nie do zniesienia i przymusem gorszym od siły ciężkości i równań Maxwella czy Einsteina. (Jak raz się zrozumie, że fizyka nic nie może pomóc na niezrozumienie istoty Bytu, to tak mało już obchodzi to, z jakim przybliżeniem opisany jest świat. Między Heraklitem a Planckiem są już tylko różnice ilościowe. Co innego filozofia — ale o tym gdzie indziej). Ciągłe ocieranie się o tajemnicę w każdej chwili życia, w najtrywialniejszych nawet sytuacjach. Na szczęście świadomość tego nie trwa ciągle. Gdyby tak było, czyż można by czegokolwiek bądź w tym mizernym światku dokonać?

— Idź — powtórzyła Lilian zmęczonym, dziecinnym głosem. Już nie miał do niej pretensji, że nie mówiła do niego językiem jego własnej dziwności. Poczul, że był niesprawiedliwym i zrozumiał ją nie jako element obcego i groźnego świata, tylko jako cząstkę samego siebie w tamtym wewnętrznym morzu pustki i nonsensu. Znowu odwracał się od siebie ze zgrozą.

— Przebac mi, Lilciu. — rzekł czule zbrodniarz do siostrzyczki. — Byłem tak strasznie względem ciebie niesprawiedliwy. Życie rzeczywiste zanadto mną owładnęło. Wiesz, że właśnie teraz, po spełnieniu czegoś najbardziej i jednocześnie — z powodu bezprzyczynowości — najmniej rzeczywistego, poczułem może najbardziej moją egzystencję, jako tego, a nie innego kółeczka w całej tej maszynie naszego perwersyjnego społeczeństwa. A — podła rasa ci Polacy, a jednak... — i tu dopiero opowiedział jej całą historię z Lebakem. Na chwileczkę rozbudziła się. A ten gadał dalej, czując, że tylko tym gadaniem trzyma się w ogóle przy życiu. Był tylko w tym — gdyby mu kto teraz przerwał, przestałby istnieć — niektórzy twierdziliby, że umarł. Po czym mówił znowu ogólnie, nie zwracając najmniejszej uwagi na męki Liliany: — Jak nic właściwie nowego nie ma do powiedzenia, nawet w takiej piekielnej chwili! Wszystko jest już powiedziane dawno. Stany nasze wzbogaciły się, ale nie język, który ma granice swego zróżniczkowania się w praktyczno-

ści. Już wszystkie permutacje i wariacje są wyczerpane. To ta bestia Tuwim i jego szkoła dokastrowała język nasz do końca. I tak jest wszędzie. Powiedzieć już nikt nic nie może — może jedynie powtarzać, z pewnymi zmianami, rzeczy dawno sformułowane. Zjadanie własnych rzygów. Może artyści mogliby coś opowiedzieć o stanach różnych i podać ich różnice, mimo że dwa normalne przyzwoite indywidua, do których by te stany należały, powiedziałyby identycznie to samo. — Nie wiedział, z jakim strasznym bólem nudy słuchała go siostra. On też cierpiał: wysiłał się na te słowa z obowiązku zakończenia tej sceny, w której za mało było uświadomionych głębi. Oto byli ludzie przełomu ostatecznego — przełom chroniczny, połowiczny trwa od Rewolucji Francuskiej. Już następne pokolenie nie będzie mówić wcale w naszym znaczeniu — tj. będzie mówić jedynie o rzeczach konkretnych, ale nie będzie babrać się w „duszy”, zohydzonej przez wszystkich parszywych literatników. Wiadomym stanie się powszechnie, że nic już nowego stamtąd się nie wybabwe. Na razie zmienne do pewnych granic zewnętrzne warunki, deformując z lekka psychikę, dają złudne poczucie nieskończonych możliwości. Ale już nawet literatura rosyjska kończy się, możliwości się zwężają: wszyscy drepną na coraz mniejszym kawałku, jak ci, co się schronili na topniejący kawał kry. A potem i proza pójdzie za Czystymi Sztukami w otchłań zapomnienia i pogardy. Bo czyż nie słusznie pogardzamy dziś sztuką? Dobry narkotyk jeszcze znieść można, ale narkotyk sfalszowany, podrobiony, nie działający tak, jak powinien, przy zachowaniu ujemnych skutków, jest rzeczą wstrętną, a jego producenci oszustami. A niestety proza dla prozy, bez *czysto* artystycznego usprawiedliwienia (jak usprawiedliwiają się odstępstwa od sensu w poezji), proza bez treści okazała się fikcją językowo zdolnych kretynów i grafomanów tzw. pełnych.

Straszna, zaświatowa (w tym znaczeniu, że *znikąd* na nią ratunku być nie może) nuda zawisła nagle nad tym nieszczęsnym dwojgiem. Poprzez jadalnię (skromną, ciemną, z ceratą na stole, z zapaszkami cykorii i cykaniem zegara) słycać było głośny chrap Michalskiego, w ciszy nocnej małego miasta. Kapala woda w rynnie od podwórza, padając z obsychającego po niedawnym deszczu dachu. Tak byłoby dobrze, aby móc zostać w tej pospolitości, zanurzyć się w niej po uszy, a nawet dać w nią nurka na wieki — doprowadzić nudę aż do stopnia jakiegoś strasznego szału. Niestety próżne to były marzenia. Poszukiwanie dziwności w pospolitości nikogo już dziś zadowolnić nie mogło. W literaturze nawet Norwegowie wyprztykali się na ten temat, nie mówiąc o krajowych landszturmistach normalnej beletrystyki. Czasy stały naładowane aż do pęknięcia pospolitością społeczną wyższego rzędu, która miała zalać świat w najbardziej niepospolitym wybuchu. Zypcio ucałował Lilian gwałtownie w same usta i doznał wstrząsu okropnego żalu: czemuż to ona jest jego siostrą, a nie tamta? Czemu wszystko na świecie jest jakby umyślnie poprzewracane, poprzesławiane, poprzekręcane? — pozamieniane role, dusze, fryzury, maście i inteligencje.

Zanurzył się znowu w mokre, przesiane bladym świtem ulice. O paręset kroków od domu przysunął się ku niemu jakiś cień. Z początku myślał Zypcio, że to tajny agent. Skulił się w sobie jak do skoku, ale nie pomyślał już biedactwo o nowej zbrodni. Widział przed sobą jeden ze znanych domów. Właśnie zapaliło się tam na piętrze światło. Dom ten był *inny*: nie był tu w tym sennym mieście, w tym kraju, na tej planecie. Tam byli zwykli, obcy, normalni i może porządni ludzie — stwory nie z *tego* (jego) świata. Był wyrzutkiem, który nigdy już tu spokoju nie zazna. Spuszczony wreszcie z łańcucha, ale bezdomny pies. Zachciało mu się popłakać nad sobą w jakimś kąciaku i umrzeć. A tu rzeczywistość, w postaci tego strasznego podłażącego doń człowieka, zmuszała go do jakichś wstrętnych działań. Odtąd wszystko będzie negatywnym, choćby nie wiadomo czego dokonał — będzie tylko wymigiwaniem się z płataniny, którą sam wytworzył. Nieznany trup płynący byle jaką rzeką, w tym świecie bardziej był u siebie, bardziej na miejscu, niż on. A żyć musiał. Mimo że w tej chwili byłoby to łatwym jak splunięcie, wiedział, że samobójstwa nie popełni. Nie bał się niczego, ale otwierająca się teraz właśnie przyszłość podobna była do czyjś olbrzymiego rozprutego brzucha. Musiał wkręcać się w bolące do nieprzytomności czyjeś bebechy, sam będąc znieczulonym w nadludzkiej męce pojmowania oderwanego od wszystkich związków faktu istnienia.

W błysku gasnącej latarni zobaczył pod czarnym kapeluszem ciemną twarz i płomienne, naprawdę, bez ładnych żartów, natchnione oczy młodego Hindusa.

— Od pana Dżewaniego. Wiesz kto to? — szepnął nieznajomy, po polsku, z dziwnym akcentem. Zaśmierdziało z tej gęby jakby nieświeżym mięsem i mokrym mchem. Genezyp cofnął się ze wstrętem, macając automatycznie rewolwer w tylnej kieszeni od portek. — Niech sahib nie boi się — mówił dalej tamten spokojnie. — My wiemy wszystko i na wszystko mamy ratunek. Pigułki są w tym. — Wcisnął Genezypowi w rękę pudełeczko i karteczkę, na której ten odcyfrował w migającym świetle tej samej latarni (to wydało mu się dziwnym — ta obojętna tożsamość) (tamto schował do kieszeni jak automat) te słowa, napisane okrągłym, angielskim, kobiecym charakterem.

„Grzeszyć w pokorze, znaczy grzeszyć o połowę mniej. Nie przyznajesz się sam przed sobą do Twego obłędu, jakkolwiek on to jest istotą Twoich postępów. Naszą rzeczą jest zużytkować Twój obłęd i obłęd całego naszego nieszczęsnego świata dla wyższych celów. Chciej *wiedzieć*.”

Genezyp podniósł głowę. Hindus znikł. W uliczce na lewo słychać było spieszne, oddalające się, *miękkie* kroki — ale trochę wyglądało to jakby pełznął tam jakiś gad. Dreszcz mistycznej już teraz (nie metafizycznej — to wielką różnicą: strach przed całością bytu, a strach przed nieprawidłowością pewnej jego części) przeszedł całe ciało Zypcia. Więc ktoś (kto, na litosierdzie!?) wiedział o każdym jego kroku?! Dawano mu poznać, że może i tamto... O, Boże! Poczul się wymoczkami w kropli wody na szkiełku, pod jarzącym światłem jakiegoś olbrzymiego ultramikroskopu i diabli wzięli wszelką beztróskę i swobodę. Tym niby wewnętrznie wyswabdzającym „czynem”, na zewnątrz zaplątał się w jakąś straszliwą niewidzialną sieć, wpadł w dawno przygotowany wilczy dół. On, który przecie Piętalskiego wyrzucił wtedy w morze, on, przyszły adiutant, mamin-syn i drań! On, którego metresa była pierwsza w kraju wlań! Zupełnie zimno mu się zrobiło. Teraz nie będzie już mógł być sobą i cieszyć się absolutnością oderwanego życia, w którym najdzikszy przypadek stawał się nieodpartą koniecznością, a najnieubłagą konieczność cudem skończonego „dowolu” — (banał — od „banalny”; dowól — od „dowolny”). Poczul się ostatnim psem, ale na jakże dziwnym łańcuchu! Rozpaczliwie targnął głową, ale niewidzialny łańcuch nie puścił. „Chciej wiedzieć” — co za ironia! To baba jakaś pisała. „Czyż jest ktoś, co by więcej chciał wiedzieć ode mnie? Ale jak? Dajcie mi ten sposób! Nie opuszczajcie mnie teraz!” — krzyczał niemy głośnie, a zimne przerażenie potęgowało się w nim, aż do zawrotnych rozmiarów. Zjeżył się cały, skolczał i nastroszył przeciw niewidzialnym wrogom, czy wybawcom — nie wiedział. Namacał w kieszeni pudełeczko z pigułkami i nagle uspokoił się, jak furia po zastrzyku morfiny. To była ostatnia stawka: dawamesk, Bz. Wszystko, co tak niby realnie działo się tu przed nim, wydało mu się teraz drobinką, odpadkiem Wielkiej Tajemnicy, większej od wszystkiego, co dotąd kiedykolwiek odczuwał. Ale tajemnica ta miała realne macki, którymi wciągała brutalnie w obręb swego działania. Ten śmierdzący Hindus to było jedno z tych jej wciągadeł — zapewne najniższej klasy.

Słyszał już dawniej Zypcio o tajemniczej wierze Dżewaniego, prześladowanej podobno przez zaciekle czystych buddystów, po tamtej stronie żółtego muru. Czemu podobno? Bo oto niektórzy twierdzili, że Dżewani jest wysłannikiem bynajmniej nie — (może fikcyjnego) Murti Binga z wyspy Balampang — tylko tychże samych żółtych małąp, które rżnęły teraz na Europę, że od wiary jego do buddyzmu jest tylko jeden mały kroczyk w tył, który zrobiono specjalnie dla zamydlenia oczu Wielkim Białym Durniom z Zachodu i że wszystko to służyć miało jako ogłupiający podkład dla łatwiejszego opanowania tychże Wielkich Białych Durniów i uczynienia z nich nawozu i „odświeżki” dla żółtych mas Dalekiej Azji. Drażniła Zypcia kiedyś naiwność gadań tego gatunku na temat polityki i społecznych przemian. To niemożliwe, żeby jeszcze w naszych czasach tego rzędu koncepcje mogły być siłami przetwarzającymi ludzkość i tworzącymi historię. A jednak miał na sobie sprawdzić ich potęgę. Przyczyniał się do tego piekielny narkotyk, którego wizyjne działanie przechodziło po stokroć najoczywistszą rzeczywistość. W całości, historia ludzkości zdawała się Zypciowi czymś wielkim, strukturalnie pięknym i koniecznym. Ale jeśli wejrzeć było bliżej w ten cały bałagan, to głównymi siłami były: a) ordynarny brzuch (pański czy chamski — wszystko jedno) i b) bzdura, zwykła w tysiącnych postaciach, bzdura, osłaniająca ostrożnie wyliniałą dziś intelektualnie Tajemnicę Bytu. Na przykład cała ta wiara Dżewaniego, którą protegowali obecnie podobno nawet sami:

minister oświaty, pułkownik Ludomir Swędziogolski i kanclerz skarbu, Jacek Boroeder, będący w tej sekcji również podobno trzecim wcieleniem Granicznej Istności, czyli jednym z trzecich z rzędu po Murti Bingu. A wiadomo było, że to gruby rozpustnik i cynik pierwszej klasy, podejrzany o grube świństwa w wojennych dostawach za czasów Krucjaty. Ha, może oni mają... Ta, ta, ta, ta... itd. Nagła salwa kulomiotów, dość bliska, na tle zupełnej ciszy, była dla Zypcia jeszcze większą niespodzianką, niż spotkanie ze śmierdzącym Hindusem. Drgnął, ale nie ze strachu, raczej jak koń cyrkowy na dźwięk kawaleryjskiego marsza. Nareszcie! Był to bądź co bądź pierwszy wypadek w jego życiu, że coś podobnego naprawdę, a nie na ćwiczeniach posłyszał. Bunt — Syndykat — Kocmołuchowicz — Piętalski — mama — trup z młotkiem w głowie — Persy — Lilian — pigułki — oto był szereg asocjacji. „Aha — znowu jestem, jestem naprawdę” — krzyczał w nim ustami ohydneho draba z dna dawny Zypcio. — „Jestem i nie dam się. No — ja im pokażę.” Pędem puścił się w kierunku niedalekiej szkoły. Za dwie i pół minuty zobaczył między domami piętrzący się na wapiennych skałach ponury gmach. Ani jedno światło nie „błyskało” w tej części od strony miasta. Biegł bez tchu schodami kutymi w skałę. Jednak ten wstrząs był wyższej marki. Nic nie mogło być bardziej w porę. Teraz na tle tej salwy tamto wszystko zdawało się nędznym snem. Ojciec razem z wodzem schwycili go w swoje szpony, nie bacząc czy trzymają dawnego chłopczyka, czy gościa z dna. W tym był istotny sens tego huku czy trzasku, raczej czegoś pośredniego. Zbity w jedną kupę bezimiennego junkra dopadł do niższej bramy. Była otwarta — strzegło jej sześciu drabów z piętnastego ułanów. Nowość. Przepuścili.

Tak — rzeczywistość przemówiła niezaprzeczalnym, jednoznacznym językiem międzyludzkiej śmierci na wielką skalę, wdarła się, po raz ostatni może, w zaczarowany krąg schizofrenicznej samotności. Trudno np. znaleźć abstrakcyjny metafizyczny pierwiastek w ryczącej baterii jedenastocalowych haubic (tu wystarczyły kulomioty) — chyba w dalekim wspomnieniu tego zjawiska, lub w wypadku zupełnego zblazowania. Realne jego przeżycie wywołuje raczej (u wielu, nie u wszystkich) pierwotniejsze stany religijne, w związku z wiarą w osobowe bóstwo i prowadzi do znanych powszechnie modlitw ludzi niewierzących w chwilach niebezpieczeństwa.

BITWA I JEJ KONSEKWENCJE

Genezyp zaszedł za ciemny węgiel i ujrzał, że cały tył gmachu płonął wszystkimi oknami, oświetlony „*a giorno*” (jak lubiła mówić hrabina-babcia), mimo że faktycznie robił się już dzień. (Wskutek zakrycia skrzydłami bocznymi, ustawionymi pod kątem do głównego trzonu, nie widać tego było od frontu — ważny szczegół!) Pełen dzikiego bojowego ognia (był w tej chwili zupełnym automatycznym bydlakiem, tylko *nad* „czołkiem” płonęła mu gwiazdka *bezimiennych* ideałów, jak nad tą damą na rysunkach Grottgera) młody junkier (a nie człowiek bynajmniej) wpadł na schody i popędził do swego szwadronu. Twarze przeważnie były blade, szczególnie u starszych panów, a oczy mętne i zniechęcone. Jedynie na paru młodszych pyskach widać było ten sam głupi zapal, co u Zypcia. Co innego byłoby, gdyby grała orkiestra i sam Wielki Kocmołuchowicz był obecny. Trudno — nie może być przecie wszędzie. O ileż łatwiejsze pod względem osobistego działania były dawniejsze bitwy.

Gdy zameldował się dyżurnemu oficerowi, ten rzekł spokojnie:

— Gdybyście się spóźnili o pół godziny, poszlibyście pod sąd wojenny. Tak skończy się na areszcie.

— Nie dostałem rozkazu. Siostra zachorowała na bardzo ciężką anginę. Byłem u niej całą noc. — Te słowa pierwszego nieomal w życiu oficjalnego kłamstwa, wykwitły jak blade storczyki na potwornej (pożal się Boże) kupie świństwa całej przeszłości. Na wierzchu tego śmietnika leżał trup z młotkiem we łbie. Szybko odegnał Zypcio ten obraz. Głos z innego świata, tego niby-rzeczywistego, mówił dalej:

— Nie tłumaczyć się. W rozkazie wieczornym, któryście samowolnie opuścili odalając się przed dziewiątą, stało jak byk, że dziś wszyscy junkrowie nocują w gmachu szkoły.

— Czy pan sądzi, panie poruczniku... —

— Ja nic nie sędzę. Proszę na miejsce — rzekł młody człowiek (Wasiukiewicz) tak zimno (ale zimno-jadowicie — po chamsku), że Genezyp, rozgorzały cały od wewnątrz, a nawet i na policzkach „świętym” ogniem młodzieńczej awantury i chęci *polowania raczej jako takiego*, a nie mordowania (tego na razie miał dosyć), zmienił się w kupę zastygłego *wojennego* żelastwa, takiego prawie że na szmelc, dobrego do trenu, szpitala lub kuchni ale nie na front! Tak zmarnowano mu tę chwilę, przez głupie formalności. Ale mimo wszystko rad był wprost piekielnie z całej tej „przygody”. Ideowa strona walki nie obchodziła go w tej chwili nic — zajmowały go tylko konsekwencje osobiste, a śmierć zdawała się nie istnieć wcale. Najgłupszy stan w świecie, który tak sprzyja wszelkim „wojennym dziełom” na niższych szczeblach wojskowej hierarchii. Zdawało mu się, że kadaver nieznanego brodacza wsiąknie w tę krwawą burdę bez śladu, zresorbuje się, wetrze się w skórę nadchodzących wydarzeń, których sensu, mimo wszystkich poprzednich rozmyślań, obecnie nie pojmował wcale.

Z daleka znowu zaklekotał kulomiot, a potem odezwały się bliższe pojedyncze karabinowe strzały i coś jakby daleki, daleki wrzask tłumu. Po cichu mówiono w szeregu, że akcja nastąpi w szyku pieszym. Dotąd nie było mowy o koniach. Wszyscy, z wyjątkiem zajadłych konnych cyrkowców, byli temu radzi — jazda po mokrych „kocich łbach” i asfalcie! — żadnemu normalnemu kawalerzyście nie uśmiechała się ta perspektywa.

— Baczość! — podwójny szereg zamarł. — W prawo zwrot! Dwójkami, równy krok, marsz! — rozległa się komenda. Genezyp poznał głos Wołodyjowicza — (nie widział go spoza filarów). Więc to on będzie dowodzić szwadronem — ten jego główny „wróg” szkolny, między oficerami. Co za pech! Ale mimo to wypiął się przed siebie z taką siłą, że przez chwilę zdawało mu się, że już jest tam, gdzie rzną się ogłupiałe bydłeta ludzkie, aby innym bydłatom kiedyś było troszkę lepiej. Idee! Boże — cóż to za szczęśliwe były czasy, kiedy idee naprawdę unosiły się nad podobnymi jatkami — teraz nikt nie wiedział nic. Oberwały się wszelkie wątpliwości jak napięte szelki — coś opadło w środku i wola osobista ustąpiła miejsca poczuciu zupełnego bezwładu jaźni — tylko system mięśniowy, któremu przewodził morderczy drab wewnętrzny, naprężył się jak transmisja maszyny puszczanej w ruch przez dalekie centrum sił. W lekkiej pustej głowie unosiły się obrazki: wolne, bezprzyczynowe, zdematerializowane. Poczul Genezyp głowę swoją jako coś wklęsłego, jako przepaść, a nad nią te fantazmaty, jak motyle jasne w słońcu. Ale czym było to słońce, które je oświetlało? „Środek Bytu” — tajemnica nieskończonej przestrzeni i zanikająca jedność osobowości jak czarny ekran, na którym rysują się pojedyncze obrazki, *ale która zasłania niepojętą wszystkość. Inaczej nie byłoby nic.* „A ja żyć będę, psiakrew, bo jeszcze nie wypełniły się losy i jeszcze pokażę...!” — mówiły mięśnie. I na tle tej dziwności czerwona ściana stajni po drugiej stronie, a nad nią ołowiane niebo letniego, chmurnego poranka. „Więc dopiero tu jesteśmy?” — zdawało się, że upłynęły lata. „Nigdy nie poznam już rzeczywistości” — szklanna gruba szyba zapadła między Genezypem a światem. Nie przebiją jej nawet kule żołnierzy Syndykatu Zbawienia. Pryśnie razem ze śmiercią chyba. To, co dawniej było motorem wielkiej twórczości (tajemnica jaźni), bohaterską walką indywidualium o miejsce we wszechświecie, — miejsce w znaczeniu metafizycznym, nie społecznym — dziś jest tylko gnijącym ogonkiem obłądowych zagmatwań zdegenerowanej rasy schizoidów. Pyknicy i baby zaleją ich wkrótce, zatłamszą zupełnie — wtedy nikomu już nie będzie źle w świetnie zorganizowanym mrowisku.

Głos nienawistnego rotmistrza, obciążony teraz groźnymi, *prawdziwymi* komendami, przypomniał Zypciowi pierwszą wizytę księżnej w szkole. Jakże dawne to były czasy! Prawie nie poznał siebie w tamtym zahukany chłopczynie z przeszłości — on, junkier idący w prawdziwą bitwę, prawdziwy morderca i wariat. Pierwszy raz sobie to uświadomił, że może to już... Nie było czasu... Ostatni obrazek: Drab zrastał się z nim: jeszcze w niektórych częściach (duszy) widać było dawnego chłopca, pożeranego przez ciemną beztwarzową postać tamtego. Zobaczył to Zypcio prawie plastycznie, jakby z boku. I zdawało mu się (oczywiście) przez chwilę, że ten niedawny więzień, a teraz pan, ma brodę, taką samą jak tamten zamordowany pułkownik, tylko czarną.

Wyszli na miasto i ulicami spadającymi w dół brnęli w lepkiem błotku ku przypuszczalnemu ognisku całej awantury. Znowu zionęło z wewnętrznych rezerw ducha zupełną dezynwolturą i lekkomyślnością wprost piekielną. Takie okrzyki jak: „Hajzaha! O hej!

Hajda!” itp. (gdyby nie były zbyt wstrętne oczywiście jako takie) mogłyby teraz być na porządku dziennym. A jednak, mimo że „oczyszczający płomień zaczynał już *oto* pożerać powoli od brzegów świnstwo ogólnego marazmu”, Genezyp czuł, że gdyby nie spotkanie z wysłannikiem Dzewaniego, wszystko to nie byłoby takim właśnie lekkim i beztróskim jak w tej chwili. Był to jedyny punkt tajemniczy, posiadający jaki taki urok we wstrętnej jasnej pospolitości obecnego przekroju rzeczywistości i to nie tylko tu, zdawało się, ale we wszechświecie całym. Cały świat dawny, z tajemnicami i cudami, przedstawiał się teraz jako niebezpieczny i męczący chaos, pełen rozkosznych schowków, ale również i plugawych zasadzek; nieznanymi możliwościami, ale i mąk rozdwojenia i wynikających stąd bardziej realnych inkomodacji. Przykład: historia z pułkownikiem — na więcej takich „przeżyć” nie miał Zypcio ochoty, a jak zapanować nad czymś, co dzieje się samo, bez żadnego udziału kontrolnych aparatów? (Pigułki miał przy sobie — to jedno było pewne). Cała obecność (może z wyjątkiem np. takiej *oto* wewnętrznej ruchawki lub chińskiego muru w oddali — tajemnic drugiego stopnia) była jaskrawo-jasna, prosta, z wewnętrznego punktu widzenia przynajmniej zupełnie bezpieczna — bez kryjówek, w których czailiby się wrogowie-sobowtóry, ale też i bez tzw. „uroczych zakamarków”, do których można by uciec w każdej chwili, mając dość rzeczywistości. Ale przede wszystkim było to nudne — nudne jak cholera, jak chroniczna gonorea, jak klasyczna sztuka, jak materialistyczna filozofia, jak ogólna dobroć wszystkich względem wszystkich. I gdyby nie ta bitwa na ten ranek jakby obstalowana, to nie wiadomo jakby jeszcze było — może by doszło i do samobójstwa. Jedyną iskierką tajemnicy wyższego rzędu była ta nowa religia. Jej, jak „ostatniej brzytwy”, chwytali się wszyscy prawie, czując, że poza tym nie ma już absolutnie nic, prócz naukowej organizacji pracy. A dla niektórych było to bardzo mało. Szczególniej cierpieli ci, którym od dzieciństwa pompowano do mózgow wzniosłe a blade ideały, a potem kazano być bezmyślnymi maszynkami w imię tychże ideałów. Jakże tak można — a fe!

Postanowił Genezyp, że jeśli przeżyje ten „mętlik” (jak w sferach zbliżonych do Kocmołuchowicza nazywano projektowaną rewolucję Syndykatu Zbawienia), to musi zapoznać się bliżej z doktryną nowej religii w całej jej rozciągłości. Zwykle bywało tak, że taki osobnik zażywał pigułki, a potem już szło jak po maśle. Zypcio postanowił na odwrót: najpierw poznać, a potem zażyć. Ale w praktyce okazywały się zwykle postanowienia takie niewykonalnymi. Problem, czy Kocmołuchowicz już zażywał, czy nie, roztrząsany był przez wszystkich bezskutecznie. Nikt nic nie wiedział na pewno.

Przed placem Dziemborowskiego (nikt nie wiedział na pewno, kto to był ten Dziemborowski) rozsypano ich w tyralierę w szerokiej kasztanowej alei. Tam gdzieś łupiono coraz silniej. Zaczynał się dzień szary, splakany, ohydny. Jakże daleka była ta chwila niebyłej jeszcze, a już potencjalnie zcodzienniałej walki, od tego wiosennego popołudnia, kiedy to przy dźwiękach bebeczowych orkiestry szkolnej „natychała”, „*der geniale Kotzmlukovitch*” wiarą swoje przyboczne automaty. Czemu nie można ginąć (teoretycznie — w istocie nie było o tym mowy) w takim właśnie układzie, jak wtedy. Rozdźwięk między przedwojennymi akcesoriami, a samą wojenną robotą — nudną jak każda praca dla niespecjalisty, stawał się coraz bardziej przykry. Ogarnął Genezypa głuchy gniew na jego „nieud” (pech) życiowy — wszystko nie to, psia-krew, jak gdyby ktoś się zawziął na niego. I złość ta momentalnie przeszła w tzw. „dziki szał bojowy” — gryzłyby teraz na strzępy członków Syndykatu, gdyby ich miał pod ręką — ale same główne figury, a nie biednych, omamionych oficerów i żołnierzy, „przelewających swą krew”, aby taki Piętalski na przykład mógł żreć codziennie swoje poranne (!) ostrzygi z szampanem (!).

A tu nagle gruchnęły z pustej pozornie ulicy pierwsze bliskie karabinowe wystrzały. Potworny był hałas między domami — jak gdyby strzelała artyleria. Cała piękna wściekłość zmieniła się znowu w obrzydliwe niezadowolenie, że właśnie w takiej nędznej miejskiej ruchaweczce, a nie w „prawdziwej” bitwie... A — niech to...! I znowu wściekłość. I tak ciągle. Nic nie mógł pomóc tu nawet sam Kocmołuchowicz, siedzący gdzieś w dalekiej stolicy — działał dobrze na dawnego chłopca, na „draba z dna” nie miał jeszcze gryfu, mimo że (ale to szeptem) były gdzieś pod kanapami czy w wychodkach bezosobowe wątpliwości, że no, no, że czy i on sam (o Boże! — skąd tyle odwagi?) nie był czasem takim samym „drabem z dna” — swego własnego wyrobu oczywiście, a nie sobą, tym prawdziwym. Uf — kamień spadł z serca.

Zbuntowany 48 pułk piechoty, w którym nie dało się (z tajemniczych powodów) przeprowadzić rozproszkowania idei narodowych syndykalistów — [mówiono po prostu, że to „wrodzony patriotyzm” — furda! panie tego — w dzisiejszych czasach! Kpiny. Czemu właśnie w czterdziestym ósmym a nie dziewiątym? Przecież różnice zaborowe należały dawno do mitów. Cudne czasy — prawda? A tu Chińczycy. Buxenhayn mawiał często po pijanemu do Lebaca: „niepunktualnością tylko Polska stoi — gdyby była punktualna, powinno by jej już dawno nie być”. A gdyby można tak po mordzie tych draniów. Ale nie — „druhowie ostatniej demokracji” byli nietykalni — chyba ich tak urządzić jak Zypcio, pijanych, w cywilu, w ciemnej uliczce.], a więc pułk ten łupił nieregularnym ogniem po półokrągłym placu graniczącym z aleją, z dwóch narożnych domów, pospolitych jak wszystkie domy w nowych dzielnicach, a jakże w chwili tej niezwykłych i dziwacznych. Zdawały się domami z innego wymiaru, domami nieeuklidesowymi, hyperdomami, domami po prostu z bajki. Były to piekielne jakieś pałace, w których mieszkała sama śmierć ucieleśniona w kilku durniach ze starymi niemieckimi karabinami w rękach, nastawionych na bezecne, wprost nieprzyzwoite czynności, przez paru jeszcze gorszych durniów, bo przekonanych mimo dureństwa, że w nich się wcielił duch narodu, a w gruncie rzeczy chcących dobrze zjeść, wypić i poobląpić.

Gdzieś daleko za miastem bęcnął ciężko wystrzał armatni. Była w tym groza podobna jak w nadchodzącej z oddali burzy — ale tam było to rozproszone w naturze, tu skondensowane po ludzku, w określonym punkcie, którym mógłby być brzuch słuchającego — inaczej nie da się to wyrazić — ucłowieczony żywiol. Genezyp zamienił się cały w słuch — zdawało mu się, że ma uszy jak nietoperz. Bądź co bądź to *była* prawdziwa bitwa, jakkolwiek w parszywych warunkach się odbywała. Trzeba było przeżyć ją możliwie świadomie, choćby dlatego, aby móc mieć potem o tym swoje zdanie i odpowiednio to opowiadać. Przede wszystkim należało zapamiętać dobrze wszystkie odgłosy. Mimo długiej tresury nie mógł przyszyły oficer zdobyć się na najmniejsze techniczne zainteresowanie — jako problem taktyczny nie obchodziło go to nic. Gdyby tak mógł w tej chwili dowodzić dywizją, byłoby całkiem co innego. Ale mimo tytanicznych wysiłków, tak wielkie wytworzyło się pomieszanie materii, że nigdy potem nie zdołał Zypcio zrekonstruować wszystkich wrażeń w ich pierwotnych wzajemnych stosunkach. Przeszła noc, zarówno jak i ten nieubłagany zaczynający się dzień, były w stosunku do przepływania czasu wielowymiarowe — nie dawały się w całości wtłoczyć w sposób adekwatny w normalne formy ujmowania byłych zjawisk. Jedno było pewne, że noc ta wsiąkała w aktualnie przeżywany ranek jak jakaś wstrętna wydzielina w dobroczynną gąbkę — bladła i nikła coraz bardziej.

Mimo wszystkich „niedokładności wykonania” wypadków, pierwsze bzyki kul powitał jednak Genezyp z rozkoszą wprost nieludzką. Nareszcie! (Być „ostrzelanym” było marzeniem wszystkich młodych junkrów. Oczywiście lepsza byłaby rzeźnia *en règle* z okopami, tankami i huraganowym ogniem artylerii. Ale dobra psu i mucha). Za to stuk tychże kul o ściany kamienic z tyłu był już o wiele mniej przyjemny. Zbyt krótko trwał zapal. Gdyby jeszcze tak zaraz można było pójść do ataku na noże, byłoby cudownie. Ale nie — zatrzymano ich tu pod ogniem bez żadnego sensu (wszystko przeważnie, co robią dowódcy, wydaje się żołnierzom bezsensownym), kiedy, zza niezbyt wspaniałych kamienic Dziemborowskiego placu, wyłaził ponury, powszedni jak mycie się i golenie, letni dzień, odziany w poszarpane, znoszone jakby płachty szarych, upiornie pospolitych chmur. „Wszystko idzie za szybko, wszystko kończy się w jakimś krótkim spięciu i na nic naprawdę nie ma czasu” — myślał z żalem Genezyp w przerwie od ognia. Ach — gdyby można to tak z „góry na dół” przemyśleć, unieść się ponad to i już z tym, jako swoją własnością w bebeczach rznąć dalej gdziekolwiek bądź. Niecne złudzenie. Bitwa rozlaźliła się w rękach jako coś tak nieuchwytnego, jak dzikie harmonie muzyczne w jakimś utworze Tengiera. Szereg bezsensownych sytuacji i czynów bez żadnej kompozycji i co gorsze bez żadnego wdzięku. Czasami tylko tryskało wewnętrzne światło i na chwilę maleńką świat płonął jak w błyskawicy, w pięknie ostatecznego zrozumienia i gasł znowu, pogrążając się w sam ekstrakt pospolitości, spotęgowany tym, że pospolitość ta była z pewnego punktu widzenia (porannej kawy, spokojnych ćwiczeń, erotycznych przeżyć np.) niesłychanie niezwykła, nie tracąc nic z szarżyny i nudy, z którą można by porównać garnizonowy regulamin. Leżał teraz Zypcio za jednym ze słupów balustrady, otaczającej mały skwerek pośrodku placu. Miejsce to, gładkie, zwykle aż do bólu, nieinteresujące w swych detalach

ani trochę, zdawało się być terenem pełnym wzgórz i dolin, tajemniczym na tle nieznanego z sekundy na sekundę losu i ważnym niezmiernie w niewytłomaczony sposób — był to przykład jaskrawy z lekcji taktyki żołnierza w tyralierze. Wszystko to jednak było potencjalne — nie było rozkazu ognia — bezczynność wydłużała czas zdawało się aż poza krańce wieczności. Robiło się coraz jaśniej, coraz parszywiej. Znowu „głupiość” tej bitwy odebrała życiu cały urok. Sytuacja obecna i wizyta Kocmołuchowicza w szkole zdawały się być dwoma światami bez żadnego związku, bez żadnej transformacyjnej formuły. Nie wiedział Zycio, że każda bitwa wydaje się w ten sam sposób głupia nie tylko prostym żołnierzom, ale i dowódcom kompanii i szwadronów, a nawet batalionów i pułków, chyba że mają oni określone i bardzo absorbujące zadania do wypełnienia. Co innego jest z oficerami dowodzącymi wyższymi jednostkami bojowymi. „*Réfléchir et puis exécuter — voilà la guerre*” — przypomniało mu się zdanie Lebaka, podczas jednej ze szkolnych wizytacji. Ani na jedno, ani na drugie nie było tu miejsca. Cóż można było wymyślić w stanie „spieszenia”, leżąc na brzuchu za słupkiem na ponurym, głupim (koniecznie) miejskim skwerku i co można było w tych warunkach wykonać? Nie było w co i w kogo strzelać. A tamci zaczęli „grzać” znowu i znowu „piukały” kule i stukwały tępo o ściany domów i pnie drzew z tyłu. Bezsens stawał się coraz straszliwszym i z wolna, dookoła twardego trzonu „bohaterstwa” zaczynała krążyć zwinna jak łątka myśl, że za chwilę może tego wszystkiego nie być (albo może być gdzieś w ciele jakaś wściekła boląca dziura), bo przecież, według rachunku prawdopodobieństwa, któryś z tych durniów trafić musi.

Nagle wypadł zza budki gazetowej zastępca dowódcy korpusu, major Węborek i ryknął: ale nim ryknął teraz właśnie (w porę zaiste), przypomniał sobie Genezyp, że ten jego trup też się tak właśnie, a nie inaczej nazywał. Ta koincydencja zastanowiła go i poczuł, że bezkarnie z tej awantury się nie wywinie — jeśli go nie odkryją jako mordercy, to tu nastąpi zaświatowy wymiar kary — „*ili raniat, ili ubijut*” — jak mawiał jeden z agentów Cara Kiryła, książę Rozbuchanskij. Że też mógł nie połączyć tych kompleksów: oczywiście stryj tego, były (przelatany) lotnik. I tu właśnie ryknął rozbestwiony major:

— Za mną, dzieci Wielkiego Kocmołucha! — i popędził jak nieprzytomny z szablą w rękę, w kierunku różowiejących w pochmurnej poświacie ranka domów naprzeciwko. Cała tyraliera pomknęła za nim. Ujrzał Genezyp cztery ogieńki w oknach kawiarni narożnej i rozległ się znowu nieznośny (już teraz otwarcie) klekot maszynowego karabinu i trwał od tej chwili bez przerwy czort wie jak długo. „I po co właśnie w tej chwili? — Za godzinę, za kwadrans, byłbym zdolny do wszystkiego. Tak — ale może nie *tu* — w jakimś jarze, na jakichś szkarpach (?) fortu, na jakimś przyczółku mostowym, psia-noga, ale nie tu, na tym zagwazdranym placu Dziemborowskiego” (bodaj przeklęty był do stu pokoleń ten ogólnie nieznan, wielki człowiek tego miasta i okolicznych przysiółków). Zupełnie już bezrozumna wściekłość ogarnęła Genezypa. Rwał jak opętany i wszyscy inni też. Pewno myśleli identycznie to samo co on i różni teraz na pysk za pędzącym *zdawało się* wśród gradu kul Węborkiem. Ale kulomioty wzięły za wysoko i junkry nie straciwszy ani jednego człowieka, wpadły na terasę kawiarni. Rozpoczął się bój ręczny — przeciwnicy, nieszczęśliwi durnie z braterskiego czterdziestego ósmego, ze strachu wypadli naprzód z drzwi kawiarni kupą i werżnęli się w podwójną tyralierę junkrów, która zaginała się właśnie i skupiała od skrzydeł. Straszne to było łupienie. Ktoś (może i „swój”) wyrzwał Genezypa kolbą w goleń. Na tle piekielnego bólu bezsensowność tego, co się działo, doszła do niewiarogodnego natężenia, a z nią spotęgowało się zezwierzęcenie do granic płciowej nieomal rozkoszy — (bo mówiąc otwarcie, bez fałszywych manigansów, czyż jest wyższa marka wstrząsu, niż właśnie to?). W ogóle już nikt nie wiedział co, gdzie, jak i po co — nade wszystko po co? Ale zdeklanszowane raz rozbestwienie i strach — jednych przed drugimi i przed szarym widmem dyscypliny wojskowej — pchały ich dalej w ohydłą jatkę z beznadziejnym uporem. O „ideach” nie było mowy — dobre są w sztabach i tajnych komitetach, ale nie tu, a i tam nawet były czasem wątpliwe w tych okropnych odbarwionych ze wszystkich kolorów czasach. Przeważnie przeżuвано tylko mdłą, przeżutą już dawno i wypluniętą przez przodków papkę: białą, trociniastą, bez smaku i zapachu. Ale niektórzy w tym widzieli ostatni ratunek dla ich ostatnich życiowych „używek”. I po to ci durnie różni się właśnie w ten paskudny dzień po ulicach ospałego, skisłego we własnym sosie miasta.

Walka, Wojna

Junkrowie mieli kolosalną przewagę nad świeżo pobranymi rekrutami. W dwie minuty już uciekała bezładna kupa ulicą idącą od placu w zamiejskie pustacie, a za nią pędziły opijani łatwym tryumfem „dzieci Kocmołucha”. Genezyp kulejąc potężnie rwał nieco z tyłu, ale mężnie. Widział przed chwilą jak jakiś podoficer rozwalił kolbą łeb nieszczęsnego Węborka. Słyszał jeszcze w pamięci na tle hałasu bitwy mokry (podobny do tamtego...) trzask tak oddanej generalnemu kwatermistrzowi czaszki. Tej doby dwóch Węborków zginęło prawie w ten sam sposób a w okolicznościach tak różnych. Zastanowił się nad tym z dziką jakąś satysfakcją, mającą związek tajemny z płciowymi podziemiami ciała — zdawało się to tkwić dalej nawet — w ziemi, w samym pępku wszechbytu. „Potworność metafizyczna istnienia” — Abnol — Lilian — Persy. Koziolkujące asocjacje żywych potworków już, a nie wyobrażeń, wplątywały się w tę zwierzęcą pogon za nieszczęśliwymi piechurami. Upojenie świadomym bydlęctwem i złem — byle tylko przeżyć ten dzień do końca. Teraz dopiero, jak już zaczęło być aż tak dobrze, zaniepokoił się Genezyp o swój los. Nareszcie, nareszcie połączył się definitywnie ten ohydny ranek z tamtym szkolnym popołudniem. Szkoda tylko, że nie było wódki i muzyki — ale i tak było nadspodziewanie niezłe. W jakimś odpadku sekundy uświadomił sobie Genezyp, że Kocmołuchowicz, jako „wódz-bożyszcz”, przestał dla niego istnieć. Oto jak wyglądała ta jego robota z bliska. Już nie wróci nigdy, jako nadludzki posąg-maszyna — dziwne bydle, na roztrzaskany piedestałek. Tu zostały jego okruchy na tym przeklętym Dziemborowskim placu. „Za plecyma” wodza odbyło się, na koszt jego uroku, połączenie tych niewspółmiernych chwil. Ten ciemny drab, którego się Zypcio kiedyś w sobie tak obawiał, nie był wcale taki zły: — był to przemyślny sprzymierzeniec, a nie żaden wróg — a przy tym był bestia odważny — to grunt. Ha — dużo był odważniejszy od byłego junkra — to był prawdziwy oficer. On to objął komendę nad wzburzonym ciałem, zorganizował i wypiął wszystkie flaczki w jednolity system sił i rozwydrzał teraz cały ten aparat do dalszej pogoni za tamtym nieszczęsnym bydelkiem. Bo przecież to nie byli ludzie, słudzy Syndykatu — to był pewnik nad pewnikami: omamione zwierzęta nieszczęsne. Aż nagle z jakiejś szparki, jak skorek, wypetłł dawny Zypcio (ten, co spuszczał psy z łańcucha) i coś szeptał zawzięcie o „mordowaniu swoich”, o miłości, o „kwiatkach” i wiośnie niepowrotnej, i snach dziwnych z okresu „przed przebudzeniem”. Ale już nikt go nie słuchał i tak zamarł stratowany bezosobowym bydlęctwem tłumu, tym całym gnającym junkierstwem, którego sam był bezwolną cząstką. Ktoś (czy nie Wołodyjowicz?) krzychał z tamtej strony byczym, grzmiącym głosem — „voix tonnante” — jak ten generał u Zoli.

— Pod ściany, pod ściany, kurdypielki!! — Zniknęła masa uciekających piechurów a z głębi długiej ulicy, ginącej w porannej, burej mgle buchnęły krwawo-czerwone błyski i cztery, prawie jednoczesne, straszliwe huki potoczyły się z szaloną szybkością ku nim. I jednocześnie jakby ktoś darł olbrzymie płótna w powietrzu i jakby olbrzymie, kilkumetrowe usta krzykogwidzały nazwisko filozofa Hume’a: „Hium, Hiiuuuum”. I znowu huki pękających szrapneli, ale inne: metaliczne, płaskie, krótkie, i grad kul (tym razem prawdziwy) po ścianach i szybach. Z tyłu zajeżdżały już na plac „nasze” armaty. Rozpoczął się pojedynek lekkiej artylerii, a piechury obu stron waliły spod ścian, leżąc na brzuchach po rynsztokach i na trotuarach. Teraz to było chyba coś w rodzaju bitwy. Ale uczucie nonsensu trwało gdzieś, nie wiadomo w którym kompartmentie ducha, ciągle. Na tle piekielnych łoskotów, wizgów, wyc, brzęków, łomotu i trzasku dartej powietrza slychać było jęki i ryki. Z dwóch stron łupily dwie baterie bez wytchnienia. Również bez wytchnienia strzelał leżący Zypcio, nie czując dwóch kul szrapnelowych w prawej łydce. Dzień był zupełny — wszystko naokoło bolało od niesamowitej aż w swej jasności zwykłości. Jeszcze trzy salwy armatnie „nasze” i tam cisza. A potem dudnienie dział po bruku — „nieprzyjacielska” artyleria cofała się w boczne ulice. I właśnie wtedy, zdawało się tuż nad głową, równocześnie prawie z westchnieniem ulgi: że „wszystko już dobrze”, pękł z nieznośnym trzaskohukiem daleki, zamiejski, ciężki szrapnel, wypluwszy całą swą zawartość gdzieś w tylne szeregi „nadciągających na czworakach” rezerw. Gorący gaz buchnął ołowianym ciężarem na głowę. Teraz poczuł Genezyp ból w nodze i dziwne zdrętwienie w całym ciele, a głowa była lekka, jakby pusta. W tej pustce zaświegotał nagle niepokój jak głupi, nieznośny, a przy tym kochany ptaszek. Teraz dopiero widać było, z jakich ciśnień i napięć wracał junkier do zwykłej rzeczywistości. Któż to zmierzy i kto wynagrodzi. Nikt — jeszcze mu „naplują za jakiś detal na brode”. Coraz gorszy niepokój.

Coś się jednak stało i to dość złego. Chciał wstać, ale prawa noga zdawała się być nie jego i olbrzymia przy tym do niemożliwości, dostosowana rozmiarami do uświadomionej wreszcie wielkości: 1) hukowi, 2) działającym siłom i 3) samej chwili historycznej jako takiej. Dopiero jak dostał, zrozumiał, że jednak dzieje się jakaś rzecz ważna nie tylko tu i dla jego kraiku, ale dla całej ludzkości, może i dla wszechświata. Zwierzęcy okres bitwy przebrzmiał — zaczynała się sublimacja — oczywiście tylko subiektywnie, dla Zypcia — dla innych nie było tej drugiej fazy do samego końca. [Na przykład Kocmołuchowicz przeżył ten czas w łóżku z Persy. Od czasu do czasu tylko brał z niechęcią słuchawkę telefonu. Tylko on mógł dzwonić — do niego nikt. Za małe to były wypadki na takiego tytana. On oszczędzał sobie gangliony dla prawdziwie wielkiej rozprawy: z ruchomym żółtym murem]. „A jednak żyję i jestem ranny” — pomyślał z szatańską rozkoszą Zypcio, już zupełnie jednolity, odproblemiony z dwoistości, dla nikogo, ani dla siebie w swej obecności i inności niepoznawalny, ten, a nie inny, może trochę „zmężniały” pod wpływem przeżyć, może trochę „dojrzały moralnie” (?), może wreszcie „poważniejszy życiowo” — cha, cha — nikt nie widział ani widzieć nie mógł (ani on sam), że tu leżał zupełnie ktoś inny, tylko w zewnętrznościach ciągly z dawnym zypciowym cielesnym raczej niż duchowym „ja”, a w ogóle *jakiś* dorosły oficer, powalony w ataku na ulicę Figlasów Michalika. Wywalił się znowu w rynsztok (ścieknik?) z rozkosznym poczuciem dokonania swego, spełnienia wreszcie jakiegoś pozytywnego czynu. Dotąd życie było usprawiedliwione i zbrodnie zmazane, raczej zamazane. Ale odtąd każda chwila wymagać będzie takich usprawiedliwień. Kto raz na tę drogę wejdzie albo: A) musi się doskonalić, albo B) bardzo intensywnie upadać i staczać się, albo C) zwariować dla wyrównania napiętych potencjałów między marzeniem a rzeczywistością. Śmierć nieznanego brodacza znikła ze świadomości jako jego, Zypcia, „dzieło” i odtąd miało trwać tak już zawsze. Po prostu stała się ona czymś zbyt małym i niedostrzegalnym w nowej skali przeżyć. Gdyby mord tego dokonał dawny Zypulka, byłoby to czymś strasznym — jako czyn tego drugiego, wzięte bezpośrednio stało się czymś takim jak rozduszenie karalucha. „Pigułki, och, pigułki — teraz nadchodzi pora”. — „Nie zdechnąć tylko z tych ran, a otworzy się życie wspaniałe, jedyne w swoim rodzaju, to a nie inne — takie, w którym w cząstkowatości przeżywa się aktualną nieskończoność świata, bez poczucia krzywdy ograniczenia”. To dają czasami narkotyki.

Powoli zatracano się poczucie własnej jaźni. Jasne już szaro-żółtawe, pochmurno-popolite niebo miejskie zakolysało się szerokim ruchem i stało się *tak dalekie, że aż nieskończone*, jak bywa tylko czasem w chwilach wyjątkowego astronomicznego natchnienia gwiazdzisty firmament. Domy na odwrót wywrócone zdały się na krótkie mgniénko brzegami otworu jakiejś potwornie wielkiej pieczary, zwróconego na tę ochrowo-mleczną pustą nieskończoność, zaktualizowaną jakby w swej metafizycznej monotonii i nudzie, ponad wszelkimi różnicami ziemskich „interesującości”. On leżał teraz przyklepiony do asfaltu jakimś ledwo trzymającym kłajsterkiem nad wiekuistą otchłanią nieskończoności. Trotuar był podłogo-powałą tej wiszącej nad samym niebytem groty. Czarne, miękkie płyty wśród oślepiających kręgów zawirowały cicho, złowieszczo-dyskretnie = mogło być przecie coś więcej w tej ostatniej chwili. Zasnęła wszystko ciemna mdłość i nieznośne cierpienie, zupełnie nieokreślone — w nim zaprzepaściły się tamte bóle bez śladu. Wypełniło ono zdawało się wszystko aż po brzegi, a nie tylko jego ciało, i wyparło gdzieś na zimne, ciemne krańce duszy wszystką poprzednią rozkosz. Nie można było tego wytrzymać. Świadomość zgasła na ostatniej kondygnacji poznania, gdzie już, już, już wszystko miało stać się raz na zawsze jasnym, pewnym i zrozumiałym, jak ten nieznośny „niedoból” (*malaise*), rozsiany po ostatnich zakamarkach wszystkości. „Może to śmierć — ale przecie dostałem tylko w tę przeklętą nogę” — ostatnia myśl zarysowała się w nieznanym, a mimo to w *prawie* niezrozumiałych znakach na absolutnej pustce bez nazwy, pustce, w której duszącym jak dym siarkowy wnętrzu nie było już miejsca na osobowość. Przekłuta szpilką ostatniego błysku: „że to może ostatni raz...”, pustka pękła i Genezyp wśród szalonych nudności (metafizyczno-psycho-fizycznych) chwilowo przestał istnieć (sam dla siebie, *jako taki*).

OSTATNIA PRZEMIANA

Gdy się ocknął, leżał w białej sali szpitalnego szpitala, a jednocześnie leciał w dół z niepojętą szybkością i te dwa sprzeczne stany zmieniły się szybko w realną chęć niepowstrzymanego rzygania. Wychylił się. Ktoś podtrzymywał mu głowę. Jeszcze przed rzygnięciem zobaczył Elizę, tę z pierwszego rautu u księżnej. To ona właśnie trzymała mu to olbrzymie, obolałe coś, które niegdyś nazywał swoją głową. Była w stroju pielęgniarki — ogromny krzyż krwawił się na jej albatroszących się piersiach i brzuchu. Straszliwy wstyd zahamował nagle wszelką chęć rzygnięcia. Ale ręce jej pochylały mu głowę nad kubłem i dokonał swego, purpurowy i spocony — pękający od nieznośnego upokorzenia. Tu go doznało przeznaczenie (nie czuł nogi wielkiej jak piec, nienależącej do niego i bolącej tak, jakby to kogoś gdzieś bolało, a jemu ktoś inny o tym kiedyś opowiadał, a jednak okropnie, okropnie...), aby w ten sposób ohydnie go skompromitować przed tą jedyną możliwą miłością, przed tą trzecią kobietą, o której zapomniał zupełnie, tą, która jedynie mogłaby być jego żoną. Bo momentalnie i nieodwołalnie postanowił się z nią ożenić, a jednocześnie wiedział przecie, że po takim spotkaniu: on: nieogolony, czerwony, rzygający i spocony — ona: anielsko piękna i uduchowiona na niedościgłych pinaklach doskonałości — jest to wykluczone na wieki. A jednak już w tej chwili, razem z rzygnięciem wypuścił tu przed nią, jako przedślubny podarek i swoją ohydą nieszczęśliwą miłość i dziecinną bezinteresowną zbrodnię — ofiarował jej to potencjalnie, bo mówić jeszcze nie mógł. To wszystko robił oczywiście drab ze dna, o czym ani on, ani nikt nie wiedział. Ostatni raz niech będzie wspomniane bezimienne imię tamtego, który odtąd jedynie bytował w tym już leciutko skatatonizowanym cielesnym wspaniałego byczka.

Opadł znowu na poduszki — czuł tylko głowę nieznośnie wirującą — zanieiony sponad w nieskończoności gdzieś stojącego kubła przez te dobrotliwe, jedyne ręce. „Ach, gdyby tak ciała nie było wcale, gdyby się tylko duchy mogły roztopić w sobie, bez tego przekłętego zazębienia się brudnych bebechów” — pomyślał Zypcio. Nareszcie przyszła prawdziwa miłość i to w takiej fatalnej chwili. Jest to coś prostego i absolutnie niewyraźnego, a ci, co lubią o tym mówić i pisać, dowodzą jasno, że nic ciekawszego do powiedzenia nie mają i gładzą, gładzą, gromadząc i kombinując bezsilne słowa, kiedy to, co na ten temat powiedzieć można, dawno już powiedzianym zostało. Tak twierdził Sturfan Abnol. (On też brał udział w walkach tej nocy, ale jako sanitariusz bezpartyjnego szpitala, zorganizowanego przez Dżewaniego we wszystkich ważniejszych miastach. Skąd ten czarniawy demon wiedział, że to akurat dziś ma być i w jaki sposób zdążył swój szpital zorganizować, pozostało tajemnicą na wieki).

Teraz dopiero naprawdę poczuł ból w łydce i goleniu i przypomniał sobie *naprawdę* bitwę. Dotąd to nie były jeszcze *jego* przeżycia. A jednak zachował się dobrze: prał i nie uciekł — choć się trochę bał, strach ten opanować umiał — mógł być oficerem. To go pocieszyło i utwierdziło w sobie na tyle, że mógł wybelkotać:

— Niech pani odejdzie. Dziękuję. Nie chcę, żeby pani mnie doglądała. Skąd te torsje? Proszę mi przysłać jakąś starszą damę. Jestem wstrętny, ale będę innym. — Ręka jej, niewinna i płciowo-czysta (tak inna od tamtych i „tych tamtej” nawet) przesunęła się po jego lepkiem, spoconym czole; a potem po nieogolonych (ledwo znać było ten „zarost”) policzkach.

— W imię Murti Binga i granicznej jedności w dwoistości, niech się pan uspokoi. Wiem, że pan jest na drodze do poznania. Straszne musiał pan przejść rzeczy, aby poznać to. Ja wiem wszystko. Ale będzie lepiej, będzie zupełnie dobrze. Jest pan podobno kontuzjowany, ale to przejdzie. Dziś ma być Bechmetiew na konsylium z tutejszymi lekarzami.

Nagły rozkoszny spokój spłynął z jakichś jakby „zaświatowych stron” na ten rozdarty kłęb wstydu, obrzydzenia, rozpacz, zawodu i lekkiej, lotnej jak puszek nadzieji (to było najgorsze — lepsza już byłaby zupełna beznadziejność) jakim było jego ciało. Duch uciekł gdzieś do ostatnich zakamarków, zaklinował się w najciemniejszy kąt i czekał. [Ani na chwilę nie dało mu spocząć przekłęte przeznaczenie. Pchało go w sam środek coraz szybszego wiru wydarzeń, nie dając mu się nad niczym zastanowić, nic przetrwać — tak zwane „bezpłodne intensywne życie”, do którego tak tęskni tyłu z tej miazgi, na której dopiero rosną sobie takie kwiatki. Jakże tu nie zwariować w podobnych warunkach?] Ale czyż to drugie spotkanie się z nową wiarą, wcieloną teraz w Elizę, nie jest znakiem,

że na tej drodze właśnie czeka go wybawienie z tego całego splotu potworności, w który zabrnął? Może jest to dowód istotności tamtego pierwszego nocnego zetknięcia się z tajemnicą Murti Binga i „granicznej jedności”? Tak myślał, a obok takich idiotycznych myśli, którymi wszyscy prawie staramy się ugłębić i upiększyć w niższym wymiarze dziwności najpospolitsze koincydencje lub skutki działań istot, obliczających partię życia na kilkanaście posunięć naprzód, wrzało w jakimś małym, ocalałym z ostatniej katastrofy kociołku, od rodzącego się piekielnego wprost przywiązania do Elizy — właśnie przywiązania, a nie czego innego. Był to wybuch, ale w zwolnionym tempie. Już teraz wpijał się w nią duchowo jak krab, czując, że tylko z mięsem mógłby być od niej oderwany. W atmosferze tego napięcia, wywołującej zdawało się zginanie się samej dookolnej przestrzeni, biedna dziewczynka, mimo wszelkich metafizyk *à la* Murti Bing, słała się od ogarniającej ją nieznanej żądz oddania się. Nie wiedziała jeszcze, jak to trzeba zrobić. Zdawało się, że rozpięra ją sama aktualna nieskończoność, a to takie było proste i właśnie ograniczone.

Czy tylko to nie wstyd zakochiwać się po raz trzeci, mając takie (!) doświadczenia? Nawet potworna, zmarnowana pierwsza miłość do księżnej nie była tu tak wielką przeszkodą (jad zresorbował się w tamtym „obsrywaniu się”), jak ta druga, nieszczęśliwa i zawiedziona — mówiąc delikatnie. To było najgorsze. Mimo że niby całą przeszłość diabli wzięli, nie mógł Zypcio znaleźć żadnego punktu oporu przeciw tej klęsce, już teraz abstrakcyjnej raczej, niż rzeczywistej. A siły przecie miał dosyć. Tylko że w miarę tworzenia się wyciekała ona z niego, jak ciecz z dziurawego garnka, a tą dziurą było tamto obrzydliwe, oszukańcze, zapieczętowane zbrodnią uczucie — nawet nie uczucie, a czort wie co — „*gadost*”. A gdy leżał tak spokojnie z zamkniętymi oczami, trzymając niedoszorowaną jeszcze żołnierską łapę w „niebiańskiej” dłoni Elizy, nikt by nie powiedział, że w tym wzniosłym chłopczyku mieści się aż tak potworne wężowisko sprzeczności. Całe zło spływało z niego przez tę rękę prosto w serce tamtej dziwotwory, która potem rozprowadzała je po jakichś chłonących jad gruczołach, zbierając zapas antydotów, czyli antyciał, na czarną godzinę. Nie wiedziała biedactwo, co ją czeka. Bo rzecz dziwna, że wiara i pigułki Dżewaniego, dając wiele doraźnie, na każdą chwilę z osobna dostarczając środków do walki z osobowością (a cóż jest zło, jak nie trochę zanadto wybujała osobowość?), zabijały w wyznawcach i zjadaczach wszelką intuicję przyszłości, wszelką możliwość całkowania chwil w konstrukcję życia na dalszy dystans. Następowало zupełne rozproszkowanie jaźni na szeregi bezzwiązkowych momentów; na tle możliwości poddania się każdej, najgłupszej nawet mechanicznej dyscyplinie. Nie darmo pracowały nad formułką dawamesku Bz najtęższe mózgi spośród chemików chińskich, wydzielając i łącząc niewinne grupy C, H, O i N w fantastyczne diagramy chemicznych struktur. Bo o ile podobno sama wiara płynęła z nieznanej nikomu bliżej malajskiej wysepki Balampang, o tyle środków realizacji dostarczało Państwo Niebieskie i „koncern zbolszewizowanych mongolskich prynców i władcyków”.

Dopiero teraz zainteresował się Genezyp rodziną, ale jakoś nie śmiał pytać. A czemu? Po prostu rozkoszne było mimo wszystko to poczucie oderwania od rzeczywistości; a tu kwestia „alibi” i rozmowy z Lilianą, a tu teatr i Persy, a tu czort wie co mogłoby się wyłonić. Ale trzeba było przerwać ten stan. Ach, wiecznie płynąć tak z głową jak bania, choćby rzygając wieczność całą, byle prócz kubła nic nie było na tym świecie — żadnych problemów. Życ w ciągłym niezdecydowaniu, w *ciągłym zamiarze bez końca*, w obietnicy — tylko w tym jest wszystko i doskonała okrągłość. Ach, prawda: a zamach? Ale to było oczywiste: kwatermistrz zwyciężył. Ona potakująco kiwnęła głową, odgadując jego myśli. Gdybyż wszystko to było jeszcze dokonane w imię jakiejś określonej idei, gdyby można wierzyć jeszcze w coś poza sobą i poza obowiązkiem mechanicznego wypełniania narzuconych przez sam nieodwołalny fakt istnienia funkcji: od fizjologicznych, aż do wojskowo-społecznych — wtedy przeżycie takiej awantury byłoby szczęściem. Trudno — są szczęśliwe osobniki, które właśnie w takim wplątywaniu się w byle jaki układ rzeczywisty znajdują usprawiedliwienie swej egzystencji, i są wieczni wygnańcy, nie jakiegoś określonego kraju, społecznego kompleksu ani nawet ludzkości, są „wygnańcy świata”, jak ich nazywał Sturfan Abnol. Nie są to ci, którzy przez przypadek nie znaleźli odpowiedniego dla siebie miejsca, nie „*déveineur’zy*”, nie „nieudaczniki”, którzy „*pust’ płaczut*” — dla nich w ogóle miejsca nie ma i nie ma udanego dzieła i sytuacji, ani żadnej możliwej szansy,

nawet gdyby się tacy, jak są, znaleźli w nieskończeniu wyższych lub *niższych* kulturach jakichś dziwnych stworzeń, na planetach innych układów. Dawniej byli to twórcy religii, wielcy artyści, a nawet myśliciele — dziś niektórzy dostają bzika, a inni cierpią potwornie całe swe niepotrzebne nikomu życia, nie mogąc *nawet* porządnie zwariować. Na szczęście jest ich coraz mniej. Ale znowu przyszło zbawcze myślątko trzeciej klasy: musi w tym być sens jakiś, jeśli on: a) spotkał Hindusa, b) nie zginął, c) spotkał JA i d) ona właśnie wierzy w Murti Binga. Nie chciał myśleć o tym: każdy wysiłek wywoływał zawrót głowy i wymioty. Już rzygał znowu wsparty spoconym łbem na jej dobrych, miękkich jak płatki kwiatów dłoniach. Ale czynił to swobodnie, lekko i bez żadnego już upokorzenia.

Informacja: torsje te nie tyle były wynikiem kontuzji, ile zatrucia morfiną, co później stwierdził sam genialny Bechmetiew.

Powiedział sobie: „niech się dzieje, co chce. Poddaję się przeznaczeniu”. — Potem leżał bezwładnie. Była to jedna z chwil prawdziwego szczęścia, których nie mógł nigdy dostatecznie docenić: zupełna izolacja czystej jaźni, podobnie jak na granicy utraty przytomności w eterycznej narkozie: nieodpowiedzialność, ponadczasowość — „byt idealny” pojęcia, jako rzeczywiste przeżycie — a jednak był to on, Genezyp Kapen, identyczny ze sobą i jakby wieczny, poza wszelką kontyngencją życiowych spraw. Jeszcze trochę to spotęgować, a nastąpi nicomość: „złanie się z dwoistą jednością” Murti Binga.

Informacja: w wierze tej nie było metempsychozy, hierarchii i kondygnacji „planów”, tylko różne sposoby (a nie stopnie) zlewania się z jednością tu, w jedynym byciu możliwym, czasowo-przestrzennym. Na tym polegała wyższość wiary tej nad różnymi „teozosiami” (jak mówił Kocmołuchowicz), że nie było w niej nadziei na jakieś tam „poprawki” na innych „planach”: tu trzeba było zrobić wszystko, a inaczej „sposób złania się z jednością” mógł być tak straszliwy, że skóra cierpła na samą myśl o tym. Wiedzieli o tym ci, co zażyli choć raz (w ogóle więcej nie było nawet trzeba) piekielne pigułki Prezesa Najwyższej Rady Chemicznej Niebieskiego Państwa, nieśmiertelnego Czang-Weja. Mieli przedsmak tego, co ostatecznie (czas był wykluczony z tych rozważań — jak? — nikt nie wiedział — ale nie była to bynajmniej wieczność) przeżyć by musieli, gdyby nie chcieli poddać się dyscyplinie śmierci za życia, zupełnemu zmechanizowaniu wszelkich funkcji życiowych — miało to być uczucie „*malaise*”, podobne do duszności, niestrawności, mdłości i *zgagi*, doprowadzone do nieskończonych nieomal potęg wszystkich czterech tych elementów, przy czym wizje wzrokowe przedstawiały niesłychanie męczące *bezsłowne* zlewanie się niezrozumiałych przedmiotów w coś, co istnieć nie mogło.

Eliza trzymała dalej rękę Zypcia i była to jedyna pępowinka, którą łączył się ze światem. To była nareszcie prawdziwa miłość: „kochanka” nie wciągała go w zdradliwe gąszcz „takości” życiowych, tylko stwarzała pancierz, izolujący go od reszty istnienia, ginąc w nim sama jako obca jaźń, stając się tylko symbolem absolutnej samotności. Oczywiście taką była prawdziwa miłość dla niego (czyli dla „draba z dna”) — dalekie to było od tego, co normalnie za miłość uważanym bywa: w tej ześrubowanej w sobie osobowości nie było już miejsca nie tylko na przejście się kimś drugim „od środka”, na „dbanie o niego” w najogólniejszym znaczeniu, ale nawet na obojętne zrozumienie tego faktu, że inna niż on psychiczna struktura w ogóle jest możliwa. A cóż dopiero mówić o poświęceniu dla tego kogoś, zrezygnowaniu na jego rzecz choćby z jakichś drobnych przyzwyczajzeń! Był prawdziwym wampirem, sam o tym nic nie wiedząc — mimo że nie zdawał sobie sprawy z możliwości istnienia niepodobnej do niego jaźni, praktycznie na tym fakcie „inności”, zupełnego przeciwieństwa (w tym wypadku „żądzy ofiary”) opierał instynktowo swoją własną egzystencję, nie tyle okłamaną własną „duszą”, świadomie i z wyrachowaniem, ile całą organizacją komórek swego ciała z koniecznością skonstruowanej w pewnym celu maszyny. Mógł zdawać się nawet „dobrym” dla innych i sam mógł się za takiego uważać, ale, jak mówi Kretschmer, „*binter dieser glänzenden Fassade waren schon nur Ruinen*”. W tym mrocznym świecie rozpadającej się osobowości miała błędzić dusza Elizy do końca, jak w jakimś zaświatowym piekle, stworzonym dla niej za życia przez nienawistny

przypadek takiego właśnie ciała i takiego pięknego chłopczykowatego pyska: wiecznie nienasycona ofiarą, spalająca się w niesytej żądzy zupełnego oddania się, którego on bałby się nawet, jako czegoś stawiającego go oko w oko ze znieawidzoną rzeczywistością. On mógł tylko chleptać jej krew przez wąską rurkę jak komar — w tym było jego szczęście. Nic nie wiedząc o takich psychologicznych kombinacjach, kochali się po prostu jak „para gołąbków”, jak zwykła parka na końcu bajki, kiedy to już „wszystko jest dobrze” aż do spokojnej śmierci.

Aż tu nagle, kiedy zdawało się, że przeklęta rzeczywistość wyparta została definitywnie aż na krańce pustego, doskonałego w nicości swej świata, straszne nienasycenie (absolutnie niczym możliwym), ta zhora początkujących schizofreników, złapało go za wnętrzności od spodu. Jęknął i wyprężył się — zrobił po prostu „most” i zdawało mu się, że wisząc nad przepaścią pępkiem dotyka samego, w nieskończoności tkwiącego „nadiru”.

— Jaki dzień dziś?

— Wtorek. Dwa dni był pan nieprzytomny.

— Proszę o gazety.

— Nie można teraz.

— Muszę. — Wstała i zaraz przyniosła. Przynosząc mówiła:

— Kochałam cię już wtedy u Ticonderogów i wiedziałam, że wrócisz do mnie.

— Czy już wtedy...?

— Tak: byłam już wtajemniczona.

Czytał, a wszystko kołowało mu straszliwie we łbie i widział chwilami ją wplecioną w druk i w wypadki tym drukiem wyrażone. Działo się to naprawdę po raz drugi na jakiejś płaszczynie rajsbretowatej, będącej już poza tą naszą przestrzenią, tam w tej mdłej nicości (w której przebywał tuż, przed utratą przytomności na ulicy w czasie bitwy), a która zaczynała się jakby na szczytach ludzimierskich pagórów. Całe życie było na niej rozwałkowane, jak kawał ciasta. Któż jak nie on musi z tego zrobić pierożki, tylko czym nadziane, kiedy prócz tego nie było nic i ile, ile?! — Boże cóż za piekielne zadanie ponad siły! Znowu rzygał i znowu czytał. Opis bitwy na placu Dziemborowskiego był dla niego najstraszniejszy. Widział siebie wyraźnie z boku w całej tej wstrętnej „działalności” i przeżył znowu ten okres absolutnego bezsensu, ale już bez dodatku usprawiedliwiającego wszystko, a niczym nie usprawiedliwionego zapału. Tak: miała rację Irina Wsiewołodowna: brak idei był tego bezsensu przyczyną. Nie pomoże kawaleryjski marsz i dzika, młoda kawaleryjska siła, promieniejąca z czarnych gał i wąsów, i kawaleryjskich lędźwi, i jąder generalnego kwatermistrza. Naukowa organizacja pracy i racjonalna regulacja wytwórczości to nie są właściwie idee. Ale innych nie ma i nie będzie — chyba bzdura zdegenerowanej religii w rodzaju Murti Binga. Szlus.

Na końcu wczorajszego numeru „Brytana” znalazł wzmiankę następującą: „*Krwawe porachunki*. W mieszkaniu znanej artystki teatru Kwintoffrona Wieczorowicza, pani F. Z., nieznanego sprawca zamordował uderzeniem tapicerskiego młotka w głowę sublokatora tejże, pułk. Michała Węborka, byłego pilota i byłego szefa gabinetu gen. kw. Kocmołowicza. Przebywał on w K. incognito, jako urzędnik dla specjalnych poruczeń ministra wojny. Badania daktyloskopiczne nie dały żadnego rezultatu — przezorny sprawca odziany był w rękawiczki. — („Cha, cha, — przezorny sprawca! Zapomniał po prostu zdjąć — po prostu nie wiedział, kim był, a oni... ten wstrętny dziennikarski styl! Pierwszy raz miał „wycinek” o sobie. Kto to mówił — ach, to Tengier: „człowiek bez wycinków jest niczym. Pokaż mi twe wycinki, a powiem ci, kim jesteś”. Oto mam — pierwszy i chyba ostatni. Śmiało się i czytał dalej). — Zmarły tragicznie śp. Węborek miał niestety wiele znajomości, rekrutujących się z najgorszych szumowin miejskich, a koncentrujących się dookoła lokalu „Euforion”, znanego jako miejsce *rendez-vous* miejscowych, a nawet zamiejscowych homoseksualistów. W mieszkaniu nie było nikogo prócz ofiary, gdyż tego wieczoru właśnie p. Z. wyjechała wraz ze swą gospodynią nocnym ekspresem do stolicy”. — „Ach — więc to było uplanowane! A ścierwo!” Upokorzenie jego i wstręt do siebie doszły do niemożliwych do wytrzymania granic. Musiał wyznać wszystko — inaczej by go to zadusiło jak kłęb glist, pełzających z żołądka. Wyrwał Elizie prawą rękę ze wstrętem i zmiął gazety w jedną bułę.

— Mówiłam, że nie można...

— To ja — to ja to zrobiłem... — Wyszarpnął znowu z tej buły numer „Brytana” i wskazał jej fatalne miejsce: swój jedyny wycinek. Znowu wszystko: i bitwę, i dowód odwagi, i odwagę samą, i honor zabrało mu w mgnieniu oka tamto plugastwo. Czytała, a on patrzył dosłownie przez palce w jej twarz. Nie drgnęła. Złożyła spokojnie gazetę i spytała:

— Czemu? Tęgo nie zauważyłam.

— Kochałem ją, ale wierz mi: inaczej niż ciebie. To było potworne. Wszedł tamten drab. Ona uciekła przedtem. Czy tu rozumiesz? — Mówił jej ty, sam o tym nie wiedząc. — To wszystko było przygotowane. Jestem splugawiony. I ja ją kochałem! Inaczej, ale także mimo wszystko. — (Nie mógł jednak wobec niej kłamać). — Ale to nie była zdrada. On nie był jej kochankiem. To niemożliwe. Już jej nie kocham, ale coś strasznego jest we mnie, czego nie pojmuję...

— Uspokój się. Ona była kochanką wodza. Musiał ją mieć przy sobie, ale nie na co dzień — to by mu odbierało siły. Jeździła do niego co miesiąc. Musiał ją mieć zaraz po pokonaniu rewolucji — inaczej wściekłby się. — Te słowa i ten styl w jej (JEJ!) ustach to był szczyt perwersji! Ale zaraz poczuł, że to nie jej słowa, że to ktoś jej tak opowiedział i ona powtarza to prawie dosłownie. *Mimo to* pękła w nim jakaś tama i nareszcie zmysłowy obraz Elizy połączył się w nim z tą tylko co „wybuchniętą” czystą miłością. Pożądał jej więcej niż kiedykolwiek księżnę lub Persy, a nawet wszystkie możliwe kobiety świata aż po wieczność samą, ale inaczej... Ach — na czym polegała ta różnica? Chyba na tym, że tamte były to potęgi wyższe od niego (nawet księżna — tylko starość jej była pewnym obniżeniem) — nigdy nie mógłby ich pokonać, wchłonąć w siebie i zniszczyć. Tak — zniszczyć — to było rozwiązaniem zagadki: Elize mógł pożreć jak dziki zwierz, mimo że podobała mu się więcej niż tamte. A może dlatego, że ją właśnie kochał naprawdę i to przedtem właściwie, nim mu się podobać zaczęła. Ale na czymże u diabła polegała ta miłość, jak nie na poczuciu możności pożarcia? To była właśnie ta wymarzona izolacja od świata, doprowadzona do ostatecznego wypełnienia — pożerając i niszcząc izolował się — to takie proste. Oczywiście nie wiedział o tym wszystkim sam Zypcio, a tym mniej ona. Tym niemniej na tle tej miłości ten stopień pożądania był szczęściem prawie nieludzkim. Gdyby tylko na dnie tego wszystkiego nie było wstrętu (do czego?), niby małego, a tak w gruncie rzeczy wielkiego, że tylko śmierć (czyja?) zabić by go mogła. Ale tamta wiadomość była bądź co bądź druzgocąca.

— Kocmołuchowicza? — wymiamlał, jeszcze prawie nie wierząc, na tle tamtych zmian, odbywających się jakby na tylnym ekranie świadomości.

— Tak — odpowiedziała spokojnie Eliza. — Tak jest lepiej. — Skąd mogła wiedzieć o tym, co się w nim miało stać za chwilę, skąd, psia-krew, wiedziała ta naiwna panienska, że tak właśnie będzie lepiej? Chyba jeden Murti Bing...? Ostatni wewnętrzny promień zniknął, zgnieciony czarną łapą z dziecinnego snu. Ucichła ostatecznie wojenna muzyczka — ta ze szkolnej wizyty wodza — wściekły kawaleryjski marsz Karola Szymanowskiego. To on mu ją zabierał, ten piekielny tytan z czarnymi kozackimi wąsami, ten najbardziej tajemniczy człowiek naszych czasów, ta nie tyle apokaliptyczna co „apoplektyczna bestia”, jak go nazywali pokątni wrogowie. Była w tym osobliwego rodzaju chwala, ale wszystkie światła przeszłości zgasły bezpowrotnie: za Genezypem rozpościerała się czarna noc umarłej ohydy i umarłego wstydu. Ale właśnie tak jest doskonale, bo przecież — to jasne — w ten sposób *cała* przeszłość zostaje przekreślona i wsiąka jak w gąbkę w tę nową miłość. Tylko ta niewygoda zostaje, że z tej przeszłości nic już czerpać nie wolno. Koniec. Eliza, jako ta właśnie, która tę wiadomość z umarłego już świata przyniosła, wypiętrzyła się (duchowo oczywiście) do „niebotycznych” rozmiarów, załała cały rozszarpany horyzont jakimś mlecznym, łagodnym sosem i wchłonęła całą potworność życia. Teraz dopiero upolowana zdobycz gotowa była do tego, aby być pożarta, jak królik obsłiniony przez anakondę. Było to wysoce nienormalne i niebezpieczne: (mimowolne liczenie na kogoś), ale było dobrze. W istocie Zypcio stracił jedyną rzeczywistą podstawę (wypnęła się spod niego jak podpórka spod wieszanego człowieka), podstawę dla normalnego rozwiązania życia. Głową na dół powoli zagłębiał się w bagno obłędu, nie widząc nawet na pożegnanie niepowrotnych gwiazd, świecących gdzieś z tamtego brzegu. „*Potuszczająca forma schizofrenji*” — powiedziałby Bechmetiew.

— Skąd wiesz?

— Od mego mistrza. Bezpośredni podwładny Najwyższego Mistrza Dżewaniego: Lambdon Tygier. Poznasz go. On cię nauczy, jak znosić ciosy życia. Wtedy poczujesz się nie tylko godnym mnie, ale także poznania Tajemnicy Dwoistej Jedności Granicznej.

— Ten twój mistrz musi mieć niezłą policję tajną. Boję się, że pracuje ona metodami lepszymi niż nasza defensywa.

— Nie mów tak, nie mów tak. — zakryła mu usta ręką. Zypcio zamknął oczy i zbałwaniał zupełnie. — Poznasz go, ale dopiero po nocy poślubnej ze mną. — A może i wcześniej. To musi się stać i ty w to wierzysz. — Ale swoją drogą sposób traktowania tych spraw przez tę dziewczeczkę był tak dziwny, że Genezyp o mało nie wybuchnął dzikim śmiechem, co byłoby przecie straszliwą niestosownością. Ale nawet gdyby to zrobił, i to pewnie przebaczone by mu było. Niewyczerpana była cierpliwość wyznawców Dżewaniego. Ach — wszystko byłoby dobrze, jeśliby ta wiara nie była taką bzdurą! Te pojęcia jej, te „graniczne jedności” jakies, były dla niego martwe: „*Begriffsmumien*”, jak mawiał Nietzsche.

— I ten wszechwiedzący nie mówił ci, że to ja...?

— Nie — widocznie chciał, abyś ty sam przyznał się przede mną. — Tu Zypcio opowiedział jej o spotkaniu z tajemniczym Hindusem w noc zbrodni. Eliza ani drgnęła. Niewrażliwość jej na wszelkie niespodzianki zaczęła go irytować. Ale było w tym coś z płciowego rozdrażnienia. To mu się w niej właśnie podobało: wzbudzało w nim zwierzęcą wściekłość, zmieszaną w absolutną (niegraniczną) jedność z nieznaną mu dotąd „czułością” i „tkliwością”. (Ach — czemu nie ma na to innych słów?!) I jeszcze jedno: miał wrażenie, że się nią nigdy, nigdy nie nasyci, że nie będzie mógł znieść już widoku innych kobiet. „W każdym razie” ścisnął jej rękę na znak, że „*tak*” i na wieki. I nagle okropne przecucie stężyło go w masę zimnego bólu, zmieszanego w jedno z metafizycznym prawie przerażeniem. Czyżby miał nie dożyć tej poślubnej nocy i umrzeć nie oczyszczony ze wszystkich grzechów? Znowu życie jego nie było jego życiem własnym: władali nim jacyś straszni ludzie, znający najskrytsze tajemnice, wiedzący wszystko, mimo że operowali bzdurnymi pojęciami, może wobec tłumów tylko — na przynętę. Czy sam generalny kwatermistrz nie jest także w ich ręku? A może to on kieruje wszystkim i ich też zużywa dla swoich niezbadanych celów? Uczuł nagłą dumę, że jednak nim, jakimś niedoszłym oficerkiem, zajmuje się tak potężna organizacja, jak ci wyznawcy Murti Binga — i to mogły, a nie jakieś podrzędne szarże. Oni jednak robią coś rzeczywistego, a nie uciekają od życia, jak książę Bazyli. [Wspomnienie bytności w pustelni leśnej i cały ten ludzimiński okres ukazał mu się jak dalekie życie obcego człowieka. Chyba nic w nim nie zostało z tamtego chłopczyka — teraz to sam zrozumiał — przez sekundę nie był sobą na granicy dwóch osobowości. Tajny drab, więziony na dnie przez ojca, stał się nim samym i to on kochał Elizę — tamten do takiego uczucia dla takiej osoby nie byłby nawet zdolnym. A jednak gdybyż to mógł kochać ją tamten chłopczyk. To byłoby właśnie „wymarzone” szczęście, które prawie wszystkich omija. Gdyby chociaż można było władac przestawieniem w czasie. Ale i to nie — wszystko przychodzi albo za późno, albo za wcześnie. Do Elizy (i pośrednio do wyznawców Binga) należało uświęcenie jego (już tego draba) egzystencji w innym, lepszym wymiarze]. O ile oczywiście towarzystwo takie nie jest ślepym narzędziem w rękach jeszcze potężniejszej mafii, która zużywa je może nawet dla jakichś zbrodniczych, przeciw-ludzkich zamiarów. A — wszystko jedno: dobrze jest gdzieś przynależeć, a już najlepiej do jakiejś tajnej konfraterni. W każdym razie poczuł Genezyp, że on sam, gdyby był w tej chwili na przykład na bezludnej wyspie, nie mógłby dokonać ze sobą niczego. Był siłą, której kierownictwo nie leżało w nim samym. Myślał: „Muszę być igraszką tajemnych potęg, wcielonych w innych ludzi. Czyż wszyscy nie są dziś takimi, pod pozorami samowładczych gestów? Władają nimi siły wyższe, naprawdę wszechludzkie — już nie „ideały” jak kiedyś — właściwie nieubłagane prawa ekonomii. Historyczny materializm nie był prawdą wieczną, ale *zaczął być prawdą kiedyś* — może „koło” XVIII wieku. Społeczny potwór tworzy niebyłe dotąd nigdy życie, a wszyscy jesteśmy tylko marionetkami — może największe indywidualności naszych czasów też”. Zupełnie zgębniony zapadł w prostrację, graniczącą z rozkosznym omdleniem. Chodziło tylko o brak odpowiedzialności.

Ona czekała. Miała czas. Wszyscy wyznawcy Murti Binga (nie tylko młode panny, ale i pożerani przed nawróceniem gorączką czasu i użycia starcy) mieli i mają czas. Po-

śpiech jest im obcy. [To był właśnie ten niesłychany spokój, który spływał (dosłownie jak ciecz jakaś oleista) na wszystkich zaraz po objawieniu. Na czym polegała ta chwila objawień, nikt potem opowiedzieć nie mógł. I Zypcio mimo postanowień przegapił później sam najistotniejszy moment. Tylko czy ten drab (to znaczy on) nie udawał sam przed sobą całego tego nawrócenia? Bo po tym, co zaszło później — ale o tym później]. Wobec asymptotycznej zbieżności dwoistości w jedności nie ma się co śpieszyć. Płynęły chwile białe, beztreściwe, wzniosłe — dla niej. Wzniosłości tej nie czuł jeszcze Genezyp — w nim toczyła się walka dwóch światów: czarnego, podłego indywiduum i białej szczęśliwej nicości przyszłych wieków. Walka zbyt ciężka — w tej proporcji danych w tej epoce ulec musiał (nie ulegał może jeden Kocmołuchowicz, choć i to nie na pewno — historia coś o tym powie później) — tylko jeszcze o tym nie wiedział. Pewnego stopnia i jakości indywidualności mogli się jeszcze pokazywać na tym świecie jedynie w postaci wariatów. Są jednak wariaci, którzy w pewnej epoce, w pewnym układzie stosunków, mogliby być uważani za normalnych, a w innej epoce i układzie muszą być wariatami, i są wariaci absolutni, którzy w każdym systemie byłiby nie-do-przystosowania. Zypcio należał do pierwszych.

Znowu (po raz — nie wiadomo który) wzięła go za rękę. Za każdym razem (jak upolowane bydlę przez jakieś leśne przeszkody) przeciągała go coraz bardziej na swoją stronę, stronę łagodnej, usypiającej bzdury, w której natura jej rozwijała się właśnie najistotniej we „wspaniałą bukiet najlepszego gatunku cnót kobiecych”. Ale dla fanatyków walki o życie, dla niedoszłych artystów, dla wariatów, mężów stanu, w ogóle dla wszelkich transformatorów rzeczywistości, ta że sama bzdura mogła być zabójczym jadem o wielorakim działaniu, w zależności od proporcji elementów składowych ich dusz — jednych mogła uspić, a innych wywlec na ich własne, urojone szczyty, których rzeczywisty odpowiednik nie mógł mieć miejsca w otaczającym ich życiu — w oblęd. „Ach — ona wie i jest z nim”. — „On”, to był jakiś ktoś między nieznanym Hindusem a Murti Bingiem, ktoś, na którego można było w każdym razie zrzucić wszelką odpowiedzialność. Znowu promień łaski najwyższej dotknął wierchołków jego ducha, zaklinowanych w nocny zakamar zbrodni i wariactwa. Bo czyż nie było czystym bzikiem to wszystko. Tylko dla nich, zatopionych w nienormalności jak w zwykłym „codziennym” powietrzu, uczucia ich mogły się wydawać normalnymi — w istocie był to trujący gaz, którego nie powstydziliby się nawet chińscy mistrzowie chemii. Gdyby takie choroby mogły być zaraźliwe! — lepiej o tym nie myśleć. Potoki *nieświadomej prawie, a mocnej jak koń męczarni*, przevalały się przez zdechłe, wysuszone ogniem zwątpienia ciało dawnego Zypulki. Już idzie ten czas, gdy wszystkie takie historie będą tylko „historiami dla niegrzecznych dzieci”, o ile takie dzieci w ogóle istnieć będą.

Nagły trzask i huk rozwalonych drzwi: wizyta lekarska. Ale ręka jej (czyż prócz tej ręki nic naprawdę nie było, czy co u diabła? — ciągle ręka i ręka — w niej był na razie cały wszechświat) nie drgnęła nawet na piekielny hałas wpadających bez pukania władców tej sali. Szedł jak burza sam wielki Bechmetiew, obskakiwany przez naczelnego lekarza i sforę asystentów. Wszystkie szyje wyciągnęły się ku grupie potentatów w białych fartuchach — bo przecież tam było może z pięćdziesięciu rannych na tym oddziale. — Nie widzieli ich prawie Zypcio i Eliza. W sekundę potem oddaliła się pewnie i spokojnie, jakby mówiła: „zaraz wrócę”. I to był może najrozkoszniejszy moment całego życia: ta pewność absolutna, to zawierzenie komuś aż poza granicami śmierci. O — gdybyż to można wiedzieć! Ileż cudownych chwil przemarnowuje się w ten sposób, nie wiedząc, która z nich jest najcudowniejszą.

Wielki duszoznawca podszedł ku łóżku krokiem złego lwa. Tamci zatrzymali się, wypięci na „lekarskie bacność”. Coś przykładł do oczu, zamykał jedno, potem drugie pachnącą cygarem, chyprem i potem grubą łapą, potem stuknął, rysował czymś po skórze, skrobał, szczypał i laskotał — wreszcie spytał:

— Czy macie czasami takie poczucie, że wszystko jest nie to? Że takie jest jak jest, a jednak nie to — jakby całkiem inne? Co? — I wszechwiedzającymi orzechowymi oczami zajrzał Zypciowi pod sam psychiczny szpik. „*Dusza schizotimika w tiele ciklotimika*” — pomyślał w przerwie przed zeznaniem ofiary.

— Tak — była cicha odpowiedź onieśmielonego pacjenta. Ten drapieżny „duszekłuj” lepiej izolował od świata niż nawet sama Eliza. Zypcio miał wrażenie, że prócz niego

samego pod jakimś kloszem, nie ma nic w promieniu bilionów kilometrów. — Prawie zawsze. Ale czasem ktoś jest we mnie...

— Tak — ten obcy — wiem. Czy dawno stał się tym właśnie?

— Od czasu bitwy — przerwał — ośmielił się przerwać *takiej* powadze Zypcio.

— A przedtem? — spytał Bechmetiew i ciężar tego pytania jak roztopiony ołów zalał całe zypciowe jestestwo. Sprężył się w nim ten zły do walki. „Czyżby jeszcze jedna kondygnacja w dół? Czyż nigdy nie dojdę do końca?” Otworzyła się w nim czarna, pusta otchłań — (bez żadnej przesady i literatury) otchłań prawdziwa: (*tam nie było jego wcale*), w którą wbite były w tej chwili te straszne orzechowe oczy, wylupiające się z potworną siłą z blond-brodzatej twarzy, raczej arcybestialskiej mordy — jak ostrokoły z wilczego dołu. Jeden ruch, a spadnie i nadzieje się — „Nie przyznać się” — szepnął jakiś głos. „Nawet JEGO oszukać można”.

— Nie — rzekł twardo, ale bardzo cicho — — Do bitwy nie czułem nic takiego. — Tamte gwiazdy złoto-orzechowe przygasły, ale po tym ich lekkim przyćmieniu poznał Zypcio, że on wie wszystko — nie fakty, ale ich istotę, abstrakcyjny wyciąg i to nie przez szpiegów Dżewaniego, ale sam z siebie, z własnej duchowej potęgi. Ukorzył się przed tym prawdziwym znawcą ducha. W tej chwili dałby mu się pokrajać na kawałki — wierzył, że na jego rozkaz zrósłby się znowu w jedność poza czasem. (Co? Kto to powiedział?) „Jedność ciała z duchem. W granicy poza czasem” — tak to mówiła przed chwilą Eliza. Już myślał pojęciami tamtych przez nią.

Ale wielki psychiatra okazał dyskreję równie wielką — proporcjonalną do swojej wielkości, tej już poza-życiowej, nie wchodzącej w ramki społecznych konwencji. Cofnął się o krok i Zypcio słyszał, jak mówił do Głównego Lekarza szkoły:

— *On usiegdà był niemnożko sumasszedszjy, no eta kantuzja jemù zdòrowo podbàwila.*

— Więc jednak jest wariatem — to strasznie ciekawe i straszne — i *jednak jest* kontuzjowany w dodatku. W tej chwili sprawiło mu to niczym niewytłomaczoną ulgę. Potem dopiero, dużo później, miał sposobność przekonać się dlaczego — to otwierało mu kredyt na najdziksze czyny, dawało wewnętrzną przynajmniej bezkarność i co ważniejsze bezwinność.

Odeszli. Eliza znowu (!) wzięła go za rękę i zamarł w bezprzedmiotowym szczęściu. Nie chciało mu się nawet rzygać. Trwała szczęśliwa nicość. Zasnął.

Obudziło go wejście księżnej. Prawie że jej nie poznał. Tajemnym duchowym ogniem zionęła jej twarz. Niosła się jak ptak przez salę: niezemska, czysta, wzniosła. Eliza spokojnie podniosła się na jej spotkanie. Ścisnęły się gorąco za ręce. Genezyp patrzył na nie obie, olśniony niespodziewanym szczęściem. Cóż za cud się stał, że one są takie razem wzięte, że tak się witają, tak się w siebie wlepiają oczami, jak jakieś zaświatowe przynajmniej siostry? Na niego nawet nie zwróciły *razem* uwagi (to go nie zraniło zupełnie) a same ze sobą są *takie*: przeduchowione, w inny wymiar wypiętrzone, unoszące się ponad rzeczywistością. (Zresztą Eliza była ciągle taka — teraz tylko spotęgowało się to niemożliwie). Naprawdę nie można by uwierzyć, że one mają organy płciowe, że oddają mocz i kał jak wszyscy ludzie — gdyby ktoś śmiał to w tej chwili twierdzić. Nie mówią nic — widać, że to pierwsze spotkanie, że za nieprzytomności Zypcia nie widziały się wcale. Księżna, nasyciwszy wzrok Elizą, zwróciła się do swego byłego ucznia (tę „byłość” czuć było w całym zachowaniu się od chwili wejścia) wyciągając rękę, którą on ucałował z nieznaną dotąd czcią. Wiedział o tym na pewno — szalona była w tym rozkosz. Prawie nie wierzył Zypcio, że widzi przed sobą tę niedawną trucicielkę, która zdawało się na całe życie napoiła, nasyciła po gardło jego duszę jadem zatrutej miłości. Więc dokonała się wreszcie ta „matronizacja” jak wyrażał się *marchese* Scampi. Nareszcie i naturalnie dzięki nauce Murti Binga. Księżna walczyła na tak zwanej „Barykadzie Pszczół” tuż obok placu Dziemborowskiego, oczywiście po stronie Syndykatu. Mało brakowało, aby się byli spotkali w ataku. Nie była ranna. Ale bitwa i mała rozmowa z Dżewanim (no i pigułki) dokonały swego.

Zypcio nie czuł w tej chwili ani odrobiny tego jadu — zbyt głęboko miał go w sobie. Ale o tym przekonać się miał później. Obie te drugie kobiety nie były już tymi, którymi być mogły, gdyby spotkał je przed poznaniem miłości z tej „ciemnej strony”, w tak spotworniałej interpretacji starzejącego się byłego demona. Tylko perwersja wytworzo-

na przez księżną kazała mu tkwić aż do ostatecznego pęknięcia w niezdrowej atmosferze niedosytu przy Persy; tylko wahnięcie się w przeciwną stronę zmuszało go teraz do szukania izolacji od życia w mętnej, zatumanionej, słabej „duszyczce” Elizy, w której oparach mógł się roztopić w bezosobową nicość, nie tracąc złudzenia życia — chwilowe wymięgnięcie się z katatonii. Jad krążył dalej nieznacznie w jego psychicznych arteriach — on to żywił i sycił rozrastającego się w Zypciu ciemnego gościa-nowotwora, autora pierwszej bezprzyczynowej zbrodni.

Księżna zaczęła mówić tak, jak gdyby miała przygotowaną z góry dłuższą przemowę. Ale w czasie tej recytacji skreśliło się w niej coś i, poprzez ukryte łzy, wyrwały się z niej słowa jej samej nieznane, którym sama się dziwiła, słysząc je mówione przez siebie.

— Zypciu — już nic między nami nie stoi. — Tu pękła krótkim histerycznym śmiechem z dawnych czasów. Zaśmiał się i Zypcio, ale krótko i wężłowato. Eliza spojrzała na nich dziwnie okrągłymi oczami, ale bez żadnego zdziwienia. Księżna mówiła dalej z niezwykłą powagą: — Możesz kochać ją — bo przecież widzę, co jest. Jak tylko dowiedziałam się, że to ona jest pielęgniarką w szkole, wiedziałam już, co będzie. Wiem teraz wszystko. Oświecił mnie Marti Bing przez Mistrza Dżewaniego. — „Choroba czysta z tym Dżewaniem — czyż oni opanują w ten sposób wszystkich” — pomyślał Genezyp i spytał brutalnie:

— A pigułki księżna już jadła?

— Jadłam i nie w tym rzecz...

— Ja mam tego dziewięć sztuk i dziś to zeżrę. Dostyc mam tych gadań.

— Nie uczyn tego przedwcześnie, przed zstąpieniem pierwszego stopnia eterycznej łaski...

— Już — szepnęła Eliza.

— Może się to zemścić fatalnie. Ale może dlatego, że znałeś mnie, ujdzie ci to bezkarnie. Może kiedyś, kiedyś ocenisz, co ci dałam, o ile dożyjesz dość późnego wieku, czego wam obojgu życzę. Dżewani zdjął ze mnie ciężar mego ciała. To, co widziałam po zjedzeniu pigulek, zaraz po bitwie, utwierdziło we mnie tylko Jedyną Prawdę. Od-tąd będę szła ciężką drogą ku doskonałości i nie ugnę się przed żadnym zwątpieniem. — „Pociecha dla »nieudaczników« i starych bab” — pomyślał Genezyp, ale nie „odparł” nic. — A ciebie kochałam i Kocham dotąd — (łzy posłyszeli w jej głosie, głęboko, jak bełkot podziemnego źródła) — ale już nie chcę robić więcej świństwa z naszego stosunku i dlatego wyrzekam się wszelkich pretensji co do ciebie — wyrzekłam się przedtem, nie wiedząc jeszcze, że ona jest przy tobie. I tylko przebac mi, że cię trulałam — tu padła na kolana przy łóżku i załkała krótko, króciutko, tyle ile koniecznie było trzeba. Ani Genezyp, ani Eliza nie zrozumieli, o co chodzi i nie śmieli nawet pytać. A chodziło biedaczce o pokryjome kokainowanie ostatniego kochanka. Siadła znowu i mówiła przez gęste, jakby z jakiegoś syropu łzawego czy z żywicy drobione łzy. — Nie wiesz jakie to szczęście dla takiej sponiewieranej wewnętrznie, a nawet i zewnętrznie, istoty, wznieść się wreszcie ponad siebie. Wiesz, że wszystko jak w jakimś młynku przekreśliło się we mnie od jednej rozmowy z nim — z mistrzem.

ELIZA: Jakże ciocia jest szczęśliwa, że mogła z nim...

ZYPCIO: Tylko na grube ryby ekspansuje się sam mistrz. My musimy się zadowolnić tym twoim Lambdonem. Dobra psu i mucha — *bq pur e szię e la musz* — rzekł programowo brutalnie Genezyp. Coś go wściekało jednak w tym wszystkim. Eliza spojrzała na niego bez wyrzutu i to go podnieciło tak, że byłby tu ją zgwałcił przy wszystkich, gdyby nie ból w łydce. A nawet z samego bólu mógłby ją zgwałcić, tak jak inny rozbiłby na przykład krzesło. Ale zaraz załala żądzę czysta miłość. Zgasła z sykiem, pękła gdzieś w ciemnościach ciała, jak daleki meteor. A ta gadała dalej:

— Syndykat dla mnie nie istnieje. Zobaczyłam nagle całą nicość i małość tej ich programowej pseudo-narodowej roboty bez podkładu rzeczywistych uczuć. — [Myśl Zypka: „Tum cię czekał. To pigułki działają i na to. Ho, ho! Zobaczymy co będzie ze mną”]. — Jedna, jednolita będzie ludzkość, a społeczeństwo nie będzie przeszkadzać wewnętrznemu rozwojowi indywiduum, które jak klejnot w futerale ochronione będzie przed samym sobą. Podobno chińscy neobuddysty z góry zrezygnowali z osobowości — wyznawcy Murti Binga nie. — Mówiła głupawo i nieładnie, ale to nie raziło dziś wcale. „Matronizacja” pokrywała wszystko dostojną szatą pokuty: było w tym coś prawie świętego. Czysto es-

tetyczne, formalne zadowolenie z takiego końca tej starej wydry było tak wielkie, że nie było pojęciowej lub słownej „gaffy”, której nie można by jej przebaczyć. Zypciowi nie chciało się gadać, tak jak tylko może się nie chcieć poważnemu inteligentowi zabierać głosu w lekkiej rozmówce na banalnym fajfie, ale coś powiedzieć musiał:

— Niestety nie mogę w to uwierzyć, ale przypuszczam, że osobowość zaginie tak powoli i nieznacznie, że nikt z tych, którzy będą elementami tego procesu, nie odczuje tego boleśnie. Jeszcze może dziś pocierpią niektórzy czysto fizycznie nad materialnymi stratami na tle społecznych przemian, ale za lat kilkadziesiąt śladu nie zostanie po tego rodzaju problemach. — Nie czuł, że wszystkie jego cierpienia pośrednio wynikają z głębokiego przeżywania tego właśnie zjawiska. Niekoniecznie jako takie ma być to przez wszystkich uświadamiane, aby być tym właśnie. Wystarczy, że *ktos jeden* sklasyfikuje pewne fakty, jako symptomy takiej właśnie przemiany. Nic więcej nie trzeba dla przyszłego historyka.

KSIEŻNA: Myślisz pewno, Zypulka, że ja tak przez kompromis: że szukałam czegoś, co by mi mogło zastąpić rzeczywiste życie i ciebie, który tego życia jesteś symbolem, i tak wpadłam na pierwszy lepszy paliatyw. Mylisz się...

ZYPCIO: Nigdy tak nie myślałam... (A właśnie tak myślał).

KSIEŻNA: Otóż to dobrze, bo tak nie jest. To, do czego przyznać się przed sobą nie mogłam: że między nami dla twego dobra musi być koniec, to zrozumiałam dopiero, kiedy on zaczął mówić. A przedtem, wiesz, walczyłam może z tamtym przeciw tobie. — I nagle rozpląkała się, ale już na dobre. Ale nie było w płaczu tym cierpienia nad niepowrotną przeszłością: była raczej rozkosz wyniesienia się ponad dotychczasowe bagno upadków, zwątpień i sztucznie podtrzymywanej wiary we własną fizyczną niezniszczalność. — Nawet myślałam, że gdybyś ty mnie był zabił w bitwie, to byłoby tak piękne, tak piękne, że aż żal naprawdę, że się tak nie stało. — Genezyp skręcał się z żalu. Więc ona biła się jeszcze, biedactwo. Gdyby zginęła, nigdy, ale to nigdy by sobie tego nie darował. Teraz, kiedy spadł z niego fizyczny ciężar miłości spotworniałego, a jednak tak zmysłowo pięknego starawego pudła, teraz dopiero poczuł, jak bardzo ją kochał (i kocha dotąd — może więcej niż na samym początku ich stosunku). Nawet na dnie zawilich splotów uczuć zjawilo się lekkie przecucie tego, co jej zawdzięczał — gdyby miał czas, ocenilby to w zupełności, ale na to trzeba byłoby, aby jad zresorbował się całkowicie, a zostały tylko stworzone przezeń anty-ciała. A przyszło zrozumienie to na tle takiej podłej myśli: „Co by było, gdybym w jej postaci nie miał antidotum przeciwko tamtej? Czyż potrafilbym wybrnąć z tego z tak małymi stosunkowo stratami: jeden pułkownik, atak oblędu, no i tylko »stracone zachody miłości«?”. Genezyp rozkosznie cierpiał patrząc na splakaną twarz Iriny Wsiewołodowny. Wszystko się uwznioślało tak przyjemnie i księżna była jednym z elementów tej ogólnej przemiany. Eliza pocieszała ją blado, ale za to bardzo skutecznie. Po chwili uśmiechnęła się przez łzy i piękna była tak w tym zmieszonym wyrazie radości i cierpienia, że Genezyp zadygotał cały z dziwnych uczuć, które już, już mogły przejść w stan zdecydowanie jednolicie płciowy. Na to wszystko weszła rodzina: Matka, Michalski, Lilian i Sturfan Abnol. Rozpoczęły się typowo rodzinne czułości. Lilian wpatrywała się w Zypcia wszechwiedzącymi oczami. Był jej pewnym — to była piekielna przyjemność. Czuł się uwielbianym przez nią może więcej nawet, niż przez tamte dwie kobiety, i dziko był zadowolony, że Lilian ma na własność jego tajemnicę, o której nigdy nie dowie się Abnol. A do tego matka... Teraz dopiero osiągnął szczyt szczęścia. Popelniona zbrodnia łączyła się z tym kłębem kobiecych uczuć wokół niego w harmonijną, konieczną całość — była warunkiem pewnych kombinacji z Lilian i Elizą, bez których nie byłoby to szczęście tak pełnym, prawie absolutnym. Na wyrzuty sumienia nie było wprost miejsca. (Może gdyby znał bliżej tego nieszczęsnego Węborka, to może — ale tak? — nie można wymagać nawet wyrzutów od takiego, który bez powodu zabił kogoś, w minutę po poznaniu się z nim. Nonsens. Mało kto miał takie przeżycia i ogół nie jest w stanie tego należycie osądzić). A do tego jeszcze rozkaz dzienny szkoły, który przyniesiono przed chwilą: już był oficerem i to takim, który w bitwie stawał, wprawdzie nie jako dowódca i w parszywej miejskiej strzelaninie, — no, ale dobre i to. W rozkazie stało, że jakkolwiek do promocji pozostawał od buntu Syndykatu Zbawienia jeszcze tydzień, to jednak, ponieważ wypełniony on miał być ćwiczeniami taktycznymi, dzień walki został zaliczony jako wystarczająca próba i wszyscy uczniowie mianowani zostali podporucznikami, czyli „karnietami”, jak lubił z rosyjska nazywać tę rangę Wódz.

Nawet całe upokorzenie z powodu Persy zresorbowane zostało w ten sorbet szczęścia, który siorbał Zypcio pełnymi ssawkami swojej nowej drabiej osobowości. A po wyjściu wszystkich Eliza sama dała mu dziewięć piguł Dawamesku B2, tych samych, które dostał wtedy na ulicy, mimo że miała swój porządny zapasik. Zasnął jak kamień myśląc sobie: „no — zobaczymy co teraz będzie. Czyż i ja zbabieję tak, jak wszyscy”.

Obudził się o drugiej z dziwnym uczuciem. Nie był tu, w szkole i nie czuł żadnego bólu, ale nogi miał jak sparaliżowane. Przed oczami zdawała się powiewać jakaś ciemna, gruba zasłona. Przeraził się, że oślepl. Spojrzał w kierunku okien, które nawet w najciemniejszą noc przecie majaczyły czerwonałą poświatą. Nic — ciemność absolutna, a niespokojna — coś niewidzialnego przewalało się, jakby walczyły w nieprzeniknionym mroku grube cielska straszliwych płazów. Ale jednocześnie zstąpił na niego spokój zupełny — widocznie tak być musi. Leżał, nie wiedząc prawie, kim jest — unosił się nad sobą, zaglądając w siebie jak w jakieś nieznanne pieczary i jaskinie, w których tworzyła się rzecz niewiadoma. Aż nagle pękła kłębiąca się zasłona i ogarnął go wir brylantowych iskier. Z nich zaczęły się formować walczące ze sobą przedmioty nieznanne i niepojęte: jakieś kombinacje maszyn i owadów, jakieś piekielnie precyzyjnie skonstruowane, wcielone w niewiadomą materię uosobienia przedmiotowych nonsensów w barwach burych, żółtych i fioletowych. A potem nagle stanął ten wir i przekonał się Zypcio, że to tylko *trójwymiarowa zasłona* wyższego rzędu, kryjąca inny świat, *nie znajdujący się w tej przestrzeni*. Gdzie trwał on jako obraz wyraźny, jednak i to trójwymiarowy, nie można było absolutnie pojąć. I potem, mimo że pamiętał wszystkie obrazy, nie mógł nigdy już realnie zrekonstruować tego niesamowitego wrażenia w jego bezpośredniej świeżości. Zostały tylko porównania — istota wymykała się normalnym zmysłom i poczuciu przestrzenności w ogóle. Zaczęło się od rzeczy względnie zwykłych, których znaczenie mówił Zypciowi tajemny głos wewnątrz niego. — Słyszał go nie uszami, ale brzuchem. A więc: mała wysepka wśród oceanu kulistego — jakby jakąś planetkę oglądał z wielkiej odległości oczami o średnicy tysięcy kilometrów. Ale żaden „kilometraż” w ogóle nie był możliwy. Odległość nie była odległością, tylko poczuciem skręcenia szpica, w który wydłużyła mu się głowa, sięgając *sufitu świata*, znajdującego się *poza nieskończonością*. To wszystko słowa, których używał potem, aby opisać Elizie te wrażenia. Ale nie oddawały one ani cząstki nieuchwytny dziwności tego przemieszania wszystkich możliwych planów, aż do zupełnego zaniku poczucia przestrzenności w normalnym znaczeniu. (Eliza tylko kiwała na to wszystko pobłażliwie swoją małą blond-główką, uważając, że wizje Zypcia niczym są wobec tego, co widziała ona: „Každy ma wizje takie, na jakie zasłużył — ale dla ciebie, dla twego ciemnego ducha, dobre i to”. To poczucie niższości, było jednym z elementów piekielnego pożądania, które w stosunku do niej odczuwał — nic, nawet najdzikszy gwałt, nie mogło zniszczyć dystansu między nim a nią — była w pewnym sensie niedosiężna. I ta niedosiężność właśnie wyrażała się w drażniącym spokoju, z jakim przyjmowała najbardziej nieoczekiwane zjawiska). Nagle zobaczył Genezyp nieskończoną drogę, którą był pełną w bezkresną dal zębaty wąż. On sam stał na nim i poruszał się jak na ruchomym chodniku. To już działo się na wysepce. Ktoś mówił w nim: „To jest Balampang — za chwilę ujrzysz Światło Wszystkich Światłości, jedyne, który za życia złączył się z Graniczną Jednością”. Wąż skończył się (trwało to wieczność całą — w ogóle czas zdawał się deformować dowolnie, w zależności od wypełniających go przeżyć) — zobaczył Zypcio nareszcie *samo to*: (co widzieli wszyscy — jedno i to samo — którzy mieli szczęście połknąć piguły Dawamesku): chatka wśród niskiej, suchej dżungli (purpurowe kwiaty pnączów chwiały mu się przed samym nosem i słyszał śpiew małego ptaszka, który powtarzał ciągle po trzy razy *ostrzegawczo* tę samą nutę, jakby mówił: „nie idź tam, nie idź tam...”). Przed chatą siedział w kucki starzec o cerze *café au lait*. Łypał wokoło czarnymi, olbrzymimi, przelśnionymi oczami, a młody kapłan (z ogoloną głową, w żółtej szacie) karmił go z miski ryżem, przy pomocy drewnianej łyżki. Nie miał rąk, tylko (i to zobaczył Zypcio *potem*) z ramion wyrastały mu olbrzymie amarantowe skrzydła, którymi poruszał czasem, jak znudzony w klatce sęp. „Więc on jest, on jest” — szeptał Genezyp w szalonym zachwycie. „Widzę go i wierzę mu, wierzę mu na wieki. To jest prawda”. Co było prawdą — nie wiedział. *Dowolna rzecz, przedstawiona mu w imię Murti Binga, musiała być dla niego prawdą*. I to wszystko działo się w tej samej niepojętej przestrzeni,

która, nie przestając być tą naszą zwykłą trójwymiarową, nawet wcale *nie wygiętą* przestrzenią, nie była jednak włączona w nasz wszechświat. Gdzież to się działo? Już miał to pojąć, kiedy starzec łypnął oczami prosto w niego i przebił go nimi na wylot. Poczul Zypcio światłość w sobie — był promieniem pędzącym w nieskończonej pustce ku jakiemuś krystalicznemu jarzącemu się *nieznanymi* barwami tworowi (nie tworowi, tylko czort wie czemu), którym była nigdy nieosiągalna Dwoista Jedność Graniczna. Wizja znikła — znowu kiełbasiła się przed nim zasłona z *niewidzialnych* walczących gadów. A potem zobaczył całe swoje życie, ale jakby wyżarte przez płomień — niepełne, z lukami okropnych ciemności, w których nieznaną drab (on sam, ale podobny z wyrazu do Murti Binga) czynił niezrozumiałe rzeczy, deformując się i zwiększając do nieskończonych prawie rozmiarów, to zmniejszając się do czegoś nieodszukalnego, mikroskopijnie małego, zaplątanego w czymś innym, co było samymi *wnętrznosciami świata* — była to w istocie kupa niewiarogodnych flaków, miotająca się wśród erotycznych transów części swych, jako nienależących do nikogo osobowego, organów płciowych. To było jego życie, ale już rozpatrzone krytycznie z punktu widzenia jakiejś wyższej, nie-człowieczej celowości — cele były poza tym światem (w tej tajemniczej przestrzeni), ale życie musiało układać się według nich, inaczej potencjał świata musiałby się zmniejszać, a nawet dojść do zera i wtedy (o, okropności) nie tylko zapanowałaby Nicość Bezprzestrzenna, coś niewyobrażalnego, *ale także wszystko to, co już było, zostałoby przekreślone* i byłoby to równoznaczne z tym, jakby *nigdy nic nie istniało* i istnieć nie mogło. Strach przed tym był wprost niewymierzalny. Stąd powstawała ta niesłychana „żarliwość w posłuszeństwie” wszystkich wyznawców — Nicość z przekreśleniem przeszłości — jakże to było możliwym? A jednak podczas działania Dawamesku B2 rozumiało się te rzeczy tak łatwo, jak ogólną teorię funkcji. Zobaczył Zypcio całe swoje życie i przysiągł poprawę. Zbrodnia, której dokonał, przedstawiała się w tym obrazie jako przeniknięcie się dwóch krystalicznych potęg w sferze Wiecznego Ognia — Węborek stał się nim, Zypciem, a bynajmniej nie zniknął, jak to się wszystkim zdawało — za to Zypcio był dwuosobowy — oto wszystko. Ale sam moment objawienia prześlepił jak wszyscy. Zdaje się, że chwilą najistotniejszą było tu to wściekle, przebijające łypnięcie, ale kiedy dokładnie i *jak* zazębiało się to o dotychczasową psychikę, nikt nie był w stanie pojąć. Jeszcze jedno: ci, którzy już mieli wizję, nie mówili o nich nic z tymi, którzy jeszcze przez to nie przeszli. Działo się to samo, bez żadnego upominania władz wyższych sekty. Nikt by i tak nie uwierzył, że ktoś w ogóle coś podobnego widzieć mógł — nie warto było gadać. Za to wspólność wizji wywoływała dziwną łączność między wyznawcami — trzymali się siebie z siłą rzepów czepiających się psich ogonów.

Zbudził się Zypcio koło jedenastej rano i od razu poczuł, że jest inny. Powoli, powoli przypomniał sobie wszystko i promieniał z zachwytu. Eliza *już* trzymała go za rękę, ale to nie nudziło go wcale. Wchodził w siebie coraz głębiej, do tych pustych teraz piwnic, w których hodował draba. (To ten drab się nawrócił — chłopczyk nie byłby do tego zdolny). Tam węszył obcą sobie jaźń po kątach — nowy ktoś wylaniał się z tych samych zakamarów — kto to mógł być, u diabła. Oblęd, zmieszany z jadem piguł, nie dającą się syntetycznie odtworzyć morbidesiną, dawać zaczął wyniki nieprzewidziane przez psychiatrów chińskich. Teraz miało się zacząć „intelektualne” (!) opracowanie wyników objawienia. To było zadanie Elizy, tej notorycznie nieinteligentnej panienci ze sfer demiarystokracji.

NOC POŚLUBNA

Zrobiła się pół-letnia sierpniowa niby-jesień. Przykrojędnostajna lipcowa zieleń różniczkowała się na całą skalę tonów od szmaragdu do ciemno-buro-oliwkowego odcienia. Genezyp powoli zaczynał wstawać. Nie tyle przeszkadzała mu przestrzelona łydka, co pozostałości po kontuzji, objawiające się nie tylko fizycznie (zawroty głowy, kolapsy i leciutkie konwulsyjki), ale i w dziwnych zabarwieniach stanów psychicznych, w jądrze swym od czasu zbrodni niezmiennych. Ciągle miał poczucie, dochodzące czasem do niezmiernie przykrej intensywności, że *to nie on przeżywa to wszystko*. Z boku patrzył na siebie jako ktoś obcy, ale *dosłownie*, a nie jako jakiś „mnożący się w nieskończoność obserwator”, Leona Chwistka. To nie było żadne gadanie, tylko *tak było*. Kto tego nigdy nie przeżył,

nie wie, co to jest. Niepodobna tych rzeczy nikomu wytłumaczyć. Pyknicy chcący stan ten zrozumieć muszą kropnąć dużą dawkę meskaliny (wizyjny alkaloid peyotlu) Mercka, aby mieć choćby pojęcie o schizoidalnym kierunku, w który zbacza normalny ciąg psychicznego życia. Porządny „schyzio” od razu zrozumie, o co chodzi, ale z pyknikiem nawet nie warto zaczynać na ten temat bez wyższego rzędu narkotyków. Między dwiema osobowościami wytwarzały się bolesne przerwy, wypełnione strachem — co było w tych przerwach? Co stanowiło treść pustki trwającej, niewypełnionej żadną z dwóch jaźni? Czaiły się w niej jakieś czyny straszliwe, mogące, zdawało się, przebić pancierz zasadniczych praw istnienia, zdolne stworzyć możliwość przeżycia w ułamku sekundy aktualnej nieskończoności wszystkich, nawet tylko możliwych światów. Ach, te pustki! Wrogowi najgorszemu nie należy życzyć tego stanu. Chwila, która zdaje się nie być niczyją, a jednak jest kitem łączącym dwie istoty, które bez niej byłyby *faktycznie* odrębnymi jaźniami. W tych chwilach trwał ten trzeci, *nieziszczalny* w życiu, chyba w ostatnich momentach zupełnej katatonii.

Mimo nocnej wizji nie był Zypcio „pełnym” murtibingistą — o nie. *Cóż* nie szło w tym wszystkim tak gładko jak z innymi i ciągle nie był biedny aspirant godnym tego, aby osobiście pomówić z Lambdonem Tygierem. Ale za to teraz dopiero poznał duszę swojej narzeczonej, raczej tę jej emanację, którą w niej sam wywoływał — Eliza mogła istnieć tylko jako negatyw w stosunku do kogoś — negatyw *pozytywny* — (po prostu jako dobra postać, „duch z prawej strony”⁵) — sama była niczym. Zaczęła żyć od chwili wpicia się w bebechy duchowe Geneczypa. Tak — poznał duszę Elizy, o ile ona takową w męskim znaczeniu posiadała i nie była tylko idealnie zmontowanym przez Lambdona Tygiera manekinem, o co na tle jej doskonałości posądzać by ją można. Na dnie tego wszystkiego tkwiła pewna nuda, jak na dnie każdej doskonałości. Doskonałość to bardzo podejrzana rzecz i kryje czasami zupełny negatywizm — nicość. Ale na razie upojony spokojnym szczęściem Zypcio nie zdawał sobie z tego sprawy. Nudził się z rozkoszą, sam o tym nie wiedząc, że podstawą tej rozkoszy jest właśnie nuda. Eliza w normalnych wymiarach była tym typem, co to żyje tylko wtedy naprawdę, o ile podnosi do swej „wyżyny” upadłego anioła, albo zwykłego demona, pod warunkiem, że osobnik taki ma dla niej wartość czysto płciową. Ale najbardziej w typie takiej osoby będący, normalny, odproblemiony zdrowy byczek, nawet na swój sposób mądry, będzie równie niczym jak odwrotność tego typu — musi być i jedno, i drugie. Znalazła takiego w Zypciu i postanowiła nie popuścić go aż do śmierci.

Informacja: Sytuacja polityczna trwała bez zmiany. Kocmołuchowicz, po zwycięstwie „lakmusowym”, jak nazywano pobicie syndykaliatów zbawieniowych, przejął w siebie, częściowo przynajmniej, siły Syndykatu, stając się jeszcze bardziej tajemniczym, niż dotąd. Okazało się, że w ogóle cały Syndykat był błagą, wydętym pęcherzem bez treści — nie miał racji bytu jako oddzielny społeczny element — wsiąkł bez reszty prawie w ogólną organizację obrony Białej Rasy. Może to była ta słynna, niezbadana „idea” kwatermistrza — może on sam tylko był emanacją rasowego instynktu Białych? — czort wie. Oprócz nieubłaganych komunistów nie było już różnych partii w państwie — wszyscy podświadomie ogarnięci byli ideą „przedmura”, ale właśnie nie na tle narodowym, tylko rasowym: czuli się białymi i tyle — w przeciwstawieniu do żółtych, jako do innego gatunku zwierząt. Tak samo można by zorganizować walkę ze szczurami czy karaluchami — ściśle narodowych elementów w tym ruchu nie mogli się doszukać najbardziej nawet zawzięci nacjonalisci wśród socjologów. O tym, co się działo w Chinach, i zdobytej przez żółtych Moskwie, nie wiedział nikt nic. Nie, żeby szlachetni z natury Polacy nie byli zdolni zorganizować czegoś tak podłego, jak dobra służba szpiegowska — nie — nie wiedziano o niczym i na Zachodzie. Tak cisłym murem otoczyły się przeklęte żółciochy i tak potwornymi torturami karano tam nie tylko szpiegów złapanych na gorącym uczynku, ale i najlżej podejrzanych, że nie było agenta, który by po pewnym czasie nie zaczął działać w przeciwnym kierunku niż zamierzał. Potem

⁵„duch z prawej strony” — por. *Dziady, część III* A. Mickiewicza: Prolog, Sceny II i III. [przypis edytorski]

przestano ich nawet wysyłać. Porządnych szpiegów można mieć tylko, o ile uczucia narodowe są jeszcze w pełni rozwoju, albo jeśli idzie o propagandę społeczną — za pieniądze nigdy. Te dwa pierwsze punkty były u nas nieistotne z powodu zaniku odpowiednich danych bezpośrednich. Taki strach przed obcą rasą, jaki panował obecnie w Europie, nie był dobrą podstawą dla hodowania bohaterów. Bronić się w tym stanie można, gdy już nic innego do zrobienia nie ma i nie ma gdzie uciekać — dla ataku wymagane są inne uczucia — pozytywne. Ogólnie przeczekiwano się z coraz większym zdenerwowaniem. Wolni od czekania byli tylko wyznawcy Dżewaniego — dla nich osobisty czas rozszerzył się jakby poza ich życia — w tył i naprzód (odwrotność tamtej koncepcji karnej z przekreśleniem już byłego istnienia — ta ucieleśniona niezrozumiałość, którą oni pojmowali bez najmniejszego trudu). Nawet w pewnych chwilach wmyślania się w metafizyczne dobro świata czas zdawał się być nie prostym, ale pękiem jakimś hiperprzestrzennym, tak wzbogacała się ich skala odczuwania innych osobowości. Drobne telepatie stały się w pewnych sferach najzwyczajszą codziennością — wszyscy przenikali się wzajemnie, tworząc jedną wielką bezosobową miazgę, z której każdy, kto by się odpowiednio za to wziął, mógł zrobić, co by zechciał. Wszyscy tonęli w zachwycie nad innymi i tym samym, nie wiedząc o tym, potęgowali własny zachwyty nad samymi sobą. Roztapiały się w sosie dobroci powszechnej co drobniejsze nienawiści, a nawet większe zaczęły się powoli łągodzić. Szczęście dżewanistów, widoczne jak na dłoni, wzbudzało tak szaloną zazdrość w otoczeniu, że całe masy ludzi, nie wierząc w nic podobnego do nauki Murti Binga albo wierząc w coś zupełnie innego, zaczęły z czysto pragmatycznych powodów grawitować w jej kierunku, by skończyć w masowej hipnozie i poddaniu się jej niezbyt zrozumiałym zasadom. Dokończyły wszystkiego piekielne piguły DB2. W tym czasie przyjechał do K. w leśnych sprawach książę Bazyli. Wysłannicy Mistrza dotarli nawet do jego pustelni w ludzimierskiej puszczy i oczywiście wywabili wartościowego dla nich zwierza z jego ostępów. Pod wpływem dziewięciu pigułek przekonał się książę, że to jest właśnie religia, której potrzebował — było w tym i trochę „intelektu” (pożał się Boże!), i trochę wiary — kompromis rozkoszny, nie wymagający żadnych nowych poświęceń, a nade wszystko umysłowej pracy. Ale na każdego działało to wszystko inaczej, najistotniej z jego właśnie osobistego punktu widzenia. Nawet Afanasol Benz, powołany wreszcie na jakąś marną docenturę za staraniem samego Dżewaniego, pogodził system Asymptotycznej Jedności ze swoim państwem znaczków i z aksjomem Benz-a i zlogizował nawet pewne partie nauki Murti Binga — pewne, bo całość wiary tej miała elementy wykluczające zupełnie poddanie się logistycznej aparaturze. Tymczasem wypadki szły dalej. Aż wreszcie pękły ściany chińsko-moskiewskiego kotła i żółta magma przelała się znowu o paręset kilometrów dalej, aby stanąć w groźnym milczeniu nad naszą biedną polską granicą. Ale o tym później.

Nowo mianowany oficer i jego wzniosła narzeczona siadywali teraz często w ogrodzie szkoły, gdzie spóźnione (?) róże, koralowe bzy, śliwki, jabłonie, przekwitłe czeremchy i berberysy, wśród poszycia z baldaszków, szczawiów i gencjan, stanowiły wspaniałe *wprost* tło dla rozwijających się uczuć. Byli oboje jakby parką błękitno-złotych chrząszczy, tak zwanych popularnie robaczków, kochających się na podczerwieni listku jeżyny w złotym, sierpniowym słońcu. Natura dyszała łagodnym, zamierającym ciepłem i dnie błękitne, wsparte na lotnych żaglach białych obłoków, pędzących na wschód, przelatowały jak płatki kwiatów, obrywanych łagodnym podmuchem — coś mniej więcej takiego w przybliżeniu. (Dosyć tych przeklętych pejzażowych nastrojów, tak zapługawiających naszą literaturę. Nie można z tła robić istoty rzeczy i przy pomocy sentymentalnych widoczków wymigiwać się z zawilej psychologii). Bez ustanku, aż do bólu, drażyła ich oboje wzrastająca miłość. Zdawało się, że to nie oni pożerają się wzajemnie duchowo (wszelkie fizyczne „*prykosnowienja*” były na razie wykluczone), tylko że sama dwoista miłość,

Natura, Literat

Miłość romantyczna

pozaosobowo ujedniona, zobiektywizowana, zhipostazowana, obok nich, a nie w nich istniejąca, wysysa ich jak mątwą, sycąc tym swoje własne, niepojęte istnienie. Stało to paskudne w istocie swej widmo za nimi ciągle, gdy siedzieli przytuleni do siebie leciutko na ławeczce pod świecąca płomienisto-czerwonymi gronami jagód na tle błękitu jarzębiny, czy też na jakiejś tam kanapce w zimnym mroku zielonego abażuru w długie, choć nie zimowe wieczory. Gdy szli w zamiejskie okolice (Zypcio już w nowym mundurze oficerskim szkoły wyszkolenia adiutantów) pełzało (zdawało się oczywiście) wśród schnących żółkłych traw za nimi, zagładało w formie kłębiastych sierpniowych obłoków w ich czaszki z góry, zalecało się ostrożnie, a podstępnie, w powiewach łagodnego pół-jesiennego wietrzyka i szeptało zwodnicze, kłamliwe, niby radosne, a już pełne bolesnego smutku i przyszłych zawodów słowa w szelestach wysuszonych gorącym liści.

Ale niedługo względnie trwał ten stan błogiej rekonwalescencji i beztróskiego nasykania się własnym bohaterstwem i przedwczesnym oficerstwem, i czystym, niezmaczonym „mętami rozumu” uczuciem. Synowie Dwoistej Jedności zaczęli zwiększać dookolne ciśnienie i powoli przymuszać do istotniejszej według nich wewnętrznej pracy. Już miała Eliza parę konferencyjek tajnych z różnymi niższymi szarżami murtibingowskiej hierarchii. Rozpoczęły się formalne lekcje. Na jedną z nich (niestety czas ich był ściśle oznaczony — od szóstej do siódmej, i to denerwowało Zypcia, jako jeszcze jedno obowiązkowe zajęcie) przyszedł sam Lambdon Tygier, malutki starzec (a nie mały staruszek — to nie jest to samo) o popielatej brodzie i jasno-żółtych oczach, świecących jak topazy w brązowej, gładkiej twarzy. (Podobno był kiedyś plantatorem kawy). Ale nie powiedział absolutnie nic. Słuchał tylko, żując jakieś tajemnicze orzeszki. Za to Eliza wpadła w istny szal wykładowy pod wpływem jego obecności. Płynęły z niej rzeki wprost słodkiego nonsensu o zbieżnościach nieskończonych w X-tym wymiarze, o dwoistości już, już na granicy jedności, o sublimacji zmaterializowanych uczuć, o eterycznych dziurkach, przez które jedność spływa na rozdwojone stworzenia. Wszystko wiedziała na pewno, bezapelacyjnie, wszystko umiała biedactwo objaśnić, nie było dla niej tajemnic. Lambdon słuchał i potakiwał. Świat tamten, świat Murta Binga tak samo był pospolity, jak z pewnego punktu widzenia ten nasz, z którym się zresztą przenikał, ale wszystkie problemy filozoficzne dotyczyły go w najlepszym razie, zarówno jak i tego naszego — ale tego zdawali się nie dostrzegać zjadliwie objaśniacze. Nie widzieli, że swoją nieistotną, dowolną paplaniną zabijają tajemnicę na drugim, fikcyjnym planie, nie różniącym się od naszego, zamiast po prostu bez całej tej parady zanegować ją głośno na pierwszym, jak to czynią najzwyczajniejsze „bydła w surdutach”, żuizerzy i wyznawcy „życia samego w sobie”. Po co ta cała komedia? Coś podobnego *podświadomie* myślał adept nowej wiary, ale zawsze w poprzek skonsolidowania się takich myśli stawało wspomnienie wizji: jednak coś w tym było. A może tak jest? I na tę wątpliwość nie znajdował jego filozoficznie niewycwiczony intelekt żadnej odpowiedzi.

Z początku nawet buntował się Genezyp trochę przeciw tej całej bzdurze — nieśmiało i nieudolnie, ale „przecie”. Ale powoli pewne słowa Elizy zaczęły się łączyć w nim z pewnymi odpowiednimi stanami z czasów popołudniowego przebudzenia. Cały okres miłości dla księżnej i epoka tortur w towarzystwie Persy zwały się w jeden, prawie nierzeczywisty koszmar, który odrzucił któregoś sierpniowego dnia, jak liniejący wąż swoją skórę. I nagle stanął przed sobą duchowo nagi, młody i niepodzielny, wobec nowego cudu: miłości tak pierwotnej i doskonałej, że zdawało się, iż ten do niedawna perwersyjny młodzik nigdy nie znał kobiety i pierwszy raz widzi przed sobą jakąś tajemniczą stworę, o której nigdy nawet nic nie słyszał. Przeszłość *faktycznie* należała do innego osobnika. Buchnęły zahamowane zwały uczuć — nigdy, w najdziwniejszych snach nawet nieprzeznaczonych — Genezyp kochał teraz dopiero po raz pierwszy naprawdę. Chodził z rozdartym, krwawiącym naprawdę sercem jak jedną wielką raną, był prawie — bo cóż mógł robić więcej, jak siedzieć z nią i rozmawiać — pocałunek najniewinniejszy zdawał się być w tym stanie jakimś potwornie świętokradczym aktem brutalnej rozpusty. Rozczulał się nad nią do pęknięcia, litował się tak jak nad całą sforą uwięzionych psów, rozdzierał się i rozpajał aż do bólu — wszystko nadaremnie: nic z tego więcej nie można było uczynić, jak siedzieć lub chodzić razem i rozmawiać. A, przekleństwo! Zakorkowało go zupełnie — nie wyobrażał sobie wprost najskromniejszego nawet pćiowego aktu na tle tej piekielnej

sublimacji. I co było najdziwniejsze, że kochał ją teraz już świadomie, jako ten ciemny drab (z lekka tylko nocą wizji przejaśniony) i nic w nim, prócz metafizycznych przeżyć, nie łączyło się z dawno umarłym chłopczykiem. O morderstwie nie było już więcej mowy. „Jeśli to stworzyło w tobie nowego człowieka, to nie trzeba się tym martwić” — powiedziała raz Eliza i na tym koniec.

Ale powoli, zatrzymana w swym rozwoju przez skutki kontuzji i świeżo otworzony wulkan idealnych uczuć, zaczynała się budzić w Genezypie płciowa pożądlivość. Było to raczej tylko dalekie „pochutnywanie”, daleko subtelniejsze nawet od pierwszych wrażeń irytacji płciowej na tle spokoju i zrównoważenia Elizy, które to symptomy po pigułkach ustąpiły zupełnie. Eliza, mimo piękności, była, na pierwszy rzut oka, stworzonkiem prawie zupełnie bezpłciowym. (Tym niebezpieczniejsze bywają takie osoby, gdy już raz podobać się zaczną). Wielkie, szare, niewinne, prześwietlone zachwytem oczy zniewalały raczej do czci jakiejś nieziemskiej, niżby budzić miały myśli śliskie, nieczyste; (ale takie oczy widzieć skoszone żarem nasycanej żądz... Ha!); usta wygięte w łuk modlitewny, ani wąskie, ani szerokie, ale wcięte w kącikach z zaciętą trochę dobrocią, („dla *jego* dobra można go nawet trochę pomóc”), (takie usta rozmiążyć pocałunkiem tak, żeby się oddały bezwolne i jeszcze więcej pragnące... Ha!) i ciało wiotkie pozornie, ale giętkie do akrobatyki włącznie (w chwilach ekstazy dotykała pięt głową) i stalowoprężne w nerwowym podnieceniu (takie obojętne ciało zmusić, żeby się wiło jak gad w lubieżnych drgawkach... Ha!). Wszystko to stanowiło kompleks „danych zmysłowych” o pozornie nikłym erotycznym napięciu, ale kryjący w sobie jakieś piekielne, nieznanne możliwości, o których świadomie nie śmiał pomyśleć Genezyp, wysrubowywany w rozmowach na coraz wyższe piętra duchowej doskonałości. Ta nikłość to było złudzenie — oczywiście nie wiedział o tym niedoświadczony młodzik, który dotąd tylko bebechy na wierzchu uznawał za wyraz namiętności prawdziwej i nawet martwił się chwilami zbyteczną wzniosłością narzeczonej, nie śmiejąc wyrwać jej z tego stanu. Milcząca umowa trwała, że do nocy poślubnej ani dotknięcia jakiegos najskromniejszego być nie może. Pożądanie jego w tym okresie było raczej bezosobowe, na tle nagromadzonych zwałów żądz do tamtej kobiety, żądz już odosobowionej (zdezindywidualizowanej) pod wpływem zalania, zatopienia całej duszy wielką miłością idealną dla Elizy. A do tego nie miał żadnego antidotum jak wtedy w postaci sztuczek księżnej Iriny i mieć by nie chciał, mimo że czasem... ale mniej-
sza z tym: czegoż nie pomyśli człowiek w jakiejś cząsteczce sekundy? Gdyby wszystkie takie drgnienia uczuć i myśli zanotować i zanalizować, to cóż by zostało z najbardziej świetlistych postaci historii? Chodzi tylko o proporcję. Tak — każdy ma podobno różne zarazki w swym ciełe, ale nie każdy choruje na wszystkie choroby, które one wywołują.

Doskonałość

Podświadomie, wstrętnym instynktem samca, czuł Genezyp jakieś straszliwe bezimiennie napięcia w głębiach tej tak bliskiej mu, a tak tajemniczej osoby. Bo stokroć bardziej tajemniczą była dla niego ona, niż księżna i Persy w chwilach ich poznania. Tęgo nie mógł jeszcze ocenić kilka miesięcy temu, a teraz, jako ten drugi zatapiał w niej bezsilne szpony swoich wariackich myśli (nienasycenie absolutne) i odpadał jak od śliskiej, prostopadłej ściany. Niby przezroczysta była jak stulbia czy chełbia — widział nieomal proces jej psychicznego trawienia, gdy wykladała mu wzniosłą naukę Murti Binga, a jednak... Tą tajemnicą jej dla Zypcia była płonąca na razie zimnym ogniem, skryta w głębiach jej ciała płciowość, bo cóż w ogóle może być tajemniczego w kobiecie (jako takiej, a nie jako metafizyczna jaźń), jak nie to, prócz pewnej, głupiej zresztą nieobliczalności, na którą po prostu uwagi nie trzeba zwracać, *à la* Napoleon I. Tak myślał o tym ostatnim problemacie Genezyp, zasłyszawszy odnośną teorię od Sturfana Abnola. Miała Eliza uśmieški i błyski oczu, od których zamierały w Zypciu wnętrzości. Były w tym głębie nieznanych dla niego, w ogóle niepojętych uczuć — nigdy ich nie zrozumie, nie przeniknie, nie weźmie w siebie... Chwilka morderczej wściekłości i upokorzenia, a potem, właśnie na tym tle, miłość jeszcze wspanialsza, promienna, rozświetlająca i jego, i cały świat. W chwilach takich gałązka berberysu z czerwonymi jagodami na tle kobaltowej niebieskości sierpniowego „nieboskłonu”, jakiś listek, zaczynający z lekka żółknąć; albo błyszcząca ważka, trzepocząca z furkotem skrzydełkami, a sama zastygła nieruchomo w ciepłym podmuchu, idącym od rozgrzanych ściernisk, stawały się symbolami rzeczy najwyższych, w istocie niedościgłych, a wtedy właśnie na sekundę choćby stających się Genezypa i Elizy własnością wspólną, jak ich własne, nieznanne sobie ciała. Bo cóż jest

„właśniejszego” od własnego ciała? — chyba czasem czyjaś dusza. Zamaskowany zachwyty nad sobą — zwykle banalności pierwszych prawdziwych uczuć. Ale nie można było tego zatrzymać, w coś innego, trwalszego przetworzyć, ująć i wchłonąć na zawsze. Chwile płynęły i coraz większym smutkiem promieniała rosnąca przeszłość. Przeszłość jego pokręcona dziwnie, nabiegła męką wykrzywionego od samego początku życia nie mogła stać się jej własnością. To jest może właśnie szczytem miłości, jeśli dwie przeszłości kochających się dwojga ludzi zleją się w jedną wspólną. Tu zbyt wielkie były różnice — Eliza nie miała w sobie odpowiednich narządów (wstrętne), aby strawić byłego Zypcia z całym jego rozdwojeniem. Gdy zagłębiał się w dawne a tak niedawne życie, stawał się dla niej obcym i musiał być samotnym, mimo pozornego analitycznego zrozumienia. I to może nadawało najjaśniejszym nawet chwilom tragiczne zabarwienie. Tajemny lęk okrężał ich powoli i często *jednocześnie* wdrygali się oboje, tknięci niejasnym przeczuciem nadciągającej bezimiennej okropności. (Może to miał być „żółty mur”). Anielska twarz rzeczywistości zmieniała się chwilami nieznacznie, na nieskończoność czasu, w jakąś niewiarogodnie potworną mordę. A tak krótko trwało to, że nigdy nie wiadomo było, czy to nie złudzenie.

Na tle tych uczuciowych transformacji bzdura Murti Binga przenikała powoli niedokształcony, a głodny jakiegokolwiek metafizyki mózg Genezypa. Masa tych potencjalnych, nierozwiniętych uczuć, stanów i myśli, związana z poczuciem nieskończoności świata i zamkniętej w sobie jak w kufrze osobowości, nie rozplomieniała się w żadną zaczątkową nawet konstrukcję *prawdziwych* religijnych uczuć, mających za przedmiot Boga, ani nie krzepła i nie krystalizowała się w system choćby pierwotnych, ale ścisłych pojęć. Gniła powoli, rozkładała się w jakiś miękisz bezkostny, nieartykułowany. Lekkie mgliste zarysy *dowolnego* szkieletu złożonego z niepowiązanych części: — wałęsających się zbanalizowanych pojęć: granicznej jedności w dwoistości na przykład, nie mogły stanowić żadnego ośrodka myślowej krystalizacji, były tylko powierzchownym narkotykiem, usypiającym wszelką pojęciowość w zarodku. Dobrze było zatkać dziurkę, prowadzącą do niezmiernie otchłani byle jakim korkiem, byle tylko za tę cenę można było się pogodzić z otaczającą i nieznośnie rzucającą się w oczy potwornością istnienia. Tak dobrze było wyciągnąć się w doskonałym, choćby w granicy, świecie, jak w wygodnym fotelu — nie na zawsze — choćby na chwilę, choćby na małą chwilkę tej wzniosłej miłości, tak kruchej w stosunku do piętrzących się dookoła groźnych potęg. Tej siły, aby móc powiedzieć sobie: „cokolwiek się stanie, niech uderza we mnie” i strawić każdą możliwą rzeczywistość, nie dała Zypciowi nowa wiara. Czyż warto było zaczynać coś na wielką skalę, wobec niemożności rozstrzygnięcia przyszłości w sposób jednoznaczny? Jak będzie wyglądać życie, jeśli Chińczycy zwyciężą? A jeśli, co było nieprawdopodobne i w co nikt *naprawdę* nie wierzył, Polska, wieczne przedmurze, rozbije mongolską lawinę? Jeszcze niepewnie przedstawiała się w tym wypadku przyszłość. Ruina sztucznego, podtrzymywanego przez Komunistyczny Zachód faszyzmu i jeśli nie chiński, to krajowy komunizm groził nieuchronnie. Genezyp przestał wkrótce dociekać ostatecznego sensu całej tej okrutnej bałiwerni życia. Zadowolnił się tym, że ostateczne prawdy zsyła na Murti Binga Graniczna Jedność, a oczywistym było to na podstawie wizji. W ogóle, kto nie miał nigdy wizji, nie wie, jak bardzo są one przekonywujące. Niepodobna wyklądać tu całego systemu — pies by tego nawet nie przejrzał. Było to coś pośredniego między religią a filozofią, coś po prostu okropnego: wszystko programowo niedokładne, do końca nie przemyślane, wszystko owinięte w pojęcia-maski, kryjące istotne trudności i zamazujące problemy. A skutek: barania dobroć i oglupienie pozwalające na byle jaką przemoc. Tak myśleli w tym czasie wszyscy, których dosięgła zaraza: *Murtibingitis acuta*, jak to (jeszcze?) nazywał Kocmołuchowicz. Ogólną tendencję w tym kierunku spotęgowały znakomicie wypadki lipcowe: wytchnąć choć na chwilę przed ostateczną katastrofą było jedyną ideą ogólną — nikt nie myślał o dalekich dystansach. Tak to przygotowywały sobie grunt pod swoje nieuchronne panowanie te „żółte diabły”: usnąć i we śnie zadławić było ich zasadą naczelną. Jeden z niewielu nie poddał się nowej wierze Tengier. Nie chciał, jak mówił, odczytywać tych „znaków końca na niebie rozumu” — komponował coraz dziksze rzeczy, pił, zażywał co najgorzej świństwa, miał swoje dziewczynki — co mu tam — takiemu dobrze. Artysta — brrr — najwstrętniejsze pojęcie w tych czasach — robak w ściervie. Trudno — do takich narkotycznych myśli (przed samą ostateczną bezmyślnością) (skończy się na-

uka w znaczeniu ogólnym i zakorkuje się filozofia) dąży ludzkość — w naszych oczach się one tworzą. Ale iluż „spłyciarzy”, szlachetnych (czy koniecznie) optymistów i sprytnych psychicznych byznesmanów nie widzi tego i widzieć nie chce.

A więc: Zypcio był już prawie nasycony dogmatyką nowej wiary, gdy Eliza znajdowała się na krańcach możliwości rozmów. Już, już za chwilę miało się wyczerpać wszystko i miłość idealna zjadłaby przed czasem miłość w ogóle, tę prawdziwą, niezróżniczkowaną na duchową i zmysłową. A zmysłowe okropności czekały w przyszłości, obstawiwszy drogę życia, jak sfinksy świątynną egipską aleję. Pod koniec rozmówki były mniej więcej takie:

GENEZYP: (Nieszczerze). — Czuję się w sferze twojego ducha doskonałością tym większą, im bliżej jestem tego przecięcia się dwóch linii osobowości: przestrzennej i czasowej, o którym mówiłaś wczoraj...

ELIZA: (Patrząc bezkresnie, dwuokienkowo, jeden wzrok błędził koło wyspy Balam-pang, — drugi, ciemny, po zakamarkach ciała, dotykając, próbując wewnętrznych organów. Które by tu, od których by tu, którymi by tu tak zagarnąć.. Co? Zbudziła się). — Wiesz — chwilami straszliwe przychodzi na mnie zwątpienie: jeśli źródło pojęć ostatecznych, tych, które musimy przyjąć, nie jest potęgą dobrą, tylko obojętną, to dlaczego właśnie świat ma być postępem, a nie bezkierunkową oscylacją — a wtedy, w której fazie jesteśmy? — albo nawet ciągłym upadkiem? — (Przez wątpliwości lubiła najbardziej dochodzić do wiary). — Ograniczoność nasza nigdy nie da nam pewności co do znaku: *plus* czy *minus*, całości Bytu.

GENEZYP: (Nieprzyjemnie ocknięty). — Zawsze mówiłem, że etyka jest względna. Tylko specyficzne właściwości danego gatunku istot stwarzają specyficzny stosunek poszczególnego osobnika do całości gatunku i to *jest* etyka. Wobec Granicznej Jedności Bytu czyż nie jest wszystko jedno, w którym miejscu jesteśmy. Zawsze uderzamy się o nieskończoność.

ELIZA: Ponieważ nieskończoność jest graniczna, nie aktualna, więc to tak, jakby praktycznie jej jej było... — Kilka liści żółkniejącego klonu oderwało się i powoli balansując spadało na ziemię, od której buchał suchy żar. Zapatrzili się w te liście lecące w nieruchomym powietrzu i (na chwilę) pojęcia, których używali, wydały im się takim nonsensem wobec istnienia, że zawstydzili się jakby tej pseudo-filozoficznej rozmowy. Ale Eliza brnęła dalej z uporem: — (ileż by oszczędzili sobie rzeczy strasznych, gdyby teraz, zamiast gadać, oddali się sobie wzajemnie). — Hierarchia na skończonych wycinkach czasu jest bezwzględna. Zachowanie objawów indywidualnych, ale społecznie nieszkodliwych — oto do czego dąży nasz mistrz.

GENEZYP: Nie uwierzę w to nigdy. Widzimy, co się dzieje z teatrem: ostatnie podrygi czystego nonsensu. Nie byłaś u Kwintofrona. A muzyka kończy się naprawdę na Tengierze. To jest już to ostateczne wyprzedzenie społeczeństwa przez sztukę, to, którego nigdy odrobić się nie da.

ELIZA: Nikt jeszcze dotąd, a tym bardziej żadne państwo, nie działało w tym kierunku świadomie. Zizolowanie artystów i uczonych, jak pod kloszem, od reszty mechanizującego się społeczeństwa...

GENEZYP: Potworna bzdura. Ale i to też jest możliwe. Cóż się nie kryje w przyszłości naładowanej przez *taką* teraźniejszość.

ELIZA: Przy pomocy naszej wiary możemy przetrwać jak zamarynowani w galarecie dowolny system rządów. Tylko wszelka filozofia musi być trzebiona z największą zajadłością, jako bezpłodne marnowanie fosforu w mózgu, podobnie jak gra w szachy.

GENEZYP: A jednak coś przeraża mnie w tym wszystkim, gdy myślę tak *razem z tobą*. Ja chcę żyć, a duszę się w tym! Ratunku! — Zaniemówił na chwilę, zduszony prawdziwym strachem: czarnym, spoconym, wylupiastym: załupionym za samego siebie w nieskończoności, a potem krzyknął i nie poznał swego głosu. Nagła przepaść mignęła w nim samym. *Wszystko było nie to*. Coś rzucało się na niego z jego własnego wnętrza — już nie obcy człowiek (ten dawny więzień — och! — jakże rozkoszne były to czasy!), ale coś, coś bezimiennego, a ostatecznego jak sama śmierć — i to nie tylko jego własna, ale śmierć wszystkiego — Nicość. Eliza siedziała nieruchomo, zwrócona swym czystym profilem ku niemu, ale po ustach jej błąkał się jakiś tajemniczy, prowokujący uśmiešek. Genezyp bił rękami powietrze, w którym z szaloną szybkością rozprzestrzeniała się *gorąca* broda tamtego, zabitego przez niego — już wypełniała cały wszechświat, już przekraczała

granice skończoności, jak w wizji po dawamesku — jak wtedy gdy wszystko działo się w innej przestrzeni, poza tą naszą. A jednocześnie widział całą rzeczywistość przed sobą, z niesłychaną wyrazistością — jak nigdy dotąd — tylko jako jakieś *coś* obce, nieswoje — cudze i nie wiadomo przez kogo oglądane. Zrobiło się straszno. Oczy miał wylupione i dyszał ciężko. Eliza nie wytrzymała: wzięła go za głowę i przyciągnęła — wyrywającego się obłędnie — ku sobie. Takim go mieć na zawsze, panować nad nim, przetopić go w sobie na kogoś zupełnie innego, *niepoznawalnego*. Eliza kochała jego obłęd, *kochała go jako wariata*, w tym tylko znajdowała nasycenie — teraz miała taką chwilę — poczuła, że ma ciało, że ma i to, i tamto, tamto wewnątrz. Oczywiście nie wiedziała, że dlatego to czuje — och — szczęście! Wtedy był jej, gdy się sam z siebie wyrywał, gdy nie był już sobą. Pocałunek pierwszy w życiu, lekki jak dotknięcie skrzydeł ćmy, muskającej kielich nocnego kwiatu, a przewrotny w lekkości jak samo płciowe zło, zaczajone w całym istnieniu, spłynął na rozchylone i wykrzywione wargi Genezypa i zdarł zasłonę szaleństwa z jego rozwalonych przestachem oczu. Przeszło. Zachciało mu się strasznie Kocmołuchowicza: wodza i jego bitwy też. W takiej chwili umrzeć nawet bez kawaleryjskiej muzyczki. Cóż kiedy chwila taka zawsze przyjdzie nie w porę. Zbudził się i wtedy właśnie jakże piekielnie ją kochał! (A ona już trochę mniej — lepszy był przed sekundą). Czuł dobrze, że to ona wyciągnęła go z tego wilczego dołu, w który strącała go ta sama bezlitosna łapa, ta co od początku kierowała jego życiem, łapa ojca. Ale nie tego, który umarł, tylko tego wiecznego, prawie Ojca-Boga, tego, którego niedokończone szaleństwo, szaleństwo silnego człowieka, rozwijało się teraz w nim, duchowo-słabym wymoczku. Okropna była w tym niesprawiedliwość. Ale czyż nie największym szaleństwem jest żądać sprawiedliwości od istnienia w całości? To jest właśnie to, co robili najwięksi myśliciele: uświęcali z uporem i bez skutków w zaświatowych prawach bezładne kupy etycznych kontyngencji.

A czasem znowu Eliza mówiła płomiennie:

— ...i oto tam w nieskończonej dali przetną się linie sensów przedłużonych najwyższych pojęć i w jedności absolutnej wszystkiego ze wszystkim i poza związkiem wszechrzeczy samej ze sobą staniemy się jednym i tym samym. Pomyśl, co to za szczęście będzie, kiedy zatraci się różnica między realnym a idealnym bytem, między pojęciem a tym, co je nazywa takim, i tym, co ono oznacza. Byt nie będzie się niczym różnił w swej rzeczywistości od jego jedyne, najwyższego zrozumienia: Wszystkość stopi się sama z sobą — i tak dalej i dalej. — Genezyp troszkę wstydził się za nią, ale uniesiony w końcu samą płomiennością tych stów, zaczynał wściekle jej pożądać. Czuł, że tę jedność osiągnąć można tu na ziemi przez akt płciowy po prostu, ale jeszcze nie śmiał o tym mówić. [„Dwoista jedność” — cha, cha — parskali na to słowo dzikim śmiechem sztabowcy chińscy, popijając ryżową wódką ogony szurcze, smażone w lnianym oleju. Śmiał się sam Wang, głównodowodzący zbolszewizowanych mongolów całej Azji, ten jedyne człowiek, przed rozmową z którym Kocmołuchowicz odczuwał lekki straszek].

Konało lato w bólu swej własnej piękności. Szafirowa twarz nocy powlekała się żalobą beznadziejnej zagwiezdnej pustki. Świat zdawał się naprawdę ograniczonym, jak w koncepcji Einsteina — jedno wielkie więzienie. [Niektórzy ludzie, mimo że fizyka nie wymagała już tego poglądu (jakiś szwindel zrobiony z tym nieszczęsnym nieskończeniem wielkim grawitacyjnym potencjałem), żyli się tak z ideą „krzywego wszechświata”, że intuicyjnie nawet godzili się na jego ograniczoność i było im z tym dobrze. Niebezpieczny symptom]. „Tam” było głucho — między niedościgłą prawdą a istnieniem faktycznym rozpostarła się zasłona pojęć Murti Binga. Chociaż była to raczej poszarpana firanka deszczu, zasłaniająca powoli śmiejący się dawniej nadzieją słoneczny horyzont poznania. To ostatnie słowo wyrzucono dawno na śmietnik: był sobie zwykły kretynizm i niczym nie różniący się od niego pewność, że tak musi być, jak Murti Bing naucza. Poza tym nic — chyba znaczki Benza. Jak szelest liści żółtych, spadających ze smutnych szkieletów drzew na martwiejącą ziemię, tak szemrały słowa usypiającej nauki Mistrza, padając na krwawo zakrzepłe zwoje mózgowie biednego adiutanta-aspiranta. Rozpoczęły się już ćwiczenia ostateczne — kurs najwyższych eddekanckich subtelności — z dnia na dzień oczekiwać należało nominacji. Podróż do stolicy, nowe życie... z trudem myślał o tym Genezyp, zapadając coraz głębiej w bolesną, miękką nudę. Jedyne myślenie o zbliżającym się ślubie galwanizowała jego zatęchłe gangliony. Ale i tu otwierało się całe morze komplikacji.

Jak spełni się ofiara tej ostatniej (tego był pewien, mimo swoich młodych lat) miłości? I brał go czasem jak w kleszcze dziki strach, od którego cierpła mu skóra na łądźwiach w łuskę krokodyla. Jak nasyci tę straszną, nieznaną dotąd, wzdętą jak pąk jakiegoś sportowniałego kwiatu żądzę, która rozgałęziła mu się w ciele jak włóknisty nowotwór i żarła go lubieżnie mlaskając, a przy tym paraliżowała zdolność wszelkiego czynu realnego — był tak bezsilnym wobec Elizy, jak wobec tamtej, i nie wiedział, jakim cudem zdoła przezwyciężyć ten stan bezwładu. I jednocześnie była w tym niepojęta *bezkresna* nuda. Ha! A jeśli to nawet pokonany zostanie, to co dalej? Znał tylko księżnę jedną naprawdę i bał się aż do mdłości tej wrogości płciowej, ponurej w swoim kłamstwie, która mogła wytworzyć się w miarę urzeczywistniania się erotycznych stosunków. A miłość duchowa trwała i bez niej nie można już było wyobrazić sobie życia.

Nadchodził fatalny i upragniony dzień — już był tuż, tuż — jutro czy pojutrze. Genezyp zdecydował się na rozmowę ostateczną. Od kogoż mógł oczekiwać pociechy, jak nie od niej, mistrzyni swojej w sferze tajemnych nauk. I pchał się do niej, i garnął, i cisnął, błagając o ratunek i nie czując, że w niej właśnie jest źródło dalszego rozwoju obłądnych stanów, które może bez niej opanować by zdołał. Zdecydował się mówić, ale szeptał tylko bez sensu, ukrywając twarz w jej lewej pasze, wciągając rozdętymi nozdrzami zabójczy „krwawy i zbrodniczy” (nie miał na to innego słowa) leciutki zapaszek nieznanego jej ciała. „Ach, to ciało — przecież to tam jest tajemnica wszystkiego, a nie w kombinacjach pojęć zawieszonych w idealnym bycie, którym babrali się bez skutku wszyscy mędrzy świata”. Ucieszyłby się nieboszczyk Bergson, gdyby mógł „słyszeć” tę „myśl”. Tak się myśli przedtem, ale potem? Szeptał, a każde jej słowo, którym mu na ten bydlęcy szept odpowiadała, było świętością i szatańską nudą, i wściekłą podnietą dla nienasyconej i bezsilnej żądz. Jak krople wody padające na ściany rozpalonego do czerwoności kotła były te zwykle bzdurawate słowa zabójczej nauki dżewanistów polskich — oczywiście w jej ustach. Wstyd powtarzać te nonsensy. A wszystko to działo się jakoś *na sucho* — innego określenia na to nie ma — pustynia i gorący samum. Straszno było — co tam Chińczycy! Tu, na małym skraweczku osobistych tragedii rysowała się tragedia całych pokoleń, semaforycznie, wskaźnikowo. A imię jej: „niezdolność do prawdziwych wielkich uczuć”. Oczywiście gdzieś jakiś szewc kochał naprawdę jakąś kucharkę — ale to nie tworzyło życia ogólnego, przynajmniej w Polsce, pełnej schizoidów, a nawet schizofreników na stanowiskach twórczych. Pyknicy jeszcze nie dorwali się do władzy — dopiero Chińczycy umożliwili im rozwinięcie się w prawdziwą potęgę i potem było już dobrze. Zypcio zdecydował się przerwać wykład za jaką bądź cenę.

— Słuchaj, Elizo — mówił (zupełnie nie to, co chciał, jak zwykle młodzi ludzie) — nie mogę zdobyć się nawet na to, aby nazywać cię Lizką — jest w tym męka bez granic. Jeśli ty nie dasz mi możliwości spełnienia jakiegoś wielkiego czynu, to co będzie wtedy...? — spytał z bezradnym uśmiechem najwyższej rozpacz, patrząc w prześwietlone wieczornym seledynem wrześniowe niebo. Już chłód wiał od dalekich łąk, na które kopiec imienia pewnego prawie zapomnianego narodowego bohatera kładł szmaragdowo-błękitne cienie. Tu ziemia dyszała jeszcze żarem dnia. Straszliwa tęsknota przytłoczyła ich oboje. Jakże piekielnie zazdrościli rojowi zapóźnionych (czemu? we wrześniu?) komarów, wirującemu w tanecznych podskokach na tle gorącego wnętrza żółkniejących „krzów” rokity. Zazdrościli całemu rojowi, a nie pojedynczym komarom — zdysocjować się na poszczególne istnienia — żyć w wielości, nie być sobą, oto do czego doszło. W wieczornym powiewie długoigłaste sosny syczały cicho. Zamknąć wieczność w takiej chwili i już nie istnieć.

— Poświęciłabym siebie, abys ty tylko mógł czegoś wielkiego dokonać. Nie chcę żadnych zaszczytów, tylko żebyś ty mógł być wielkim sam dla siebie — wierzę, że ty się nie okłamiesz...

— Nie, nie — ja tak nie chcę — jęknął Genezyp.

— Wiem: ty byś chciał, aby to było przy wojskowej muzycze ze sztandarami i żeby Kocmołuchowicz — (zawsze tak mówiła, inaczej niż wszyscy) — uderzał cię mieczem Bolesława Chrobrego po plecach. — (O jakże nienawidził jej Genezyp w tej chwili, tak jednocześnie kochając! O, męko!) — Nie, to może być dla ciebie tylko drogą do wielkości. Jak dojrzejesz, to ty właśnie w tym nie pozostaniesz. Wojnę musisz przeżyć na przekór sobie, w ukryciu przed samym sobą. —

— Więc, czyż chciałabyś, abym został wielkim automatem?! — „zakrzyknął” Zypcio i stanął przed nią w całej okazałości, w tym dziwnym, huzarskim mundurze adiutantów, rozkraczywszy nogi w obcisłych ceglanych portkach i botfortach z ostrogami. (Coś było z napoleońskich „guide’ów” w tym wszystkim. Używał sobie kwatermistrz na dekoracjach ile mógł). Jakże był pięknym ten jej ukochany Zypcio! Ach, gdyby to można teraz, tu, na tej gorącej ziemi — żeby on spadł na nią jak jastrząb na ptaszka i żeby ona wyc mogła z rozkosznego bólu jak kotka — niedawno widziała taką scenkę. I to on tym... Oboje tego chcieli i nie mogli się zdecydować. Czemu, czemu nie zrobili tego w porę? I znowu rozmowa: teraz męczyła Eliza Genezypa *ofiara*. Nowa zmora przybyła w ostatnich dniach, ta przeklęta ofiara: dobrowolna ofiara indywidualności społeczeństwu, aby tym silniej zakwitnąć potem w oderwanych od życia sferach, ale już w śmierdzącym wnętrzu masy — nie oddzielnie, nie obok — i potem dopiero, rozpychając się, zapachnić znowu cały ten interes tą oderwaną, dobrą już, osobowością — (śmierdzącym psychicznym zbydlęcieniem — ten okres był konieczny) — zewnętrznie wymyć będą i czyści, syci, i świetnie mieszkający ci, ci — szczęśliwcy — raczej nie *ci*, tylko te kółka, trybki, śrubki i klamerki idealnej maszyny przyszłych wieków, której pierwszy szkic można już było teraz w niektórych państwach oglądać. Strach mroził kości przed tym, co nastąpi.

[A w gabinecie na Świętokrzyskim Placu w pałacu M. S. Wojsk. stał przed kominem generalny kwatermistrz i kołysał się z lekka, grzejąc hemoroidy, które dziś mu specjalnie dokuczały. Na operację teraz zdecydować się nie mógł, a wczoraj właśnie upił się w towarzystwie Persy i działy się rzeczy potworne, nawet dla niego. Dyktował jakiś pozornie podrzędny rozkaz Oleśnickiemu. Historia tworzyła się w tej właśnie chwili, a działo się to tak: „...a więc przez to właśnie szkodliwej. Rozkazujemy nie dopuszczać wyznawców Murti Binga do koszar. Żołnierz musi być do pewnego stopnia tylko zautomatyzowany przy pomocy środków zawartych w regulaminie numer trzy. Uważamy zasady wyżej wspomnianej nauki za nieszkodliwe jedynie dla wyższych inteligencji, począwszy od chorążego. W warstwach niższych spreparowana przez odpowiednich popularyzatorów trzecia klasa wtajemniczeń może tylko wywołać nie dające się przewidzieć kombinacje dawnych, zamierających wierzeń z materialistycznym ujęciem dziejów. Polecam p. p. oficerom, od kapitana począwszy, rozbabranie tej całej diabelskiej kaszy. [Takim był styl generalnego kwatermistrza, nawet w oficjalnych rozkazach]. Przeczytać na zebraniach oficerskich, które umyślnie w tym celu zwołane być mają”. Ordynansowy oficer zaanonsował Dżewanego. Skąd właśnie teraz tu? Kocmołuchowicz poczuł się tak, jakby był obleziony przez kleszcze w cejlońskiej dżungli. Wszedł młody i piękny Hindus w smokingu. Na głowie miał turban, spięty szafirem wielkości gołębiego jajka. Zmierzyły się ze sobą dwie potęgi: wysłannik tajny wschodniej komuny z dewizy: zniszczyć najpierw wszystko, a potem stworzyć nowego człowieka i odtruc ziemię z jadu białej rasy, i bezi-deowy, nieświadomy siebie niewolnik potwornej machinacji komunizmów zachodnich, a poza tym siła sama w sobie, samowichrowata, bez określonego kierunku, jedno z ostatnich ginących indywidualności — (czepia się takie czego może bezprzytomnie). Rozmowa była krótka.

DŻEWANI: Czemu Wasza Ekscelejca zabrania żołnierzom świetnego Przedmurza — (wymówił te słowa beczelny Hindus z ledwo dostrzegalną ironijką) — uczestniczyć w wielkiej prawdzie, ogarniającej nie tylko nieskończoność idealnego bytu, ale i przyszłość stworzeń myślących w całym kosmosie, na wszystkich aktualnych i możliwych planetach? — Kocmołuchowicz rzekł na to spokojnie, prawie słodko, a straszna to była słodycz:

— Jak to, nikczemny szpiegu żółtej lawiny...

DŻEWANI: Nic wspólnego nie mamy z najazdem Mongołów. Nic nigdy nam nie uodniono...

KWATERMISTRZ: Nie przerywać. Więc czyż tylko myśli, które są tu — (tu stuknęła się w swoje guziaste czoło mędrca) mogą być niepoznawalne?

Dżewani obdarzony był słuchem wprost piekielnym, a potęgował go przez użycie specjalnych różków akustycznych. Wynalazek chiński — nieznan na Zachodzie. Pod-słuchał cały rozkaz z poczekalni oddalonej o trzy pokoje, przedzielone wypoduszkowanymi drzwiami. Słuchał poprzez piec i kominowe rury. W ogóle cały fakiryzm to tylko

wysubtelnienie zmysłów i zdolność sugestii. Tej ostatniej sile nie podlegał jednak dzielny „Kocmołuch”. Nie jego brać na takie sztuczki. Dżewani nie drgnął.

— Tylko myśli nienarodzone są niepoznawalne — rzekł szalenie po prostu znacząco, patrząc płomiennym wzrokiem w czarne, wesołe, genialne gały tamtego. Najwyraźniej robił aluzję do niepoznawalności ostatniej myśli wodza. Tego jeszcze nikt nie ośmielił się dokonać. Spojrzenie jego było tak znaczące, że wesołość znikła momentalnie z czarnych gał jak zdmuchnięty nalot. „Czyżby on znał mój mechanizm” — pomyślał Kocmołuchowicz i nagle zrobiło mu się zimno w całym ciele. Nagły kurcz i hemoroidy przestały boleć — kiszka wciągnęła się. Tak to zużytkował generalny kwatermistrz tę wizytę, poza tym, że zwiększył od tej chwili kontrolę przylegających do gabinetu pokojów i kontrolę wewnątrz-zewnątrz swojej własnej osoby. Z najdrobniejszych rzeczy wyciągać wnioski i zaraz, natychmiast stosować je w praktyce — oto wszystko. Rozmowa poszła dalej jakby nigdy nic i nic ważnego nie zostało powiedziane ani postanowione. Dwaj panowie badali się przeważnie wzrokiem. Nie wiadomo było w dalszym ciągu, co wiedziała ta brązowawa małpa. On też próbował swojej intuicji, ten Hindus. Bo żeby dla niego, joga drugiej klasy, biały człowiek mógł być tajemniczym, to mu się jeszcze nie zdarzyło. Dał jemu również szkołę „*der geniale Kotzmoloukowitzsch*”, jak i wszystkim. A to dlatego, że nic ważnego nigdy nie zapisywał — wszystko miał we łbie. Wychodząc wręczył Dżewani kwatermistrzowi dwadzieścia pięć pigułek dawamesku w prześlicznie rzeźbionej szkatułce. „Dla takiego orła i dwadzieścia pięć nie jest dosyć. Ale wiem, że Wasza Ekscelsja jest cierpiąca”. To były jego ostatnie słowa].

Kiedy Genezyp obudził się nazajutrz po zdaniu ostatniego adiutanckiego egzaminu, poczuł znowu tajemniczą przestrzeń dowolności, prawie jak wtedy zaraz po maturze. Wiedział, że przy „boku wodza” czeka go praca, przechodząca miarę wszystkiego, co dokonał dotąd. Ale to nie było to. Teraz dopiero poczuł się człowiekiem wolnym i skończonym — wszelkie szkółki (i szkółka Elizy też) były już poza nim. Trzeba było być kimś naprawdę — straszna to chwila dla pewnych schizoidów, lubiących wisieć w niepewności między postanowieniem a dokonaniem. Czyż jest coś gorszego od wolności, z którą nie wiadomo co zrobić? Dałby dużo, aby się nie obudzić tego ranka wcale. Ale dzień stał przed nim jak jeden blok, nieubłagany, a pusty — (czymś wypełniony być musiał — czas leciał) — i to (ach, prawda!) w dodatku dzień ślubu. Przypomniawszy sobie Zypcio w dziesięć minut po obudzeniu dopiero i przeraził się do kwadratu. Patrzył wylupionymi oczami w okno, które machinalnie odsłonił. Obcość świata dochodziła do szczytu — jesienne drzewa w słońcu zdawały się rosnać co najmniej na innej planecie. Gdzie tam inne planety — to była dziura bez dna, ten świat, wypełniona samą ucieleśnioną w zewnętrznych przedmiotach obcością. Ale gdzie był ten świat, w którym by żyć można? Gdzie? Nie istniał i *nie mógł istnieć*. To była najokrutniejsza z prawd. „Po co ja żyję” — wyszeptał i lzy zdusiły go za gardło. O męko bezgraniczna — czemuż nie zrozumiał tego wcześniej!? Zdawało mu się, że dawniej mógłby się zabić bez wahania — teraz *musiał żyć*. Czemuż przepuścił tę sposobność? Dla głupstw, dla jakichś kobiet, dla rodziny. Aha, *à propos*: gdzież była matka, siostra i ten wszechwiedzący Abnol, i wszyscy inni, drodzy dawniej, a teraz widma bezosobowe, które mu nic pomóc nie mogą, w tym jego wymarłym, bezosobowym świecie? Czyż Eliza nie należała też do świata widm? Różniła się tylko tym od tamtych, że miała tę twarz piekielną i pożądane, nieznanne ciało. Tamci byli bezcielesni. Taki był Genezyp nędzny, taki żądny współczucia: jakiegoś choćby muśnięcia lekkiego czyjeś kochającej dłoni (człowieka mogłoby nie być, tylko dłoń), że aż wstyd. Dłoni? Śmieszne. Skąd jakaś dłoń, co to wszystko w ogóle miało znaczyć? Był sam i cierpiał potwornie — nikt by go nie zrozumiał i nikt nawet gadać by z nim o tym nie chciał. Nie warto było mówić o tym nikomu, nawet jej. Wiedział, co usłyszy: mały wykład o jakichś eterycznych dziurkach czy czymś podobnym. Mimo że przed chwilą myślał o ślubie (abstrakcyjnie jakoś, bez związku z określoną osobą), teraz dopiero uprzytomnił sobie realną egzystencję narzeczonej. Ona naprawdę jest, jego Lizka, ha, ha! — I stoczył się w nią (czy w swoją miłość do niej) jak w śmierć. Przecież ona jedna wypełniała cały pusty, obcy świat. I on o tym mógł zapomnieć!! Tak — zapomniawszy, bo tak szczelnie świat był nią wypełniony, że właśnie to jako takie mogło być niezauważone. Czy było to wszystko prawdą? Kto to wiedzieć może. I pomyśleć, że tego rodzaju i natężenia tragedie, które

Konflikt wewnętrzny

dawniej, odbywając się na odpowiednich stanowiskach społecznych, zmieniać mogły historię świata, teraz są jakimiś wyplutymi pestkami, ogarkami czy ogryzkami. Nic nikogo to nie obchodzi. Takie rzeczy tępi się jak pluskwy. Wymarli tam, we świecie śmieszni marzyciele. Tylko tu jeszcze, na tym, cudem zachowanym w ogólnej przemianie, kawałku planety, w jakimś, do pęknięcia natężonym, bezwładzie, trwało coś, przypominającego dawne czasy. Ale wszystko to było wydrążone, wyjedzone, suche, dźwięczące pustką, jak zeschnięta tykwa. Jak posępny, straszliwy sęp, kryjący pod różnokolorowymi piórkami swoją straszność, wyjadała resztki mózgow zabójcza nauka Murti Binga. A pozornie była to taka łagodna, „słodka” sztuczka. Eliza — samo imię to zalewało mózg jadovitym syropem — ha! I te wszechwiedzące oczy, kryjące nieznaną szal, nieznaną rozkosz, obiecujące spełnienie najwścieklejszych nieprawdopodobnych pragnień, zbitych w jedno z idealnym przywiązaniem, graniczącym z nienawiścią prawie. Tylko dokonanie czegoś aż bezsensownego w swej potworności mogłoby go nasycić — ale czego? Tak ograniczone są wszystkie możliwości, że choć tłuc łbem o ten kaflowy piec — nie wymyśli się nic. O, żeby można było naprawdę po prostu pęknąć!

I równie nagle jak przyszło, tak i spadło z Genezypa całe to zawikłanie, niby jakaś wstrętna maska. Eliza była tylko rzeczywistą ukochaną dziewczynką, a nie żadnym widmem czy trującym tajemniczymi naukami potworem, rodzina — kochaną rodziną, Sturfan — prawdziwym przyjacielem, a on sam — pięknym kandydatem na adiutanta Wodza, z otwierającą się równie piękną karierą. Dobrze jest i koniec.

Uwaga: dusza, która może uleczyć jednego, może struć śmiertelnie drugiego, trzeciego uczynić wielkim wbrew jego woli, a czwartego spodlić aż do kanałowo-psychicznych wymiarów, wytrzeć go na śmierdzący łachman. Straszno pomyśleć, że dobroć i poświęcenie siebie, oddanie się komuś bez zastrzeżeń, zatracenie się w kimś, może dla przedmiotów tych uczuć i czynów stać się właśnie najgorszym z wymienionych wypadków. Byłoby najlepiej, aby dusze były tak nieprzepuszczalne, jak monady Leibniza, aby wszystko szło według jakiejś zasady obcej faktom, nie mającej w nich samych swego źródła. Trudno — ludzie włożą jedni na drugich i to jest wstrętne.

Zypcio mył się w łazience, jak najnormalniejszy bubek. Potem ordynans (ten przytyłek z przedhistorycznych nieomal czasów wojskowości) zaczął znosić mu świeżo wyczyszczone ubrania, naostrożone lśniące buty, akselbanty i inne „zamierzchłe fintifluszki”. Ranne słońce wymiatało z sypialnego pokoju wszelką ponurą dziwność. Zdawało się młodemu, normalnemu oficerkowi, że przeszedł długą i ciężką, odradzającą chorobę. Czuł się byczym i zdrowym jak nigdy. Nie widział groźnego cienia, stojącego za nim i nakręcającego drobne niteczki na wałeczki, zakładającego sprężynki i wtykającego ledwo dostrzegalne sztyfciki między zwoje jego biednego mózgu. Nawet ordynans Ciompała odczuwał coś niesamowitego w atmosferze. A ten nic — jak kotek.

Przygotowania przeszły „jak sen”, a potem zaczęła się zwykła „kanitièl” formalności, obrzędów i ceremonii. Ślub był potrójny: cywilno-wojskowy, katolicki (dla mamy) i murtibingowy, tak zwany dwój-jedyny. Małżeństwo było symbolem dwoistej granicznej jedności = zupełnego zagłupienia i tymczasowego zaniku osobowości na rzecz społeczeństwa. Ceremonii dokonał przy pomocy odpowiednich zakłęb sam Lambdon Tygier. Eliza, zamknięta w sobie i skupiona, miała w kącikach ust jakiś bolesny uśmiezek męczzonego niewiniątka, który rozpałił najbardziej złe i okrutne żądze w ciele młodego adiutanta. Ale przecież to było zupełnie normalne i pożądan.

Nazajutrz mieli państwo młodzi wyjechać do stolicy, gdzie Genezypa czekała samodzielna, odpowiedzialna praca. „Co za rozkosz, co za rozkosz” — powtarzał, a zęby mu szczękały i latały oczy z jakiegoś wyprutego z samego szpiku niepokoju. Był jak w gorączce, ale tej zwykłej, życiowej — wszyscy uważali to za naturalne. „Aliści” wieczorne gazety przyniosły niepokojące wiadomości. Żółty mur ruszył się. Pierwsze oddziały doszły do Mińska, gdzie w trzy godziny „zchinizowano” białoruską republikę. Po południu ogłoszono u nas ogólną mobilizację, a już o piątej wieczorem wybuchł, na tle ideologii komunistycznej, bunt trzech pułków rozłożonych w stolicy i znajdujących się pod dowództwem Niehyda-Ochlujka, — jak to wiadomo z powodu swego notorycznego niemycia się i spoconych rąk słusznie Ohydem-Niechlujem zwanego. Po konferencji z kwa-

termistrzem we cztery oczy (podobno było nawet mordobicie, co zdarzało się stosunkowo rzadko) ohydny mąż ten uspokoił w mig swoje pulki, nie wyjaśniając jednak istotnego stanu rzeczy wyznawcom swym i podwładnym. Był to jeden z cudów tej epoki, których nigdy nie wyjaśniła potem historia. Do cudów (podobnych stosunkowi Napoleona do Talleyranda i Fouchégo) zaliczane były również relacje Kocmołuchowicza z Niehydem. Pewni ludzie twierdzili, że kwatermistrz musiał mieć koło siebie taką niebezpieczną bestię dla wewnętrznego dopingu i dla „trzymania ręki na pulsie pewnych procesów” i to było wysoce prawdopodobnym. Inni zaś tłumaczyli wszystko ogólnym zidioceniem.

Na wesele przyjechał też wynędzniały w więzieniu były ambasador w Chinach Adam książę Ticonderoga. Ale absolutnie nie chciał nic mówić, ani mamie, ani nikomu. Tylko księżna zauważyła, że jest to zupełnie nie ten człowiek i wstrzyknęła mu kolosalną dawkę nauki Murti Binga. Młody książę kiwał tylko beznadziejnie głową — miał dosyć wszelkich gadań. Chodziło o tak zwany „problem zatrzymania kultury” — czy to było ostatecznym szczytem chińskiej ideologii, czy też poza tym kryło się coś jeszcze, czego nie wiedział nikt w Europie i Ameryce? Książę Adam chciał wszystkie wiadomości swoje dostarczyć jedynie Syndykatomu Zbawienia. Dlatego ujęto go po drodze i osadzono w więzieniu. Po rozmowie z kwatermistrzem, który (według zdania pewnych podejrzanych figur) torturował go osobiście (lepiej nie mówić jak) wycięto mu podobno jakiś gruczołek w mózgu i zapomniał biedak o wszystkim. W ten sposób coś pewnego na ten temat wiedział jedynie sam Kocmołuchowicz. Detale wydobywania tych tajemnic były straszne. Ticonderoga musiał oddać się najwyższemu mandarynowi Wu (o mało przy tym nie umarł), ale tylko temu zawdzięczał, że go w ogóle wypuszczono. A może to była błaga, którą umyślnie puszczono jako tajemnicę przez tak wąską rurkę, aby nas okłamać? Kocmołuchowicz bił się ze strasznymi myślami. Nareszcie mógł o czymś „ideowym” pomyśleć na tle ciągłych strategicznych kombinacji i to może było szczęściem — kto wie? Czy puścić tę „ideę” dalej czy nie — oto był problemat. E — lepiej nie. Cały ten „*Ideengang*” przedstawiał się mniej więcej w następujący sposób, na tle zeznań księcia, który wyjęczał (podobno) wszystko, wijąc się w nieludzkich cierpieniach: „Jak wszystko dokładnie włązi na swoje miejsca we właściwym czasie, to całość robi wrażenie bloku — nie odczuwa się wtedy ani tarć, ani wewnętrznych szybkości. Na błędach i nieregularnościach można zaobserwować dopiero ten szalony wir (nie ciąg) wzrastającej kultury, którego rozpęd coraz większy grozi przez przekomplikowanie życia zupełną zagładą ludzkości. Otóż wyszło na jaw, że komplikacja przerastać zaczyna nie tylko siłę indywidualną — to zostało zużyte dla organizacji — *ale siłę samej możliwości organizacji masy ludzkiej*. To była ta katastrofa przyszłości, którą zobaczyło (podobno!) tylko paru Chińczyków. To już się okazało na małą skalę w Chinach, nie mówiąc o Zachodzie. Ale tam nie *wiedział* o tym nikt nic. A więc same rasy żółte, mimo ich intelektualnej potęgi, oswobodzonej przez zaprowadzenie zachodniego typu alfabetu, nie mogły dać rady tym problemom. Doświadczenia wykazały nowe możliwości u osobników mieszanych: — aryjsko-mongolskich. *Waliaj!* Na Zachód więc i przez połączenie na wielką skalę dwóch ras, odświeżyć ludzkość — no i co dalej? Ha — nieznanne możliwości — może cofnięcie kultury i zahamowanie jej na pewnym punkcie okaże się koniecznym tylko na czas pewien, a potem może ludzkość czekają nowe niewyobrażalne teraz przeznaczenia. Na razie chodziło tylko o opanowanie i skanalizowanie potęgi „dzikiego kapitału”, głównego elementu przyspieszenia, i zaprowadzenie tymczasowego systemu komunistycznego dla chwilowej choćby „*pieredyszki*”. Komunizm zachodni, przesiąknięty tak faszyzmem, że faktycznie prawie od niego nie odróżnialny, nie zaspakajał pod tym względem wymagań chińskich”. Kocmołuchowicz ważył idee, chodząc z kąta w kąt po swoim nowym olbrzymim gabinecie w byłym pałacu Radziwiłłów, „po-radziwiłłowski” jak go nazywano obecnie. (Tydzień temu kazał wyrzucić stamtąd rodzinę nie chcących mu się podporządkować Radziwiłłów po prostu na bruk. Uznawał arystokrację, ale tylko w tym wypadku, gdy lizała mu buty. Panoszących się panów od czasu poskromienia Syndykatu ścierpieć nie mógł i chyba, na Boga, miał rację). Ważył się wyższą nad-świadomością (jak orzeł) nad własną jaźnią, która leżała przed nim, rozsmarowana parszywą aktualnością, jak marmelada na stalowej płycie. Ale zwykły atazek historii, jeden z tych, w których improwizował zwykle swoje najgenialniejsze posunięcia, nie przychodził, psia-krew. Postanowił kropnąć dziś właśnie dwadzieścia pięć pigułek Dżewaniego — niech się dzieje co chce. — Zarządził przeciw mobilizację, wojna

rozpoczęła się, plany były gotowe — trzeba było odpocząć i zobaczyć, co jest „na dnie” — czy było jeszcze w ogóle to dno, z którego zawsze dotąd potrafił wydobyć jakiś nowy pomysł. Umiał nie myśleć o najbardziej palących problemach, gdy tego bardzo chciał — w tym była jego siła. Zadzwonił na Oleśnickiego i kazał sobie tu, do tego gniazda znienawidzonych Radziwiłłów, zawołać Persy, czekającą już od dwóch dni w hotelu — z nią razem postanowił zażyć zabójczy narkotyk. Ha — zobaczymy, co będzie. (Protokół wizji prowadzony przez Oleśnickiego tej nocy, protokół podwójny, posłał nazajutrz Bechmetiewowi. Ten zaś, nie pokazawszy go nikomu, kazał sobie niebezpieczny dokument włożyć aż do trumny. Tajemnica pozostała niewyjaśnioną. Ale na podstawie wizji Zypcia choćby można się domyślać, co to takiego było). Właśnie w tej chwili wchodził do gabinetu Niehyd-Ochluj (brodaty, z wylupionymi na wierzch piwnymi gałami, ohydny) z raportem o uśmierzeniu swego własnego buntu. Lewy pysk miał obwiązany, ale trzymał się niezłe. Rozmowa była przyjacielska, pogodna. Kwatermistrz zdecydował się na zimno (a nie w ataku) odsłonić choćby rąbek ostatnich swych myśli przed swoją „przeciwwagą”, jak w tajnych samo-bebeszeniach zwykł był nazywać Niehyda. Ochluj był zachwycony zaszczytem. Pierwszy raz panowie ci rozstali się w tak doskonałych stosunkach.

A tam, w regionalnej stolicy K. właśnie na tle tych wypadków, odbywało się skromne wesele przyszłego adiutanta głównego ich bohatera. Jedynym elementem łączącym obie serie była gratulacyjna depesza Wodza: „Zypciu, trzymaj się. Kocmołuchowicz”. Natychmiast domowymi środkami oprawiono ją w zaimprovizowane *passe-partout* i powieszono na lampie nad stołem. Genezyp pił mało, ale mimo to doznawał coraz silniej jakiegoś wewnętrznego przelśnienia, ogarniającego górne regiony jego niedokształconego umysłu. Czuł się po prostu inteligentniejszym od samego siebie i to go zaniepokoiło. Zwierzył się z tym Elizie.

— To działa moja modlitwa do Podwójnej Nicości. Czułam fałę, którą wysłał sam Murti Bing. Oby światłość wiecznie sphywała na jego głowę — szepnęła ta wszechwiedząca dziewczeczka. Genezyp odczuł też nagłą fałę, ale nudy, fałę wysłaną chyba z jakiejś metafizycznej centrali tej istności — potęga jej była straszna. Cały ten układ obecny, razem z weselnymi gośćmi (a byli wszyscy prawie, występujący w części pierwszej, a nawet książ Bazyli), wydał się Zypciowi czymś tak małym i detalicznym, przypadkowym w swej tożsamości, jak na przykład kiszki tego właśnie, a nie innego karalucha, chodzącego po opuszczonej już przez kucharzy kuchni oficerskiego klubu piętnastego ułańskiego, gdzie przygotowano kolację dla gości. (Był tam niedawno, rozdając jakieś napiwki). Słowa Elizy spiętrzyły w nim nagły, nieznany mu dotąd, właściwie bezprzyczynowy na pozór gniew. Z rozkoszą wykonałby natychmiast jakąś choćby drobną dziką potwornostkę. A więc „do dzieła”: ściągnąć nagle cały obrus ze stołu, rzucić parę półmisków w całą tę kompanię, ryknąć rozdzierającym bolesno-szaleńczym śmiechem nad przerażonymi twarzyczkami mamy, Lilian, księżnej i Elizy, umazać majonezem wąsaty pysk naczelnika szkoły, generała Próchwy, i uciec, uciec, uciec — ale gdzie? Świat był za mały na tę ucieczkę. Uciec można by chyba w zamkniętą niestety na zawsze metafizyczną otchłań. Broniły wejścia tam porządne korki: czysto wojskowa tępota, niewykształcenie, nieścisłość pojęciowa, no i Murti Bing, ten wielki odtajemniczacz wszystkiego. Wentyl bezpieczeństwa nie działał — ten wentyl, którym były kiedyś dla ludzkości wszystkie religie świata — te programowe dla większej części dzisiejszych ludzi obłądy, chroniące ludzkość całą przed pęknięciem w próżni bezmiarów wszechświata, przed ulotnieniem się w dzikim przerażeniu w międzygwiazdną przestrzeń. Jeszcze chwila, a byłby wykonał swój plan. Ale ostatnim wysiłkiem świadomości opanował wściekły odruch nieomal na obwodzie drgających pod atlasową skórą mięśni. „Nie — to będzie dla Lizki — kochanie moje jedyne”. Ofiarował to wszystko jej. Jakże straszliwie ukochał ją (idealnie i zmysłowo jednocześnie, w najwyższych, n-tych potęgach). Uratowała go od głupiego „metafizycznego” (cha, cha!) czynu.

Wstali od stołu po potwornych mowach Sturfana, Próchwy i Michalskiego. O — niedobrze było w ogóle. A gdzieś w jakimś zakamarku serca, wzdętego niesamowitą, aż na nienawiść przekraczającą się miłością, rozklębiało się małe zadowolenie, małe szczęście, małe uczuśko, uczuciutko, uczuciuteczko dodatkowe (a, cholera!) — jeszcze tylko trochę sobie pozwolić, a zaleje to jak lepka maź Elizę, a z nią cały świat i będzie tak kretyńsko dobrze. To też było niebezpieczne. Nagły błysk normalnej świadomości i rze-

czywisty obraz zmaterializował się przed nim z kokainiczną nieomal wyrazistością. Ale czuł Zypcio, że spadł tu na to swoje krzesło z jakiegoś piekielnego *innego* świata, w którym odbicie tego samego obrazu znaczyło całkiem *nie to*, miało swój ukryty, straszny jakiś, dla nikogo absolutnie nieodgadniony sens. Odetchnął głęboko. Siedział oto tu — obok matka i wąsy Michalskiego, i kochana twarz jakiegoś przybłąkanego wujcia, chana Murły-Mamzelowicza, i kawa, i likiery. O — jak dobrze jest w zwykłym świecie! O, czemu dopiero jutro mieli wyjechać?! Jakies papiery nie były na czas gotowe w adiutanturze okręgu i ten stempelek jakiś głupi zdecydował o wszystkim. Może by się nie zdarzyła cała ta historia, gdyby teraz, zaraz po kolacji, pojechali na dworzec. Rzeczywistość — wielkie słowo — może największe. Niestety nie zobaczył już jej Zypcio tymi zwykłymi swymi oczami, bo te odwracały się *oto* teraz przy wszystkich gościach, mamach, siostrach, żonach — (a prawda! — to była jego, jego własna żona — nie-do-uwierzenia!), zatapiając się w zakazane sezamy potworności wewnętrznej, tam, gdzie króluje prawdziwa swoboda i gdzie przesublimowane bydlę popełnia swe urojone zbrodnie i dopełnia miary nieprawości świata tego. Biada jednak, jeśli zbyt silne napięcie centrów i ganglionów popuści nerwowy refleks aż do peryferii, inerwując bezwładne mięśnie. Wtedy krzyk, zbrodnia, kaftan i już do końca zduszony metafizyczny wrzask jaźni, rżnący wnętrzości piekielnym bólem zmarnowanego jedyne go życia. Ryk wnętrzości dartych piekielnym cierpieniem wyrwania się z nieodwołalności świata zjawisk słycać było zdawało się na kilometry całe wokół. A tu nic: popijali goście kawę i sipali likiery i ona też, w tym zwykłym świecie. Wciągnąć ją w tamten wir, i tam uczynić swoją własnością. Ale jak? Jego oczy patrzyły teraz w głąb mózgu, gdzie zachodziła potworna praca wydzierania się jaźni w nieskończoność, bez sztuki, nauki, religii i filozofii i bez żadnych sztuczek, w samym życiu, tu, w saloniku oficerskiego klubu piętnastego pułku ułanów, przy ulicy Widok numer 6. Nie zobaczy już ona tych jego zwykłych oczu nigdy. Zegar przeznaczeń, idący z hukiem w głowie, przeszedł nareszcie czerwoną strzałkę: *Keep clear — danger*, nie dotykać — wysokie napięcie, *Vorsicht!* Jedziemy! — Uf — nareszcie! Najgorzej jest na ten obłąd czekać. Sam on nie jest znów tak straszny — jest obłądem, a to już ulga znaczna. Czełuść rozwarła się — już w nią zajrzał. Rozwalała się przed nim dalej, jak jakaś bezwstydna wyzudana samica i kusila, niemożliwie kusila.

Nagle zagrał Tengier, pijany jak noc i zakokainowany na tym podkładzie na biały dzień. Genezyp uczył, że coś pękło mu w środku — ale była to tylko mała błonka, pokryta wstrętnym śluzem dawnych, dziecinnych uczuć. Gdyby teraz pękło wszystko, wszystkie przepierzenia i zastawki, byłby może uratowany. Ale to była tylko, ach, tylko mała błonka. Uciekł do klozetu i tam lkał suchym lkanem bez łez — tym najgorszym — słysząc z dala przelewające się, zdawało się w bebechach wszechświata, dźwięki muzyki Tengiera. Nagły spokój — cofnęło się wszystko, ale nie całkiem. Czaił się w nim do skoku potwór metafizycznego użycia siebie i świata. Kiedy wszedł na powrót do saloniku, muzyka już nie działała na niego. Ostatni narkotyk, produkcji dorywającego się dopiero do życia genialnego pożercy i wypluwacza zaświatowych głębi, nie działał. Straszna po prostu rzecz. Lawina oberwała się i szła, a cicho było, jak przed burzą.

Zadzwoił telefon. Okazało się, że pokój w hotelu uwolnił się. Mogli iść do tego wymarzonego (nie wiadomo przez kogo) „Splendidu”. Tam było *od wieków* przeznaczone miejsce na tę piekielną poślubną noc, w imieniu Murti Binga — tam miała się spełnić ofiara. „Chińczycy zrozumieją to kiedyś” — pomyślało się Genezypowi, gdy wkładał wojskowe palto i przypasywał szablę. Tę myśl powtarzał sobie potem ze zdumieniem, nie mogąc dociec, skąd ona mu wtedy przyszła.

Pustoszał świat daleki — zostawała tylko Eliza, jedyne medium poznania istoty tej tajemnicy, którą mu zakryli swoim gadaniem tamci trzej, tej nocy w leśnej pustelni. Szli powoli przez puste prawie uliczki prowincjonalnej biednej stoliczki. „Głos przeszłości” nie wołał na nich „z krążanków, wież i bastionów”. Hejnał na wieży martwo, bez oddźwięku obwieścił północ. Zajaśniał hotel „Splendid” luną światła w ciemnym pustkowiu domów, w których, zdawało się, czai się zaraza. Tak — zaraza była naprawdę: przekłeta nauka Murti Binga, przygotowująca bezpłciową mechanizację przez gwałt — bo nie chcieliście sami „*vous autres — polonais*”. Genezyp poczuł, że nigdy, nigdy nie potrafi zerznąć Elizy, jeśli ona nie „zacznie” lub w najgorszym (?) razie jeśli on jej czegoś na ten temat nie powie. Była mu w tej chwili zupełnie obca i daleka, oddzielona od niego nieprzebytym

murem jego własnego niezdecydowania. Zwierzył się jej z tego w słowach tak zwykłych, jakby był najpospolitszym oficerkiem i mężem normalnej panienki sprzed lat dwustu.

— Wiesz, taka dziwnie obca mi jesteś w tej chwili: jakbym widział tylko twoją powłokę, jakiś automat, udający cię, a nie ciebie samą. Wydajesz mi się w tej chwili absolutnie niedosiężną. Czyż cię nigdy nie potrafię zdobyć? — Zaśmiał się głośno nad niewspółmiernością tych słów z tym, co się w nim wewnątrz „wyrabiało”. Eliza odpowiedziała zupełnie spokojnie:

— Tylko się nie denerwuj i nie bój niczego. Postępuj ze mną tak, jak z dziewczynką uliczną, której dałeś trzydzieści złotych. Jestem twoja od końców włosów do paznokci palców nóg. Ty nie wiesz jeszcze, jakie ja mam nogi: są tak piękne, że sama się w nich kocham. Chcę się zatopić w miłości. Tak każe nasz mistrz. Powiem ci prawdę: we mnie nie ma nic, prócz tej wiary i miłości do ciebie. Czasem mam wyrzuty, że się tak do siebie przywiązuję, do wcielonej pustki. Ale przeze mnie staniesz się kimś na tym strasznym cmentarzysku światów, w którym płonie tylko jedno światło naszej nauki. Musisz się wyzwolić sam z siebie... — Przytuliła się do niego całym ciałem, rozpuszczonym, zmięczonym w potężniejącym pożądaniu. Niedosiężność zginęła: rozpętało się w Geneczypie zwykle bydlę. Strasznie wdzięcznym był jej za to. Szybko potaszczył ją, mdlejącą prawie, w stronę hotelu.

Piekielnie kochał Zypcio Elizę, zdejmując z niej pachnące australijskim cząbrem parletko. Wszystko by dla niej zrobił, tylko nigdy, przenigdy nie wyrzekłby się jej ciała. Dręczyła go szatańska ciekawość — przecież to była druga kobieta w jego życiu. Po pewnych czynnościach przedwstępnych żona, prawdziwa żona! — co za wygoda, co za wygoda! — oddała mu się najnormalniej w świecie i wszystko weszło (zdawało się — ale tylko zdawało niestety) na zwykłą drogę idealnego, w znaczeniu doskonałości, małżeńskiego pożycia. Był nawet maleńki formalny gwałcik, który umożliwił Elizie w sztucznym trochę zamieszaniu przejście od stanu dziewicy do stanu żony, bez wielkich psychicznych przynajmniej trudności. „Aliści” nagle, przy następnej próbie zadowolenia prawnie dozwolonych rozkoszy (co za prostota! co za prostota!) stało się coś niesamowitego: — „*quelque chose de vraiment insamovite à la maniere polonaise*” — wyrażenie Lebaka. Oto atlasowa skóra Zypcia, jego wspaniałe mięśnie i ten valentinowaty, młody pysk zezwierzęcony w nasycającym żądzy, we wspomnieniu tylko co przeżytej, niedokończonej, z powodu szybkości zjawisk, rozkoszy, zmieniły się w coś przechodzącego pojęcia Elizy o miłości w ogóle. Nie wiedziała, że to jest aż *takie*. Wyolbrzyliło się wszystko do jakichś nadludzkich, niepojętych wymiarów — nieomal że się umetafizyczyło. Leżąc obok niego doznała najwyższego dreszczu, od samego wpatrywania się w jego twarz. Zapragnęła zaraz tego samego, ale z nim, z nim w niej, natychmiast, bo inaczej stanie się coś strasznego. Bez tego nie można żyć. Nagi Zypcio, leżący bezwładnie w jej wspaniałych ramionach, w swej niedosiężnej, męczącej do obłędu absolutną „niezdobytością” piękności, nagle zmienił się jej w jakiegoś półboga, w coś niewyraźnego, przechodzącego wszystkie możliwości, w coś — ach — niech tylko trwa tak ciągle, nigdy ani chwilki bez tego — to jest jedyne — bez tego śmierć — niech diabli wezmą państwo, Kocmołuchowicza, Murti Binga, Dwoistą Jedność (jako taką), Chiny, przewrót socjalny i wojnę, byle tylko był on i żeby to niewyraźne, co on robił, trwało bez końca. To jest dwoista jedność sama w sobie bez żadnych głupich symbolów, to, a nie jakieś bzdury Lambdona Tygiera — to jest jedyna prawdziwa rzeczywistość. I to on tak ją wścieka, ten tak ukochany Zypcio — jęknęła ze szczęścia prawie że aż potwornego. Nie wiedziała biedaczka o ograniczoności sił męskich — za dobrze wychowana była, a do tego pilnie strzegąca samą siebie przed jakimkolwiek uświadomieniem. Żyła własną pustką — teraz ta pustka pękła, ukazując jej jako istotę niepojętych dotąd zjawisk życia, to jedno: rozdarcie niesamowitą rozkoszą pragnącego wnętrza ciała, dokonane przez niego, jedyne, ukochanego, przepięknego chłopczyka-bydlaka. Cóż może być jeszcze poza tym? Wyl w niej niesyty zwierz o ciągłość takich chwil — poza tym nie było, *nie mogło być nic* — to był prawdziwy szczyt wszystkiego. Po prostu od pierwszego dotknięcia tajemniczego wału rozkoszy (nie wiedziała, skąd się to wzięło *takie*) i to na tle jeszcze delikatnych mięśni poprzednich, dostała biedna Eliza ataku ostrej nimfomanii. Bywają takie wypadki i teraz los taki padł na biednego również Zypcia, wiszącego już i tak na ostatniej krawędzi, za którą była jedynie tylko

cuchnąca rozkładem jaźni (okropne słowa!) otchłań kompletnego zdziczenia osobowości i zwykłego bzika.

I tu nagle zaczęło się wszystko na nowo, ale z siłą i wściekłością tak piekielną, że Zypcio też poczuł coś całkiem innego niż kiedy z księżną — i tak dalej. Wydało mu się, równie jak i jej, że nic już poza tym nie ma. Świat znikł. Był tylko ten jedyny pokój w hotelu „Splendid”, izolowany system, nie wiadomo czemu wciągnięty w krąg działania piekielnych sił, emanujących z ich ciał, splątanych wzajemnie i z ich duchami, w jedną masę żywego, dwuosobowego, jak jedność Murti Binga, szalu, graniczącego z chęcią śmierci za życia, czegoś w ogóle sprzecznego w sobie, niewyraźnego. Eliza miała (jak się okazało) tę szatańską intuicję wszelkiego zepsucia — rozwinęła się w jedną godzinę tej nocy, jak kwiat agawy — pękła w sobie, jak granat jakiś, naładowany potencjalną rozkoszą. Żyli w tej chwili oboje zdawało się za miliony ludzi, niepojmujących metafizycznej głębi tych rzeczy, pożerani płomieniem zaświatowo-bydlęcej żądz stopienia się w jedną niepojętą istotność. Był to proces odwrotny w stosunku do dzielenia się komórek — tylko tu nie mogło stać się to naprawdę — było asymptotyczną torturą nieskończoności, gwałceniem (w granicy) najistotniejszego prawa bytu, mocą którego indywidua są tak od siebie oddzielone, jak ponadskończone liczby Cantora, piekielne hebrajskie alefy aż do *C*, liczności *continuum* i dalej może, w nieskończoną nieskończoność aż do nieskończoności i tak dalej i dalej. (Ponad-skończonych funkcji nie ma i być nie może: chciał stworzyć je nieboszczyk sir Tumor Mózgowicz i na tym kark, a raczej mózg skręcił).

Jakże cudownie piękną stała się Eliza w swoim wyuzdaniu. Wszystko, co było w niej święte, dalekie i niedostępne w swym wyrazie (oczy, usta i ruchy) stało się bestialskim, nie tracąc jednocześnie poprzedniej świętości — zbydlęcony nagle anioł mógłby tak wyglądać. To wszystko, co dla Zypcia było w niej na zimno, na wzniosło, *nietykalnie* piękne, zapłonęło teraz piekielnym ogniem ciała, tego już nie posągowego a rzeczywistego w swych nieprzyzwoitościach, zapachach i nawet (ach) w obrzydliwościach. W tym właśnie jest ten szatański urok erotyzmu, że taki anioł (po prostu) o twarzy pięknej jak obłok świecący odbiciem zorzy na fiołkowym wieczornym niebie, może mieć takie nogi, takie wspaniałe, zgrabne łydki z żywego mięsa i takie obrzydliwości nawet, które, nie przestając być takimi, stają się *jednocześnie* jakimś niepojętym cudem. W tym tkwi diabelska siła tych rzeczy, a do tego jeszcze sam charakter niezrozumiałej nigdy tajemniczej rozkoszy, które one dają — złej, rozpaczliwej i nawet ponurej, jak wszystko, co zbyt głębokie. A mimo to, czy jest gorsze upokorzenie dla mężczyzny niż akt płciowy? Dawniej, jako bestialska rozrywka dla wojowników po walce, jako odpoczynek z całym poczuciem wyższości mężczyzny nad jego niewolnicą — to jeszcze można było wytrzymać. Ale dziś — o — to okropne. Co innego cały problem dzieci i rodziny, choć i to zmieniło się zasadniczo: zagłupiony, zapracowany samiec dzisiejszy nie jest ekwiwalentem dawnego rodzinnego władcy. Można nie zwracać uwagi na drobne wyjątki pierwotnego matriarchatu — prawdziwy „babiarchat” idzie dopiero. Nikt nie tryumfuje bardziej nad niczym jak kobieta nad światem całym i tajemnicą osobowości w takiej chwili. O — gdyby mógł widzieć teraz Zypcia i niewinną Lizkę ten kretyn Owsiusienko, projektodawca taylorizacji erotycznych stosunków. Oszalałby z rozpaczy na widok tej różnorodności niepotrzebnych pozornie wymysłów. W pewnej chwili Genezyp zwinął się cały jakby ukąszony powiedzmy przez skorpiona. Teraz musi się nasycić za wszystkie czasy i stracone miejsca — nieskończoności nie obejmie, ale tu musi się stać coś takiego, co mu ją zastąpi. Przecież nic nie ma naprawdę oprócz tego pokoju, Elizy i jej niezwykłej piękności. Nie myślał nic, ale działo się w nim coś potwornego. Wszystkie tajemne znaczenia dawnych snów miał tu przed sobą, w tym hotelowym łóżku. Życie dalsze nie istniało — przyszłość była martwym słowem bez treści. Rodzina, znajomi, Kocmołuchowicz, Polska i wisząca nad nią beznadziejna wojna, czymże to było wobec tej możliwości połknięcia świata i siebie w jednej dawce jakiegoś szalonego czynu i to bez żadnej pracy i wysiłku. Tylko się puścić — zrobi się samo. Sine skręty jakiejś nieskończonej spirali zawirowały mu zdawało się w centrum jego istoty, która była jednocześnie środkowym punktem całego wszechświata, gdy wpatrzył się w wywrócone do góry dnem w szaleńczej ekstazie rozkoszy, niewinne, a teraz tak obce, zwierzęco-anielskie oczy żony — to nie była już żona, ani kochanka, tylko jakieś niesamowite bydlóbóstwo, wcielenie całej znikomości wszystkie-

go, przepływania bezcennie drogiego czasu, czegoś drogiego ponad wszystko. I to było rzeczywiste! Ha! Jak w to uwierzyć, jak zatrzymać lotny płomień najwyższego cudu, jak z tej zwiewnej aż do unicestwienia się mgły, trującej aż do bólu niepowrotnością nieuchwytną chwili, uczynić choćby *kawałek wieczności*, zakrzepić w twardych, gnaciastych łapach woli. Wszystko na nic. Czymże były marzenia o potwornostkach przy uczcie weselnej? — małe bzdurki. Teraz dopiero z takim trudem przez miliony pokoleń tworząca się w nim jaźń ludzka zaczęła się rwać, drzeć i pryskać i prychać, i łamać, i druzgotać, pękając w powolnym, bolesnym wybuchu, i nie mogła się do syta rozpęknąć w pustce bez dna, zionącej czystą śmiercią. Widział przed sobą drgającą w spazmie szyję, białą, giętką, kuszającą i czuł pod oszalałymi rękami przepiękne, *wieczyscie* doskonale kształty półkul odwrotnej strony wyprężonego w łuk ciała. Rozdzierał je i wbijał się całym sobą w samą ucieleśnioną rozkosz, która zdawała się nie mieć miejsca, obejmować wszystkie kręgi ziemskiego piekła i nigdy w istnieniu niedoścignętego, prawdziwego Nieba Nicości. Ale umrzeć nie mógł. Nie kochał jej w tej chwili — raczej nienawidził do nieobjętej rozumem potęgi. Za co? Za ten ból unicestwiania się na żywo, za to, że nigdy nie mógł być nią samą i samym sobą jednocześnie i za tę straszliwą nieznośną przyjemność, z której jej udział w tym wszystkim stwarzał jakieś diaboliczne misterium, za to, że tym, co czynił, nigdy jej zniszczyć nie zdoła, nie pokona tej niemożliwej do zniesienia piękności. Rwały się w nim żyły i ścięga, skręcały kości i mięśnie, a w mózgu został już tylko jeden potworny, płonący zabójczy ryk zachwyty nad Nicością Istnienia. Puścił tamto i wpił ręce w tę nienawistną szyję. Oczy Elizy wyszły jej na wierzch i stały się przez to jeszcze piękniejsze. Nie broniła się, tonąc również w zachwycie najwyższym. Ból połączył się w niej z rozkoszą i śmierć z życiem wiecznym w chwale rozjaśniającej się Tajemnicy Wszereczny. Odetchnęła głęboko, ale już ten oddech nie wyszedł z niej nigdy żywy. Ciało jej drgało w śmiertelnych konwulsjach, dając potwornemu zwycięzcy nasycenie najwyższe — wiedział, że ją zniszczył — w tym była ostatnia iskierka gasnącej świadomości. Genezyp zwariował definitywnie, nieodwołalnie. Zasnął tak z trupem w objęciach, nie rozumiejący nic ziemskiego. Czy była to zbrodnia? Chyba nie, bo Zypcio absolutnie nie wiedział w tej strasznej chwili, że tym niszczeniem pozbawia kogoś życia. Kochał tylko Elizę nareszcie po swojemu, chciał się z nią nareszcie naprawdę połączyć.

A rano obudził się o siódmej „*avec une exactitude militaire*”, jak marszałek Ney przed egzekucją. Wyswobodził się z martwych objęć ukochanej, wstał, umył się w łazience obok, wyszedł stamtąd, nie spojrzawszy na trupa (a nawet gdyby spojrzawszy, nie wiedziałby co to jest właściwie) i włożywszy mundur i palto i wzięwszy ręczną walizkę, zeszedł na dół. Postępował zupełnie jak automat, działał tym gatunkiem świadomości, która każe pszczołom zbierać miód, mrówkom nosić sosnowe igły, gąsienicznikom składać jajka w liszki i tym podobne rzeczy wykonywać tysiącom innych stworów. Teraz naprawdę nie było w nim nic z dawnego człowieka. Mimo że pamiętał wszystko doskonale, pamięć ta była martwa — jako żywa należała do innego człowieka.

Był zwykły jesienny dzień, taki sobie „dzionek” ludzi zwykłych. Genezyp też był takim sobie zwykłym osobnikiem — wypaliło się w nim wszystko — tak się rozpoczął początek katatonii.

— Papiery są? — spytał portiera.

— Tak, panie poruczniku — ordynans przyniósł o wpół do siódmej. Właśnie miałem pana kazać obudzić.

— Pani zostaje do jutra — powiedział jakiś głos z innego świata przez niego. Zapłacił rachunek i pojechał na stację. To wszystko robił już ktoś inny za niego. Zypcio umarł na wieki, ale osobowość była ta sama. Jadł obiad w restauracyjnym wagonie, patrząc bezmyślnie na ulatującą w dal, oszronioną z lekka mazowiecką równinę, tonącą w blaskach ćmawego, jesiennego słońca i słuchał równie bezmyślnie niezmiernie głębokich bzdur, które mówił, siedząc naprzeciw niego, Lambdon Tygier. Oczywiście dziwny starzec wiedział już o wszystkim i wszystko w zupełności usprawiedliwiał — to było ciekawe i tego wysłuchał Zypcio nawet z przyjemnością, ale cały wykład teoretyczny przepadł — nie czepiały się już te pojęcia jego zautomatyzowanego mózgu. Może o to właśnie chodziło. Wszyscy murtbingiści przechodzili najpierw stan ostry, a potem zasypiali w systemie tych pojęć, jak wśród stosu wygodnych poduszek. (Tylko ci, u których trwał stan ostry dość długo, używani byli jako agitatorzy). Lambdon wiedział, że Eliza przestała dla niech

istnieć z chwilą zrealizowania się jej erotycznych marzeń. Wiedział też, nie wiadomo skąd, że dzieci mieć nie mogła — była niepotrzebną. Co go obchodziła reszta? Umarła w najwyższej chwili swego życia — po tym, co było, mógł ją czekać tylko powolny upadek i samobójstwo. Czyż nie lepiej, że tak...?

W stolicy zameldował się Genezyp w komendzie miasta i zaraz udał się do mieszkania kwatermistrza. Była piąta po południu. Generał jadł właśnie obiad w towarzystwie żony i córeczki. Był dziwnie bladej i czarność jego wąsów robiła na tle tej bladej twarzy wrażenie żalobne, śmiertelne. Przecież to właśnie tej, tylko co ubiegłej nocy, przeżył kwatermistrz swoje dawameskowe wizje. Coś tam musiało się zmienić w tym tytanicznym mózgu — ale co — nie wiedział i nie dowiedział się nikt. Oczy, czarne, smoliste, „smorodinowe”, świeciły dziwą wesołością jak zwykle. Przecież to jutro właśnie wyjeżdżała się całą bandą na front, — nareszcie! Kończyły się małe, głupie polityczne gierki i zaczynała się wielka, największa w życiu gra — o życie i śmierć. A w duszy była tajemnica i czaiła się gdzieś zwinęta na dnie wielka niespodzianka, ta jedyna wierna, prawdziwa, godna jego kochanka. Zaproszony do obiadu zjadł go Zypcio z apetytem, mimo że dwie godziny temu nasycił się zupełnie w pociągu. Jednak był biedaczek trochę wyczerpany. Rzecz dziwna — Kocmołuchowicz nie robił na nim żadnego specjalnego wrażenia. Owszem, cieszył się, że ma wodza, że ten wódz był taki morowy — ale żeby to było coś aż tak bardzo nadzwyczajnego, to nie. Jako były rywal w stosunku do Persy nie istniał dla niego zupełnie. Kwatermistrz wypoczywał dziś przed jutrzejszym wyjazdem, detantował się, entszpanował się, rozwalniał się — jak mówił sam. Umiał stwarzać te programowe, bez troskie wypoczynki wśród największego nawet nawału pracy. Nie robił nic: rozmawiał z żoną, a nawet ją rznął chwilami, bawił się z córeczką i rudym kotkiem „Pumą” i wałęsał się po prostu z kąta w kąt. Nasycił się nastrojem rodziny i domu — może już po raz ostatni w życiu. To nie uponurzało bynajmniej elementów tego nastroju. Więcej tylko można było się tym nasycić w tym stanie. Najwyższa sztuka używania życia. To się wyrobić nie da — trzeba mieć już taki charakter. O wpół do szóstej siedzieli sobie z Zypciem w domowym gabinecie i pili kawę. Na łaskawe zapytanie opowiedział Genezyp całe swoje życie, różne detale o ojcu, przebieg służby i bitwy, a nawet ogólnikowo zdał sprawę z romansu z księżną. Kiedy przyszedł moment poznania się z Persą, dziwnie wpatrzył się w swego adiutanta kwatermistrza. Ale skatatonizowany adiutant wytrzymał dzielnie spojrzenie — „*un aide de camp catatonisé — quel luxe*” — jak mówił potem de Troufières.

Przyszedł telefon — że to a to i tamto a tamto — ze słów generała domyślił się Genezyp, że chodzi o śmierć Elizy. Wstał, stanął na baczność i gdy Kocmołuchowicz odłożył słuchawkę i zwrócił na niego swoje cudowne, bezdenne oczy z pewnym zdziwieniem, wyrecytował wszystko jak raport:

— Zaduśłem ją, bo zanadto ją kochałem. Może to obłąd, ale tak jest. Chcę służyć tylko armii. To by mi przeszkadzało. Proszę o łaskę. Odpokutuję wszystko na froncie. Tego jednego niech mi pan generał nie odmawia — ukarany mogę być przecie potem. — Zamarł wpatrując się psimi oczami we wspaniałą twarz Wodza. Kocmołuchowicz patrzył i patrzył bez końca — patrzył i zazdrościł. Zypcio stał bez drgnienia. „Ależ to tegi wariat — wysoka marka” — pomyślał Wódz. „Swoją drogą ja też nie jestem tu bez winy” — przypomniał sobie jeden z ostatnich raportów Węborka. Czy jednak młody ten idiota nie przeżył czegoś takiego, czego nigdy nie osiągnie i nie pojmie nawet on sam, jedyny w swoim rodzaju człowiek na świecie, który z niczego absolutnie nic sobie nie robi. Chwila wydłużała się niepomiernie. Poobiedni nastrój drugorzędnej stolicy w stolicy. Cykanie zegara, różne domowe zapaszki przesiąkające aż tu i mieszające się z zapachem cygar, „*mielkoburżuazyjnaja skuka*”. A na tym tle takie rzeczy!

W tej chwili nawet gdyby Zypcia do więzienia wzięli, albo i na śmierć skazali, przyjąłby to z tą samą obojętnością. „Ale kiedy przyjdzie chwila przebudzenia i ja wreszcie zrozumieć wszystko?” — pomyślał automatycznie, beztreściwie. — „Wtedy śmierć — ale w jakichże potwornych męczarniach — br”. — To rzekł w nim jeszcze jakiś nowy ktoś, który teraz wstawał z samego dna ostatnich den jego istoty, opanowując cały stężyły cielesny mechanizm. Między dwiema osobistościami: tego tworzącego się teraz i tego, który jako dziecko (teżka) spuszczał biedne pieski z łańcuszków, była próżnia, której nikt i nic wypełnić by nie zdołało — „przerwa w duchu”, jak określał stan ten, niezbyt inteligentnie, Bechmetiew. Aby to zrozumieć, trzeba być samemu wariatem, co

wyklucza dokładne i obiektywne ujęcie tego i każdego w ogóle zjawiska — kółko bez wyjścia. A tamten patrzył i patrzył, i patrzył na tego syna przyjaciela i swego własnego „niedoszłego”, i zdawało się, że swymi jasnowidzącymi oczami widzi nie tylko mózg tego dziwnego zbrodniarza, ale nawet jak się układają w tym mózgu cząsteczki białkowych połączeń, a nawet (według fizykalnej koncepcji) elektrony i inne coraz mniejsze, aż w nieskończoność, fikcyjne (czy może rzeczywiste — *tak samo* w tym stopniu rzeczywiste jak systemy ciał niebieskich — o — Boże! gdyby tak było... a któż wie? — to zbyt straszne...) elementy idealnej materii-energii, pochodzące pojęciowo od a) pierwszego lepszego przedmiotu, czy przedmiotu w ogóle; b) ruchu i c) naszej muskularnej, bezpośrednio danej jako następstwo jakości, siły. Widział genialny kwatermistrz nie tylko chwilę obecną i wszystko co było (miał zresztą doniesione różne szczegóły z przeszłości Zypcia, jak w ogóle z życia wszystkich swoich adiutantów), ale i przyszłość całą tego wyjątkowego zaiste pegiekwaka: będzie długo żył, będzie szczęśliwy, jako ten trupek właśnie, którym się stał przez tę zbrodnię. O on? — ha — lepiej jednak nie myśleć. Cała waga problemu polegała na walce z czymś niewymiernie potężniejszym, wobec czego nie można było marzyć o zwycięstwie — jakby ktoś palcem chciał zatrzymać kurierską lokomotywę. Ale mimo to koniec *musi* być piękny. Jak przepadnie wszystko, zrobi szarżę sam na czele swego sztabu i zginie. Jakże zapłonęła na tle tej bezdennej (?) myśli cała rzeczywistość obecna. — Można tylko powiedzieć: „ha!” i nic więcej. „Tylko może on jednak potem z nią tego...” (na tle zbrodniczego wieczorku u Persy). Nie dokończył tej myśli — teraz i nigdy już. — Zamurował ją jak Mazepę (?). Upłynęło pół godziny może, może trzy kwadransy. I nagle ten pięknutki młody człowiek rzekł, a tamten zdołał jeszcze przedtem pomyśleć: „Ale to musiała być frajda dla tamtej histeryczki (poznał kiedyś Elizę na jakimś balu) — zginąć z rąk tak pięknego bubka. Szkoda, że nie jestem pedzio — użyłbym sobie na nim jak na burej suce”.

— Melduję — itd. — ...przedtem zabiłem także pułkownika — nazwiska znowu nie pamiętam — wtedy kiedy kochałem się tak beznadziejnie w pannie Zwierzontkowskiej. — Kwatermistrz drgnął, mimo że właśnie o tym samym myślał. To nazwisko zawsze robiło na nim wrażenie. Kochał się przewrotnie we wszystkim, co do niej należało: w pantofelkach, pończochach, szminkach, wstążkach, nawet w dźwięku nazwiska i imienia. „To jej, to jej to wszystko” — mówił sobie w duchu w pewnych strasznych chwilach. Właśnie zachciało mu się wprost niemożliwie tych zwykłych dziwności z nią, na zakończenie ostatniego może odpoczynku. Wstał — brzęknął ostrogami i powiedział, rozciągając trzeszczące kości:

— Wiem wszystko i o więcej nie pytam. Wobec tego, co teraz nastąpi, to są „*miéloczy*” — a „*miéloczy k'czortu*”. Mówiła mi panna Persy — jest teraz u mnie sekretarką. Jutro wyjeżdżamy na front. Na front — rozumiesz, błźnie jeden. Takiego frontu nie pamięta dotąd ziemia i takiego spotkania ludzi jak my z Wangiem nie widziała. Ja, widzisz, dureńku, nie przesadzam. Sam zobaczysz i ciesz się z tego. Zanim tam zbadają, że to nikt inny nie mógł zrobić, tylko ty, będziemy daleko stąd. Odrobisz wszystko, a najpewniej zginiemy wszyscy. Teraz jesteś mój. Takich mi ludzi trzeba — wariatów też. Tęgi z ciebie wariat, Zypek, ale ja lubię takich, potrzebuję ich i będę bronił. To rasa wymierająca. A może ja też jestem wariat? Cha, cha! — Zaśmiał się z piekielną, rozdzierającą swobodą. Pocałował Zypcia w czoło, po czym zadzwonił. Adiutant siadł spokojnie na fotelu, skłoniwszy się przedtem w milczeniu. Ha — gdyby tak dawniej! — a teraz nic. Wszedł ordynans, „głupi Kufke”, jak go nazywano. (Znał swego pana na wylot i czasem przez niego podawano beznadziejne skądinąd prośby i [o dziwo!] przeważnie załatwiane były pomyslnie. Znał chwile takie, o jakich jego pan sam nie miał pojęcia. Umiał to wyczytać z drobnego skurczu policzka, z nieznacznego błysku smolistych, wszechwładnych oczu. A głupi w ogóle był — to była prawda — ale miał tę — no jakże się nazywa? — intuicję — tak — tę kobietą, krótkodystansową). — Powiesz pani generałowej, *gawnò sabàczje*, że pojechałem na chwilę do biura. Będę przed dziewiątą. Jutro o ósmej rano jedziemy. Przygotujesz wszystko. A pana podporucznika zaprowadzisz do jego pokoju. Gościnnie, numer trzeci. Marsz spać, Zypku, natychmiast. W nocy będziesz miał robotę. — Podał mu rękę, władczą a miękką, i lekkim młodzieńczym krokiem wyszedł z gabinetu. Wsiadł następnie w auto (które zawsze: dzień i noc stało przed bramą) i pojechał do Persy. Tam działy się rzeczy straszliwe. Lepiej się nie domyślać. Nie wytrzymał i opowiedział ko-

chance wszystko, a ona jemu nieznanne detale o Zypciu, o jego mękach, co podnieciło ich jeszcze więcej; tym bardziej, że Persy przekonała generała, że to ona przez ręce Zypcia, na tle jego szalonej do niej miłości, zabiła Elizę. Ale to było nieprawdą, jak to widać z poprzedniego — chyba podświadomie? — ale któż takie rzeczy skontroluje. Psychoanalitików nie było już w tych dobrych czasach. Ale od tej chwili Persy zaczęła myśleć inaczej — o, grubo inaczej. Jakieś przeczucie zupełnie dziwnej przyszłości majaczące się na chwileczkę w jej „cudnej” główce. I uprosiła generała, żeby wziął ją ze sobą na front. Zrobiła coś takiego, że musiał się zgodzić. Mimo że bała się straszliwie (choć znowu z drugiej strony dla kobiety zawsze jakieś wyjście się znajdzie), musiała tak postąpić.

OSTATNI PODRYG

Ósma rano. Za pół godziny odchodzi pociąg sztabowy na front, który już jest gotowy — w ostatniej chwili skonstruował go Kocmołuchowicz. Genialny plan, urodzony nieomal podświadomie w tym straszliwym turbogeneratorze, jakim jest mózg niezwyciężonego stratega, urzeczywistnił się tam na dalekich polach, bagnach i lasach polskiej Białej Rusi, z magiczną wprost dokładnością. Dużo by dali Chińczycy, aby znać tę koncepcję, cudowną w swej prostocie. Nie ma na to rady, bo na papierze ona nie istnieje. „*Der geniale Kocmoloukovitsch*” ma wszystko w głowie. Rozkazy były telefonowane do każdego z szefów korpusów osobno, a oznaczały rozkład do kompanii, szwadronów i baterii włącznie. Ani jednego papierka. Mapa, niepokalanie czysta, bez jednego znaczka, przed oczami i telefon w *poczwórnym* wypoduszkowanym tzw. „gabinecie operacyjnym”. Nawet gdyby kto jaką rozmowę podsłuchał, nie wiedziałby nic. Linia specjalna, podziemna, której częściowe pozycje znało kilku ludzi, no i ci oficerowie, którzy części jej zakładali — zawsze inni. A rozkazy takie i to na dwa dni przed defensywną ofensywą: Dzwonek. „Hallo. Komenda Trzeciego Korpusu. Generał Niekrzejko? Słuchać i notować: Trzynasta dywizja. Odcinek cztery kilometry długi od Brzuchowic do Śniatyna. Dwudziesty pierwszy pułk piechoty: Brzuchowice–Lipa Wielka. Pierwszy batalion Brzuchowice. Sztab kota dwieście sześćdziesiąt jeden, chatka węglarza, koło brzoźowego lasku. Front O. S. O. Trzysta kroków na prawo od wielkiego dębu z czerwonym krzyżem bateria druga, pierwszy dywizjon, piątego pułku sześciocalowych moździerzów. Dwie haubice na W. trzydzieści metrów na lewo od błękitnych chałup przy drodze do Śniatyna”. itd., itd. Innemu we łbie by się pokręciło. Ten ci jucha nic. Aż zachrypi i gada, gada, gada bez końca. Sam w pokoju — inny by zwariował — ten ani na źdźbło nie znieprzytomniał nawet na chwilę. Mało inicjatywy mają dowódcy grup? — no to i co? Durnie wszyscy prócz niego — popsułoby mu wszystko. Psy, które można poszczuć — nic więcej. On jeden wie — pan nad pany.

Pierwszy raz od czasu wymarszu z Pekinu mandaryn Wang i jego japoński doradca Fucuszito Johikomo zastanowili się trochę. Żadnych danych co do systemu obrony. Żadni szpiegowie nie pomogli. Zginęli prawie wszyscy, a ci, co wrócili, mówią, że nikt nic nie wie. Nie pomogły straszne tortury. Plan operacyjny miał być zakomunikowany dowódcom grup do dywizji włącznie wieczorem tuż przed ofensywą. A tak go miał jasnym w swym prawdziwie jaśnie-pańskim łbie generalny kwatermistrz, jak i samo rozłożenie wojsk. („Szkoda takiego człowieka na taką parszywą epokę” — mówili nawet niedowiar-kowie). I to plan, który musiał zmusić przeciwnika do takich właśnie, a nie innych działań, choćby nie wiadomo co przedtem był wykonywał. Oczywiście mogli być małe odchylenia, ale od czego telefon? Na rzeczy nieoczekiwane umiał reagować kwatermistrz z takim samym spokojem, jak na znane od wieków. Oczywiście przewaga liczebna była po tamtej stronie praktycznie nieskończenie wielka, Chińczycy naród straszny i niezrozumiały, o śmierć i ból nie dbają, mogą nie jeść i nie pić dniami całymi i bić się jak diabły. Technika ich w ostatnich latach przewyższyła wszystko, co tylko Białe Zamorskie Diabły wynaleźć zdołały. Jednym słowem ogólna przegrana pewna — chociaż kto wie — a nuż jakiś cud. Mało to ich miał w swym życiu Wielki Kocmołuch? Postanowił „pokazać, co umie” — jak to o nim mówiono. Pierwsza bitwa — musi być wygrana. Życie takie i tak diabła warte. A jeśli nie zginie, to muszą go Chińczycy wziąć do siebie co najmniej na szefa sztabu głównego i na tej posadzie jeżdżą mu ostatnie lata wspaniale: z początku będzie prał Niemców, potem Francuzów, Anglików, a potem choćby diabła samego. I na jedno, i na drugie był przygotowany — czy to, czy tamto, było mu to prawie doskonale

obojętne. Prawie — bo jednak dawameskowa noc zrobiła mały, malutki wylomik. Ale umiał to ukryć przed sobą i innymi.

Ósm rano. Jesienny dzień wstaje, typowo-bezbarwnie październikowy, mimo słońca. Drugi dzień przymrozku. Trudno robić okopy, ale iluż ludzi było w pogotowiu — wystarczy. Zresztą ziemia twarda tylko po wierzchu. A co za sztuki będą z kawalerią, to się opowiedzieć wprost nie da, ani przedtem, ani potem. Będą mieli robotę wojenni historycy, a dokumentów nie zostanie żadnych — ani jednego papirka — hi, hi! Bucha para z cylinderkurków potwornej amerykańskiej maszyny. Złączenia ogrzewania też dymią. Jak widma snują się największe mogiły wojennej Polski w kłębach mokrej mgły. Rozkoszny dzień przed wielkim śmiertelnym czynem. Wszyscy tu przy pociągu: Niehyd Ochłuj, Kuźma Huśtański, Stępolek i cały Rząd z ostatnim błogosławieństwem: wszystkie Boroedry, Cyferblatowicze i Koldryki, a zdrada od nich zionie. Niech ta se, niech ta. „*Nech sa paczy*” — jak mówią Czesi. A — i kilku hrabiów durnych, doszczętnie zamundurowanych, jak w ciemię bitych — ale i ci dobrzy. Tamci mędrsi nie wiedzą także nic. W tym cała rozkosz. On jeden — jeden, jeden. Jego Jedyność i to w tych parszywych czasach, na tę masę tego żółtego paskudztwa, niosącego światło ze Wschodu. Och — żeby tylko nie śmierdzieli tak strasznie! Podobno na trzy kilometry już oddychać nie można. Sam brat kwatermistrza, naczelnik ogólnego ruchu, Izydor, prowadzi pociąg. Można jechać? Jeszcze nie. Nareszcie lekkim krokiem wchodzi Persy na peron. Elegancko ucałował rączkę oficjalnej już teraz kochanki kwatermistrza. Teraz wszystko mu wolno — idzie na pewną śmierć. Żona wita się z nią czule, jak z siostrą. Co za stosunki, co za stosunki! Zaszepłali wszyscy. Rząd wylupiał na to zdziwione, zaspane oczy. Uniósł kwatermistrz córeczkę Ileankę do góry i wtulił jej twarz w czarne swe wąsiska. Lekko, jak pliszka, sfrunęła Persy z peronu prosto w salonowy wagon. Będą perwersje, czy nie będą? A tu nagle Zypcio z meldunkiem (posłany był sprawdzić, czy jakiś tam kuferek czort wie czyj jest w pakwozie, czy nie). Zczepiły się oczy tej dziwnej, niedoszłej pary. Ale trupie było w tej chwili spojrzenie niedawnej ofiary panny Zwierzontkowskiej — żadnego śladu uczucia. Niezadowolona, cofnęła się w błyszczącą samą esencją wagonowego szyku głab wagonu i zasunęła okno. Nie lubiła, gdy się jej ktokolwiek wymykał, a po ukatrupieniu Węborka nabrał dla niej Genezyp jakiegoś specjalnego uroku. Bądź co bądź z wściekłości na nią dokonał czegoś tak niesamowitego. Ta myśl przeszywała ją tym specjalnym dreszczykiem, który dotąd dawał jej tylko sam Wódz. Będzie miał kwatermistrz przedśmiertną zabawę z tych dwojga, czy nie będzie? Chyba nie, bo Zypcio to żywy trup w mundurze, przytomny nieprzytomnością ostateczną, śmiertelną.

Gwizdek Izydora „rozdarł” mroźne powietrze. Czas już najwyższy. Jeszcze jeden pocałunek na czole umęczonej żony (świętej Hanny Męczennicy, jak ją nazywano), jeszcze jedno zanurzenie wąsów w ten cudowny, różowy pyszczek córeczki (i tu łza stoczyła się, czarna jak czarna perła [ale do wewnątrz] z oka tego wspaniałego okazji ginącej rasy — co też z nią będzie, biedaczką, jak to żółte robactwo zaleje tę ziemię) i szybko weszli do ciepłego wagonu. [Kocmołuchowicz nie był właściwie przywiązany do ziemi, tylko do pejzażu — tak przynajmniej mówił po pijanemu]. Pociąg ruszył z wolna, sapiąc ciężko pod szklanym sklepieniem dworca, przesunął się jak widmo wzdłuż wstrętnych bud stacyjnych i znikł w rudawej w rannym słońcu mgłę miejskiej. Samo historyczne przeznaczenie całego kraju sunęło w luksusowym wagonie na Wschód, ku niezbadanej otchłani przyszłości, która czekała w postaci jesiennego nudnego, smutnego białoruskiego pejzażu. A małe to wszystko było, a wstrętne, a płaskie — oczywiście wobec tajemnic międzygwiazdnej przestrzeni. Cudownie się jechało w porządnie nagrzanym salonowym wozie. A sytuacja też była nie najgorsza. Zypek zakuty w polowy mundurek siedział sztywno, markując wyraźnie, że jest adiutantem i niczym więcej. Persy, teraz dopiero przerażona całą tą imprezą, myślała tylko, jakby się tu wywinąć z tej matni wobec pewnej kłęski. Liczyła jedynie na swoją demoniczną urodę, w związku z szaloną pożądlivością chińskiego sztabu na białe kobiety wyższej marki. Ale jeśli ten szalenięc Erazm (Ercio), którego też na swój sposób kochała, każe jej iść w pierwszą linię, to co??? Na samą myśl o tym wściekała się już na niego z góry. A jednocześnie ta niemoc jej, wobec jego wszechwładzy, podniecała ją do szału i to nie tylko do niego, ale i do innych — po raz pierwszy w życiu. I wzbierała w niej potworna żądza do cudnego, młodego mordercy w adiutanckim

uniformie. Rzeczywistość zniechęconego niebezpieczeństwa i *możliwość niechybnej* (jak to?) śmierci, czyniła wszystko tak właśnie, w tym stopniu, jakościowo prawie odmiennie strasznym i cudownym, i pożądanym, i nienawistnym, i kochanym aż do obłądzenia. Psia-krew — z tego właśnie wybrnąć jakimś genialnym „*trick*’iem” — to było zadanie, och, było. Ale nie czuła się biedna Persy na siłach i to, to właśnie, dodawało, raczej tworzyło ten piekielny, niewyobrażalny nawet w przybliżeniu w normalnych warunkach urok chwili. Nie umiała jednak *w całości* przetransponować złego na dobre, jak ten jej byk wszechwładny, któremu zazdrościła tej zalety do wściekłości. A bodaj to... A jednak tak dobrze jest, tak dobrze, jak nigdy. Wszystko ma w ręku, jak rękę zatrutego sztyletu — w kogo wyrzucić ten pierwszy, decydujący, nabity przyszłością cios? I to szalone wahanie między ostatnią rozpaczą a szczytem życia... Nawet jeśli się uda oszukać los i wyminąć krnąbrne przeznaczenie, to już nie będzie *to*. Ta chwila jest najwyższa, tylko nie można jej całkowicie użyć. I tak bez końca: z góry w dół i z dołu do góry, aż do psychicznej morskiej choroby, do tego zawrotu głowy nad przepaścią dziwności ostatecznej. Tam to spotykali się asymptotycznie z Zypkiem, tam to spotkali się naprawdę o nieskończoność od zupełnego zlania się w jedność.

Pociąg pędził jak wystrzelony pocisk — nie do zatrzymania, nie do zdewiowania ku nieznanym „wyrokom historii”, ku zjezonemu dwurożnie chińskiemu czemuś — co to było, nie wiedział nikt — nawet sam Murti Bing, o ile by istniał naprawdę. A komandor tej całej dzięki ekspedycji w świetnym był humorze. On też przeżywał szczyt swoich marzeń. Nareszcie był tym „osobowym wcieleniem śmiertelnego ciosu”, jak go nazywali jego sztabowcy — takim się oglądał zawsze w wyobraźni z tęsknotą zabójczą w pokojowe dni. Nareszcie pękła pępowinka łącząca go z parszywym, codziennym życiem. Krótka to będzie, ale użyje za wszystkie czasy. Ale się mylił biedaczek (kto ośmielił się tak powiedzieć?! Rozstrzelać!!!), że to jest najwyższy moment. Ten krył się jeszcze w punktochwili hiperprzestrzeni, naznaczonej w ziemskim względnym kalendarzu po prostu tak: 9 rano, 5/X, Pychowice, tam, na tym, z góry w genialnym łbie kwatermistrza ułożonym, froncie. Nie wszystko jednak da się przewidzieć, nawet przy tak świetnym aparacie działania, jakim był mózg Wodza. Ale o tym później. Na razie był to moment najwyższy — trudno. Niech sobie przyjdą inne, jeszcze wyższe — nic nie miał przeciw temu „podufały” z największymi potęgami świata kwatermistrz: z najwyższym życiem na szczytach i ze śmiercią choćby gdziekolwiek bądź, byle dobrą, to jest bohaterską, „prawdziwą”, to znaczy w chwili rzeczywistego wypełnienia się misji jego ducha na tej planecie, piękną psia-mać jak marzenie dziewczynki z rodu wodzów o idealnej śmierci wyśnionego rycerza. Na razie tak się właśnie wszystko zapowiadało. Patrzył Wódz na uciekające szmaragdowe pola, żółte ścierniska i sosnowe laski bez żalu — może ostatni raz — a może? — e — w cuda lepiej nie wierzyć. A jak się już stanie, można się wtedy weselić. To, co go czekało, to była prawie że kosmiczna katastrofa — konieczna jak rozwiązanie w greckiej tragedii. Pewne było to, że innego wyjścia nie ma i być nie może. Myślał zawsze naprzód — nigdy wstecz — to była jego metoda. Myśl jego stale wyprzedzała życie, a nie ciągnęła się za nim. Do tej chwili wszystko musiało być tak, jak on tego chciał, psia-krew! — a potem zobaczymy. Zanurzył usta w puszyste kędziory Zwierzontkowskiej i przez kosmyki jej blondynowości pochłaniał lecący w ramie szerokiego okna wagonu pejzaż. Przepracowani towarzysze Wodza przeważnie drzemali na czerwonych aksamitach kanap. Część poszła spać na dobre — noc tę spędzili na intensywnych pożegnaniach z życiem. Plan operacyjny był potencjalnie gotów — należało go tylko podyktować dowódcom poszczególnych grup, tak, aby nie mogli zrozumieć całości działań. Teraz nie było nic innego do zrobienia, jak „zentszpanować się” kompletnie. Wziął Persy na ręce jak rzecz jaką i wyniósł z salonu do sypialnego oddziału. Zypcio nie drgnął nawet — zanik erotycznych uczuć, czy co u diabła? Pewne natury tylko w obłądzeniu uzyskują maksimum szczęścia — od urodzenia prawie nie był tak szczęśliwy. Trwał nieruchomo, zdany na czyjąś wolę, tuż u głównej turbiny wypadków, przy samym ognisku sił tej miary, co Kocmołuchowicz (czegoż więcej trzeba?), zatulony w zaciszny kącik na pędzącym pocisku — pchelka maleńka na piętnastocalowym granacie, rwącym zdyszane powietrze. Chwilami tylko, jakimś bocznym centrem świadomości, bał się przebudzenia z tego stanu. Dokładnie widział w wyobraźni ostatnią scenę z Elizą i bezpośrednio, uczuciowo, nie mógł uznać tego, że to on był odpowiedzialny przed sobą i innymi za to, czego dokonał. Wszystko, co było

dotąd, ułożyło się w obrazek piękny i konieczny, w którym nawet żyjące osoby występowały jedynie jako poprzebierani aktorzy. I wszystko to było normalne, bez cienia obłędu — oczywiście dla niego tylko.

Był dzień wiosenny w jesieni — jeden z tych dni, w których starzejące się lato (gdzie?) wyciąga się jeszcze raz rozkosznie nad usypiającą ziemią i przeżywa swoją znikomą drugą młodość, jak pijak czy inny „drogista”, który przestał pić czy zażywać coś tam i mówi sobie: nie — jeszcze raz. Cicho było na froncie jak makiem zasiał — oczywiście z punktu widzenia huraganowego ognia. Dla biednej Persy była to najstraszniejsza bitwa, jaką w życiu oglądała: artyleria chińska „przystrelowała się” do polskich pozycji, macając nieprzyjaciela i korygując wyliczenia. Raz po raz odzywały się po stronie chińskiej pojedyncze huknięcia dział różnego kalibru w różnych miejscach i pędziły ku nam samotne pociski, hucząc długo w spokojnym powietrzu, i pękały w naszych okopach, wyrządzając czasami znaczne szkody. My załatwiliśmy tę pracę już wczoraj — nie można było dłużej czekać, choć to ułatwiło zadanie Chińczykom. Oni mieli czas — my — to jest Kocmołuchowicz — nie. Jesień była bezwietrzna i drzewa stały przeważnie w liściach, zbrązowiałych od przymrozków. Ścierniska i łąki świeciły leżącą pajęczyną, odbijając jak w stawach pokrytych rzęsą matowe, łagodne i senne słońce. Nieprzebrana cichość przestworzy budziła strach jakiś zabobonny. Wszyscy, poczynając od prostych ciurów w obozach do dowódców korpuzów i grup, zupełnie niezależnie od zwykłego, normalnego strachu, byli „czegoś” dziwnie przejęci i uroczyści. Kocmołuchowicz, w towarzystwie Zypcia i Oleśnickiego, objeżdżał front w małej, eleganckiej „pieroletce”, jak nazywano ten typ torpedowych, luksusowych tanków. Wielką ulgą było wykluczenie przez Ligę Ochrony Wojny powietrznego bombardowania i gazów. Gdzieś wysoko krążyły wywiadowcze samoloty, okrążane co chwila grupami białych obłoczków pękających szrapneli, ale nikt nie potrzebował już bać się pocisków na setki kilometrów za frontem. Chyba można było być ranionym własnym odłamkiem — ale na to trzeba już być zupełnym „nieudacznikiem”. I to właśnie zdarzyło się Kocmołuchowiczowi. Główka do nastawiania odległości naszego własnego pocisku wyrzuciła go w koniec buta, rozwalając podszewę i niszcząc sam szpic, w chwili gdy rozmawiał z dowódcą trzeciego korpusu, Niekrzejką. Niekrzejko zbladł. Wódz zachwiał się, ale nie upadł. Zrobiło się zamieszanie. Mógł Zypcio podziwiać doskonałość tej maski — ani na sekundę nie straciły smoliste gały swojej beczelnej wesołości. Niestety dosłownie: mógł Zypcio podziwiać, ale nie podziwiał — nic już nie robiło na nim wrażenia. Roboty ziemne były już na ukończeniu — chodziło tylko o strefy wypadowe — linia obrony była gotowa dawno, o dwadzieścia kilometrów stąd w tył. Chińczycy trzymali się na dziesięć, piętnaście kilometrów km od naszej linii. Najbardziej wysunięte patrole kawalerii złapały zaledwie na jakie siedem kilometrów kontakt z nieprzyjacielem.

General-kwaternistrz w świetnym był humorze. Już przeszedł linię zwątpień i wahań — był sam jak wypuszczony pocisk. A jednak zdarzają się, psia-mać, cuda. Znał siebie i wiedział, że zawsze jednak może oczekiwać od siebie czegoś nieoczekiwanego. Co też teraz „wykinie” jego nieposkromiona natura przedostatniego indywidualisty na tej ziemi, zakonserwowana aż na dzień 5/X w piekielnym sosie polskich układów sił społecznych? Dumnym mógł być ze swojej armii = maszyna — dość było pociśnąć guzik i „trach”...!! Ale równie dumnym mógł być i ze swego łba, w którym, prawie bez jednego zapisanego papierka, mieściła się ta piekielna przyszła bitwa w potencjalnym stanie. Na chwilę poczuł w sobie kwaternistrz wszystkich wodzów Polski, którzy walczyli kiedykolwiek z mongolskimi „nawałami”. Ale nagle jakiś dziwny smutek starł tę świetną chwilę, jak ściereczka „pył” z zakurzonego, gładkiego stoliczka. Czemu takie „domowe” porównanie przyszło do głowy samemu Wodzowi? Lśniącą, niepokalana nuda absolutnego bezsensu najświetniejszych nawet czynów ogarnęła go z niezmożoną siłą. Chciałby *po prostu* żyć. A tu śmierć zaglądała mu beczelnie pod szeroki daszek czapki pierwszego pułku szwoleżerów, którego mundur ozdobiony generalskimi naszywkami i sznurami nosił. Nie był to brak odwagi bynajmniej, tylko czysty, pozbawiony strachu przed śmiercią sentyment do życia. Cichy szept wewnętrzny mówił mu o jeszcze cichszym istnieniu w jakimś małym domku w kooperatywie wojskowej za miastem — jakieś pelargonie w oknach i córeczka bawiąca się w ogródku — o, w taki śliczny dzień jak dzisiaj i śliczna pani Hanna z całą swoją filozofią (teraz mógłby to nareszcie poznać) i won wszelkie perwersje z tą prze-

klętą „dziwką” i dzikie „entszpanungi” i „detanty”, których potrzebę stwarzało mu życie w natężonej, obłudnej pracy. W gruncie rzeczy było mu to obce, było tylko substytutem nasyconia nieświadomej, metafizycznej żądzy bycia wszystkim, ale to *dosłownie wszystkim*. A tu Nicość. — Jakże bliskim był tej nicości w olbrzymiej drabinie hierarchii wszelkich możliwości! Ledwo oderwał się od podstawy zupełnej pospolitości [on, były chłopiec stajenny, a potem dojeżdżacz (co to jest?) hrabiego Chraposkrzeckiego-Łzowskiego, pana na Łzowie i Dubiszkach, którego syn najmłodszy, major, dowódca szwadronu w jego przybocznej legii, był teraz jego ślepy m narzędziem], a już ciągnęła go ona pokusą cichego snu, pospolitego, prawie nie wiedzącego o sobie istnienia. „Chamska krew, czy co?” — „zachnął się” Wódz sam na siebie. I sam zaśmiał się nad sobą. — „Właśnie tak jest dobrze — gdybym był hrabią, nie byłoby w tym żadnej sztuki”. Ach, gdyby to można skończyć to życie spokojnie, tak po dokonaniu tego beznadziejnego czynu, tej przeklętej bitwy, która miała być tym „opus magnum” całego jego życia? A? I tylko jeździć sobie potem po świecie z córeczką, ukazując jej jego zakryte dla zwykłych oczu cuda i wychować ją na potwora takiego jak na przykład Persy lub on sam — szepnął głos tajemny — brrr...! Nie nasycił go nigdy ani front rumuński, ani Bolszewia, ani genialne walki miejskie, w których był mistrzem — on kawalerzysta z krwi i ducha najtajniejszych bebechów, ten Kocmoło-centaur, jak go nazywano na orgiach pułkowych, kiedy w szaleństwie alkoholu, jako piechur ledwo trzymając się na nogach, dokonywał piekielnych swych kawalerskich, smoczocentaurowych czynów, dając przykład niedościągły prawdziwie „końskiej” młodzieży oficerskiej. Ale czy był tym w istocie swej najgłębszej, od samego początku, kim jest obecnie? Kim mógłby być przy „najświetniejszym zbiegu” sprzyjających okoliczności? (!) — właścicielem stajni wyścigowej, czy stadniny, czy profesorem hodowli koni na uniwersytecie wileńskim? Bo ta jego kariera była nienormalna — zawdzięczał ją tylko wypadkom — no może trochę i sobie — ale czymże byłby, gdyby nie krucjata? A profesorem mógł zostać zawsze. A nade wszystko powinien był się urodzić co najmniej hrabią — tak wszystko przepadło i teraz trzeba było walić naprzód. Był jednak niewolnikiem czegoś ponad niego wyższego — bo cofnąć się nie mógł. Program: objazd, orgia u szwoleżerów, sen, mały ranny „Entspannung” z Persy (czekała go w dworku pp. Łopuchowskich w Załupach, tam za sennymi (?) grupami miedzianych drzew — pewnie teraz pije kawę w tej poziomkowej piżamce... Ech!!). A potem bitwa, ta bitwa jedyna w historii, której sława rozejdzie się po świecie całym i on jako najstraszliwszy mit gasnącej osobowości, którym straszyć będą mechaniczne matki potomków przyszłych, szczęśliwych ludzi. Uha, uha! Otrząsnął ostatnią słabość, w którą był się zatulił, jak w miękkim leniwniku-zatulniku w leniwe świąteczne rano. Adiutanci patrzyli na niego, ledwo śmiejąc oddychać. Na samą myśl, co działo się w tym piekielnym łbie, brał ich strach zabobonny (konieczny). Oto siedzi teraz między nimi ta kupa pospolitego pozornie mięsa w generalskim przepychu, a w niej zakłeta jest jedyna w swoim rodzaju chwila historii ginącego świata. Oto ta sama chwila definitywnego przewalania się ludzkości w jej drugą zasadniczą fazę, wcielona w tę diabelską kukłę, pełną niepojętych myśli, trwa tu przed nimi, w październikowe rano, w pędzącej przez zapajęczone ścierniska „pierdoletce”. Zypcio zaczął się powoli budzić, ale już po tamtej stronie. Okropność przeszłości, powleczone tajemnym werniksem obłędu i oczekiwania nadchodzących wypadków, świeciła jak stłumione, a nigdy jaskrawe barwy na obrazie jakiegoś dawnego mistrza. Wspomnienie nie zająłoby się o nic aktualnego. Z jednej strony był to wynik „nerwowego szoku”, który przeżył tej strasznej nocy wyzwania się w zaktualizowaną nieskończoność i dziwność istnienia, z drugiej tłumiała wszelkie głębsze przemiany zbliżająca się katastrofa. Rozkoszna była tymczasowość tych chwil niepowrotnych. Już w dzień odjazdu szepnął ordynans Wódza obu adiutantom, że nikt z tej wyprawy nie wróci. Jeszcze nigdy takiego oka nie miał podobno generał. Obserwację tę zrobił głupi Kufke podczas rannego ubierania. Potem maska kwatermistrza nie zdradzała już innych uczuć prócz wścieklej, skoncentrowanej jak słońce w soczewce, woli. „Spiał mózg ostrogą woli” — zaiste było tak. A przy tym, co mógł przeżyć jeszcze ten obłąkaniec. Bo i jeden, i drugi, i Wódz, i adiutant — byli prawie na granicy — może Zypcio posunął się dalej w urzeczywistnianiu swoich pomysłów, może był jako wariat właśnie życiowo dojrzalszym, ale z Kocmołuchowiczem było naprawdę źle. Nie zdawał sobie tylko z tego sprawy, a piekielna praca trzymała go jak w kleszczach, nie dając możliwości uświadomienia pewnych symptomów. Dotąd dosłownie nie miał czasu

zwariować. Ale nierzadko, ale też i nie bardzo często, Bechmetiew kiwał nad nim głową z politowaniem, połączonym z podziwem. „W grobie nie będzie czasu leczyć się, Erazm Wojciechowicz” — mówił. „Jeszcze nie czas na sanatoria” — odpowiedział kiedyś kwatermistrz. — „A zresztą jak się skończę, to lepiej wyprowadzić za płot i strzelić w ucho. Płot już mam w Kooperatywie na Żoliborzu, a rewolwer znajdzie się w ostatniej chwili — ktoś życzliwy użyczy” — miał na myśli swoich najstraszliwszych wrogów, co może teraz, gdy on tu łeb nadstawia, tam w stolicy chleb i sól dla Chińczyków przygotowują i czyszczą klucze stołecznego miasta. Dobrze czuł się Genezyp w tej pustce uczuć. Nie mógłby już wrócić między normalnych ludzi — w więzieniu czy na swobodzie, czekała go jedynie samobójcza śmierć. Teraz był wolny od tego zagadnienia — miało to załatwić samo życie. Nie poznawał ani siebie, ani otaczającego świata. Ale właśnie w tej obcości czuł się jak w wygodnym futerale. Tylko czy to nie jest jednym z objawów zbliżającego się bzika? Zaniedbał się tym problemem — po raz pierwszy naprawdę ogarnął go strach przed obłędem — czy nie za późno? — jego, skończonego już wariata, żyjącego tylko mocą nadwyzki sił, których dostarczała sama sytuacja zewnętrzna, no i skatatonizowanie. Ale nie było czasu zastanawiać się nad takimi głupstwami. Właśnie zajęli przed jakąś zakamuflowaną ciężką baterię, gdzie Kocmołuchowicz wypowiedział jedno z tych swoich słynnych, wstrząsających najtajniejsze żołnierskie bebechy, przemówień. (Nigdy ich nie zapisywano i nie drukowano, bo bez jego obecności, głosu, postawy i tej atmosfery, którą koło siebie stwarzał — okazywały się bardzo liche i nieudolne. On sam był tego zdania). Ledwo skończył, a tu, jak na zawołanie, nadleciał od dalekich pozycji chińskich ciężki, jedenastocalowy granat i pękł tuż przed linią armat, zasypując wszystkich ziemią i drzazgami rozwalonych rogatek. Cudem nikt nie zginął, ale Wódz dostał po łbie dużym kawałkiem drzewa. Drugie ostrzeżenie. Żałował Zypcio, że niezdolnym był już do odczuwania tego entuzjazmu, co w szkole, gdy parę buczeń trąb i sam głos Wódza zdolne było rozpromienić świat cały w szalony wybuch skondensowanego uroku życia. Ze spuszczoną głową, wstydząc się za niesmaczne dowcipy Kocmołuchowicza, słuchał całej tej baliwerni, jak skazaniec, dla którego pojęcie życia straciło sens wszelki.

Dalej wypadki potoczyły się z przeraźliwą szybkością. Nazajutrz rano stał już Wielki Kocmołuch otoczony sztabem na kocie 261, skąd miał obserwować bitwę [wobec braku gazów i samolotów (co za rozkosz!) bezpieczeństwo było względnie duże — 10 km od własnej pierwszej linii], a raczej jej punkt centralny zdeklansowania. Front bitwy rozciągał się na przestrzeni 300 km — trwanie jej obliczano na dni pięć minimum. Za sztabem, na jakie tysiąc kroków, rozłożyły się trzy pułki legionu przybocznego, konnych pegiekwaków, pod dowództwem adiutanta Cara Kiryła, Karpeki, jednego z lepszych kawalerzystów rosyjskich. A prawda! — na śmierć się zapomniało — wczoraj o dwunastej w nocy rozstrzelano prawie bez sądu Niehyda-Ochlują, który na fikcyjnej radzie wojennej (odbyła się po orgii) zaczął się nieprzyjemnie, po bolszewicku stawiać. Zakneblowano mu gębę i wyprowadzono. W kwadrans już nie żył. Sam Zypcio pomagał wlec go, wrywającego się rozpaczliwie rozwścieczonym sztabowcom, nie czując przy tym nic. Pijany Huśtański (Kuźma) chciał mu jeszcze przed śmiercią własnoręcznie wyciąć jaja, ale nie danym mu było tego dokonać — Wódz stanowczo zabronił. Zypcio wsiąkł cały bez reszty w duszę Kocmołuchowicza — egzekucja nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia — był już kompletnym automatem. Sytuacja urządzona było po napoleońsku — ostatni występ przed historią nie mógł się obyć bez pewnej dekoracyjności: sztab, kawaleria, „Siwek”, galowe mundury i defilady. No ale trzeba było przystąpić wreszcie do czarnej roboty tego świątecznego dnia. Rozkaz operacyjny wydany był przez telefon oczywiście osobiście przez kwatermistrza z zamkniętej telefonicznej kabiny, którą wożono za nim wszędzie. Przygotowanie artylerii miało trwać krótko — o trzeciej po południu atak generalny — ha!

Był świt błady jesienny. Z początku było szaro. Potem zaróżowiły się od spodu uwarstwione obłoki na wschodzie i dzień prześliczny zaczął się rozwijać powoli, systematycznie. Kocmołuchowicz na koniu (tym słynnym „Siwku”, co to wszystko miał z rozkazu wodza w swym zadzie) przed sztabem. Słuchawkę telefonu miał w ręku. Twarz spokojna, a czarne gały utkwione w niedalekie chałupy Pychowic, zasłaniające dalszy horyzont. Gały pełne były jego pękającej z własnego nadmiaru indywidualności. Cisza. Nagle jakaś czarna błyskawica rozdarła mu normalną (tę genialną) ciemność mózgow. Na odwrót,

wszystko na odwrót! Nie będzie żadnej bitwy. On poświęci swoją sławę dla dobra tych biednych żołnierzy, biednego kraju i reszty biednej Europy. Chińczycy i tak, i tak muszą zalać wszystko. Po cóż mają ginąć te tysiące? Za co? Za ambicję jego i jego sztabu? Ambicję pięknej śmierci? Straszna wątpliwość przemknęła przez jego precyzyjny, a ciemny łeb umęczonego sobą tytana. Zaczął mówić w telefon głosem pewnym i stanowczym, a szare obłoki krwawiły się coraz bardziej, długimi, strzępiastymi pasmami. Ale jednak odczuli sztabowcy, że kwatermistrz wyrывa z siebie te słowa z jakąś niewidzianą u niego dotąd, pełną bólu potęgą:

— Hallo — centrala sygnałów? Tak. Słuchać uważnie, generale Kłykieć: bitwa się nie odbędzie. Odwołane. Na wszystkich odcinkach wywiesić sygnał poddania się. Front się otwiera. — (Nagła myśl już między nieodwołalnymi zdaniami: „Czy ja aby po prostu nie chcę żyć?” — Mignęły mu w wyobraźni pelargonie w okienku kooperatywnego domku na Żoliborzu). — Wszystkie oddziały, po przyjęciu sygnału przez nieprzyjaciela, mają bez broni wyjść z pozycji i pójść w kierunku wschodnim, w celu zbratania się z wojskami żółtej koalicji. Niech żyje — zawahał się — ludzkość — wyszeptał sam do siebie bezwładnie i puścił słuchawkę, która padła na zmarzniętą ziemię ze słabym, głuchym hukiem. Telefonista stał jak wkopany, nie śmiejąc się ruszyć. Sztab słuchał oniemiały. Ale taka była karność w tym wojsku, że nikt nie pisnął ani słowa. A zresztą chciało się żyć wszystkim — wiadomo było, że sytuacja była beznadziejna. A potem okrzyk: „niech żyje!” — nieregularny, porozrywany, zagrział zmieszonym gwarem. Krwawe obłoki zaczęły pomarańczowieć. Kocmołuchowicz odwrócił się do swoich wiernych towarzyszy i zasalutował. Był w tej chwili takim samym automatem, jak i jego przyboczny adiutant, Zypcio Kapen — coś się nagle skreśliło. Podjechał do nich ordynansowy oficer dowódcy, „legionu Kocmołuchów”, Chraposkrzecki, właśnie drugi syn tego byłego „pana” generała kwatermistrza.

— Panie generale: czy mogę się zapytać, co tu się stało? Mówiłem tam z Ciuńdzikiem. Twierdzi, że...

— Panie poruczniku — (na służbie kwatermistrz trzymał się ściśle stopni i nie pozwalał sobie na żadne poufałości) — poddajemy się w imię ludzkości. Niepotrzebny rozlew krwi. Jedź pan zawiadomić mój legion przyboczny. — Nastąpiła chwila milczenia. Obłoki były już żółte. Wielkie płyty seledynowego nieba odkrywały się na wschodzie. Na wzgórzach za sztabem błysnęło poranne słońce. Chraposkrzecki jednym rzutem wyrwał wielki bębnowy rewolwer z futerału i wystrzelił w naczelnego wodza. Po czym, nie bacząc na wynik strzału, zdarł konia i galopem popędził ku liniom legionu, o jakie osmset kroków na Zachód. Tam już świeciło jasne słońce. Kocmołuchowicz pomacał lewe ramię. Kula oderwała mu epolet w tym miejscu, gdzie przyszyte były generalskie akselbanty, które zwisły smutnie wzdłuż generalskiego boku, łaskocząc bok generalskiego „Siwka”.

— Zdegradował mnie przed moim sztabem. Idiota! — zaśmiał się Wódz. — Ani kroku! — krzyknął do wiernych sztabowców. Wszyscy zwrócili się na Zachód — Chraposkrzecki karierem dojeżdżał właśnie do zwartej linii kawalerii na równinie. Coś tam krzyczał. Tłum oficerów go otoczył. Ktoś mówił mowę — krótką. Komenda... Jaka? Najwyraźniej posłyszeli ostatnie słowa: głos generała Sergiusza Karpeki: „Skróć cugle, broń do ataku, maaarsz!” — A potem krótkie: „Marsz, marsz!”. Ława ruszyła z wolna, lśniąc szablami w różowym, ciepłym „słoneczku”.

— No — teraz, panowie, na nas kolej — powiedział spokojnie Wódz, zapalając papierosa. — Karierem do trzynastej dywizji. *Direktion* — Pychowice, E, mapa s. g. N, 167. — Zaśmiał się szeroko i spiął konia. Pognali *ventre-à-terre* w kierunku pierwszych domków Pychowic, gdzie na mapie wypadła litera *E* tej słynnej odtąd nazwy nieznanego dotąd nikomu miejsca ostatniego boju legionu Kocmołuchów z trzynastą, wierną Wodzowi, jak i cała zresztą armia, dywizją. A za nimi gnali tamci w rozwiniętym szyku. Trudno jednak gonić dwudziestu jeźdźców trzema pułkami. Grupa fantastycznych fantasenów dopadła wsi na dwieście kroków przed tamtymi.

— Zbuntowali się! Ognia!! Obrócić kulomioty!! — krzyczał dziko Kocmołuchowicz, nie tracąc ani na sekundę zimnej krwi. Obserwował siebie z boku, tego tak zwanego historyka i bujdogeneratorsa. Świetnie sprawiał się ten bohater i wierne mu, zautomatyzowane kompanie trzynastej dywizji w rezerwie. Grzmotnęła salwa w przejrzystym powietrzu je-

siennego poranka. Czterdzieści kulomiotów zagrzechało ku słonecznemu oddziałowi. Już i tu było słońce. I waliły się kupami wspaniałe, prawie że gwardyjskie, szwoleżery, nie mogąc dobiec do przekłętego E. Kocmołuchowicz patrzył na to spokojnie. Kiedy trzy pułki legły na oświetlonych pełnym słońcem ścierniskach (pogoda była już zupełna — chmury ściągały się z nieba, jak firanki, ciągnięte przez niewidzialne smutki) kazał wysłać lotne szpitale, sam zaś pojechał dalej ku swoim byłym pierwszym liniom. Miał wrażenie, że dokonał potwornego wprost poświęcenia własnej ambicji na rzecz ludzkości, większego, niż Napoleon po Waterloo. Na „jego” froncie była cisza. Już wychodziły pierwsze oddziały „bratańców”. Witano Wodza uprzejmie, ale bez entuzjazmu, jak przystało na armię automatów w decydującej chwili. Kocmołuchowicz pokazał, co umiał — tym razem naprawdę.

Siedzieli przed małą chałupką tuż przy byłej pierwszej linii robót ziemnych. Kwatermistrz dziwnie szklannym wzrokiem wpatrzył się w czarną czeluść okopu, wrytą w przepysznym, starokonstantynowskim czarnoziemiu. Pierwszy raz pomyślał o grobie i serce ścisnęło mu się nieznanym dotąd, tajemnym bólem. Wiekuistość wszechrzeczy zmieniła się na przelotne „*Minderwertigkeitsgefühl*”. Córeczka i żona (może to dla nich, i dla tych pelargonii w okienku, wykonał tę woltę?) wyolbrzymiły mu się jako jedyne wartościowe istności w świecie całym. Wstrętną była mu obecność Persy, która, uszczęśliwiona nowym obrotem rzeczy, wesoło szczebiotała z oficerami sztabu, kryjącymi pod sztucznie ponurymi maskami rozsadzającą ich radość z darowanego życia. Duch niepotrzebnie zamordowanego Niehyda przesłonił na chwilę jasność godziny jedenastej październikowego, pogodnego przedpołudnia. — „Jeszcze mnie pociągnie za sobą” — pomyślał kwatermistrz. — „Przecież właściwie on tego chciał wczoraj, co ja zrobiłem dziś. Ale chcieć, a móc to różne rzeczy. On tego wykonać sam nie mógł — co najwyżej wywołałby jakiś drobny bałagan. Tak to u nas zawsze w Polsce bywało: zabić kogoś dla tego, co się jutro zrobi po jego śmierci”. — Oczekiwano wysłańca chińskiego sztabu, który miał osobiście wyznaczyć spotkanie wodzów. Ciekawy był kwatermistrz „tamtej strony”, której nigdy (do dziś z rana) nie miał pokojowo przekroczyć i zobaczyć. Sztab chiński stał w Starokonstantynowie o dwadzieścia kilometrów od pierwszych okopów. Gwar bratania się rósł wzdłuż całej linii, mącąc przedpołudniową ciszę natury, przykucniętej jakby ze strachu przed nadchodzącą zimą, ukradkiem grzejącej się w darowanym ciepłe ociągającego się lata. Zima z latem stykały się prawie w ten przepiękny dzień, zawierający elementy obu tych pór roku.

Krótko trwały zwątpienia kwatermistrza. Szybko nastawił się swoją niezłomną wolą na poprzednie stanowisko, wynikłe z histerycznej chwili absolutnej dowolności czynu, z dodaną (?) teoryjką („*eine zuge dachte Theorie*”?) dobra kraju i całej ludzkości — i poświęcenia najwyższej strategicznej ambicji, dla jeszcze większej (kto wie?) sławy i popularności, której przy tym używać będzie można — bo „lepszy jest żywy baran, niż zdechły lew”. Potem tłumaczono to działaniem indukcyjnym „pola psychomagnetycznego”, wytworzonego obecnością milionów Chińczyków, ogarniętych jedną ideą. — (Był taki naukowy kierunek na Zachodzie). Inni mówili tajemniczo o „nocy dwudziestu pięciu piguł” — inni po prostu zwalali wszystko na obłąd. Było tak, jak tu jest opisane i koniec. Wszyscy ucichli i nastawili uszu. Zawarczał automobil na szosie. Po chwili zajechał przed chałupę po drugiej stronie linii wspaniała, czerwony Bridgewater. Wysiadł z niego niepozorny chiński czelczyzna w żółtawo-szarym uniformie, przepasanym dwubarwną: czerwoną z żółtym wstęgą. Lekko przeskoczył czarną w cieniu czeluść okopu, unosząc ręką długą krzywą szablę z niesłychanym wdziękiem i zbliżył się do grupy oficerów polskich. Oddał honory (cały sztab również), po czym zwrócił się do kwatermistrza: (Zypcio wciąż był zupełnie obojętny — on jeden ani się cieszył, ani smucił tym, co zaszło. Ale wobec takich wypadków, co może obchodzić nas psychologia jakiegos tam gówniarza? — wariat nie wariat — wszystko jedno).

— Mam honor mówić z Ekscelencją Kocmołuchowiczem? — (*Have I honour to speak with His Excellency Koczmołouchowitsch?*) — spytał najczystsza angielszczyzną. Kwatermistrz wyrzekł krótkie: „*Yes*”. „No — teraz wytrzymać maskę” — szepnął sam do siebie przez ściśnięte zęby. Tamten mówił dalej, nie podając ręki, tylko kłaniając się po chińsku. — Jestem generał Ping-Fang-Lo, szef sztabu generalnego i kawaler orderu Żółto-Czerwonego Bławatka (tu skłonił się). — Nasz wódz, mandaryn pierwszej kategorii

Wang-Tang-Tsang — (złowrogo zabrzmiało to tse-tse-owe — zaiste nazwisko) ma zaszczyt prosić przeze mnie Waszą Ekscelencję wraz z całym sztabem i zapewne — hm — z małżonką, na śniadanie o pierwszej do staronkonstantynowskiego pałacu. — („*Old-constantinavian palace*”). — Wyraźny strach widać było w czarnych oczkach Mongoła. — „Czego się boi to ścierwo?” — pomyślał kwatermistrz. — „Przecież oni w ogóle nie boją się niczego. Coś w tym jest”. — i odpowiedział nie wiadomo czemu po francusku z „wylaniem”:

— Panie generale (*mon général*): jest mi niezmiernie przyjemnie, że mogę w panu powitać... (*je suis énormément flatté de pouvoir saluer en votre personne...*).

— Dziękuję — przerwał tamten po angielsku. Odsalutował i skoczył przez okop i dalej do auta, które zawróciło już podczas rozmowy. Wóz z potwornym kompresorem skoczył od razu w sto kilometrów na godzinę i za chwilę nie było go już widać. Po chwili przykrej ciszy, gwar wybuchnął w całym sztabie. Kocmołuchowicz był najwyraźniej skonsternowany (oczywiście dla Kufkego, gdyby tu był) — widać to było tylko po zmarszczce między oczami. Coś psuło się w ogólnej kompozycji tej historii.

— Co ta bestia sobie myśli — mówił do Persy — jak on śmiał... ha — trudno. Trzeba spożywać owoce czynów w wymiarach komunistycznych. Ale ja im jeszcze pokażę! —

— Nic nie pokażesz — szczebiotała rozpromieniona kochanka. — Dokonałeś największego czynu od czasów Aleksandra Macedońskiego. Pomyśl, jak piękne będzie nasze życie. Gdyby to zrobił tchórz, byłoby to straszne, ale taki knur, taki skrzydlaty byk, taki Lewiatan jak ty...! To cud, prawdziwy cud! Ja jedna cię rozumiem naprawdę. — Wzięła go za rękę i wpiła się w niego tym najgłębszym, mącącym najkrystalicześniejsze myśli spojrzeniem. Odbiło się od jego oczu, jak od dwóch metalowych tarcz. — Wódz patrzył w siebie. Znowu obraz żony (bądź co bądź była hrabianką) i córeczki, przemknął mu przez umęczony mózg. Ale nowym nawrotem woli szybko wrócił kwatermistrz do poprzedniego stanu automatyzmu, z dodatkiem pewnej nieznanego dotąd rezygnacji. Rozkazał podać auto. Opodal przewożono rannych w rannej szarzy szwoleżerów w kierunku chińskich szpitali. Taki był rozkaz. Czyj? Chiński. On musiał się poddać chińskim rozkazom. Tego nie przewidział. Okropny, prawie że fizyczny ból przeszył mu duchowe wnętrze i zgasł w czarnej pustyni, która rozesała się tam nagle, zdradziecko. Na odgłos jęków zakrył sobie generał twarz — — na chwilę. „Iluż by ich było, gdybym nie postąpił właśnie tak? A jednak coś mi we łbie trzasło, psia-krew! Nie czuję nic”. Bezmiernie umęczenie i nuda objęły go ze wszystkich naraz stron — nawet tam od Zachodu, gdzie były ONE — żona i córka. Świat zamarł wokół — nie było nikogo. On sam jeden, w bezimiennej otchłani pełnej automatów — ostatni może prawdziwy człowiek w tym układzie. Jakoś przyjaciele nie zwracali na niego wielkiej uwagi. Nikt nie zbliżył się nawet po odjeździe Chińczyka. Coś niesłychanego! Hrabowie szeptali ponuro z Oleśnickim. Kuźma Huśtański, pijany od rana, chodził wielkimi krokami, brzęcząc groźnie swoim olbrzymim szabliskiem. Stęporek gwizdał przez zęby tango *Jalousie*, patrząc z niepokojącym uśmieszkiem w kierunku linii chińskich. Ale taka była wiara w absolutną doskonałość postępów Wodza, że nikt pary z pyska nie puścił. Jeden ten bałwan Chraposkrzecki — bohater! Niedawno doniósł Wodzowi Zypcio, że postrzelany jak sito skonał w świetnym humorze — sławę miał zapewnioną. A takiemu nie trzeba nic więcej. On, no i tamci. Ale to Karpeka winien. Kto mi kazał, u licha, Moskale dawać na dowódcę legii przybocznej? Zahypnotyzował ich, czy co? A może fałszywie przedstawili sytuację? Oto do czego doprowadza przesadna dyscyplina — nikt się nie oprze byle czyjej komendzie. Ha — zobaczymy potem, jak to było naprawdę.

Jechał z Persy, Zypkiem i Oleśnickim. Mężczyźni milczeli, tylko Zwierzontkowska wykrzykiwała swoje zachwyty nad pięknnością pejzażu. Młody książę wywalał na nią swoje przecudowne oczy z wyrazem beznadziejnej, ponurej żądz. Zypcio nic — prawie nie istniał sam dla siebie. Był tylko małą naroślą na tamtych mózgach, a mimo to odczuwał doskonale, co się tam w nich dzieje — tę zdolność wnikania bezpośrednio w obce jaźnie dał mu dawamesk B2, — ale na cóż mu to teraz było potrzebne. Nie ma biednej Lizki i nie będzie. Nie mógł wyduśić z siebie na ten temat ani jednej najmniejszej wewnętrznej lezki. — Kamień.

Zajechali przed bramę parkową starokonstantynowskiego dworu. Chińscy żołdaci oddali honory z wielkim szykiem i przepuścili auto. Mijali dziwni goście grupy drzew żółtych i miedziano-czerwonych wśród szmaragdowych trawników. Jakoś niesamowicie przedstawiał się im zwykły (identycznie taki sam, jak poza frontem) białoruski pejzaż — zdawało się im, że są już w Chinach, że formy drzew są zchinizowane, że wszystko ma inny kolor, jak na mapie.

Nagle ujrzeli dziwny widok. Od skrzyżowania alei rozpościerał się trawnik, idący aż do dworu, świecąco oślepiającą białością ścian i kolumn, wśród gęstwy purpurowych jarzębin. Na lekkiej pochyłości klęczał szereg ludzi. Stali tylko: kat (jak się później okazało) i oficer. — Właśnie zaczynała się egzekucja. Kocmołuchowicz wyskoczył z auta w biegu. Auto stanęło. Tamci gramolili się za nim. Aha — zrozumiał. „*Unser liebenswürdiger Gastgeber hat uns eine kleine Ueberraschung vorbehalten — nach Tisch werden ein Paar Mandarinen geköpft*” — przypomniał mu się „witz” z odwiecznego „Simplizissimusa”. Tylko, że tu było „*vor Tisch*”. Zatrzymali się przy pierwszym skazańcu.

— Za co ich tak karzecie? Co oni zrobili, u diabła? — spytał Kocmołuchowicz dyżurnego oficera. (Żołnierzy straży nie było widać wcale).

— *Ne me parlez pas, Excellence — je suis des gardes* — odpowiedział zimno, ale grzecznie, jakby z wyrzutem lekkim, poruczniczek o twarzy dziecka.

Skazany patrzył obojętnie w głąb jarzących się w słońcu drzew parkowych, rozumiejąc zdawało się wszystko (dosłownie wszystko w metafizycznym znaczeniu), albo nie rozumiejąc absolutnie niczego — jedno z dwojga. Inni klęczący (nie mieli nawet związanych rąk! — coś nieprawdopodobnego!!) patrzyli na niego z wielkim zainteresowaniem, jak sportowcy, oczekujący wyniku jakiegoś niezmiernie ciekawego rekordu. Nad tym pierwszym stał kat, z prostym mieczem w ręku. Komenderujący egzekucją oficer nie zwracał więcej już żadnej uwagi na przybyłych. Kocmołuchowicz stał o trzy kroki od niego w pełnym generalskim uniformie, a ten nic sobie z tego nie robił. Musiał przecież wiedzieć, z kim ma do czynienia. Coś niezrozumiałego. Nagle krzyknął, jakby „miał już dosyć tego wszystkiego”. Kat zamachnął się i głowa pierwszego „faceta” stoczyła się parę kroków po pochyłości, szczerząc żółte zęby. Ale w chwili ścięcia zauważył Kocmołuchowicz (kiedy głowa była już w powietrzu) plaster jakiś, coś podobnego do przekroju jakiegoś salcesonu: w środku szare, potem białe, potem czerwone, jakieś plamki i równa linia skóry, otaczającej żywe jeszcze ciało. W sekundę (może w ćwierć) wszystko to zalała bulgocząca krew, a głowa dawno szczerzyła zęby na trawniku. (Co za technika, co za technika!) Może mu się zdawało, ale oczy ściętego chińskiego łba najwyraźniej mrugały na niego porozumiewawczo. Paru innych skazańców zrobiło zdawało się parę technicznych uwag. Musiały być pochlebne, bo kat skłonił się w ich stronę, po czym przystąpił do następnego skazanego. Wszyscy podobni byli do siebie, jak krople tego samego płynu. Znowu komenda, znowu ten sam gest kata i nowa głowa stoczyła się po polskim dworskim trawniku, zalanym słońcem jesiennego południa. Tamci widzieli zupełnie to samo — to nie była halucynacja. Persy zemdlą i Zypek z Oleśnickim musieli wlec ją pod pachy, za idącym w kierunku dworu milczącym kwatermistrem. Żuł lewy wąs i mruczał: „dobra szkoła, dobra szkoła”. Widok egzekucji dobrze mu zrobił — nabrał siły do rozmowy z niezwykłym Wangiem. Nareszcie nadeszła ta chwila — już myślał, że go ominie, a jednak jest jak byk, tuż przed nim. Dobra nasza! Weszli pod kolumny polskiego „dworku” — ileż mord różnych sług i tym podobnych stworzeń nabito tu i w szerokim promieniu stąd, od wieków. Teraz miał nastąpić rewanż — to pomyślał w ostatniej chwili kwatermistrz. Już miał przed sobą pomarszczoną, żółtą twarz, w której, jak w szafranowym placku rodzynki, tkwiły czarne, mądre oczka dziecka — powitał ich sam głównodowodzący mandaryn Wang-Tang-Tsang. Był ubrany tak samo skromnie, jak i inni towarzyszący mu oficerowie. Weszli do sali jadalnej. W tej chwili zajechały auta, wiozące resztę sztabu kwatermistrza. Z nadzwyczajnymi honorami posadzono Kocmołuchowicza i Persy na pierwszych miejscach. Po lewej stronie miała Zwierzontkowska samego Wanga; Kocmołuchowicz miał po prawej szefa sztabu generalnego Ping-Fang-Lo, tego, który przyjeżdżał do niego rano. Innych nie widział — ukryci byli za wysoką piramidą jedzeń, piętrzącą się w środku stołu. Po gniazdach jaskółczych w słodkim sosie z gniecionych karaluchów (tu i ówdzie zaplątała się łapka któregoś z tych mądrych stworzonek), Wang wstał i biorąc w rękę olbrzymi kielich oryginalnego Dubois, rzekł w czystej nad wyraz angielszczyźnie.

— Ekscelencjo: mam honor powitać pana pierwszego w naszym sztabie po świetnym czynie, dokonanym przez Niego w imię uczuć obejmujących ludzkość całą. Jednak, ceniąc jak nikt zasługi pańskie, nie mogę nie uznać pana za jednego z najniebezpieczniejszych indywidualistów, należących raczej do epok minionych, niż do naszej. Dlatego, dla dobra całej ludzkości, dla którego pan, panie Kocmołuchowicz, poświęcił był ambicję wodza jako takiego i prosty honor pierwszego oficera swego kraju („*the ambition of the commanding officer as such and the plain honour of the first officer of your country*”) jestem zmuszony skazać pana na śmierć przez ścięcie — bardzo szlachetna śmierć — dlatego, że dalsze pańskie istnienie, w związku ze znajomością pańskiej intymnej natury, obnażonej dla nas w tym właśnie epokowym czynie, zagrażałoby tym celom, w imię których czynów był spełniony. Jednak nic się nam nie śpieszy z wypełnieniem tego nieodwołalnego wyroku i możemy dalej weselić się, spożywając dary bogów i pijąc, i pijąc, i pijąc za pomyślność szczęśliwej ludzkości, dla której, tak czy inaczej, poświęcamy nasze marne istnienia osobiste. — Zypcio patrzył cały czas w swego byłego idola. Kocmołuchowicz tylko raz (kiedy mowa była o jego śmierci) podniósł na chwilę swe wspaniałe brwi, jakby się zdziwił nad jakimś czysto retorycznym frazesem. Zypcio wbił się w niego jeszcze głębiej swoimi nieczułymi oczami. Nic — maska była zupełnie spokojna. Było to zjawisko prawie aż przykre, tak piękne. Nie można było pojąć, jakim cudem to żyjące bądź co bądź stworzenie wytrzymało taki cios. Podobnie jak człowiek chory na morską chorobę podczas burzy cierpi, gdy patrzy na kogoś spacerującego spokojnie po pokładzie. Wydaje się, że tamten męczy się nieludzko z tego powodu, że nie może rzygać. „Ta bestia ma trzon — niech go...!” — pomyślał Genezyp z prawdziwą admiracją. Poczul, że ma jednak wodza i że może mu zaufać nawet w samą godzinę jego najstraszniejszej śmierci. Bo cóż jest gorszego jak być skazanym? A wiadomo było, że Chińczycy nie żartują nigdy. Coś jednak drgnęło w jego martwych głębiach, pod wpływem tej emanacji czystej Wielkości. Tylko teraz pytanie, co odpowie ten demon i jak. Ale Wang mówił dalej, wychlapszy całą wodę jednym haustem. — Otóż, panowie: należy się panom parę słów wyjaśnienia co do naszych celów i metod. Rzecz jest prosta, jak konstrukcja naszego modlitewnego młynka: nie umiecie sobą rządzić i jesteście rasowo wyczerpani. My umiemy; nasza uśpiona od wieków inteligencja ocknęła się, dostawszy raz w ręce wasz genialny alfabet. Nasza nauka stanęła od razu wyżej niż wasza. Odkryliśmy to właśnie, że wy urządzić się nie umiecie, a my umiemy. Każdy kraj ma swój idealny układ, w którym największą może osiągnąć wydajność. Dowodem naszej wyższości jest organizacja nasza i innych pokrewnych nam ludów. Musimy was nauczyć. Polityka nie istnieje dla nas jako taka — chodzi o naukowo zorganizowaną i uregulowaną wytwórczość. Urządzimy was i będziecie szczęśliwi. Nie chodzi o cofnięcie kultury, jako takie, tylko o trampolinę do skoku. Jakie będą możliwości dobrze gospodarczo zarządzanej ludzkości, nawet my nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Może tylko zostanie uszczęśliwiona, a wszystkie wyższe formy twórczości będą musiały zaniknąć — trudno. I tak będzie to wiele, bardzo wiele. Ale jest jeszcze jeden problemat; my też jesteśmy wyczerpani w pewnym sensie — nie tak jak wy, ale przecie (*not as you are, but nevertheless*). Musimy się odświeżyć rasowo, musimy was połknąć i strawić, i stworzyć nową rasę żółto-białą, przed którą, jak to dowiodły nasze instytuty badań socjologiczno-biologicznych, otwierają się nieznane możliwości. Dlatego zaprowadzamy obowiązkowe małżeństwa krzyżowane — tylko artyści będą *mieć mogli* takie kobiety, jakie będą chcieli — białe lub żółte — wszystko jedno. Dlatego z góry mam zaszczyt prosić Waszą Ekscelencję o rękę wdowy po Nim dla siebie i rękę córki Jego dla mego syna. Racjonalna hodowla przywódców, zdeindywidualizowanych w dobrym znaczeniu, jest jedną z naczelných zasad naszego programu. — Zapisał znowu to zdanie i siadł, obcierając łysinę jedwabną białą chusteczką. Kocmołuchowicz milczał. — Milczenie jest znakiem potwierdzenia — rzekł Wang, zwracając się już nieoficjalnie do Wodza, który miał minę taką, jaką by miał wysłuchawszy mowy Huśtańskiego na przykład, na jakimś pułkowym święcie. A przeszedł przez następujący szereg stanów: w chwili, gdy posłyszał wyrok śmierci, podany mu w tak oryginalnej formie, doznał dziwnego uczucia, jakby we wszystkie zakończenia nerwów wbito mu nagle rozżarzone szpilki — nie, raczej jakby ze wszystkich zakończeń tych trysnął prąd jakiś — ognie świętego Elma, czy coś takiego. Tryśnięcie to było bolesne. Na rękach zobaczył najwyraźniej fioletowe ognie. Spojrzał przed siebie i ujrzał przez wielkie okna słoneczny, jesiennie-południowy widok

parku — to nie była rzeczywistość — to sam ekstrakt uroku wspomnień niepowrotnej przeszłości przedstawiał mu jakiś zły duch w zaczarowanym zwierciadle. Patrzył na to jak na przeszłość... Straszliwy sentyment pejzażowy targnął mu jelita bolesnym skurczem. Nigdy... Ho, ho — taka chwila to nie bitwa. Wszystkie siły wysłał na front — tym frontem była maska. Nie drgnie i drgnąć nie może. Na ruch brwiami może sobie pozwolić. — Zbyteczna skamieniałość nie jest nawet dobra — może dać coś poznać. Obraz ten zakrył mu zaraz inny obraz — pamięciowy — żony i córki. Zobaczył małą Ileankę, jak je kaszkę na wysokim krześle, na tle ciemnego wnętrza sali jadalnej, a nachylona nad nią „Święta Hanna, Męczennica” mówi coś do niej szeptem. (Tak było właśnie o tej porze). Nie — w tym nie należało szukać ratunku — tam była słabość — Żolibórz i pelargonie (koniecznie). Jedyńm czymś w rodzaju oparcia była Persy — ta udająca jego żonę przed Chińczykami. Właśnie w tej chwili zemdlą i dwóch sztabowców chińskich, zupełnie do siebie podobnych, cucilo ją z naukowym zrozumieniem rzeczy. Kocmołuchowicz jeszcze raz „spiął mózgi ostrogą woli” i zatrzymał uciekające ciało na skraju śmierdzącej przepaści, gdzie czaiły się: strach i dyshonor. „A może lepiej było zginąć w ogniu?” Okropna wątpliwość — jak to tam było z tą ludzkością. Odwagi nie brakło mu nigdy — ale tu inna była sprawa — nawet John Silver dostawał mdłości na myśl o stryczku. Hm — ścięcie — prawie że „*ganz pommade*” — jedno warte drugiego. I nagle, na miejscu, gdzie siedziała przed chwilą Persy, ujrzał Wódz najwyraźniej *przeźroczyście* brodatą, niechlujną postać Niehyda-Ochluję — pierwsza halucynacja (poza wizjami dawamesku) w życiu. Ale już spięty ostrogą woli mózg wytrzymał i to uderzenie. Nikt nie mógł tego ocenić — kwatermistrz patrzył na widmo, tak jak na krzesło — w biały dzień! Coś naprawdę piekielnego. Przypomniało mu się, jak kiedyś, jako mały, panie, „brzdąc”, oglądał *Makbeta* Szekspira z ilustracjami de Seluze'a. Pokazywał mu tę książkę, jemu — stajennemu chłopcu, młodszy od niego Chraposkrzecki — brat tego, co zginął dziś rano w szaleńczej szarzy na kulomioty trzynastej dywizji. I pamiętał kwatermistrz, jak bał się tego ciemno-przejrzystego ducha Banka i jak zasnąć potem nie mógł, wskutek powracającej uporczywie wizji. Duch znikł. A kiedy Wang skończył swoją mowę, zaśmiał się Wódz wśród ciszy, „gromkim”, krystalicznym śmiechem. Nie było w tym nic historycznego — młodość. (Już dawno dusił śmiech ten w sobie — od czasu oświadczyn starego „czinka” o jego żonę. Cha, cha! — *c'est le comble!* Postanowił nie wyprowadzać biedaka z błędu, „*pust' rozbierut potòm*”. Będzie z tego dzika uciecha). Wszyscy spojrzeli na niego. Persy ocknęła się i podtrzymywana przez chińskich oficerów, szczękając zębami, wróciła do sali. W ciszy słychać było dzwonięcie tych okrutnych ząbków o dźwięczny kryształ pucharu, który podawał jej szef sztabu Ping. Kocmołuchowicz wstał i powiedział głosem swobodnym i lekkim — „kawaleryjskim” (po francusku):

— Panie marszałku Wang: zbyt dużo honoru, aby odmówić: „*Slizkom mnogo czesti, cztoť otkazátsia*” — jak powiedział sekundantom pewien nasz oficer w 1831 roku, wyzwany przez Wielkiego Księcia. A i tak nic by to nie pomogło. Przyjmuję ten komplement Waszej Dostojności (*Votre Eminence*) w głębokim zrozumieniu praw historii. Może masz pan rację, marszałku Wang: jestem niebezpieczna bestia, o tajemniczych odruchach — tajemniczych dla mnie samego. Czy i dzisiejszy ranek nie jest tego dowodem? Gdyby nie ta moja ostatnia wolta, straciłbyś pan ze trzy czwarte twoich tutaj dysponibłów. Ostatecznie zwyciężylibyście liczbą. A planu mego nie pozna pan, bo on jest tu. — (Tu stuknął się w łeb, imitując ten odgłos znanym sposobem: świńskim pół-chrzękiem między nosem a gardłem. — Zdumieli się Chińczycy). — Ani jednego papierka nie zapisałem. Moglibyście mieć ze mnie dobrego szefa sztabu w walce z Niemcami — nie ubliżając panu, generale Ping — dodał kłaniając się żółtej, niepozornej, młodej mumijce. — Bo niemieckich komunistów bez walki wziąć się wam nie uda. Nas zgubił brak idei wewnętrznej — mieliśmy, ale narzuconą z zewnątrz. No, a w dodatku tam nie dałby się wyhodować taki okaz jak ja. Ale nawet gdybyś teraz, mandarynie Wang, darował mi życie, nie przyjąłbym tego daru i wpakowałbym sobie karmelek w łeb, z tego oto browninga, który dostałem od Cara Kiryła i który składam w Twoje ręce. — Położył mały, czarny przycisk przed nakryciem chińskiego dostojnika i siadł. Nikt więcej nie mówił, choć temat był niezły. (Każdy skrywał wstydliwie coś pod swymi giezłami — dodałby poeta). Rozmawiano o mechanizacji bez utraty kultury, o mechanizacji samej w sobie,

o zmechanizowaniu procesów samej mechanizacji i o tym, co będzie, kiedy już wszystko zmechanizowanym będzie. Zadziwił wszystkich biedny, genialny skazaniec „cierpkością” swoich uwag i dowcipem. A kiedy zjedzono ogony szczurów w sosie z duszonych w pomidorach pluskiew i zapito świństwo to świetną ryżową wódką z różaną wodą, mandaryn Wang wstał i rzekł:

— Pora już. — Kocmołuchowicz poprosił o parę słów na stronie:

— Jedyłą moją prośbą, panie marszałku, to pół godziny rozmowy z moją żoną na osobności. Przy tym muszę napisać dwa listy: do pierwszej żony i córeczki.

— Ależ oczywiście, generale — mówił przyjaźnie Wang. — Ha — ma pan jeszcze pierwszą żonę? — zainteresował się. — To świetnie, to świetnie. Nie wiedziałem, że córeczka jest z pierwszej... Ale to nic, nie tego, nie zmienia naszych planów?

— Ależ nic a nic. Gdzie?

— Tam w saloniku — poklepał Kocmołuchowicza poufale po plecach. Niezwykły ten u Chińczyków wypadek wzruszył wszystkich niemal do łez. Ale oficerowie kwatermistrza nie śmieli do niego podejść. Wytworzył się jakiś nieprzekraczalny dystans, czy ściana tajemna — ani rusz. On też nie miał na nich ochoty. Co tu gadać w takiej chwili. Trzeba się trzymać — ot co. Co innego Persy, która rozmawiała właśnie z Zypkiem i chińskim szefem sztabu o tylko co przeżytych wrażeniach kulinarnych. — Jest pan tęgim chłopcem, generale — mówił dalej marszałek. — Szkoda, że nie urodził się pan Chińczykiem. Gdyby inne wychowanie pan otrzymał, byłby pan naprawdę wielkim. Ale tak jak jest — muszę. Trudno.

— Gdzie?

— Sam pana zaprowadzę.

— Chodź, Persiu — będziesz miała dość czasu na flirty dziś wieczorem. — Przeszli dalej do małego rokokowego saloniku.

— Ma pan pół godziny czasu — rzekł Wang ze współczuciem i odszedł spokojnie. Przy drzwiach postawiono wartę: porucznik, jakiś były mongolski książę, z dobytą szablą. Pod oknami mijając się spacerowały dwa bagnety. — A pan, panie poruczniku — zwrócił się do Zypcia — zostanie tu — (wskazał ręką na fotel, stojący pod drzwiami) — a po pół godzinie zapuka pan do tych drzwi. — Czas płynął wolno. Gdzieś bił zegar trzecią po południu. Było ciemnawo w tym szerokim korytarzu. Zypcio zdrzemnął się na sekundę. Ocknął się i spojrzął na zegarek. Dwadzieścia po trzeciej. Czas już, na Boga czas! Zapukał — cisza. Drugi raz mocniej, trzeci — nic. Wszedł. Uderzył go dziwny jakiś zapach, a potem sobaczył rzecz straszna. Jakiś talerzyk, jakieś krwawe pręgi na czymś i porzucona obok szpicruta, ta z brylantową gałką, z którą (szpicrutą) nigdy nie rozstawiała się Persy od czasu przybycia na front. A ona, płacząca u okna. Zypkowi świat cały zatańczył pod czaszką dziką kaczącą. Ostatnim wysiłkiem opanował się. Działo się w nim coś niepojętego przez sekundę, ale przeszło. Uf — jak dobrze, że przeszło.

— Czas, panie generale — rzekł cicho, naprawdę złowieszczo.

Zerwał się kwatermistrz, pośpiesznie poprawiając toaletę. Persy zaczęła iść ku Zypciowi od okna, z wyciągniętymi rękami. W jednej z nich (lewej) miała zgniecioną chusteczkę. Zypcio cofnął się pośpiesznie i przeszedł do jadalni. Tam było pusto. Nalał sobie duży puchar ryżówki i wychłął do dna, zakąsiwszy jakąś kanapką z czort wie czym. Słońce było już pomarańczowe.

Za chwilę wyszli wszyscy na przepiękny trawnik przed dworem, gdzie leżały jeszcze ciała i głowy ściętych przed południem skazańców.

— Oficerowie, którzy popełnili błędy taktyczne w przygotowaniach do nieodbytej bitwy z Waszą Ekscelencją — objaśnił uprzejmy Wang. Kocmołuchowicz był błąd, ale maskę miał nieprzeniknioną. Już był po tamtej stronie. Tu — tylko trup jego udawał, że nic go tu nie obchodzi. (Na tym polega odwaga w takich chwilach: trup udaje — duch już jest gdzie indziej). Oddał Zypciowi listy mówiąc:

— Bywaj zdrow, Zypek. — Po czym kiwnął ręką wszystkim i dodał: — Nie żęgnam się, bo się niedługo zobaczymy. „Ja wybierając los mój, wybrałem szaleństwo” — zacytował wiersz Micińskiego. I od tej chwili zoficjalniał, zeszywniał. Odsalutował — wszyscy podnieśli ręce do czapek — — rzucił o ziemię czapkę pierwszego pułku szwoleżerów, klęknął i wpatrzył się w długie, podwieczorne, szmaragdowo-błękitne cienie, które

grupa miedzianych drzew rzucała na słoneczne trawniki. Zbliżył się kat — ten sam. Nie wypowiedziany czar padł na cały świat. Jeszcze nigdy żaden zachód słońca nie miał dla niego tak piekielnego uroku — szczególnie na tle tego, co ostatni raz (ach — ta świadomość ostatniości! — ileż dała mu zabójczej rozkoszy!) dokonał z kochanką. Już nigdy żadna chwila nie będzie wyższą od tej — po cóż więc żałować życia? To październikowe popołudnie, to jest właśnie szczyt.

— Jestem gotów — rzekł twardo. Przyjaciele mieli lzy w oczach, ale trzymali się. Ściana między nimi a Wódzem pękła. Dla nich też wypiękniał dziwnie świat w tej chwili. Na dany przez Wanga znak („*il était impassible, comme une statue de Boudda*” — jak mówiła potem zawsze Persy, opowiadając tę scenę) kat podniósł prosty miecz, który błysnął w słońcu. Wiuuuu! I Zypek zobaczył to samo, co cztery godziny temu widzieli wszyscy razem z generalnym-kwatermistrzem: przecięcie jakiegoś szatańskiego salcesonu, który zalała następnie buchająca z arterii ostatniego indywidualisty krew. Głowa stoczyła się. A Wódz w chwili cięcia poczuł tylko zimno w karku i kiedy głowa zachwiała się, świat w oczach fajtnął takiego kozła, jak ziemia widziana z aeroplanu na ostrym wirażu. A potem mdła ciemność objęła głowę leżącą już na trawie. W tej głowie skończyła byt swój jego jaźń, niezależnie już od korpusu w generalskim mundurze, korpusu, który klęczał dalej i nie wywracał się. (To trwało jakie piętnaście sekund). Nie wiedziała Persy, czy rzucić się ku głowie, czy ku korpusowi — gdzie się rzucić musiała. Wybrała pierwsze, przypomniawszy sobie Salome, królową Małgorzatę i Matyldę de La Mole ze Stendhala. (Następna osoba w tej sytuacji, przypomni sobie jeszcze ją: Persy Zwierzontkowską — będzie już tak sławną, jak tamte). I podniósłszy z trawy wściekły, nieugięty łeb Kocmolułowicza, rzygający przez szyję krwią i mleczem, i pochylając się ostrożnie naprzód, ucałowała go w same usta, pachnące jeszcze nią samą. Och — to nieprzyzwoite! Z ust tych pociekła krew, krwawe usta swoje (tak zwany później „*rouge Kotzmoloukowitzsch*”) zwróciła potem Zwierzontkowska ku Zypkowi i jego ucałowała też. Potem rzuciła się ku zgorszonym Chińczykom i przyjaciółom Wodza. Musiano ją związać, piniąc się w histerycznym ataku. Zypcio z obrzydzeniem obcierał się, obcierał i nie mógł do syta się obetrzeć. Tej nocy (przyznawszy się, że nigdy nie była żoną Wodza) została kochanką zautomatyzowanego Zypcia, który, jak Cymisches Bazylisse Teofanu „posiadł ją bez żadnej absolutnej przyjemności”. A potem kochała jeszcze szefa chińskiego sztabu, mimo że śmierdział trupem, i jeszcze innych „*czinków*”, mimo że śmierzdzili tak jak i on — a może właśnie dlatego — nie wiadomo. Na wszystko pozwalał jej na wszystko zubożniały Zypulka.

Śnieżycza, która nagle przyszła z Zachodu, nie pozwoliła Chińczykom wyruszyć zaraz na podbój kraju. Zajęto się zorganizowaniem na nowo „zbratanych” wojsk nieprzyjacielskich. Zypcio szalenie dużo miał do roboty — ledwo miał czas na miłość.

A potem puszczono się na Zachód. W pierwszych dniach listopada weszły wojska chińskie do stolicy. Tymczasem działy się tam straszne rzeczy. Syndykat Obrony Narodowej wydał bitwę komunistom. Sprano ich. Dwa duchy: zamordowanego Niehyda i mordercy jego, który okupił swe winy wobec tamtego ostatnim „czynem”, dalej wodziły za łby masy, ciskając jednych na drugich bez litości. Mściły się te truposze, że same nie mogły już używać życia. „Święta Hanna Męczennica” poświęciła się wyłącznie córeczce, narzeczonej młodego Wanga. Ale za starego nie wyszła i kwita — nie mogli jej dać rady. Zypcio „zezwykłał” zupełnie. Jakieś były tam dochodzenia w sprawie Elizy, ale wobec zalewu chińskiego wszystko zostało umorzone. W ogóle mnóstwo zbrodniarzy zaczęło nowe życie.

Dla artystów były ulgi. Sturfanowi i Tengierowi powodziło się świetnie. Tengier, zdawszy wychowanie dzieci na „zceprzałą” zupełnie żonę, komponował teraz bez przeszkody, tarzając się w wolnych chwilach jak Sardanapal na stosach całych różnej maści dziewczynek, których dostarczała mu sekcja ochrony sztuki przy ministerium mechanizacji kultury. Sturfan pisał razem z Lilianą, która grała prócz tego w teatrze dla najwyższych mandarynów — pisał rzeczy okropne: powieści bez „bohaterów”, których rolę objęły grupy. Operował tylko zbiorową psychiką — rozmówek nie było zupełnie. Krytykę literacką i artystyczną zniesiono nareszcie całkowicie. Również książę Bazyli i Benz, jako

ludzie nauki (ten od Murti Binga, tamten od znaczków) opływali we wszystko. Za to masa (książęta, hrabiowie, chłopci, robotnicy, rzemieślnicy, armia, kobiety itp.), zużyta dla poprawienia rasy mongolskiej, cierpiała z początku potępieńczo na temat płciowy. (Ale przecie to takie głupstwo płciowość — kto by tam się długo w tym babrał). Jednak stosunkowo dość szybko (w jakie dwa miesiące) przyzwyczaili się ludziska, bo chyba gorszych bydląt nad ludzi nie ma w całym Wszechświecie. Przygotowywano się gorączkowo do zawojowania zbyt mało po chińsku komunistycznych Niemiec. Miało to nastąpić z początkiem wiosny.

Zypcio, wariat już skończony, umiarkowany katatonik, ożeniony gwałtem z cudownej piękności Chinką z rodu jakichś mongolskich chanów, coraz bardziej był zajęty jako wzorowy oficer i coraz więcej zaniedbywał Persy, która w końcu zupełnie przeszła na Chińczyków, wyszedłszy za mąż za żółtego dygnitarza. A prawda: księżna zginęła na jakichś barykadach w czasie antychińskich rozruchów, a Michalskim powodziło się niezłe. Za specjalną protekcją można było utrzymać w całości dawniej zawarte małżeństwa.

Wszystko rozwiło się w coś w polskich terminach niewyraźnego. Może jakiś uczo-ny, bardzo chiński duchowo „czink”, ujrawszy to *nie po chińsku*, mógłby to następnie opisać po angielsku. Ale i to jest wątpliwe.

16/XII. 1927 r.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/witkacy-nienasycenie>

Tekst opracowany na podstawie: Stanisław Ignacy Witkiewicz, Nienasycenie, Dom Książki Polskiej Spółka Akcyjna, Warszawa 1930.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Publikację wsparli i wsparły: Jacek J. Hoffman, jacekH, Beata Okulińska, Jan Marcinkiewicz, WMZPR.

ISBN 978-83-288-1014-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).